PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY TRZECI. — TOM CXXXII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1916.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1916.

Czem jest papież dla świata.

Z rozporządzenia episkopatu polskiego, w uroczystość Królowej Korony Polskiej, która tego roku przypadła na dzień siódmego maja, wdzięczny nasz naród zebrał się w świątyniach na nabożeństwo, urządzone na intencyę Ojca św., Benedykta XV., by Mu się wywdzięczyć za osobliwą, iście ojcowską Jego miłość narodu naszego, za szacunek i opiekę duchową, jakimi *Poloniam semper fidelem* otacza, — za otuchę i nadzieję, jakie w zbolałe i krwawiące się serca nasze wlewać nie przestaje, podnosząc w obliczu świata szlachetność naszego narodu, dziejowe nasze męczeństwo i wiekopomne zasługi „przedmurza“ chrześcijaństwa i zachodniej Europy.

Słusznie więc ku Namiestnikowi Chrystusowemu zwracają się polskie nasze umysły i serca, by Mu złożyć hołd podzięki, czci i bezgranicznej miłości, a zarazem dać wyraz niezłomnego naszego przywiązania do Stolicy Apostolskiej. A nie tylko wdzięczna Polska, ale i wszystkie inne narody, niekatolickie nawet, w obecnej dobie zwracają się do Namiestnika Chrystusa jako do Księcia pokoju i do bezpiecznej arki wśród krwawego walczących stron potopu.

Oto, co o tem pisze „Przegląd Powszechny“:[1]) „Strony walczące utrzymują żywe stosunki dyplomatyczne z Watykanem, uznając tem samem ważność roli papieskiej w obecnem

[1]) Zeszyt ze Stycznia 1916.

położeniu. Anglia po raz pierwszy od czasów reformacyi posłała 10. grudnia 1914. roku swego ambasadora do Watykanu; Francya, która już roku 1904., a więc jeszcze przed prawem, ogłaszającem rozdział Kościoła od państwa odwołała swego przedstawiciela, w tym samym czasie szukała zbliżenia się do Stolicy Apostolskiej za pośrednictwem znanego historyka Kościoła katolickiego Msgr. L. Duchesne w Rzymie. Serbia po zawarciu konkordatu w Rzymie 23. czerwca 1914. zamianowała także posła u papieża, a Rosya życzyła sobie, by Watykan utrzymywał Polaków w usposobieniu przychylnem dla Rosyi. Turcya, po zaakredytowaniu delegata apostolskiego, biskupa Dolci, u sułtana (w grudniu 1914), oświadczyła się z gotowością ustanowienia ambasadora u papieża; są też przypuszczenia, że Rumunia dąży do utworzenia dyplomatycznego przedstawicielstwa w Watykanie. Także państwa neutralne, Holandya i Szwajcarya, posłały swych przedstawicieli do Rzymu".

Rola, jaką w oczach naszych odgrywa Namiestnik Chrystusowy wśród światowej wojny, Jego rozległa akcya Księcia pokoju i Samarytanina, — jak świadczą dzieje Kościoła i narodów, — nie są nowością. Rolę tę spełniało papiestwo przez wszystkie chrześcijańskie stulecia i pokolenia, i spełniać nie przestanie do wieków kresu. I to mi podaje sposobność do omówienia, czem jest papież dla świata, do przypomnienia społecznych papiestwa zasług.

Chcąc wykazać społeczne zasługi papiestwa, na to potrzebaby tomów; to też w tej skromnej rozprawie ograniczyć się muszę raczej do rzutu oka, do ogólnego poglądu na ten rozległy przedmiot.

Działalność cywilizacyjna papieży ma swe źródło, swój punkt oparcia w wyjątkowem i nad wyraz uprzywilejowanem stanowisku papieża w Kościele a przez Kościół w świecie. To też logiczny tok myśli wymaga, byśmy choć na chwilę przypatrzyli się stanowisku papieży w Kościele Chrystusowym, — zanim podziwiać będziemy społeczne ich zasługi.

I.

Pomiędzy morzem Tyreńskiem a białymi szczytami Apenińskimi, u stóp siedmiu pagórków, zmywanych falami Tybru, pewnego dnia rozbitki Eneasza znaleźli głowę zakrwawioną; zapytana o to wyrocznia zapewniła ich, że śmiało mogą na tem miejscu budować swą siedzibę, bo to pomyślna wróżba: że ich miasto stanie się stolicą świata. Tak założono Rzym. Od znalezionej głowy (caput) nazwany jest Kapitol, ognisko światowej potęgi Romy. W ośmset lat później od innej głowy miał się stać Rzym stolicą niezrównanie rozleglejszego, duchowego państwa, jakiem jest Kościół Chrystusowy na ziemi.

W roku 795. od założenia Rzymu, w drugim roku panowania Klaudiusza cesarza, pewien cudzoziemiec z kosturem w ręku wchodził do tego miasta, które podówczas było jakby muzeum wszystkich przesądów, bazarem wszelkiej rozpusty; powolnym krokiem szedł po drodze apenińskiej, wiodącej na Forum.

Doszedłszy do tego serca stolicy, człowiek ów wsparł się na swej lasce, zaczął wodzić wzrokiem wokoło siebie. Przed jego oczyma dumnie wznosiło się Kapitolium, strzelając w obłoki trofeami tysiącznych zwycięstw, świata łupami; w niewielkiej oddali wynurzał się pałac cezarów, w jego głębi ukazał się człowiek, zaledwie godny tej nazwy, który jednem słowem, jednem skinieniem poruszał miliony ludzi. Nasz cudzoziemiec na widok przepychu, jaki Rzym przed nim roztaczał, wzniósł oczy ku niebu i na moment skupił się w sobie. Gdyby w tej chwili Cezar zstąpił z swego tronu i zapytał tego cudzoziemca, którego wschodni strój zdradzał ziemię ojczystą: „Cóż ty wśród Rzymian czynić zamyślasz?“, Żyd ten w swem barbarzyńskiem narzeczu byłby mu odpowiedział: „Cesarzu, ty dzierżysz w swem ręku berło świata, przodkowie twoi uczynili z tego miasta stolicę najpotężniejszego państwa, jakie kiedy było na ziemi; twoje legiony we wszystkich kierunkach przerzynają ziemię, na wszystkich krzyżują się drogach. Na

świecie nie masz nic większego od ciebie, nad twoje miasto, nad twe legiony nic potężniejszego. Otóż obok twojego tronu ja zamierzam umieścić moją stolicę i założyć państwo, które rozszerzy się poza Ren i Eufrat, państwo, które nie będzie miało innych rubieży jak świata krańce, — innych granic jak kres czasu". Gdyby wtedy Cezar, przyjmując z uśmiechem wynurzenia tego Żydowina, zapytał go: „I czemże zamyślasz przeprowadzić swój plan i zamienić go w czyn?" — nasz cudzoziemiec byłby mu z tym samym spokojem i z tą samą zimną krwią odpowiedział: „Cezarze, ty królujesz mieczem, krew ludów spoiła i utwierdziła państwo twoje; co do mnie, ja nie dzierżę innego oręża prócz mego kostura, ręce moje nie nauczyły się przelewać krwi, przychodzę tu sam, bezbronny, bez pieniędzy, bez znaczenia, ale przychodzę tu, niosąc w mych ustach i w sercu mojem słowo potężniejsze niż twój miecz, niż twoje legie, niż twoje światowładne państwo. Słowo to przed dwunastu laty powiedział mi człowiek, który był Bogiem, — powiedział mi je wtedy, kiedy ja, ubogi rybak, naprawiałem sieci nad brzegiem jeziora w mojej ojczyźnie. On, który jest Bogiem, rzekł do mnie, który byłem niczem; *„Tyś jest Piotr, opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój"*. Oto, co mi On przekazał: słowo, a tem słowem ja podbiję świat pod moje panowanie, a państwo to będzie państwem Chrystusa, państwem Boga".

Gdyby Klaudyusz, który, według świadectwa Swetoniusza, był bardzo podejrzliwy, usłyszał podobne słowa, wychodzące z ust tego Żydowina, niezawodnie roześmiałby się, i — po ludzku mówiąc — byłoby to chyba jedynie słuszną odpowiedzią. To też ani Rzym ani Cezar zrazu nie zwracają uwagi na tego przybysza, pozostawiają mu swobodę działania. Atoli od czasu do czasu dziwne jakieś wieści dochodzą do uszu pana świata. Wszelako były to pogłoski, niezdolne zakłócić jego snu, jego rozkoszy. Bo też politycy uspokajali go: „To pochodzi ze Wschodu, wkrótce wyjdzie to z mody". Uczeni, a z nimi Tacyt, mówili: „Jest to zabobon, nie więcej godny uwagi jak wiele innych". Wszelako pewnego dnia, po dwudziestu pięciu

latach, Cezar spostrzegł, że człowiek ten wielkie czyni postępy, coraz więcej zdobywa zwolenników. Cezarem był wtedy Neron. Okrutny ten Cezar obmyślił sposób skończenia z owym cudzoziemcem i z jego nauką. Środkiem niezawodnym miała być jego sromotna śmierć: — przybicie do krzyża.

Nieprzeliczone tłumy towarzyszyły temu przybłędzie, jak mówiły, wstępującemu z krzyżem na jedno z siedmiu wzgórz rzymskich, Janiculum, podobnie jak jego mistrz na wzgórze Kalwaryi. Heroiczny nasz starzec o jedną błaga katów łaskę, mianowicie: by go ukrzyżowali głową na dół, — nie czując się godnym umrzeć jak jego Mistrz-Bóg.

Oto wróżba innej, nadziemskiej wielkości Rzymu. Głowa Księcia apostołów jest dziś na ołtarzach; dzięki tej głowie Rzym stał się głową chrześcijańskiego świata, ogniskiem chrześcijańskiej cywilizacyi i kultury, którą świat zawdzięcza następcom św. Piotra, papieżom.

Papiestwo rozpoczęło dzieje swoje, tak bogate w społeczne zasługi, od krwawego męczeństwa; było to pod pewnym względem rzeczą naturalną.

Bo cóż widzimy w ewangelii przy genezie wielkiej instytucyi papiestwa? Podwójne świadectwo: świadectwo wiary i świadectwo miłości. Piotr wyznaje Jezusowi Chrystusowi wiarę swoją i swą miłość, a Jezus nadaje mu dostojność, na jaką zasłużyła jego wiara i jego miłość. Cóż atoli jest najwyższym tego podwójnego świadectwa wyrazem? Świadectwo krwi. Nikt bowiem nie dowodzi lepiej swej wiary i swej miłości, jak dając temu, którego wyznaje i temu, którego miłuje, krew swoją, swoje życie. Zatem co papiestwo wyznało usty i sercem w Cezarei Filipowej i nad brzegiem tyberiadzkiego jeziora, to wyznało krwią na wzgórzu Janiculum. Ale, co tam krwią wyznało, wyznawać nie przestało przez trzy pierwsze wieki: od jednego cezara do drugiego trzydziestu papieży powtarza w obliczu świata to wzniosłe świadectwo; krwią swoją utwierdzają Stolicę Piotrową, a z nią tron i ołtarz Chrystusa; wszystko bowiem, co wielkie, co trwałe na ziemi, co doniosły ma mieć skutek w przyszłości, opiera się

i umacnia krwią, we krwi, — nie rozlewem krwi drugich, — nie krwią prześladowania, lecz krwią ofiary i męczeństwa.

Ile razy coś wielkiego pod słońcem miało być założonem, nie obeszło się bez krwi rozlewu. Zwyczajnie krew przelana dawała początek narodowościom i państwom, krew przelana ugruntowała prawdę i sprawiedliwość wśród ludzi; krew męczenników przelana nie za doktryny filozoficzne, lecz za dogmaty objawione, rozwinęła religię na ziemi, rozszerzyła chrystyanizm, a z nim cywilizacyę na świecie. W tem tkwi właśnie wielka papieży męczenników zasługa i wobec Boga Jezusa i wobec społeczeństw ludzkich. To też papiestwo, które miało być czemś największem i najtrwalszem na ziemi, co największe miało położyć zasługi wobec rodu ludzkiego, czerpać nie przestanie we krwi ofiarnej swej siły i swej niespożytości. Od Nerona do Decyusza, od Decyusza do Deoklecyana widzimy tych heroicznych starców, przekazujących sobie z ręki do ręki z pasterską laską Piotrową świadectwo krwi; a kiedy ostatni z nich, Euzebiusz, zakończy szereg tych ofiar, papiestwo wyjdzie z tego krwawego chrztu promienne i czyste, nosząc na swem czole, obok chwalebnych blizn, najszlachetniejszą koronę męczeństwa.

Trzy wieki męczeństwa, oto świetny początek papiestwa, oto heroiczne zapoczątkowanie posłannictwa namiestników Chrystusowych: rozszerzania wiary Chrystusowej i cywilizowania narodów na etyce ewangelicznej.

Czem jest papież dla Kościoła a przez Kościół dla świata? Na to pytanie daje odpowiedź jedno z arcydzieł w bazylice św. Piotra w Rzymie, w którem wysilił się geniusz chrześcijański: posąg Księcia apostołów. Posąg ten krystalizuje nadziemską wielkość i dziejowe znaczenie Piotra, zawsze żywego w osobie namiestników Chrystusowych na ziemi.

Piotr siedzi na stolicy jako mistrz i nadprzyrodzona światłość świata, co uplastycznia słowo Zbawiciela: *Potwierdzaj bracią twoją*. Piotr podnosi swą prawicę i błogosławi *urbi et orbi*, miastu i światu, — wyobraża to pełność arcykapłańskiej jego dostojności, przelanej nań słowy Chrystusa: *Chrzcząc*

je (narody). Nareszcie Piotr dzierży klucze królestwa niebieskiego, godło zwierzchniczej nad Kościołem władzy, nadanej mu słowem: *Tobie dam klucze królestwa niebieskiego.*

Trzy te przywileje, zwane w teologii nauczanie (magisterium), urzędowanie (ministerium) i rozkazywanie (imperium), tworzą duchową tyarę namiestników Chrystusowych na ziemi. Ta potrójna korona iście Boskim opromienia ich blaskiem i czyni każdego papieża jakby widzialnym Zbawicielem świata. Na mocy tych przywilejów papież może wyrzec o sobie to, co syn Boży zdumionej powiedział ludzkości: *Jam droga, prawda i żywot*; *nikt nie idzie do Boga jak tylko przezemnie.*

To też nadziemski ten majestat po wszystkie wieki przywoływał i przywołuje narody do stóp widzialnego, w osobie papieża, Chrystusa, jak ongi trzech Mędrców-królów do betlejemskiego przywiódł Jezusa. A tak iści się przez wieki i pokolenia wspaniałe Izajasza proroctwo: *I będą chodzić narodowie w światłości Twojej, a królowie w jasności wyjścia Twojego... moc pogan̆ów (narodów) przyjdzie do Ciebie*[1]). Wszystko co lepsze, co w ludzkości godniejsze odrodzenia, zbliżać się nie przestanie do Piotra, od dwudziestu stuleci na rzymskiej zasiadającego stolicy.

Czem bowiem był i jest Kościół Chrystusowy dla świata, tem był on i jest przez papieża, dzierżącego zwierzchniczą nad Kościołem władzę, — stanowiącego dla swego przywileju nieomylności ostatnią w kwestyach, dotyczących dogmatu i etyki chrześcijańskiej, instancyę, — rozlewającego nadprzyrodzone pomoce łaski na tych, którzy żyją w zjednoczeniu z Kościołem i należą do ciała lub ducha Kościoła. Syn Boży nie tylko oparł na papieżu swój Kościół, ale tak ściśle z nim go zespolił, że uczynił z nich jedność: „Papież i Kościół to jedno“ — powiedział głęboko św. Franciszek Salezy.

Poco ta jedność? Dla nadania Kościołowi piękności i trwałości. Piękność tkwi w rozmaitości przedmiotów — tu osobników, narodów, — w jedności zharmonizowanych. Trwa-

[1]) Izaj. LX 3. 5.

łość wykwita z jedności, z jednolitości, która nadaje przedmiotom niezniszczalność. Bóg wcielony, Chrystus, napełnił papieża nadziemskiem światłem i nadprzyrodzonem życiem, jakby jakąś Boską elektrycznością, a potem rozkazał: promieniuj władzę, światło, łaskę; wszelka władza w Kościele moim z twojej wypływać będzie; wszelkie światło nadprzyrodzonej wiary z twojej światłości tryskać nie przestanie; wszelkiej łaski w Kościele moim nagromadzonej ty będziesz szafarzem, za twojem pośrednictwem ona na ludzkość spływać będzie. Wten sposób jak swoje Boskie światło skupił Zbawiciel w swym żywym pryzmacie, papieżu, tak i zdroje swych niebiańskich darów przelał w ich życiodajną krynicę, jaką jest papież.

Wszystko więc idzie z papieża; on stwarza dalej i rozszerza Kościół, — z Kościoła i przez Kościół oświeca i uświęca dusze, społeczeństwa, ludy, narody; jest on węgłem, podwaliną Kościoła — zatem i rodu ludzkiego, który w zamysłach Chrystusa winien wejść w skład Kościoła. To też jak niemasz zbawienia poza Chrystusem, tak i poza Jego namiestnikiem — dla tych, którzy z zawinioną świadomością nie pozostają w łączni z papieżem.

Czem jest papież dla Kościoła, a pośrednio dla świata, ujawnia zwierzchnicza jego działalność jak i gwar świata.

Cóż czyni papież przez wszystkie chrześcijańskie stulecia?

Odpowiedź na to daje nam historya Kościoła.

Wyposażony władzą najwyższą nad wiernymi i nad biskupami, papież nie przestaje rozkazywać ziemi i otwierać nieba. On pierwszy na soborze apostolskim w Jeruzalem zabiera głos, pierwszy głosi poganom ewangelię, czyni pierwszy cud na świadectwo swej wiary. Oto pierwsze zarysy jego wiekuistego działania.

Odtąd Piotr, pod któremkolwiek imieniem swego następcy,

potępia wszystkie herezye; czuwa nad obyczajami zarówno jak nad czystością wiary. Kościół, zgromadzony na soborach, nie posiada innej powagi krom Piotrowej, innego organu krom ust Piotrowych, innego podpisu krom jego ręki. Z wyżyn swej stolicy on sam przewodniczy tym duchowym sejmom, które od Nicejskiego aż do Watykańskiego zostały powołane rozkazem papieża.

Wszystkie sobory sądziły i orzekały tylko przez zatwierdzenie papieża, podawały całemu światu wyroki wiary, opieczętowane nieomylną pieczęcią rybaka Piotra. Papież żyje, rządzi, panuje w dziedzinie prawdy i moralności. Nigdy papież nie zachwiał się wobec niesprawiedliwości, nie zdradzi swego posłannictwa. Papież przez wieki często był biczowany, więziony, palony, krzyżowany, ale z objęć śmierci wychodzi zawsze jeszcze pełniejszy życia i nieśmiertelności. Wielokronie pisano, mówiono, że papież już pogrzebany, a on, jak Jezus zmartwychwstały, w obliczu historyi dowiódł kłamstwa, głoszonego o niemożliwym swym zgonie. Piotr, zawsze powracający do życia, zmienił 268 razy swe rysy, swe imię, ale ewangelia pozostała nienaruszona w jego ręku, w sercu niezłomna nadzieja, a powaga niespożyta jego stolicy. Z tą samą zawsze władzą naucza, karci, karze, czy maluczkich czy głowy ukoronowane od dziewiętnastu wieków. Jego encykliki dosięgają wszystkich, budzą miłość lub nienawiść świata. Papież, wierne ucho Chrystusa, mówi, powtarza to, co mu nakazano, czem go natchniono. Żywe ogniwo zawsze żywego łańcucha, namiestnik Chrystusa nieporuszony w niezmiennej wierze, widzi dziś jak przed dziewiętnastu wiekami płynące, znikające u swych stóp dynastye, państwa, wierzenia przelotne, fałszywe zasady, rzekome postępy, czcze zdobycze. Pojmujemy ten spokój granitowy papieża. On zamieszkuje wyższe sfery światłości i prawdy. W łonie jedności, której jest centrem, Bóg czuwa z nim i dlatego wiara jego nigdy nie ustaje. W jego ręku widzimy te same klucze, z jego ust słyszymy te same nauki, i czy związuje czy rozwiązuje, wyroki, ustami jego wypowiedziane, nie uroniły nic ze swej Boskiej powagi i swych

straszliwych skutków. Jest to zawsze Kościół w swej głowie, Piotr w swym następcy, Bóg w swym namiestniku. Teraz, jak niegdyś, Piotr mówi przez usta Benedykta XV., a sprawa osądzona: „*Roma locuta, causa finita*“ [1])

Co mówią o papieżu? Posłuchajmy gwaru świata. Imię jego jest w ustach wszystkich, błogosławione lub znienawidzone. Apostolskie jego listy zaprzątają dziennikarstwo, narody, panujących, niepokoją władców świata... Mówią o nim w akademiach, w szkołach, w zgromadzeniach ludów, najwięcej może w lożach masońskich, w związkach wolnej myśli.

Świat obecnej doby poniewolnie jest zmuszony zatrzymać się przed tym znakiem przeciwieństwa, postawionym wśród narodów, jak piramida wśród ruchomego piasku Egiptu. Ludzie naszej epoki urządzili sobie życie w ten sposób, by je wieść w obojętności religijnej i umierać bez wstrząśnień religijnych, bez dogmatu, bez troski o naukę Kościoła. Ludzie, liberalizmem owiani, wyciągają jedną rękę ku niezbożnym a drugą ku chrześcijanom, dziękując niebu, że się narodzili w wieku tolerancyi i światła!... Płonne rachuby, — mimo swe zastrzeżenia, muszą oni zrobić wybór: albo oświadczyć się za — albo przeciw papieżowi. Ojciec święty, jak Chrystus, to istota przedziwna, jedyna, niezrównana; on napełnia świat, opanowuje stulecia; trzeba nań patrzeć, słuchać go, czy idąc za prądem praktycznego ateizmu, czy za natchnieniem wiary; trzeba albo mu bluźnić z bluźniercami, albo trwać w jego posłuszeństwie i miłości z Kościołem katolickim.

Namiestnik Chrystusa żyje, panuje. Gdyby powstała jakaś wątpliwość co do jego istnienia, co do jego władzy, wiecznie trwać mających, inny, więcej uderzający dowód rozwiałby nasze wątpliwości: Niezbożni nie powstają przeciw królowi, który kieruje kościołem anglikańskim, — ani przeciw carowi, rządzącemu Kościołem schizmatyckim, ani przeciw patryarsze greckiemu, który otrzymuje inwestycyę od sułtana; —

[1]) Św. Augustyn.

nie, — tych wrogowie Chrystusa, tych dziennikarstwo żydowskie i liberalne pozostawia w spokoju. Atoli od dziewiętnastu wieków ileż nie pisano, nie miotano złorzeczeń, bluźnierstw na papieży! Proroctwo Chrystusa iści się w naszych oczach. Za dni naszych zaczepiają papieży w imię światła i postępu, zaprzeczają im inicyatywy w wielkich przedsięwzięciach, a jednak wszystkie niemal dzieła cywilizacyi im świat zawdzięcza, co niebawem wykażę. Skąd ta oczywista różnica? Skąd tyle gwałtów, podstępów przeciw Głowie katolicyzmu, a taka obojętność wobec schizmy, herezyi, wobec samego ateizmu? O, bo tutaj wszystko przeraża złe sumienie, tu wszystko pochodzi z nieba, przejawia Mściciela, Sędziego, Boga. Co ludzkość obchodzą te „papiestwa", wczoraj zrodzone, skazane na odmiany lub zniknięcia, które człowiek stworzył dla swej ambicyi czy przyjemności? Te instytucye, czysto polityczne, są tylko parodyą religii Chrystusowej. Niechaj sobie żyją, wegetują, panują czy umierają, — to zwykły los rzeczy ludzkich. Ale w papieżu widzą wrogowie chrystyanizmu głowę Kościoła, jego podwalinę, jego centrum, jego uosobienie, jego życie. Rzym to twierdza, którą zburzyć koniecznie należy. Papież, to wróg, którego zwyciężyć trzeba! Niechaj on upadnie, a wszystko runie. On kluczem sklepienia, jego ruina sprowadzi ruinę całej budowy Chrystusowej, a wtedy nastąpi koniec Kościoła i jego wieczystych obietnic!

Oto walka wypowiedziana papiestwu. Jest w tej walce pewne szczególne znamię. Podczas gdy na wszystkie błędy, najpotworniejsze nawet, niezbożność patrzy z obojętnością, toleruje a nawet szacunkiem je otacza, — patrzmy, jak huczy potok nieustannych złorzeczeń przeciw papieżowi, w naszem nawet stuleciu. Wiek nasz wszystkie przyjął kulty, wszystkie uczcił bogi, otworzył wszystkie świątynie, a sam tylko naczelnik religii katolickiej nie może doznać dla siebie tolerancyi, jakiej doznają muzułmanie, poganie, ateusze! Chełpi się nasz wiek tem, że daleko odstąpił od fanatyzmu i prześladowań religijnych, a w rzeczy samej najsroższym jest fanatykiem i prześladowcą, gdy idzie o Kościół, o papieża. Jakaż to po-

uczająca sprzeczność! Snać czują wrogowie Kościoła, że uderzają w jego opokę.

O ten kamień węgielny, o to kowadło rozpryskiwały się i rozpryskiwać się muszą wszystkie zuchwałe młoty! Ta walka i ten opór są w istocie czemś zdumiewającem. Jakim sposobem papież mógł się ostać mimo tylu pocisków? Skąd ta zaciekłość przeciw osobie, przeciw władzy, przeciw dziełom i rządom papieża? Jedno słowo wszystko tłumaczy. Jest on namiestnikiem Boga. Przeciw niemu nienawiść pozostaje bezsilna, wojna atoli toczy się wieczna.

Aż do końca wieków papiestwo pozostanie wśród świata, podobnie jak Jezus, na znak przeciwieństwa między dobrymi a złymi. Aż do ostatniego dnia róść będzie poczet świętych, wiernych, uczonych... którzy papiestwu oddawać będą cześć, miłość i uwielbienie, z drugiej strony poczet sofistów, tyranów, którzy ich prześladować nie przestaną. A zastęp pierwszy, zapoczątkowany przez męczenników, kontynuowany poprzez wieki przez doktorów, biskupów, uczonych... nie skończy się aż w ostatniej walce, kiedy Enoch i Eliasz, przedstawiciele starego prawa, zstąpią na ziemię, by dać świadectwo ostatniemu papieżowi, przedstawicielowi Nowego Prawa.

Starożytność pogańska wymarzyła sobie olbrzyma, który na swoich barkach dźwigał wszystek ciężar świata. Było to poetyczne urojenie. Ale urojenie to przybrało kształty rzeczywistości. Chrystus-Bóg stworzył chrześcijańskiego Atlasa w osobie swego namiestnika, który dla lepszego uwypuklania cudu po największej części jest starcem, nie mającym innej siły jak swej słabości, innej potęgi jak odblasku Boga na swojem czole, któremu ludzkość, zawsze wolna i w możności przeciwienia się, jest przecież posłuszną, słowom jego nie zaprzecza. Zaiste, jest to cud, przechodzący wszelkie ludzkie pojęcia.

Gdyby Chrystus uczynił był tylko to jedno, to więcej aniżeli z powodu tych wszystkich ślepych, których nagle uzdrowił, więcej aniżeli z powodu tych umarłych, których

wskrzesił i tych burz, które rozkazem uciszył: my dla tego jednego cudu, trwającego od dwóch tysięcy lat, musielibyśmy uznać go Bogiem.

Widziałże kiedy świat dynastyę królów, którejby jedynym celem było szerzenie znajomości i miłości Boga? Większość panujących myśli tylko o sobie i o swej dynastyi; — najlepsi myślą o swym kraju; któryż myśli o ludzkości? A szczególniej, któryż sięga ponad jej doczesny interes? Szczytem zabiegów nawet największych władców jest szerzenie tego, co się nazywa cywilizacyą. Ale któż myśli o duszach? Kto myśli o Bogu? Kto myśli o podniesieniu tego biednego plemienia ludzkiego, tak poniżonego, tak lgnącego do ziemi, — o skierowaniu ku niebu jego dążności? Nikt, tylko jedna Stolica Apostolska, która do zdumionej woła ludzkości: *Jam droga, prawda, żywot. Prawda* nieomylna, rozwidniająca zmroki umysłu, — *droga* pewna do umoralnienia serc ludzkich, — *żywot*, krynica, przelewająca z Boga życie nadprzyrodzone w dusze. To też ród ludzki, byle nie był zaślepiony, nieskończone Odkupicielowi winien podzięki za Boską instytucyę papieży i powinienby czcić na klęczkach tę jedyną na świecie dynastyę, której w znacznej mierze i swoją ziemską zawdzięcza cywilizacyę, a wyłącznie swe nadprzyrodzone przeobrażenie.

II.

Działalność Kościoła jest w gruncie działalnością papieży; Kościół bowiem wszelką swą moc i nadprzyrodzoną swą dzielność czerpie ze swego źródła, jakiem jest papież. „Dobrodziejstwa chrystyanizmu, zauważa hr. Józef de Maistre, są dobrodziejstwami papieży; chrystyanizm na zewnątrz działa tylko przez nich. Bez papieża niemasz Kościoła“ [1]) Słusznie więc cywilizacyjne zasługi Kościoła przypisujemy namiestnikom Chrystusowym.

Jakież zadanie ma cywilizacya do spełnienia i jaki jest

[1]) Du Pape t I., l. 3, ch. 1.

jej przedmiot? Rozwój, udoskonalenie, dobrobyt człowieka całego w zakresie ziemskiego jego życia. Cywilizacyi zadaniem jest zadowolić sprawiedliwe wymogi duszy i ciała człowieka, by tak w rodzinie jak w społeczności znalazł on bezpieczeństwo, ład, pokój, radość, — słowem to wszystko, co niezbędne do dobrobytu, do postępu w dziedzinie interesów materyalnych, intelektualnych i moralnych

Niezawodnie właściwą i bezpośrednią misyą Kościoła jest zachowanie nieskazitelne depozytu Boskiego objawienia i doprowadzenia ludzi do wiecznego zbawienia. Chociażby więc Kościół czyli papiestwo nie przyczyniało się wcale do materyalnego i intelektualnego postępu, nie możnaby mu z tego czynić zarzutu, jak nie wyrzucamy Towarzystwu kupieckiemu, iż się ono nie przyczynia do rozwoju literatury, lub fakultetowi medycznemu, że nie wyrabia rzeźbiarzy, muzyków. — Wszelako dzieje ludzkości wykazują, że Chrystyanizm, papiestwo niezmierne położyło cywilizacyjne zasługi około rodu ludzkiego. „Rzecz dziwna, powiada Montesquieu, religia chrześcijańska, która wydaje się mieć tylko na oku uszczęśliwienie w przyszłem życiu, przedziwnie uszczęśliwia i w życiu obecnem“.

Dla uwypuklania tych cywilizacyjnych Kościoła czyli papiestwa zasług, rzucimy choć pobieżnie wzrokiem na stan ludzkości w przedchrześcijańskiej dobie, w chwili poczęcia Kościoła.

Dziś, kiedy Ewangelia z gruntu odmieniła postać świata, kiedy wszystko w zdumiewający odrodziła sposób, łatwo puścić w niepamięć niezmierne jej dobrodziejstwa i używać ich z dumną i niemą niewdzięcznością. Z lubością, z chełpliwością mówi się o braterstwie, o równości, o filantropii — a przeocza się, że to Chrystusowi i Jego namiestnikom odrodzona ludzkość zawdzięcza te szlachetne uczucia i te cywilizacyjne cnoty.

Nie myślę odmawiać światu rzymskiemu materyalnej cywilizacyi w chwili narodzin Chrystusowego Kościoła. Bezsprzecznie doszła ona do niezwykłego rozkwitu, zwłaszcza pod

względem literatury. Pisma złotego wieku Augusta błyszczą świetnością formy, styl ich czaruje, sztuka na najwyższy wzbija się stopień, atoli pod tą zewnętrzną, błyskotliwą formą zaledwie odnajdujemy okruchy prawd i chyba jakieś niepewne wskazówki zdrowego zmysłu; nigdzie utrwalonych zasad, w stały i pewny ujętych system.

Pod względem prawd religijnych, najniezbędniejszych do uszczęśliwienia w tem i w pozagrobowem życiu, jakież wszędzie zalegają wątpliwości, jakie zachodzą sprzeczności, jak bezecne mroczą umysł błędy!

Nie, — ta materyalna wielkość i ta intelektualna wyższość nie stanowią jeszcze prawdziwej cywilizacyi, nigdy też one nie zdołały uszczęśliwić ludzkości.

Rzetelne człowieka szczęście leży w prawdzie i w cnocie. Na to bowiem człowiek na ziemskiej jawi się widowni, by Boga Stwórcę poznawał i oddawał mu hołdy miłości i służby należnej a przez to wiekuistą odzierżył szczęśliwość. Umysły i serca nasze są ukształtowane dla Prawdy i dla Dobra t. j. dla Nieskończonego i Wiecznego. Stąd, co przemijające i ograniczone, ludzkich dążności do Ideału Boga, zadowolić nie zdolne.

Ale i pod względem pomyślności materyalnej, jakże smutny świat pogański, rzymski, obraz przedstawia! Wiemy, że liczba tych, których fortuna obsypała swymi przywilejami, była nader szczupła. Według świadectwa Cicerona bardzo zaludniony Rzym mieścił w swych murach zaledwie 2000 właścicieli. Za czasów Nerona sześciu bogaczy posiadało na własność połowę prowincyi rzymskiej w Afryce t. j. terytoryum mało co mniejsze od Austro-Węgier. Niezmierna masa ludzi — byli to prawdziwi nędznicy, mściwą pałający zawiścią ku srogim swym panom, tyranom. Pauperyzm w postaci bladej nędzy — to okrutna i niezgłębiona rana pogańskich społeczeństw.

A kiedy, choć chwilę zapatrzymy się na stronę moralną przedchrześcijańskiego świata, wstręt i przerażenie słusznie nas ogarnia. Można wprawdzie gdzieniegdzie spotkać piękne słowa,

szlachetne uczucia, dobroczynne czyny, albowiem obraz Boga w człowieku, choć bardzo zeszpecony, nie mógł być nigdy całkowicie zatarty. Wszelako, co stanowi powszechne, charakterystyczne znamię tych społeczeństw — to okrutna, nieugięta twardość i najsromotniejsza niemoralność instytucyi i obyczajów. Nasza wyobraźnia chrześcijańska nie jest zdolna przedstawić sobie tej zgnilizny, tego etycznego poniżenia pogańskiego świata. Ludzie najłagodniejsi nawet i najkulturalniejsi okazywali posągową nieczułość serca, pogardę dla ludzkości, upodobanie w przelewie krwi, w morderstwach, w najohydniejszej sromocie. Świat cały był wydany na pastwę bezgranicznej pychy, nieokiełznanego egoizmu i najhaniebniejszej zmysłowości, która chuciom swoim niosła wszystko w ofierze.

Platon, Arystoteles, Plauton, Tytus-Liwiusz, Tacyt, Juwenal, Swetoniusz, Plutarch, Seneka i inni — opisują te okropności i te sromoty z taką swobodą słowa, że nas aż dreszcz przejmuje na myśl, że to były obyczaje powszechne najkulturalniejszych nawet narodów. Cudzoziemcy, więźnie, jeńcy, niewolnicy, chorzy, dłużnicy, ubodzy, dzieci, starcy, niewiasty, robotnicy — wszystko, co słabe, co cierpiące — słowem niezmierna większość rodzaju ludzkiego była stałym przedmiotem nieubłaganej nienawiści, szyderstwa, urągania — czuła się zdeptaną, zmiażdżoną. Reszta tarzała się w błocie ohydnych występków, które ubóstwiano, które miały swe świątynie, swój kult, swych kapłanów i kapłanki...

W takim stanie leżał olbrzymi ten Łazarz — ludzkość, kiedy, na wzór Chrystusa, zbliżył się do niego litościwy Samarytanin Piotr-papież, by go podźwignąć, wlać w jego rany balsam, wyleczyć go, uświęcić i podnieść na wyżynę ewangelicznej cnoty.

Ta moralna zgnilizna świata rzymskiego, jako też krew męczenników, w okrutny sposób przelana, ściągnęły na państwo rzymskie pomstę nieba. Olbrzymi kolos padł ruiną; na jego miejscu nowy powstał świat. Ale temu nowemu, barba-

rzyńskiemu światu potrzeba było dać wiarę, światło, obyczaje, wszystko, co czyni narody wielkimi i pięknymi, silnymi i trwałymi — słowem, trzeba było założyć i zorganizować społeczność chrześcijańską. Otóż papiestwo stało się duszą i ogniskiem dzieła odrodzenia religijnego i społecznego Podczas, gdy papiestwo z jednej strony, w Nicei, w Konstantynopolu, w Efezie i w tysiącznych innych miejscach broniło depozytu wiary przeciw rozlicznym herezyom, jakie w łonie Kościoła wschodniego powstawały — z drugiej strony hojną dłonią rozrzucało na zachodzie nasiona wiary i od południa do północy rozjaśniało pochodnią ewangelii odwieczne ludów pogańskich zmroki. Czyż jest choć jeden naród chrześcijański, który, cofając się myślą wstecz aż do swej kolebki, nie napotyka tam papiestwa jako punktu wyjścia swej wielkości, swej cywilizacyi?

By ocenić niezmierne usługi, jakie papieże oddali światu, trzebaby przepisać choćby taką jak dr. Ryan'a książkę p. t.: *Dobrodziejstwa chrystyanizmu*; są to dobrodziejstwa papieży, albowiem chrystyanizm, jak wyżej zaznaczyłem, zewnętrznie tylko przez nich działa. Wszystkie Kościoły, odłączone od papieża, kierują się u siebie wedle swego widzimisię; ale dla rozszerzenia światła ewangelicznego nic one zdziałać nie są zdolne. Nigdy przez nie chrystyanizm się nie rozszerzy. Niepłodne, odkąd się oddzieliły od papieża, swej pierwotnej płodności nie odzyskają, dopóki się z swym oblubieńcem, papieżem nie złączą. Do kogoż należy dzieło misyi? Do papieża, do jego apostolskich wysłańców.

Patrzmy np. na to głośne *Towarzystwo biblijne*, na tego słabego, a może niebezpiecznego rywala naszych misyonarzy. Każdego roku podaje ono sprawozdanie z niezmiernej liczby rozrzuconych biblii; zapomina atoli powiedzieć nam, wiele ono nowych zrodziło chrześcijan. Bo też samemu tylko Kościołowi katolickiemu przypada ten zaszczyt, on tylko ma moc i prawo

misyi na mocy twórczych słów Boga Chrystusa: *Idźcie, nauczajcie wszystkie narody.*

Zaledwie Stolica Apostolska została utwierdzona, już troskliwość powszechna wielkiego Apostoła narodów unosi namiestników Chrystusowych. Wysłani od Stolicy Apostolskiej Marcyal i Dyonizy zadają pierwsze ciosy galickiemu druidyzmowi. Palladyusz i Patrycyusz, posłani przez papieża Celestyna I., zapoczątkowują cuda, które z zielonej Irlandyi uczynią wyspę świętych. Pewnego dnia Grzegorz Wielki napotyka na targowicy Rzymu niewolników bretońskich; wysyła więc do Anglii Augustyna z jego towarzyszami. Na głos Grzegorza II. Bonifacy udaje się do Niemiec, zatyka sztandar krzyża w centrum rozległych tych krain. Św. Kilian głosi ewangelię we Frankonii, św. Amand Flamandczykom, Slawończykom i ludom pogańskim, osiadłym wzdłuż Dunaju; Eluff z Werden udaje się do Saksończyków, — św. Willebrod i św. Swidbert do Fryzów. Adryan II. zwraca oczy na Słowian; wysłani do nich Cyryl i Metody rozpraszają pogański ich zabobon, głosząc ewangelię Bułgarom, Chazarom czy Turkom naddunajskim, Morawianom, Czechom i niezmiernej rodzinie słowiańskiej. Mikołaj I. swym apostolskim wzrokiem sięga aż do ludów podbiegunowych, a wysłani przez niego inny Bonifacy i Ausgary wyrywają z barbarzyństwa skandynawskie ludy. Jeżeli więc jest niezaprzeczalną prawdą, że europejska cywilizacya jest tylko rozkwitem chrystyanizmu: tedy przedewszystkiem papiestwu i niezmożonej działalności znakomitych jego przedstawicieli należy się honor i chwała za to dzieło największe i najpiękniejsze, jakie kiedy na ziemskiej ukazało się widowni.

Papiestwo było matką i wychowawczynią Europy chrześcijańskiej, od niego, od tej łodzi Piotrowej, która sama jedna nosiła w swem łonie zbawienie świata, wyszło światło i życie, co opromieniło kolebki naszych społeczeństw.

„Niemcy“ — powiada protestant Menzel[1]) — otrzymali

[1]) Neue Geschichte d. Deutschen, I. 2.

pierwiastek nowego ukształtowania się świata, chrystyanizm; za rzymskiem pośrednictwem i w rzymskiej formie ich oświata, nauka i prawodawstwo rozwinęły się podług pierwowzoru rzymskiego". Podobnie wyraża się Herder[1]): „Jeśli rozszerzenie chrystyanizmu jest samo w sobie zasługą, to zasługę taką w wysokim stopniu zyskali sobie papieże. Anglia i większa część Niemiec, północne królestwa, Polska, Węgry, stały się i są przez rzymskie poselstwa i rzymskie instytucye państwami chrześcijańskiemi, — a nawet, że Europy nie pochłonęli na zawsze Hunowie, Saraceni, Tatarzy, Turcy, a może i Mongołowie, jest także zasługą Rzymu.

Gdyby wszystkie chrześcijańskie, cesarskie, królewskie, hrabskie rody musiały wykazać swe zasługi, jakiemi doszły niegdyś do panowania nad ludami, wówczas mógłby papież wszystkich przeżegnać znakiem krzyża św. i powiedzieć: „Nie bylibyście bezemnie tem, czemeście byli".

A jak w dawniejszych czasach i dla europejskich krajów, tak samo później przez całe średnie wieki do najodleglejszych części świata i do najdalszych ludów wysyłali papieże apostołów wiary. Odkąd nowe światy odkryto, papieże wciąż wysyłali do Azyi, Ameryki, Australii misyonarzy, którzy ze światłem wiary wnieśli tam chrześcijańską cywilizacyę. Dziś istnieje w Rzymie wspaniała instytucya papieska, zwana „Propagandą", jawny dowód, jak bardzo świat zawdzięcza swój chrystyanizm papiestwu.

Z chrystyanizmem papiestwo przyniosło światu cywilizacyę. „Rzecz pewna" — powiada protestant Herder[2]) „że biskup Rzymski wiele uczynił dla świata chrześcijańskiego, — nietylko zdobył ludy przez ich nawrócenie, ale także przez prawa swe, zwyczaje i obyczaje rządził nimi dłużej, silniej i serdeczniej, aniżeli rządził stary Rzym swymi ludami... Bez rzymskiej hierarchii Europa stałaby się prawdopodobnie łupem despotów, widownią wiecznych rozterek, albo poprostu pustynią mongolską". — „Przedewszyst-

[1]) Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit II.

[2]) Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit II. 349.

kiem, — pisze protestant Rühs[1]) — „hierarchii przodowniczej, której podstawa już istniała, gdy państwo rzymskie stało się łupem barbarzyńców, zawdzięcza świat nowoczesny całą swą cywilizacyę. Duchowieństwo z stępowało do dzikich ludów i z mądrą przezornością szukało w ich indywidualności punktów, na jakichby mogło zaszczepić lepszy i wyższy pierwiastek". — Dosadniej jeszcze wyraża się o tem protestant Jan von Müller[2]): „Całe światło dzisiejsze, które nas nietylko dobrodziejstwami napełnia, ale skutkiem europejskiego ducha przedsiębiorczości dla wszystkich części świata sprowadza nieskończone następstwa, pochodzi stąd, że przy upadku cesarstwa rzymskiego istniała jedna kierownicza hierarchia... Barbarzyńcy potrzebowali opiekuna, któryby był z całego najuczeńszego dawnego świata nietykalnej godności i któremuby jako kapłanowi zależało na utrzymaniu wiary. Bez niego znajomość starożytnego świata byłaby nam tak samo obca, jak Turkom znajomość świata greckiego...

Czem bylibyśmy bez papieża? Tem, czem stali się Turcy, którzy, ani nie przyjąwszy religii bizantyjskiej, ani nie poddawszy swego sułtana następcy Chryzostoma, pozostali na zawsze w swem barbarzyństwie".

(Dok. nast.).

Ks. J. St. Adamski.

---

[1]) Geschichte des Mittelalters I. 310.

[2]) Schweizergeschichte II. c. 1.

Nowy pogląd w kwestyi Rzymskiej.

Niedostateczność prawa gwarancyjnego, za pomocą którego rząd włoski usiłował ze swej strony rozwiązać kwestyę Rzymską po zaborze państwa kościelnego w r. 1870, stanowi obecnie powód do ponownego roztrząsania kwestyi Rzymskiej ze stanowiska prawa tak kościelnego, jak i międzynarodowego. Posiadamy już cały szereg poważnych prac w tym kierunku, zarówno z obozu katolickiego, jak ze strony nie-katolickiej. Powszechnie spodziewają się katolicy, że przy układaniu stosunków po wojnie znajdzie także kwestya Rzymska zadowalające rozstrzygnięcie. Warto się przypatrzyć rezultatom, do których dochodzą poważni autorowie najświeższych publikacyi.

Dla zrozumienia rozmaitych poglądów na kwestyę Rzymską trzeba sobie zdać sprawę z odmiennego znaczenia wyrazu „Kwestyi Rzymskiej“ w enuncyacyach przed i po zaborze państwa kościelnego. Jak wiadomo, doprowadziły do zaboru państwa kościelnego dążności do zjednoczenia Włoch, które z początku pojęte były w duchu federacyi księstw udzielnych pod przewodnictwem i władzą rozjemczą papieża, później zaś w duchu jednolitego organizmu państwowego czyli królestwa włoskiego pod rządami Wiktora Emanuela, króla Piemontu. Inicyatorem tych projektów był Vincenzo Gioberti, w r. 1843. zwolennik związku książąt pod przewodnictwem papieża, natomiast r. 1851.

po stanowczem odrzuceniu tego projektu przez jeden tylko rząd piemoncki, otwarty obrońca zjednoczenia Włoch bez papieża jako świeckiego władcy. Z końcem roku 1860, po anneksyi pod protekcyą Napoleona papieskich legacyi, Romanii i Emilii, następnie Toskanii, Parmy i Modeny, wreszcie Umbryi i Marchii Ankońskiej, wraz ze zdobytem przez Garibaldiego królestwem obojga Sycylii, a więc po zagarnięciu już $^4/_5$ całego państwa kościelnego, wyłoniła się dla polityki zjednoczonych Włoch kwestya: *W jaki sposób możemy zdobyć Rzym jako stolicę zjednoczonego królestwa?* To pytanie w ciągu dziesięciolecia aż do okupacyi Rzymu i zaboru państwa kościelnego stanowiło jądro *„Kwestyi Rzymskiej"*. Prawo gwarancyjne, opublikowane 13. maja 1871 rozwiązało ostatecznie tę kwestyę według mniemania rządu włoskiego, ale równocześnie wywołało w obliczu całego świata katolickiego nową kwestyę Rzymską, o której rząd włoski nie chciał nigdy słyszeć i nie chce też słyszeć aż do tej pory. Nowa ta kwestya Rzymska daje się streścić w tem pytaniu: *W jaki sposób należy usunąć nienaturalne i nieznośne dla papieża położenie, w którem znajduje się papiestwo z powodu zaboru państwa kościelnego?* Pytanie to, a raczej żądanie, aby usunąć powstałe z powodu prawa gwarancyjnego ujarzmienie wolności i niezależności papieskiej, stawiają odtąd papieże i katolicy wszystkich części świata. To właśnie pytanie wobec ujawniającej się w czasie wojny tem jaskrawiej niedostateczności prawa gwarancyjnego narzuca się obecnie z nową natarczywością i doprasza się rozwiązania.

Dwa dni po ogłoszeniu prawa gwarancyjnego, dnia 15-go maja 1871, zaprotestował Pius IX. w encyklice *„Ubi vos arcano Dei consilio"* przeciw naruszonej przez to prawo wolności papieża i oświadczył, że bez sprzeniewierzenia się swej przysiędze nie może przyzwolić na takie pogodzenie ani przyjąć gwarancyi, jakie się mu ofiaruje w zamian za władzę świecką, zagwarantowaną najsłuszniejszymi tytułami prawnymi, tudzież jedenastowiekowem posiadaniem... „Sprzeniewierzylibyśmy się Krwi Chrystusowej, gdybyśmy prawa Nasze chcieli zaczerpnąć u świeckich książąt, zwłaszcza w takiem uszczupleniu i wykrzywieniu, w ja-

kiem obecnie zostają Nam przyznane". Ten sam protest powtarzają też następni papieże aż do naszych czasów, jakkolwiek nie odwołują się na swą przysięgę utrzymywania w całości posiadłości Kościoła Rzymskiego. Wszyscy papieże od Piusa IX. aż do Benedykta XV. uzasadniają protest swój koniecznością władzy świeckiej dla zapewnienia Papieżowi i Kościołowi zupełnej wolności i niezależności w wykonywaniu Boskiego swego posłannictwa. Wolność tę narusza prawo gwarancyjne, ponieważ czyni ją zależną od rządu, który może to prawo dowolnie interpretować, zmieniać stosownie do warunków czasu i uchwał ciała prawodawczego, nawet je znieść zupełnie, jak tego się zaraz z początku wojny domagały już pewne radykalne głosy w prasie włoskiej. Prawo gwarancyjne jest tylko jednostronnem zobowiązaniem się rządu włoskiego wobec Stolicy Apostolskiej, nie zaś obopólną umową za zgodą Namiestnika Chrystusowego, który sam jeden ma prawo decyzyi, co dla wolności i niezależności Kościoła jest nieodzownem. Jest to powszechnie przyjętą przez wszystkich katolików zasadą, że Kwestya Rzymska wyłącznie za zgodą wyraźną papieża rozwiązaną być może. Jednakże papież nie może w tej sprawie postępować samowolnie, bez oglądania się na warunki koniecznego zabezpieczenia wolności Kościoła. Dlatego też Pius IX. i jego następcy z naciskiem zwracali uwagę na konieczność władzy świeckiej, będącej nieodzownym środkiem do zapewnienia papieżowi potrzebnej mu niezależności i wolności w wykonywaniu swego Boskiego urzędu.

Konieczność ta władzy świeckiej nie wypływa z instytucyi Boskiej Kościoła i tem samem nie opiera się na prawie Boskiem, lecz ma swoje podstawy w warunkach historycznych, które Opatrzność Boża stworzyła dla papiestwa celem wyposażenia go w odpowiednie środki do swobodnego rządzenia owczarnią Chrystusową. Jest zatem ta konieczność, jak powiadają kanoniści, nie bezwzględną (absoluta), lecz tylko względną (relativa). W istocie najwyższa władza duchowna papieża nie może być zależną od doczesnych warunków władzy świeckiej, co zresztą wynika już z faktu, że aż do VIII. wieku papieże nie posiadali

niezależnego ziemskiego królestwa. Żaden też papież ani Kościół nigdy nie orzekł, że posiadanie władzy świeckiej jest bezwzględnie koniecznym środkiem dla sprawowania prymatu w Kościele katolickim. Natomiast względną konieczność władzy świeckiej papieże raz po razu wyraźnie zaznaczali. Powstanie i rozwój państwa kościelnego były dziełem ewolucyi historycznej pod szczególniejszem zrządzeniem Opatrzności Bożej, a oparte głównie na stosunkach społecznych Średnich wieków i na Wierze całego chrześcijaństwa w dostojną godność i wzniosłe posłannictwo papiestwa, nietylko wobec jednostek, ale i wobec narodów. Do dzisiejszego dnia istnieje jeszcze ta sama konieczność państwa kościelnego, względnie władzy świeckiej dla Namiestnika Chrystusowego, aby zapewnić mu potrzebną do rządzenia Kościołem Bożym wolność i niezależność.

Jednak historyczne stosunki dziś się zmieniły, skoro już 50 blizko lat papież zamiast swobody w rządzeniu Kościołem musi zadowolić się tylko pozorną i kruchą wolnością, jaką mu przyznało prawo gwarancyjne włoskie. Jeśli Pius IX. musiał stanowczo odrzucić wszelkie zaborcze żądania rządu piemonckiego, krzywdzące sprawiedliwość, odpowiadając na wszystkie zakusy swem niewzruszonem: *Non possumus*, — jeśli i Leon XIII, znajdując się w tych samych warunkach, domagać się musiał zwrotu państwa kościelnego i zaprotestować przeciw zaborowi, to nie jest jednak wykluczonem, że późniejsi papieże mogą w tej sprawie czynić pewne ustępstwa, licząc się z rzeczywistymi warunkami czasu, byleby skądinąd była im zagwarantowana prawdziwa wolność i niezależność, której wymaga ich posłannictwo Boże. Oczywiście sąd, czy i o ile władza świecka i posiadłość doczesna jest i dzisiaj nieodzownym środkiem do zapewnienia tej wolności, należy wyłącznie do papieża. Znamiennem w tym względzie jest ujęcie kwestyi Rzymskiej przez Kongresy katolickie w Niemczech. Aż do roku 1898 stawiano rezolucye, domagające się zwrotu i odbudowy państwa kościelnego, od roku zaś 1898, nawiązując do encykliki Leona XIII, z dnia 5. sierpnia 1898 stale formułowano je jako żądania nieodzownej niezale-

żności papieskiej. Już przed wojną, raz po raz roztrząsano w naukowych dziełach i czasopismach pytanie, czy papież i bez zwrotu zabranego mu państwa kościelnego mógłby pogodzić się z rządem włoskim, uznać wprawdzie nie zabór, ale fakt dokonany i zadowolić się inną formą zabezpieczenia swej wolności i niezależności. Obecnie to pytanie na nowo stało się przedmiotem dyskusyi. Ze strony katolickiej wszyscy uczeni zgadzają się w tem, że papież mógłby się zrzec państwa kościelnego dopiero wtedy, gdyby sam uznał, że i bez tego środka władzy świeckiej wolność jego jest zabezpieczoną do swobodnego rządzenia Kościołem Bożym. Czy, o ile i kiedy nastanie taki stan rzeczy, jest kwestyą polityki kościelnej, w której decydować należy wyłącznie do papieża.

Nie brakło kanonistów i teologów, którzy mniemali, że papież w żadnych warunkach nie może się prawnie zrzec Ojcowizny Piotra św., ponieważ papież jest rządcą, nie zaś właścicielem państwa kościelnego. W istocie terytoryum państwa kościelnego, jak wogóle wszelkie dobra kościelne, jest nienaruszalne, tak dalece, że nietylko papież po koronacyi swojej, ale i każdy kardynał zaraz przy objęciu swej godności i powtórnie przy wejściu do konklawe składa przysięgę utrzymywania w całości państwa kościelnego. Co więcej prawo kanoniczne nakłada karę ekskomuniki, w szczególny sposób zastrzeżonej Stolicy Apostolskiej, a mającej prawomocny skutek i bez wyroku, na podstawie samego faktu przewinienia, na osoby jakiegokolwiek stanowiska i godności, któreby odstąpienie państwa kościelnego albo też poszczególnych jego części nasuwały tylko lub doradzały papieżowi. Jednakże mimo wszystko zrzeczenie się państwa kościelnego lub pewnych jego części jest nie tylko prawnie możliwe i ważne, ale nawet pod pewnymi warunkami dozwolone. Papież nie jest oczywiście właścicielem państwa kościelnego w sensie prywatnego prawa własności, ale najwyższym i niezależnym jego szafarzem, i dlatego może, jeśliby to uważał za potrzebne lub pożyteczne dla dobra Kościoła, dysponować niem, a nawet się go zrzec, gdyż dobra kościelne nie są w sobie celem, lecz tylko środkami dla celów Kościoła.

Na mocy zatem najwyższej władzy nad całym Kościołem Namiestnik Chrystusowy, i tylko On sam, posiada niczem nieograniczone panowanie nad majątkiem kościelnym. Tylko wtedy, gdyby państwo kościelne było oparte na prawie Bożem lub na instytucyi Boskiej, papież nie miałby prawa zrzeczenia się go; nikt atoli nie twierdzi, że świecka władza papieża polega wprost na Boskiem prawie. Państwo kościelne w rzeczy samej powstało dopiero po VIII. wieku jako rezultat rozwoju historycznego, oraz jako skuteczna ochrona wolności i niezależności najwyższej władzy kościelnej. Wyłoniło się ono nie z istoty prymatu, który nie zależy i zależeć nie może od doczesnego jakiegoś warunku, lecz z faktycznych stosunków i przekonań katolików IX. w., że władza świecka jest papieżowi koniecznie potrzebną dla sprawowania swego urzędu.

Z tej świadomości, że władza świecka jest dla swobodnego wykonywania posłannictwa swego Boskiego konieczną i pożyteczną, wypłynęły zakazy papieży, odnoszące się do zachowania w całości terytoryów państwa kościelnego. Były te zakazy zwrócone przeważnie przeciw nepotyzmowi, grasującemu w obdarzaniu krewnych papieży lennami papieskiemi, tudzież przeciw naprzykrzaniu się papieżom prośbami i skargami rodów książęcych, wreszcie miały one na celu trwalszą konsolidacyę terytoryów Stolicy Apostolskiej i obronę tychże przed powolnemi stratami. Zresztą papież każdy ma równe prawa zwierzchnicze, wskutek czego nie może być związany przepisami prawnymi swych poprzedników. Nie można także na podstawie przysięgi uzasadnić moralnej niemożliwości zrzeczenia się przez papieża państwa kościelnego.

Wszelkie bowiem tego rodzaju przysięgi przyrzekające opierają się na ogólnej normie prawnej, zawierającej klauzulę, o ile dobro Kościoła i okoliczności czasu umożliwiają wypełnienie przysięgi. Czy możliwość ta dalej istnieje, o tem rozstrzygnąć znowu wyłącznie należy do papieża. Że Pius IX. odwołał się do przysięgi swojej dla oświadczenia, że nie może się zrzec władzy świeckiej, to jest wobec ówczesnych okoliczności aż nadto jasnem. Wszelkie ustępstwo wobec krzyczącej niesprawiedliwości

i gwałtu Napoleona III. i rządu piemonckiego musiałoby nosić na sobie cechę tchórzostwa i zdrady wobec Kościoła.

Dziś, prawie po 50 latach, stosunek papieża do rządu włoskiego może być bardziej pojednawczym. Rządy Włoch spoczywają już w rękach wnuka właściwego okkupatora, a Zjednoczone Włochy zostały przez dyplomacyę wszystkich mocarstw oficyalnie uznane. Także pod względem wewnętrznych stosunków państwowych Włochy stały się skonsolidowanym organizmem politycznym i wzniosły się do wyżyn europejskiego mocarstwa. Mimo istnienia partyi republikańskiej w kraju ogół ludu jest monarchicznie usposobiony, przywiązany do dynastyi i dumny ze stanowiska mocarstwowego dzięki zjednoczeniu narodu. Przywrócenie dawnego państwa kościelnego, i tem samem rozbicie jedności narodowej, jest w dzisiejszych warunkach moralnie wykluczone. Żaden Włoch na seryo nie bierze takiej możliwości w rachubę, a nawet Stolicy apostolskiej jak najwierniej oddani katolicy nie spodziewają się oddania państwa kościelnego, natomiast pragną rychłego pogodzenia się Watykanu z Kwirynałem i wierzą w jego urzeczywistnienie. Już przed 8-u laty kardynał-arcybiskup Kapui, Capecelatro, stanął na stanowisku dokonanego faktu odnośnie do konstytucyi zjednoczonego królestwa. Oto jego słowa, wielce charakterystyczne: „Zapewniam, nie wchodząc w prywatne życzenia i mniemania, że my jako katolicy bynajmniej nie prowadzimy wojny przeciw jedności Włoch, która jest prawdziwem dobrem. Na pierwszem miejscu, w zaraniu drugiej połowy ubiegłego wieku, jedynie możliwą i pożądaną jednością Włoch była jedność federacyjna. Papież Pius IX. był jej najgorętszym i najbardziej miarodajnym zwolennikiem; dziś wiemy, że nie z winy tego wielkiego papieża zjednoczenie to nie doszło do skutku. Następnie byliśmy świadkami całego szeregu historycznych faktów, o których sądzić nie tu jest miejsce, które atoli doprowadziły nas do silniejszej o wiele i stalszej jedności... Katolicyzm, który dąży do tego, aby wszystkie istoty ludzkie zjednoczyć w jednej jedynie rodzinie, nie może ani w swej nauce ani w prawodawstwie ani w swej historyi znaleźć nic takiego, coby było w sprzeczności

z jednością jakiegoś narodu. Przychodząc do faktu, że przy budowie jedności włoskiej nie obyło się bez znacznej niereligijności i niemoralności, uznajemy jednak to dobro, które tkwi w jedności każdego narodu, także w jedności Włoch. Oddajemy posłuszeństwo cywilnym władzom zjednoczonych Włoch tak samo, jak katolicy całego świata oddają je swym rządom. Chcemy, aby konstytucye państwowe były przeprowadzone, ale w tym duchu katolickim, z którego się wyłoniły. Wreszcie proklamujemy to na wszystkie cztery strony świata, że byłoby grzechem ciężkim, spiskować lub buntować się przeciw Zjednoczonym Włochom". Pokazują nam te słowa kardynała, jak dalece zmieniły się warunki historyczne, jak wprost niemożliwem stało się przywrócenie dawnego stanu. Zaznacza on też silnie w swej broszurze, w której ten cytat się znajduje, że niereligijność i niemoralność we Włoszech właśnie z powodu sporu między państwem i Kościołem się szerzy i wyraża życzenie, aby jaknajrychlej zajaśniał dzień, w którym miłość religii zespoli się z miłością ojczyzny. To zapatrywanie nie jest wcale wyjątkowem wśród katolickiego duchowieństwa i wśród ludzi świeckich; ogół w panującym królu nie upatruje już uzurpatora i pragnie prędkiego pogodzenia się papieża z królem.

Jakkolwiek więc widocznie zmieniły się stosunki historyczne, to jednak rzeczą pewną jest, że obecnie także o zupełnem zrzeczeniu się wszelkiej władzy świeckiej mowy być nie może. Na to wskazują najświeższe protesty papieża, oświadczające w obliczu świata całego, że „Kościół już oddawna nie cieszy się pełną, nieodzowną dlań wolnością, zwłaszcza odkąd głowa jego, papież rzymski, pozbawiony został tych gwarancyi, których Opatrzność mu użyczyła w kolei czasów dla zabezpieczenia jego wolności". (Encykl. z dnia 1. listopada 1914). Nie zmniejsza wcale smutnego położenia papieża „dobra wola włoskich mężów stanu, pragnącyeh usunąć przeszkody, na jakie natrafia swobodna działalność papieża w czasie wojny, przeciwnie, właśnie ta konieczność dobrej woli ze strony rządu wskazuje naocznie, jak dalece położenie papieża jest zawisłem od świeckich władców, i jak łatwo może doznawać pogorszenia przy każdej

zmianie osób i okoliczności". (Przemówienie na tajnym konsystorzu dnia 6. grudnia 1915). Prawo gwarancyjne, będące podstawą obecnego położenia papieża wobec rządu, nie jest więc należytem zabezpieczeniem koniecznej dla Ojca św. wolności i niezależności, a zatem zachodzi konieczność szukania rozwiązania kwestyi Rzymskiej.

Że papież nie domaga się już dzisiaj zwrotu całego, zabranego mu państwa kościelnego, to wynika już z niemożliwości powrotu do dawnych warunków politycznych, i wypływa jasno z oświadczenia, jakie złożył, chyba nie bez porozumienia się z Ojcem św. kardynał-Sekretarz stanu, Gasparri, redaktorowi dziennika „Corriere d'Italia" w czerwcu ubiegłego roku, z okazyi zamieszania, wywołanego przez wykrzywienie myśli Benedykta XV. w sprawozdaniu korespondenta Latapiego z rozmowy swojej z papieżem. Podnosi w tem oświadczeniu wyraźnie Kardynał-Sekretarz Stanu, że Ojciec św. nie życzy sobie żadnych wysiłków rozwiązania kwestyi Rzymskiej na drodze, któraby rządowi mogła istotne sprawiać trudności, a w szczególności nie oczekuje wcale jej załatwienia od pomocy obcej siły zbrojnej, lecz przeciwnie spodziewa się odpowiedniego ukształtowania swego położenia od zwycięstwa zmysłu sprawiedliwości, który Jego zdaniem coraz bardziej wzmagać się i zaznaczać będzie w narodzie włoskim stosownie do wymagań prawdziwych jego interesów.

Z tych słów kardynała-Sekretarza Stanu wnioskuje Ks. Ehrle T. J:[1]) na tle obecnych konkretnych trudności, na które musiałoby napotkać żądanie zwrotu całego dawnego państwa kościelnego, a nawet samego tylko miasta Rzymu lub dzielnicy jego, położonej na prawym brzegu Tybru wraz ze skrawkiem Kampanii Rzymskiej aż do jakiegoś portu morskiego, że wszystkie te wspomniane żądania nie wchodzą w rachubę ze strony wymagań Benedykta XV. Te bowiem projekty rozwiązania kwestyi Rzymskiej mogłyby być urzeczywistnione jedynie za pomocą przymusu orężnego lub

[1]) „Stimmen der Zeit". September 1916.

gwałtownego nacisku na rząd ze strony innych mocarstw; w myśl jednak Benedykta XV. taki przymus lub nacisk na rząd włoski ma być wykluczonym. Wobec tego podaje Ks. Ehrle nowy projekt, zawierający wymagania najskromniejsze, na podstawie których rozwiązanie kwestyi Rzymskiej mogłoby mieć powodzenie. Opiera się ten projekt na usunięciu najbardziej krzywdzącego wolność i niezależność papieską paragrafu prawa gwarancyjnego, według którego papież nie posiada nawet na własność Watykanu wraz z należącemi doń budowlami i zbiorami. Wprawdzie uzurpator zatrzymał się r. 1870. przed zamkniętemi bramami Watykanu, tak, że właściwa okupacya przez zdobycie nie nastąpiła i władza papieska co do tego zakątka nie została nigdy naruszoną, czy to ze względu na osobistą godność Ojca św., czy też z obawy przed opinią publiczną świata całego lub przed interwencyą europejskich mocarstw, — jednakże rząd włoski w piątym artykule prawa gwarancyjnego sobie przywłaszcza i Watykan i resztę posiadłości papieskich, zostawiając papieżowi jedynie prawo używania tychże bez obowiązku płacenia podatków wraz z zapewnieniem, że nigdy nie mogą one uledz wywłaszczeniu z powodów dobra publicznego. Stąd Watykan, chociaż ze względu na praktyczne stosunki z rządem leży poza terenem państwa włoskiego, zachowując w ten sposób resztkę samodzielności, nie jest jednak w pełnem tego słowa znaczeniu poza sferą własności rządowej, nie jest pozakrajowym w stosunku do Włoch. Mając to przed oczyma, domaga się O. Ehrle co najmniej, żeby rząd włoski Watykan wraz z należącemi do niego obecnie zabudowaniami i ogrodami etc. oddał papieżowi na nieograniczoną, udzielną i świecką własność. Wobec tego, że Watykan w rzeczy samej był ostatnim czterem papieżom pozostawiony do użytku, rząd włoski w zwrocie i odbudowie państwa kościelnego w tak skromnych granicach nie mógłby mieć żadnych istotnych trudności. Oczywiście O. Ehrle nie chce w ten sposób uprzedzać zamiarów Ojca św., chce tylko skonstatować, aż do jakich granic możliwości mogłaby się posunąć ustępliwość papieża, którą nasuwa słowo Benedykta XV., że spodziewa się rozwiązania kwestyi Rzymskiej

po wzroście poczucia sprawiedliwości narodu włoskiego, zdającego sobie sprawę z prawdziwych swych interesów. O. Ehrle domaga się jeszcze pewnego zaokrąglenia posiadłości Watykańskich, które również nie przedstawia żadnej trudności dla rządu włoskiego, zresztą ma przedewszystkiem praktyczne, nie zaś zasadnicze znaczenie. Możemy je tu dla krótkości pominąć. Za nieodzowny warunek pogodzenia się papieża z rządem uważa słusznie Ehrle konieczność, aby rząd włoski tym razem załatwił sprawę nie bez papieża, lecz w pełnem porozumieniu z papieżem. Było to bowiem jednym z najgłówniejszych błędów prawa gwarancyjnego, że chciano rozwiązać sprawę Rzymską bez zgody papieża. Stosowne załatwienie sprawy Rzymskiej leży nietylko w interesie Włoch, ale wogóle wszystkich katolików całego świata, którzy domagać się muszą, aby ich najwyższy Ojciec duchowny w rządzeniu Kościołem był wolnym i uchodził też za takiego, z wykluczeniem wszelkich choćby tylko pozorów zależności od jednego rządu, co w czasach wzmożonego nacyonalizmu i wszechmocy państwowej tem bardziej jest potrzebnem. Umiędzynarodowienie nowej umowy między papieżem i rządem włoskim byłoby pożądanem, o ile nie sprawiałoby szczególniejszych trudności rządowi włoskiemu, co nie byłoby w myśl Benedykta XV. Pod tym względem wiele zdziałać mogą katolicy wszystkich krajów, jeśli jednomyślnie i pod ich wpływem także ich rządy okażą w stosowny sposób włoskim mężom Stanu żywe zainteresowanie, z jakiem odnoszą się do pomyślnego rozwiązania kwestyi Rzymskiej na tej właśnie drodze. Dlatego nie tylko jest pożądanem, ale wprost nieodzownie potrzebnem, aby jak najszersze warstwy katolickie były należycie uświadomione co do konieczności uregulowania kwestyi Rzymskiej, dla którego obecnie warunki są najpomyślniejsze. Przedewszystkiem będzie to zadaniem katolików włoskich, do których katolicy świata całego powinni apelować, aby ze swej strony wszystko uczynili, co jest w ich mocy w kierunku przygotowania odnośnej uchwały parlamentarnej.

O innym projekcie rozwiązania kwestyi Rzymskiej, który

za granicą chce szukać papieżowi państwa, w którem byłby udzielnym księciem świeckim, wystarczy tylko wspomnieć. Jedni chcą dla papieża uprosić księstwo Trydenckie, inni księstwo Liechtenstein, a u nas W. Bojomir (Pseudonym) w broszurze: *„Mesyanizm Polski a Kościół katolicki“* proponuje z Polski uczynić państwo, poddane Ojcu św. jako swej najwyższej władzy. Że te propozycye wcale nie usuwają trudności i nienaturalnego położenia Ojca św. skutkiem prawa gwarancyjnego, jest jasnem. Papież musi pozostać w Rzymie jako następca Piotra św. i być stróżem grobów apostolskich w mieście wiecznem. Tego wymagają uczucia katolickie, nie wchodząc wcale w dysputowaną kwestyę, czy papież mógłby przenieść Stolicę Apostolską z Rzymu do innego miasta i przywiązać prawa prymatu do innego biskupstwa. Pewna, że także poza Rzymem papież mógłby być biskupem Rzymskim, a jako taki głową całego Kościoła, ale to położenie papieża wobec wiekowej tradycyi Kościoła i wobec praw jego historycznych byłoby wysoce krzywdzącem dla katolików całego świata.

Równocześnie prawie z artykułem O. Ehrlego w „Stimmen der Zeit“ (September 1916) wyszedł z pod prasy przedruk odczytu, który w Kolonii wygłosił w jakiemś stowarzyszeniu inteligentnych katolików Dr. Karol Hoeber na temat: *„Papież a kwestya Rzymska“*. (J. P. Bachem Köln 1916. Mk. 1·20.) Po gruntownem uzasadnieniu religijno-kościelnych podstaw kwestyi, daje Hoeber najpierw pouczający pogląd na zmienne koleje państwa kościelnego w historycznym jego rozwoju. Wskazuje na to, że we Włoszech w nowszych czasach coraz wyraźniej uwydatniają się dwa prądy, sobie nawzajem przeciwne: jeden masoński, rewolucyonistyczny i republikański, który z nienawiści ku Kościołowi chciałby papieża wygnać z włoskiej ziemi; drugi umiarkowany, który chce mieć wzgląd na słuszne żądania katolików świata całego, i dlatego rozmaite czyni usiłowania, aby zachować choć pozór niezależności papieskiej. Z tych sobie przeciwnych dążności tłómaczy się dwulicowość i niekonsekwencya prawa gwarancyjnego

ze swymi brakami i lukami. Umiędzynarodowienie tego prawa gwarancyjnego uważa słusznie Hoeber za zupełnie niewystarczające rozwiązanie kwestyi Rzymskiej. Owszem wszelkie prawo gwarancyjne umiędzynarodowione wystawiałoby losy Kościoła na zmienne koleje politycznych stosunków państw. Domaga się więc Hoeber, wobec niedostateczności umiędzynarodowienia prawa gwarancyjnego, rzeczywistej niezależności papiestwa na podstawie posiadłości terytoryalnej. Przytem twierdzi, że w świetle faktów wojny światowej jest widocznem, że wielkość terytoryum nie odgrywa roli odnośnie do politycznej niezależności jakiegoś państwa. W szczególności w sprawie państwa kościelnego nie chodzi o większą lub mniejszą ilość kilometrów kwadratowych, ale o zasadnicze i trwałe uznanie prawa, które bezsprzecznie się papieżowi należy. Schodzi się więc zapatrywanie dr. Hoebera w istotnych punktach ze zdaniem O. Ehrlego. Znamiennem jest, że zapatrywanie dr. Hoebera znalazło uznanie w kołach Watykańskich. Na zapytanie nakładcy broszury dr. Hoebera nadeszła z Rzymu od miarodajnej osobistości taka odpowiedź: „Pańska firma wydawnicza może z pożytkiem wydać odczyt dr. Hoebera w dosłownem brzmieniu i pozostawić także nietknięty ustęp, że „teren posiadłości papieskiej może się ograniczyć do kilku kilometrów kwadratowych"; albowiem tylko terytoryalna własność może zapewnić papieżowi wolność, która jest mu nieodzowną do wykonania wysokiego swego urzędu. Papież musi być prawdziwym suwerenem, nie zaś takim, któremu się tylko z łaski jednego lub nawet wszystkich rządów przyznaje honorowe prawa suwerenne; byłoby to ubliżającem dla głowy Kościoła. Umiędzynarodowienie włoskich praw gwarancyjnych uczyniłoby papieża tylko igraszką wszystkich mocarstw".

Współczesne więc poglądy na rozwiązanie kwestyi Rzymskiej z nowego zupełnie punktu widzenia roztrząsają trudne to zagadnienie, a czynią pogodzenie się rządu z papiestwem tak łatwem, że chciałoby się sądzić, iż blizkie jego urzeczywistnienie nie powinno napotkać na poważniejsze trudności. Ale to tylko na pozór. Z nastaniem bowiem pogodzenia rządu z papieżem,

upadnie też znane „*Non expedit*“, które ogranicza wolność katolików włoskich w wykonywaniu swych praw politycznych. Ze swobody odnośnie do wyborów politycznych wyłoniłoby się też znaczne wzmocnienie partyi konserwatywnej. Następstwa więc takiego pogodzenia utrudniają z jednej strony decyzyę Ojca św., z drugiej strony wywołują silną opozycyę w skrajnych partyach parlamentu włoskiego. Wrogowie Kościoła, a w szczególności masoni, sprzeciwiać się będą wszelkiemu pogodzeniu się rządu z papieżem. W interesie narodu włoskiego będzie raz wreszcie otrząsnąć się z pod wpływu tych radykalnych, państwu również szkodliwych elementów, i torować sobie drogę do nowego odrodzenia na podstawie zgodnej pracy Kościoła i państwa. Że sprawa ta nie jest łatwą, widać to już z oświadczenia korespondenta dziennika: Corriere della Sera“, (będącego aż zbyt często narzędziem rządu), w sprawie wywodów O. Ehrlego. Powiada wspomniany korespondent, Szwajcar Carry, że wywody te nie są wyczerpujące, ponieważ nie roztrząsają politycznych następstw, które musiałyby wyłonić się z nowego położenia.

Przywłaszczenie sobie Palazzo di Venezia, dokonane świeżo przez rząd włoski, ponownie stwierdza w oczach całego świata anormalne położenie papieża wskutek naruszenia praw legacyjnych przedstawicieli obcych rządów u Stolicy Apostolskiej. Może ten fakt dorzuci cegiełkę do prędszego załatwienia kwestyi i skuteczniejszej interwencyi mocarstw w interesie praw Namiestnika Chrystusowego; może też przeciwnie protest papieża wywoła tem silniejszą opozycyę partyi skrajnych.

W ręce Opatrzności wraz z Benedyktem XV, tudzież w ręce swego Ojca na Stolicy Piotrowej składają katolicy przyszłość, po której spodziewają się tryumfu sprawiedliwości.

Ks. Ernest Matzel.

Svetozar Hurban Vajanský.

Jego rola i znaczenie w dziejach życia i literatury Słowaków. 1847—1916 r.

I.

Słowaczyzna poniosła stratę niezastąpioną. Zmarł jej człowiek, który od pół wieku blizko był dla biednego tego narodu ogniskiem życia narodowego, niegasnącem zarzewiem idei i wiary w lepszą przyszłość. Idealista pierwszej wody, niepoprawny marzyciel, którego nie zdołały otrzeźwić i najboleśniejsze zawody, miał jednak to doniosłe znaczenie, że ruchliwą działalnością na wszystkich niemal polach pracy narodowej umiał podtrzymać ducha w narodzie. Nie łamał rąk, nie rozpaczał, ale z wiarą i zapałem młodzieńca wiódł naprzód, po każdym, najdotkliwszym ciosie nowe do walki znajdując w sobie siły.

Brak tego dobroczynnego wpływu na społeczeństwo słowackie da się niezawodnie silnie odczuć, gdy dzisiaj Vajanskiego brakło. Tembardziej, że drugi, przewyższający go nawet talentem i głębią poezyi, wódz duchowy Słowaków, Paweł-Orszagh-Kviezdoslav, pozbawiony zupełnie cech poprzedniego, cech działacza ludowego. To samotnik raczej ducha, głęboki umysł, wielkie serce, — lecz bardziej złożone, wątpieniem i krytyką zorane, a więc temsamem dla prostoty umysłów tłumu nieprzystępne, mniej bezpośrednie. To też, o ile ku Orszaghowi skłaniały się zawsze wyższe i kulturalniejsze warstwy słowackiego społeczeństwa, o tyle Vajanský wieczną młodością swego tem-

peramentu, swych upodobań pisarskich i pełnych rozmachu, ale nie dających się zrealizować idei, oddziaływał na bezkrytyczną masę niższych sfer, ogniem swego zapału budził, wzruszał, porywał, zmieniając się niekiedy w pieśniarza-agitatora tłumu, w równej mierze objawiając dobre jak i złe strony tego rodzaju twórczości.

Takim pozostał Vajanský do ostatnich prawie chwil życia. Jako siwy starzec młodych zawstydzał swym optymizmem radosnym, swą gotowością na trud każden, swą wiarą, że spełnić się muszą najskrytsze narodu marzenia. Zabiła go dopiero wojna. I zabić musiała, z całą bezwzględnością naigrawając się z jego ułud młodzieńczych, z całą brutalnością burząc te wypieszczone życiem całem sny — zamki na „słowiańskim“ lodzie.

Bo ze słowiańskich tradycyi i wspomnień, ze słowiańskich nadziei i mrzonek wykwitła cała poezya i wogóle działalność Hurbana Vajanskiego. Słowiańskość jest zasadniczą jego cechą, ze wszystkiemi zaletami i wadami słowiańskiego ducha, z całem bogactwem i świeżością wewnętrznej jego treści, ale i z całą chwiejnością konstrukcyi jego zewnętrznych politycznych programów. Panslawizm ideowy, kulturalny i literacki, zaczerpnięty z romantycznej poezyi Kollára, Čelakovskiego, Sladkoviča, Štúra i innych słowianofilów z pierwszej połowy XIX. stulecia, na której Vajanský się wychował, przerodził się w jego działalności literackiej i publicystycznej w olbrzymi program polityczno-narodowy, pełen potężnych haseł, natchnionych nadziei i fantastycznych obrazów, pozbawiony jednak wszelkiej podstawy do urzeczywistnienia.

II. Poezya Hurbana.

Svetozár Hurban, ur. w Hlbokém, dn. 16. stycznia 1847. r., był synem głośnego budziciela Słowaczyzny, pastora ewangielickiego, Dra Józefa Miloslava Hurbana (1817—1888), który położył był wielkie zasługi około rozbudzenia i nadania narodowego kierunku młodemu piśmiennictwu słowackie-

mu [1]). Gimnazyum ukończył w Niemczech, w Stendalu, poczem na Węgrzech, w Preszburgu i Budapeszcie studyował prawo. Cztery jednak lata tylko (1874—1878) poświęcił zawodowi prawniczemu. Jak powiada jeden z jego biografów, prof. Vlček długi czas „włóczył się po Węgrzech z Puszkinem w ręku, nosząc się z myślą założenia kancelaryi adwokackiej". W końcu założył ją, ale nie przestał i nadal pędzić życia koczowniczego przenosząc się z nią to do Skalicy, to do Namiestiowa, to do Liptovskiego sv. Mikulaša. Następnie brał udział w wyprawie okupacyjnej do Bośni (1878), po powrocie zaś do kraju poświęca się zupełnie pracy dziennikarskiej i piśmienniczej, wstępując do redakcyi najstarszego czasopisma słowackiego, *Narodnich Novin* w Turčianským sv. Martinie. Kierownikiem jej pozostał do końca. Niedługo przed śmiercią doczekał się bolesnego ciosu, który niezawodnie wpłynął silnie na stan jego moralny i fizyczny, mianowicie zawieszenia *Narod. Nov.* (w połowie lutego br.), którym sędziwy redaktor poświęcił był więcej, niż połowę swego życia.

Działalność Hurbana-Vajanskiego rozwinęła się w trzech kierunkach literatury pięknej, tak poezyi jak i prozy, historyi piśmiennictwa i kultury słowackiej, oraz publicystyki polityczno-społecznej.

Początek twórczości poetyckiej Hurbana przypada na okres już stosunkowo późny w jego życiu, bo od roku 1873. Są to drobne utwory liryczne, na których widoczny ślad lektury szkolnej, wpływ epigonów po-romantycznej liryki niemieckiej. Rozrzucone po czasopismach, nie dostały się nawet wszystkie do późniejszego, ogólnego zbioru dzieł Vajanskiego. Z większych kompozycyi należy tu obrazek współczesny *Duchovia sudov* (Duchy sądów, 1874), przekład *Psalmów z gór* Józ. Wikt. Scheffla (1876), oraz najlepsze ze wszystkich, liryki na tle Dalmacyi p. t. *Jaderske listy* (Listy z nad Adryatyku, r. 1878). Był to pierw-

[1]) Por. życiorys jego przez V. Pauliny Tótha w „*Sokole*" 1862 (I), oraz art. Bron. Grabowskiego w »*Tygodniku powszechn.*« *i* »*Przegl. litr. Kraju*« 1888 r.

szy cykl poezyj Hurbana, który zwrócił na młodego poetę powszechną uwagę świeżością pomysłu, barwnym kolorytem, pogłębieniem uczucia. Bardzo szczęśliwie dobrane i nakreślone obrazki na tle Dalmacyi, oryginalne typy z południa chorwackiego, przeplecione poważną refleksyą i szczerem odczuciem piękna przyrody, były zapowiedzią prawdziwego talentu, który umiał dawać sobie radę i z większemi kompozycyami. jak tego dowodzi allegoryczny poemat *Kykymora*, pomieszczony w cyklu z nad Adryatyku.

Pierwszą poetyczną książką Vajanskiego jest wybór poezyi p. t. *Tatry a more* („Tatry i morze", 1880), na który złożyły się, oprócz wspomnianego wyżej „adryatyckiego" cyklu liryków, kilka poematów epicznych i drobniejszych utworów na tle życia słowackiego, podtatrzańskiej przyrody, doli i niedoli słowackiego ludu. Są to typowe „odrodzeńcze" motywy narodowej poezyi czesko-słowackiej, piosnki na nutę ludową, tchnące świeżością hal tatrzańskich i podkarpackich lasów, przyczem pierwsze nierzadko zdradzają szkołę poetycką czeskiej poetki Eliški Krasnohorskiej, drugie czeskiego „lirnika" Adolfa Heyduka.

Nowością w tym zbiorze są trzy większe poematy epiczne: *Maják*, *Ratmír* i *Herodes*, każdy w swoim rodzaju, choć nie wszystkie równej wartości. W pierwszych dwóch, znacznie słabszych, odzywają się jeszcze silne echa przebrzmiałego romantyzmu czesko-słowackiego, tradycye poezyi Kollára i Sladkoviča, romantycznie przesadnych powieści z lat 50-tych. W trzecim, najlepszym, znajdujemy już kawał szczerego, realnego życia z dziejów współczesnej Słowaczyzny, coś w rodzaju powiastek poetycznych, na tle społecznem Wł. Syrokomli, ujmującego się za krzywdą ludu. Treść poematu stanowi znany z lat 80-tych motyw historyczny porywania i przesiedlania dzieci słowackich na „pusty" madziarskie, dla zaludnienia kraju, zdziesiątkowanego chorobami i zarazą. Utwór kreśli tragiczne losy dwojga dzieci słowackich, uchodzących z niegościnnej ziemi krzywd i niedoli i ginących pod kołami pociągu. Posiada istotnie ustępy o silnem napięciu dramatycznem, o głębokich załomach refleksyi i uczucia. Charakter ogólny poematu, mimo zapowiedzi w przedśpiewie, że

„Duch mój pochmurny, dumny i odporny,
...miękkiej czułości nie zna trzepotania,
miła mu gorycz, satyra wygodą...“

jest raczej sielankowy, aniżeli ironiczno-satyryczny, jaki prawdopodobnie zamierzał mu nadać autor początkowo. W miarę jednak tworzenia poematu ulegał Hurban coraz widoczniejszemu wpływowi Heyduka, zwłaszcza — jak stwierdziła krytyka czeska jego powieści poetyckiej, — *Dèdovy odkaz*. Chwilami tylko, kiedy dotknie bolesnej rany narodowej, podstępnego wynaradawiania dzieci słowackich przez madziarskich agentów, rozpala się poeta gniewem i bryzga jadem ironii, literacko zresztą bardzo niewytwornej. Z szyderstwem wyraża się wówczas o tych, „którym własna krew gnije i rzednieje“, którzy biednym Słowakom zagrabili niegdyś

„ . . . . . pastwiska,
Łąki i wszystkie równiny,
A dziś im biorą ostatek:
Ich miłe, śpiewne dzieciny.
Do wsi ich zajeżdża powóz,
Z powozu wyłazi panek
W attyli a z wielkim brzuchem,
Pod pachą gruby protokół
I gęsie pióro za uchem“.[1])

W końcu jednak poeta zawsze znajduje chrześcijańskie przebaczenie dla dręczycieli swego narodu. Dodaje mu tej mocy niezachwiana wiara, że „Chrystus z Golgoty zniży się do narodu i wybawi go z jarzma azyatów“.

Sprawozdawca polski określił znaczenie pierwszego zbiorku poezyi Hurbana, jako że „stanowią epokę w dziejach literatury słowackiej“[2]) i nie przesadził. Już pierwszy ten tomik wywołał silne wrażenie zarówno na Słowaczyźnie, jak i w Czechach. Jednogłośnie powitano w autorze rzecznika no-

[1]) Z *Herodesa*, fragm. w przekł. Bron. Grabowskiego. „*Przegl. literacki*“ petersb. „*Kraju*“ r. 1887 Nr. 47),

[2]) H. Uł.(aszyn) w XXX. tomie W. Encykl. Powsz. Ilustr. (Warszawa 1902) str. 528.

wych idei i motywów w narodowej poezyi, śmiałego obrońcę praw krzywdzonego ludu, prawdziwego artystę, co czerpie natchnienie z motywów rodzimych, z poszumu wichrów tatrzańskich, z legendy pieśni ludowych, z tradycyi zbójnickich gawęd, z nieprzebranej krasy ubogiej, ale przepięknej ziemi słowackiej.

Jeden z najlepszych znawców Słowaczyzny i autor dziejów słowackiego piśmiennictwa, prof. Uniw. Jaroslav Vlček, z naciskiem podkreśla wyjątkowe znaczenie poezyi Vajanskiego. „Ze stanowiska literacko-historycznego — powiada on[1]) — *„Tatry i morze"* nie są ani ciągiem dalszym klasycyzmu Hollego, ani romantyczno-narodowego kierunku Sladkoviča, ani ludowości S. Chalupki, ani wyłącznie romantycznej maniery Pauliniego, lecz rozpoczynają nową epokę w poezyi słowackiej". Wartość ich polega nie tylko na oryginalnej treści, ale niemniej na formie, która w monotonię dotychczasowej poezyi słowackiej wprowadza czynniki świeże i nowe. Sztukę wiersza wzbogaca o cały zapas nieznanych lub mało znanych i niewyrobionych form (sonet, kancona, stanca), któremi posługuje się autor z całą swobodą. Toteż, choć jednogłośnie krytyka czesko-słowacka pierwszeństwo w poezyi oddaje Hviezdoslavowi-Orszaghowi, naszemu poecie przyznaje wielkie zasługi około wydoskonalenia i wzbogacenia formy wierszowej. „Cała poezya słowacka — powiada tenże sam prof. Vlček — od roku 1845. do roku 1880. nie zna ani klasycznej prozodyi iloczasowej, ani nowoczesnej, akcentuacyjnej, poprzestając na prostem obliczaniu zgłosek, coś jak w legendach średniowiecznych. Dopiero w roku 1880. Vajanský[2]), zachęcony intenzywniejszem oddziaływaniem czeskiej poezyi, zapoczątkował artystyczny kult wiersza, a temsamem i nowy, literacko-historyczny okres"[3]).

Wszedłszy na tę szczęśliwą drogę, kroczy nią Hurban przez cały dalszy ciąg swej działalności pisarskiej, zdobywając sobie miano „wirtuoza" słowackiej poezyi lirycznej. We wszystkich

[1]) Jar. Vlček: *Literatura na Slovensku* (V Praze, 1881), str. 209.

[2]) Właściwie już w r. 1873,, lecz bez powodzenia, Ondrej Truchlý-Sytnianský.

[3]) Ibid. str. 104.

następnych zbiorach jego poezyi jak *Z pod jarma* (Z pod jarzma, 1884), *Vilin* (większa kompozycya fantastyczna, 1885), *Verše* (Wiersze, 1890) i i., powracają te same zasadnicze pierwiastki wczesnych utworów: a więc gorąca nuta patryotyzmu, ów odrodzeńczy pęd haseł i zaklęć, wzywający naród do wytrwania na ziemi ojczystej, obrony języka i zwyczajów rodzinnych, tchnący wiarą w lepszą przyszłość, a nienawiścią i pogardą dla wroga, co zbrodnią i krzywdą chce sobie gotować tryumfy. A więc głęboki ton refleksyi; wpatrywanie się w tajemne znaki przyrody, koleje dziejów i przeznaczeń ludzkich; dobywanie z nich nauk płodnych, co, choć w poezyi nieraz tendencyą trącą, do prostaczych dusz słowackiego ludu trafiają i zyskują wpływ na nie potężny. A więc śpiewność radosna i rozgwar ludowej powieści, co z życia codziennego czerpie treść nieprzebraną, a ustroić ją umie w ów humor szczerozłoty, w owy blask wesela, od słońca, błękitu i kwiatów pożyczony, a niosący zawsze do dusz prostaczych pociechę i ukojenie, co się mocą staje w dniach bolesnej udręki.

Wszystkie te pierwiastki, widoczne w każdym niemal urywku poezyi narodowej Vajanskiego, ze szczególną prostotą i szczerością objawiają się zwłaszcza w zbiorku *Z pod jarma*, gdzie takie np. czytamy zwrotki o słowackim ludzie:

O zaiste piękną
Dolę tobie dali,
Nakarmili... głodem,
Mrozem zaś ogrzali,

Napoili żółcią,
Szmatą przyodzieli,
Twardy kamień dali
Na miejsce pościeli.

Za tę wierność twoją,
Za te twoje dary,
Chcą zgotować tobie
Na cmentarzu mary.

Chcą zgotować mary,
Lecz Bóg wielki z nami;
Wkrótce może na nie
Położą się sami[1])".

Czem była dla Vajanskiego poezya, gdzie było jej źródło, jaka jej rola w społeczeństwie, — określił najlepiej sam poeta w jednym z ostatnich swoich artykułów dziennikarskich. „Matka-

[1]) Przekład Bron. Grabowskiego w „Przeglądzie liter." j. w.

Słowaczka — powiada on tam [1]) — śpiewa swemu dziecięciu już przy kolebce, a zaledwie wyjdzie ono z kołyski, rozprawia mu bajki i powieści. Jestto wprowadzenie dziecka do poezyi, do sztuki, — do Piękna... Literatura słowacka zdolna jest i powołana, by kształcić i odświeżać duszę, by strzedz jej i chronić; wśród jednostronności życia dzisiejszej doby, do których spychany bywa i nasz człowiek (sc. Słowak), ona jedyna może utrzymać równowagę jego ducha i potrzebny mu idealizm".

III. POWIEŚĆ I NOWELA.

Większość krytyków czesko-słowackich pierwszeństwo oddaje prozie Hurbana Vajanskiego [2]), licznym jego powieściom i nowelom, którym szczególnie ostatnie lata swej twórczości poświęcił.

Pierwsze powiastki Hurbaną ukazywały się w czasopismach już w latach 70-ych, jak *Siroty* (1873), *Tri kabanosky* (1879), pełne uroku *Obrazki z l'udu* (1880) i zwłaszcza pierwsza większa a bardzo udatna próba powieściowa p t. *L'alija* (1888). Po nich idą: wielce obiecujący *Kandidat*, pełne życia i plastyki *Burka v zatiši* (Burza w zaciszu) i *Babie leto* (1881—1882). Większość tych obrazków znalazła później pomieszczenie w dwutomowym zbiorze *„Besedy a dumy"* (1883—1884), gdzie powszechną zwróciły na siebie uwagę dwa szczególnie utwory: *Letiace tiene* („Lecące cienie") i *Sucha ratolest* („Sucha latorośl"). Po tych nowelach i obrazkach nastąpiły większe kompozycye, powieści i romanse, jak *Na rozhrani* („Na rozdrożu, 1890), Pustokvet (1894), *Kořeň a vyhonki* („Korzeń i pędy", 1896) i *Kotlin* (1901).

Wszystkie one osnute na tle współczesnego autorowi życia na Słowaczyznie, przedewszystkiem średnich warstw społecznych, choć sięgają niekiedy i do sfer obywatelskich lub schodzą do

---

[1]) Por. art. bezim. *Za literaturu* („Narodnie Noviny" Rok XLVI. c. 118. z dn. 5. oktobra 1915 r.

[2]) J. i A. Novakowie w swych »*Stručných dějinach literatury české*« (V Olomouci, 1910) wyraźnie powiadają, że „Vajanský-nowelista stoi wyżej od Vajanskiego-poety". (Str. 528).

chat prostego ludu. Najlepiej zna autor warstwy mieszczaństwa i średniej inteligencyi, wśród której sam całe życie prawie spędził. Toteż z upodobaniem i pasyą maluje ich środowisko. Z drobiazgowością rosyjskich realistów, z których szkoły faktycznie wyszedł, wzorując się na Turgeniewie, analizuje ich dusze, serca i mózgi, roztrząsa ich obyczaje, bada ambicye, dążenia, porywy. Obdarzony doskonałym zmysłem obserwacyjnym, dostateczną miarą ironii, humoru i satyry, umie doskonale podchwycić wszelkie słabostki tych najbardziej na pokusy i niebezpieczeństwa wystawionych kół społecznych — inteligencyi i ziemiaństwa, których taki wielki, niestety, procent od pnia rodzimego odpada. W stosunku do ostatnich biczuje niemiłosiernie pychę, sobkostwo i renegactwo; wskazuje szlachetne cele narodowe, wdzięczne zadania pracy społecznej wśród i dla narodu. („Sucha latorośl", „Kotlin") i i.

W momentach takich staje się już Hurban nauczycielem narodu, pedagogiem i kaznodzieją raczej, aniżeli artystą. Dając się unosić bujnemu temperamentowi i świętemu oburzeniu, wpada niejednokrotnie w podniosły ton gniewu, żalu, niemal rozpaczy. Zawsze jednak umie znaleźć równowagę. Ukojenie mu niesie ta sama strzecha wiejska, z której pieśni i serc prostaczych czerpał najczystsze natchnienie dla swej poezyi. Z pogardą odwracając się od zwyrodniałych, w rozkładzie moralnym ginących jednostek z kół obywatelskich, wskazuje na wierny ojczyźnie, zdrowy i twardy, jak tatrzańska skała, lud wiejski. „Wiara w ten zdrowy trzon słowackiego społeczeństwa otwiera mu jasną perspektywę w lepszą narodu przyszłość"[1]).

Z natury rzeczy takiemu charakterowi powieści Vajanskiego blizką musi być zawsze tendencya. Szlachetna wprawdzie, podniosła i pożyteczna, w każdym jednak razie — tendencya, która czystość artystyczną jego utworów mąci, a wartość ich obniża. Zyskuje autor w miejsce tego na popularności wśród

---

[1]) Prof. J. Machal: „*Obzor literatury slovenské*" w wyd. zbior. pod tyt.: „Slovanstwo", obraz jeho minulosti a přitomnosti". (V Praze, 1912. Str. 514)

szerokich kół czytelników (nie zawsze krytyki), z którymi w powieściach swych rozprawia, przekonywa, walczy na temat wszystkich żywotnych zagadnień narodowych. W takich chwilach znika zupełnie artysta, a zjawia się publicysta, działacz społeczny, agitator narodowy, póki go znowu nowy szczegół wątku powieściowego na dalszy plan nie zepchnie, głos oddając malarzowi-artyście, co już w słowach prawdziwie natchnionych opiewa krasę ziemi ojczystej, niezrównane piękno dzikiej, tatrzańskiej przyrody.

Typowym przykładem tego rodzaju powieści Vajanskiego jest jeden z najlepszych jego utworów „Sucha latorośl". Bohater tej powieści, wychowany za granicą, obcy swemu narodowi szlachcic słowacki, nawraca się ku ojczystemu korytu myśli i pracy pod wpływem odrodzeńczego działania narodowej poezyi i gorących uczuć patryotów rodaków — ludowych nauczycieli. Ten sam, co z pogardą wyrażał się niedawno o marnych wysiłkach słowackich działaczy, o bezcelowości ich literatury całej, o „podwójnej ofierze: piszących i czytających" — ten sam, przejrzawszy, takiemi gorącemi ciska słowy w najbliższe siebie, zmadziarzone środowisko, z którego sam wyszedł, a którego błędy i wady poznał do głębi: „My, szlachta, jesteśmy suchą latoroślą waszego narodu... Co to za hołota, co za nędza!... Przecież tam u nich niema nawet ludzi, stworzonych na obraz i podobieństwo boże! Nawet artykułowanymi dźwiękami nie mówią; a jakim to językiem szczebiocą swą czczą, wstrętną gadaninę! A jak wychowują dzieci swoje? Oto wtłaczają im do niewinnych ust zimne, obce wyrazy, których każda głoska sprzeciwia się temu powietrzu, temu szumowi lip, nie dziw, że nieszczęsne istoty wyrastają bez prawdziwych ludzkich uczuć, bez przywiązania do ojczyzny; nie dziw, że potem całe życie gdakają mową, która stoi niżej, niż jedno-sylabowa mowa kafrów..."[1]).

Ten rodzaj traktowania powieści i noweli, jako trybuny i kazalnicy, katedry czy kominka przy domowem ognisku, daje

[1]) Przekł. Bron. Grabowskiego w XIX. liście o literat. słow., gdzie mowa także o cyklu »*Z pod jarma*«, o poemacie »*Vilin*«, o rozprawce na temat sztuki etc. (j. w.)

zarazem pojęcie i o metodzie powieściowej słowackiego pisarza. Choć wyszedł z umiarkowanego realizmu Turgeniewa, nie mógł poprzestać bezwzględnie na jego technice. Przekształcił ją znacznie i zastosował odpowiednio do wymagań poziomu kultury, psychiki, życia słowackiego społeczeństwa. Pojęcie czystej sztuki pójść musiało w tym wypadku na kompromis z pojęciem o b o w i ą z k u s p o ł e c z n e g o i p e d a g o g i c z n e g o, jakie spełniać winna, w mniemaniu Hurbana, powieść słowacka wobec słowackiego społeczeństwa. Zjawisko to zresztą nie nowe. Znane w dziejach powieści wszystkich piśmiennictw, znane i zrozumiałe tembardziej w literaturze młodego, budzącego się do samowolnego życia i kultury, narodu chłopskiego.

Wypływa ono z zasadniczego poglądu słowackiego poety na istotę, cele i zadania piśmiennictwa i sztuki wogóle. Jako podłoże dla jej tworzywa uznaje on przedewszystkiem i niemal wyłącznie i d e ę n a r o d o w o ś c i. Jak sam powiada w jednej ze swych rozpraw o teoryi sztuki i literatury — „narodowość jest dzisiaj prawdą polityczną, prawdą socyalną, prawdą etyczną, niepodobieństwo więc, aby nie stała się prawdą artystyczną i tym sposobem nie zwyciężyła na całej, szerokiej linii kultury ludzkiej...[1]).

Jeśli tedy z punktu widzenia czystego artyzmu przyznać musimy słuszność krytykom młodszego pokolenia, nazywającym Hurbana „p o e t ą t z w. z ł o t e g o ś r o d k a",— to z punktu widzenia miarowego rozwoju literatury słowackiej, koniecznych praw i faz w. tym rozwoju, uznać musimy za słuszny sąd prof. Vlčka. Pierwsi widzą w Vajańským, że waży się on „pomiędzy realizmem a konwenansem, między tendencyą a obrazowaniem życia społecznego",— wyczuwają „jakąś pośrodkową ciepłotę w jego dziełach, n i e o d p o w i a d a j ą c y c h d z i s i a j a n i i d e o w o, a n i l i t e r a c k o młodemu pokoleniu słowackiemu"[2]). Drugi stwierdza, że „Vajanský" w powieści obecnego życia społecznego p r z e w y ż s z a w s z y s t k o, co dotychczas na Słowaczy-

[1]) Sztuka i narodowość", odczyt publiczny. Op. cit. j. n.
[2]) J. i A. Novákowie op. cit. pag. 562.

źnie napisano"[1]). Zatem idzie i polski znawca Słowaczyzny, R. Zawiliński, kiedy powiada, że „przez realizm w kreśleniu stosunków zarówno miejskich, jak i wiejskich, przez szlachetność prozaicznego stylu, wykształconego przez niego do wyrażania najsubtelniejszych uczuć i myśli, zajmuje Vajanský pierwsze miejsce jako powieściopisarz i nowelista"[2]).

Dwa te sądy, napozór sprzeczne, w istocie rzeczy, przy bliższem poznaniu warunków i środowisk rozwoju słowackiej literatury, dadzą się zupełnie ze sobą pogodzić. Stwierdzają one z jednej strony istotne, niczem niezaprzeczone zasługi Svetozára w rozwoju narodowej powieści słowackiej, dla jej przeszłości i chwili obecnej, z drugiej strony wskazują już na zwrot w pojęciu artystycznych i literackich zadań młodego pokolenia, dowodzą znacznego podniesienia się poziomu smaku, skali wymagań, kierunków idei najmłodszej Słowaczyzny. Wskazują na fakt, dla starego Hurbana niezawodnie tragiczny, — że rola jego, jakkolwiek zasłużona i pamiętna, kończy się już, że poeta zejść musi ze sceny, którą zajmą inne hasła, inni ludzie.

Mimo przeżycia się ideowej strony powieści Hurbana-Vajanskiego, przynajmniej dla pewnej części społeczeństwa słowackiego, technika i styl powieści, jaki sobie stworzył sam poeta, stały się dla młodszego pokolenia literatów słowackich do pewnego stopnia szkołą. Wcześnie znalazł Vajanský naśladowców w powieści i noweli. Schodząc do grobu, pozostawia dziś po sobie najwymowniejszy testament w tem licznem stosunkowo gronie powieściopisarzy i nowelistów, którzy idą śladem jego wzorów. Takim uczniem Svetozára jest n. p. Izydor Žiak (Somolický), współpracownik zmarłego w redakcyi *„Narodnich Novin"* i jeden z najbliższych jego przyjaciół[3]). Tego samego, co Hurban, typu powieść i nowele uprawiają również trzy współczesne autorki słowackie: Ludmila Podjavorinská, Elena Solteszová i Terézia Vansová, stąd również

[1]) Prof. Vlček, op. cit. pag. 243.
[2]) „Słowacy" („Bibl. dzieł wybor.", nr 101. Warsz. 1899), str. 145.
[3]) Por. Rom. Zawilińskiego rozdz. o literaturze współcz. op. cit. pag. 147.

do pewnego stopnia uważane być mogą za uczenice twórcy *Kotlina*.

Znamienne, że Vajanský, pośrednio czy bezpośrednio, oddziałał jednak silnie i na utwór jednego z polskich powieściopisarzy współczesnych, Artura Gruszeckiego. Powieść jego *W tysiąc lat*[1]), osnuta na tle życia Słowaków i walki ich o narodowe prawa, — nie wiemy, czy wykwitła z bezpośredniej znajomości autora z Vajanským i z jego pobudki, w każdym razie w technice i sposobie ujmowania zagadnień narodowo-społecznych, kreślenia ludzi i życia na Słowaczyźnie, przypomina bardzo silnie rodzaj narodowy o tendencyjnej powieści Vajanskiego.

IV. HISTORYA LITERATURY I PUBLICYSTYKA.

Stosunkowo najmniej znaną i niedocenioną dotychczas jest działalność Vajanskiego na polu dziejów piśmiennictwa i biografii zasłużonych mężów Słowaczyzny. Svetozár Hurban, wskrzeszając cenne dzieło ojca swego, wydawnictwo jedynego na Słowaczyźnie miesięcznika, poświęconego literaturze, nauce i sztuce, *Slovenské pohl'ady*[2]), znalazł w nim szerokie pole do pracy historyczno-literackiej. Nie było rocznicy, nie było zgonu, nie było ważniejszego zjawiska w dziejach piśmiennictwa, oświaty i kultury słowackiej, którychby on nie upamiętnił rzeczowym artykułem, wspomnieniem historycznem lub obszerniejszą rozprawą, przynoszącą zawsze obfity materyał, wiele nowych i cennych danych, notowanych skrzętnie w ciągu długiego życia poety.

Do dziejów kultury i oświaty na Słowaczyźnie, do dziejów uporczywej walki narodu o najświętsze prawa, do dziejów prze-

[1]) *W tysiąc lat*, powieść na tle stosunków słowącko-węgierskich. Warszawa, Gebethner i Wolff 1902.

[2]) *Slovenske Pohladi na vedi, uměnja a literaturu* założył jeszcze w roku 1846. Jos. Mil. Hurban. Przerwane na dłuższy czas, poczęły na nowo wychodzić w latach 70-tych. Dziś liczą już 35-ty rok swego istnienia. Obecnie redaktorem jest wybitny panslawista słowacki Jos. Skultéty.

śladowania patryotów i działaczy słowackich, drobne te przyczynki Vajanskiego stanowić będą nieocenioną skarbnicę wiadomości, które, nie zapisane przez niego, przepadłyby były z pewnością bezpowrotnie, jako najcenniejsze nieraz dokumenty swej doby. Toteż żaden historyk piśmiennictwa słowackiego pominąć nie może tych zapisków przygodnych, notatek i wspomnień Vajanskiego, pomieszczonych nietylko w zeszytach *Pohľadóv*, ale i na łamach *Narodnich Novin* i innych czasopism, zbiorników i kalendarzy. Szkoda, że nie wydano ich dotychczas w osobnym, systematycznie uporządkowanym i odpowiedniemi objaśnieniami opatrzonym zbiorze. Ułatwiłoby to ogromnie korzystanie z cennych przyczynków, nader trudnych niejednokrotnie do odszukania po rocznikach pism, dziś już często nieistniejących. Czciciele pamięci i twórczości Hurbana Vajanskiego zasłużyliby się rzetelnie, gdyby dzisiaj, w smutnej chwili jego zgonu, postanowili zebrać w jedną całość te niezliczone jego artykuły, zapiski i wspomnienia, i wydali je jako dalsze części dwunastu-tomowego dotychczas zbioru pism zmarłego[1]).

Lubując się w tego rodzaju przygodnych, pod wrażeniem chwili pisanych wspomnieniach, rzadko dawał się Vajanský opanować przedmiotowi na dłużej; rzadko dawał się skusić bogatemu materyałowi pamiątek i zapisków. Jeśli o życiu i działalności zasłużonych Słowaków z drugiej połowy XIX. i XX. stulecia mamy z pod pióra Hurbana wyszłych artykułów bez liku, to — monografię wyczerpującą znajdujemy tylko jedną. Jestto obszerny życiorys i zarazem obraz działalności zasłużonego dla odrodzenia Słowaczyzny kapłana, bisk. Stefana Moysesa (1797—1869), którą wydano w stuletnią rocznicę urodzenia zmarłego działacza[2]).

Z działalnością Vajanskiego jako pamiętnikarza i biografa łączy się i praca jego dziennikarska, publicystyczna. Już z życiorysu jego wiemy, że w roku 1878. obejmuje redak-

[1]) Ukazuje się od r. 1907. w Turč. Sv. Martine p. t. „*Sobrané diela S. H. V.*“ (Knihtlač. účast. spolok v. T. sv. M.).

[2]) „Storočná pamiatka narodenia Stefana Moysesa, bisk. bańsko-bystrického...“ (Turč. Sv. Martin, 1897. Str. 5—126).

cyę *Narodnich Novin* i pozostaje na tem stanowisku do końca niemal życia. Lat 38 wytrwałej i pełnej zapału pracy poświęcił temu dziennikowi. A choć miał, jak zobaczymy, okresy bardzo ciężkich doświadczeń; choć znosić musiał prześladowania ze strony rządu madziarskiego, a były chwile, że i znaczna część własnego społeczeństwa stanęła przeciwko niemu, — przecież wytrwał na ważnym posterunku i spełnił swe zadanie, pojmowane może jednostronnie, z całą gorliwością jednak i poświęceniem.

Cośmy powiedzieli o pracy Svetozára na łamach *Slovenských* Pohl'adov, to jeszcze w większej mierze odnieść należy do jego czynności, jako redaktora „Narodnich Novin", rozszerzając tylko zakres materyi, z jakich czerpie, do wszelkich żywotnych zagadnień politycznego, społecznego i kulturalnego bytu Słowaczyzny. Omawiając niżej stosunek Vajanskiego do dwóch głównie prądów polityczno-kulturalnych, nurtujących w społeczeństwie słowackim, oraz do Czechów, będziemy mieli możność sprecyzowania pewnych rysów w poglądach tego działacza. Tu zaznaczymy tylko, że cała twórczość publicystyczno-dziennikarska Hurbana nosi na sobie tę zasadniczą cechę, którą podkreśliliśmy już na wstępie — słowiańskość i słowianofilskość.

Wybitna ta cecha nadać musiała odrazu odrębny charakter każdemu wypowiedzeniu się pisarza; musiała zabarwić je właściwą sobie tendencyą; oświetlać każde wewnętrzne czy zewnętrzne zagadnienie narodowe w specyalny sposób, *sub specie ex Oriente lucis*, które w tem słowianofilskiem spojrzeniu na świat Hurbana odgrywało zawsze pierwszorzędną rolę. Z niego szły wprawdzie owe nadziejne blaski, owa płomienna wiara, co rozpalała do namiętności tak Vajanskiego-poetę, jak i Hurbana-polityka; ale niemniej z tego samego światła szły najfałszywsze załamania w polityczno-narodowej ideologii tego pisarza; w niem z natury rzeczy leżało zarazem źródło wszystkich przeoczeń i błędów Hurbana jako polityka i działacza narodowego, wszystkich złudzeń i zawodów — jako poety.

Dodać w końcu należy, że Svetozár Hurban, jak każdy niemal wybitniejszy działacz narodowy małego narodu, nie pomijał żadnego pola pracy, na którem mógł był przyczynić się do

pomnożenia kulturalnego czy gospodarczego dorobku swej ojczyzny. Jak go nie brakło w pracy około narodowego muzeum („Museálna Slovenská Spoločnosť v Turč. Sv. Martine"), rozwiązanej niestety przez rząd „Macierzy Słowackiej", stowarzyszenia dziennikarzy słowackich, których był w ostatnich czasach seniorem, związku księgarzy i nakładców i w. i., tak poświęcał szczególną troskę narodowemu szkolnictwu i oświacie ludowej. Jakiś czas (1903—1904) jest nawet redaktorem i wydawcą słowackiego czasopisma pedagogicznego p. t. *„Rodina a škola"*, wychodzącego w jego rodzinnem mieście[1]).

V. DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNO-SPOŁECZNA.

Nie byłby pełnym niniejszy szkic, ani dość wyrazistem oblicze Vajanskiego, jako działacza narodowego, gdybyśmy pominęli działalność jego polityczną i społeczną, stosunek do własnych jego rodaków, a także do Czechów, oraz kilka ważniejszych epizodów z jego życia, oświetlających doskonale warunki narodowego bytu na Słowaczyźnie; stosunki do rządu centralnego, poglądy „młodych" i „starych" Słowaków na zasadnicze zagadnienia ich kraju i całej Słowiańszczyzny.

Jeden z najbardziej niezawisłych dziennikarzy czeskich wyraził się, że „dzieje żurnalistyki słowackiej są prawdziwą Kalwaryą"[2]). Zawieszanie pism, ściganie redaktorów i wydawców karami pieniężnemi, zamykanie ich do więzień etc. jest na porządku dziennym. Wogóle swoboda żywego i pisanego słowa, nawet w czasach pokojowych, na Słowaczyźnie nie istnieje. Pod tym względem stan rzeczy da się bardzo dobrze porównać ze stosunkami prasowymi w Królestwie Polskiem za rządów rosyjskich, albo w Poznańskiem.

Pięść cenzury i kontroli madziarskich władz poczuł na sobie niejednokrotnie a boleśnie i Hurban Vajanský. W ciągu

---

[1]) Por. Antona Štefánka „Prehl'ad slovenskej literatury za r. 1903. a 1904." (Slov. Přehled" r. VII. 1904-5. str. 393).

[2]) Jan Hejret: „Slovanská žurnalistika" II. Slováci. W dziele cyt. „Slovanstwo" Str. 643.

swego życia przeszedł długi szereg procesów prasowych, które najczęściej kończyły się więzieniem i dotkliwą karą pieniężną. W roku 1902 n. p. przebył aż dwa takie procesy za ogłoszenie w organie swoim artykułów pt. „Nie ustawajmy!" i „Ogłupianie dzieci". Drugi z nich, zwrócony przeciwko rozporządzeniu węgierskiego ministerstwa oświaty, wprowadzającemu do wyznaniowych szkół słowackich po 17 - 24 godzin tygodniowo madziarszczyzny, wywołał wprost senzacyę w całej prasie Węgier. Na ławie bowiem przysięgłych znalazł się jakiś rozumny i wymowny. a władzom węgierskim mało widocznie znany człowiek, któremu udało się przekonać resztę przysięgłych, że artykuł Vajanskiego nie miał na celu podburzania przeciwko władzom, ale tylko krytyczne roztrząśnięcie rządowego rozporządzenia, opartego na zasadach tendencyjnych i niepedagogicznych. Sędzia i prokurator byli jak porażeni gromem. Stała się rzecz na Słowaczyźnie niesłychana. Słowacki redaktor został uwolniony wbrew dotychczasowej zasadzie i praktyce sądów madziarskich, że „skoro Słowak — więc winien"[1]).

Nie zawsze się jednak tak szczęśliwie udawało. Zazwyczaj odpokutować musiał poeta w Vacowie lub Preszowie, (więzienia madziarskie) swój patryotyczny zapał. I tak w roku 1900. pięć miesięcy spędził pod kluczem w Bańskiej Bystricy, po słynnym procesie 24-ch z Turč. sv. Martina. Skazani oni zostali na najsurowsze kary za to, że witali owacyjnie współredaktora „Narodnich Novin", Ambr. Pietora, który właśnie wracał z Budapesztu do rodzinnego miasta po 8-miu-miesięcznem więzieniu za udział w uroczystości Palackiego w Pradze r. 1898. W procesie zasiedli na ławie oskarżonych wszyscy niemal najwybitniejsi patryoci, obywatele miasta Turč. sv. Martina, a na ich czele zasłużony działacz narodowy, sędziwy Dr Paweł Mudroň. Nie brakło tam naturalnie i Hurbana Vajanskiego.

---

[1]) Por. K. Kálala sprawozdania z życia Słowaczyzny w rubr. „Rozhledy a správy" w „Slov. Přehledě". V. 1902—3, str. 327 i 426. Nadto por. liczne sprawozdania z samych procesów prasowych i politycznych na Słowaczyźnie, których w latach od roku 1898 do 1905 była moc bardzo wielka.

Dla charakterystyki sądownictwa madziarskiego w stosunku do Słowaków godne zanotowania, że wyrok 24-ch przeszedł przez trzy instancye. I kiedy sąd powiatowy skazał np. najcięższej obwinionego, adwokata Mat. Dulę na 3 miesiące więzienia, sąd tabularny zniżył tę karę na 6 tygodni, to sąd najwyższy, t. zw. królewskiej kuryi nie tylko kary nie zmniejszył, ale ją jeszcze podniósł do 6-ciu miesięcy. Podobnie miała się rzecz z Vajanským, którego karę 5-ciu miesięcy więzienia, zniżoną przez sąd tabularny do 14-tu dni, najwyższa instancya przywróciła do dawnej prawomocnej wartości. Tak więc twórca „Z pod jarzma“ słusznie mógł śpiewać o jarzmie słowackiego narodu, kiedy od dnia 24. września 1900. roku do 24. stycznia 1901. roku spędził pod surowem okiem madziarskich stróżów więziennych.

W dwa lata potem, w marcu 1903. roku stoi Hurban-Vajanský znowu przed kratkami sądowemi. I za co? — Za to, że śmiał się sprzeciwić bezwzględnej polityce szowinistów madziarskich, wzywających w „Pesti Hirlap“ do „wykupienia na Węgrzech ziemi nie-madziarów i rozdania jej między madziarów“, że śmiał zaprotestować przeciwko zasadzie „pereat justitia“ — jeśli chodzi o Słowaków. Mimo znakomitej obrony samego Dra Pawła Mudroňa, przesiedzieć musiał Hurban znowu dwa miesiące w więzieniu i zapłacić 400 koron kary.

Jak tego rodzaju życie, wśród nieustannych walk i sporów, śledztw i badań, pomiędzy jednym a drugim rokiem sądowym, ujemnie musiało wpłynąć na całe życie duchowe biednego narodu, łatwo sobie wyobrazić. Naród mały, ubogi, wśród najcięższych warunków żyjący, musiał i musi do dzisiaj, niestety, zużywać całą energię i inteligencyę najlepszych swych pracowników na jałową walkę polityczną z tępotą, złośliwością i szowinizmem obcej biurokracyi. Następstwem takiego życia musiało być zdenerwowanie i rozpolitykowanie u pisarzy i działaczy słowackich, gorączkowość, tendencyjność, brak artystycznego wykończenia w ich utworach literackich.

Wprawdzie niekiedy więzienie „dobrodziejstwem“ bywało dla rozpolitykowanego poety, który nigdy czasu znaleźć nie mógł na ukończenie rozpoczętego dzieła, — jak to się rzecz miała np.

z Vajanskiego „Kotlinem“, powstałym w znacznej części w więzieniu, pod względem artystycznym jednak zawsze tego rodzaju utwory cierpiały, a linia twórczości pisarza nieustannie się łamała. Stąd zupełnie słuszne i zrozumiałe są skargi wielu głębiej patrzących publicystów słowackich, którzy rozpaczają, że i największy poeta i najlepszy powieściopisarz, który na polityce zna się tyle, co „koza na prasowaniu“ (przysłowie słowackie), musi politykować i z okrutną władzą i jej niewolnikami staczać boje. Nic dziwnego, że w takich warunkach wytwórczość i wartość dzieł słowackich pisarzy słabnie, boć „wyczerpani oni domową pracą na całej linii“.

VI. VAJANSKÝ A POLACY.

W stosunku do Polaków zajmował Hurban-Vajanský stanowisko zasadniczo przyjazne, jak wobec wszystkich innych Słowian, na gruncie jednak polityki praktycznej z pewnem uprzedzeniem, niekiedy wprost wyraźną niechęcią, powodowaną naszą postawą wobec Rosyi. W sporze rosyjsko-polskim winę przypisywał Polakom, od nich żądając zamknięcia ostatecznego porachunku z Rosyą i stworzenia nowego programu narodowego, przykrojonego do warunków obecnych dążeń świata słowiańskiego, — wedle jego mniemania opartego na zasadach słowiańskiej jedności i braterstwa. Zapatrywanie więc, zupełnie jednostronne, wypływało z całej panslawistycznej ideologii Vajanský'ego, a budowało na ślepej wierze w niezmożoną potęgę Rosyi, jej posłannictwo i najlepszą wolę wobec reszty Słowiańszczyzny.

Z tych samych przyczyn wynikało, że Vajanský, choć dzieje Polski i jej piśmiennictwo znał wcale dobrze, choć Mickiewicza na przykład uwielbiał i niezawodnie i na nim się kształcił, — przecież w odniesieniu do polskiej literatury był zbyt powściągliwy, a niekiedy stronniczy. Z niej czerpał najmniej dla celów oświatowo-literackich, z niej tłómaczył też bardzo niewiele, — zaledwie kilka drobiazgów z Mickiewicza, Słowackiego i nowszej

liryki polskiej, — jakkolwiek z piśmiennictwa rosyjskiego czerpał pełną garścią i bez wyboru.

W Polsce był kilkakrotnie, choć zawsze tylko przygodnie i na krótko. Liczył bardzo na nowy ruch słowiański (neoslawizm), który i w Polsce zaczął ostatnimi czasy przybierać konkretne kształty polityczne, widoczne np. w udziale Dmowskiego i tow. na kongresie słowiańskim w Pradze, w zwrocie zasadniczym w programie partyi narodowo-demokratycznej etc. To też stale bywał Hurban i na zjazdach dziennikarzy słowiańskich, po różnych centrach życia narodowego Słowian, przyłączając się na nich zawsze, niestety, do grupy najbardziej reakcyjnej, bez zastrzeżeń rusofilskiej.

Na II. zjeździe, odbytym w Krakowie, w dniach 23-25 września 1899. r., Hurban-Vajanský nie był wskutek zakazu władz węgierskich, które Słowakom ani Chorwatom węgierskim nie pozwoliły w nim wziąć udziału. Nadesłał jednak wówczas referat „O wzajemności czasopiśmiennictwa słowiańskiego", który się kończył wprowadzoną później w życie, w części przynajmniej, rezolucyą, mającą na celu zacieśnienie węzłów pomiędzy poszczególnemi grupami żurnalistyki słowiańskiej. Rezolucya ta, odczytana na zjeździe przez redaktora Ant. Beauprégo, domagała się od prasy słowiańskiej dwojakiej wzajemności: praktycznej i duchowej. Pierwsza polegać miała na stałej, wzajemnej wymianie ważniejszych organów prasowych, oraz polecaniu ich wybitniejszym i bogatszym działaczom słowiańskim, celem moralnego i pieniężnego popierania tychże wydawnictw. Druga domagała się szerzenia idei plemiennej i kulturalnej jedności słowiańskiej, oraz wzajemnego popularyzowania piśmiennictw poszczególnych narodów zapomocą przekładów, sprawozdań i charakterystyk. Rezolucya podkreślała równorzędność i sprawiedliwe traktowanie wszystkich narodów słowiańskich bez wyjątku[1]). Niestety, w praktyce sam Hurban-Vajanský dawał jaskrawe przykłady wręcz przeciwnego postępowania.

[1]) Por. art. α „Druhi sjezd slovanskich novinářů v Krakově". („Slov. Přehled", r. II. 1899/1900. str. 88—91).

W literaturze naszej Hurban-Vajanský mało jest znany. Z przekładów znamy jeden tylko większy utwór jego powieściowy: „Burzę w zaciszu", w tłómaczeniu W. Tomaszewskiego w warsz. „Prawdzie" 1883. r., pozatem mniejsze tylko rzeczy, jak „Królewska perła" (w przekł. W. Czajewskiego), „Łzy słońce wypije" (D. Królikowskiego), „Pociecha" (B. Grabowskiego) i „Romans" (R. Kwiatkowskiego[1]). Nadto kilka jeszcze drobiazgów, liryków i powiastek ukazało się na łamach „N. Reformy", „Czasu", „Słowa polskiego" i „Dziennika poznańskiego".

Więcej stosunkowo pisano o samym poecie. Z większych rzeczy wymienić należy przedewszystkiem trafną, choć pobieżną charakterystykę poety w dziełku Rom. Zawilińskiego o Słowakach (p. w.), podobną H. Uł(-aszyna) w „W. Encyklopedyi ilustrowanej pol.", i fejleton Bron. Grabowskiego w petersb. „Kraju" (1887), nadto sprawozdania z twórczości Hurbana W. Czajewskiego w warsz. „Tygodniku powszechnym" 1887, w warsz. „Kurjerze niedzielnym" (1897) i lwow. „Iris" (1889). Zbyty natomiast Hurban niesłusznie jednem ogólnikowem zdaniem, w W. Czajewskiego „Historyi literatury czeskiej"[2]). Nie wiele więcej też dowiadujemy się o nim z marnego, nie uzupełnionego wyciągu ze starej „Historyi literatur słowiańskich" A. N. Pypina i W. Spasowicza, dokonanego przez Wł. Dobka, pod bałamucącym tytułem „Historya literatury słowenskiej"[3]). Wkońcu pewne szczegóły do życia

---

[1]) Por. E Kołodziejczyka „Bibliografię słowianoznawstwa polskiego" cz. II. B. „Słowacy", str. 71—77.

[2]) ...Od czasów odrodzenia do chwili bieżącej. (Warsz. Wyd. „Przgl. Tygod." 1886) o H. V. na str. 268.

[3]) Warsz. 1905. Wyd. „Książki dla wszystkich", nr. 183. str. 128. Termin „slovenský", używany bywa istotnie przez Słowaków i Czechów na określenie języka i piśmiennictwa słowackiego, zaś „Slovensko" na określenie kraju. Sami siebie natomiast, naród swój Słowacy nazywają zawsze tylko „Slovikami", a nigdy „Slovencami". Określenie „Slovenci" nie istnieje właściwie; używa się natomiast stale i w Czechach i na Słowaczyźnie terminu „Slovinci" na oznaczenie Słowieńców, t. j. zachodniej grupy Słowian południowych, zamieszkujących Styryę, Krainę, Karyntyę, Gorycyę i część Istryi. W polskim języku tedy, nie można nazywać Słowaków — „Słoweń-

i działalności Hurbana-Vajanský'ego znaleźć można w rocznikach krakowskiego „Świata Słowiańskiego".

Wszystko to jednak bardzo blade i nikłe, jeżeli chodzi o poznanie twórczości jednego z najwybitniejszych poetów słowackich ostatniej doby, oraz bardzo znamiennej jego roli polityczno-społecznej w dziejach odrodzonej Słowaczyzny[1]). Mimo wszystkich cech jego, dla nas nie pociągających, ze wszech miar zasługuje zarówno jego postać, jak i twórczość literacka na bliższe poznanie. Byłoby bardzo pożądanem, by któreś z przedsiębiorstw wydawniczych polskich zajęło się przygotowaniem wyboru jego poezyi i prozy, w dobrym przekładzie polskim, poprzedzonym jędrną a wszechstronną charakterystyką słowackiego poety.

Dr Tad. St. Grabowski.

---

cami", ani słowackiej literatury — „słoweńską", wynika bowiem stąd zupełne nieporozumienie, o kim mowa: czy o mieszkańcach węgierskiego Podtatrza i połud.-zach. Moraw, czy też o zachodniej odnodze słowiańskiego południa.

[1]) W literaturze czesko-słowackiej, oprócz wyżej przytaczanych dzieł, bardzo piękny i wyczerpujący nakreślił portret słowackiego poety dr. Albert Pražák w XII. roczniku „Slovans. Přehledu".

Kacper Decurtins.

(Ciąg dalszy).

W roku 1887. powstał w Szwajcaryi związek robotników, obejmujący wszystkie stowarzyszenia bez różnicy przekonań religijnych i politycznych.

Każde stowarzyszenie, przystępujące do związku — tłumaczy jeden z głównych jego założycieli i organizatorów na wiecu delegatów w Aarau — ma zupełną swobodę i samodzielność pod względem ekonomicznym, politycznym i religijnym. Jeden tylko obowiązek ciąży na wszystkich: każde stowarzyszenie „ma współpracować przy wszystkich badaniach i statystycznych dochodzeniach, tyczących się spraw robotniczych", podjętych przez sekretaryat związku. Organami związku według projektu ma być stale urzędujący sekretaryat robotniczy, zarząd ogólny z kierującym wydziałem i zjazdy delegatów co trzy lata wszystkich szwajcarskich organizacyi robotniczych. Koszta utrzymania urzędu statystycznego ponosić ma rząd szwajcarski.

Projekt ten spotkał się z silną opozycyą delegatów berneńskich. Na sekretaryat robotniczy, któryby naukowo śledził rozwój i popierał interesy klasy robotniczej, godzono się bez zastrzeżeń. Podobne sekretaryaty, które, będąc w służbie jakiejś klasy społecznej i śledząc rozwój jej życia ekonomicznego, udzielają wszelkich w tym kierunku wyjaśnień władzy

politycznej i interesowanym, istnieją w Szwajcaryi w dziedzinie rolnictwa, przemysłu i handlu i pracują wydatnie, ale po co zakładać organizacyę, ogarniającą całą Szwajcaryę? „Cóż nam po takim potworze, woła delegat berneński, związku stutysięcznego o czerwonej głowie socyalistycznej, o neutralnym tułowiu ekonomiczno-oportunistycznym i długim ogonie czarnym. Potwór taki naprawdę zawsze zagrażać będzie zasadniczej polityce ekonomicznej, której się trzymać winniśmy".

Rzuconą sobie rękawicę podniósł delegat Decurtins, który popierał projekt i całą siłą swego ognistego temperamentu dążył do jego realizacyi.

„Cóż nam przeszkadza — oto słowa jego — założyć ogólny związek robotniczy? Czy różnice w sprawach wyznaniowych? Żadną miarą. *Ich bin ultramontan durch und durch,* ale w sprawach socyalnych, w sprawach chleba idę z wami. A ze mną robotnicy katoliccy pójdą.

Pójdą razem tam, gdzie się pracuje nad polepszeniem położenia ekonomicznego stanu robotniczego. Głód nie zna ani katolicyzmu, ani protestantyzmu. Dlatego każdego, kto w tym kierunku pracować zechce, witamy z otwartem sercem, choćby zresztą zaliczał się do wyznawców ewangelii Bakunina czy Lassala albo nauki katolickiej.

Nauka przeszłości dziejowej powinna nas popchnąć do czynu! Już raz pod uciskiem społecznym poważniona religijnie ludność podała sobie ręce w kraju naszym: chłopi z kantonu berneńskiego i lucerneńskiego w wojnie chłopskiej, ażeby się wyzwolić z nędzy, ale wówczas na nieszczęście przez wpływy religijne zerwał się sojusz.

Nie zapominajmy o tem: związek robotniczy, liczący 100.000 członków, stanie się potęgą, nierównie większą niż sam sekretaryat bez zorganizowanej masy, za nim stojącej. Wpływ takiej potęgi na ukształtowanie się szwajcarskiego ustawodawstwa socyalnego będzie duży.

I z punktu widzenia socyalistycznego należy sprawę rozważyć, bo i socyalizm w naszym kraju wolnem oddycha powietrzem i ma możność rozwoju. Socyalizm u nas nie ma po-

trzeby zakładać swoich nadziei socyalnych na rewolucyi... i on na to skazany, by na drodze spokojnych reform dążyć do realizacyi swego programu społecznego.

Nie naśladujmy tedy Lutra i Zwingli'ego, którzy w czasie reformacyi dumno i chłodno się rozeszli. Robotnicy katoliccy podają wam uczciwie rękę, nie odtrącajcie jej.[1])

W głosowaniu następnem przyjęto sekretaryat i związek robotników dużą większością głosów.

Był to pierwszy tryumf potężnej wymowy Decurtinsa na terenie międzypartyjnym i międzywyznaniowym. Oczywiście taka kooperacya międzywyznaniowa celem zrealizowania pewnych ściśle określonych zadań i korzyści możliwa jest tylko w wolnej Szwajcaryi, gdzie partye radykalne, na gruncie demokratycznym mając możność rozwoju, obrały sobie drogę reform społecznych a robotnicy katoliccy w kwitnących stowarzyszeniach bez uszczerbku dla swoich przekonań i swobody ruchu pod kierunkiem doświadczonych i wybitnych wodzów wiedzą, na co im sumienie katolickie pozwala. Ale i w bezwyznaniowej Szwajcaryi neutralna organizacya zawodowa robotników wobec odmiennych celów i środków partyi radykalnych i poza sprawami wyznaniowemi okazała się wprost niemożliwą.

Po ukonstytuowaniu się związku wysunęły się na pierwszy plan programu robotniczego praca nad organizacyą zawodową i międzynarodowe ustawodawstwo ochronne robotników.

W jednym i drugim kierunku Decurtins wybitny brał udział, a szczególnie w dziedzinie ustawodawstwa międzynarodowego praca jego i zasługi są wielkie i duże osiągnęły powodzenie. W jednym z referatów swoich opowiada nam Decurtins dzieje tej idei:

Otóż pierwszym propagatorem międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego robotników był Daniel Lagrand, uczeń Oberlin'a, który w r. 1857 wystosował do wszystkich państw kulturalnych Europy następującą tezę:

„Ustawa międzynarodowa, regulująca pracę w przemyśle

[1]) H. Scherrer: Das Schweizerische Arbeitersecretariat (St. Gallen 1888).

jest jedynem rozwiązaniem możliwem wielkiego problemu socyalnego, jednym ze środków, przynoszącym bez uszczerbku dla fabryk i międzypaństwowej konkurencyi przemysłowej robotnikom pożądane korzyści materyalne".

W kilka lat później znany związek p. t. *Association internationale des travailleurs* przynajmniej w pierwszej fazie swego rozwoju w roku 1864 ogłosił w sprawie ochrony pracy program, wzorujący się na angielskich *Trades-Union*'ach, którego celem było „przeprowadzić reformę społeczną za pomocą międzypaństwowego porozumienia".

Ideę tę, która w ręku robotników niebawem rozwiała się w programie rewolucyjnym, podejmuje na nowo w r. 1880. poseł Frey w szwajcarskiej Radzie narodowej i na wniosek jego wdraża rząd szwajcarski rokowania z głównemi państwam przemysłowemi „w celu przygotowania i wypracowania międzynarodowej ustawy fabrycznej". Państwa jednak wówczas uchyliły się od udziału w obradach. Dopiero w kilka lat później wobec wzmagającego się ruchu robotniczego i poruszenia opinii publicznej zgodziły się na ponowne przedstawienie rządu szwajcarskiego na konferencyę międzynarodową w tej sprawie. Głównym zaś promotorem tej konferencyi był Decurtins, który w szwajcarskiej Radzie narodowej podjął ponownie i uzasadnił w świetnej przemowie myśl Frey'a.

„Dla czego — oto słowa jego — domagamy się głośno stworzenia międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego? Czy ustawodawstwo poszczególnego państwa nie jest dość potężne, by zaprowadzić porządek, odpowiadający potrzebom i stosunkom produkcyi i społeczeństwa? Czy nie byłoby poprostu lepiej, gdyby każdy kraj na swój sposób troszczył się o swoich robotników i usiłował zaradzić niedomaganiom według stosunków lokalnych?

Otóż kto zna stosunki ekonomiczne, wie dobrze, że industryalizm wszędzie podobną przybrał postać...

Z drugiej strony stosunki ekonomiczne krajów cywilizowanych wszędzie łączą i wiążą się najściślej ze sobą.

Wymiana pomiędzy produkcyą i konsumpcyą dokonywa

się mimo wszystkich przeszkód celnych, nie w ciasnych granicach jednego państwa. Od produkcyi jednego kraju zależy rynek drugiego i to nie rzecz obojętna, pod jakimi warunkami produkcya się odbywa w sąsiednim kraju, jakie w nim warunki płacy i pracy.

Nie ulega wątpliwości, że z biegiem czasu przy stale wzmagającej się produkcyi potrzebne będą daleko idące rozporządzenia co do czasu pracy, płacy i ochrony pracy wogóle. Ustawodawstwo takie ciężkie nałoży brzemię na pracodawcę. I dla tego nie trzeba nigdy zapominać o tem, że fabrykant nie wytworzył tych stosunków, które usunąć usiłuje ustawodawca. I dla tego on będzie wszystkie postanowienia, dla ochrony robotników wydane, uważał za niesprawiedliwe i zgubne dla przemysłu krajowego, będzie utrzymywał, że one wpływają niekorzystnie na ukształtowanie się stosunków produkcyjnych, że mu utrudniają i uniemożliwiają walkę z zagraniczną konkurencyą...

Te skargi nie umilkną, one ciężkiem brzemieniem ciążyć będą na wszystkich usiłowaniach dalszego rozwoju prawa robotniczego na gruncie narodowym.

I z tej przyczyny uregulowanie międzynarodowe tej sprawy jest *conditio sine qua non* rozwoju prawa robotniczego wogóle...

Międzynarodowe, robotnicze ustawodawstwo ochronne wskaże i utoruje nam drogę do uregulowania stosunków anarchicznych w produkcyi. Mamy konwencye międzynarodowe w sprawie poczty i stosunków monetarnych, konwencye odnoszące się do jednolitej miary metrowej, do patentu i marki ochronnej, do prawa autorstwa.

Podobnie jak w Szwajcaryi narodziła się instytucya, która na białem tle opiekuńczo roztacza krzyż czerwony nad rannym żołnierzem, tak też w Szwajcaryi niech weźmie początek impuls żywotny do stworzenia konwencyi, któraby roztoczyła opiekę nad potykającym się na bojowisku pracy robotnikiem"...

Wymowa młodego posła i gorący apel do patryotyzmu

szwajcarskiego odniosły skutek. Bundesrat polecił mowcy opracować kwestyę i program robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego i wystosował zaproszenie do rządów państw przemysłowych na konferencyę międzynarodową do Berna.

Decurtins z właściwym mu zapałem płomiennym zabrał się do opracowania poleconego mu memoryału, który w roku 1884. ukazał się w druku pod tytułem: *La question de la protection cuvrière internationale. Mémoire présenté au Département Fédéral de l'Industrie et dę l'Agriculture par le Dr. K. Decurtins, Conseiller National.* Konferencya jednak, na którą wszystkie prawie państwa przemysłowe się zgodziły (Francya, Anglia, Austrya, Belgia, Włochy, Holandya), zamiast w Bernie odbyła się za przyczyną i pod przewodem cesarza Wilhelma II w Berlinie. Decurtins nie otrzymał misyi do Berlina, ale na ideach jego, jak to z protokołu konferencyi berlińskiej widać, budowano i snuto ustawodawcze obrady, które jednak nie przyniosły spodziewanych owoców.

Decurtins tymczasem, ze swymi przyjaciółmi zwrócił się do pracy organizacyjnej.

Od połowy ubiegłego wieku istniał w Szwajcaryi centralny związek p. n. „Towarzystwo Piusa" o charakterze kościelno-dobroczynnym. Towarzystwo to, liczące podówczas 15000 członków, dokonało na polu dobroczynności rzeczy wielkich i przyczyniło się potężnie do rozbudzenia życia religijnego, ale zamknięte w ciasnych granicach pracy dobroczynnej i kościelnej straciło kontakt z bogatym rozwojem życia kulturalnego i społecznego i nie odpowiadało zgoła wciąż rosnącym potrzebom i wymaganiom katolickiej pracy społecznej i kulturalnej.

Ażeby więc zaradzić nowym potrzebom, pracuje Decurtins ze swymi przyjaciółmi nad założeniem Związku centralnego, łączącego wszystkie katolickie stowarzyszenia robotnicze i mieszane w Szwajcaryi o kierunku politycznym i socyalnym. Trudy i prace duchowego kierownictwa i roboty organizacyjnej dzielą z nim ks. prof. Beck, Dr. Feigenwinter i przedewszystkiem doświadczony i mądry organizator Mgr Burtschert.

Nowa ta praca nad robotnikami rozbudziła nowy ruch i nową żywotność w obozie katolickim. Na skutek tej rywalizacyi Towarzystwo Piusa rozszerzyło swoją działalność również w kierunku pracy socyalnej i kulturalnej i przeobraziło się w Związek katolików szwajcarskich.

W kilka lat później powstaje obok robotniczego związku centralnego i w pewnem przeciwieństwie do jego kierunku politycznego i socyalnego, trzecia wielka organizacya katolicka, tak zwany Kartel katolickich stowarzyszeń robotników i robotnic i organizacyi zawodowej w St. Gallen o zabarwieniu wybitnie religijnem i ekonomicznem, który rozszerzył się przedewszystkiem we wschodniej Szwajcaryi.

I ta grupa, budująca na praktycznej podstawie finansowej i odznaczająca się płomiennym zapałem religijnym, okazała największą żywotność i najlepsze warunki rozwoju na przyszłość, stosownie do hasła modlitewnego (Bettagsmandat) rządu kantonalnego w St. Gallen: „Demokracya dużo wymaga od obywateli swoich. Tylko lud cnotliwy i prawy może spodziewać się, że pod opieką Opatrzności Bożej wykona szczęśliwie swoje zadanie i spełni swoją misyę dziejową".

W roku 1903. odbył się w Lucernie pierwszy wiec katolicki, który był wspaniałą manifestacyą i dopełnieniem katolickiej pracy organizacyjnej i społecznej w Szwajcaryi. I tu znowu Decurtins, już jako wódz frakcyi katolicko-konserwatywnej, należał do głównych jego organizatorów i kierowników.

Na Rütli, na zacisznej polance nad jasną taflą jeziora, kędy udali się wiecownicy, by pokrzepić się wielkiem wspomnieniem dziejowem, wypowiedział sędziwy poseł do Rady narodowej z St. Gallen, słowo programowe odmłodzonego Towarzystwa Piusa, które tysiącznem echem odbić się powinno nie tylko po całej Szwajcaryi, ale i po stowarzyszeniach i kongregacyach całego kulturalnego świata katolickiego.

„Żadne wielkie towarzystwo czy to religijne, czy polityczne, czy społeczne nie może się w dobie obecnej uchylić od wspólnej pracy nad podniesieniem kulturalnem narodu.

Temu nieodpartemu przeobrażeniu stosunków zawdzięcza też Towarzystwo szwajcarskich katolików swój początek.

Praca zaś ta to nie propaganda wyznaniowa, a tem mniej bezużyteczna walka religijna ze swemi strzałami zatrutemi — od walki takiej broń nas, Boże! — ale robota humanitarna i chrześcijańska we wszystkich dziedzinach naszego rozwoju kulturalnego. Chcemy lojalnie współpracować z innymi pracownikami narodowymi i pod wodzą szlachetnych i ofiarnych ludzi, choć w skromnej mierze, przyczyniać się do dobra ogółu".

Były to słowa ze serca wydarte Decurtinsowi, który w przemówieniu końcowem, jako wódz frakcyi, na pierwszym tym wiecu roztoczył cały program rozległej katolickiej pracy społecznej i kulturalnej w Szwajcaryi.

Po bezowocnej konferencyi berlińskiej Decurtins nie poniechał swej gorąco umiłowanej idei, której realizacyi długie lata poświęcił. Skoro inicyatywa państw nie stworzyła międzynarodowych ustaw ochronnych, niech ruszą się robotnicy wszystkich krajów, by rozbudzić opinię publiczną i popchnąć w tym kierunku do pracy decydujące sfery państwowe. Na najbliższym więc zjeździe delegatów Związku robotników szwajcarskich, w przeważnej większości protestantów i po części socyalistów, w 1893. w Biel przedłożył Decurtins następujące postulaty pod rozwagę i głosowanie:

Zorganizowani robotnicy wszystkich krajów mają za pomocą odczytów, zgromadzeń i broszur rozwinąć żywą agitacyę w sprawie międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego.

Powtóre zorganizowani robotnicy mają przy wyborach do parlamentów domagać się, by w izbach ustawodawczych wzięto pod obrady i wprowadzono w życie międzynarodowe ustawodawstwo ochronne.

Po trzecie zarząd Związku robotników szwajcarskich ma w sprawie międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego urządzić wiec międzynarodowy delegatów organizacyi robotniczych. Po czwarte, wzywa się katolickie organizacye robotnicze, by rozwinęły międzynarodową propagandę w spra-

wie wprowadzenia w życie encykliki Leona XIII o kwestyi socyalnej.

W ten sposób zamierzał Decurtins zmobilizować w sprawie międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego cały świat robotniczy. Trzeci postulat zmierzał przedewszystkiem do stworzenia międzynarodowego biura pracy. Kapitałowi międzynarodowemu trzeba przeciwstawić międzynarodowe ustawodawstwo, stojące na straży życia i pracy robotnika. Ale ustawy te należy osnuć na gruncie realnych stosunków pracy i przemysłu w poszczególnych krajach i stąd okazuje się potrzeba zorganizowania międzynarodowego biura pracy.

Postulaty powyższe nie spotkały się z zasadniczą opozycyą. Zmodyfikowano tylko trzeci i czwarty w tym kierunku, by najbliższy międzynarodowy kongres socyalistyczny zajął się bliżej robotniczem ustawodawstwem ochronnem, oraz aby organizacye robotników katolickich odnośne postulaty z encykliki Leona XIII według możności popierały.

Tak tedy w dwa zaledwie lata po ukazaniu się encykliki *Rerum novarum* socyaliści i protestanci w najstarszym kraju demokratycznym Europy, którzy do niedawna stanowili straż przednią wszelkiego radykalizmu i do Kościoła katolickiego niepowściągliwą pałali nienawiścią, zrozumieli doniosłość dokumentu papieskiego i swemu przekonaniu w znamiennej rezolucyi jednogłośny dali wyraz.

Leon XIII. powiadomiony o przebiegu obrad wiecu delegatów robotniczych w Biel, wystosował w roku 1893. do Decurtinsa pismo zaszczytne, w którem w rzewnych słowach go zapewnia o swej trosce i miłości do tej licznej rzeszy, którą „pozostawiono bez obrony i wystawiono na wyzysk, przekuwający nędzę mas na nieliczne wielkie fortuny". I dodaje: „ochrona prawna robotników nigdy nie będzie wydatną bez ustawodawstwa międzynarodowego". Kraje bowiem, które tańszych dostarczą towarów, zawsze będą miały przewagę na rynku międzynarodowym nad krajami, które wydatniejszą otoczą opieką życie i pracę robotnika. W końcu wyraża Ojciec św. radość swoją z powodu zgodnych uchwał delegatów

różnych wyznań i kierunków politycznych co do encykliki *Rerum novarum* i międzynarodowego kongresu w sprawie ustawodawstwa ochronnego i zasyła najwyższe uznanie swoje dla wytrwałej i ofiarnej pracy Decurtinsa nad dobrem robotników.

Druga idea socyalna, którą Decurtins całą potęgą swojej wymowy i wpływów popierał w Radzie narodowej i w Związku szwajcarskich robotników, to przebudowa społeczeństwa na podstawie pracy zawodowej czyli wprowadzenie w życie przymusowej organizacyi zawodowej. Tu jednak ręka jego była mniej szczęśliwa.

Pod koniec wieku ubiegłego niedomaganie w drobnym zwłaszcza przemyśle w Szwajcaryi wskutek wewnętrznej i zagranicznej konkurencyi były nader ciężkie. Jak zaradzić temu? Wspólnemi siłami za pomocą organizacyi, mówił rozum i doświadczenie ekonomiczne.

Próbowano więc raz po raz za pomocą spółek ekonomicznych i dobrowolnej organizacyi zawodowej polepszyć warunki życiowe zagrożonych rzemiosł. Ale zawsze wszystkie usiłowania te ratunkowe i próby rozbijały się o brak jedności i solidarności.

Narzucała się więc myśl wprowadzenia organizacyi przymusowej, któraby podniosła wydatność pracy i rozłożyła równomiernie ciężary i obowiązki na wszystkich. Tego stanowiska broni Decurtins w Radzie narodowej w roku 1893. Projekt jego jest dobrze przemyślany i umotywowany.

Przymusowa organizacya zawodowa — oto jego rozumowanie — narzuca się w dziedzinie produkcyi z absolutną koniecznością dziś zwłaszcza, gdy rząd związkowy zamierza wprowadzić w życie nową ustawę przemysłową. W Szwajcaryi mamy w dziedzinie prawa prywatnego i publicznego, w dziedzinie gospodarstwa społecznego cały szereg instytucyi średniowiecznych, które wyrosły z ducha dawnych korporacyi i prawa germańskiego, które są szczątkami, żywymi świadkami idei dawnych stuleci i za granitowymi wałami Alp do

dnia dzisiejszego zachowały swą niespożytą żywotność i warunki dalszego rozwoju.

Wprawdzie rewolucya francuska rzuciła w dziedzinę przemysłu hasło absolutnej wolności, ale zasada ta w Szwajcaryi nie weszła nigdy w życie. Dopiero w roku 1873 wolność przemysłowa wcisnęła się do ustawodawstwa Bundu. Teraz chwila stosowna, żeby wznowić dawny ustrój ekonomiczny.

Gmach ekonomiczny średniowiecza, zbudowany na idei korporacyi, nie runął, nie zbankrutował dla tego, że idea była błędna albo się przeżyła.

Gdyby rozwój prawa państwowego w Niemczech i innych mocarstwach nie był spowodował owego skostnienia prawa publicznego, znanego pod nazwą „Polizeistaat", gdyby nie reglementacya z góry i filisterstwo mieszczańskie z dołu, wielkie te twory dawnych czasów nie byłyby się zamieniły w ciasne ciała administracyjne egoistycznych kół interesowanych i cechy dziś jeszcze spełniałyby nowe zadania naszych czasów, przeobrażonych za pomocą odkryć i wynalazków.

Tak ta dezorganizacya sprawiła, że przedewszystkiem w wielkich państwach cechy nie oparły się doktrynie fizyokratów i zniknęły prawie bez oporu, doktrynie, która w ogniu i błyskawicach rewolucyi francuskiej i cesarstwa zdobyła sobie świat.

Niema polityka, któryby dziś chciał wskrzesić dawne cechy, tak jak one żyły w pamięci naszych ojców. Ależ narzuca się tu pytanie, czy nie byłoby wskazanem wrócić do dawnej idei organizacyi zawodów, a może koniecznem, ażeby usunąć dzisiejszą nędzę przemysłu?

Idzie tu o to, żeby powstrzymać ekspropryacyę rzemiosł i drobnego przemysłu, o to, żeby samodzielny rzemieślnik miał możność rozwoju. Trzeba nam podnieść ekonomiczny dobrobyt rzemiosł, trzeba podnieść ich godność i honor.

Ale jeszcze inny punkt zasługuje tu na uwagę.

Znamienną cechą naszych czasów to walka pomiędzy kapitałem a pracą.

Tylko przez to urósł kapitał w potęgę, że ustawodawca uczynił go zdolnym do asocyacyi w nieskończoność. Nasze prawo prywatne rozwinęło formy tych skojarzeń kapitału jak najszerzej i w najdrobniejszych szczegółach i w ten sposób właśnie przez towarzystwa akcyjne wygładzono drogę dla rozwoju kapitalizmu, który niesie ze sobą duże niebezpieczeństwo, zwłaszcza, że praca nie była zorganizowana.

Skutek był ten, że robotnicy sami gwałtem i samowolą prawa wojennego usiłowali przeciwstawić kapitałowi potęgę pracy. Dowodem tego strejki i anarchistyczne rewolty, które w tak groźny sposób burzą nasz pokój socyalny. Ustawodawcy tu winni się w pierś uderzyć, winni się zapytać, czy byłoby doszło do tego, gdyby zaraz na początku kapitałowi zorganizowanemu przeciwstawiono ustawą zorganizowanych robotników, gdyby państwo samo było wytknęło prawne szranki, w obrębie których walczonoby o cenę pracy i rentę kapitału. Nie uczyniono tego dla stanu robotników przemysłowych. Trzeba więc teraz to koniecznie naprawić. Trzeba zorganizować robotników według zawodów, zwłaszcza tam, gdzie rozwój warsztatu w kapitalistyczne przedsiębiorstwo dopiero w początkach się znajduje, jak to w rzemiosłach po części widzimy[1])

Tak tedy organizacya zawodowa wysunęła się na pierwszy plan programu Związku robotników szwajcarskich. Obradowano nad tem szeroko na zjazdach delegatów w Olten i Biel i Winterthur, gdzie w roku 1896. zgodzono się ostatecznie na organizacyę fakultatywną tam, gdzie robotnicy i pracodawcy większością głosów wprowadzenie jej uchwalą.

Organizacya taka, złożona z pracodawców i robotników, ma być wyposażona w prawa rozległej autonomii i podlegać w najwyższej instancyi najwyższej władzy politycznej. Do zakresu jej ma należeć: uregulowanie stosunków pracy, ustanowienie taryfy płacy, unormowanie czasu pracy i stosunków terminatorskich, podział pracy i ustanowienie cen towarów, prowadzenie przedsiębiorstw przemysłowych i organizacya

[1]) Decurtins: Berufsgenossenschaften. Basel 1893.

zbytu wyrobów, słowem cała produkcya i podział pracy i organizacya zbytu.

Na tle tego projektu, przepojonego w wysokim stopniu duchem socyalistycznym, wywiązała się żywa dyskusya, która ciekawe rzuca światło na ideę przewodnią Decurtinsa i program socyalny całej wogóle szkoły katolickich polityków socyalnych.

Fakultatywne wprowadzenie w życie organizacyi zawodowej, wywodzi Decurtins, jest półśrodkiem tylko i nie prowadzi do celu. Idea tak wielka, jak społeczna organizacya zawodowa, musi w całej pełni wejść w życie, żeby przyniosła pożądane owoce. Tu trzeba wprost i odrazu wprowadzić przymusową organizacyę dla wszystkich zawodów.

Każdy powinien należeć do cechu swego zawodu. Nieliczne tylko cechy wśród masy zawodów niezorganizowanych byłyby płodem poronionym, podobne do komunistycznych kolonii, zatopionych w kapitalistycznem społeczeństwie. Wszelkie próby, nieudałe w tym kierunku, służyłyby tylko za broń skuteczną przeciwko samej idei. I nie omieszkanoby użyć tej broni do zwalczania organizacyi zawodowej wogóle, która jednak wprowadzona w życie w całej pełni, zdoła ubezwładnić zachłanny kapitalizm i rozchwianemu społeczeństwu zapewnić spokój.

Dr. Decurtins rzuca nam dziwną alternatywę — odpowiada na to sekretarz biura robotniczego Greulich, który mimo socyalistycznych przekonań w przyjacielskich zawsze był stosunkach ze swoim antagonistą — alternatywę: wszystko albo nic. Kto dobrze rozpatrzy się w realnych stosunkach, przekona się, że na polu zarobkowem ogólnemi zasadami nic nie da się osiągnąć. Czynnikiem decydującym jest tu potrzeba, która się w danym zawodzie wyrobiła i dojrzała do realizacyi.

Organizacya zawodowa ma dla całego zawodu pewne obowiązujące normy ustanowić. Potrzebę tego odczuwano już od dłuższego czasu, zwłaszcza w takich zawodach, które pod względem techniki w przejściowym znajdują się stanie. A więc

tam, gdzie jeszcze produkcya domowa i warsztatowa okazują dużą żywotność obok kapitalistycznej produkcyi fabrycznej, tam, gdzie formy te produkcyi przy pewnych normach mogłyby jeszcze obok siebie przez długi czas egzystować, przymusowa organizacya załagodzi zbyt ostre przejścia tego procesu ekonomicznego, który je niszczy, i uratuje dużo egzystencyi od bankructwa lub przygotuje im powolną śmierć bezbolesną.

W zawodach natomiast, które już dawno weszły na drogę kapitalistycznej produkcyi, jak np. w przemyśle tkackim, przymusowa organizacya żadnego nie miałaby celu. I dla tego w kołach szwajcarskiego towarzystwa handlu i przemysłu idei organizacyi zawodowej albo zgoła nie rozumieją, albo ją na opak tłumaczą. Tam jest kartel kapitalistyczny albo trust najbliższą formą przyszłego rozwoju, a nie organizacya zawodowa, pracująca w duchu socyalnym i opierająca się na zasadzie równouprawnienia robotników i pracodawców. W przemyśle zegarkowym i hafciarskim zrozumieją najprędzej organizacyę przymusową, bo tam już różne próby, podjęte na drodze dobrowolnej asocyacyi, nie doprowadziły do celu. Najprzód więc trzeba umożliwić wprowadzenie przymusowej organizacyi a resztę pozostawić potędze przykładu. Wówczas idea sama utoruje sobie drogę.

W dalszym ciągu dyskusyi podniesiono, że organizacya zawodowa wprowadziłaby do naszego organizmu państwowego nowe ekonomiczne tylko człony, wyposażone jak gminy nasze polityczne w pewną autonomię pod względem ekonomicznym. Ale o absolutnym samorządzie mowy być nie może. Ponad wszystkiem bowiem stać musi dobro ogółu.

Nie można żadną miarą na to pozwolić, by grupy niektóre kosztem ogółu zdobyły sobie stanowisko uprzywilejowane. Dla tego też trzeba rozważyć, czy byłoby wskazanem, pozwolić np. piekarzom i masarzom, ze względu na podrożenie środków żywności, na założenie cechów przymusowych. Najwyższą instancyą w sprawach żywnościowych i ekonomi-

cznych z natury rzeczy musi być najwyższa władza polityczna[1]).

Przymusową organizacyę zawodową przyrównano nieraz do dawnych cechów, które w czasach upadku skostniały w ciasnym egoizmie klasowym. Tymczasem wódz socyalistów szwajcarskich widzi w organizacyi zawodowej tylko formę przejściową, która ma tylko przedłużyć istnienie drobnego przemysłu i uchronić go przed zbyt ostrymi i zabójczymi ciosami kapitalistycznej produkcyi. I tu wśród żywej dyskusyi uwidoczniły się jasno różnice i cele organizacyi zawodowej w programie katolików i socyalistów.

W rozumieniu Decurtinsa i katolickich polityków socyalnych obowiązkowa organizacya zawodowa jest tylko środkiem potężnym, a może i koniecznym, ażeby załagodzić i uregulować dzikie stosunki, jakie się wyrobiły na tle wolności przemysłowej pomiędzy pracodawcami a robotnikami, ażeby zachować i popierać wzmożenie się stanu średniego w drobnym przemyśle i rolnictwie.

W oczach socyalistów szwajcarskich natomiast organizacya zawodowa, którą „chcą wcielić w państwo jakobińskie jest tylko nowoczesnym środkiem ekonomicznym, ułatwiającym i popierającym pracę produkcyjną na drodze wyzwolenia". Można ją porównać do owych młodych i pełnych siły żywotnej cechów średniowiecznych, za pomocą których lud z pańszczyzny i niewoli wybija się na widownię życia publicznego.

Projekt ustawowej organizacyi oczywiście upadł, ale Decurtins z właściwą mu wytrwałością radby podtrzymać przynajmniej cień jego. Nie udało się zbudować w społeczeństwie organizacyi, któraby ukróciła nienasyconą chciwość w życiu ekonomicznem i stała na straży sprawiedliwości społecznej, to przynajmniej należy zorganizowanemu kapitałowi przeciwstawić zorganizowaną potęgę robotników i powoli torować drogę do ekonomicznej przebudowy społeczeństwa.

[1]) Neunter Jahresbericht des Schweizerischen Arbeiterbundes u Arbeiter-Secretariates. Zürich 1896.

W tym celu tedy należy silnie popierać neutralny charakter robotniczych organizacyi zawodowych i pracować wytrwale nad tem, by robotnicy katoliccy tłumnie wstępowali do neutralnych organizacyi. I plan ten zyskał poparcie wielu z pośród jego przyjaciół, którzy takie wytworzyli sobie rozumowanie:

„Katolicy szwajcarscy nie zdołają się zdobyć na założenie samodzielnych organizacyi zawodowych. Czy więc dlatego mają robotnicy katoliccy zrezygnować z obrony swoich interesów ekonomicznych? Przyszłość należy niewątpliwie do organizacyi zawodowych. Już teraz dużo katolików praktykujących należy do nich", choć związki te są przejęte duchem socyalistycznym i w służbie ideałów socyalistycznych. Należy tedy w porozumieniu z socyalistycznymi wodzami związki te oprzeć na podstawie neutralnej i przekształcić je na związki czysto ekonomiczne na sposób np. szwajcarskiego towarzystwa rzemieślników lub chłopów i wprowadzić do nich masami robotników katolickich[1]).

Oczywiście myśl ta okazała się iluzyą wodzów, którzy pracowali pod urokiem wielkiej idei. Chcąc bowiem przerobić organizacyę, należało wpierw zmienić ludzi, z których organizacya się składała. Iluzyjną pracę tę tak ocenia ks. Meyenberg: „Oni wierzyli w trzeźwe umiarkowanie wodzów socyalistycznych. Nie przypuszczałem nigdy, żeby to było możliwe i z biegiem czasu namnożyło się dowodów bez liku, że nie mijałem się z prawdą. W każdym razie była to próba poważna, stanowiąca punkt przełomowy na drodze pracy praktycznej. Położenie się wyklarowało". (c. d. n.).

Ks. Leonard Lipke.

---

[1]) Monatsschrift für christliche Sozialreform. 1900 str. 581. Dr. Huttenschwiller.

Modernizm w książce polskiej.

III.

Kościół w pojęciu Modernistów.

(Dokończenie).

Czem jest, zdaniem Modernistów, Kościół katolicki dziś, a czem być powinien?

Kościół dzisiejszy, zdaniem Modernistów, to instytucya, która bezwzględnem posłuszeństwem, wynikającem ze ślepej, nierozumującej wiary trzyma wiernych w automatycznej uległości (str. XVI). Skąd nabył Kościół tej żądzy panowania? „Organizacya kościelna jest przesiąknięta od dołu do góry duchem rzymskiej państwowości“ (Str. XVI). „Tradycya Kościoła urabiała się na gruncie Rzymu, rzymskiego prawa i rzymskiej państwowości. Więc nic dziwnego, że na gruncie tym powszechność pojętą została jako panowanie nad światem“ (str. 142). W tym celu przepisy i prawdy religii ujęte zostały przez Kościół w „żelazny łańcuch logiki“. W ten sposób zapanował intelektualizm w religii. „Panować znaczy zgiąć człowieka we wszystkich zakresach jego życia pod ferułą prawa. Podstawą prawodawstwa jest religia, tem mocniejszą podstawa będzie, im ściślej prawdy i przepisy religii spojone będą ze sobą żelaznym łańcuchem logiki. Stąd skłonność do racyonalizowania religii“ (142). W innej nieco formie wyraża Autor

tę samą myśl: „Hierarchia kościelna ugrzęzła w pysze posiadania prawdy, jakby przedstawicielom jej i kierownikom danem było uczestniczyć w jakimś nieustającym Sakramencie wiedzy logicznej; nie świętością działa on, lecz logiką chciałby podbić umysły, albo niezbitą siłą dowodów swej prawdy i boskości, albo siłą materyalną tam, gdzie dowody owe są bezsilne“ (141).

Czem jest papież? Papież jest nieomylnym jako wyraziciel *consensus fidelium*, jako organ Kościoła całego... „Papież przeto powinienby być *servus servorum Dei* — zamiast tego stał się monarchą nieodpowiedzialnym, samowładnym“. Jestto dziełem tych wszystkich, w których interesie to leżało, więc przedewszystkiem samych papieży, dalej najwyższej biurokracyi kościelnej, wreszcie teologów, którzy w ten sposób systemy swoje przykrywają osłoną nieomylności papieskiej i kanonizują je“ (315). Daleko radykalniej jest ta myśl rozwinięta na str. 317: „Ewolucya Kościoła Rzymskiego odbyła się w kierunku centralizacyi i bezwzględnego autokratyzmu i dziś papież, przywilejem nieomylności obdarzony, gotów jest w każdym kaprysie swoim natchnienie Ducha św. upatrywać, w takiem zaś usposobieniu utrzymują go, własny interes na myśli mając, dygnitarze-karyerowicze i teolodzy, ażeby wszczepiwszy mu w duszę swoje własne poglądy i dążenia, nadać im powagę większą i moc“. Co jest prawdą, „stanowią... rzymscy monsignorowie... osobistym tylko interesem kierowani, narzucają oni ludziom do wierzenia rzeczy, rażące nie tylko wyćwiczony przez naukę zmysł prawdy, ale niekiedy nawet zmysł moralny... Najgroźniejsze dla wiary niebezpieczeństwo stąd wynika, że duch krytyki wkroczył we wszystkie sfery teologii a władze kościelne ducha tego nie rozumiejąc, a innej nań odpowiedzi jak skargi, przeklinania, albo gwałtowne a bezskuteczne represye nie znajdując, przyczyniają się do utrudnienia warunków, wśród których działać muszą ci, co do Kościoła należą“ (300).

Jakim powinien być Kościół według recepty Modernistów?

Kościół w pojęciu Modernistów to stowarzyszenie braci i sióstr, dążących do świętości; jedynie prawda i łaska łączy wiernych. Święci rządzą w Kościele i stanowią, co jest prawdą. Papież i biskupi są tylko organem Świętych tak co do prawd, w które trzeba wierzyć, jak i co do praw, których trzeba słuchać. Władzy w ścisłem słowa znaczeniu nie posiadają, są *primi inter pares*. „Kościół nie zna poddaństwa, a zna tylko braterstwo". „W Kościele niema miejsca dla autorytetu", bo w Kościele winna panować wolność. „Wolność poddania się Prawdzie tkwi w istocie idei Kościoła, która nie znosi wymarzonej jedności, bo to kłamstwo, ani wymarzonego posłuszeństwa, bo to śmierć". „Idealny Kościół jest harmonią idealnych wolności" (280). Kościół idealny to ten, „którego członkowie dążą do świętości, a święci stanowią o tem, co jest prawdą a co fałszem" (299). „W owym idealnym Kościele najwyższa powaga doktrynalna papieża i biskupów polegałaby nie na szczególnej jakiejś biegłości teologicznej, ale na tem, że poddawaliby się oni Duchowi św. i organem Ducha będąc, tłumaczyliby wiernym, co im za pokarm służyć ma i co jako truciznę odrzucić powinni"... Jednak nie papież rządziłby Kościołem ale święci, on byłby tylko wykonawcą ich woli: „W Kościele idealnym papież uważałby siebie i byłby rzeczywiście organem ducha, ożywiającego ciało Chrystusowe, a że duch ten najżywiej i najpiękniej objawia się w świętych, więc święci rządziliby Kościołem, ściślej mówiąc, rządziłby papież w ich imieniu" (317).

Papież jest tylko tłumaczem prawa, które Duch św. wyrył w sercach świętych: „on jest związany tą żywą księgą". W Kościele są żywi i umarli, a głos papieża powinien być głosem żywych czyli najlepszych, świętych, i tylko wówczas papież jest nieomylnym" (309).

* * *

Przytoczone poglądy Modernistów na Kościół cechuje ten sam aprioryzm, co i w innych kwestyach przez nas już omówionych. Konstruuje się zupełnie dowolnie, *a priori*, bez

dowodów i bez oglądania się na fakta pojęcie Kościoła, a jeśli temu pojęciu nie odpowiada istniejący dzisiaj Kościół katol., wymyśla się papieżowi, hierarchii kościelnej, teologom itd. Żaden z Modernistów nie pyta, czy jego konstrukcya Kościoła jest zgodna z Pismem św., z tradycyą, z historyą... A przecież Kościół katolicki podaje się za instytucyę pozytywną, boską — twierdzi, iż jego hierarchia jest z ustanowienia Chrystusowego. Nieomylność papieską w rzeczach wiary i obyczajów ogłaszá jako dogmat wiary. Swe twierdzenia udowadnia pozytywnymi argumentami. Przecieżby należało wprzód ocenić te argumenta, zanim się zacznie swoje ulubione koncepcye za pewniki podawać i wymyślać tym, którzy w nie nie chcą wierzyć. Bo jeśli na koncepcyach apriorystycznych oprzemy Kościół, to po Modernistach przyjdą inni z mądrzejszymi jeszcze koncepcyami i znowu trzeba będzie zmieniać pojęcie i ustrój Kościoła. Że takie eksperymenty do ruiny Kościół doprowadzić muszą, rzecz jasna jak na dłoni. A i to widoczne, że jeśli Chrystus ustanowił Kościół, nadał mu pewną formę i chciał, by w tej formie pozostał do końca świata niezmieniony, to przecież byłoby świętokradztwem chcieć zmienić te formy według ludzkich pomysłów. Moderniści, chcąc wprowadzać reformy, burzące zupełnie podstawy, na których Kościół stoi, tem samem odsłaniają przekonanie, iż Kościół jest tylko instytucyą ludzką. Ale w takim razie trzeba było argumenta, które Kościół podaje na udowodnienie swego boskiego początku, odeprzeć, wykazać ich nicość — a potem dopiero swych przekonań bronić. Dziwić się temu, że papież, biskupi, teologowie i wierni, przekonani o boskości i niezmienności swego Kościoła, są głuchymi na nawoływania Modernistów do oparcia Kościoła na ludzkich apriorystycznych pomysłach, kiedy oni wierzą, że Kościół katol. stoi na zasadach boskich — temu dziwić się trąci naiwnością. Przecież człowiek, któryby swe przekonania, zwłaszcza religijne zmieniał, zanim go kto przekona, iż te przekonania są mylne, byłby co najmniej lekkomyślnym. Moderniści nie usiłują nawet wykazywać, że zasady, na których opiera się Kościół i hierarchia są mylne lub myl-

nie interpretowane, lecz swe apriorystyczne koncepcye Kościoła przeciwstawiają instytucyi, głoszącej się boską, instytucyi mającej za sobą 20 wieków istnienia, która niezliczone rzesze Świętych wychowała, która swą organizacyą i wewnętrzną siłą tyle herezyi zwalczyła, upadek tylu systemów przeżyła, tyle wrogich napaści przetrzymała... Wszak Święci, których Kościół wydał, a którzy według Modernistów mają w Kościele rządzić i prawdy nauczać, na tysiące się już liczą a nigdzie nie słychać, by kiedykolwiek stanowili, co jest prawdą a co fałszem lub by rządzili Kościołem, ale historya poucza, że byli najposłuszniejszymi dziećmi Kościoła, dogmata przez papieża czy sobory ogłoszone przyjmowali z największą czcią jako prawdy boże, prawom przez papieży wydanym byli posłusznymi jak dzieci rozkazom rodziców. Więc jedno z dwojga: albo Święci Kościoła katol. nie są prawdziwymi Świętymi, albo Kościół razem ze swą organizacyą, który owych Świętych wychował, jest instytucyą boską. Wszak Moderniści twierdzą, iż Święci są najpodatniejszymi na wpływy Ducha św. — oni najlepiej widzą prawdę — a oto owe tysiące Świętych uświęciło się pod kierunkiem papieży, biskupów, karmiło się dogmatami przez owych papieży ogłoszonymi, za normę życia brało przepisy Kościoła przez papieży wydane lub zatwierdzone, wcale nie słychać, by im było za ciasno, za duszno w tak urządzonym Kościele. Za czasów wielu z tych Świętych nie wszyscy niestety papieże i biskupi odznaczali się świętością życia, scholastyka panowała wszechwładnie, a przecież to nie przeszkadzało ich uświęceniu się i nie spotykamy nigdzie przykładu, by się z pod władzy papieża i biskupów chcieli wyzwolić, tak jak nasi Moderniści, pod tym pozorem „że hierarchia nie świętością działa, lecz logiką". Powiedzą mi może Moderniści, że czasy dzisiejsze wymagają i od Świętych innych cnót, niż czasy ubiegłe; dzisiejszy stan kultury stawia sobie inny ideał świętości, niż dawniejszy. Odpowie za mnie wielki papież Leon XIII: „Tylko ten tak może mówić, kto przeocza słowa Apostoła: które przejrzał i przeznaczył, aby byli podobni obrazowi Syna jego (Rom. 8. 29).

Nauczycielem i wzorem wszelakiej świętości jest Chrystus; do jego nauk ma się stosować, kto chce być zbawionym. A Chrystus się nie zmienia z biegiem wieków, ale jest ten sam wczoraj i dziś i na wieki".

I katoliccy Święci zachowali swój indywidualny charakter. W pismach Świętych napotykamy rozmaite poglądy na metody uświęcenia, od prostych, nieraz naiwnych wynurzeń aż do najgórniejszych wzlotów w krainę mistyki — ale wszystko to trzymane w ramach katolickich pojęć o dogmacie, o objawieniu, cudach, o Kościele, papieżu itd. Niechże więc i dzisiejsi Moderniści zachowają indywidualność kultury, poglądów, metod — ale wszystko w ramach dzisiejszego Kościoła, a wtedy przyczynią się do głębszego zrozumienia prawd bożych i dróg zbawienia, sprowadzą nowy rozkwit myśli religijnej i wielce się sprawie bożej przysłużą! Reforma, jaką chcą wprowadzić w Kościele, nie jest reformą, ale zburzeniem starego Kościoła a stawianiem nowego na całkiem innych zasadach. Wszelkie oświadczanie ze strony Modernistów, iż chcą Kościołowi katol. iść z pomocą przeciw atakom nowoczesnej kultury jest albo udanem, albo jeśli jest szczerem, to nie widzą zgubnych konsekwencyj, do jakich ich system doprowadziłby Kościół katolicki. Kościół, któryby powstał na zasadach modernistycznych, jeśli wogóle te zasady mogą stworzyć konkretną społeczność religijną, co jest rzeczą bardzo wątpliwą, nie byłby już Kościołem Chrystusowym, ale tworem 20. wieku, opartym na zasadach częściowo protestanckich a głównie na dzisiejszych u wielu światopoglądach agnostycyzmu, pozytywizmu, z przymieszką mistycznych marzeń. Kościół ten nowy mógłby mieć i papieża i biskupów, ale ci byliby maryonetkami tylko, mógłby mówić o dogmatach, objawieniach, o nadprzyrodzonej religii, ale byłyby to nazwy, z których dawna treść uleciała, raczej wyrazy bez treści — więc jakże możnaby zgodnie z prawdą twierdzić, że dawny Kościół nie został zmieniony a tylko udoskonalony? Nie, nigdy, dawny Kościół zostałby zburzony, a na jego gruzach powstałoby zgromadzenie

religijne 20. wieku, rozpoczynające erę swego istnienia od pojawienia się Modernistów.

W kościele Modernistów Święci „rządzą i stanowią, co prawda, a co fałsz. Normą ich życia to natchnienia Ducha św.".

Pomijając, że Chrystus ustanowił papieża głową całego Kościoła i najwyższym, nieomylnym jego nauczycielem w rzeczach wiary, którego tedy rządom i Święci winni się poddać i jego orzeczenia dogmatyczne za prawdę uznawać, pomijając to, mówię, zasada owa Modernistów sprowadziłaby anarchię zupełną w Kościele, rozbiłaby na proszek Kościół, uczyniłaby go Kościołem niewidzialnym.

Święci mają rządzić i nauczać, bo Świętymi rządzi Duch św.! Ależ to samo jota w jotę wymyślili Protestanci, kiedy, nie chcąc mieć Kościoła pośrednikiem między sobą a Bogiem, twierdzili i twierdzą, że każdy od Ducha św. odbiera natchnienia, w co ma wierzyć i jak postępować.

I co się stało? Natworzyło się mnóstwo sekt, sobie przeciwnych, sprzecznych we wierze a każda z nich rzekomo bezpośrednio z Duchem św. się komunikowała. Cóż bowiem naturalniejszego jak że człowiek własne ulubione myśli bierze w chwili podniecenia religijnego za natchnienia i objawienia Ducha św.? Takby się stało i w Kościele katolickim, gdyby zasady Modernistów znalazły zastosowanie. Świętych, odbierających od Ducha św. objawienia, namnożyłaby się moc wielka, bo naturalnie nie byłoby wtedy normy świętości, a nikt nie śmiałby zakwestyonować świętości tego, który wprost przez Ducha św. jest prowadzony. Rzecz prosta, że za świętych podawaliby się wizyonerzy, marzyciele, przewrócone głowy, malkontenci, a nieraz i doskonale się maskujący oszuści, każdy pragnąłby swój koncept świętości narzucić drugiemu za normę postępowania. Powstałaby anarchia i rozbicie Kościoła na sekty. Przypuścić bowiem, że wszyscy na jednoby się zgodzili, ten tylko może, kto bez żadnych dowodów przyjmuje, że wszyscy byliby rzeczywiście prawdziwymi świętymi, przez św. kierowanymi. Ależ Duch św. nie dał nigdy zape-

wnienia, iż z pominięciem władzy kościelnej a nawet wbrew jej nakazom, sam bezpośrednio będzie świętych prowadził, a historya uczy, iż uważający się za bezpośrednio przez Ducha św. kierowanymi popadali w najpotworniejsze błędy tak co do wiary jak i moralności. Święci katoliccy na jedno się zgadzają we wierze, ale dlatego tylko, że odbierają tę wiarę za pośrednictwem papieża i biskupów.

A papież i biskupi czemby byli w takim Kościele, gdzieby Święci rządzili i stanowili o prawdzie?

Mieliby tytuł bez władzy żadnej, dawaliby firmę towarowi przez świętych wyrabianemu. Nie mogliby się nigdy Świętym sprzeciwić, boby to znaczyło sprzeciwiać się Duchowi świętemu. Alboby musieli świętością przewyższać najwyższych świętych, by odbierać większe od innych objawienia, a jeśli nie, to zdać się na ich łaskę i niełaskę i być wykonawcą ich poruczeń — rola nie do pozazdroszczenia! Prawdziwi rządcy Kościoła byliby niewidzialnymi. Bo jest rzeczą niepodobną człowiekowi prywatnemu orzec na pewne, kto jest świętym a kto nie. Tylu prawdziwie świętych jest nieznanych oku ludzkiemu, tylu znowu hipokrytów może, przynajmniej przez jakiś czas, przywdziewać płaszczyk świętości. I jak tu wobec tego rozeznać?

Z tych rozważań wypływa, iż nic bardziej niepraktycznego, nic bardziej utopijnego nie można sobie wymyślić jak koncepcya kościoła Modernistów. Trzeba nie znać natury ludzkiej z jej ułomnościami, trzeba żyć jedynie w świecie ułudy, czystego ideału, który tylko w niebie między samymi Świętymi da się zrealizować, by sądzić, że zasady Modernistów mogłyby stworzyć Kościół lub nie rozbić już istniejącego. Trzeba atoli przyznać, że idea Kościoła, jaką stworzyli Modernіści, płynie konsekwentnie z ich pojęcia objawienia i stosunku człowieka do Boga. Skoro człowiek bezpośrednio od Boga odbiera wewnętrzne objawienia, to żadnej kierującej władzy nie potrzebuje. Duch św. zastępuje wszelką władzę. Duch św. działa tem wydatniej, im człowiek mniej przeszkód mu stawia, oczyszczając się z grzechów. A więc Święci są najdo-

skonalszymi organami Ducha św., przeto i najlepszymi nauczycielami objawionej nauki i świętości życia. Oni tedy kierować winni wszystkimi, którzy się złączyli w stowarzyszenie religijne, w Kościół. Ale cóż zrobić z papieżem, z biskupami, z hierarchią kościelną wogóle? Nie można jej znieść, boby to wyglądało zbyt radykalnie i niktby wtedy nie uwierzył, że kościół Modernistów to Kościół katolicki, więc trzeba zostawić dawną władzę, z imienia, ale bez atrybucyi władzy. Trzeba jednak wymyślić im jakie zajęcie. Otóż mają tylko śledzić objawienia Świętych, nic nie poprawiać, nie ograniczać, nie dawać wskazówek, ale te objawienia porządkować, segregować, tworzyć dla nich terminologię, ujmować w dogmata oczywiście tylko przejściowe. Mają być historykami tylko nadwornymi i filozofami kościoła Modernistów, ale nie rządcami lub nauczycielami wiary, bo to należy do Świętych!

Są to wszystko ludzkie wymysły, na których mógłby się może oprzeć kościół jaki pomysłu ludzkiego, ale nigdy Kościół Chrystusowy, instytucya boska, z hierarchią pozytywnie przez Chrystusa ustanowioną, z prawami mu przez Chrystusa nadanemi. W Kościele tym niema miejsca na zrealizowanie pomysłów modernistycznych.

Gdyby Moderniści usiłowali swe koncepcye kościoła popierać powagą Pisma św., tradycyi czy historyi, byłoby może wskazanem na tem miejscu dowieść, że kościół na ich pomysłach oparty sprzeciwia się stanowczo i Pismu św. i tradycyi i faktom historycznym i że z tymi autorytetami zgadza się jedynie organizacya i nauka Kościoła katolickiego, dziś istniejącego. Moderniści, już to z powodu fałszywych poglądów na Pismo św. i tradycyę, już to, iż rozumieją, że byłby to trud Syzyfa powoływać się na te powagi, nie usiłują na nie się powoływać, przeto i nas zwalniają od odpierania koncepcyi modernistycznych wspomnianemi powagami. Zresztą łatwo je znaleźć można w każdej dogmatyce katolickiej, w historyi Kościoła katol. tudzież w obszernej już dziś i bardzo gruntownej literaturze o początkach Kościoła katolickiego.[1])

[1]) Por. moją pracę: Początki hierarchii kościelnej, Lwów 1912.

Co zaś sądzić o apriorystycznych Modernistów koncepcyach kościoła, już widzieliśmy. Inwektywy na papieża i hierarchię Kościoła katol., jużto przez Modernistów jużto przez Autora w jego książce rzucane, gminne przezwiska i ogólnikowe, bez podania faktów, zarzuty nie nadają się do poważnej dyskusyi i naukowej repliki.

Ks. Dr. M. Sieniatycki.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

W światło..!

Nad światem leżała martwa cisza upalnego dnia; gorący wiew pustynnego wiatru, zda się, życie wszelkie potężną zdławił dłonią, pochyliły kwiaty przywiędłe kielichy, nieruchomo pożółkłe zwisnęły liście.

Jeno powietrze drga słonecznym żarem, jakgdyby roztopionego złota zalewą a niebo dziwne, przygasłe w tonie, jakgdyby wypełzłe, zda się ku ziemi spływa, by ją w śmiertelnym zmiażdżyć uścisku. Duszno jest, krew wolniej krąży w żyłach a członki ciążą.

W mrocznej komnacie na nizkiem łożu spoczywa Herodyada, obnażone ramiona opuściła bezwolnie, przymknęła powieki, po brzoskwiniowym kolorycie lic igrają cienie długich rzęs, jak rozedrganych, motylich skrzydeł odbicie.

Cisza, rozleniwienie... nuda. Miarowo, jednostajnie szumią jeno wachlarze z pawich piór, poruszane rękami w pół nagich spoconych, nieruchomo przykuciętych niewolnic. Pęd wiatru zsuwa błękitne gazy z ramion Herodyady, rozdmuchuje swawolnie kędziory czarnych włosów, opadające z pod przepaski złotej aż ku łukom surowych, silnie zarysowanych brwi.

Więdną w kielichach róże purpurowe i snują w przestrzeni zawrotną, zmysłową woń.

Nagle w martwą ciszę komnaty spłynęła pieśń, rwała się gdzieś z głębi, przygłuszona oddaleniem, ale każde słowo słychać było wyraźnie, modlitewny ton głosu obco i dziwnie rozbrzmiewał w tym przybytku piękna i grzechu.

Herodyada zerwała się, usiadła, szeroko rozwarte otchłanne oczy utkwiła w mroku komnaty a z jej purpurowych, lekko rozchylonych ust spłynęło:

— Jan...

A z podziemia płynął młody, silny głos:

Jako jeleń do źródła krzyczy utęskniony,
Tak moja dusza woła do Ciebie, o Boże!
Pragnieniem Twojej Zjawy duch rozpłomieniony
Spoczynku, ni wytchnienia zaznać już nie może,
I łzy mam miasto chleba, gdy tęsknotą gnany
We dnie i w nocy słyszę: gdzie twój Pan nad Pany?!
Niegdyś ja w poczcie innych chodziłem wesoło
Do Twej świątyni, Panie, śpiewając Ci chwałę...
Dzisiaj... w smutku bolesnym pochyliwszy czoło,
W utęsknieniu za Tobą dnie przepędzam całe...

* * *

Przeczże się smęcisz, duszo, i zamierasz trwogą,
Ufności w twego Boga wydrzeć ci nie mogą![1])

Głos zda się potężniał ciszą, rwał się ku owemu gorejącemu niebu młody, silny, ufny, chwilami radosny, to znów tęskny bez miary, spowiadał pragnienia swoje i bole umiłowanemu Bogu.

Tęsknotą jedną, wielką dusza moja pała,
I kędykolwiek jestem, przyzywam Cię, Panie!
We dnie spokoju Twoja udziela mi chwała,
Nocą pieśń i modlitwa tulą me płakanie.
O Panie! Panie! Panie! przeczżeś mnie zapomniał
I oddał w moc wrogowi, aby mi urągał!

Herodyada podniosła się, przeciągnęła jak gotująca się do skoku pantera, ze stojącego obok łoża wazonu wyjęła dwie

[1]) Psalm XLII.

purpurne róże, prześliznęła się cicho przez dywanem wysłaną komnatę, przez biały marmur korytarza, otoczył ją ogród i płomienny dech południowego wiatru... przystanęła, pochyliła się naprzód, słuchała...

Jako krwawiąca rana wstaje w mojej duszy,
Gdy pytają mnie co dnia: Bóg twój cię nie zbawił?
Ale zwątpienie siły wiary mej nie kruszy,
Bo wiem, że gdybyś zechciał, to i tobyś sprawił.
Więc czekam Cię, mój Boże! Panie mój jedyny!
Czekam we dnie i w nocy i każdej godziny...

Herodyada uśmiechnęła się ironicznie końcami warg, podeszła do nizko w murze umieszczonej kraty i zajrzała do wnętrza. W pół mroku więzienia dostrzegła ciemną, opartą o mur głowę, ręce śniade na kolanach splecione i czarne, szeroko rozwarte źrenice, zapatrzone w niebo z wyrazem tęsknoty olbrzymiej, nie widział jej, chociaż jej oczy... głodne oczy tygrysicy chłonęły go spojrzeniem. Nieraz już patrzyła tak w niego, niewidziana, i było w niej wtedy piekło.

Przesunęła się cicho wśród pnączy róż, snujących się po murze a uwiędłych w słonecznym pożarze, weszła na schody ciemne i kręte, owionęła ją ciężka woń pleśni, wilgoć i chłód przesunęły się po jej obnażonych ramionach dreszczem.

Na kamiennej ławce, w mrocznym korytarzu siedział żołnierz, jadł, odcinał z chleba, trzymanego w ręce, kęsy olbrzymie, kładł na nie wilgotne, białe płatki cebuli i wsuwał razem w otwarte usta jak w otwór niszczącej maszyny, tak był pochłonięty spożywaniem, że dojrzał smuklą, w błękitne gazy spowitą, postać kobiecą dopiero wtedy, gdy wskazując na żelazne drzwirze, rzuciła rozkazująco a pogardliwie:

— Otwórz...

Poznał ją... chleb wypadł z silnej dłoni, z trudem przełknął niedogryziony kęs, szukał kluczy i znaleźć ich nie mógł, bo czarne, ponure, rozkazujące źrenice wpijały się w niego spojrzeniem i przyprawiały o drżenie.

Wreszcie obróciły się ciężkie drzwi na żelaznych zawiasach z przejmującym, ostrym zgrzytem i zawarły z powro-

tem... Herodyada weszła, w wilgotny więzienny grób weszło z nią życie, upojna woń kwiatów, upalne ziemi tchnienie.

Jan spojrzał ku niej, nie wstając, jego smagła, więzieniem i postem zaostrzona twarz spokojna była, obojętna i chłodna, jeno brwi zbiegły się, tworząc głęboką bruzdę i młode usta drgnęły nie wymówionem pytaniem. Od chwili, gdy pod murami świątnicy rzekł jej słowa prawdy, nie spotkał jej więcej, więc teraz oczy jego pytały: Czego chcesz? po co przychodzisz? Azali grzechu swego przyszłaś żałować, niewiasto?

A kobieta stała, oparta o żelazne drzwi, spuszczone rzęsy drgały, kryjąc wyraz oczu, pierścieniami połyskujące palce o długich wypielęgnowanych paznokciach obrywały płatki z róż purpurowych i nagle usta wilgotne szeptem drgnęły tak płomiennym jak wiew pustyni:

— Janie!...

A z pod rzęs wybiegło ku niemu spojrzenie, od słów wymowniejsze.

Pogardliwie drgnęły młodzieńcze usta, odwrócił głowę, obojętnemi mu były te oczy zarówno wtedy, gdy krwi jego pragnęły, jak i teraz, gdy snuł się z nich błagalny szept miłowania. Jan miał wrażenie, że coś wstrętnego i brudnego pełza ku niemu z jej cichego, namiętnego głosu i przejmował go dreszcz obrzydzenia... i pogardy.

— Janie!.. Herod byłby ci dawno wolność powrócił, gdyby nie ja... Pragnęłam cię widzieć w łańcuchach, dziki, pustynny lwie, by cię okiełznąć lub zgubić! Pragnęłam ujrzeć cię u moich stóp,... by dać ci wolność... wolność... słyszysz?

— Nie pragnę jej z twoich rąk.

— Szczęście...

— Co ty zwiesz szczęściem, Herodyado...?

— Miłowanie...

— Jedno jeno miłowanie człowiekowi źródłem szczęścia jest, Bóg.

Chłód i powaga jego młodego głosu zwarzyły płomienny szept jej warg rozchylonych, białe jej ręce kurczowo zacisnęły

się wokoło róż, mięły je, rwały, nie zważała, że ostre kolce wpiły się w dłonie i krew trysnęła.

— A jednak, Janie, przyszłam ci dać miłowanie moje i wolność — urwała i dokończyła po chwili głucho — albo nienawiść moją i śmierć! Przyszłam cię wybawić lub zgubić, rozumiesz?

Podniósł się wysoki, silny i opierając rękę o zardzewiałą kratę, mówił wolno:

— Miłowanie takie jak twoje, Herodyado, daje śmierć prawdziwą, bo śmiercią ducha jest grzech... cielesna śmierć natomiast da mi życie nowe, bo nie w twojej, nie w ludzkiej mocy, zabić we mnie to, co z ducha jest.

— Szalony! — dziki, ostry, wyzywający jej śmiech załomotał złowrogo wśród ścian więzienia i przeszedł raz jeszcze w gruchającej gołębicy wabny ton.

A wtedy rozbłysłe jej oczy spotkały się z jego surowemi wzgardliwemi źrenicami i zgasły. Rzuciła zgniecione róże na zniszczoną taflę podłogi a z piersi jej wydarł się zdyszany, złowrogi, świszczący szept:

— Umrzesz...

— Jeżeli tak przeznaczył Pan... to stanie się jego wola odparł spokojnie.

— Umrzesz... przysięgam ci i twoją dumną, skrwawioną głowę rzucę sobie do stóp.

— Gdy z ciała ludzkiego duch odejdzie, jest ono tylko martwym kształtem, Herodyado.

— Więc zabijając, wolność ci powrócę... czy tak proroku?

— Duszy ludzkiej Bóg wolność powraca w godzinie śmierci. On mi ją powróci... nie ty, bo On rozporządza kresem człowieka.

— Ciesz się więc... będziesz wolny... nie długo.

Spojrzały ku niemu czarne, mściwe źrenice z marmurowo bladej twarzy... gdyby spojrzeniem zabić można... Zachichotały drzwi na rdzawych zawiasach i w cichym wilgotnym lochu

Jan sam pozostał, oparł głowę o mur i patrząc w dal, śpiewał — Jako jeleń do źródła krzyczy utęskniony.

A była w jego głosie potęga tęsknoty i spokój wielki.

*

* *

— „Błogosławieni jesteście, wy ubodzy! bo wasze jest królestwo Boże! Błogosławieni jesteście, którzy teraz łakniecie, bo będziecie nasyceni. Błogosławieni jesteście, którzy teraz płaczecie, bo będziecie pocieszeni. Błogosławieni będziecie, gdy was ludzie nienawidzić będą, gdy was z między siebie wyłączą, gdy was sromocić będą a imię wasze wyrzucą jako złe dla Syna człowieczego... Radujcie się dnia tego i weselcie, albowiem oto zapłata wasza obfitą będzie w niebiosach, boć tak czynili prorokom ojcowie ich".

— Tak czynili...

W wilgotnem wnętrzu więzienia dźwięczał chłopięcy głos Samuela, powtarzający słowa Jezusa z Nazaretu, jak słoneczna pieśń życia i piękna. Jan oczy przymknął, silne dłonie splótł, na ciemną jego twarz wybiegł uśmiech głębokiej radości. Gdy Samuel opowiadał, zdało mu się, że oto i on jest tam, pomiędzy rzeszą ludu, na słonecznem pobrzeżu Tyberyadzkiego jeziora... zdało mu się, iż widzi grę fal rozszeptanych, ciemne cyprysy, oliwki złote w tonie i wierzby srebrzyste a ożywcza woń wody, kwiatów, młodej zieleni w nozdrza mu uderza rozwarte... A tam na łodzi rysuje się smukła, jasna sylwetka, przestrzenią dźwięczy głos silny a każde słowo to... objawienie.

I oto nie wie już, czy to Samuel mówi, czy owa jasna zjawa, snująca się przed oczyma jego duszy, daje mu dopełnienie przeczuwanego, niesie spokój i moc a zabierając z serca niechęć i pogardę, wlewa mu w nie litość i przebaczenie.

— „Będziesz miłował bliźniego twego a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego.. aleć ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze, błogosławcie tym, którzy was

przeklinają, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, módlcie się za tymi, którzy wam złe wyrządzają i prześladują was, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiosach. On dozwala, że słońce wschodzi nad złemi i dobremi, On deszcz zsyła dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych".

— On musi róść a mnie ubywać musi, bom jeno poprzednikiem Jego był... rolnikiem, uprawiającym rolę pod siew. — Drżało w duszy Jana jak szczęsny, dopełniający akord tej pieśni wielkiego miłowania, która snuła się wokół niego... Tak prosto, tak jasno określały słowa Jezusa z Nazaretu życiową powinność człowieka:

— „Nie sądźcie a nie będziecie sądzeni, nie potępiajcie a i was potępienie ominie, przebaczenie nieście a stanie się ono waszym udziałem. Wszystko, co chcecie, by wam czynili ludzie, czyńcie im... albowiem to jest treścią prawa i proroków.

— O Panie! Panie! Panie mój! — łkało w duszy Jana, oto nagle padło światło w mrok tajemniczy Pisma, oto roztworzyły się przed nim głębie nieznane... widział przed sobą zjawę Boga, będącego jedną olbrzymią miłością, i rwała się do niego jego dusza roztęskniona.

Chłopięcy głos Samuela zerwał się i więzienie zaległa cisza a Jan, rozwierając łagodne teraz i ciche jak niebo oczy, pytał:

— I co jeszcze, synu... mów... jest mi, jak gdybym po długiem pragnieniu do ożywczego źródła przytulił usta.

— Mistrzu!.. widzieliśmy, jako ślepym światło przywracał, chorych, niemocą wieloletnią złożonych, jednem słowem swojem uzdrawiał... jako umarłych do życia budził.

Rożpromienione oczy Jana zwilgotniały łzami:

— Więc idą za nim wszyscy... wszyscy bez wyjątku... prawda Samuelu? Jako pragnąłem, jako marzyłem nieraz, idą za nim tęskne rzesze ludu a słowa Jego padają na glebę urodzajną i wydają plon... Panie! Mój Panie! gdybym to raz, przez mgnienie jeno ujrzeć mógł!

Chłopięca twarz Samuela spochmurniała, pobladła, gdy rzucił cicho...

— Nie... nie wszyscy... mistrzu!

— Nie rozumiem.., co chcesz powiedzieć przez to „nie wszyscy" Samuelu!

— Nie wszyscy idą za Nim.

— Dlaczego?

Chwilę panowała cisza i nagle uczeń osunął się do kolan Jana i kryjąc twarz w skórze wielbłądziej, opasującej mu biodra, łkał cicho.

— Co tobie... synu mój!

— Mistrzu... wielu jest... wielu jest takich, którzy Go zrozumieć nie mogą, a pomiędzy tymi, którzy uwierzyć nie mogli dotąd... jesteśmy i my... uczniowie twoi, Janie!

— I wy!...

Pełń bolu drżała w tym wykrzykniku...

I to jeszcze...

Czyż nie dość pełnym był kielich goryczy?

Drżącą dłonią odgarnął z czoła czarnych włosów gęstwę i pytał surowo jak sędzia:

— Dlaczego? Czyż dwukrotnie nie mówiłem wam: idźcie za Nim? Czyż nie starałem się być owym łącznikiem pomiędzy Nim a wami? Czyż całe moje życie nie było przygotowaniem drogi dla Niego właśnie?

Niewyraźne, zgłuszone łkaniem zerwało się pytanie:

— Czy... dla Niego?

— Dlaczego wątpisz?

Uczeń milczał, smukłe palce Jana wpiły mu się w ramię aż do bolu.

— Dlaczego wątpisz... mów!

— Dlaczego?... Mistrzu! bo jeżeli On jednem słowem z progu grobu do życia powracać może, jeżeli taką siłę ma i taką moc... to dlaczego... dlaczego...

— Co?

— Dlaczego pozwoli ci ginąć w tem wiezieniu, dlaczego cię nie uwolni?! Któż lepiej służył Mu od ciebie? Któż zasłu-

guje na pomoc Jego jeżeli nie ty? Chyba — kończył szeptem — iż On... nie jest tym, któremuś ty drogę torował.

Łagodnie silna dłoń Jana spoczęła na chłopięcej głowie a głos jego miękki był i smutny:

— Szaleńcze!.. jedno cię tylko tłumaczy... iżeś nie wiedział, co czynisz.

— Nie ja jeden... wszyscy tak myślimy, mistrzu!.. i dlatego braliśmy dotąd zawsze stronę faryzeuszy przeciw Jezusowi z Nazaretu... bo to nie może być ten, którego ty poprzedzałeś... to nie on... nie on... mimo wszystko! On zwróciłby ci wolność, Onby cię nie ścierpiał w więzieniu Heroda, On... uwolniłby cię cudem!

W więzieniu zaległo milczenie... Samuel wreszcie podniósł głowę i spojrzał w twarz Jana... po smagłych licach płynęły łzy... taki żal szarpał mu sercem, gorące wargi do smagłej ręki nauczyciela przytulił:

— Mistrzu!..

— O Samuelu.. wy przeciw Chrystusowi... wy! Urwał, bo głosu mu zbrakło, twarz w dłoniach ukrył a silnemi barkami bezradne wstrząsnęło łkanie.

— Mistrzu!..

— Słuchaj, Samuelu, a jednak uznajecie, iż jest w Nim moc wielka, czystość, potęga i siła ducha, jakiej w ludziach nie było i nie ma?

— Tego mu nikt zaprzeczyć nie może...

— I gdyby On wam rzekł, iż jest tym, którego przyjście głosiłem... uwierzylibyście jego słowu?

— Gdyby rzekł, iż jest tym, którego poprzedzałeś... ale... nie... nie... On nie powie tego.

— Powie.

Jan milczał chwilę, przez kraty więzienne wdarł się gasnącego słońca promień i padł na jego pochyloną głowę krwawą purpurą.

— Słuchaj, Samuelu!.. życie wędrówką jeno jest i ducha ludzkiego probierzem a człowiek w cierpieniu łatwiej odnajduje drogę do swego Twórcy, niżeli w radości, pomyśl o tem

a zrozumiesz, dlaczego Chrystus rzekł: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie". Pomyśl o tem a zrozumiesz, Samuelu, dlaczego Chrystus mnie nie uwolnił i... nie uwolni.

Czarne oczy Jana, wpatrzone w przestrzeń, przygasły, zdało mu się, iż wilgocią lśniące mury nagle zmętniały, zmieniły koloryt, iż zaczyna się na ich spękanej powierzchni snuć jakaś dziwna wizya... niewyraźna... daleka.

Niebo ołowiane w tonie... przerwane olśniewającym wężem błyskawicy,. wzgórze,.. zna je skądś, widział je niegdyś... ach tak! tam z tła wychylają się mury... Jeruzalem... wzgórze śmierci... Coś tak faluje, jak kwiatów olbrzymich fala... nie, to głowy ludzkie... pieniący, rozwścieczony tłum... a dalej?

Wytęża wzrok, nad tłumem góruje zjawa trzech krzyży. Panie mój! Panie!

Ten straszny lęk, pełznący mu żyłami do serca... ten lęk.

— I nagle z tego środkowego krzyża...

Senże to, czy jawa... może to mieć taki koniec?.. O Jahwe! Twój syn... Twój syn... Twój syn nawet!

Nie, nie... to nie może być... czyż tak spodlał lud izraelski... A jednak zdaje mu się, iż to młodzieńcze obnażone ciało widział już w chłodnych nurtach Jordanu i serce w nim szaleje... pęka z bolu.

O Jeruzalem! Jeruzalem! mordujące proroki swoje!..

Zniknęła zjawa a w duszy Jana snuje się szept:

— Poprzednikiem moim masz być.. i w męce.

Splotły się silne dłonie:

Jam robotnik Twój, Panie, i Twoja wola spełni się nademną...

— Mistrzu!..

Drgnął, w oczach miał jeszcze błysk zachwytu, gdy mówił wolno i cicho:

— Słuchaj, synu!.. oto On nie tylko, iż mnie nie uwolni, ale i w męce poprzednikiem Jego będę, mój kres nadchodzi i jedno jeszcze jeno pragnienie mam w duszy, byście wy, którzy uczniami mymi jesteście, byście wy jako ja służyli Chrystu-

sowi... Ja wam mówię dziś... w przeczuciu zgonu, iż On oczekiwanym Messyaszem jest, On Jezus z Nazaretu, ale pragnę, byście potwierdzenie moich słów i od Niego wzięli. Pójdziecie więc do Niego we dwóch... rozumiesz, Samuelu, bo taką jest liczba świadków, którą przepisuje prawo i zapytacie Go wobec wszystkiego ludu w mojem imieniu: Tyżeś jest ten, który ma przyjść, czyli innego czekać mamy? A potem idźcie za Nim i służcie Mu... Pamiętaj, Samuelu, rzeknij to innym, rzeknij ludowi izraelskiemu, że to była ostatnia prośba moja!..

— Dobrze, mistrzu,..

— Więc idźcie i wracajcie, bo pragnąłbym jeszcze ujrzeć was tak wierzących w Niego jako ja wierzę.. Idźcie zaraz... dziś jeszcze... dobrze, Samuelu?

— Dobrze, mistrzu!

Silna dłoń Jana i wątła ucznia sprzęgły się na chwilę w uścisku. Jan pragnął przelać w niego własną wiarę i własną siłę.

— Pokój i błogosławieństwo Pana z tobą, Samuelu!

— I z tobą.

Gdy się za uczniem drzwi zamknęły więzienne, Jan ukląkł i ukrywszy twarz w dłoniach, modlił się:

— Ty, który wszystko odczuwasz i wiesz wszystko... Ty, jedyny, dobry i wielki, wiesz, iż to nie ja wątpię i nie ja pytam... jeno, że Ci do stóp pragnę rzucić te dusze, aby światło było ich udziałem.

* * *

Gasło słońce.

Wśród tłumu chorych rysowała się smukła, wysoka sylwetka Jezusa z Nazaretu, właśnie dotknął palcami martwych oczu ślepca, gdy tłum się rozstąpił, przepuszczając dwóch uczni Jana, starego essenczyka Eliasza i młodzieńczego Samuela. Znać było na nich trud drogi dalekiej, zakurzone były płaszcze i sandały, znużone, wynędzniałe twarze. Gdy stanęli przed mistrzem z Nazaretu, uroczyście pytał Eliasz:

— Jan Chrzciciel posyła nas, pytając: Tyżeś jest ten, który ma przyjść... czyli innego czekać mamy?

Nastała cisza... słychać w niej było tylko niespokojne bicie serc czekającego tłumu i nagle przerwał ją okrzyk radosny, to ślepiec przypadł do stóp Chrystusa i wołał głosem, rwącym się od wzruszenia.

— Panie!.. oto ja widzę... widzę... Ciebie i błękit nieba... ludzi i drzewa... jako niegdyś... o Panie! Panie!

Słowa skonały w łkaniu, smukła ręka Jezusa spoczęła dobrotliwie na głowie uzdrowionego, gdy zwracając się do uczni Jana, mówił:

— „Idźcie więc i oznajmijcie Janowi, coście widzieli i słyszeli — gestem w krąg wskazał — ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci biorą oczyszczenie, głusi słyszą, umarli wstają, a ubogim opowiadana bywa Ewangielia". — Błękitne, głębokie oczy przesunęły się ze starczej twarzy Eliasza na młodzieńczą Samuela, gdy kończył. — „A błogosławiony jest, ktoby się ze mnie nie zgorszył".

A gdy uczniowie Jana odeszli, Piotr, odrzucając energicznym ruchem czuprynę z czoła, zapytał:

— Nauczycielu! zali on pytał dla siebie... czy dla uczni swoich?

A Chrystus, patrząc w dal, odpowiedział pytaniem:

— „Coście wyszli na puszczę widzieć? Izali trzcinę chwiejącą się od wiatru?"

* * *

Rozśpiewały się harfy pod ciemnymi palcami etyopskich niewolnic, snuły się przestrzenią radosne, perliste tony jak śmiechu młodzieńczego kaskada. Nagle do tej muzyki jasnej, pogodnej jak świt wiosennego poranka, zaczęła się łączyć pieśń inna, budziła się gdzieś w głębi ogrodu, wśród tajemniczych zawrotnych ścieżyn, szeptem zupełnie odmiennej melodyi, jakgdyby echem dalekiem innego życia, jakgdyby nadlatującego wiatru upalnem tchnieniem.

Potężniały tony, zmagały się, rosły, chwilami przeważał fletów dalekich namiętny, wabny głos, to znów harf beztroskliwy dźwięk.

I nagle flety zwyciężyły a z głębin ogrodu nadpłynęła smutna, żałosna melodya, śpiewana chórem cudnych, młodzieńczych głosów. Opadły z powrotem do ust podniesione puchary, w biesiadnej sali cisza zapanowała niezwykła a niewidoczny chór śpiewał:

Po Jordanu sennej fali,
w księżycową noc,
szept się róż uwiędłych żali
na słoneczną moc...
Na słoneczną moc.

* * *

Rano jeszcze w pełni siły
piły światło zórz,
wieczór — główki pochyliły,
by nie powstać już...
By nie powstać już.

Zaledwo echo pieśni skonało w przestrzeni a z niem melodya fletów, gdy siedzące na narożnikach rozłożonego w biesiadnej sali kobierca Etyopki uderzyły na harfach swoich w radosną, burzliwą, upojną życia pieśń.

Równocześnie rozsunęła się w głębi ciemna kotara i biała, smukła postać tancerki spłynęła jednym lekkim odruchem na środek kobierca.

Zgłuszone ozwały się oklaski i zmilknęły.

Tańczyła... przejrzyste, miękkie gazy spowijały ją, lgnęły do jej kształtów gibkich, młodych, — drobne, bose stopy, obciążone bransoletami, w takt melodyi, szalejącej przestrzenią, zdawały się ulatywać nad ziemią. Każdemu jej ruchowi towarzyszył cichy, drażniący dźwięk łańcuszków złotych.

Teraz jej smukłe, dziewicze ciało i białej gazy igrające zwoje tworzą, zda się, jedną rozwirowaną kolumnę, nie można

dojrzeć, ni rozróżnić rysów twarzy, złoto-rude włosy rozwiały się i otoczyły ją falą wężowych skrętów.

Łańcuszki dzwonią, brzęczą bransolety, przekomarzają harf głosy rozśmiane, gdy oto nagle z głębin ogrodu płynie znowu upalny, namiętny fletów szept.

Och! jak dźwięczą, namawiają, proszą.

Jeden zwrot i tancerka z pełni ruchu przeszła do zupełnego bezczynu, zda się, w posąg zastygła, z piersią podaną naprzód, z wyciągniętemi ramionami. Drżą rzęsy spuszczone a na rozchylonych, takich dziecięcych w zarysie ustach snuje się wyraz podziwu, niepokoju, trwogi.

Coraz ciszej, coraz lękliwiej harfy dźwięczą, aż rozsypały w przestrzeni fale dźwięków tak żałosnych jak łzy i umilkły a wokół jeno flety tęsknią, szaleją i śmieją się drwiące, przekorne dzwonki.

W takt tych tonów, zupełnie nieznanych i nowych, usiłuje tańczyć dziewczyna, z początku wolno, niepewnie, jakgdyby każdy ruch był dla niej niespodzianką i trudem.

Z szalonej radości dziecka budzi się kobieta, wyciągnięte ramiona tulą, zda się, jakiś kształt urojony.

Szepty zamilkły, setki oczu chłonie spojrzeniem ten podniecający taniec... taki zmysłowy i taki niewinny, taki namiętny i dziwnie czysty zarazem.

Bladą, nalaną twarz Heroda-Antypa pocentkowały plamy krwi, zmysłowe wargi drżą, bezbarwne oczy mętne i nieprzytomne chłoną tancerkę, a z za ciemnej kotary śledzą wyraz jego twarzy mściwe, tryumfujące źrenice Herodyady.

Oto go miała tam, gdzie go mieć chciała.

Ona, Herodyada, ziemi i piekłu wydarła ten taniec i oto gra nim na nerwach tych wszystkich słabych, rozpustnych mężczyzn... i uśmiech drwiący ma na ustach wilgotnych a oczekiwanie w spojrzeniu.

Czy stanie się, jako pragnęła?..

Jeszcze jeden leniwy, senny ruch, zerwała się fletów melodya namiętna jak struna, siłą akordu przerwana i Salome zastygła w bezruchu.

Czerwono-złoty błysk lamp oliwnych, jarzących się w krąg sali biesiadnej, pada na jej bladą, dziecięcą, lekko odchyloną twarzyczkę w obramowaniu włosów ciemno-rudych, połyskujących słonecznie na skrętach.

Zerwała się szalona burza oklasków, okrzyków, kwiaty padają do jej stóp.

Salome stoi nieruchomo, wreszcie powieki jej drgnęły i wielkie ciemno-błękitne oczy ogarnęły tych mężczyzn obcych, rozentuzyazmowanych, pytającem, zdumionem spojrzeniem, co było w jej tańcu tak niezwykłego, iż taką burzę rozpętał wokoło niej.

A oto Herod-Antyp podniósł się i idzie chwiejnie ku niej, pijany winem i radością, a głos jego dźwięczy tak jakoś dziwnie, inaczej niż zazwyczaj i w duszy Salome budzi trwogę.

— Proś mnie, o co chcesz, Salome, a dam ci. A w niej jest jeno lęk i zakłopotanie... pragnęłaby uciec z tej sali... uciec jak najprędzej... serce jej tak bije... niespokojne, trwożne jej oczy zwracają się ku kotarze, za którą wie, iż matka jej stoi.

Wilgotną, spoconą ręką Herod ujmuje jej dłoń a głos zmatowany mówi:

— Nie lękaj się, Salome, i proś, o co chcesz... przysięgam ci... o cokolwiekbyś mnie prosiła, dam ci... chociażby to miała być połowa królestwa mojego.

Lękliwe oczy Salome, oczy sarny ściganej wznoszą się ku twarzy Heroda prośbą.

— Pozwól... namyślę się i powiem ci.

Wydarła ręce z jego dłoni i frunęła jak ptak spłoszony ku zasłonie, zniknęła za nią, dobiegł ją jeszcze śmiech i głos Heroda:

— Namyśl się.

Wątłe jej ramiona oplotły smukłą, królewską kibić Herodyady, przytuliła głowę do jej ramienia:

— O powiedz... powiedz, o co mam prosić.

— Choćby o połowę królestwa... Herod podzieli go z tobą — ironiczny, drwiący śmiech zmroził duszę dziewczęcia.

— Matko!..

— Salome!.. tańczyłaś jak jawnogrzesznica... wstydź się!

— Matko!..

Czarne otchłanne oczy Herodyady wpiły się w jej gołębie, trwożne źrenice spojrzeniem.

— Jeżeli naprawdę nie wiedziałaś, co czynisz, to wróć na salę i poproś Heroda, by ci dał głowę Jana Chrzciciela na misie... znienawidzi cię wtedy.

Opadły ramiona dzieweczki, taki ma w duszy krwawy lęk, taką trwogę... zbladłe usta szepczą:

— Ależ ten człowiek nic mi nie uczynił.

— Dobre dziecko staje w obronie matki... ale ty nie jesteś dobrem dzieckiem, Salome.

Błękitne oczy wzbierają łzami, zdaje się jej, że oto tym tańcem lekkim i radosnym nad brzeg przepaści przybiegła i runąć w nią musi, chociaż w niej wszystko wzdryga się wstrętem. A czarne oczy Herodyady płoną nad nią nakazujące, nielitościwe, mściwe... wżerają się w jej duszę, w mózgu głąb...

— O głowę Jana Chrzciciela proś!..

— O matko!.. matko!.. — błaganie jest w tym okrzyku, nadziei ostatni błysk — Matko!...

— O głowę Jana Chrzciciela proś... albo odtrącę cię od siebie, dziecko występne!

Podniosła się z kolan Salome i idzie w pełń światła bieialnej sali jak we śnie, dziecięce usta jej drżą a głos, łamiący się trwogą, powtarza słowa Herodyady jak straszną, wyuczoną z trudem, lekcyę:

— Chcę, abyś mi teraz dał na misie głowę Jana Chrzciciela...

Pobladł Herod, oprzytomniał, błędne jego oczy, oszalał trwogą, wpijają się w twarzyczkę dziewczyny... możliweż to? Nie... przesłyszał się chyba, więc pyta, dławiąc się słowami.

— Czego... o co... prosisz Salome?...

— Czego ona prosiła? — szept się snuje wśród biesiadników i w nagłej ciszy dźwięczy martwy, smutny głos Salome.

— Dasz mi głowę Jana Chrzciciela na misie...

A usta jej drżą jak do płaczu...

Herod-Antyp przesłonił twarz dłonią...

O gdybyś była zażądała królestwa połowy!..

Zdaje mu się, iż przestrzenią drży głos: ona żąda wieczności twojej, Herodzie.

Spojrzał wkoło... ciekawe spotkał spojrzenia i rzucił głucho, podnosząc się od stołu:

Dostaniesz ją.. tygrysico!

* * *

— Janie, wybacz, iż ci przerywam modlitwę... ale — głos młodego rzymskiego żołnierza drży bezwiednie, krwawy refleks pochodni ślizga się po wilgotnych płytach podłogi, po srebrzystych kolczugach żołnierzy i pada pełnią blasku na smagłą młodzieńczą twarz Jana, pogrążonego w modlitwie, na jego oczy, pełne spokoju i szczęścia.

Oto przyszedł kres.

Oto poprzednikiem Pana ma być raz jeszcze...

I jest mu jak oblubienicy w dniu wesela.

I gdy żołnierzowi zbraknęło głosu, kończy za niego z uśmiechem pogodnym.

— Kazano ci, byś mi życie odebrał, Publiuszu...

— Tak... głowę twoją mamy przynieść natychmiast do sali biesiadnej... nie miej do nas żalu... czcimy cię wszyscy, ale rozkaz jest rozkazem... i spełnić go muszę.

— Czyń twoją powinność, synu... i niech ci Bóg przebaczy jako ja z serca przebaczam.

Przyklęknął... silne ręce złożył, głowę na więziennej ławie położył i kark obnażony poddał pod miecz żołnierza.

Publiusz zacisnął zęby i miecz wzniósł.

Szeroko rozwarte, modlitwy i prośby pełne oczy Jana nie widzą połysku miecza wzniesionego, ni pobladłych żołnierskich twarzy... przed nim snuje się morze blasku, rozedrgana fala światła... idzie po niej ku niemu jasna, młodzieńcza postać Chrystusa...

Taką moc szczęścia ma w duszy... taką ciszę...

A łagodny głos Pana go wzywa:

— Pójdź ze mną w światło!

— W światło! — cichy okrzyk bezmiernego szczęścia drży w przestrzeni... spadł miecz na kark obnażony i jednym potężnym ciosem głowę od bark oddzielił.

Wielkie, promienne oczy Jana Chrzciciela przymknęły się zwolna a na usta wybiegł uśmiech.

Raz pierwszy w życiu drżały silne ręce Publiusza, gdy bladą, odciętą głowę na tacy przygotowanej składał.

* * *

— Oto głowa Jana Chrzciciela... księżniczko!..

Przerażone, błękitne oczy dzieweczki i zmętniałe łzami żołnierza spotkały się w przestrzeni i Publiusz rzekł twardo:

— On... odszedł w światło... a my w mrok idziemy, księżniczko!

Marya Czeska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Podręcznik praktyczny Teologii pasterskiej. *Ks. Dr. Karol Dębiński.* Warszawa 1914, 2 tomy, str. 246 + 383 + XV. Wydawnictwo Biblioteki dzieł chrześć., zeszyt 159, 160, 167 i 168.

Podręcznik ten, wydany jeszcze r. 1914., znalazł się wskutek zawieruchy wojennej, w zapiskach bibliograficznych dopiero przed 2 miesiącami, czem się też tłumaczy jego opóźniona recenzya. Pod względem technicznym autor ujął w 1. tomie duszpasterstwo właściwe, w II. administrowanie św. Sakramentów, a w szczególności Pokuty. W zakończeniu zamieścił „Przepisy ogólne w przedmiocie aktów stanu cywilnego". Z całego obszernego materyału, jaki się u nas przywykło widzieć w podręcznikach Teologii pasterskiej, znajduje się w tym podręczniku ledwie część mniejsza. A mianowicie nie dał w nim autor miejsca ani Homiletyce, ani Liturgii ogólnej, a ze szczegółowej wybrał tylko „wiadomości praktyczne", pomijając zupełnie stronę „dogmatyczną, moralną i liturgiczną" (II, 3 nota 2). Co do Homiletyki można się pogodzić z postąpieniem autora, gdyż materyał jej urósł już obecnie do znaczenia i rozmiarów oddzielnej umiejętności, należą mu się przeto zarówno oddzielne katedry, jak osobne podręczniki. Inaczej ma się jednak rzecz z Liturgią. Wchodzi ona — nawet ogólna — tak ściśle w codzienny tok duszpasterstwa, że bez tej znajomości prawidłowe jego czynności aż nazbyt często zrozumieć się i wykonać nie dadzą. Doświadczył tego na sobie sam autor, gdyż mimo zastrzeżenia się (jak wyżej), że postanowił pominąć zupełnie stronę liturgiczną, aby ograniczyć się

tylko do wiadomości praktycznych, przecie raz po raz był wprost zniewolony wplatać przygodnie szczegóły, nawet z samej Liturgiki ogólnej w tok swych praktycznych wskazówek (jak n. p. o chrzcielnicy, o patenie, o tabernakulum, o tronie eucharystycznym, o puszce, o konfesyonałach i t. d. i t. d.). Cała zaś Liturgika szczegółowa bez wyjątku, więc nie same tylko wyłączne szczegóły, odnoszące się do administrowania św. Sakramentów, należy z natury rzeczy do zakresu duszpasterstwa. Uchylanie tego materyału może być dogodne dla wydawcy, wątpić jednak trzeba, czy także dla czytelnika. Może duchowieństwo w Królestwie braku tego nie odczuje, gdyż tam posługiwać się może osobno Liturgią i Ceremoniałem parafialnym Ks. bpa Nowowiejskiego. Lecz i te podręczniki są obecnie nie łatwo dostępne i nie dość dogodne. Liturgia zakrojona jest na zbyt szerokie ramy i stosunkowo też wysoka w cenie, zaś Ceremoniał potrzebuje po zarządzeniach św. Kongr. Obrzędów z r. 1911. i 1913. gruntownej przeróbki, zwłaszcza w obrębie I. tomu.

Zostawiając jednak na boku życzenia, jakieby mieć można wogóle do praktycznego podręcznika Teologii pasterskiej w bieżącej dobie, recenzent ograniczyć musi swe uwagi jedynie do materyału, jaki szan. autor uznał za stosowne pomieścić w swym podręczniku, podkreśliwszy w przedmowie z całą skromnością, że „wiadomości, przezeń podane, nie są nie tylko wyczerpującemi, ale nawet w wielu razach wystarczającemi". To wyznanie trzeba przyjąć *cum grano salis*. Tom pierwszy może zadowolić nawet wybredne wymagania. Uwzględniając potrzeby nowoczesnego duszpasterzowania (Ateneum kapłańskie, 1913. X. 142) zapełnił go autor wskazówkami o duszpasterstwie właściwem, wziętem w znaczeniu ściślejszem. Jako powagi autorskie, na których dzieła często się powołuje w odsyłaczach, służą mu: Berardi, Micheletti, Michalovics i Instructio Eystettensis. Z polskich, przytacza w spisie „Krukowskiego" Pastoralną:[1]), Pelczara „Medycynę Pasterską", a tu i ówdzie powołuje się także na „Pasterza" tegoż autora, na „Wiadomości pasterskie" warszawskie i Przewodnik społeczny włocławski, a także na Dubois'a „Praktyczna gorliwość kapłana" w tłum. Ks. Marcińskiego. O Sakr.

[1]) Widocznie dwutomową z r. 1869.; data w spisie dzieł „1874" odnosić się może chyba do tegoż kompendyum, lecz to miało ostatnie (3) wydanie w r. 1887.

Pokuty Ks. Kopycińskiego wspomina przygodnie. Nie rozróżniając ściśle między duszpasterstwem zbiorowem a indywidualnem, autor podaje w tym tomie za wzorem Ks. bpa Pelczara (Pasterz według Serca Jezusowego) szereg artykułów niekiedy nawet w stylu fejletonowym, o stosunku proboszcza do wszelakich instytucyi zbiorowych lub do pewnych jednostek, z któremi wchodzić musi w kontakt w swem urzędowaniu i pasterskiej działalności. Do najudatniejszych, a zarazem najpełniejszych, zaliczyć tu należy wskazówki o wzajemnym stosunku proboszcza i wikarego, o obowiązkach służby kościelnej, jakoteż przepisy ogólne w przedmiocie aktów stanu cywilnego (t. II. 364—383 wedle Machanowa, Warsz. 1858).

Są jednak obok spraw podanych w tym dziale jeszcze liczne inne, wielce ważne dla duszpasterstwa, które autor albo porusza tylko z lekka, albo nawet wprost pomija milczeniem. Do pierwszych należą: akcya katol.-społeczna (I. 168 i 169), emigracya do obcych krajów, a zwłaszcza do Ameryki, jej bowiem nie wyczerpuje samo wychodźtwo na roboty letnie (I. 214), kinematografy[1]) i teatr (I. 222), praca duchowna nad inteligencyą (I. 165). Do drugich: stosunek proboszcza do szkoły, która wraz z kościołem i domem rodzinnym musi być lwią częścią duszpasterstwa obok prawdziwego nauczania w niej religii; usuwanie rozlicznych przeszkód w parafii; pozytywna praca duszpasterska w kościele, nabożeństwo kościelne obowiązkowe i pozaliturgiczne, czujność nad przestrzeganiem przykazań kościelnych; pasterzowanie w parafiach wiejskich, zwalczanie w nich — obok innych wad — także próżniactwa, pieniactwa i lichwy; właściwości parafii miejskich i walka w nich z wszelkimi przejawami niemoralności, nowoczesny ruch feministyczny, opieka duszpasterska nad dziatwą sierocą, bezdomną, zaniedbaną moralnie, upośledzoną umysłowo lub fizycznie; zajęcie się młodzieżą popisową i t. d. Wogóle tak zw. duszpasterstwo socyalne, tyle ważne w dobie obecnej, załatwia autor tylko przygodnie. Tak n. p. pod napisem: „Stosunek

[1]) Używanie latarń czarnoksięskich i kinematografów do obrazów świetlnych w kościołach, co autor za zgodą władzy kościelnej dopuszcza, (I. 190), a co także dr. Swoboda (*Grossstadtseelsorge*, ²214) oglądał w Salezyańskiem oratoryum w Tryeście, jest już obecnie zabronione. (S. C. Consist. 10, XII. 1912).

proboszcza do parafian-mężczyzn" mówi po kolei o pracy a) nad sferą robotniczą, b) nad inteligencyą i c) w stowarzyszeniach (I. 161), a pod napisem: „Stosunek proboszcza do matek chrześcijańskich" czyta się 1) o pracy społecznej, 2) o dziełach miłosierdzia, 3) o stowarzyszeniach religijnych (I. 169—172). Niektóre napisy dają nierównie mniej, niż obiecują, tak n. p. „Stosunek proboszcza do żydów" wypełnia prawie w całości wskazówka o postępowaniu z prozelitami przed udzieleniem im Chrztu św. Kolędy radzi autor odbywać w ten sposób, by dla każdej rodziny poświęcić jeśli nie całą, to choćby pół godziny, ale uznając, że w ten sposób nie zdołałby duszpasterz nawet wspólnie z wikarym załatwić się w obszernej parafii nawet w kilku miesiącach, radzi je (I. 144) rozłożyć na różne pory roku lub nawet na lat kilka i porządkiem wsi odbywać. Bene. Ale natenczas nie będą to już właściwe kolędy, lecz zwyczajne odwiedziny pasterskie, skądinąd zawsze i wszędzie zalecenia godne.

Dla pogadanek i wykładów w związkach uznaje autor za najodpowiedniejszą formę d y a l o g o w ą (I. 165). Dobre to może indziej, ale wątpić należy, czy w naszych parafiach dałoby się z jakimkolwiek pożytkiem zastosować.

Wedle przepisów liturgicznych rąk celebransa podczas procesyi teoforycznej (I. 148) nie mają podtrzymywać osoby świeckie, a więc także nie kolator.

W obszernym materyale II. tomu o administrowaniu św. Sakramentów wypadnie do następnego wydania niektóre szczegóły sprostować, inne uzupełnić. I tak:

Na str. 5. Warunki dla udzielania Chrztu św. w domach prywatnych są obecnie znacznie złagodzone. Wedle orzeczenia S. C. Sacr. 23. XII. 1912 (AAS, 4, 725) i 17. I. 1914 (AAS. 1914, 32. 65) mogą biskupi nań zezwalać nawet poza niebezpieczeństwem życia niemowląt *ex iusta et rationabili causa*. Lecz w żadnym razie, a więc nawet wobec grożącej śmierci, nie wolno wtedy kapłanowi oddzielać chrztu z wody od ceremonii, i spełniać Chrzest w białej stule w domu, a opuszczone ceremonie uzupełniać następnie w kościele, chybaby mu dziecię umarło pod ręką i nie było już czasu na uzupełnienie ceremonii.

(Str. 22.) Obecnie odbiera się wedle życzenia Piusa X. przed przyjęciem Bierzmowania, tak od młodzieży jak od osób dorosłych, odnowienie przymierza Chrztu św. (Kklw. 1914, IV. 25).

Str. 23. Z pośród kościołów nieparafialnych może być N. Sakrament przechowywany bez oddzielnego i specyalnego pozwolenia we wszystkich klasztornych kościołach, męskich i żeńskich, gdzie istnieje klauzura kanoniczna (S. C. Ep. 25. V. 1635; D. auth. 860). Czasowo t. j. na czas przejściowej potrzeby można przechowywać N. Sakr. nawet w 2 ołtarzach w tym samym kościele, gdy n. p. w jednym jest wystawienie dla adoracyi, a równocześnie w drugiem tabernakulum dla rozdzielania Komunii św. w czasie wystawienia *cum particulis praeconsecratis.*

Str. 27. Prywatne wystawienie, (u nas zresztą nie praktykowane), polega właściwie nie na wystawieniu Ssm p r z e d drzwiczkami tabernakulum na ołtarzu, lecz w samym jego otworze po otwarciu drzwiczek, bez wyjmowania na zewnątrz. (D. auth. 800, 2725 ad 4, 3394 ad 1).

Str. 35. Komunię św. można rozdawać bezpośrednio po Mszy św., a więc przed odmówieniem modlitw dodatkowych, a nawet bez nich, wedle SRC. 20. VI. 1913 *„si Missa cum aliqua solemnitate celebratur vel Missam, quia celebrans ab altari recedat, immediate ac rite subsequatur aliqua s a c r a f u n c t i o seu pium exercitium“.*

Str. 36. Patena przy rozdawaniu Komunii św. dopuszczona jest wtedy, gdy ją rozdaje biskup (D. auth. 1210), a patenę podtrzymuje kapłan. Przy zwykłych Komuniach pożądaną byłaby choćby jakaś tacka, którą mógłby ministrant podsuwać pod brodę komunikujących, skoro pateny dotykać mu nie wolno. W każdym razie należałoby się dopiero postarać o pozwolenie wprowadzenia takiego celowego zwyczaju, skoro sam obrus nie zabezpiecza dostatecznie przed upadkiem św. Hostyi na ziemię.

Str. 44. Przy zanoszeniu św. Wijatyku wolno w tych dyecezyach, gdzie postarano się o pozwolenie, okrywać głowę biretem lub piuską „propter austeritatem temporis vel propter calorem solis n o n t a m e n i n t r a c i v i t a t e s et oppida“ (SCR. 14. I. 1888; D. auth. 2908, 3059 ad 19, 3246). Niektórzy moraliści rozciągają to pozwolenie per epikiam na „casus urgentiores“ (Lehmkuhl II, 140). Na t a j n e zanoszenie św. Wijatyku (bez światła, dzwonka, z ukryciem szat kościelnych pod cywilnemi, w kapeluszu lub czapce na głowie) zasadniczo Kongr. Obrzędów nie pozwala, a zwyczaj taki nazywa nadużyciem („Praedictum usum non esse consuetudinem, sed abusum omnino abolendum“ 6. II. 1875; D. auth. 3337). Wyjątkowo tylko i to dla b. ważnych przyczyn otrzymają nie-

którzy biskupi w kwinkwennaliach władzę pozwalania na takie
w inno się Go zanosić zawsze „manifeste et honorifice". SC. de discip. Sacr. 23. XII. 1912 (AAS. 4, 725) daje biskupom władzę pozwalania na zanoszenie Komunii św. osobom niedość zdrowym, a pragnącym ją przyjąć „propter devotionem", lecz to nie odnosi się do św. Wijatyku.

Dla praktyczności podręcznika wypadałoby w rozdziale o Komunii św. wspomnieć także o Komunii św. w obcym obrządku (Konst. ap. 14 IX. 1912. AAS. 4, 609), o przepisach co do Komunii św. w zgromadzeniach zakonnych (SCEp. et Reg. 17. XII. 1890) w stosunku do dekretu o częstej i codziennej Komunii św., jakoteż o zanoszeniu Komunii św. chorym mniszkom (SCReg. 1. IX. 1912, AAS. 4, 625), o rozdawaniu Komunii św. podczas Mszy św. i poza
ństwie po jej rozdaniu, o puryfikowaniu puszki i lunuli, o odnawianiu Ssmi i t. d.

Str. 48—80. W rozdziale o Mszy św., skoro już znalazło się miejsce dla Mszy św. żałobnych i *pro sponsis*, przydałoby się nieco także o innych wotywach, o Mszy św. w domach prywatnych (S. C. Sacr. 23. XII. 1912, AAS. 4, 725) jakoteż o *Motu proprio* Piusa X. co do śpiewu i muzyki kościelnej przy Mszach św. uroczystych (21. XI. 1903; SRC. 7. VI. 1904).

Str. 87 in. Przy omówieniu jurysdykcyi względem zakonników i przepisów, obowiązujących zakonników co do spowiedzi poza klasztorem, należało nadmienić koniecznie o dekr. SCReg. z 5. VIII. 1913 (AAS. 5, 431). Również przydałoby się może więcej rozwinąć szczegół o spowiedzi zakonnic w rozmiarach nowszego dekretu (str. 88).

Str. 92. W sprawie rezerwatów i cenzur tak papieskich jak biskupich odsyła autor czytelnika do Teologii moralnej. To wygodne, ale czy praktyczne? Wszak słuszna, by ważny ten materyał znalazł się tam, gdzie się rozprawia o administrowaniu Sakr. Pokuty, jakto stale spotyka się w podręcznikach Teologii pasterskiej. Było to chyba potrzebniejsze, niż cały traktat o przeszkodach małżeńskich (243—299), począwszy od zalotów aż do dyspens od przeszkód, należący z natury rzeczy do prawa kanonicznego.

Str. 105. Określenie „przygotowany" do otrzymania rozgrzeszenia zmienia autor indziej (162, 183, 227) na „usposobiony". Lecz „usposobienie" odnosi się zazwyczaj tylko do przejawów psychicznych, czyli temperamentu, podczas gdy tu chodzi z reguły o posiadanie

warunków, należnych do Sakr. Pokuty. Czy nie lepiej już używać terminu „przysposobiony", lub przyjętego powszechnie „dysponowany" str. 148 i nn.? Przyjęte jest wprawdzie u pastoralistów stosowanie rozgrzeszenia warunkowego przy *dubium facti*, lecz nie tak powszechnie przy *dubium iuris*, t. j. gdy się wątpi o dyspozycyi penitenta, gdyż mimo powagi św. Alfonsa, który go broni, jest ono właściwie zawieszeniem wyroku sędziowskiego i wymaga nadto dalszego starannego postępowania (Prax. conf. § 148, 3) względem penitenta. Jeśli tedy spowiednik nie ma moralnej pewności, iż penitent jest należycie dysponowany, więc jeśli musi o tem wątpić, nie powinien dawać rozgrzeszenia, ale je odroczyć, chyba że go skłania *urgens necessitas* (Noldin[6], III. 280). Autor rozporządza jednak warunkowem może zbyt hojnie (por. str. 148, 161, 162 (2 razy), 182 (2), 197, 198 (2), 227 (3), 228 (4), 230).

Str. 194. Na to właśnie są książki apologetyczne, aby je czytali dla pouczenia nawet ludzie w rzeczach wiary nie dość oświeceni, wątpiący lub nawet niewierzący.

Str. 235. Piękne są niezawodnie uwagi o alumnach, ale to przecie nie może jeszcze wypełnić całego Sakr. Kapłaństwa.

Str. 239. Sakr. Ost. Namaszczenia ma zazwyczaj w podręcznikach miejsce po Sakr. Pokuty, jako jej uzupełnienie (a względnie zastąpienie) w stanie choroby.

Przy wielkiej zresztą obfitości materyału, w II. tomie zawartego, przydałoby się przecie nieco więcej o adoracyi NSakr. (II. 28), o nabożeństwach eucharystycznych, o procesyach teoforycznych, o różnolitych formach nabożeństwa ludowego i pozaliturgicznego. Wcale wyczerpująco opracował szan. autor Sakr. Pokuty, a tylko dla przejrzystości i łatwiejszego oryentowania się pożądane byłoby (jak zresztą i w innych partyach) oddzielenie tematów ważniejszych, jak n. p. o zadawaniu pytań penitentom, o ich dysponowaniu, o udzielaniu, odraczaniu lub zaprzeczaniu rozgrzeszenia i t. p., a więc zaopatrzenie ich odrębnymi napisami, by ich nie trzeba dopiero wyszukiwać i zgadywać pod innymi napisami. Niektóre zwroty lub wyrazy wypadałoby zastąpić innymi, jako to: Księgi metryczne (chyba: metrykalne I. 71); wychodzić z kim I. 79, 82, 88, 151); bractewny (I. 129); przystąpienie samego siebie (I. 168; tem niemniej (tamże i indziej), robić nacisk (zam. kłaść II. 161, 192); dostateczność małżeństwa cywilnego (II. 195); przy wystąpieniu o dyspenzę (II. 297) itp.

Niezależnie jednak od licznych luk, które zresztą łatwo dadzą się uzupełnić, podręcznik ten już w obecnem wydaniu przedstawia znaczny postęp w dziedzinie teologii pasterskiej i oddać zdoła niewątpliwie większą przysługę, aniżeli te nieliczne polskie, które go pod tymże samym napisem poprzedziły. *X.*

Podręczna Encyklopedya Kościelna. Tom 43—44. litera W—Ż. Warszawa 1916, str. 327+ Supplement I. Str. LXXI. in 8°, litera A—Ż.

Witając z radością to nader pożyteczne wydawnictwo polskie, nie od rzeczy będzie rzucić okiem na jego przeszłość. Myśl wydawania Encyklopedyi Podręcznej wyszła od redaktora „Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich" ks. prałata Zygmunta Chełmickiego. Odczuwając pilną jej potrzebę dla naszego narodu, w r. 1903. zgrupował obok siebie zastęp współpracowników, z pośród kapłanów i uczonych świeckich, a przy ich pomocy przystąpił raźno do dzieła w r. 1904. W ciągu 12 lat liczba współpracowników wynosiła z górą 100 osób, w tem przeszło 80 kapłanów, i spełniła szczęśliwie swój szeroko nakreślony program. Pobieżne nawet przejrzenie Encyklopedyi okazuje dowodnie, że jest ona istną kopalnią cennych wiadomości, podręcznem źródłem drobnych, treściwych i dokładnych informacyi ze wszystkich dziedzin życia kościelnego. Zawiera ona uwagi i wskazówki o wszystkiem, co dziejów Kościoła katolickiego dotyczy, co się do Boga i jego chwały odnosi. Wszystkie działy teologii, Pismo św., liturgia, prawo kanoniczne, filozofia, historya i geografia Kościoła powszechnego i w Polsce w szczególności znalazły w niej należyte opracowanie. W żadnem z zagranicznych podobnych wydawnictw nie spotykamy lepszego uwzględnienia literatury i tak obfitego wykazu nazwisk malarzy, rzeźbiarzy, poetów i pisarzy, którzy pracowali dla Kościoła, a swem przekonaniem katolickiem jawny dali wyraz, jak to ma miejsce w Encyklopedyi Podręcznej. Jest ona przeto, śmiało powiedzieć można, wiernem odbiciem katolickiego poglądu na świat, a pod względem rozmiarów swych i treści encyklopedyom zagranicznym bynajmniej nie ustępuje. Ks. prałat Chełmicki położył wielką istotnie zasługę koło dobra Kościoła wogóle i w Polsce w szczególności, podejmując wydawnictwo podręcznej Encyklopedyi Kościelnej. Odczuł to dobrze najdostojniejszy arcypasterz warszawski, ks. arcybiskup Aleksander Kakowski, dlatego w osobnym liście, wystosowanym do ks. Chł-

mickiego, to bogactwo, przedmiotowość i treściwość artykułów w Encyklopedyi z uznaniem podkreślił, a za tę pracę, doprowadzoną do końca, tak redaktorowi, jak i wszystkim jego współpracownikom serdecznie podziękował. Redakcya zapowiedziała, że w niedalekiej przyszłości ukaże się jeszcze szczegółowy indeks alfabetyczno-rzeczowy do wszystkich tomów Encyklopedyi, poczem co lat kilka będą wychodziły supplementy, uwzględniające rzeczy bądź dotychczas opuszczone, bądź dopełnienia lub omówienia zagadnień całkiem nowych, a z Kościołem i religią związanych. Wprawdzie w tym ostatnim tomie widzimy już Supplement I., obejmujący litery A—Ż, ale to jeszcze nie wystarczy, dopiero za lat kilka ukaże się supplement obszerny. Szczerze wydawnictwu tego życzymy, bo dotychczas o wielu jeszcze pisarzach polskich, zwłaszcza z nowszych czasów, nic dotąd nie podano, ale w tem redakcyi winić nie można, bo tego rodzaju encyklopedyczna wiedza powoli się rozszerza, z trudem się zdobywa. *J. S.*

Ochrona zabytków. *Józef Muczkowski.* Kraków. — Nakładem autora 1914. Str. 185 i 28 tablic.

Zabytkom naszej przeszłości nie tyle szkodzi ząb czasu, który gryzie powoli, ile raczej nieumiejętna ich sustentacya. Ileż to wspaniałych pomników architektury padło w ostatnich czasach ofiarą nieświadomości w rzeczach konserwacyi, a czasem i nierozsądnego uporu. Dzięki wytężonej działalności Towarzystw opiekujących się zabytkami czy w Warszawie czy w Krakowie, wypadki t. zw. „stylowej“ restauracyi dawnych kościołów i budowli świeckich stają się, Bogu dzięki, coraz rzadsze.

Ambicya „restauratorów“ nie kusi się już o przyprowadzenie do „dawnej świetności“ kościołów — zwłaszcza gotyckich — w słusznem rozumieniu, że niepodobna w naszych czasach tworzyć w stylach, które były wyrazem ducha, uczuć, wierzeń i całej kultury minionych już epok. Zdarza się jednakże jeszcze zbyt często — i to nie tylko na polskich ziemiach, że wynikiem konserwacyi zabytków, poczętej w najlepszej woli i najszlachetniejszej intencyi, są tylko szkody, nieraz niepowetowane. — Pochodzą one z braku fachowego wykształcenia w dziedzinie sztuki i jej technik, oraz z powodu posługiwania się przy restauracyi zabytków siłami zupełnie nieukwalifikowanemi. Czasem zaufanie we własny dobry smak, pozostający w odwrotnym stosunku do jego podstaw, porywa

się nie tylko na prace ściśle ochronne, ale pragnie ponadto „ozdobić“ odnowiony dom Boży „wspaniałą“ polichromią i „mieniącymi się“ od barw witrażami.

W ten sposób „upiększono“ wnętrze pewnej, polskiej katedry (nie krakowskiej) i kilku okazałych, barokowych kościołów w Galicyi, nie bacząc, że niepowołany artysta nie tylko oszpecił, powiedzieć można na wieki całe, ściany i sklepienia, ale wprowadzając niezestrojone ze sobą barwy i kompozycye „stylowe“, — świadczące o braku wszelkiej, artystycznej kultury, paczy wyobrażenia prostaczków o prawdziwej sztuce.

Wobec szkód tego rodzaju najmniej jeszcze ubolewać można nad brakiem wszelkiego zainteresowania się losem przekazanych nam przez przeszłość zabytków. Piszącemu te słowa trafiło się nieraz, że na strychu kościoła czy dzwonnicy (w Galicyi i w Królestwie) znajdywał „pokotem“ leżące na podłodze cenne figury snycerskiej roboty z XV. i XVI. wieku, brokaty i stare księgi. Niewątpliwie, że podobna „konserwacya“ zaszkodziła w niejednym wypadku temu lub owemu zabytkowi, stanowczo jednak twierdzić można, że takie „bierne“ zachowanie się wobec dawnych pamiątek przynosi tymże na ogół mniej szkody, niż nieumiejętna ręka odnowiciela lub niewłaściwa opieka nad zabytkami.

A w czasach, w których obecnie żyjemy, wiele zabytków padło już ofiarą wojny. To też tem więcej aktualną jest dziś książka, omawiająca sprawy ochrony dawnych budowli i plastycznych pamiątek naszej przeszłości. Od chwili ukazania się Wład. Łuszczkiewicza „Wskazówek do utrzymania kościołów“ (1868) minęło blizko pół wieku, od tego czasu zaś zmieniły się zasadniczo zapatrywania na ochronę zabytków. I nie dziw. Wszak „z godziny na godzinę postępuje nauka“ — *in horas crescit doctrina* — jak pięknie głosi napis na gmachu uniwersytetu w Padwie a z postępem jej, w dziedzinie techniki zwłaszcza, musiała okazać się potrzeba zastąpienia wspomnianego wyżej podręcznika Łuszczkiewicza (oddającego w swoim czasie wyborne usługi, dziś jednak już przestarzałego) książką, opartą na wynikach ostatnich badań naukowych i doświadczeń na polu praktycznej ochrony zabytków.

Zadania tego podjął się Dr Józef Muczkowski, członek Grona krakowskich konserwatorów i prezes Tow. miłośników za-

bytków Krakowa, przeznaczając pracę swą „w pierwszym rzędzie dla duchowieństwa". I słusznie. Wszak pod opieką duchownych pozostaje większość pomników naszej przeszłości, oni też są przed innymi powołani do wprowadzania w życie i ugruntowania zdrowych zasad konserwacyi zabytków.

Jakie te zasady są, jakie jest „pojęcie" zabytku, jak się przedstawia „historyczny rozwój idei ochrony zabytków", o tem traktują dwa pierwsze rozdziały książki. — To wstęp konieczny o teoryi przedmiotu. Następują (R. III) praktyczne wskazówki należytej konserwacyi, a więc o „nadzorze nad zabytkami", o „wyborze odpowiedniego architekty i sumiennych rzemieślników", o „materyałach budowlanych" (R. IV).

Autor omawia tu szczegółowo właściwości poszczególnych technik budowlanych, zwracając słusznie uwagę na liczne łomy doborowego kamienia w Galicyi, w. Ks. Krakowskiem i w Królestwie polskiem. Odczytując tę długą listę wapieni (marmurów) i piaskowców, w jakie ziemie polskie obfitują, dozna niejeden przyjemnego zdziwienia, a oby za niem poszło i postanowienie używania do robót restauracyjnych w pierwszym rzędzie owych krajowych, doborowych materyałów.

W następnych rozdziałach (V—XIX) — z licznymi poddziałami — omawia autor szczegółowo konserwacyę kościołów tak murowanych jak drewnianych, wewnętrznego ich urządzenia, paramentów kościelnych, wyrobów metalowych, rozdziały wreszcie XX i XXI poświęca uwagom o ruinach i o stosunku do nich roślinności.

Nie podobna na tem miejscu wchodzić w rozbiór zebranego umiejętnie, bogatego materyału. Zaznaczyć więc tylko pragnę, że ze szczególniejszym, nader chwalebnym naciskiem zwraca autor raz po raz uwagę na konieczność użycia doborowych materyałów oraz na artystyczne wykonanie robót konserwacyjnych. Szpetne surogaty w postaci np. dachów z eternitu czy asbitu, naśladownictwa (cementowe) posadzek kamiennych lub dawnych, włoskich barwnych flizów winny stanowczo być wykluczone jak niemniej owe pseudo-gotyckie, renesansowe i barokowe ołtarze oraz witraże o krzyczących barwach z niemałym nieraz kosztem sprowadzone z zagranicznych fabryk. Dobrze uczynił autor, objaśniając szeregiem tablic „ujemne przykłady" restauracyi domu Bożego.

Ustęp o konserwacyi pękniętych dzwonów zasługuje z tego powodu na osobną wzmiankę, że z doświadczeń, poczynionych pod tym względem w Krakowie, korzystali (jak mi to z mej praktyki wiadomo) i Niemcy. W roku 1909. sprowadziło mianowicie Grono konserwatorów krakowskich p. Durand-Chambon z Montargis (Loiret) we Francyi, wynalazcę sposobu naprawiania pękniętych dzwonów do Krakowa, gdzie p. Chambon naprawiał ośm pękniętych dzwonów i wyuczył swej sztuki jednego z odlewaczy fabryki Zieleniewskiego w Krakowie. Od tego czasu niejeden pęknięty, stary dzwon udało się uratować krakowskiemu warsztatowi, znanemu obecnie i w niemieckich (austryackich) kołach. — Dzisiaj większość tych dzwonów powędrowała niestety do arsenałów wojennych.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia treść pouczającej książki p. Muczkowskiego, pragnący zaś zapoznać się dokładniej z obchodzącym ich bliżej działem ochrony zabytków znajdą cenne wskazówki w fachowej literaturze, zestawionej w rozdziale XXII.

Książka p. Muczkowskiego z niejednego powodu zasługuje na wysokie uznanie. Jest przedewszystkiem pierwszą pracą w języku polskim o ochronie zabytków, opartą na najnowszych, naukowych badaniach i doświadczeniach. To też i fachowiec znajdzie w niej tę lub ową, cenną wskazówkę, która dotychczas uszła jego uwagi. Prostując przestarzałe nieraz w szerokich kołach pojęcia o konserwacyi zabytków, posiada praca p. M. niepoślednią wartość pedagogiczną.

Historyk sztuki wreszcie wdzięczny będzie autorowi za kilka pięknych reprodukcyi z niezbyt dobrze znanych malowideł ściennych w Polsce XV. i XVI. wieku.

Omawiana książka, którą ponadto zalecają: jasny wykład, piękny druk i papier, jak niemniej udatne autotypie, nasuwa mi pod jednym względem pewną obawę. Jeśli autor zaznajamia czytelników z dawnemi technikami, to za to można mu tylko być wdzięcznym; inna rzecz, czy dobrze uczynił, podając szczegółowe, techniczne opisy sposobów restaurowania zabytków. Obawiam się bowiem, że ten lub ów *ex libro doctus* zechce może na własną rękę lub na własną odpowiedzialność zabrać się do restaurowania obrazu czy rzeźby lub sprzętu kościelnego. Śmiałość tak pojętej, prywatnej inicyatywy mogłaby zabytkom tylko zaszkodzić, podobnie jak leczenie chorego przez laika na podstawie jakiegoś podręcznika lekarskiego.

Wprawdzie autor we wstępie swej książki zastrzega się, że nie chce podawać zarządcom kościołów „gotowej recepty", owszem, raz po raz podkreśla konieczność zasięgania rady konserwatorów i doświadczonych architektów czy artystów-malarzy, mimo to jednak obawiam się, aby szczegółowe omawianie techniki konserwacyi nie obudziło niepożądanej w tym wypadku — prywatnej przedsiębiorczości.

Ale miejmy nadzieję, że obawy te okażą się płonne. Książka p. M., czytana r o z u m n i e i z poczuciem odpowiedzialności za przekazanie przyszłości zabytków w należytym stanie, pouczy niewątpliwie uważnego czytelnika a oby i wzbudziła w nim tę miłość dla naszych pamiątek, o której świadczy każda niemal karta tej cennej pracy.

Nie potrzebuję dodawać, że książka ta znaleźć się powinna w ręku każdego Zarządcy kościoła, jako nieodzowny podręcznik w kwestyach, które wobec teraźniejszej wojny prawie codziennie przychodzą na porządek dzienny w dziedzinie konserwacyi kościołów.

Jerzy Kieszkowski.

Konferencye — wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn — w kościele Św. Józefa (pokarmelickim) — **o religii.** *Ks. Dr. Marceli Nowakowski.* Warszawa 1914. Nakładem Księgarni Kroniki Rodzinnej. Str. 116.

Podniosły nastrój, świeżość w ujęciu i osnowie treści, opanowanie przedmiotu — cechują te wcale niepoślednie konferencye. Zagadnienie religii rozmieścił autor-kaznodzieja i przeprowadził w czterech zachodzących w siebie i przenikających się dziedzinach. Religia w ludzkości, w narodzie, w rodzinie i jednostce — oto pochód myśli rekolekcyjnych. Czuć w nich powiew nowszych form przemawiania, odgłosy współczesnych przejawów życiowych. Porusza autor rany tegoczesnych naszych rodzin, błędne punkty zapatrywania się na religię i jej potrzebę w narodzie, zwłaszcza u ludu, porusza nieszczęsną modę indyfferentyzmu religijnego, przyczem szkicuje bardzo żywo a dosadnie typ indyfferentysty i podkreśla rolę modlitwy w całokształcie religii.

Wielką zaletą tych konferencyi — to — rzadki w wielu kazaniach — ciągły kontakt kaznodziei ze słuchaczem — to wspólne porozumiewanie się, współmyślenie i współczucie ze słuchaczem —

to ta cecha żywego słowa, płynącego z ust kaznodziei, obiegającego audytoryum, jego zbiorową i jednostkową duszę i wracającego z powrotem do kaznodziei jako odblask poruszonych do głębi uczuć, zwyciężonych uprzedzeń, umocnionych przekonań. Syntetyczną konferencyą o potrzebie religii dla rozumu, serca i woli ludzkiej — zamknął autor wydanie swoich konferencyi. Sprawić one mogą satysfakcyę czytelnikowi nawet skądinąd dość obeznanemu z omawianym materyałem. Forma zewnętrzna, styl kaznodziei — nietylko, że poprawny, dobry, piękny — ale nierzadko mogący zaspokoić nawet dość wybredne pod tym względem wymagania.

St. G.

Wskazówki pedagogiczne dla Wychowawców i Nauczycieli w katolickich zakładach naukowo-wychowawczych. *Barelle Huber*. Przetłumaczył z niemieckiego *J. B.* Warszawa. Wydawnictwo Księgarni Nakładowej M. Szczepkowskiego. 1914. Str. 35.

Bez pretensyi, bardzo po prostu, ale też bardzo szczerze, z umiłowaniem przedmiotu napisane dziełko. Niema w niem balastu naukowego, niema nowych jakichś, dalekonośnych poglądów pedagogicznych, ale jest spora garść spostrzeżeń, uwag, rad i wskazówek zdrowych, opartych i wysnutych z wychowawczego doświadczenia. Wskazówki te dotyczą wychowawców i nauczycieli katolickich, oddających się swemu zawodowi w zakładach wychowawczych, konwiktach i t. p. Mogą się atoli przydać też dobrze i innym. Omawiają one przymioty i zalety niezbędne dla wychowawców, stosunek wychowawców do wychowanków, stosunek współwychowawców między sobą. Nieocenionemi wprost są uwagi o zastosowaniu się wychowawcy do charakteru wychowanka, (str. 18) o sympatyi, szczególnem upodobaniu i antypatyi wychowawców w odnośni do „tego“ lub „owego“ wychowanka (str. 19—20), o sprawiedliwości, o bezstronności (20—21). Niemniej cennymi a bardzo trafnymi i wyczerpującymi są przepisy i wskazówki o wymierzaniu i posługiwaniu się wogóle karą (str. 25—28) jako środkiem pedagogicznym. Przekład „Wskazówek“ — napisanych przez X. Barelle'a T. J., długoletniego prefekta generalnego konwiktu we Fryburgu, a powiększonych przez X. Bötscha T. J. i wydanych za granicą już cztery razy — zaleca się jasnością i poprawnością.

St G.

Z piśmiennictw obcych.

Unser Conrad. Ein Lebensbild, dargestellt von einem Oesterreicher. Mit vielen Tafeln und Bildern, str. 116. Wien — Leipzig 1916. **Conrad von Hötzendorf.** Ein Lebensbild nach originalen Quellen und persönlichen Erinnerungen. *Ludwig von Pastor.* Wien. B. Herder Verlag 1916, str. 103.

Wśród powodzi literatury wojennej najróżnorodniejszej zwracają uwagę dzisiaj dwie, w nagłówku przytoczone, biografie utalentowanego szefa sztabu generalnego armii austryackiej. Pierwsza — napisana popularnie z wielkiem ciepłem i entuzyazmem dla bohatera przez kogoś jemu blizkich ze sfer wojskowych, — druga — skreślona przez największego historyka austryackiego, głośnego autora „Historyi Papieży u schyłku średnich wieków" L. Pastora, w sposób naukowy i umiejętny w grudniu z. r.; mimo tonu poważnego niemniej jest panegirykiem, jednak w dobrem tego słowa znaczeniu, oddającym świadectwo prawdzie, oczywiście z tem zastrzeżeniem, o ile to w obecnych warunkach i czasach jest możliwe. Aczkolwiek pierwsza z nich gorętszymi tony, druga więcej umiejętnymi rysami kreśli swój przedmiot, obie uzupełniają się szczęśliwie nawzajem i dają wcale wyrazisty portret najwybitniejszego stratega obecnej wojny światowej.

Z niemiecko-mieszczańskiej rodziny z Berna morawskiego pochodzi nasz Conrad, z rodziny nobilitowanej jednak już w roku 1816 za zasługi pradziadka Conradowego w służbie skarbowej; nazwa von Hötzendorf jest rodzinnem nazwiskiem prababki, szlachcianki pałatynackiej. W ten sposób uzyskaną *noblesse de robe* już wnuk i prawnuk podnieśli i uświetnili zasługami miecza, skoro ojciec naszego bohatera był żołnierzem w bitwie narodów pod Lipskiem i umarł jako emerytowany pułkownik. Po swej matce, zmarłej w roku 1915. córce malarza nadwornego, odziedziczył zamiłowanie do rysunków i malarstwa tak, iż wahał się między zawodem artysty czy żołnierza. Został na szczęście żołnierzem i po wszechstronnych studyach wojskowych otrzymał w 24. roku życia w r. 1876. stopień oficera sztabu-generalnego. Jako taki brał udział w walkach przy okupacyi Hercegowiny i Bośni od 1878 — 1883, przyczem odznaczył się tak dalece walecznością, bystrością i wytrwałością, że otrzymał wojskowy krzyż zasługi. Mianowany kapi-

tanem r. 1883. i przeniesiony do Lwowa był tamże szefem sztabu 11. dywizyi piechoty aż do października r. 1887. W charakterze tym poznał dokładnie Galicyę, już tutaj przepowiadano mu, że zostanie szefem sztabu generalnego. Tutaj przepędził najmilsze chwile życia swego, zaślubiwszy swą ukochaną małżonkę Wilhelminę, córkę pułkownika le Beau, matkę jego 4 synów. Powołany z awansem na majora do Wiednia, zostaje tutaj w najwyższej szkole wojennej nauczycielem taktyki. Na stanowisku tem nie tylko wykształcił szereg znakomitych sztabowców, ale rozwinął działalność literacko-wojskową, która mu zjednała w sferach wojskowych sławę wszechświatową. W r. 1890. wyszło pierwsze wydanie jego sławnego, na różne języki tłumaczonego „Studyum taktyki". W r. 1892. pojawiły się „Zadania taktyczne". Wreszcie mianowany jenerał-majorem w Tryeście tamże wykończył najlepsze swe dzieło „Wykształcenie do walki piechoty w r. 1900". Najlepszą oceną tej pracy były zwycięstwa Japończyków z r. 1905., którzy z dzieła austryackiego sztabowca nauczyli się bić Rosyan w Mandżuryi. C. jest wrogiem wszelkiego formalizmu i wszelkiego paradowania; domagał się od oficerów samodzielności w wyzyskiwaniu każdorazowego położenia. Oczytany w literaturze wojskowej cenił wysoko dzieła pruskiego Moltkiego, austryackiego Galliny, głównie jednak opierał się na zasadach Napoleona I., którego uważa za najgenialszego wodza wszystkich czasów. To też cytuje jako motto w jednej ze swych prac Napoleońskie słowa: „Dobrą armią byłaby ta, w którejby każdy porucznik wiedział, co ma stosownie do okoliczności czynić. Najlepszą armią jest ta, która się najwięcej do tego ideału zbliża. Mój własny współudział w wygrywaniu bitew ograniczam tylko do połowy; dla generała wiele znaczy, jeśli jest wspomniany, albowiem w rzeczywistości wojsko jest tym czynnikiem, który bitwy wygrywa". W pracy swej po wojnie angielsko-burskiej w r. 1903., wydanej p. t.: „Infanteryjne zagadnienia i zjawiska z wojny z Burami" kładzie ogromny nacisk na znaczenie ilości wojska, tem więcej, że przeważna część państw musi liczyć się z możliwością walczenia współcześnie przeciwko dwom lub trzem nieprzyjaciołom. Mimo podziwu dla bohaterstwa Burów C. już wtedy nauczył się respektować naród angielski, który w nieszczęściu jednomyślnie poparł swą armię. Świadczyło to zdaniem C. o silnem państwie. „Silne państwo chce i potrafi stworzyć silne i jednomyślnym owiane duchem wojsko. Słabe państwo nie dlatego jest słabem, po-

nieważ nie ma silnego wojska, lecz dlatego nie posiada silnego wojska, ponieważ wewnętrznie nie jest jednolicie zespolone, zatem słabe i nieświadome celu na zewnątrz. Legiony wewnętrznie silnej Romy władały ówczesnym światem, zdegenerowane i wewnętrznie rozbite imperium rzymskie nie było zdolne takich legionów postawić i upadło". „Jak trafne są te słowa austryackiego stratega i stosują się nie tylko do Rzymu, nie tylko do upadającej Polski! Na posterunku komendanta w Tryeście od 1899 do 1903 r. poznał się C. z zamiarami włoskiej irrydenty, stłumił energicznie wszczęte przez nią rozruchy w Tryeście w r. 1902. i wtedy już przewidywał mimo trójprzymierza, że Włochy w razie wojny staną po stronie nieprzyjaciół Austryi. Stąd też nie omieszkał ustawicznie zwracać uwagi swego rządu na niebezpieczeństwo włoskie. To też mianowany feldmarszałkiem i dywizyonerem w Innsbrucku, uczył swe wojska nie na placu ćwiczeń mustry, lecz gotował cesarskich strzelców w górach do walki o obronę granic, nauczył oddziały artyleryjskie wyciągać haubice na najwyższe przełęcze i szczyty i w ten sposób kształcił obrońców z nad Soczy i Karpat. Tutaj w Tyrolu też dokonał C. przewrotu w dotychczasowym sposobie ćwiczeń polowych. Dotąd bowiem wszelkie ćwiczenia wojskowe miały coś sztucznego przez wyznaczenie im pewnej linii demarkacyjnej, która krępowała przywódców, wytaczając im z góry nakreślone zadanie. C. uczynił ćwiczenia podobnemi do rzeczywistej wojny, przywrócił dowódcom zupełną swobodę działania, opartą na najdokładniejszej służbie wywiadowczej i samodzielnej decyzyi wodzów. Przy cesarskich ćwiczeniach w Tyrolu w dolinie Non z r. 1905. jako dowódca jednej z armii walczących tak zręcznie osaczył przeciwnika i tak niespodzianie, że zwrócił na siebie uwagę następcy tronu Franciszka Ferdynanda, który go cesarzowi w następnym roku zaproponował na szefa sztabu generalnego. Mimo wzbraniania się przed przyjęciem tak odpowiedzialnego stanowiska musiał je na wyższy rozkaz przyjąć. Nikt nie był tak bardzo *the right man of the right place*, jak C. Żarliwy obrońca mocarstwowego stanowiska naszej Monarchii, dążył wszelkiemi siłami do zreorganizowania armii i zabezpieczenia zwłaszcza włoskich granic. Zreformował najwyższą szkołę wojenną, sztab generalny, przez zaprowadzenie dwuletniej służby wojskowej, pomnożył siły armii, udoskonalił artyleryę, zwłaszcza górskie haubice. Przeczuwając wrogie zamiary Włoch nie tylko ufortyfikował Trydent, ale postarał się o zabezpieczenie obronne

całej włoskiej granicy. W usiłowaniach swych co do wzmocnienia i pomnożenia siły zbrojnej popadł w konflikt z ministrem spraw wewnętrznych Aerenthalem i musiał ze swego stanowiska w r. 1911. ustąpić. Jak bowiem w r. 1908. dążył do wojny z Serbią, tak w r. 1911. zachęcał do wojny z Włochami. Aerenthal nie chciał o takiej wojnie prewencyjnej nic słyszeć i znalazł poparcie w Niemczech. C. patrzał dalej, chciał silnej Austryi i dlatego nie stracił zaufania swego władcy i następcy tronu i już w r. 1912. powrócił na stanowisko szefa sztabu generalnego. W czasie wojny Bałkańskiej poznał, jakie niebezpieczeństwo grozi Austryi ze strony Serbii, dążącej do wybrzeży Adryatyku czy przez Albanię czy przez Hercegowinę i Bośnię. On to rzucił hasło wolnej Albanii i przeszkodził zajęciu Skutari przez Czarnogórców. I w ten sposób uratował powagę i zagrożony honor Monarchii na Bałkanie w r. 1912 Rosya nie była jeszcze do wojny przygotowaną i zadowolniła się upokorzeniem Bułgaryi. W czerwcu r. 1914. odbył C. wielkie ćwiczenia wojskowe w Bośni pod kierownictwem Następcy tronu, udając się po ćwiczeniach w podróż urzędową do Węgier, nie spodziewał się, że dzielny Franciszek Ferdynand padnie ofiarą morderców Serbskich.

Usłyszawszy jednak straszną wieść, odrazu czuł, że mord sarajewski będzie hasłem do rozpętania się burzy wszechświatowej. C. pragnął połączenia Serbii z Austryą jako państwa związkowego; Serbia, dążąc do zjednoczenia wszystkich Serbów, widziała w energicznym austryackim następcy tronu głównego wroga i z bizantyńską przewrotnością postarała się o jego zamordowanie, wiedząc, że w Rosyi znajdzie poparcie. Kości zostały rzucone; walka toczy się o losy świata. C., który tę walkę przewidywał i na nią się przygotowywał, miał rozwinąć w niej wszystkie zdolności jako strateg. Nie przeciw małej Serbii zwrócił swe siły, jak radzono, lecz przeciw Rosyi, protektorce Serbów, tembardziej, że sprzymierzeniec niemiecki główne swe siły rzucił przeciwko Francyi, by po szybkiem pognębieniu wroga na Zachodzie, następnie wspólnemi siły zmódz groźniejszą Rosyę. Austryackie ciężkie haubice pomogły głównie do złamania twierdz belgijskich i francuskich; doraźna jednak pomoc angielska i zdolności strategiczne Joffre'a, naczelnego wodza Francyi w bitwie nad Marną, powstrzymały napór niemiecki, Conradowi przyszło z 37 dywizyami piechoty i 11

dywizyami konnicy borykać się z 60 dywizyami piechoty i 4 dywizyami konnicy rosyjskiej.

W myśl zasady, że najlepszą obroną jest cięcie, C. rozpoczął ofenzywę w Lubelskiem między Wisłą a Bugiem, by następnie odpędzić wroga od wschodnich granic; liczył przytem na powolne posuwanie się Rosyan naprzód, przeliczył się atoli, gdyż wojska rosyjskie były już w maju zmobilizowane i stały w pobliżu granic. Wprawdzie ofenzywa austryacka przyniosła nam zwycięstwa pod Kraśnikiem, Zamościem i Komarowem 23.—25. sierpnia, ale przemoc rosyjska zalała wschodnią Galicyę. Daremnie wojska austryackie na linii Złoczów - Brzeżany stawiały od 26. sierpnia do 3 września bohaterski opór. By uniknąć oskrzydlenia, trzeba było poświęcić Lwów i cofnąć się za Wereszczycę i stawy grodeckie. Aby wojskom tym przyjść z pomocą, polecił C. zwycięskiej armii Dankla uczynić zwrot i rzucić się na flanki rosyjskie na linii Niemirów - Rawa ruska, a siłom, znajdującym się nad Wereszczycą pod komendą Boroevica, rozpocząć ofenzywę na Lwów. Była to t. zw. druga bitwa lwowska od 6. do 12. września. Południowe skrzydło austryackie odniosło sukcesy i zbliżyło się do Lwowa, niestety przeważne siły rosyjskie, które się wcisnęły na północnem skrzydle między armię Dankla a Aufenberga, zmusiły C. do przerwania bitwy i cofnięcia się aż za Dunajec. Rosyanie mimo sukcesów nie ścigali naszych armii, oblegli tylko Przemyśl; rozpoczęli natomiast swoją ofenzywę na Berlin w centrum. Aby jej przeszkodzić, rozpoczęli kontrofenzywę Hindenburg z Danklem na północ od Wisły, reszta armii austryacko-węgierskiej między Wisłą a Karpatami. Armie południowe dotarły wśród największych trudności do Sanu, przyniosły odsiecz Przemyślowi, odparły Rosyan między Chyrowem a Starym Samborem. Walczono zaciekle i szczęśliwie od 13. października do 2. listopada, niestety pogrom Hindenburga pod Warszawą i Iwangrodem unicestwił sukcesy austryackie. Aby ratować zagrożoną śląską granicę i przeszkodzić rosyjskiemu walcowi w pochodzie na Berlin, C. poświęcił wschodnią Galicyę i zwycięskie swe armie z niesłychaną szybkością przewiózł z pod Sambora na granicę pruskiego Śląska, by ratować zagrożony front wschodni.

Olbrzymie siły rosyjskie, napierające na linii Kraków-Częstochowa-Kalisz, powstrzymały w pochodzie dwie bitwy, bitwa pod Łodzią,, sukces Hindenburga i zwycięstwo wojsk austryackich mię

dzy Limanową a Łapanowem, gdzie flankowy atak karpacki Boroevica zmusił Rosyan do cofnięcia się za Dunajec w początkach grudnia r. 1914. Rosyanie teraz usiłują sforsować Karpaty, wprawdzie mimo dwukrotnej usiłowanej odsieczy ze strony wojsk austryackich zdobyli głodem Przemyśl, ale o śnieżyste szczyty Karpat wszystkie ich usiłowania się rozbiły. Tutaj poniósł wróg najcięższą klęskę, bez porównania większą niż nad jeziorami mazurskiemi, skoro stracił w niej przeszło milion wojska. Obrona Karpat to główna zasługa naszego C., klęska Rosyan w Karpatach przygotowała również najgłośniejszy tryumf oręża austryacko-niemieckiego, t. j. przełamanie frontu rosyjskiego między Gorlicami a Tarnowem w maju 1915. r., oswobodzenie Galicyi od wroga i posunięcie frontu wschodniego pod Rygę, Pińsk, Równo, Tarnopol, Czerniowce. Pomysł do tej bitwy wyszedł z głowy C., przyznają to pruscy wojskowi pisarze. Wykonania planu dokonano wspólnemi siłami. Cesarz niemiecki w uznaniu tej zasługi osobiście wręczył szefowi sztabu generalnego armii austryacko-węgierskiej najwyższy order „Pour le mérite".

Na tem urywają się biografie o C., zarówno wojskowego autora, jak i Pastora. Wojskowe dzieło jest barwniejsze, sympatyczniejsze, wyrazistsze, biografia Pastora, która się posługiwała wojskową, jest bezwarunkowo głębsza, choć ostrożniejsza i wstrzemięźliwsza w sądach. Obie usiłują przedstawić dokładny portret bohatera, a jednak na każdym kroku czuć, że to tylko jego fragmentaryczny szkic. Ile tam rzeczy niedomówionych! Ile rzeczy autorowie nie wiedzieli! Ile faktów znając, nie mogli z różnych względów napisać! Dowodzi tego choćby ów tajemniczy ustęp w dziełku Pastora na stronie 83.: „A kiedyśmy o pierwszej ofenzywie na Warszawę mówili, spostrzegłem nagle jedno, jak ten najbardziej nerwowy ze wszystkich matematyków, wtedy po Lwowie sam jeden całe armie uratował. Przyszłość z pewnością i ten tajemniczy ustęp lepiej wyjaśni. Księga czynów i zasług C. jest nieskończona, jasne strony oryginału fragmentarycznie przedstawili autorzy, ciemne strony i błędy podnoszą przeciwnicy Conrada w sejmie węgierskim. Cokolwiek jednak przyszłość przyniesie i napisze o C., prawdziwemi pozostaną słowa hr. Tiszy o nim: „Niema kierownictwa armii, któreby mogło o sobie powiedzieć, iż nie popełniło błędu. Ale historya wojny wy-

kazuje szereg wspaniałych dowodów zdolności naszego kierownictwa armii". To samo można powiedzieć o C. jako o człowieku.

Dr. K. Krotoski.

Gesammelte Kleinere Schriften *von Moritz Meschler S. J.* Viertes Heft: **Die seligste Jungfrau**; fünftes Heft: **Geistesleben**. Bei Herder zu Freiburg im Breisgau 1916, Seite 66+132.

W literaturze ascetycznej ostatnich czasów jedno z najwybitniejszych miejsc zajmował zmarły w r. 1912. O. Maurycy Meschler Tow. Jez. Jego głęboka wiedza teologiczna — umysł pełen polotu i wrażliwości na to, co prawdziwie szlachetne i piękne — ścisła systematyka w układzie treści, obok rzadkiej jasności w ujęciu trudnych nieraz, a bardzo dla życia aktualnych kwestyi — składały się na to, że dzieła O. Meschlera były nie tylko przedmiotem zajmującej i budującej lektury, ale wprowadzały czytelników w głębszą znajomość życia duchownego, opartego na zdrowych zasadach ascezy. — Wystarczyło jedną lub drugą kartę w nich przeczytać, aby odnieść wrażenie, że tak pisać może tylko autor, posiadający rozległe doświadczenie życia, oparte na niezwykłej znajomości świata i tajników serca ludzkiego, a zdobyte długoletnią praktyką w kierownictwie dusz.

15 tomów różnych dzieł z zakresu ascetyki stanowi nieocenioną spuściznę po O. Meschlerze, — ale nie wyczerpuje jej wcale, Zasłużony autor bowiem zwykł był także umieszczać swoje artykuły w „*Stimmen aus Maria Laach*", a liczba ich znaczna. Otóż. ażeby te cenne prace dostały się także do rąk szerszych kół czytelników, postanowiono je osobno publikować w zbiorowem wydaniu p. t.: *Gesammelte kleinere Schriften von M. Meschler S. J.* Właśnie 2 zeszyty tego zbiorowego wydania mamy przed sobą.

Jeden zeszyt, zatytułowany: **Die seligste Jungfrau** podaje 3 artykuły. Pierwszy z nich: *Liebfrauensommer* rozwija znaczenie czci Matki Bożej w religii katolickiej. Mówi mianowicie o stosunku Maryi do prawd wiary i obyczajów, oraz wykazuje, jak Marya pośredniczy w rozdawnictwie łaski. — Drugi artykuł, napisany z okazyi jubileuszu 50 lat od ogłoszenia dogmatu Niepokal. Poczęcia N. M. P., podnosi wielkość tego przywileju i chwałę, jaka zeń spływa na Niepokalaną Dziewicę, a przez to na całą Trójcę Przenajśw. Przywilej Niepokalanego Poczęcia nie tylko wywyższa Matkę Najśw. nad wszelkie stworzenie, ale jest fundamentem potęgi Jej wsta-

wiennictwa za nami przed tronem Bożym. — Trzeci wreszcie artykuł na temat: *Marya, Matka dobrej rady,* ogłoszony wkrótce po dodaniu przez Leona XIII. niniejszej inwokacyi do litanii loretańskiej, jest uzasadnieniem tego tytułu Matki Najśw. pod względem historycznym, dogmatycznym i ascetycznym.

Wszystkie powyższe 3 rozprawy tchną szczerem nabożeństwem do Maryi i w wytwornej, systematycznie ułożonej, formie podają znakomity materyał do przemówień na odpowiednie święta Matki Bożej.

Następny zeszyt wydawnictwa nosi tytuł: **Geistesleben.**

Autor wyłuszcza w nim zaraz na wstępie, że obok życia wyłącznie intellektualnego jest jeszcze dla człowieka inne życie — t. zw. „życie chrześcijańskie", polegające na poznawaniu Boga i dążeniu do Niego przez udoskonalanie się wewnętrzne. Do tego życia powołani są wszyscy, bo w każdym uczciwym stanie człowiek może duszę udoskonalić. Jest jednak stan, który to udoskonalenie wewnętrzne wziął sobie za cel specyalny; tym stanem jest życie zakonne. Jego istotną cechą jest zachowywanie trzech ślubów zakonnych: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. O wartości życia wewnętrznego nie tyle rozstrzyga rodzaj stanu obranego i zewnętrzna wydatność pracy, ile raczej wartość jakościowa poszczególnych czynów, a więc: pobudka, która do czynu skłoniła, zamiar, jaki się osiągnąć pragnie, niemniej jak stopień złączenia duszy z Bogiem przez łaskę. Im większy bowiem stopień świętości człowieka, tem milsze też P. Bogu są jego uczynki, i większą wobec Niego posiadają wartość. — Ascetyka podaje kompleks zasad i środków do życia wewnętrznego i doskonałego; praktycznym zaś kursem ascezy jest należyte odprawienie rekolekcyi czyli ćwiczeń duchownych, których niedoścignioną metodę i szkic podał św. Ignacy Loyola w swej „złotej książeczce". Oto, dla czego we wszystkich krajach, dokąd religia katolicka dotarła, ludzie, oceniający dobrze doniosłość życia duchownego, od czasu do czasu starają się w odprawianych przez siebie rekolekcyach to życie w sobie ożywiać i doskonalić. — Ponieważ doskonalenie się w życiu wewnętrznem natrafia zewsząd na najrozmaitsze przeciwności, a nawet cierpienia, według słów Joba: b o j o w a n i e m j e s t ż y c i e c z ł o w i e k a n a z i e m i, przeto pod koniec rozprawy o życiu duchownem podaje O. Meschler w ustępie p. t. „Chrześcijańska tragika" jako wzór cierpiącego Zbawiciela, i w rozważaniu Męki Chrystusa każe

szukać siły i pokrzepienia w walce duchownej, którą codzień staczać mamy.

Wysoki poziom pisma „Stimmen aus Maria Laach", w którego łamach wszystkie powyższe ascetyczne artykuły O. Meschlera po raz pierwszy się ukazały, wskazuje, że praca niniejsza „o życiu wewnętrznym" wyłącznie dla umysłów wykształconych jest skreślona. Wnioski jednak, jakie autor ze swego głębokiego rozumowania wysnuwa, są tak jasne, a tło opowiadania przejrzyste, że każdy, nieoczytany nawet w kwestyach omawianych, niezmierną korzyść z tego dziełka odniesie. *X. Brt.*

Lehrbuch des katholischen Kirchenrechts. *Dr. J. B. Sägmüller.* Prof. an d. Univ. Tübingen. Dritte, vermehrte und verbesserte Auflage. Freiburg 1914. Herdersche Verlagsbuchhdlg. 2 Bände: I. XIV + 508; II. VIII + 520. K. 24.

Obecne wydanie książki prof. dr. Sägmüllera, która w poprzednich wydaniach (r. 1904 i 1909) spotkała się z dość przychylną oceną przez fachowe koła — pod względem zasadniczym nie przynosi żadnych główniejszych zmian prócz uwzględnienia najnowszych dekretów i rozporządzeń rzymskich, tudzież niektórych życzeń recenzentów.

W ten sposób książka powiększyła się o przeszło 5 arkuszy druku wielkiej 8-ki, a ponadto dla wygody w użyciu została cała książka rozłożona na 2 tomy tak, że w pierwszym mieści się prócz wstępnych rozdziałów nauka o źródłach prawa kościelnego i o ustroju Kościoła — w drugim zaś wykład zasad prawa odnośnie do władzy nauczycielskiej Kościoła, Sakramentów i ich administracyi, kultu, zakonów i kongregacyj — wreszcie prawo majątkowe kościelne. *L.*

Institutiones iuris publici ecclesiastici pro clericorum commoditate in compendium redactae. Sac. prof. *Felix M. Capello,* doct. S. Th., Phil., Iuris can. et civ. Taurini, 1913. VIII+243. Frc. 3·40.

Dziełko niniejsze, jak już sam tytuł wskazuje, przeznaczone jest w pierwszej linii dla uczącej się młodzieży; niemniej jednak może być ono pożytecznem zarówno ogółowi kapłanów, jak wszystkim innym, którzy jakiekolwiek stanowisko zajmują w życiu publicznem czy to Kościoła czy państwa.

Podręcznik niniejszy jest właściwie wyciągiem z obszernego dzieła tego samego autora; po wstępie, który wyjaśnia najogólniej-

sze i najpierwsze pojęcia prawa publicznego, w księdze pierwszej jest mowa o zwierzchniczej władzy Kościoła; więc o naturze prawnej społeczności kościelnej, o stosunku Kościoła do państwa (tak katolickiego jak i akatolickiego), o rozdziale między Kościołem a państwem, o wzajemnych ich prawach i obowiązkach, o państwie świeckiem w stosunku do jednostek i rodziny, religii i Kościoła, o tzw. liberaliźmie katolickim, wreszcie o konkordacie jako formie specyalnych umów między Kościołem a państwem.

Księga druga, o podmiocie władzy kościelnej zajmuje się głównie prymatem papieskim i jurysdykcyą biskupów, sposobami nabycia władzy w Kościele, monarszem placetum i patronatem, immunitatem kościelnym, wreszcie sprawą świeckiej władzy papieża (państwo kościelne).

Księga trzecia i ostatnia obejmuje w pierwszej części kwestye tyczące się władzy nauczycielskiej Kościoła, szkolnictwa świeckiego i w obrębie jego uprawnień Kościoła; w części dotyczącej obyczajów znalazły omówienie takie instytucye jak celibat, małżeństwa cywilne, cześć zmarłych i palenie zwłok, wreszcie uprawnienie Kościoła w dziedzinie prawa majętkowego. Książkę zamyka rozdział o organizacyi Kościoła pod względem terytoryalnym i personalnym, o prawie swobodnego znoszenia się z władzami kościelnemi i o Kościele, jako podmiocie prawa w dziedzinie prawa międzynarodowego.

Z pobieżnego tego zestawienia treści widać, że autor dotyka bardzo wielu zagadnień i to najżywotniejszych — lecz trzeba wyznać między innemi i to, że (zapewne ze względu na charakter i główny cel podręcznika) kwestye te traktowane są raczej szkicowo, miejscami może nawet zanadto zwięźle. Zaletą jednak niemałą jest jasny i przejrzysty wykład, trzymany w duchu ściśle katolickim; ponadto przy niektórych ważniejszych kwestyach dodane są odpowiedzi na zarzuty, jakie przy bardziej dyskutowanych kwestyach ze strony przeciwników Kościoła bywają podnoszone. W ogólności podręcznik niniejszy może oddać niemałe usługi, zwłaszcza obecnie, kiedy liczni przeciwnicy Kościoła i wszystkiego, co boskie, starają się do szczętu zniszczyć i podkopać powagę i uprawnienia zwierzchności kościelnej, pozostawiając Kościołowi jak najbardziej ścieśnione stanowisko tylko w dziedzinie sumienia prywatnych jednostek i to jeszcze zazwyczaj za dowolną decyzyą władzy świeckiej.

L.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Echo przemówienia papieża do dzieci.

Już w poprzednim zeszycie „Przeglądu" nadmieniliśmy, że paryski „Temps" i neapolitański „Mattino" wyraziły swoje oburzenie z powodu oświadczenia Benedykta XV, że wszystkie swoje dzieci obejmuje równą miłością. Dziś raz jeszcze wracamy do tej kwestyi, żeby dać wyobrażenie, w jak niegodziwy sposób prasa masońska koalicyi przekręca i tłumaczy słowa papieża, nie oszczędzając nawet Jego dostojnej Osoby. Dzięki łaskawości cenzury względem masońskich dzienników cała nienawiść, jaką pała masonerya przeciw Kościołowi i Ojcu św., publicznie wychodzi na jaw, ale odsłania się też przed całym światem dziwne pojęcie masonów o takcie i dobrym tonie, który powinien panować wśród ludzi kulturalnych. Do najwyższej podłości posunął się „Nuovo Giornale" z Florencyi, umieszczając na szpaltach swoich list jakiegoś Danzella Tassinariego, naszpikowany największemi obelgami przeciw osobie Ojca św. W Rzymie organ masoneryi i znanego apostaty Romolo Murri'ego powiada, że „słowo papieża, nawołującego do pokoju, do tryumfu dobrą i powiotu narodów do uczuć braterstwa i sprawiedliwości, wcale nie jest słowem sprawiedliwości i prawdy, gdyż papież zapatruje się na wojnę, jako na bicz boży i wstrząsającą ekspiacyę". Neapolitański „Mattino" pozwolił sobie na następujące zohydzenie osoby i działalności Ojca św.: „Pius X. umarł w czas, aby nie patrzeć na wojnę z roku 1914. Dla niego było to szczęściem. Ale to pewna, że On nie byłby zwlekał z działaniem na rzecz pokoju aż do drugiego

roku wojny, jak to uczynił następca Jego. Nie byłby uronił ani godziny, co więcej ani minuty nawet, lecz, od owego nieszczęsnego sierpnia 1914 począwszy, byłby ustawicznie się modlił o przywrócenie pokoju, a pokorne jego, wzruszające poselstwa byłyby bezustannie błagały o wstęp do dworów prowadzących wojnę państw. Może dziecięce jego prośby byłyby doprowadziły do lepszych skutków, niż to osiągnęła nieprzejednana i w duchu egoistycznym podejmowana polityczna działalność, którą inscenizował Benedykt od pierwszego dnia swego pontyfikatu. Zapewne Pius X. nie byłby naśladował gestu Poncyusza Piłata i nie byłby umył rąk, aby na mocy kapłańskiej swej odpowiedzialności błogosławić wszystkie wojny, sprawiedliwe i niesprawiedliwe, wojny odporne i zaczepne, „cum defectu lenitatis" i bez niego. Nie byłby tak obojętnie odkładał badania wypadków, przeciwnych prawu narodów, aż do czasu po wojnie; byłoby to bardziej po chrześcijańsku, jakkolwiek mniej politycznie". Na odpowiedź organu papieskiego „Osservatore Romano", o której poniżej będzie mowa, zauważa krótko „Mattino", że trwa przy swojem przekonaniu, że papież byłby lepiej uczynił, gdyby wobec walczących był zajął stanowisko etyki.

Włoskim dziennikom masońskim wtórował, jak już wspomnieliśmy, paryski „Temps", którego wywody powtórzył rzymski „Messagero", organ masonów i socyalistów włoskich. Podajemy je tutaj na podstawie niemieckiego przekładu „Kölnische Volkszeitung Nr. 648 z dnia 12. sierpnia b. r. „Zapatrywanie papieża jest znane od dwóch lat: lamentować, modlić się i powstrzymywać się od sądu. „Ludzie rozszarpują się i mordują nawzajem... Jesteście widzami najciemniejszej tragedyi... Błagalne nasze prośby zaprzestania wojny były daremne" i t. d. Papieski władca jest n e u t r a l n y. Neutralność w każdej wojnie, a tembardziej we wojnie, w której tuzin walczących się mocuje, jest kwestyą interesu. Rządy, odwołujące się do swoich praw i wypełniające swoje obowiązki, domagają się od niej ni mniej ni więcej, niż prawnej i osobistej gwarancyi. Gwarancya ta ma bronić najpierw nienaruszalności ich granic, dalej ubezpieczyć ich ludność, wreszcie chronić swobodę handlowych ich interesów z wyjątkiem artykułów, stanowiących kontrabandę. Nauka o neutralności jest zatem na mocy swej genezy nie moralnej, lecz materyalnej natury. Stąd też pochodzi przykre uczucie, jakie się odbiera, czytając słowa papieża, władcy moralnego, nastrojone na tę samą nutę, co słowa

prezydenta Wilsona. Na jakiemkolwiek staniemy stanowisku religijnem lub filozoficznem, zawsze będzie dla nas niezrozumiałem, że ze Stolicy Piotra św. rozbrzmiewa mowa o celowej neutralności, będąca z konieczności mową rządów świeckich. Bez wątpienia spogląda Watykan, jak każdy ludzki organizm, na swoją przeszłość. Nie zrzekł się, przynajmniej ze stanowiska prawnego, terytoryalnych swoich roszczeń. Może obawia się osłabienia, gdyby nie postępował, jak zwykłe neutralne mocarstwo. Znowu jego potęga ma szczególniejszy charakter, a byłoby ciekawem się dowiedzieć, czy to, co papież uważa za stosowne, nie jest właśnie największym ze wszystkich błędów.

Powaga jego nad milionami wiernych jest powagą moralną. Czy nie nadweręża więc jej podstaw, jeśli w walce, w której złe i dobre staje naprzeciw siebie w tak widocznym kontraście, wzbrania się „orzec o prawie“ i z równym ganiącym smutkiem piętnuje spustoszenia, których przyczyn dochodzić zaniedbuje?

Znamy jego obronę: są też niemieccy i austryaccy katolicy, a papież, jako wspólny obrońca wiernych, nie może być partyjnym. Ta obrona jest niebezpieczną dla papiestwa, gdyż przez nią papież staje wśród Kościoła, ale nie na czele Kościoła powszechnego... Czy papież w ten sposób pragnie wzmocnić zaufanie do wiekopomnej instytucyi Kościoła? Polityka jego neutralności nie byłaby polityką ani Piusa X. ani Leona XIII. Sumienie jednego, duch drugiego byłby się spostrzegł, że wielka potęga moralna żyć może jedynie moralną siłą. Obecny papież, który wzrósł wśród zręczności w dyplomatycznej służbie, dał się widocznie opanować nawałem zdarzeń. Ani męczeństwo Belgii ani topielcy Luzytanii, ani zamordowanie Miss Cawell, ani deportacye z Lille nie skłoniły go do oświadczenia się za jedną stroną. A któż lepiej mógł był niewinność przywołać do boku swego, i odwrócić oczy swoje od zbrodni?

Bez wątpienia zaiste mniema on w dobrej wierze, że działa w interesie papiestwa, torując mu za pomocą swej neutralności na zewnątrz przystęp do obydwóch obozów. Ale, skoro raz wojna się zakończy, a krwawiąca się Europa policzy swe zgliszcza, wtedy nie będzie już miejsca dla neutralności, i właśnie to, co Benedyktowi zdaje się zapewniać rolę działania, zadecyduje o zakazaniu mu odgrywania roli w przyszłości.

Katolicki więc internacyonalizm, tak samo, jak inne formy internacyonalizmu, mianowicie kapitału i pracy, narażają się na niebezpieczeństwo być zwyciężonymi w tej wojnie. Narodom od dwóch lat aż nadto stało się jasnem, że ideał powszechnego braterstwa był narzędziem w rękach Niemiec. Twarda szkoła nadwerężyła ich zaufanie do niego. Podczas półwieku przypatrywały się, jak marksyzm zasłaniał przygotowania się państwa niemieckiego do zaczepki, jak zwodził kłamliwemi obietnicami francuskich, angielskich i rosyjskich socyalistów i postępował śladami tego, którego jego twórca nazwał „naszym Bismarckiem". Będą i po wojnie socyaliści, ale mamy prawo przypuszczać, że będą to socyaliści narodowi. Widziały narody, jak skupianie kapitału w międzynarodowych firmach dostarczało przez ćwierć wieku niemieckim przedsiębiorstwom kapitału, który służył planom imperyalizmu, i wyczerpywał równocześnie przemysłowe źródła pomocnicze Francyi i jej sprzymierzeńców. Będą i po wojnie kapitaliści, ale spodziewać się można słusznie, że będą to kapitaliści narodowi.

Widzą dzisiaj, jak moralna powaga papieża cofa się przed wyrokiem, który byłby dowodem jego posłannictwa, jak wzbrania się rozsądzić pomiędzy napastnikiem a ofiarą, jak stosuje neutralność ze swem podporządkowaniem się, jak zatem sprzyja niemieckim zbrodniom. Będą i po wojnie katolicy, ale Benedykt XV. powinienby sobie zadać pytanie, czy przez swoją obecną politykę nie przyczynia się do powstania narodowych kościołów.

Za wiele roztropności i giętkości nie zawsze rokuje powodzenie. Neutralność papieża jest klęską papiestwa".

Na te zelżywe oskarżenia i tendencyjne groźby, które widmem narodowego kościoła francuskiego mają nastraszyć Ojca św. i skłonić go do porzucenia neutralności i do oświadczenia się za koalicyą, odpowiada słusznie „Osservatore Romano" Nr. 214. z dnia 4. sierpnia b. r. w artykule wstępnym:

„Zdaje się, że dosłownie spełnia się słowo Pańskie; mędrcy tego świata dają zadziwiającą próbkę nierozumu, skoro nie rozumieją nawet tego, co Ojciec św. czterem tysiącom malutkich słuchaczy powiedział w serdecznej swej przemowie. Mędrcy świata nic nie zrozumieli, nic nie pojęli z tego ojcowskiego przemówienia. I tak, krytycy „Temps'a" lamentują nad zachowaniem ścisłej neutralności, która tylko interesy materyalne może mieć na oku, dalej twierdzą, że papież przemawia, jak zwykły władca świecki,

i to wyłącznie dlatego, że mimochodem się wyraził, iż wszystkich synów swoich równą otacza miłością, podczas gdy nie powinni mu jednak być równie miłymi ze względu na męczeństwo Belgii, zatopienie Luzytanii, zamordowanie Miss Cawell i deportacye mieszkańców miasta Lille i Roubaix"...

Krytycy Ojca św. „mówią na podstawie własnego doświadczenia; nie znając sami innych interesów prócz materyalnych, nie mogą się także w postępowaniu drugiego domyśleć innych pobudek prócz materyalnych, i takim sposobem wynajdują szczegóły tego postępowania, oraz interpretują czyny i zamiary w sposób sprzeciwiający się nagiej prawdzie faktów, które muszą fałszować najniegodziwiej i śmiesznie. Gdybyśmy się ich pytali, jak według ich zapatrywania miałaby się przedstawiać działalność papieża, podaliby nam zapewne program, przejęty na wskróś duchem egoistycznej polityki partyjnej: a wtedy zasady sprawiedliwości, prawdy, humanitarności i chrystyanizmu, do których się dzisiaj tak otwarcie odwołują, musiałyby jakby zaczarowane się rozwiać, a pozostałoby jedyne żądanie, aby papież stał się rzecznikiem ich interesów. Jest to gorzka prawda, ale trzeba ją wypowiedzieć, aby zedrzeć obłudną zasłonę, pod jaką owi kłamliwi i bluźnierczy krytycy się ukrywają".

Zaiste wprost pojąć nie można, z jakiem czołem można pisać, że papież Benedykt, który od pierwszego niemal dnia swego pontyfikatu nawoływał do pokoju i pogodzenia się na drodze wzajemnych porozumiewań, dopiero w drugim roku wojny rozpoczął działalność na rzecz pokoju. Wszak świadczą o tem wymownie jego encyklika z dnia 8. września 1914 i jego alokucya konsystoryalna ze stycznia 1915. Nie do pojęcia jest, jak można czynić Benedyktowi XV. zarzut, że nie wypełnia swego posłannictwa tak, jak to Pius X. byłby uczynił za pomocą pokornych i wzruszających próśb i poselstw, — skoro przecież wiadomo powszechnie, że papież żadnej nie pominął sposobności, aby coraz dosadniej, nie tylko na drodze tajnej, ale też publicznie powtarzać swe błagania i zaklinania w Imię i na Krew Przenajdroższą Zbawiciela. Zdumiewać się trzeba, gdy autor artykułu z dekretu Kongregacyi św. Sakramentów, wydanego 11. lutego 1915, ale opierającego się na przepisie nowego prawa kanonicznego, sankcyonowanym już dnia 18. marca 1912 mocą reskryptu Apostolskiej Penitencyaryi, wnioskuje, że papież nie upatruje we wojnie żadnego „defectus lenitatis",

że odkłada badanie wydarzeń przeciw prawu narodów aż po wojnie, że błogosławi wszystkie wojny, sprawiedliwe i niesprawiedliwe, zaczepne i odporne. W rzeczywistości dekret wspomniany tylko we formie dyspenzy pozwala kapłanom, zmuszonym do służby pod bronią, na odprawianie Mszy św. w niedziele i święta: samo więc udzielenie dyspenzy już dowodzi, że „irregularitas ex defectu lenitatis" naprawdę istnieje, skoro dyspenza okazuje się potrzebną. Zresztą, jak pogodzić z błogosławieństwem, jakie papież rzekomo daje każdej wojnie sprawiedliwej i niesprawiedliwej, takie wyrażenia, jak n. p., że wojna dzisiejsza jest najciemniejszą tragedyą ludzkiej nienawiści i namiętności, że jest hańbiącą ludzkość rzezią, dla której stała się podobną do Kaina — wyrażenia w tych słowach właśnie w przemówieniu do dzieci ponownie wypowiedziane, — to już pozostaje zagadką.

Benedykt XV. nie potrzebuje porady „Temps'a", jak rządzić powinien Kościołem Chrystusowym. Powaga Jego moralna w czasie wojny nie zmalała, przeciwnie bardziej jeszcze się podniosła wobec bezpartyjnego, a raczej nadpartyjnego Jego stanowiska, jakie zajął i z jakiego potępił wszelki gwałt i wszelką niesprawiedliwość, z którejkolwiekby strony pochodziły. Nie interesy materyalne są podstawą neutralności papieskiej, lecz interesy duchowne, wyższe ponad wszystkie indywidualne i narodowe pożytki. Papież jest stróżem zasad prawdy, sprawiedliwości i miłości: sztandar ten musi podnieść wysoko ponad pola walk, jakkolwiek moralne Jego upomnienie nie zdoła odrazu uciszyć wrzawy nienawiści narodowej i egoizmu walczących. Będzie On po wojnie bardziej jeszcze szanowanym, w miarę, jak wojna jaskrawo oświetlać będzie smutne następstwa, jakie za sobą pociąga egoizm jednostek i narodów, nie oglądający się na wzniosłe zasady etyki chrześcijańskiej, której przedstawicielem jest w sposób najwyraźniejszy papież. Kościoły narodowe nie są nowym wymysłem: opierają się one na zasadach protestanckich i wyzuwają religię Chrystusową z jej najdonioślejszych i najskuteczniejszych zalet. Religia narodowa nie wznosi się ponad cele nacyonalne aż do owej sfery najwyższej, w której znajduje się wiekuisty ideał prawdy i słuszności, lecz podporządkowuje religię celom narodowym i tem samem odbiera jej ową wyższość, dla której i dla narodu jest skarbem, nie dającym się niczem zastąpić.

Ks. Ernest Matzel.

Kwestya Rzymska w oświetleniu protestanckiem.

Z powodu tendencyjnie przez katolików francuskich rozgłoszonego twierdzenia, że zwycięstwo koalicyi doprowadziłoby też do pomyślnego rozwiązania kwestyi Rzymskiej, podczas gdy zwycięstwo Niemiec pociągnęłoby za sobą nowy ucisk Kościoła katolickiego, prasa protestancka w Niemczech wypowiedziała się dość wymownie odnośnie do kwestyi Rzymskiej. Podajemy tu znamienny ustęp z artykułu dłuższego p. t. „Katolicyzm a protestantyzm", umieszczonego w „Ev. Luth. Kirchenzeitung" w numerze z 21. stycznia 1916 r. Oczywiście nie piszemy się na wszystko, co się w tym ustępie zawiera, bo przebija w nim jaskrawo duch protestancki i niezrozumienie stosunku władzy duchownej papieża do władzy świeckiej; z drugiej jednak strony znajdujemy tu trafne uwagi i styczne z katolickiemi zapatrywaniami poglądy.

„Byłoby to wybornem i znamiennem odparciem fantastycznej konstrukcyi historycznej francuskich duchownych przez rzeczywistą historyę, gdyby na końcu tej olbrzymiej walki Benedykt XV. dla Kościoła Rzymskiego zawładnął Rzymem i okolicą, a Kwirynał, włoski zamek królewski, zamienił się na powrót w pałac papieski.

Gdy wybuchła wojna, musieli przedstawiciele Niemiec i Austro-Węgier przy Watykanie opuścić Rzym. Przebywają oni dotąd w Lugano. Polityka wojenna Włoch oddziaływała więc ujemnie na stosunek Stolicy Rzymskiej do obcych mocarstw, z któremi żyje w zupełnym pokoju. Obustronnie odczuwa się te stosunki jako pokrzywdzenie, a ze strony katolickiej w szczególności jako uszczuplenie wolności papieża, który obecnie w prawdziwszem znaczeniu, niż za czasów pokoju, może być nazwany więźniem. Na przeszkody i trudności napotyka też z powodu przyłączenia się Włoch do wojny znoszenie się kuryi z katolikami w krajach wrogich Włochom. W ten sposób wojna wznosi przegrodę między papieżem a światem, z którym jest w ciągłych stosunkach. Dlatego to ofiarowano papieżowi gościnę w neutralnych państwach. Także na obszarze państw centralnych wskazują mniej lub więcej oficyalne sfery na trudności wynikające z tego położenia. Powszechnie wiadomo, z jaką regularnością niemieckie kongresy katolickie domagały się oddawna lepszego unormowania „kwestyi Rzymskiej"; obecnie zdaje się wojna dostarczać im nieoczekiwanej pomocy. Czy wobec tego miałoby być wykluczonem, aby przy zawarciu pokoju zwycięskie Niemcy zaznaczyły swoje przyjazne stosunki ze Stolicą Apo-

stolską a Austro-Węgry swoją ściślejszą jeszcze łączność z Rzymem także w tym kierunku? Czy wiarołomstwo Włoch wobec Niemiec nie unicestwi i nie powinno nawet unicestwić tego, co przed 45 laty stało się wybijającemu się do samodzielności narodowej państwu włoskiemu możliwem właśnie wskutek zbliżenia się do Niemiec, mianowicie zmiany Rzymu na rezydencyę sabaudzkiego domu królewskiego?

Z silnie podrażnionego poczucia narodowego, z ciężko obrażonego poczucia moralnego życzylibyśmy szczerze włoskiej chytrości tego upokorzenia. Ze względu jednak na przeszłość musimy oczywiście zadać sobie pytanie, czy podobne rozwiązanie kwestyi, zwłaszcza gdyby miała przybrać formę odbudowy państwa kościelnego, byłoby pożądanem w interesie nawet samego papiestwa. Ze stanowiska polityki rzecz biorąc, mamy poważne wątpliwości, czy wogóle jest to rzeczą możliwą stworzyć dla papiestwa w Rzymie taką sferę władzy i prawa, żeby przyszłe wojny światowe i walki narodów nie mogły mu już sprawiać takich trudności, jak wojna obecna. Otwiera się nam tu znowu pouczający rzut oka na wewnętrzną sprzeczność, która tkwi w usiłowaniu, aby postawić na czele duchownej wielkości Kościoła Chrystusowego świecką, ziemską głowę, i która obecnie w czasie ukształtowania się unarodowionych państw i wojen światowych ze szczególniejszą występuje jaskrawością. (Autor artykułu widocznie tu nie posiada należytego pojęcia o stosunku władzy świeckiej do duchownej w Kościele katolickim; — mniema bowiem, że władza świecka należy do istoty Kościoła katolickiego, podczas gdy ona jest tylko środkiem do pełniejszego osiągnięcia celów duchownych. — Przypisek redakcyi).

Wszystkie te refleksye nie wykluczają wcale racyonalności, aby na seryo podjęto próby wyłączenia papiestwa zupełnie z pod łączności z królestwem włoskiem, co w razie powodzenia przyniosłoby papiestwu istotny przyrost powagi i wpływu. Nazwano wiek XIX erą odnowienia papiestwa. Znalazłoby ono w tym wypadku swoje uwieńczenie w zupełnem „wyzwoleniu".

Co protestantyzm ma powiedzieć o tej możliwości? Pytanie jest niemal tak zawiłe, jak węzeł gordyjski. Jako Niemcy, a także jako Niemcy protestanccy, — bynajmniej nie możemy sobie życzyć, zwłaszcza wobec obecnego i przyszłego politycznego położenia, aby papiestwo choćby z daleka objawiało się jako instytucya włoskiego państwa i żyło tylko z jego łaski. Pod tym względem

bezpośrednio zejdziemy się z niemieckimi katolikami. Z drugiej strony, jako protestanci niemieccy, wcale nie potrzebujemy krzywo patrzeć się na taki rozwój papiestwa pod pewnym osobliwie względem. Co bowiem ostatecznie i zasadniczo rozstrzyga o naszym stosunku do papiestwa, to przecież leży zupełnie poza sferą jego stanowiska wobec prawa międzynarodowego. Papiestwo przedstawia się w obecnych także warunkach jako mocarstwo dyplomatyczne i polityczne o światowem znaczeniu, i przedstawi się tak i w przyszłości, bez względu na to, czy zapewni mu się na dalszą przyszłość swobodę ruchów na mocy prawa międzynarodowego czy też nie. Do tego przyłącza się i ten jeszcze punkt widzenia, że ze stanowiska historycznej ciągłości jest wcale pożądanem, aby papiestwo i z niem katolicyzm rzymski miał sposobność do zupełnie swobodnego uwypuklenia właściwego swego ducha i całkowitego rozwinięcia swej działalności. Wszystkie historyczne siły powinny ujawnić i rozwinąć istotne swe właściwości, jeżeli ewolucya historyczna ma się odbyć należycie. Owszem, zdaje się, że nie mogą nawet wcześniej być pochłonięte przez powszechną ewolucyę, zanim nie znajdą sposobności do rozwinięcia swej najgłębszej i wewnętrznej siły żywotnej. Jednakowoż możliwość ta, o której mowa, spotka się u niemieckich protestantów z rozmaitemi uczuciami i spotykać się z niemi musi..... Zasadnicza ocena papiestwa z naszej strony nie ulegnie przez taki rozwój żadnej zmianie; — nie osłabi się też w nas zaufanie do żywotnej siły i do historycznego przeznaczenia protestantyzmu. Jeśli rozwój historyczny do tego doprowadzi, — protestantyzm nie potrzebuje go powstrzymywać; ale będzie to i być powinno dla niego przestrogą, aby ze swej także strony rozwijał swobodnie i energicznie swą najgłębszą indywidualność, potęgował do najwyższego napięcia wszystkie duchowe swe wartości, które zdoła rzucić na szalę wszechświatowej historyi, i w ten sposób urzeczywistniał w całej pełni swoje powołanie w tak odmiennem współzawodnictwie.

Jakkolwiek więc nie uważamy za pożądane, aby protestantyzm rywalizował z katolicyzmem pod owym innym względem, to jednak cała ta różnica, która w tem wszystkiem tak jaskrawo się uwydatnia we wszechświatowem położeniu katolicyzmu i protestantyzmu, daje nam do myślenia. Katolicyzm i papiestwo jest polityczną potęgą o wszechświatowem znaczeniu. Bez wątpienia napotyka jej wpływ dziś na silne przeszkody. Nawoływania Bene-

dykta XV. do pokoju nie były, o ile to możemy ocenić, skuteczniejszemi od jego projektu uświęcenia dni Bożego Narodzenia zawieszeniem broni; a lud włoski nie dał się dość wyraźnemi prośbami papieża powstrzymać od poświęcenia pokoju dla wojny z Austryą. Z drugiej jednak strony niejedna humanitarna myśl papieża znalazła posłuch, a co pod względem politycznym zasługuje na baczniejszą uwagę, — państwa jak Hollandya i Anglia uważały wobec obecnych warunków za wskazane, aby przy Stolicy Rzymskiej utworzono własne dyplomatyczne przedstawicielstwo. Sprzeniewierzyła się przez to Wielka Brytania pod nowym względem najsilniejszym swym tradycyom. Odnośnie zaś do Kuryi papieskiej można takie zdarzenia bez kwestyi zapisać jako wzmocnienie jej stanowiska wszechświatowego. A zatem, chociażby Rzym pozostał stolicą włoskiego państwa, trzeba nam będzie liczyć się z tem, że również w czasach przyszłego pokoju polityczne znaczenie papiestwa bardziej jeszcze niż dotąd da się odczuć. Wobec zmagania się sił państw między sobą oraz interesów polityki wewnętrznej poszczególnych państw z osobna, z których każde musi przecież brać w rachubę łączność części swej ludności z kościelną organizacyą Rzymu, pomoc ze strony Rzymu zawsze będzie mile witaną. Dla protestantyzmu nie będzie to zawsze połączone z uczuciami przyjemnemi, ale na to niema innej rady prócz ucieczki do wewnętrznej naszej, duchowo-moralnej siły.

Wszechświatowa powaga polityczna papiestwa wypływa z religijno-kościelnej centralizacyi katolicyzmu. Papiestwo jest zewnętrznym wyrazem, co więcej urzeczywistnieniem wewnętrznej jedności katolicyzmu. Dlatego łatwiej zapewne katolicyzm rozwiąże część wielkiego chrześcijańsko-moralnego zadania, jakie stawiać będzie przyszły pokój chrześcijaństwu i kościołom. Mam na myśli tutaj odbudowę chrześcijańskiego, t. j. tam katolickiego, tu protestanckiego poczucia społecznego. Chociaż bowiem nie zanikło ono do szczętu, to jednak doznało skutkiem wojny silnego wstrząśnienia. Nie wiem, czy wogóle zdarzyło się już raz, że katolicyzm jakiegoś kraju zajął tak jasno i dobitnie stanowisko odporne wobec katolicyzmu drugiego kraju, jak to ma miejsce obecnie między Niemcami a Francyą. Jaka zaś przepaść duchowa roztwarła się między nami, niemieckimi protestantami a angielskim i francuskim protestantyzmem, to odczuwamy wszyscy, to ujawniły też rozmaite publiczne oświadczenia

z prawdziwą boleścią. Wznieść się nad to wszystko, a raczej przezwyciężyć to wszystko, będzie hasłem naszem, gdy nastanie pokój".

E. M.

Z działalności Tow. „Czerwonego Krzyża" w Krakowie.

Mało jest znana działalność gal. Tow. „Czerwonego Krzyża", którego delegacya prezydyum przebywa w Krakowie w gmachu Tow. Wzaj. ubezpieczeń od września 1914 r.

Gdy prezydent Tow. „Czerwonego Krzyża" Paweł ks. Sapieha przybył tu z końcem sierpnia 1914 r. na konferencyę w sprawach kraj. Tow. „Czerwonego Krzyża" z głównym prezydentem austr. „Czerwonego Krzyża" J. E. hr. Traunem i nie mógł już powrócić do Lwowa — zajął się organizacyą biura, do którego pozyskał pomoc Adama ks. Czartoryskiego, radcy dworu Józefa Horoszkiewicza, oraz przybyłego ze Lwowa członka wydziału wykonawczego „Czerwonego Krzyża" Dra Witolda Ziembickiego. Dr. Witold Ziembicki stanął na czele biura prezydyalnego i przedewszystkiem uruchomił w budynku gimnazyalnym w Nowym Targu wzorowy szpital dla piersiowo chorych oficerów i żołnierzy. W ślad za tym szpitalem poszły dalsze: w Białej, Rabce, Nowym Sączu, Rzeszowie, w Piotrkowie, Radomiu i w Kielcach. W Nowym Targu i w Rabce stanął osobiście Dr. Witold Ziembicki jako dyrektor, a wyszukawszy zdolnych następców, przyjechał do Krakowa, aby pod kierownictwem niestrudzonego prezydenta księcia Pawła Sapiehy zająć się organizacyą agend „Czerwonego Krzyża".

I rychło owoc dojrzewa. Powstaje szereg sekcyj. Sprawy personalne obejmuje książę Adam Czartoryski, na czele finansów staje radca dworu Horoszkiewicz. Sekcyę opieki szpitalnej reprezentują księżna Pawłowa Sapieżyna z prezydentową Juliuszową Leową i p. Lucyną Spornową; zadaniami sekcyi są: dostarczanie rannym gazet, papieru do pisania, prowadzenie biblioteki, abonament gazet; w dziale rzemiosł domowych: woreczki, pantofle, tkaniny, tokarstwo itp. Sekcya ta cieszy się wielką popularnością wśród rannych, a uznaniem jenerała porucznika Lukasa.

Sekcya szycia powstaje pod kierownictwem pani prez. Gustawowej Ujejskiej. Rozwija się znakomicie. Przeszło sto biednych dziewcząt znajduje pracę. Sekcya ta dostarcza bielizny do szpitali,

otrzymuje z ministerstwa wojny zamówienia na 30.000 garniturów bielizny, a precyzyą wykonania wywołuje podziw. Wszystko zrobione tanim kosztem, a uczciwie. Zajęcie stu dziewcząt, to wyratowanie ich od niedostatku i wszelakich pokus z tem złączonych.

Sekcya propagandy wzorowo zorganizowana, rychło nowych dwa tysiące członków skupia około Stow. „Czerwonego Krzyża", sprzedaje gustowne bloczki, odznaki, zajmuje się pisaniem listów, które wydają rezultat 25.000 sztuk korespondencyj. Sekcya ta przynosi dochodu 15.000 kor. do lipca b. r.

Sekcyę wydawniczą z wielkiem znawstwem i artystycznym smakiem prowadzi osobiście dyr. Dr. Witołd Ziembicki, czujnem okiem opiekując się innemi sekcyami. Przy pomocy p. Romana Kubalskiego — zakupuje Dr. Ziembicki razem z ks. Pawłem Sapiehą i takim wybitnym znawcą, jak A. ks. Czartoryskim, oryginalne obrazy mistrzów przedewszystkiem polskich, aby je reprodukować na kartach pocztowych, których dotąd wyszło 26 seryj, a dalsze są w wykonaniu. Poważne dochody tej sekcyi pozwalają na zakupno dalszych dzieł sztuki, co i dla artystów naszych nie jest dziś obojętnem. Dla celów propagandy tej sekcyi jest w Krakowie sklep, uprzejmie odstąpiony przez Bank przemysłowy bezpłatnie przy linii C—D w Rynku, a liczne ekspozytury we Lwowie i w szpitalach prowincyonalnych puszczają w świat te piękne widokówki.

Sekcya gospodarstwa domowego przy wybitnym współudziale Pawłowej ks. Sapieżyny zajmuje się hodowlą nierogacizny, królików, drobiu, ogrodnictwem przy każdym szpitalu. Jest to pomocą dla zarządów szpitali i źródłem dochodów.

Sekcyę prasową oddano w Krakowie w poważne ręce red. Piotra Rysiewicza (we Lwowie prowadzą tę sekcyę zaszczytnie znany poeta St. Rossowski i referentka p. Janina Łada Walicka). Sekcya ta zajmuje się archiwowaniem wszystkich wiadomości w prasie polskiej i zagranicznej o „Czerwonym Krzyżu" — wydaje komunikaty o działalnosci „Czerwonego Krzyża" i jest w ścisłej łączności z sekcyą wywiadowczą, prowadzoną przez p. Kazimierza Garapicha z referentem Pelagią hr. Łubieńską. Sekcya wywiadowcza, założona dla interesów twierdzy krakowskiej, podzieliła się z chwilą uwolnienia Galicyi terytoryalnie ze Lwowem. Wystawa wojenna we Lwowie podaje w pawilonie „Czerwonego Krzyża", urządzonym przez Dra Jana Piepes-Poratyńskiego, bardzo ciekawy

grafikon, wykazujący olbrzymi sukces korespondencyi z jeńcami wojennymi i cywilnymi. Setki tysięcy listów przez tę sekcyę wysłanych do tyleż osób, które błogosławią tę instytucyę „Czerwonego Krzyża“, która pozwala biednym wygnańcom dowiedzieć się o rodzinie, która umożliwia posłanie zasiłku pieniężnego, łączy ojców i braci z domem rodzinnym.

Sekcya wywiadowcza dzieli się na: 1) odszukiwanie zaginionych, 2) wywiadywanie się o rannych w szpitalach, 3) informowanie, 4) prostowanie adresów, 5) korespondencya, 6) dostarcza pracy dla jeńców w Galicyi, 7) prowadzi w szpitalach i w obozach jeńców szkoły dla analfabetów.

Oto w kilku tylko rzutach bardzo pobieżnie skreślona działalność delegacyi krakowskiej prezydyum galic. „Czerwonego Krzyża“. Krótka ta notatka niech da obraz bardzo wybitnej i czcigodnej działalności galic. „Czerwonego Krzyża“, z Pawłem ks. Sapiehą, jako prezydentem na czele. Błogosławieństwo kraju całego czcić będzie zawsze zbożną pracę kraj. Stow. „Czerwonego Krzyża“.

Z korespondencyi redakcyjnej.

Doszło nas następujące sprostowanie:

Im Juniheft der Zeitschrift *Przegląd Powszechny* wird bei Besprechung meines fünfbändigen Lexikons der Pädagogik behauptet, dass das genannte Werk unter Leitung von Herrn Professor Willmann erschiene. Das ist ein Irrtum. Sowie Plan und Anlage des ganzen Unternehmens lediglich von mir herstammen, bin ich auch der alleinige Herausgeber des Lexikons, ein Tatbestand, der in der gesamten wissenschaftlichen Fachpresse des In- und Auslandes durch die Bezeichnung „*Roloffs Lexikon der Pädagogik*“ anerkannt wird.

Freiburg i. Brsg., 30. August 1916.

Hochachtungsvoll

Ernst M. Roloff
Lateinschulrektor a. D.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Tokarz Dr. Władysław: Ignacy Prądzyński. **Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi.** Biblioteczka legionisty, tomik IV. Kraków 1916. Str. 188 in 16°.

Carlier O. Ludwik: **Zjawienie się Matki Bożej na górze La Salette.** Tłómaczenie z francuskiego. Nakładem X. X. Misyonarzy z La Salette w Dębowcu. Str. 85 in 8°. Kraków 1911.

Korniłowicz Tadeusz: **O Stanisławie Witkiewiczu.** Nakładem autora. Str. 62 in 16°. Kraków 1916.

Ks. Biskup Pelczar: **Niektóre kazania i mowy przygodne.** Nakładem autora. Str. 547 in 8°. Przemyśl 1916.

Grabowski Dr. Tad. St.: **Rosya jako opiekunka Słowian: I. Ruś-Ukraina a rządy rosyjskie.** Stron 46; **II. Białoruś pod rządami Rosyi.** Stron 35 in 12°. Nakładem Tow. Słowiańskiego. Kraków 1916.

Gawroński Fr. Rawita: **Słupy Bolesława W. w Kijowie.** Legenda, historya, hipoteza. Nakładem autora. Stron 40 in 8°. Kraków 1916.

Tenże: **Obszar, zaludnienie i tworzenie się Kozaczyzny.** Nakładem Świata Słowiańskiego. Stron 70 in 8°. Kraków 1914.

Lulek Dr. Tomasz: **Organizacya obrony ziemi.** Nakładem Akademii handlowej. Str. 43 in 8°. Kraków 1916.

Nakładem Gebethnera i Wolffa Kraków-Warszawa 1916.

Hoesick Ferdynand: **Paryż.** Str. 578 in 12°.

Ligocki Edward: **Laguna morta.** Str. 404 in 12°.

Buszczyński Konstanty: **Wrażenia z Ameryki.** Str. 96 in 8°.

Peretiatkowicz Dr. Antoni: **Państwo współczesne.** Stron 64 in 12°.

Piąty listopada.

Ileż razy przez 121 lat zaciskały się polskie dłonie i wznosiły ku niebu z zapytaniem: Kiedyż nadejdzie dzień wybawienia! kiedyż!

Piąty listopada pasowała miłościwa Opatrzność na ten dzień, który w historyi świata miał być świtem nowej Polski. Świt w mgłach, zarzucony czarnemi chmurami — ale mimo wszystko świt!

Szczęśliwe przyszłe pokolenia polskie, oddalone od ciężkich dni dzisiejszych, tych, co w strasznej niepewności i w groźniejszem od niej rozdarciu dusz, rodzą nowy porządek Polski! Dla pokoleń tych dzień ten będzie różaną jutrzenką, grającą swoim promieniem na najradośniejszej strunie serca polskiego, jutrzenką bezpośrednio łączącą się z majestatycznym wschodem słońca i ze słońcem, stającem w zenicie.

Prawda, mimo wszystko, prawda, że było w naszych sercach coś, czego przyszłe serca nawet zrozumieć nie potrafią!

Urodziliśmy się w niewoli, już czwarte pokolenie w niewoli! Z widowni świata strąceni w lochy podziemia i z każdym porywem ku życiu coraz niżej, w coraz głębsze mroki spychani, wreszcie w najgłębszy dół nocy zostaliśmy zepchnięci — w epokę, w której myśleć o zmartwychwstaniu Polski uchodziło w świecie za lekkomyślność, graniczącą z obłędem. Nieśmiertelna nadzieja nie dopuszczała sercu pol-

skiemu zwątpienia ni rozpaczy, owszem, im było beznadziejniej, tem dotkliwsza rodziła się tęsknota za powiewem wolności i słońcem. Jak działa ten powiew, jak świeci to słońce, czy ujrzy się je kiedy, czy ujrzą je dopiero następcy? Tymczasem jednak w podziemiu coraz ciemniej, coraz duszniej, coraz ciężej — konwulsya walczącego ze śmiercią życia zaciska dłonie i wznosi je błagalnie ku niebu. A może nadzieja zawodzi?

I oto w takiej chwili spada jak huragan wojna światowa, wstrząsa fundamentami narodów i węgłami ziemi. Ściana, dzieląca podziemie polskie od świata, rysuje się, pęka, wreszcie rozsypuje się w gruz. Wyjść na świat boży z podziemia, z powodu góry gruzów, jeszcze trudno, ale już otworzyła się szczelina, już wpoprzek gruzów znaczy się korytarz, przez który wpada powietrze i światło, przez który widać kawałek błękitu a na nim świt. Tysiące oczu, które od urodzenia znały tylko ciemność podziemia, wciskają się konwulsyjnie w szczelinę i przez łzy chłoną chciwie światło i błękit i świt wolności. W tych źrenicach, na których kłaść się zaczęło bielmo konania, załamuje się już radosny promień życia.

Tysiące razy pytało się w życiu, czy i kiedy Polska po wstanie — czy, przypadkiem, na spiżowych bramach jej więzienia nie jest ryty beznadziejny, dantejski wyrok? A oto, w oczach naszych, pękają pieczęcie nocy i wśród rumowisk podziemia, w głębi tego korytarza, który od śmierci ku życiu prowadzi, jawi się żywy naród — Polska, z koroną na skroni i z mieczem w ręku. Jest, zmartwychwstał, będzie królował!

Gdy teraz na Wawelu obchodzono uroczystość wskrzeszenia państwa polskiego, patrzyło się dokoła za jakim znakiem widomym wskrzeszonej Polski. Nad głowami tysięcy, które zaległy wawelskie wzgórze, łopotały chorągwie, niosły się dźwięki muzyk, popłynęły wreszcie z drzwi katedry ostatnie tony hymnu narodowego: „Boże coś Polskę". W powrotnym pochodzie, wśród radosnego gwaru, jęły przeciągać korporacye, związki, te ze sztandarami, godłami, te wśród dźwięków muzyki, inne z pieśnią narodową na ustach. Nagle wśród

tłumów powstała śmiertelna cisza. Szła wskrzeszona Polska. Oto ponad głowami przesuwały się zielone gałązki na czapkach i lufy karabinów idącego w pochodzie oddziału legionistów. Szedł młodociany żołnierz, który z własnej miłosnej, chęci ku ojczyźnie przelewał za nią krew w dziesiątkach bitew, żołnierz dziś na polskiego żołnierza pasowany — pierwszy i jedyny dotąd widomy znak zmartwychwstającej Polski. W piersiach tysięcy załkało. Zniknęło z oczu wszystko — jakiś skłębiony orkan uczuć zwalił się na dusze, zawirował w nich i zatamował oddech, ażeby po chwili zdrętwiałego zmilknięcia wyzwolić się w burzy tryumfalnego okrzyku.

* * *

Pierwsza myśl, jaka z tej powodzi uczuć dobyła się na wierzch świadomości, była ta:

Jest Bóg!

Jest Bóg, t e n, który stworzył narody, wypisał im na duszy prawa, i przeznaczył zadania do spełnienia. Czyżby ten Bóg, któremu serce targa każda łza ludzka, niegodziwie wyciśnięta, mógł pozostać spokojnym, gdy dzieje się wołająca o pomstę krzywda całemu narodowi, gdy wskutek tej krzywdy idą w poniewierkę najświętsze jego postanowienia, najszlachetniejsze względem świata plany, gdy wskutek tego już nie opóźnia się wskazówka na zegarze Opatrznościowych zamiarów, ale zdawałoby się, że cały zegar staje, rdzewieje i staje się bezużytecznym sprzętem?

Nie trzeba być Polakiem, trzeba być tylko człowiekiem o średnim rozumie, ażeby odczuć zbrodnię, jaka tkwiła w przedrozbiorowych chwilach Polski. Oto, gdy naród, widząc i uznając swoje niedomagania, zabiera się usilnie i skutecznie do naprawy zła, czyha już nieprzyjaciel, by do tej naprawy nie dopuścić, — gwałtem, podstępem, korrupcyą, wszystkimi środkami wszelkiej naprawie przeszkadza, w tym tylko celu, by na słabym a więc bezbronnym narodzie dopuścić się unicestwiającej go grabieży. Te wojska rosyjskie przy elekcyi pod-

suniętego słabego króla, pomoc dana Targowicy, armaty przy ostatnim sejmie, to wszystko zbrodnie, godne tylko Rosyi. Idzie jeden rozbiór po drugim i zaczyna się męczeńska dola narodu. Ileż potem przelało się krwi polskiej w walkach o ojczyznę, ileż popłynęło łez w rodzinach, ileż pochodów w kajdanach na Sybir, ileż rzezi i mordów, jak Praga, jak Wilno Murawiewa, jak Podlasie? Nie pozostało żadne z praw człowieczych, prawo wiary, sumienia, własności, języka, któreby najbrutalniej nie zostało zdeptane i unicestwione. Wszystko, co Polska misyą swoją historyczną spełniła, a więc w pierwszym rzędzie religia katolicka na Litwie i Rusi, jednym zamachem zostało przekreślone i zniszczone. W końcu na męczeńskim grobowcu samo imię Polski zatarto. I wobec tego wszystkiego, ten Bóg, który jest Bogiem życia, miłości i rozwoju, mógłby pod tym szatańskim cyrografem podpisać swoje nazwisko?

Młyny Boże mielą powoli ale stale!

Iluż ludzi, wobec chwilowego milczenia Boga na zbrodnie świata, poczęło tworzyć systemy, dowodzące, że najwyższem prawem świata jest siła i powodzenie! Czyż i u nas nie pojawiali się tacy?

W wyrokach Bożych, jak i w wyrokach ludzkich, zdarzają się sądy doraźne. Zwykłą jednak drogą tych wyroków jest stopniowy rozwój występku i występnej namiętności aż do szczytu, którym jest katastrofa. Jak kłos wyrasta z ziarna, jak organizm z komórki, tak i występek każdy mieści w sobie zaród śmierci i zguby. Zbrodnia, dokonana na Polsce, była najgłówniejszą z tych, co wniosły w świat ten zaród. Kto miał oczy ku patrzeniu, ten widział, jak zbrodnia ta powodowała nienaturalne sojusze i niczem nieuzasadniony układ sił, co, jak duszące żmora, ciążył ustawicznie nad całą Europą. Nadto żądza bogacenia się i rozszerzania cudzym kosztem, deptanie cudzych praw, rosnąc ustawicznie, znieprawiały coraz bardziej świat i doprowadziły w końcu do takiego zdziczenia idei narodowej i państwowej, że w niewielu okresach historyi równego dopatrzeć się można. Cóż dziwnego, że jedno pań-

stwo drugiemu przestało ufać, że przyszedł zbrojny pokój świata a za nim nieodzowna wojna światowa.

Dziś, gdy tysiące dzieł ludzkich legło w ruinie, gdy nieprawnie zdobyty dobrobyt rozsypał się w nicość, gdy miliony trupów zasłały pobojowiska i cała Europa zamienia się w cmentarz i pustynię, dziś ludzie coraz bardziej pojmują, że w tych chwilach nad krawędzią świata stanął, wsparty na mieczu pomsty, sprawiedliwy Bóg.

I oto w samym środku tych sądów bożych, gdy grom armat wstrząsa dalej posadami ziemi a na niebiosach wieczornych wciąż nowe palą się łuny, wśród zgliszczy i mogił, wśród rzezi mordujących się narodów, jak świetlane zjawisko z drugiego świata, jawi się Polska. Pierwsze życie, jakie z popiołów tej wojny się rodzi. Zdeptana i zepchnięta w podziemie, dziś wyprowadzoną jest na widownię i po części przywróconą do wolności i czci przez dwa z państw rozbiorowych, jako niezbędna tama, mająca przeszkodzić, by w przyszłości nie powtórzyło się to, co dziś się dzieje. Przekonał się świat naocznie, że to, co było posłannictwem Polski, tylko przez nią samą da się spełnić. Dziwnie niezłomna siła przeznaczeń Opatrzności Bożej, przestrzegająca praw i granic, przez siebie ustanowionych!

Bóg milczał, ale dziś okazuje się, że był i czuwał.

* * *

W tym dniu radosnym ten wyrok sprawiedliwości Bożej jest pierwszą wartością niezmienną i pewną. Ludzka złość i słabość może na chwilę ten wyrok wypaczyć, może urzeczywistnienie jego przeciągnąć, ale unicestwić go nie potrafi. Prędzej, czy później, on musi się dosłownie spełnić. Ufając sprawiedliwości Bożej, byliśmy pewni, że ten świt przyjdzie, i nie zawiedliśmy się; wzmocniona dzisiaj nadzieja daje nam pewność, że po tym świcie przyjdzie dzień z pełnem słońcem.

Więc tak blizkim miałżeby być dzień wybawienia, ów trzeci dzień, co ze strasznego proroctwa Skargi przedziera się

jak złoty promień! „Ożywi nas i po dwu dniu trzeciego dnia wzbudzi nas. Pierwszy dzień niech będzie żałości i skruchy prawej i spowiedzi grzechów naszych. Drugi poprawy i nagrody wszelakiej do pokuty prawej potrzebnej. A trzeci dzień usprawiedliwienia naszego".

Któżby, lat temu cztery, przy jubileuszu Skargi, mógł przypuszczać, że usprawiedliwienie nasze tak blizkie? Któżby śmiał twierdzić, żeśmy pokoleniem lepszem, godniejszem i bliższem usprawiedliwienia od poprzednich pokoleń porozbiorowych? To jedno chyba powiedzieć można i trzeba, że na ekspiacyę dnia dzisiejszego złożyły się nie tylko drobne ofiary nasze, ale i wartość duchowa i ofiary całej Polski porozbiorowej i, że miara ta, jeźli nie była pełną, to była obfitą.

I to jest ta druga wartość, jaką dzień dzisiejszy stawia w pełnym blasku: siła wewnętrzna narodu. Polska musiała prędzej czy później powstać, bo miała siłę po temu, bo z chwilowej niemocy powstała zdrową.

Oznajmiał Skarga karę niewoli za ciasne, samolubne serce, za brak miłości ojczyzny. A oto na powitanie dnia dzisiejszego idzie z mroku rozbiorowych i porozbiorowych lat milionowy pochód tych, co złożyli siebie w całopaleniu na ołtarzu tej miłości. Na czele idą konfederaci barscy, z ryngrafem Matki Bożej, w ślady postępuje orszak twórców Konstytucyi trzeciego Maja, jawi się i Rejtan z obnażoną piersią i książę Józef i Kościuszko. Za nimi cisną się tłumy — i tych w świetnych barwach, co w legionach i w wojnach napoleońskich walczyli o Polskę — i tych, co pod sztandarami 31. i 63. roku oddawali życie. A oto poczet drugi, zastęp duchowych przewódców, co poezyą, sztuką, nauką, pracą religijną i społeczną krzesali ognie tej miłości w sercach i ci prowadzą już za sobą naród cały. Ten naród, który lekkomyślnie roztrwonił ojcowiznę, dziś stał się jednym z największych miłośników swej ojczyzny między narodami świata. Pokolenia całe żyły i umierały, tą jedną myślą, tą utęsknioną miłością przejęte; w każde rano patrzyły, czy to nie świt wybawienia się zbliża i gasnąc, usiłowały dojrzeć go w ciemnej przyszłości.

Razem z przyjściem tej miłości, przy pomocy zewnętrznych warunków, runęły prawie wszystkie *gravamina* Skargi, runęły przedewszystkiem wyłączności klasowe i krzywdy społeczne, bo prawa i obowiązki narodu rozszerzyły się na wszystkie warstwy. Sam bieg czasu sprzątnął z widowni to, co w urządzeniach było starzyzną czy wybujaniem; dziś byłyby niemożliwością i wolna elekcya i liberum veto i różne formy nierządu.

Jeżeli pozostały słabości — a któryż naród jest bez nich? — to pozostała i dawna plemienna siła. Czasy niewoli zadały niejedną ranę, ale i skrzepiły to, co jest rdzeniem tej siły. Wszystko, co jest dobrą właściwością narodu, co jego charakterystycznem znamieniem, to właśnie, dzięki prześladowaniom, doszło do pełnej świadomości siebie i do pełnego rozwoju tak, że przyszła i taka chwila, że prześladowcom, na widok skutków przeciwnych ich zamiarom, opadły beznadziejnie ręce. Zrozumieli, że polskości a temsamem i Polski zdławić się nie da.

Jest w tej plemiennej sile polskości, tak jak ona dziś, po wieku udręczeń, skrystalizowała się, coś niezwykle dostojnego. Jest to z jednej strony ta sama siła, co wydała Chrobrych i Sobieskich, luminarzy nauki i bohaterów świętości, co biła słupy u granic morza i niosła w dalekie rubieże wschodnie cywilizacyę i wiarę — a z drugiej strony jest w niej ten naddatek, jaki tylko w morzu cierpień, łez i krwi mógł się zrodzić, to niezwykłe pogłębienie serca w ukochaniu swej swoistości, to przenikliwsze zrozumienie swego posłannictwa, ten sprecyzowany profil kultury polskiej i duszy polskiej, jaki tylko wiekowy rylec niedoli mógł wyrzeźbić. Możnaby powiedzieć, że bolesne te przejścia stworzyły we wszystkich duszach polskich razem i w każdej z osobna duchowy skarbiec narodowy, mieszczący w sobie wszystkie polskie ideały i idee, całą tradycyę rodzimą i całą rodzimą kulturę, wszystko, co jest w Polsce wielkiem i świętem, co jest dziedzictwem przeszłości i posłannictwem przyszłości — mieszczący w sobie przedewszystkiem niezachwianą ufność w niezniszczalną siłę na-

rodu i w jego przyszłe przeznaczenie. Skarbiec ten duchowy narodu, to jakiś Akropol, jakiś zamek na wysokiej zbudowany skale, z którego wzrok dalekie obejmuje przestrzenie od morza po morze — na którego budowę składają się wszystkie style zachodnie i własne rodzime motywy — w którego wnętrzu mieszczą się i portrety wielkich przodków i broń rycerska i złote księgi mędrców i wieszczów i kult przeszłości i plany na przyszłość i to sanktuarium świętości narodowych, w którem na naczelnem miejscu wisi krzyż Chrystusa i jasnogórski obraz jego Matki.

Gdyby Polska była narodem marnym, moralnie upadłym, byłaby się z tego wiekowego nieszczęścia nie podniosła; gdyby była narodem słabym, byłaby zatraciła swoją odrębność. To, że wyszła z tej klęski zwycięsko, z nowym zasobem sił i z pełniejszym rozwojem sił dawnych, to znak, że była silną i we własny skarbiec narodowy bogatą.

W dniu piątego listopada ten Akropol polski wychylił się w blasku z za mgły.

* * *

Od piątego listopada idziemy już od świtu w dzień, od zapowiedzi państwowości polskiej w budowanie państwa polskiego. Patrzą na nas oczy całego świata i spojrzenia przyszłych pokoleń. Wielkie dzieło i wielka odpowiedzialność.

Oby w tej chwili było u nas jedno serce, jedna myśl i czyn!

Ks. J. Pawelski.

Franciszek Józef.

Zgasł wielki Cesarz, niestrudzony orędownik pokoju, W boleści wywołanej zgonem Dostojnego Starca, co w zdumiewającej świeżości sił dosięgnął rzadkiej granicy ludzkiego wieku, w żalu za ukochanym, przez swoich i przez wrogów czczonym Monarchą, brzmi silnie jedna serdeczna nuta: że Bóg mu nie dał dożyć przywrócenia pokoju między krwawiącymi się w wojnie narodami. Pokojowi on służył z tą samą niewzruszoną wiernością, jak służył niezłomnie dobru, przyszłości swoich ludów, Monarchii swojej i dziejowemu jej posłannictwu. Wśród wszystkich krzyżów, jakie Bóg zsyłał na swego Pomazańca, najcięższym podobno krzyżem była nieubłagana konieczność wypowiedzenia monarszego słowa, którem rozniecila się iskra światowej wojny. *Musiał* je wyrzec, by nieuchronną zgubę odwrócić od Monarchii, ocalić misyę, którą Bóg wytknął rzeszy narodów, zjednoczonych pod berłem Austryackiego Domu. Pokoju nie doczekał — odszedł, jak Mojżesz przed wejściem do ziemi obiecanej.

W pożodze wojny wstąpił na tron. Ale wojna w tym czasie podobniejsza była niemal do wojen Cezara i Aleksandra niż do teraźniejszego zmagania się narodów — w technice i w rozmiarach. Normalne również życie ludzi i ludów pośród pokoju w podobniejszych pod tylu względami płynęło warunkach. Wszak połączenie koleją stolicy cesarskiej z morzem wydawało

się jeszcze zuchwałą mrzonką, w której urzeczywistnienie technicy nie wierzyli; elektryczność poczynała zaledwie nieśmiało służyć pośredniczeniu myśli i wiadomości; na całym widnokręgu życia, publicznego, gospodarczego, osobistego, nie zarysowały się nawet kontury tylu zagadnień, których rozwiązywanie stało się dziś chlebem powszednim. Pod wiązaniami tej epoki, tak twórczej a tak ubogiej w ideały, w całym okresie, jakiemu podobnego nie zna historya — rozpostarło się panowanie zmarłego Cesarza. Już sama trwałość jego w ciągu dwóch pokoleń, to fakt opatrznościowy dla losów jedynego w historyi skupienia ludów, które bieg dziejów postawił na rubieżach dwóch historycznych światów, dwóch odrębnych połaci starej Europy.

Wszystko na kuli ziemskiej ulegało różnorodnym przeobrażeniom, w przededniu wielkiej wojny, która rozpęd ich pchnie po wojnie na nowe, rozbieżne tory. Na tle tej minionej epoki, u progu nowej, jaśnieje posągowa postać mądrego władcy, który stanął przed Bogiem po 68 latach panowania. W odwet za krzyże, jakie spadały na człowieka, dar mądrości w obfitej mierze spłynął na monarchę, przejętego na wskróś poczuciem odpowiedzialności za dobro swoich ludów.

Jeśli dane na ziemi dosługiwać się daru Niebios, wierną z zaparciem siebie służbą Franciszek Józef ten dar sobie wysłużył. Codzień, zanim pierwsze światełka błysły w izdebkach wyrobników Meidlingu i Ottakringu, w Schönbrunnie biło światło z gabinetu Cesarza: on tam stawał pierwszy na placu, pierwszy, najpracowitszy służebnik nie tyle państwa, dziedzictwa przodków, nie tyle Domu, którego ręka tem dziedzictwem kieruje, co posłannictwa historycznego, które Opatrzność na ten Dom i na państwo włożyła. „Stary żołnierz", jak sam siebie nazywał, z żołnierską służbistością spełniał rozkazy wodzów, którym na imię: Sumienie i Odpowiedzialność.

Nieraz pośród gorącej miłości ludów, podległych berłu Franciszka Józefa, przewijały się tłumione objawy zniecierpliwienia, że Cesarz cofa się przed jakąś szczególnej wagi decyzyą, której z upragnieniem oczekiwano. W perspektywie

dziejowej tę rzekomą trudność decyzyi otoczy właśnie aureola mądrości, daru Niebios, co się przymnażał z zasobami doświadczeń, na przekór zębowi czasu, który nie nadgryzł sił duchowych Monarchy. Historya uzna, że tyle i tyle razy Franciszek Józef cofnął się przed dojrzewającą decyzyą, jak żołnierz zawsze posłuszny rozkazom swoich wodzów, Sumienia i Odpowiedzialności, odkładając na jutro wykonanie zamiarów, do których go ciągnęło rycerskie serce — cofnął się, by wśród rozbieżności dążeń, znamiennej w tem zbiorowisku ludów, którym panował, nie potęgować trudności, którychby siła ludzka dzisiaj nie rozwikłała. Za to w chwilach rozstrzygających, których powaga wymagała decyzyi, choćby jak trudnej i niebezpiecznej — jak w lipcu 1914 — umiał być mocnym, niczem nie dał się zachwiać, oddając w ręce Tego, przed którym miał zdać rachunek, wszystkie następstwa ciężkiego postanowienia. Wierzył w Niego, w zwycięstwo dobrej sprawy, sprawiedliwości, w słowa jaśniejące na bramie siedziby jego przodków: **Justitia regnorum fundamentum.**

Ta wiara kierowała nim zawsze, w jej imię wyrzekł słowo, którego iskra rozpaliła wojnę światową, nią rządził się w nieprzeliczonych trudnościach i wątpliwościach, jakie wyłaniały się codzień w zawiłych sprawach polityki wewnętrznej.

Na tej granitowej podstawie ukształtowało się, utrwaliło niezłomne stanowisko Franciszka Józefa w stosunku do Polaków i sprawy polskiej.

Wstąpił na tron w epoce wszechwładnych prądów, które jak nigdy przedtem — a to wyraz wymowny — uchylały prawdopodobieństwo znośnych widoków narodowego życia Polaków w obrębie austryackich słupów granicznych. Że przemógł tak rychło uprzedzenia, ugruntowane w 80-letnich tradycyach, i to bez żadnych postronnych wpływów, jedynie siłą sumienia i wrodzonego instynktu sprawiedliwości: to jeden z najznamienniejszych przyczynków do charakterystyki zmarłego Cesarza. Że z tej drogi nie zboczył, wbrew nieustannym, często z niezwykłą siłą rozpętanym zakusom, by go zwrócić na dawne

szlaki: w tem uwydatnia się jego niezależność sądu i niezachwiana moc charakteru.

Powiedziano po śmierci Cesarza, że z czasem dopiero z tajników archiwalnych odsłonią się w pełni jego myśli o sprawie polskiej — i myśli i zamiary. W pełni — wątpię. Bo myśli te kiełkowały na osobliwym gruncie, który nie daje plonów nietylko spichrzom archiwów, ale nawet wspomnieniom ludzi, którzy o myślach i zamiarach Franciszka Józefa mogliby w pamiętnikach zostawić cenne wskazówki. Wiąże się to najściślej i z właściwością sprawy polskiej przed wybuchem tej wojny a nawet w jej przebiegu, i z indywidualnością Monarchy. Był samotnikiem jak mało który ze współczesnych władców, nie z natury, bo to zamknięcie w sobie pryskało każdym razem wśród jedynej rozrywki, jakiej sobie pozwalał, na łowach, gdzie lubił wesoło gwarzyć z myśliwymi o przyrodzie, zwierzynie, polowaniu. Był samotnikiem w Burgu czy w Schönbrunnie, posłuszny rozkazowi monarszej odpowiedzialności, którą nie dzielił się z nikim, kto nie był powołany z urzędu do wtajemniczania się w myśl Cesarza na blizką metę aktualnych spraw. Stąd też rzadkie tylko przeblyski jego myśli o Polsce zamigotały czasem w jakiejś rozmowie, której nieodzowna konieczność narzucała się zamkniętemu w sobie samotnikowi przez aktualny interes chwili, jak np. w r. 1886 lub rzadko, wyjątkowo, w ciągu tej wojny.

To pewna, że pogląd Cesarza na sprawę polską nie od razu się skrystalizował. Wymagało to czasu. Z początku dość mu było zdjąć długoletnie pęta z polskości w tej prowincyi, którą rozbiór Rzeczypospolitej oddał pod panowanie jego Dynastyi. Od razu jednak postawa jego wobec polskiej „narodowości" poczęła podobno przybierać barwę odmienną od tej, jaką mu dyktowało poczucie sprawiedliwości wobec **wszystkich** innych ludów, podległych jego berłu. W miarę jak dzięki jego inicyatywie rozpęd narodowego życia w Galicyi wzmagał się i naturalnym biegiem zataczał szerokie kręgi, zwłaszcza kulturalne, sięgające daleko po za graniczne czarno-żółte słupy — w miarę jak sam Franciszek Józef poznawał

bliżej i Polaków i polskość: instynkt sprawiedliwości, który mu był bussolą w każdem działaniu, pogłębiał się, potęgował, posuwał się na tory, jakie nie były dostępne dla ojcowskiej pieczołowitości Monarchy o dobro innych ludów. W prawnuku Maryi Teresy, w szóstym z kolei potomku przedostatniego męskiego przedstawiciela Habsburgów, którego dzierżawy odsiecz Wiednia ustrzegła od śmiertelnego ciosu, budziła się coraz żywiej świadomość wielkiego dziejowego nieszczęścia, jakiem wiek XVIII. splamił historyę Europy. Był w prostej linii trzynastym potomkiem Jagiełły, dwudziestym szóstym Bolesława Chrobrego. W rzędzie osobistych pragnień człowieka i cesarza odbudowanie Polski przybierało z biegiem lat coraz wyraźniejszą postać. Trzeźwy, jak może żaden ze współczesnych monarchów, trzymał na wodzy interesów państwa twórczą imaginacyę budowniczego przyszłości. Orędownik i obrońca pokoju, dzięki wrodzonej i zahartowanej trzeźwości liczył się z nieuchronnem na krótszą czy dalszą metę historycznem starciem z kolosem Caratu. Ale na gruncie rzeczywistości trudno mu było zapewne wystawić sobie wskrzeszenie Polski nawet w następstwie takiego starcia, a to ze względu na interes tego samego państwa, które w XVIII. stuleciu zmusiło Maryę Teresę do udziału w rozbiorach. A że w nim nic nie było z tej złudnej błyskotliwości inteligencyi, która rwie się do rozwiązania kwadratury koła, prawnuk Maryi Teresy kroczył prostą, utartą drogą obowiązku: daleki od hazardów, składał jak zawsze przyszłość w ręce Opatrzności i tem większą jedynie troskliwością otaczał rozwój narodowego życia w swoim polskim kraju koronnym. Wiedział i czuł, że przez to przysparzają się i gromadzą zasoby, których użyje przyszłość na odbudowanie spuścizny Piastów i Jagiellonów.

Nie dożył końca wojny — zanim zamknął powieki, doczekał się wydarzeń, przecinających gordyjski węzeł, wobec którego Polska odbudowana wydawała się zawsze niedościgłem marzeniem. Jego mądrość — na przekór zniecierpliwieniu, jakie towarzyszyło męczącym, długim przewłokom, — doprowadziła sprawę do dojrzałości — jego wola w rozstrzygającej chwili wyrzekła twórcze **Fiat!** *Stanisław Smolka.*

U trumny Sienkiewicza.

Jakiż to wicher porywa się z mocą
Nad Twoją trumną? — Błyskają oręże,
Sztandary złote na wietrze łopocą —,
Hej! Tętent koni słychać, jadą męże,
A wszyscy nasi! Nie pytaj się: „po co?“
Każda ci szabla powiada: „zwyciężę!“
Każde ci liće Polski głosi chwałę. —
Hej! Stadem orły w lot wzniosły się białe..!

Z potopu fali, w łunach się wyłania
Zrąb Jasnej Góry — Ukrainy stepy,
Chrzęst zbroic słychać, rumaków parskania,
Wojenne wrzaski i mieczów zgrzyt ślepy.
Taborów dudni grzmot, salwy strzelania,
Pocisków czarne pękają czerepy,
W pożarach złotych, przez krwawych łun smugi.
O! Tyś nam wskazał, jak wstawać — raz drugi!

Z Jaremy krzyku moc brały pałasze,
Co nad Rokitną błysły — w łunie chwały,
Z Kmicica męstwem w bój chłopcy szły nasze,
W huragan ognia, na szańce i wały,

Serce im w piersiach skakało jak ptaszę,
Bo stare hasła je w słońce wołały,
Bo krew poczuli swą lwi nieodrodni
Przy Twojej, Mistrzu, płonącej pochodni!

Jakież to sylfy płyną przez niebiosa
Ku Tobie? — Tęcza szlak jasny im ścieli:
Z kaskadą w czoło lecącego włosa
Pieszczotka twoja to, maleńka Neli
I Staś — nad trumną skłonieni z ukosa,
Tonący cali w srebrzystych strug bieli,
Od polskich dziatek rzucają w grób kwiaty
Za wielkie serce Twe, Orle skrzydlaty!

Oto ze srebrną luteńką przychodzi
Danusia biała, oto postać Basi
Promienna spływa..., W sztandarów powodzi
Czarniecki idzie, z nim hetmani nasi
I król, co całem rycerstwem przewodzi
Z dobrocią wielką, co lica mu krasi...;
Polska się cała zbiera u Twej trumny,
Wdzięczna, żeś synom jej wrócił lot dumny!

Na tęcz minionych ogromnej ruinie
Tyś Polskę nową, o Mistrzu, budował,
Wierząc, że wsiąkła krew darmo nie ginie,
Że sztandar, w kurzu zwalony na pował,
Podniosą duchy o pomsty godzinie — !
Z rycerskich widzeń Tyś cudny sen snował
Przed nami, w długiej niewoli i nocy
Z pochodnią idąc, jak dawni prorocy...!

A teraz, kiedy olbrzymi plon wzrasta
Z prac tylu —, kiedy wśród huku i grzmotu
Lechicki orzeł, nad sioła i miasta,
Potężnem skrzydłem się porwał do lotu

I z gruzów wstaje wiekowy tron Piasta, —
Ty, jakby żóraw, stęsknion do powrotu
W Ojczyznę lepszą, — spełniwszy zadanie,
Na słupie ognia odchodzisz świetlanie...!

Jak niegdyś Mojżesz, z radością na twarzy
Ujrzałeś wolną Twą ziemię — z oddali —
I duch Twój odszedł do Króla mocarzy
W płomieniach zorzy, co łuną się pali,
By z nieba wyżyn stać Polsce na straży
I widzieć przyszłość, ukutą ze stali,
Zmieniony w jawę, sen snuty od młodu:
Wskrzeszoną chwałę wolnego narodu!

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Galicya przed obecną wojną i w roku pierwszego rozbioru[1].

Wielka wojna stawia nas przed tylu nieprzywidywanemi sytuacyami, takie przygotować może niespodzianki, że słusznie uczynił pos. H. Diamand, zestawiając obrachunek sił i zasobów gospodarczych Galicyi przed wojną. Zastanawiając się nad podanemi przez autora danemi i badając słuszność jego wniosków, zwróciliśmy uwagę na studyum Dr. Brawera, na które w swoim czasie nie zwrócono uwagi w Galicyi.

Lata 1772, pierwszy rozbiór i 1912/13 t. j. ostatnie lata przed największą z wojen, która w historyi pozyskać powinna miano polskiej, to dwie brzemienne w następstwa daty dla Polski, a zatem i dla Galicyi. Czyż nie należy zestawić stosunków w tych dwóch przełomowych momentach.

Stan gospodarczy ziem Rzeczypospolitej, zabranych przez Austryę w chwili pierwszego rozbioru, w całokształcie swoim mało jest znany, choć poszczególne fakty znajdujemy obficie rozsypane po różnych już drukowanych pracach. Dr. Brawer zbiera je z wielkiem znawstwem i oczytaniem i dopełnia ze źródeł rękopiśmiennych, przeważnie urzędowych. Zastrzedz się

[1]) *Herman Diamand*: „Położenie gospodarcze Galicyi przed wojną". Lipsk 1915, s. 106. — *Dr. A. J. Brawer*: „Galizien. Wie es an Oesterreich kam. Eine historisch-statistische Studie über die inneren Verhältnisse des Landes im J. 1772". Lipsk-Wiedeń 1910, s. 107. — **Biuro prac ekon. N. K. N.**

jednak trzeba, że bilansujący stosunki autor wielekroć przecenia opiekę rządu i wpływ niemieckiej kultury, a za mało kładzie nacisku na fakt niesłychanie doniosły, że Galicya przeszła do Austryi przed tą falą renowacyjną, która przez dobę reformy i Konstytucyi 3. maja rozlała się na inne dzielnice Polski.

Austryackie nabytki z pierwszego rozbioru Polski obejmowały część Małopolski, wykrojoną z województw Krakowskiego (bez Krakowa i okolicy), Sandomierskiego i Lubelskiego, oraz część ziem ruskich, na wschód od Sanu. Nietylko zatem mieszkały tu 2 szczepy, ale stykały się różne kultury, bizantyjska i rzymsko-germańska. Na różnice, które stąd wynikały i które jeszcze wyraźniej, niż obecnie, zaznaczały się w zachodniej i wschodniej Galicyi, autor zwraca wielekroć uwagę.

Ludność Galicyi obliczana była w ciągu pierwszych lat ośmiu nie mniej jak 10 razy. Buzek podaje ją dla r. 1776. na 2,580,796 chrześcijan i 144.200 żydów. Omawiając rozdział według narodowości, autor przyjmuje oszacowanie Pergena, że Rusini stanowili 2/3 wszystkich chrześcijan, ale już w 1850 r., liczą tylko 122 Rusinów na 100 Polaków.

Pod względem społeczno-prawnym było w Galicyi najmniej 95 tysięcy szlachty, mieszczan około 322 tys., to zn. 12·7 %, oraz 1,895,580 poddanych, którzy stanowili 71·5 % całej ludności. Liczba kmieci, siedzących na całym lub pół łanie, dochodzi wraz z rodzinami do 294 tysięcy, reszta to chałupnicy i zagrodnicy.

Na uwagę zasługuje rozdział żydów wśród poszczególnych części kraju. Najwięcej, bo 13·2 % liczono ich na Rusi. Na Podolu i w Sandomierskiem stanowili już tylko 4·5 % ludności, najmniej zaś było ich w województwie Krakowskiem, bo tylko 2·5 %. Liczby te, wzięte ze spisu wojennego, przeprowadzonego w 1773 r., dają dla całego kraju cyfrę wyższą od podanej przez Buzka. Odsetek żydów 9·6 prawie ten sam, co obecnie (w 1910 r. 9·8 %).

Bardzo ciekawe różnice zachodzą w rozsiedleniu ludności:

Zachód był gęściej zaludniony, domy lepiej budowane i większe, noszą częściej nazwę dworków niż chałup. Osady mają przecież charakter wsi. Natomiast na Wschodzie liczba miast i miasteczek była daleko wyższą. Ludność musiała się skupiać po miastach, wobec napadów tatarskich, a wielka liczba ludności żydowskiej wpływała na ich miejski charakter.

Z rozdziału o socyalnem położeniu ludności, opartego na powszechnie znanych faktach, przytoczyć warto zaznaczoną przez autora różnicę między duchowieństwem rzymko- i greckokatolickiem. Pierwsze pod względem zamożności i umysłowego poziomu stało wyżej. Popi przez swoje rodziny zlewali się niemal z otaczającem włościaństwem. Szlachta ruska przeważnie uważa się za Polaków, zmieniwszy wiarę i język. To samo da się powiedzieć o zupełnie spolonizowanych Ormianach. Autor zaznacza również szybkie polszczenie się elementu urzędniczego. Snać wielką musiała być siła asymilacyjna polskiej kultury.

Ze strukturą specyalną społeczeństwa ściśle łączyły się stosunki gospodarcze.

Właścicielami gruntów było przedewszystkiem państwo, kościół i szlachta. Na gruntach, do nich należących, gospodarowali poddani. Szlachta, zwłaszcza zamożniejsza, oddawała chętnie majątki swe w dzierżawę i żyła z czynszów, oraz z pańszczyzny. Obszar ról uprawnych na ogół przeszło czterokrotnie mniejszy niż obecnie. W roku 1772. obliczają go na 11·3 % całej powierzchni (9.300 km²), gdy w 1900 r. wynosił 48·4 %. Najmniej ról uprawnych było na Pokuciu, w okolicach Kołomyi i wogóle na południu od Dniestru, dokąd dowożono zboże z Ukrainy i Podola. Zachód kraju uprawiany był intensywniej od wschodu. Rozdział gruntów pomiędzy chłopów i panów, oceniany według liczby wysianych korcy, daje na gruntach pierwszych 2,007,659 korcy wysiewu (66·5 %). Na pańskich gruntach wysiewano 975.630, z czego na pola, należące do niższego duchowieństwa, przypadało 2·7 % obszaru. Z roślin handlowych najbardziej rozpowszechniony był len i konopie, które zużywał przemysł włókienni-

czy. O znaczeniu obu tych roślin daje pojęcie, że dziesięcina dla właścicieli gruntu wyniosła 990 tys. pęczków. W okolicy między Dniestrem i Prutem ważnym artykułem chłopskiej gospodarki był tytoń, którego uprawa podupadła po wprowadzeniu monopolu rządowego. Pomimo to w latach 80-tych dawała Galicya 20.000 cetnarów metrycznych tytoniu.

Cały system gospodarczy, oparty na trójpolówce z ugorem co 4 lata, na dzierżawach i poddanych, dawał bardzo małe plony, które autor ocenia przeciętnie na 6—7 ziarn, co wynosiło pomimo nizkiej ludności Galicyi tylko 191 litrów rocznie na głowę. A i to nie dochodziło do ludu, który przeważnie karmić się musiał jęczmieniem i owsem, ponieważ żyto szło na wyrób wódki. Spożycie wódki oblicza autor na 122 kwarty rocznie na rodzinę, a dzięki temu wielkiemu pijaństwu właściciele „*ex tabernis*“ otrzymywzli 1,406,280 florenów.

Podobnie jak dziś była liczba koni gospodarczych nawet włościańskich bardzo wielka, bydła liczono u włościan więcej jak u panów, a mianowicie było w Galicyi

	w 1772 r.	w 1910 r.
koni	296.658	405.000
bydła i cieląt	1,547.747	2,505.000
Owiec	352.492	359.000

Przy porównaniu obu szeregów cyfr pamiętać należy nie o terytoryum, różnem w każdym z obu momentów, ale o liczbie mieszkańców, w 1910 r. wyższej prawie trzykrotnie.

Hodowla koni i bydła stała pod względem jakości gorzej niż co do ilości. Natomiast pewne znaczenie miało gospodarstwo drobiowe, jakkolwiek o wywozie jaj na większą skalę nie może być jeszcze mowy. Produkcya miodu, sądząc z podawanej corocznie dziesięciny, była bardzo znaczna (dziesięcina koło 12.109 hektolitrów). Polowania stanowiły nietylko rozrywkę, ale i konieczność, skoro w 1783 r. zarządzono obławę na dzikie zwierzęta.

O stosunkach poddaństwa i pańszczyzny w Galicyi pisano już bardzo wiele, a Grünberg, Mieses i inni ustalili, że nie były one gorsze niż np. w Czechach. Autor nasz przyj-

muje przeciętnie 61 dni pańszczyźnianej pracy w roku na rodzinę włościańską. Na każdym korcu wysiewu ciężary w naturaliach, gotówce i pańszczyźnie wynosiły 42 krajcary, t. j. 21 dni pieszej robocizny.

Ważne zagadnienia wydajności pracy robotnika galicyjskiego rozstrzyga autor przez porównanie z niemieckim, który był w 1784 r. trzykrotnie, a koło 1820 r. 1½—2 razy wyżej ceniony. I tu występuje wybitna różnica między Wschodem a Zachodem. Chłop polski pracuje umiejętniej i wydatniej od Rusina.

Wśród produktów mineralnych na pierwszem miejscu stoi sól, niedostatecznie eksploatowana nawet za czasów Rzeczypospolitej. Wtedy jednak prowadziła ludność na Rusi ożywiony handel solą, dowożąc ją do Wisły.

Rozbiory Polski odebrały te źródła zarobku, a wprowadzenie monopolu austryackiego na sól, dokonało reszty. Natomiast rząd austryacki od początku czerpał z soli duże dochody, które Kraszewski (Polska) ocenia na 2·9 mil. złp. Pod Nowym Targiem były niewielkie kopalnie żelaza. Z ropy naftowej już w 1800 r. chłopi przygotowywali smary i lak do pieczętowania, opłacając od każdego wywierconego szybu po 2½ flor. podatku.

Nie brakło Galicyi początków przemysłu. Już wtedy produkowano lepsze gatunki płótna w okolicach Białej, a sukno koło Zaleszczyk. Fabrykantami byli Niemcy. Wioski tkaczów istniały na Zachodzie i w okolicy Sambora. Były również fabryki dywanów i pasów. Rozwijały się garbarnie, stolarnie, kołodziejstwo; — wszystko jako przemysł chałupniczy. Autor wspomina również o drobnych fabrykach szkła, oleju, papieru, o hamerniach żelaza i miedzi.

Rzemiosło było ubogie i stało na nizkim stopniu rozwoju, ale odpowiadało zapotrzebowaniu ludności i jej pierwotnym potrzebom. To też sprowadzeni do Galicyi niemieccy rzemieślnicy, którzy pociągnęli tu za urzędnikami, nasłanymi przez rząd, wkrótce musieli kraj opuścić. Krajowe rzemiosło przystosowane było do potrzeb rolniczej ludności, było przeto naj-

więcej kowali. Centrem handlu był Lwów, z jego kontraktami i jarmarkami, oraz Nowy Sącz z traktem do Węgier.

Upadek handlu, ożywiającego Małopolskę i Ruś w XV. i XVI. stuleciach, przypisuje autor zależności stanu kupieckiego od magnatów. W Brodach jarmarki, które poderwały handel Lwowa i Lublina, stworzył dawny właściciel miasta, Potocki. Magnaci prowadzili również handel zbożem i drzewem, dostarczając je do centrów, gdzie były magazyny (Jarosław, Ułanów, Chwolowice, Kryłów i Horodło). Rząd austryacki zakazał wywozu obu artykułów, obawiając się drożyzny i dewastacyi lasów. O ile jednak Galicya prowadziła w dalszym ciągu handel z zagranicą, szedł on jak dawniej Wisłą przez Toruń i Gdańsk, a także na zachód do Śląska i Niemiec południowych. Ważną przeszkodą było kursowanie wszelakiej monety, a zatem oprócz polskiej i austryackiej, szwedzkiej, duńskiej, saskiej, papiezkiej, a zwłaszcza pruskiej o bardzo nizkiej zawartości kruszcu, którą Fryderyk II. specyalnie kazał wybijać dla Polski. Kredytu w znaczeniu dzisiejszym nie było, natomiast pożyczki prywatne pod zastaw majątku. Kahały żydowskie występują jako kredytorzy.

II.

Praca Dra Diamanda, napisana bezpośrednio przed wojną, daje bilans polityczno-ekonomicznego sumienia, który, jak należało oczekiwać, wypada w barwach ponurych, a dzięki użytej przez autora metodzie porównawczej z innymi krajami Austryi, przerażający daje obraz. Pomimo zniszczenia wojny i upadku gospodarczego życia, powrotu do stosunków z przed dwóch lat unikać musimy. Tembardziej warto zapoznać się z podawanemi przez Dra Diamanda faktami.

Państwowe wydatki Austryi, rosnąc stale, doszły w 1914/15 roku do 3.460 milionów koron. Przy niedość szybkim wzroście dochodów wzrosła pożyczka państwa do 12 miliardów koron. Daje to obciążenie na głowę 63 K. 26 h., czyli na rodzinę

złożoną z 5 osób roczny ciężar 316 koron. W Galicyi kwota powyższych danin dla państwa nie była osiąganą, z powodu niższej zamożności kraju, natomiast dodatki autonomiczne były wyższe, niż w którymkolwiek z krajów austryackich.

Austryacka polityka handlowa doprowadzała do biernych bilansów towarowych. Przewyżka przywozu towarów do państwa nad wywozem doszła w 1912 r. do kwoty 823 mil. koron. Austrya zbyt mało kapitałów umieszcza za granicą, aby ten ujemny bilans handlowy wyrównał się aktywnym bilansem płatniczym. Dla Galicyi zaś bierność handlowego bilansu była podwójną: wobec zagranicy cłowej, oraz w handlu z innymi krajami monarchii,

Wskutek austryackiego systemu celnego żelazo surowe, fabrykaty żelazne, maszyny i narzędzia opłacają nadmierne cła. Dotyczy to bezpośrednio Galicyi, nie posiadającej własnych hut, która musi zakupywać żelazo po cenach podrożonych przez taryfy cłowe i kartelowe. Z tego samego powodu przepłaca się w Galicyi wszelkie narzędzia pracy, a powstający przemysł i uprzemysłowienie rolnictwa hamowane jest w swem najpierwotniejszem zapotrzebowaniu na maszyny, kosy, sierpy, widły i t. d.

Politycy galicyjscy przyzwalali na cła przemysłowe w zamian za zgodę przemysłowców na wysokie cła na zboże, bydło i mięso. Jak wiemy, przeważające w olbrzymiej liczbie gospodarstwa parcelowe nie sprzedają zboża, a ochrona interesów rolniczych wypowiadała się w postaci wysokich cen na towary spożywcze. Ceny pszenicy w pierwszym kwartale 1914 r., jak wykazują tabelki przytoczone przez Dra Diamanda, były stale wyższe w Wiedniu niż w Paryżu, Berlinie i Londynie. Dla Galicyi, która produktów swoich oprócz jaj i drobiu, nie wywozi na Zachód, a zboże i mąkę dokupuje za wielkie sumy z Węgier, znaczyły cła rolnicze obciążenie konsumentów dodatkową sumą milionów koron.

W zamian za takie ciężary i za hamowanie życia gospodarczego, świadczenia, otrzymane przez Galicyę, były w każdym kierunku niższe od tych, które przypadały innym kra-

jom. I tak, obszar krajów sudeckich (Czechy, Morawy, Śląsk) wyrównywa obszarowi Galicyi, tymczasem długość linii kolejowej tamże była 9.554. km., a w Galicyi 4.128. Przytem szereg kolei galicyjskich nosi charakter strategiczny, a nie gospodarczy. Regulacyi rzek galicyjskich, budowaniu kanałów, posuwających się w żółwiem tempie, poświęca autor zaledwie pół strony, przypomina tylko, że osiągnięte przez Czechy regulacya i usplawnienie Łaby i Mołdawy kosztowały skarb państwa setki milonów, ale dają dziś doskonałe połączenia niemal bezpośrednio z morzem.

Upośledzonem jest szkolnictwo przemysłowe i handlowe: Galicya posiada dwie akademie handlowe z 419 na 26 akademii i 8.791 uczniów całej Austryi, oraz dwie szkoły przemysłowe na 30 w całem państwie. Kręcimy się w błędnem kole: wobec nizkiego uprzemysłowienia kraju, rząd wzdraga się przed inwestycyami na komunikacye i skąpi środków na szkolnictwo zawodowe. Nowoczesne życie gospodarcze zaś rozwinąć się może tylko tam, gdzie są warunki dowozu i zbytu, oraz wyszkolenie fachowców.

Z 18 milionów, łożonych na uniwersytety, szło na wszechnice niemieckie 11, a na nasze w Galicyi, do których uczęszczają Polacy i Rusini — tylko 3, na szkoły politechniczne niemieckie 3·8 mil. na czeskie 3 mil., a na lwowską politechnikę 1,141.000. Jeżeli różnice te usprawiedliwiłby Czech lub Niemiec niższym stopniem cywilizacyi i uprzemysłowienia w naszym kraju, to czem wytłómaczyć, że nawet budżet galicyjskiej policyi, która przecież powinna pilnować baczniej tego mniej cywilizowanego kraju, jest upośledzony, wynosi bowiem tylko 4·6 % ogólnego.

Metodą porównawczą, przyjmując za podstawę obszar i ludność, autor dochodzi do następnej tablicy, która jaskrawo uwydatnia, czem jest dziś Galicya pod względem gospodarczym, a czemby być mogła, dorównawszy Czechom. Metoda to efektowna i w najogólniejszych zarysach odpowiada prawdzie, jakkolwiek ze względu na różnorodność czynników, kształtujących stosunki gospodarcze, do liczbowych jej rezultatów

wagi przywiązywać nie można. Naturalnie mówimy tu o tem, coby zdaniem autora być mogło, gdyby na terenie Galicyi były Czechy.

Dochody w Galicyi w milionach koron:

	Zapodane	Powinny być na miarę Czech
z gruntu	56·6	134
z budowli	46·1	120
z przedsiębiorstw	118·1	440
z większych płac	167·2	560
z kapitałów	35·9	126·8
z innych źródeł	3·7	12·9
Ogółem	467·6	1393·7

Opodatkowane dochody Galicyi stanowią przeto według tego obliczenia trzecią część osiągalnych, na czem cierpi Galicya, ale cierpi także i państwo, które z naszego kraju otrzymywać musi niższe dochody podatkowe.

Niezasobność Galicyi ilustruje broszura szeregiem cyfr nieznanych publiczności: oto w podatku osobisto-dochodowym na 100 koron dochodu w całej Austryi przypadało w Galicyi 8,47, w Austryi Niższej 40,31, w Czechach 22,33 i t. d.

Miasta galicyjskie należą do najniezasobniejszych w monarchii. Lwów i Kraków co do ilości osób, zobowiązanych do płacenia podatku dochodowego, a więc z dochodem ponad 1.200 koron, stały nietylko poza Wiedniem, Pragą, ale nawet i Cieszynem.

Jaskrawym przykładem naszej biedy są także kasy oszczędności. Książeczki wkładek doszły w Galicyi w 1911 r. do liczby 350 tysięcy, w Czechach do 1 miliona 470 tysięcy. Kapitał zaś u nas 349 milionów, w Czechach 2 miliardy 109 mil. koron.

Dowcipnie twierdzi autor, że Galicya jest krajem rolniczym o tyle, że nie jest przemysłowym. Skoro zaś rozpatrywać poczniemy rolnictwo samo w sobie, okaże się dla każdego gatunku zboża i okopowizn niższy zbiór z hektara, niż w Cze-

cnach. Wartość wyprodukowanego z hektara zboża wynosi w Czechach 207 koron, w Galicyi 129. Nawet stan bydła, względnie dobry, niższym jest w Galicyi niż przeciętnie w Austryi (45 względnie 50 sztuk na 100 hektarów). Jedynie stan koni i nierogacizny poprawił się w ostatniem dziesięcioleciu o jedną trzecią. Upośledzenia przemysłu dowodzić nie trzeba, ale nie zawadzi dziś, gdy nad jego upadkiem biadamy, przypomnieć sobie, jak wyglądały rzekomo lepsze czasy przed wojną. Galicya posiada w ziemi 90% ogólnych zasobów węgla w całej monarchii, z produkcyi zaś przypada na nią zaledwie 7—12%. Zapotrzebowanie na węgiel rośnie szybciej niż krajowa wytwórczość — i pokrywać je trzeba węglem pruskim. To też od 1902 do 1909 roku produkcya węgla kamiennego powiększyła się w Galicyi o 3·1 miliona cetnarów, podczas gdy import węgla pruskiego wzmógł się o 11 milionów. Produkcya ropy przewyższała od 1908 do 1910 r. rumuńską, dochodząc do 200 tysięcy cystern, tymczasem w 1912 r. Rumunia wyprodukowała 180 tysięcy, a Galicya tylko 118 cystern. Naftciarze, których dochód wzrósł o 24 mil. koron, realizują wyższe zyski, ale pochodzi to z podwojenia się cen, które podskoczyły w ostatnich dwóch latach z 350 na 700 koron za wagon. Tylko mniejsza część galicyjskiej ropy przerabia się w kraju, a mianowicie przerobiły rafinerye w 1913 r. cystern:

W Galicyi i na Bukowinie . .	47.742
pozatem w Austryi	58.477
na Węgrzech	26.690
Razem . .	132.909

Cukrownię, jak wiadomo, mamy tylko jedną. Druga, w Chodorowie, rozpoczęła produkcyę dopiero w 1913 r.; przygotowania, poczynione do trzeciej w zachodniej Galicyi, spaliły na panewce. Ale i ten jedyny Przeworsk staczać musiał ciężką walkę z kartelem, ponieść olbrzymie koszta, aby wreszcie stać się, jak powiada autor, jednym z filarów kartelu cukrowniczego i wypłacać dziś 30% dywidendy. Mniej zasobne

przedsiębiorstwo byłoby niewątpliwie legło na pobojowisku. Nawet rdzennie galicyjski przemysł, fabrykacya spirytusu, z 867 tys. hektolitrów w 1911 roku spadła do 657 w 1913 r. Zużytkowanie alkoholu do celów przemysłowych jest minimalne. Życząc zatem powodzenia temu przemysłowi, a zwłaszcza bonifikacyi gorzelniom chłopskim, które na szczęście w Galicyi nie istnieją, życzyłby autor wzmożenia pijaństwa, bo jedynym upustem do wylewania spirytusu jest u nas gardło ludzkie.

Obraz przemysłów rolnych wypadłby nieco korzystniej, gdyby Dr. Diamand był uwzględnił pomyślny rozwój kooperatywnych maślarni i postępy młynarstwa, oraz browarnictwo.

Niższość gospodarczą Galicyi ilustrują stosunki robotnicze. Zarówno liczba zatrudnionych, jak i suma płac nie sięga cyfr czeskich. Trzeba jednakże do pesymistycznych poglądów autora dodać tę usprawiedliwiającą korekturę, że tak, jak dzisiaj rozwój przemysłu galicyjskiego zapowiadać się zdaje, rosną u nas gałęzie, zatrudniające, względnie do kapitału zakładowego, mniejszą liczbę robotników, a zatem hutnictwo, górnictwo, przemysły rolne. Nie zanosi się zaś bynajmniej na rozrost fabryk włókienniczych, które absorbują zawsze najwyższe liczby robotników. Nie jest to niższość, ale odrębność. Wysokość płac podniosła wojna, niestety kosztem materyału ludzkiego, którego w naszym kraju tak wiele ubyło. Stosunki po wojnie nie zapowiadają się zatem pomyślnie.

Ukrajowienie przemysłu ilustruje autor ciekawymi faktami. Przemysł maszynowy i fabryki wagonów opanowane są przez spółkę Skoda. Fabryka obuwia Gafota sprzedawała w swoich magazynach buciki z wszytą w podeszwę firmą Münchengraetz. W nafciarstwie spółka akcyjna Fanto, kapitalizowana przez Zakład kredytowy ziemski w Wiedniu, zakupiła szereg kopalń. Rafinerye trustu Rockefellera nabywają kopalnie i tereny, rafinerye „Galicya“ i „Petrolea“ znajdują się pod bezpośrednim zarządem Anglików, akcye mają kurs na londyńskiej giełdzie. Pamiętamy sensácyę, którą wywołało przed paru

laty obliczenie prof. Michalskiego — co do terenów węglowych: 92·5% wszystkich miar górniczych należy do Niemców pruskich...

Obrachunek, jak widzimy, wypada ujemnie, nawet, jak już wyżej zauważyliśmy, przyjmując go z pewnemi zastrzeżeniami. Pomimo to, ponieważ cyfry i fakty czerpane są ze źródeł i sięgają ostatnich lat przed wojną, cenimy wysoko pracę autora, który jak przed 30 laty Szczepanowski, wstrząsnąć chciał społeczeństwo i pobudzić je do energicznego czynu.

B. P. E.

Kacper Decurtins.

(Ciąg dalszy).

Wniosek Decurtinsa w sprawie zwołania międzynarodowego kongresu robotniczego, uchwalony na wiecu delegatów stowarzyszeń robotniczych w Biel r. 1893., wkrótce zamienił się w czyn.

„Związek szwajcarskich robotników — czytamy w okólniku, wystosowanym przez komitet organizacyjny do „robotników wszystkich krajów“ — pierwszy może dał przykład w dziejach ruchu socyalnego, iż stowarzyszenia i osoby, w polityce nawzajem zwalczające się, dla osiągnięcia pewnych celów wspólnych na polu socyalno-politycznem połączyły się w jedną organizacyę. Tak na pierwszym wiecu w Aarau w roku 1887. połączyli się socyaliści, katolickie stowarzyszenia i neutralne kasy chorych w Związek robotniczy, stojący otworem dla każdego kierunku, nie uchylającego się od pracy. I chociaż każde tam stronnictwo zupełną ma swobodę ruchu, to przecież wspólnemi siłami osiągnęło się niejedno“. Międzynarodowy kongres wszystkich więc organizacyi robotniczych, bez różnicy politycznego i religijnego kierunku, w sprawie ochrony robotników doniosłe może mieć znaczenie.

Kongres odbył się dzięki wytrwałym zabiegom i osobistym stosunkom Decurtinsa i Greulicha w roku 1897. w Zurychu. „Trzeba wyznać, pisze poważny organ ekonomiczny prof.

Gide'a, że kongres międzynarodowy w Zurychu, był ich dziełem i tryumfem"[1]).

Uchwały kongresu odnosiły się do ustalenia wieku najniższego dla dzieci, pracujących po fabrykach, do zakazu pracy nocnej kobiet i młodocianych robotników, do zakazu pracy kobiet w przemysłach szkodliwych dla zdrowia, do zakazu pracy niedzielnej i do ustalenia maksymalnego dnia roboczego.

Oto kilka ważniejszych momentów z kongresu:

Ks. prof. Beck z Fryburga mówił o spoczynku niedzielnym i uderzył w ton, przypadający doskonale do miary pojęć wieku i psychycznego nastroju zgromadzenia. Spoczynku niedzielnego, woła mowca po przeglądzie odnośnych ustaw przemysłowych w różnych krajach, domagają się przykazy hygieny i potrzeby umysłu i sumienia robotnika. Uchwały międzynarodowych kongresów hygieny w Genewie i Wiedniu, przez usta największych powag, ze względu na wydatność pracy i potrzebę wypoczynku dla organizmu, domagają się jednego dnia zupełnego spoczynku w tygodniu. A potrzeby kulturalne? Czy kultura umysłu i serca ma być tylko udziałem ludzi zamożnych? Co o tem mówi sprawiedliwość społeczna? A potrzeby sumienia? „Nie chcę zmuszać robotnika, by szedł do kościoła, mówił Windhorst, ale mocą ustawy chcę mu dać możność, by mógł udać się do kościoła, jeżeli zechce".

Zresztą konstytucya demokratyczna dzisiejszych społeczeństw zamienia ten postulat hygieny i sprawiedliwości społecznej i obowiązek sumienia poprostu w konieczność polityczną. Zupełny spoczynek niedzielny jest dziś *conditio sine qua non* podniesienia kulturalnego mas, jest środkiem niezbędnym, żeby przez wyszkolenie umysłowe, społeczne i polityczne, zwalczać rosnący sceptycyzm wśród robotników i te ciężkie niedomagania parlamentarne, o których dzisiaj tak dużo się mówi.

---

[1]) Le Congrès de Zurich w Revue d'Économie Politique. Paris 1898. str. 599.).

Gorący ten apel kapłana znalazł oddźwięk w sercach wodzów socyalizmu i nieprzejednanych wrogów chrześcijaństwa. Na wniosek jednego z mowców, żeby dzień spoczynku przenieść na inny jakiś dzień w ciągu tygodnia, oświadcza imieniem socyalistów delegat Pernersdorf, że nie należy lekkomyślnie zrywać łączności z pracującą ludzkością.

Niedziela jest dniem, przez tradycyę 19-tu wieków promieniejącym szczęściem i radością. Niech więc w dniu tym ludzkość cała czuje się naprawdę jedną, wśród zabawy i spoczynku jak w chwilach pracy i ucisku.

Drugi postulat, który nader żywą wywołał dyskusyę i poruszył do głębi umysły uczestników kongresu — to ustawowa ochrona pracy kobiet. Postulat katolicki zmierzał do stopniowego wyrugowania kobiet wogóle z kopalń, kamieniołomów i wielkiego przemysłu. Był to ideał, niewątpliwie, ale ideał wykwitły z Ewangelii i stronnictwo katolickie wysunęło go na czoło może dla tego, żeby zaznaczyć na kongresie neutralnym odrębne swoje stanowisko chrześcijańskie.

Referat miał młody poseł z Brukseli, dzisiejszy minister i serdeczny przyjaciel Decurtinsa, Carton de Wiart. Kobieta ma stać na straży ogniska domowego i wychowywać dzieci — oto rdzeń jego rozumowania.

Kobieta pracująca w przemyśle, przykuta do maszyny — to nie postęp historyczny, jak to sobie w Anglii za czasów Peel'a wyobrażano, ale w gruncie rzeczy cofanie się wstecz na drodze jej wyzwolenia. I niech nikt nie mówi, że kobieta dla pomnożenia zarobku i utrzymania rodziny razem z mężczyzną, musi imać się pracy, bo właśnie te rodziny kwitną dobrobytem i moralnością, gdzie kobieta zajmuje się gospodarstwem domowem i pilnuje oszczędności i cnót domowych. Właśnie praca kobiet utrzymuje w mocy spiżowe prawo płacy i stoi głównie na przeszkodzie wprowadzeniu w życie wyższej płacy, którąby wystarczyła na utrzymanie rodziny.

Tezę tę poparli inni mowcy, a w końcu Decurtins siłą swojej wymowy, kładąc nacisk przedewszystkiem na jedność rodziny.

Mowcy socyalistyczni natomiast opierają swoje rozumowanie przedewszystkiem na niezawisłości kobiety. Praca zaś fabryczna jest warunkiem i podstawą tej niezawisłości — i to wystarczy, żeby jej nie znoszono.

Kwestya pracy kobiet, odpowiada Bebel, wykazała na oko, jaka przepaść niezgłębiona istnieje pomiędzy kierunkiem katolickim a socyalistycznym. Nam nie przyświeca ideał małomieszczański. Zresztą kobieta, wyparta z fabryki, czyż nie popadnie w bezlitosne ręce przemysłu domowego, nie zostanie popchniętą w odmęt prostytucyi i konkubinatu? Nie należy też zapominać o wdowach, których w Niemczech jest przeszło dwa miliony, o kobietach, których mężowie przepijają cały swój zarobek! Panowie, odpowiedźcież mi na te pytania.

Wobec ponurych tych faktów i refleksyi — postulat katolicki oczywiście przepadł.

Podniosłym na kongresie momentem były słowa jednego z wodzów socyalistów angielskich, który w ten sposób odezwał się z trybuny robotniczej: „Dwa tu kierunki wrogie spotkały się: socyalna reforma i socyalna rewolucya — i mimo wszystkie różnice co do zasad, pracują razem bez kłótni i sporów. Ot, mam tu encyklikę Leona XIII. w sprawie socyalnej, a w drugiej ręce trzymam manifest komunistyczny Marksa i Engelsa".

Dwa jedynie konsekwentne programy socyalne, które kształtują i rzeźbią przyszłość: program socyalizmu i katolicyzmu, rozstroju społecznego i budowy państwowej. Wybierajcie!

W końcowych przemówieniach stary Liebknecht wynosi gościnnych Szwajcarów i nazywa Szwajcaryę typem państwa przyszłości zjednoczonych narodów w Europie, państwa, które nie zajaśnieje jako *fatamorgana* na pustyni barbaryi, ale zbudowane będzie na podstawie wolności i sprawiedliwości.

Decurtins natomiast, porównując ten pierwszy i jedyny w swoim rodzaju kongres, co do postawy swojej i pracy, z parlamentem państw nowożytnych, zwraca przedewszystkiem

uwagę na myśl swą ulubioną, dla której kongres ten do życia powołał, i dodaje:

„Tylko w świetle słonecznem wolności może delikatna ta roślinka, którą tu pielęgnowaliśmy, rozwinąć się w potężne drzewo. Nasze usiłowania nie są celem, ale środkiem tylko, ażeby zbliżył się dzień ten, kiedy ostatnie piętno niewoli, ciążące na pracy, zniknie — i słowo „praca tylko uszlachetnia“ w całej pełni się urzeczywistni“.

W organie zaś jego Baseler Volksblatt, z dnia 31. sierpnia 1897-go r., taka pojawiła się ocena kongresu: „Przez sześć dni z rzędu stronnictwa, które w najżywotniejszych sprawach w wręcz przeciwnych idą kierunkach, obradują wspólnie nad obroną klasy robotniczej, i nie rzucają sobie w twarz słów obelżywych.... Radykalnych bojowników kulturnych (stronnictwo rządzące w Szwajcaryi) nie było na kongresie widać. Panowie ci, którzy zawsze mają na ustach postęp i dobro ludu, świecili nieobecnością. Grupa, złożona z 90 katolików socyalnych i 4 samotnych ewangielików, mieli wystąpić w szranki w obronie ładu i porządku państwowego. Spodziewano się po cichu, że pozytywne chrześcijaństwo zostanie pochłonięte przez srogi socyalizm — i wspaniała sala w Zurychu rozbrzmiewać będzie od sporów i kłótni.

Tymczasem nic z tego. Teraz trzeba przyznać, że obok socyalistów — właściwie tylko katolicyzm zajął się robotnikiem; że Kościół tylko podjął z socyalizmem walkę ideową i sympatyzuje z ruchem robotniczym, o ile to z jego zasadami się zgadza. I to rzecz bardzo niemiła dla wodzów z obozu radykalnego.

Z drugiej strony, kongres zurychski ukazał nam lepiej niż setki książek, siłę i słabość socyalizmu. Siła jego polega na tem, że on jeden wyłącznie oddaje się sprawie robotniczej i opiekuje się stanem robotniczym, i usiłuje go za wszelką cenę wynieść na czoło przyszłego społeczeństwa. Cel ten wymaga prostej nader taktyki, która bez względu na inne stosunki zamyka się w słowie: naprzód i wciąż naprzód, jak daleko się da.

W ten sposób socyalizm może robotnikowi dużo więcej obiecać niż każda inna partya, ale tu już występują jaskrawo słabe jego strony. Czy walka klasowa, czy interes jednej klasy społecznej może być ideałem? Czy ideał ten nie leży raczej w zharmonizowanej organizacyi wszystkich klas i wszystkich stanów? O tem zapomina socyalizm, iż w razie zwycięstwa — trzeba będzie nietylko o robotników, ale o wszystkich dbać i roztoczyć opiekę nad całym organizmem społecznym“ [1]).

W miesiąc później po kongresie w Zurychu odbył się w tej samej sprawie międzynarodowy kongres w Brukseli, w którym wzięli udział przedewszystkiem przedstawiciele konferencyi berlińskiej i liczni przedstawiciele Francyi. I na tym kongresie przyoblekła się w ciało myśl założenia prywatnego związku międzynarodowego, ustawowej ochrony robotników, w celu poruszenia opinii i przygotowania materyału ustawodawczego pod przyszłe prace i postanowienia prawne w tym kierunku.

Była to myśl Decurtinsa, poruszona w znanym memoryale stworzenia międzynarodowego biura pracy, oraz myśl kongresu zurychskiego, by w prasie i w parlamentach rozwinąć agitacyę w sprawie stworzenia przez państwa międzynarodowego biura ochrony robotników. Tak ulubiona idea Decurtinsa wchodzi powoli na praktyczną drogę urzeczywistnienia[2]).

* * *

Obok licznych i rozległych prac na polu socyalnem, nie mniej bogatą w owoce była działalność Decurtinsa w dziedzinie pracy kulturalnej nad podniesieniem i pogłębieniem myśli chrześcijańskiej. W jego rozumieniu bowiem i wielu wybitnych katolickich socyologów, wogóle sprawa socyalna to nie kwestya ekonomiczna tylko, ale problem kultury chrze-

[1]) Christlich-soziale Blätter r. 1897. str. 543.

[2]) Patrz: Międzynarodowe ustawodawstwo robotnicze na kongresach berneńskich, przez ks. Leonarda Lipkego, w „Przeglądzie Powszechnym“ z roku 1907. T. 94. str. 34 i 181.

ścijańskiej w najszerszem znaczeniu, to *renesans* katolicki w życiu umysłowem, artystycznem i społecznem. I stąd ta żywa zapobiegliwość i te prace niestrudzone nad wzmożeniem i szerzeniem tej kultury, nad stworzeniem wielkich i żywotnych ognisk myśli i nauki chrześcijańskiej.

Tak w dziedzinie ruchu umysłowego dwie przedewszystkiem sprawy leżały mu na sercu: stworzenie uniwersytetu katolickiego w Fryburgu i instytucya naukowych kongresów katolickich.

Uniwersytet fryburski, pisze ks. Baudrillart w swem studyum o uniwersytetach katolickich, „jest dziełem przedewszystkiem jednego człowieka, którego imię powinno się wymawiać ze czcią i wdzięcznością, radcy stanu Python'a, dyrektora oświaty w kantonie fryburskim. On to wraz ze swym przyjacielem, socyologiem Decurtins'em, powziął myśl stworzenia wielkiego ogniska nauki i myśli chrześcijańskiej i założył uniwersytet w Fryburgu".

„Szwajcarya, — mówi Decurtins — z której granitowych szczytów spływają źródła czterech wielkich rzek, łączących Europę środkową z morzami, stała się kolebką całego szeregu konwencyi międzynarodowych, zbliżających do siebie i pod względem jurydycznym i ekonomicznym narody cywilizowane".

Szwajcarya rozsiadła się w górach, na rozdrożu pomiędzy kulturą germańską a romańską, oddycha tchnieniem wolności i postępu, a jest przy tem głęboko konserwatywną, żyje życiem międzynarodowem i narodowem, centralistycznem i federacyjnem — tu więc powstać może i powinno wielkie ognisko nauki i myśli chrześcijańskiej, łączące cywilizacyę germańską i romańską i rzucające wokoło na kraje dalekie blaski i promienie żywotnej myśli chrześcijańskiej.

Oczywiście uniwersytet katolicki mógł tylko powstać w kantonie katolickim, o ludności francuskiej i niemieckiej. Kanton i miasto Frybury, gdzie rząd kantonalny przez szczęśliwą konwersyę długów państwowych zyskał 2½ miliona franków, nadawały się wybornie do zrealizowania tej myśli.

I myśl ta Python'a i Decurtins'a znalazła zrozumienie i oddźwięk w rządzie kantonalnym i w łonie Towarzystwa Piusa. W r. 1884. uchwalono utworzyć uniwersytet i powierzono inauguracyę jego Stolicy św., pod której opieką wyrosła kultura chrześcijańska i wszystkie prawie wielkie ogniska myśli i cywilizacyi zachodniej.

Leon XIII. przyklasnął tej myśli: „Niema instytucyi, czytamy w *breve* do radcy Python'a, któraby na większą zasługiwała opiekę katolików, któraby więcej odpowiadała potrzebom i większą przyniosła korzyść sprawie katolickiej niż uniwersytet, związany jak najściślej z interesem Kościoła i religii i z nieskazitelnością wiary katolickiej. Rozszerzyły się bowiem różne doktryny przewrotne do tego stopnia, że kształcenie młodzieży katolickiej na największe narażone jest niebezpieczeństwa. Gdyby zabrakło takiego pewnego ogniska nauki, należałoby się bardzo obawiać, że młodzież ta daleko zostanie odrzuconą od prawdy a tem samem katolicka wiara, będąca dobrem najwyższem, dozna poważnego uszczerbku".

Przed katolickim uniwersytetem fryburskim, który „powołaliśmy do życia i otoczyliśmy opieką naszą.. wielka otwiera się przyszłość — i spodziewamy się, że on stanie się jasnem ogniskiem nauki, rzucającem dobroczynne promienie w dal".

Decurtins zawsze w przyjacielskiem porozumieniu z Python'em w pracach nad założeniem i pierwszym rozwojem uniwersytetu żywy brał udział. I tu niczem niezrażony optymizm jego i płomienny idealizm popchnął go niekiedy do uczynienia kroku nierozważnego. Rzecz to już nieuchronna, gdzie idzie o zbudowanie wielkiego dzieła, które musi się opierać na niezachwianej podstawie finansowej i ma służyć niepokalanym ideałom chrześcijańskim.

Ale główną zasługą jego zawsze pozostanie to, że dzięki jego bezinteresownej zawsze współpracy i niestygnącego mimo piętrzących się trudności zapału, gmach cały stanął na zdrowych zasadach i na rubieży dwu cywilizacyi oprzeć się zdoła burzom wieku. Dzięki też jego zabiegliwym staraniom co do wyboru profesorów, uniwersytet fryburski odrazu zaja-

śniał w nauce rzetelną pracą i talentem — i wkrótce zdobył sobie w świecie naukowych instytucyi prawo obywatelstwa.

Dziś Fryburg stał się jednem z najjaśniejszych i najświetniejszych ognisk katolicyzmu w Europie.

Krom uniwersytetu, sprawa naukowych kongresów katolickich przedewszystkiem leżała Decurtins'owi na sercu. Cel i program tych kongresów, które w życie wprowadzili uczeni francuscy, prof. Duilhé de St. Projet i głównie znakomity organizator i rektor katolickiego uniwersytetu w Paryżu ks. d'Hulst, określił Leon XIII. w swem *breve* do kardynała Richard'a, arcybiskupa paryskiego w ten sposób:

„Nic w wieku naszym nie jest bardziej na czasie jak ten hołd, złożony przez wybitnych mężów nauki światłu bożemu, którem jaśnieje Kościół. Ludzie bowiem bezbożni, powodując się raczej arogancyą niż rzetelną nauką, nadużywają często imienia nauki na to tylko, aby przyćmić blask wspaniały prawdy katolickiej. Nie wątpimy, że rozprawy i pisma uczonych, mających się zebrać na kongresie, dostarczą nowej zbroi tym, którzy, poświęcając się naukom teologicznym, w obronie prawdy zwalczają fortele bezbożnych".

Dwa pierwsze kongresy odbyły się w Paryżu, trzeci z rzędu w Brukseli. Chodziło teraz o to, aby nie urażając dumy narodowej Francuzów, kongres stopniowo oprzeć na elemencie niemieckim. Fryburg na rozdrożu dwu kultur miał być tym pomostem dla przyszłych kongresów w krajach germańskich.

I dzięki głównie zabiegom i pracy organizacyjnej Decurtins'a i jego przyjaciela Jerzego Python'a, międzynarodowy kongres w maleńkim Fryburgu w roku 1897. udał się wspaniale. Decurtins też i jego europejscy przyjaciele socyalni wybitną swą indywidualnością nadali kongresowi temu piętno socyalne w przeciwieństwie do kongresu w Brukseli, gdzie filozofia pod egidą dzisiejszego kardynała a ongi profesora ks. Mercier najwięcej zajmowała słuchaczów i najciekawsze wywołała dyskusye.

„Tematy ekonomiczno-socyologiczne — mówi uczestnik

kongresu prof. Kallenbach — najwięcej we Fryburgu zgromadzały słuchaczów i sekcya ta stanowczo tutaj rej wodziła. Być może, że przyczyniła się do tego następująca okoliczność:

Zaraz w pierwszym dniu kongresu mówił w tej sekcyi prof. Toniolo z Pizy o ustroju dawnej rzeczypospolitej weneckiej, przyczem ubocznie tylko poruszył kwestyę demokracyi chrześcijańskiej.

W dyskusyi zabrał głos ks. biskup Turinaz (Nancy) i wyraził się, że dla niego pojęcie demokracyi chrześcijańskiej jest niezrozumiałe, że w ostatnich czasach papież Leon. XIII. wypowiedział wobec kilku biskupów francuskich swe obawy wobec skrajnych kierunków, jakim niektórzy demokraci katolicy hołdują.

Odpowiedział zaraz biskupowi z Nancy znany socyolog szwajcarski dr. Decurtins, przemawiając w obronie demokracyi katolickiej i przeciwstawiając twierdzeniom biskupa Turinaz własne swe wrażenia, wyniesione z rozmowy z Ojcem św., tudzież encyklikę *Rerum novarum*...

To starcie się naukowe dwu znanych w świecie osobistości stało się wypadkiem głównym na kongresie i ściągnęło do sekcyi prawno-społecznej setki słuchaczów, tak, że w końcu panował tam ścisk nadzwyczajny.

Niemniej ożywione dyskusye wywołał w tejże sekcyi odczyt dr. E. Duthoit, profesora uniwersytetu katolickiego w Lille, „O prawie wyborczem w Holandyi i w Austryi". Prelegent oświadczył się przeciw powszechnemu prawu wyborczemu, ale wywody jego natrafiły na silną krytykę Szwajcarów, dr. Decurtins'a i Jerzego Python'a, założycieli uniwersytetu fryburskiego[1]).

Był to ostatni z rzędu międzynarodowy kongres uczonych katolickich. Ale bo też podówczas fale ciasnego i egoistycznego nacyonalizmu już wszędzie poczęły wzbierać,

---

[1]) Patrz: Kongres fryburski w „Przeglądzie powszechnym" z r. 1897. T. 56. str. 155.

a Europa rozpadła się na dwa wrogie sobie obozy. Szkoda wielka dla Kościoła i braterstwa ludów. „Rozstawano się po kongresie fryburskim, pisze prof. Kallenbach, w podniosłym nastroju ducha. Przez kilka dni żyliśmy w idealnej sferze nauki i braterstwa, nieznającego co to granice językowe i polityczne. Francuz podziwiał gruntowność Niemca, Holandczyk zachwycał się wymową i dowcipem Włocha, Hiszpan dziwił się śmiałości poglądów Amerykana i Szwajcara, a Polak cieszył się, że jest członkiem tej olbrzymiej żywotnej rodziny, której sędziwa głowa tam — w Rzymie, w stolicy Piotrowej".

(C. d. n.).

Ks. Leonard Lipke.

Czem jest papież dla świata.

(Dokończenie).

Pięć wieków apostolstwa, po trzech wiekach męczeństwa, godnie odpowiadało wysokiemu posłannictwu papiestwa. Po zroszeniu krwią swych męczenników kolebki chrześcijaństwa, po założeniu i uorganizowaniu społeczności chrześcijańskiej trzeba było nią rządzić, kierować. Otóż, by społecznością chrześcijańską módz rządzić, by ją niezawodnie kierować ku jej chwalebnym celom, potrzeba było, iżby papieże mogli działać z pełną swobodą i niezależnością. W tem leżała przyszłość Europy i świata całego, bo, jak zauważył nawet wróg Kościoła, Voltaire, „wśród tych grubych i nieokrzesanych pokoleń, zaledwie wyszłych z lasów barbarzyństwa, bez centralnego działania papiestwa, bez tej duchowej i moralnej dyktatury, Europa byłaby się stała igraszką despotyzmu, widownią wiecznych walk, prawdziwą pustynią". — Opatrzność Boża nad tem czuwała. Bóg postawił przy boku papiestwa waleczny naród Franków, który świeżo zawdzięczał swój chrystyanizm modlitwie świętej Klotyldy, a zwycięstwo królowi Klodwikowi. Rycerstwo frankońskie z wielkimi swymi królami: Pepinem Młodszym (niesłusznie zwanym Małym) i z Karolem Wielkim, przeprawia się przez Alpy, otacza papiestwo siecią miast, ofiaruje papieżowi jako rękojmię swobodnego działania i niezależności obronny swój miecz. Ale niestety! Skoro miecz

Franków wrócił do pochwy, srogi despotyzm zaczął zagrażać zatamowaniem swobodnej papieżów działalności rozwojowi chrześcijaństwa i grozić stłumieniem w powijakach kolebki świeżo zrodzonej cywilizacyi. Zamiast sprzyjać i podniecać rozpęd chrześcijańskiego ducha, który pod najwyższem kierownictwem papieży dążył do przenikania i uszlachetniania praw i instytucyi europejskich społeczeństw, cesarze niemieccy w ujarzmieniu papiestwa upatrywali tryumf swej ambicyi.

Ujarzmienie papieży powstrzymało bieg rozwojowy chrześcijańskich społeczeństw. Cywilizacya cofnęła się do swej kolebki, barbarzyństwo wystąpiło znowu na jaw, a z niem ciemnota, rozprzężenie obyczajów, niewola ludów, tyrania książąt. Jedność moralna ustąpiła z państw chrześcijańskich, a z nią zgoda i pokój; nigdzie nie było ostoi, punktu oparcia, centralnego autorytetu; wszędzie panowało zamieszanie i chaos. Gdyby stan taki trwał jeszcze jeden lub dwa wieki, zaginąłby świat chrześcijański, — jego wiara i jego światło, porządek i wolność. Któż mógł zatamować ten rozkład powszechny i ocalić społeczność od upadku? Papiestwo. Ono jedno posiadało dość powagi i siły moralnej do utrzymywania w karbach umysłów, do wymuszenia posłuchu wśród tych udręczeń bez liczby i tych walk bez końca. Ongi, kiedy Rzym pogański znajdował się blizkim zguby, naznaczał dyktatora, któremu powierzał nieograniczoną władzę i poruczał zbawienie ojczyzny. Na początku średniowiecza, w tych czasach nieładu i anarchii, kiedy węzły społeczne rozrywały się, kiedy świat chrześcijański coraz bardziej chylił się do upadku, dyktatura socyalna była gotowa: znajdowała się ona naturalnie w rękach tego, który czerpał największy wpływ moralny w Boskiej powadze.

To też chyba tylko nieświadomość lub zła wola mogą upatrywać wdzieranie się i uzurpacyę w tej władzy, która w braku jakiegokolwiek publicznego hamulca i powagi centralnej, wypływała ze samego stanu rzeczy i z konieczności położenia. Zresztą, czyż mogła być dla królów i ludów średniowiecza dyktatura mniej ciężka i mniej niebezpieczna jak

dyktatura człowieka, nie posiadającego innej broni i siły prócz swego słowa, swych cnót, swego charakteru i swych siwych włosów? Chociażby więc władza ta nie spływała z wyższego jeszcze źródła, same potrzeby epoki wystarczyłyby, aby uczynić z papieży najwyższych sędziów i rozjemców chrześcijaństwa. Otóż, by skutecznie wykonywać to najwyższe rozjemnictwo, potrzeba było, iżby papiestwo posiadało pełną swobodę działania. Tę swobodę despotyzm cesarski przytłumiał, a przeto zbawienie Europy i świata domagały się koniecznie, ażeby papiestwo za wszelką cenę zrzuciło z siebie tak haniebne jarzmo. Papieże nie omieszkali tego uczynić!

W owym czasie żył w opactwie Kluniackiem mnich, nazwiskiem Hildebrand. Mnich ten widział przejeżdżającego biskupa z Toul, który udawał się do Rzymu, by zająć Stolicę Apostolską na proste życzenie cesarza. Oburzony Hildebrand nie mógł się powstrzymać, by mu nie powiedzieć, że nie wolno przyjmować godności papieskiej z rąk władzy ziemskiej, i że jeśli chce podźwignąć chwałę Stolicy Świętej, on, Hildebrand, podejmuje się przewieźć go do Rzymu i przeprowadzić prawidłowo jego wybór przez kler i lud. „Jakto, — wołał świętym uniesiony gniewem, — ostatnia z kobiet ludu może swobodnie poślubić swego oblubieńca, a oblubienica Jezusa Chrystusa nie może wybrać swobodnie swojego?!“ Hildebrand po wielu usługach, oddanych Kościołowi, wstąpił na tron papieski. Genialny ten papież, o charakterze ze stali, wezwał w imieniu Chrystusa cesarza, by przywrócił Kościołowi piękne jego dni, a papiestwu zwrócił swobodę i niezależność. Ale gwałt uporczywy stawiał opór... Przez trzy stulecia od Grzegorza VII. do Bonifacego VIII. Europa była widownią siły moralnej, zwalczającej bez przerwy wybryki i gwałty siły materyalnej. W tej heroicznej walce z jednej strony wchodził w grę despotyzm, mrzonki monarchii powszechnej, pogarda moralności i swobód publicznych; z drugiej strony występowała gorliwość o karność kościelną, o poszanowanie praw, o obyczaje. Jeśli wyniosła rasa Hohenstauffów wyładowała na usługi swych uroszczeń nieugiętą energię, tedy z dru-

giej strony stanęli w obronie praw Kościoła i społeczeństwa wielcy papieże: jak Aleksander III., Adryan IV., Innocenty IV., Grzegorz IX. Walka toczyła się o dobro świata chrześcijańskiego, o zbawienie Kościoła. Zwycięstwo siły moralnej nad siłą materyalną nie mogło być wątpliwe.

To też wielcy i maluczcy, wszyscy zgodnie uczuwali i witali w papiestwie protektorat królów i trybunał ludów. Kiedy jakiemu królowi zagrażały rokosze poddanych, kiedy lud jęczał pod uciskiem króla, kiedy jakiś książę zbroił się przeciw drugiemu — z pogardą zaprzysiężonej wiary i praw narodów: jedna i druga strona odwoływała się do papiestwa, które stawało w obronie słabego przeciw mocnemu, upominało z dobrocią lub uderzało z surowością. Baronowie angielscy buntują się przeciw królowi, — Jan zwraca się do papieża, a Innocenty III. poucza dumnych wassali, że powaga królewska jest rzeczą świętą, uświęconą. Leopold austryacki więzi Ryszarda angielskiego, — Celestyn III. jednem słowem kruszy kajdany tego wspaniałomyślnego krzyżowca. Piotr aragoński każe mordować Francuzów w czasie Nieszporów Sycylijskich, — Marcin IV. ekskomunikuje go. Filip Piękny przygniata Francyę podatkami, — Bonifacy VIII. przypomina mu jego obowiązki i prawa poddanych. Ileż to nienawiści zgasił, ileż waśni uśmierzył, ileż nieporozumień zakończył ten najwyższy trybunał, który był hamulcem dla panujących i puklerzem dla ludów! Nie było publicznego zgorszenia, któreby płazem uchodziło, zbrodni, którąby papiestwo bezkarnie pozostawiło, nadużycia, któregoby wyplenić nie usiłowało. Cóżby się było stało z moralnością i sumieniem publicznem, gdyby w owych czasach przemocy i grubych obyczajów papiestwo nie mściło aż na tronie monarchów zgwałconych praw skromności i świętości małżeństwa, gdyby klątwa papieska nie pouczała ludów, że przepisy ewangeliczne nie mniej obowiązują wielkich jak maluczkich, bogatych jak ubogich!

W ten to sposób papiestwo, podtrzymując swe nieugięte zasady przeciw Henrykom niemieckim, przeciw Alfonsom Kastylijskim, przeciw Filipom-Augustom, urobiło i rozwinęło

sumienie publiczne, postawiło Europę chrześcijańską pod panowaniem wiary i cywilizacyi.

Na potwierdzenie tych uwag posłuchajmy świadectw protestanckich historyków: „Papieże — powiada Leo [1]) — byli właściwem schronieniem wolności politycznej w średnich wiekach". — „We władzy duchowej — pisze Rühs [2]) — znajdowali obronę słabsi przeciw pokuszeniom silniejszych.. Działalność papieży musiała być zawsze pośredniczącą, zmierzającą do zażegnywania wojen między chrześcijańskimi ludami i do wstrzymywania książąt od niesprawiedliwości i ucisków. Dlatego też duchowieństwo trzymało się wszędzie odpornie względem władzy królewskiej, ilekroć ta ostatnia usiłowała się stać nieograniczoną; nie chciało ono jej niweczyć, lecz tylko chciało ją we właściwych granicach utrzymywać. I znowu przeciwnie, zawsze stało duchowieństwo po stronie panujących, ilekroć świeccy wassale ujmę w czemkolwiek im przynosili; hierarchia z istoty swojej musiała zawsze być za wolnością i prawowitymi przywilejami stanów".

Papież był zarówno widzialnym zwierzchnikiem chrześcijaństwa, żyjącem sercem Kościoła, jak jedynym punktem środkowym, około którego od piętnastu wieków obracała się wszystka władza chrześcijańska. Kiedy sejm w Forcheim w r. 1077, złożywszy z tronu cesarza Henryka IV., mianował na jego miejsce Rudolfa, księcia szwabskiego, papież zebrał sobór w Rzymie dla osądzenia pretensyi obydwu współzawodników; ci przysięgli przez usta swych ambasadorów, że trzymać się będą rozstrzygnięcia legatów papieskich [3]), wybór Rudolfa został potwierdzony. Wtedy to na dyademie Rudolfa sławny ukazał się wiersz:

Petra (Christus) dedit Petro, Petrus diadema Rudolfo [4]). — Henryk V., po swem ukoronowaniu na króla włoskiego w r. 1110, zawiera z papieżem traktat, w którym cesarz odstępuje

[1]) Geschichte des Mittelalters II. 119.
[2]) Geschichte des Mittelalters str. 312.
[3]) Maimburg ad annum 1077.
[4]) Skała (Chrystus) dał Piotrowi, Piotr (dał) dyadem Rudolfowi.

od swoich pretensyi do inwestytur — pod warunkiem, że mu papież z swej strony odstąpi księstwa, hrabstwa, markizaty, ziemie, jakoteż prawa wymierzania sprawiedliwości, mennice i inne, które dzierżyli biskupi niemieccy.

W r. 1209 Oton saski napadł ziemie Stolicy Swiętej, za co został ekskomunikowany. Król francuski i całe Niemcy powstają przeciw niemu; w r. 1211 zostaje przez elektorów złożony z tronu, a jego miejsce zajmuje Fryderyk II.

Tenże Fryderyk II. w r. 1245 popada w klątwę i zostaje pozbawiony korony na powszechnym soborze w Lugdunie. W r. 1335 cesarz Ludwik bawarski, wyklęty przez papieża, posyła ambasadorów do Rzymu, by wyjednać rozgrzeszenie.

Mikołaj I. w r. 860 posyła koronę królowi Bośni i Hercogowiny.

Sylwester II. w r. 1000 przesyła tytuł i koronę królewską św. Szczepanowi węgierskiemu.

Książęta: Daniłło Halicki i Gedymin Litewski zawdzięczają dostojność królewską papieżom. Podobnie król Polski otrzymał koronę od papieża.

Voltaire aż w dwóch rozdziałach dowodzi, że papieże rozdawali wszystkie królestwa europejskie za przyzwoleniem samych królów i ludów. Przytacza słowa króla duńskiego do papieża: „Królestwo Danii, Ojcze św., zależy tylko od Kościoła rzymskiego, któremu płaci daninę, a nie od cesarstwa“ [1]).

Przytacza też potężnego Karola Piątego, proszącego papieża o pozwolenie przyłączenia tytułu króla neapolitańskiego do tytułu cesarza.

W r. 1275 Demetriusz, wygnany z tronu Rosyi, odwołuje się do papieża jako sędziego wszystkich chrześcijan [2]).

Jeszcze w XVI. w. Henryk VII., król angielski, prosi papieża Innocentego VII. o potwierdzenie tytułu królewskiego [3]).

Papiestwo okazało się więc zdolnem stwarzać państwa i społeczeństwa, rozdawać korony królewskie. Namiestnicy

[1]) Voltaire. Essai sur les moeurs. t. III. ch. LXIV.
[2]) Maimburg. Histoire du schisme des Grecs. t. II. k. IV. r. 1201.
[3]) Bacon. Histoire de Henri VII. p. 29.

Chrystusowi utworzyli wielkie monarchie Zachodu, jak pszczoły robią ule, i pieczęcią chrześcijańską naznaczyli cywilizacyę europejską. Oni to pierwsi określili jasno i ustalili z powagą początek, właściwy zakres i znaczenie władzy politycznej. Wszędzie, gdzie Kościół katolicki obchodzi swe święte tajemnice, czytamy ponad ołtarzem: Boga się bój, szanuj króla [1]). Papieże zaznaczali ostatnie źródło władzy w Tym, który ustanawia władców, by byli Jego namiestnikami na ziemi, a których prawa są napisane w księdze rad wiekuistych. Wszelka władza pochodzi od Boga w tem znaczeniu, że Bóg stworzył człowieka dla społeczeństwa, a wszelkie społeczeństwo może się tylko ukształcać, utrzymywać przez instytucyę władzy najwyższej [2]). Dlatego papieże nakazują posłuszeństwo, wierność i uszanowanie w imię Boga. Nie człowiekowi są ludzie posłuszni; człowiek bowiem zbyt jest wielki, by ulegał człowiekowi, ale Bogu jesteśmy posłuszni, ulegając rozkazom zwierzchników. Król dzierży berło, by królował wedle woli Bożej, zgodnie z prawem i sprawiedliwością. I dlatego papieże namaszczali cesarzów i królów i uduchowniali niejako ich władzę, nadając jej znaczenie moralne i cel religijny. Co dawniej było wyrazem siły brutalnej i narzędziem egoizmu, stawało się teraz organem woli Bożej. Papieże nazywali królów Królami z łaski Bożej dlatego, że z Boga pochodzi ich władza, że Jego łaska wyniosła człowieka ponad człowieka, że ona od Niego zależy i ma służyć prawdzie, wierze, sprawiedliwości, prawu [3]).

Kiedy w cesarstwie Bizantyjskiem sam kler popadł w niewolę cezaropapizmu, Kościół katolicki przeciwnie, dzięki papieżom, ogłaszając prawo królów, bronił prawa ludów i nie dopuszczał, by najwyższa władza przedzierżgnęła się w tyranię...

W średnich wiekach tylko papiestwo wybawiło Europę od zupełnego barbarzyństwa. Ono to nawiązało stosunki po-

---

[1]) I. Piotr II. 17.
[2]) Th. Aquin. de regimine principum I. 1
[3]) Syllabus LIX.

między najodleglejszymi narodami, ono było powszechnem centrem, znakiem łączności pomiędzy państwami, najwyższym trybunałem, postawionym wśród powszechnej anarchii.

Gdyby Kościół chrześcijański, gdyby papieże nie istnieli, świat cały byłby wydany sile brutalnej, materyalnej. Papieże tylko wykonywali władzę moralną, górującą nad materyalną. Attila ze czcią pochylający się przed św. Leonem — to uosobienie tej myśli, strzeszczającej historyę Europy.

„Europa“ — powiedział słusznie Fallmerayer, — w swej wnętrznej istocie jest kreacyą Kościoła łacińskiego, Stolicy Świętej, pontyfikatu rzymskiego. Papiestwo przekształciło wszystkie ludy, nad którymi panowało. Grzegorz VII. i Innocenty III. byli większymi zdobywcami, aniżeli Karol Wielki i Napoleon. Jedynie Rzym chrześcijański zrealizował powszechną monarchię w pełnem tego słowa znaczeniu. Rządy papieży umiały wprowadzić w część świata, jaką my zamieszkujemy, myśl europejską, powszechną. Duch europejski jest nieśmiertelny. Reforma protestancka nie stłumiła go. Zerwała ona dobro wspólne chrześcijaństwa, ale tylko zewnętrznie i materyalnie; w gruncie narody Zachodu pozostały braćmi. Pojęcia Grzegorza VII. i innych wielkich papieży rozszerzyły się u wszystkich ludów Europy, — pojęcia, mówię, o początku, o naturze i celu władzy świeckiej; — te pojęcia żyją i królują dziś jeszcze. Odepchnięcie systemu bizantyjskiego, potrzeba przeciwstawienia ducha — ślepej materyi, ruchu i życia — lodowatemu skostnieniu, prawa — zachciankom szalonego despoty: oto co znamionuje ducha europejskiego i czego żadna siła zniszczyć nie może“ [1]).

„Chrystyanizm nietylko nam się narzuca jako norma życia“, — mówi Savigny, — „ale wyznać musimy, że on zmienił oblicze świata, tak, że opanowuje i przenika wszystkie nasze myśli i nasze uczucia, jakkolwiek przeciw niemu bylibyśmy wrogo usposobieni“ [2]).

---

[1]) Oeuvres complètes 1862. II. p. 202.

[2]) Système I. 53

Papieże w średnich wiekach, jak wyżej zauważyłem, przed swój trybunał przywoływali panujących i ich poddanych, rozstrzygali w nieporozumieniach pomiędzy królami, wymierzali kary duchowne na książąt gorszących a niepoprawnych, pozbawiali tronu i praw tych, co uporczywie trwali w swych nierządach. I to właśnie za dni naszych wielu oburza.

Cóż o tem sądzić?

Otóż postępowanie takie było zupełnie legalne, prawne. Ta władza papieży opierała się na prawodawstwie czyli na publicznem prawie owych czasów, t. j. na ustawach politycznych, jakie ludy chrześcijańskie, ich zgromadzenia powszechne, albo ich panujący sami dobrowolnie ustanowili. Papieża w tych czasach książęta i ludy uważali za głowę naturalną i ojca wspólnego chrześcijaństwa.

Nic przeto dziwnego, że przyznawano im prawo sądzenia sporów, karcenia uporczywych i zmuszania ich do poszanowania praw za pomocą klątw kościelnych i pozbawiania ich tronu.

Dodajmy i tę uwagę, że monarchowie w średnich wiekach, w znacznej części, byli zarazem wybieralni i dziedziczni; mianowicie we Francyi, w Anglii i w Hiszpanii zwyczajnie wybierano członka rodziny panującej; ale i sam syn, aby mógł objąć tron po ojcu, musiał być uznany przez zgromadzenie narodowe. Otóż to zgromadzenie mogło stawiać warunki elektowi, który wskutek tego był wobec niego odpowiedzialnym. I w rzeczy samej zwyczajnie stawiano mu za warunek wierność wierze katolickiej, czyniąc to zastrzeżenie, że w razie, gdyby od wiary odstąpił lub ją prześladował, traci swoją władzę.

Dodajmy, że wielu panujących składało Stolicy Piotrowej nadto hołd swej korony; dobrowolnie poddawali jej swe państwa jako lenna, uznawali się jej wassalami. Do nich należeli: Jan Bez Ziemi, król angielski (1213), Robert Giscard neapolitański (1053), Roger II. sycylijski (1130), Piotr II. ara-

goński, św. Szczepan, król węgierski (1000), Godefryd de Bouillon, król jerozolimski. Na mocy tych aktów papież względem tych państw posiadał prawa zwyczajne suwerenów względem swych wassali. Wiemy, że ustawa feudalna nadawała suwerenowi prawo karania wiarołomstwa wassala, który uchylał się od spełnienia zobowiązań; mógł mu odebrać lenno i nadać je innemu. Formularze przysiąg, składanych przez wassali Stolicy św., poświadczają to prawo papieży. Zauważmy atoli, że nigdy papież nie nadużył swego prawa, przyznając sobie samemu w całości lub w części państwo wassala, winnego zdrady.

Sądzić średnie wieki wedle pojęć, jakie zapanowały od Reformy protestanckiej, zwłaszcza od pokoju Westfalskiego, gdzie równe zapewniano gwarancye różnym konfessyom chrześcijańskim, byłoby płochym anachronizmem. „Wszyscy chrześcijanie“ — mówi uczony kardynał Hergenröther, — „tworzyli w średnich wiekach j e d n ą r o d z i n ę. Dla tej rodziny potrzeba było głowy, ojca, jakiego miała w tym, którego wszystkie ludy czciły jako wspólnego ojca, namiestnika Bożego, następcę św. Piotra, przedstawiciela Jezusa Chrystusa, — któremu zostało powierzone paszenie baranków i owiec“ [1]).

„Wchodząc w skład Kościoła, — mówi Mgr. Moulart, profesor uniwersytetu w Lowanium, — przyjmując chrystyanizm jako religię państwa, upatrując w celu religii cel najwyższy i jedyny, do którego mają być kierowane wszystkie społeczeństwa, z których się ludzkość składa, wysnuwając z tych przesłanek wniosek naturalny: że ich prawa muszą harmonizować z dogmatami i moralnością nadprzyrodzoną, — ludy Europy dochodziły do prawdziwej j e d n o ś c i, opartej na pełnej zgodności pojęć, interesów, dążności i prawodawstwa; w ten sposób tworzyły one c h r z e ś c i j a ń s t w o“.

Ówczesne obrzędy konsekracyi cesarza zachodniego ujawniają pojęcia owych czasów. Papież przestrzegał cesarza, że otrzymuje on władzę ku rządzeniu swymi poddanymi i k u

[1]) Kościół i państwo.

obronie prawdziwego Kościoła Bożego. — Na te słowa cesarz odpowiadał następującą przysięgą:

„Ja, król Rzymian, z łaski Bożej przyszły cesarz, obiecuję i przysięgam przed Bogiem i Piotrem świętym, że będę odtąd opiekunem i obrońcą Ojca świętego i Kościoła rzymskiego we wszystkich jego potrzebach; zachowam nienaruszone wszystkie jego posiadłości i uszanuję jego prawa, z pomocą Bożą, w dobrej i czystej wierze. Tak niech mi Bóg dopomoże i święte Ewangelie".

Brzmienie tej przysięgi wyjaśnia sposób wyrażania się wielkich wassali cesarstwa do Henryka IV. w czasie jego zatargów ze św. Grzegorzem VII. Piszą oni do cesarza: „że mu zaprzysięgli wierność, ale pod warunkiem, iż będzie królem ku zbudowaniu a nie ku niszczeniu Kościoła Bożego". Dodają jeszcze, że kiedy on pierwszy zgwałcił umowę, są oni zwolnieni z przysięgi wierności. Te ich słowa ujawniają opinię współczesnych o konstytucyi cesarstwa.

I to nam wyjaśnia postępowanie Grzegorza VII. względem Henryka IV., Innocentego III. względem Jana Bez Ziemi, Innocentego IV. względem Fryderyka II. i Bonifacego VIII. względem Filipa Pięknego.

Historya świadczy, że papieże nieocenioną oddali usługę, nie dozwalając panującym przekraczać swych obowiązków i trzymając podwładnych w słusznej uległości. Energicznem swem występowaniem zbawili oni cywilizacyę, ochronili swoje stulecie od zepsucia.

Za dni naszych Kongresy zajęły miejsce papieży. Wszelako system ten nie daje tychże samych rękojmi bezstronności i światłości.

To też w świetle bezstronnych studyów rola papiestwa średnich wieków bywa wysoko cenioną a nawet pożądaną. Znakomity pisarz protestancki Urghart nie wahał się gorąco polecać, „aby w sprawach internacyonalnych odstępowano od aktualnego systemu Kongresów a powrócono do najwyższego sądu polubownego papieża".

Już z końcem XVII. w. Leibnitz mówił: „Podług mnie Europa i świat cywilizowany powinni ustanowić w Rzymie trybunał rozjemstwa, w którymby prezydował papież, mający rozpatrywać zatargi pomiędzy chrześcijańskimi władcami. Trybunał ten, wyniesiony ponad panującymi, by nimi kierował i ich sądził, sprowadziłby nas do złotego wieku".

Słynny minister angielski Pitt w r. 1794 pisał: „Trzeba znaleźć nowy węzeł, któryby nas wszystkich jednoczył. Papież jedynie mógłby tworzyć ten węzeł. Rzym tylko mógłby przemawiać bezstronnie i bez uprzedzenia, nikt bowiem nie wątpi na chwilę o nieskazitelności jego sądu". Posłuchajmy jeszcze Voltaire'a. „Interes rodu ludzkiego wymaga hamulca, któryby powstrzymywał panujących i chronił życie ludów; ten hamulec religii z powszechnej umowy mógłby być złożony w ręce papieży".[1])

A nie potrzeba się bynajmniej obawiać rzekomo nieograniczonej władzy papieży, która wielu wielce razi. Bo w rzeczy samej ona nie jest tak nieograniczona, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Podług zeznania takiego Aleksandra III. i Innocentego III., jak również podług ogólnego zdania teologów i kanonistów, papież był i jest bardzo ograniczony w wykonywaniu swej władzy właśnie z powodu wzniosłości tej władzy; nic bowiem czynić nie może ponad prawo Boże; krępuje go nadto poczucie wielkich obowiązków, stojących obok wielkich jego praw i przywilejów; również i zewnętrznie ograniczają papieża duch i zwyczaje Kościoła, poszanowanie należne Soborów ekumenicznych, wzgląd na dawne postanowienia i zwyczaje, słuszne prawa godności biskupiej, stosunek do świeckich panujących, łagodny sposób rządzenia, od dawna od Stolicy apostolskiej przyjęty, a w samym celu i ustanowieniu prymatu zaznaczony, — nieodzowny wreszcie dla władzy duchownej wzgląd na ducha i opinię narodów.

---

[1]) Le pouvoir des Papes au moyen âge, par Gosselin; Défense de l'Église contre les erreurs historiques, par Gorini.

Bulla Bonifacego VIII. z r. 1302 bywa często źle zrozumiana, a znaczenie jej nadmiernie przeceniane. Zastrzega ona dla Stolicy apostolskiej nie jakieś zwierzchnicze panowanie nad poszczególnemi państwami, lecz stawia tylko ogólne zasady, dotyczące stosunku władzy duchownej do świeckiej, a uznane wówczas powszechnie przez prawo publiczne i do wszystkich państw chrześcijańskich zastosować się dające.

Kiedy na wewnątrz rzeczypospolitej chrześcijańskiej wiara i karność, moralność i swobody publiczne, interesy jednostek i prawa ludów miały w papiestwie strażnika czujnego i silnego obrońcę, — na zewnątrz następcy św. Piotra powstrzymywali grożące fale inwazyi. Od Urbana II., rozpalającego entuzyazm chrześcijański na soborze w Clermont aż do Piusa V., uzbrajającego przeciw Turkom bohaterów z pod Lepanto — przez sześć wieków papieże nie przestawali budzić i nawoływać chrześcijaństwa do obrony przeciw zaborczemu islamizmowi; a jeśli prawdą jest, że wyprawy krzyżowe wybawiły część Europy od jarzma mahometańskiego, tedy niezmierne to dobrodziejstwo przedewszystkiem zawdzięczamy papiestwu, jego silnej inicyatywie, jego zręcznemu kierownictwu.

Z chrystyanizmem papiestwo przyniosło światu nietylko cywilizacyę i obronę, ale i naukę. I ta aureola musiała opromienić Boską instytucyę papiestwa.

Nietylko naprawą świata starożytnego i łagodzeniem barbarzyńskich obyczajów papieże skutecznie przyczyniali się do uszczęśliwienia jednostek i społeczeństw, ale nabyli też prawo do wdzięczności przez szczególne dobrodziejstwa w umysłowej dziedzinie.

Do nauczania religijnego i moralnego, które stanowi główną część posłannictwa Kościoła i papieży, namiestnicy Chrystusowi nie przestawali nigdy dołączać nauki z zakresu ludzkich umiejętności, świadomi, że umiejętności te dopomagają duszy prawej do lepszego ujęcia i głębszego zrozumienia

podstaw wiary i prawd religijnych. Tę myśl papieży skrystalizował Sobór Watykański w pierwszej konstytucyi dogmatycznej: „Studyom sztuk pięknych i umiejętności Kościół nie tylko nie jest przeciwny, ale owszem dopomaga i zachęca do nich, świadomy korzyści, jakie stąd płyną dla życia ludzi. Nadto, ponieważ te umiejętności pochodzą od Boga, Kościół uznaje, że normalny ich użytek, z pomocą łaski, prowadzi człowieka do Boga".

Papieże nietylko popierali ludzkie umiejętności, ale sami gorącemi stali się ich ogniskami.

We wszystkich epokach papieże potężnie i skutecznie oddziaływali na ruch naukowy i literacki w Europie. Voltaire nawet nie wahał się twierdzić, że jeśli cesarstwo Karola Wielkiego posiadało pewne światło i cywilizacyę, tedy trzeba to przypisać jego podróżom do Rzymu. Grzegorz Wielki osobiście poświęcał się kształceniu młodzieży; Leon IV. otworzył szkoły w całych Włoszech; uczony Gerbert, Sylwester II. dla swej rozległej wiedzy był uważany za cudo swego stulecia. Niebawem, dzięki gorliwości i działalności papieży, Europa pokryła się zakładami naukowymi. Wśród słynnych instytucyi, które pod nazwą uniwersytetów obejmowały wszelką dziedzinę wiedzy ludzkiej, nie było ani jednego, któregoby papieże nie założyli, nie wyposażyli przywilejami, lub nie wzięli pod swoją protekcyę, — nie mówiąc już o słynnych uniwersytetach w Rzymie, w Bolonii, w Salernie, które swe istnienie i swój rozgłos zawdzięczały papiestwu. Czegoż nie uczynili papieże, by popierać postęp nauk we Francyi, w Niemczech, w Polsce, w Czechach i innych krajach? Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczać zasługi papieży, na tem polu położone. Wspomnę tylko o wieku Leona X., który stanął na czele ruchu odrodzenia literatur greckiej i łacińskiej. Uchodźcy z Konstantynopola przyszli szukać schronienia w cieniu tronu papieskiego; Lascaris uczył greczyzny zdumioną Europę przy boku Leona X., Mikołaj V. utrzymywał cały legion uczonych, zajętych zbieraniem rękopisów całego świata; Pius II, uczony Eneasz Sylviusz, swoją rozległą wiedzą rozszerzył niepomiernie

wiedzę uczonych swego czasu. Paweł V. zachęcał Kopernika do jego dalszych nieśmiertelnych odkryć.

Grzegorz XIII. unormował liczbę dni i miesięcy; Sykstus V. niezmiernie powiększył bibliotekę watykańską, która stanowi podziw świata; Benedyktowi XIV. Voltaire oddaje hołd jako najuczeńszemu z uczonych XVIII. wieku.

„Chrystyanizm, — powiada protestant Guizot, — zrodził umiejętność. Kościół wielki wpływ wywierał w porządku moralnym i umysłowym w nowożytnej Europie. Jest to fakt oczywisty; rozwój moralny i intelektualny Europy był essencyonalnie teologiczny. Przejdźmy historyę od X. do XVI. stulecia: teologia dzierży i kieruje umysłem ludzkim, wszystkie opinie są zaczerpnięte z teologii; wszystkie zagadnienia filozoficzne, polityczne, historyczne są zawsze uważane pod kątem teologicznym. Duch teologiczny to jakby krew, krążąca w żyłach europejskiego świata aż do Bakona i Kartezyusza... Wpływ ten był wielce zbawienny, bo nietylko podtrzymywał i użyźniał ruch intelektualny w Europie, ale system doktryn i przepisów, w imię których ten ruch nadawał, górował ponad wszystkiem, co kiedy świat starożytny znał".[1])

Ale właśnie z tego czyni się Kościołowi czyli papieżowi zarzut, że wiedza wszelka wykwitała z teologii i do niej zmierzała. By wykazać, jak niesłuszny jest ten zarzut, przytoczę słowa wielkiego myśliciela, Józefa de Maistre'a: „Religia jest matką umiejętności. Teorya i doświadczenie głoszą tę prawdę. Berło wiedzy należy się Europie tylko dlatego, że jest chrześcijańską. Europa doszła do tego wysokiego punktu cywilizacyi dlatego, że rozpoczęła od teologii, że uniwersytety były najpierw szkołami teologii, że wszystkie umiejętności, zaszczepione na tym Boskim p r z e d m i o c i e, ujawniały sok Boski swą niezmierną wegetacyą. Nieodbita konieczność długiego przygotowania chrześcijańskiego geniuszu — to prawda naczelna, która uszła uwagi nowoczesnych badaczy. Sam Bacon w tem się pomylił; zapomniał on zupełnie o przygo-

[1]) Histoire de la Civilisation en Europe Leçon VI.

towaniach niezbędnych, by umiejętność nie stała się wielkiem złem. Nauczmyż młodych ludzi fizyki i chemii, zanim na wskróś przejmiemy ich religią i moralnością; poślijmy nowemu narodowi akademików wprzód niż misyonarzy, a ujrzymy zgubne tego następstwa. „Religia to aromat, nie dopuszczający psucia się nauk" — powiedział sam Bacon. Czyż Malebranche nie powiedział, że fałszywe wierzenie o skuteczności drugich przyczyn może wieść do bałwochwalstwa? Jest to taż sama myśl; powiedział on jeszcze, że „ludzie mogą uważać astronomię, chemię i wszystkie naturalne umiejętności jako rozrywki uczciwego człowieka, — ale nie powinni dać się zwieść ich świetnością ani ich przenieść nad wiarę i poznanie człowieka w jego stosunku do Boga".[1])

W każdej epoce świata chrześcijańskiego papiestwo stale przodowało ruchowi naukowemu i literackiemu, jak stało na czele ruchu religijnego i społecznego; my sami byliśmy świadkami wiekopomnych na tem polu zasług ostatnich papieży od Piusa IX. do Benedykta XV.

R. A. Menzel, protestant, rozprawia z wielkiem uznaniem o szkołach klasztornych, wznoszonych i w kwitnącym stanie utrzymywanych przez hierarchię katolicką i tak się dalej wyraża: „Przekształcenie tych szkół na wyższe naukowe zakłady, uniwersytety, nie z Niemiec wyszło... Właściwymi ich założycielami byli papieże... Czynili to papieże: Aleksander III, Grzegorz XIII, Honoryusz IV, Klemens V, Urban V. Uniwersytety uważano wogóle za instytucye duchowne, których zwierzchniczy nadzór i wewnętrzny zarząd należał do Kościoła i do jego najwyższej Głowy. Dlatego też prawo wznoszenia nowych uniwersytetów i zmienianie i polepszanie już istniejących przyznawano papieżom jako ich właściwym obrońcom i zwierzchnikom"[2]).

Te wielkie, niepożyte zasługi słusznie przypomniał niewdzięcznej Europie Leon XIII. w swem breve z dnia 15.

---

[1]) Soirées t. II. p. 224.

[2]) Menzel Geschichte d. D. VI str. 82.

sierpnia 1883 r. „Zaiste, historya niezatartemi zgłoskami przekazała potomnym zasługi rzymskiego Kościoła i papiestwa dla Europy, a w szczególności dla Włoch... W pierwszym rzędzie zaliczamy tu fakt, że Włochy pozostały wolne od rozdwojenia religijnego... Wiadomo również powszechnie, że po upadku państwa rzymskiego papieże to przedewszystkiem mężny opór stawiali okropnym barbarzyńców najazdom, że wielokrotnie tylko ich przezorności i wytrwałości zawdzięczano, iż dzikość wrogów bywała odpierana, a ziemia włoska od ognia i miecza, Rzym od ostatecznej ruiny zachowany... A i to także przyczyniło się do szczególnej pomyślności Włoch i innych narodów, że papieże odważnie się opierali niesprawiedliwym uroszczeniom książąt, że w razach sporów i wojen państw europejskich nawoływali takowe do zawarcia pokoju, a tym sposobem dzikie napady Turków z chwalebnem męstwem powstrzymywali... Papieży to również mądrość nadała mieszczańskim rzeczompospolitym prawa, rozwój i trwałość. Sławę, jaką sobie zdobyły Włochy na polu sztuki i literatury pięknej, zawdzięczają po większej części Stolicy Apostolskiej; grecka bowiem i rzymska literatura z pewnościąby przepadła, gdyby resztek tych dzieł wspaniałych nie byli uratowali od zniszczenia papieże i duchowieństwo".

Pomijam niezmierne zasługi papieży i Kościoła pod względem sztuk pięknych i architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki, poezyi. Zasługi te tak biją w oczy, że każdy, choć cokolwiek obznajomiony z temi sztukami, miał sposobność naocznie o tem się przekonać.

Czem było papiestwo przez ubiegłe stulecia, tem jest i tem pozostanie do wieków kresu dla społeczeństw ludzkich. Formy społeczne od średniowiecza znacznym uległy zmianom, ale podstawa pozostała ta sama. Dziś jak dawniej papiestwo jest ostoją i puklerzem chrześcijańskich społeczeństw. Wszystko, co wstrząsa papiestwo, podkopuje trony i grozi ludom, bo papiestwo osłania wszelką słuszną sprawę i wszelką prawną władzę. A przeto, cokolwiek usiłuje zniszczyć społeczeństwo, w końcu zawsze porywa się na papiestwo; ono bo-

wiem stanowi największą zaporę do zburzenia porządku społecznego; a przeciwnie, wszystko, co zmierza do utrwalenia tego porządku, nie omieszkiwa sprzymierzać się z papiestwem, gdyż tam jest najwyższa rękojmia prawa, zatem punkt oparcia i niezłomny szaniec społeczeństwa. To też dziś, jak ongi, wśród tej pożogi i krwawego dramatu albo raczej potopu krwi, oczy ludów wszystkich są zwrócone na Księcia pokoju, zasiadającego w rzymskiej stolicy; w namiestniku Chrystusowym, Benedykcie XV. upatrują ostoję dla zburzonego porządku społecznego.

Ks. J. St. Adamski.

Powstanie przekonań i obrzędów religijnych według Malinowskiego.

(Ciąg dalszy).

Przejdźmy teraz do religijnych przekonań i obrzędów ludów pierwotnych. Czy oni przyjmują pewne tematy nie dla argumentów, za ich prawdziwością przemawiających, ale wskutek ich narzucania się z psychiczną koniecznością? Spytajmy najpierw samych „pierwotnych", na czem oni swoje dotyczące przekonania opierają. Wprawdzie autor radzi nam, abyśmy starali się zrozumieć psychikę pierwotnego człowieka „nie z jego punktu widzenia, ale z naszego własnego", jednakże bezpieczniej jest na podstawie faktów przypatrzyć się, jak pierwotny sam tę sprawę sobie tłómaczy, co z jego sposobu postępowania w tych kwestyach wywnioskować można? Badanie bowiem jego psychiki „z naszego punktu widzenia" może się łatwo przemienić na apriorystyczną hypotezę, do której chcielibyśmy dostroić i w jej świetle widzieć fakta podawane przez etnografię. Oczywiście nie można oczekiwać, aby pierwotny mógł jasno zdać sprawę ze swoich przeżyć zwłaszcza religijnych. Tego on często nie chce,[1]) przeważnie nawet nie może uczynić, gdyż wymagałoby to wyszkolenia w myśle-

[1]) Por. Cathrein, Einheit des sittl. Bewusstseins 22 ne. II. 110, 142, 158 182 n. 406, 479, III. 284 n. 422.

niu i przedstawianiu rzeczy abstrakcyjnych, czego ani on, ani europejski prostaczek a nawet znaczna część inteligentnych ludzi nie ma. W jaki sposób dochodzi pierwotny do poznania pewnych prawd, co o czem sądzi, o tem trzeba wywnioskować raczej z jego czynów niż ze słów. Nieraz dopiero opowiadanie o Bogu, o nagrodzie i karze uświadamia go, że tosamo i on uznaje[1]); nieraz na pytanie, postawione niezręcznie, odpowie przecząco, choć z zachowania się jego i innych odpowiedzi jest oczywistem, że zna i uznaje odpowiedź twierdzącą.[2])

Pierwotny zapytany, skąd wie, że istnieje Wielki Duch lub inne wyższe istoty, dlaczego sądzi, że po śmierci pójdzie w to lub inne miejsce, dlaczego unika pewnych czynności, inne wykonuje, nie będzie zazwyczaj przytaczał argumentów filozoficznych, ale przeważnie da najłatwiejszą i najbliższą sobie odpowiedź, że tak uczyli go rodzice, praojcowie, tak podawano od najdawniejszych czasów. Skąd zaś praojcowie o tem się dowiedzieli? Ich nauczył jakiś nadzwyczajny człowiek, wysłannik tego, który urządził świat i utworzył pierwszego człowieka, albo też sama ta Istota, gdy pozostała z ludźmi jeszcze w bliższych stosunkach.[3]) W naszej terminologii powiedzielibyśmy, że oni uznają prawdziwość tych opowiadań, dla powagi podających je, czyli w ich prawdziwość wierzą. Rzecz prosta, co do znacznej części ich religijnych przekonań, obejmującej „historyczne fakta", innego źródła podać nie mogą. Lecz i co do wiadomości, żeby tak powiedzieć, filozoficzno-religijnych, również powołują się oni na podania przodków. Nie wynika stąd jednak, jakoby pierwotni uznawali ich prawdziwość jedynie dla powagi tradycyi. Pierwotny człowiek, słuchając takich opowiadań, uświadamia sobie potrzebę odpowiednich pytań, jeśli ich sobie sam jeszcze nie postawił,

---

[1]) Cathrein, prz. dz. I. 25. II. 139, 479 n.

[2]) Cathrein, prz. dz. I. 26. II. 113; ciekawy przykład z życia Le Roy (Anthropos, 1906, 8).

[3]) Por. Cathrein, prz. dz. I. 185, 278, 323 n. 382, 108 n. II. 119, 217, 376, 402, 127, 456, 463, 525, 585. III. 45 n. 108, 134.

w podaniu zarazem znajduje odpowiedź, której słuszność jego rozum uznaje. Tak np. opowiadanie, że świat, ludzi, uczyniła jakaś potężna, zawsze trwająca, nie umierająca, wszystko wiedząca istota, wyższa ponad to wszystko, co go otacza,[1]) opowiadania o duszy, o karze i nagrodzie, o obowiązkach względem ludzi i wyższych istot dają mu odpowiedź na budzące się w nim równocześnie pytania. Gdyby te tradycye nie zaspokajały potrzeb człowieka pierwotnego, nie omawiały tego, co go obchodzi, o co on może półświadomie pyta, a zarazem nie znachodziły przynajmniej co do istoty uznania jego rozumu, nie mogłyby utrzymać się przy życiu. Lecz pierwotni ludzie wiele zapatrywań religijnych opierają wprost na argumentach rozumowych,[2]) które mogą być błędne, ale przynajmniej pozory słuszności za sobą mają. Tak n. p. rozumowo uzasadniają oni nieskładanie ofiar Bogu lecz niższym dobrym i złym istotom; rozumowo uzasadniają wielożeństwo, zabijanie rodziców itd., o czém wspomnieliśmy już poprzednio. Pierwotny zatem uważa pewne przekonania, obrzędy, rzeczy za religijne, święte, dlatego, że się odnoszą do Boga lub istot wyższych; powstanie zaś tych przekonań u człowieka pierwotnego, żyjącego w społeczeństwie, opiera się na dwóch źródłach: na wierze w prawdziwość opowiadań, podawanych przez poprzednie pokolenia, i na rozumie, przychodzącym już to o własnych siłach, już to przy pomocy różnych opowiadań do wystarczającej odpowiedzi na pytania, jakie mu się z jakiejkolwiek przyczyny nasuwały. Nieopieranie się zatem na dowodach rozumowych i narzucanie się przekonań z psychiczną koniecznością nie jest charakterystyczną cechą

[1]) Por. Schmidt, Ursprung der Gottesidee 225—236 o przymiotach Boga, uznawanego u australczyków południowych; por. np Cathrein, prz. dz. III 145.

[2]) Ciekawy przykład, dowodzący, że i rozumowymi argumentami pierwotni się posługują, podaje Cathrein II. 34.; zapytani, skąd wiedzą, że istnieje Bóg, odpowiedzieli: „myśmy to zawsze wiedzieli". A gdy żądano od nich dowodu na to, jeden z pierwotnych wziął rękę misyonarza, a pokazując na palce, paznokcie, członki, skórę i tętnice, tryumfująco zawołał: „i ty myślisz, że ten, co to wszystko uczynił, nie istnieje?"

przekonań religijnych u pierwotnych ludzi, owszem ponieważ one z wiary i z dowodzenia pochodzą, dlatego i dla nich są czemś do pewnego stopnia dobrowolnem, stąd i pierwotny jeden wierzy, drugi — zwłaszcza, jeśli mu kto wątpliwości nasunie — może swoje wierzenia porzucić.

Zbierając wywody tego rozdziału, stwierdzamy, że cechą charakterystyczną przekonań i obrzędów religijnych, którą się różnią od wszystkiego, co jest areligijnem, świeckiem, jest ta ich właściwość, że odnoszą się do Boga lub istot wyższych i zapisują się ludzkim do nich stosunkiem. Zasadnicza zaś różnica między wiedzą a wiarą na tem polega, że wiedza uznaje coś za prawdę dla oczywistości danego twierdzenia, dla dowodów, jego wewnętrzną prawdziwość wykazujących, wiara natomiast jest uznawaniem czegoś za prawdę dla powagi tego, który twierdzenie jakieś za prawdziwe podaje. Niepojętość, niezrozumiałość, niemożność udowodnienia bezpośrednio prawdziwości pewnych twierdzeń jest cechą charakterystyczną niektórych tematów wiary, zatem za cechę religii wogóle uznać jej nie możemy. Narzucanie się wreszcie pewnych przekonań z psychiczną koniecznością nie jest cechą żadnych objawów religijnego życia.

Źródło religijnych przekonań.

Autor, stwierdziwszy — jak sądzi — że cechą charakterystyczną tematów religijnych jest ich niepojętość i narzucanie się z psychiczną koniecznością, bada następnie, przy jakich objawach życia ludzkiego powstają zjawiska, powyższe cechy posiadające, i dochodzi do wniosku, że dzieje się to przy uczuciach, wobec czego źródło przekonań religijnych w nich uznaje.

Każda emocya[1]) — mówi — sprowadza w organiźmie

[1]) Emocya u autora oznacza to, co scholastycy i Rzymianie nazywają passio, Grecy πάθη.

pewne zaburzenia, zwichnięcie równowagi fizyologicznej, wskutek czego następuje pewna reakcya w naszem działaniu, w której uczucie to „wyładowuje się", a organizm wraca do normalnego stanu (str. 66, 70). Z emocyą, zwłaszcza silniejszą, i stanem, przez nią spowodowanym, złączone jest pewne przymusowe kojarzenia wyobrażeń. Trzy zatem te rzeczy: emocya, reakcya i odpowiednie kojarzenie wyobrażeń ściśle ze sobą się łączą, działają na siebie i od siebie zależą (str. 67, 69). Ze wszystkiego zaś, co autor mówi, z wniosków, jakie z tego faktu chce wyciągnąć, wynika, że czemś najpierwotniejszem jest emocya, reszta to już konieczne jej skutki.

Wyjaśnimy myśl autora na przykładach. Ktoś znajduje się w emocyi strachu. Strach powoduje zaburzenia fizyologiczne i pobudza przestraszonego do ucieczki, osłonięcia się lub ukrycia (reakcya). Chociaż nie wierzymy w strachy, opanowywa nas przynajmniej na chwilkę wyobrażenie jakiejś strasznej rzeczy, stwarzamy sobie wyobrażenie rzeczy, której się boimy i to bez rozumowych powodów, jedynie pod wpływem psychicznego stanu, w jakim się znajdujemy (str 70, 76 n.) To wyobrażenie sobie rzeczy powstaje zatem koniecznie, bo i nas chociaż chwilowo ogarnia pomimo, że nierozumność jego przez refleksyę następczą zaraz uznajemy.

Weźmy inny przykład. Ktoś uniósł się gniewem; następują zmiany fizyologiczne; popęd do czynnej reakcyi, aby zgnieść, zniszczyć coś lub kogoś. Jeśli emocya znajdzie naturalne „wyładowanie się", sama ustępuje (str. 70). Lecz co, jeśli nie można jej wyładować w naturalny sposób, gdyż nieprzyjaciela wcale niema (zgniewaliśmy się np. na kamień, o który ugodziliśmy nogą), albo jest za silny, by można było mu szkodzić? Wtedy wyładowuje się emocya w akcie zastępczym; nie mogąc dosięgnąć wroga, wywieramy wściekłość na pierwszym lepszym przedmiocie, jaki nam wpadnie pod ręce (str. 70 n.). To działanie musi być połączone z pewnymi wyobrażeniami. Ponieważ człowiek kopiący kamień, wywierający zemstę na rzeczy napotkanej tak postąpił, chcąc wywrzeć zemstę na wrogu, a w postępowaniu najlepiej odbija się to, co

człowiek myśli podczas działania, przeto przyjąć trzeba, że działający w zastępczej reakcyi gniewu ma przekonanie, że naprawdę wroga za jego winę karze (str. 71 n.). Bez rozumowych powodów narzuca się mu zatem wyobrażenie winy, wroga, stwarza sobie rzeczywistość, której niema, i to koniecznie, psychiką swą zmuszony, gdyż i my mimowoli tak postępujemy i wobec nierzeczywistości zajmujemy takie stanowisko, jak gdyby ona na prawdę istniała (str. 75 n.).

Na naszym stopniu kultury refleksya, nauczona opierać się o objektywną rzeczywistość i według niej oceniać wszystko, obala zaraz takie przywidzenia i reakcye subjektywne (str. 74). Człowiek jednak pierwotny, skłonny brać swoje subjektywne przywidzenia za rzeczywistość, przez refleksyę następczą utrwala w sobie wiarę w ich realność i „intelektualną zawartość w emocyonalnej reakcyi" uważa za zgodną z prawdą; dla niego treść owych wyobrażeń jest tak objektywna, jakby opierała się na obserwacyi zmysłowej i konkluzyach logicznych (str. 74 n. 79).

Jakież są cechy charakterystyczne omawianych „wyobrażeń"? Pewne myśli, kojarzenia pewnych wyobrażeń nasuwają się nam „z immanentną koniecznością" (str. 75), nadto posiadają one charakter „nadprzyrodzoności", to znaczy „nie są wynikiem ani doświadczenia ani rozumowania"; będąc w stanie emocyi, odczuwamy je jako coś pochodzącego z poza nas, jako coś silniejszego od nas — i w rzeczywistość tego czegoś, poza granicami logiki i empiryi się znajdującego, pierwotny wierzy, ona dla niego naprawdę istnieje (str. 75 n. 111). Ponieważ te wyobrażenia mają charakter konieczności i nadprzyrodzoności, dlatego należy je uznać za przekonania mistyczne, religijne. Ponieważ zaś takie wyobrażenia powstają przy wszystkich emocyach, dlatego emocye, uczucia musimy uznać za źródło religijnych wierzeń (str. 111).

Przypatrzmy się nieco bliżej powyższym wywodom.

Dla zrozumienia ich jednak musimy zastanowić się nieco

nad naturą namiętności,[1]) która to kwestya u nowszych uczonych jest tak pogmatwana, że w niej prawie wyznać się nie można.[2]) Zasadniczem dla jej rozwiązania jest stwierdzenie, że człowiek jako „rozumne zwierzę" ma zmysłowe poznanie i odpowiadające mu zmysłowe, zwierzęce pragnienie, a zarazem umysłowe, duchowe poznanie i idące za niem duchowe chcenie. Znaną też jest rzeczą, że u nas wobec każdego dobra, mimowoli powstaje pewna ku temu dobru dążność, względem zaś zła wstręt, usuwanie się, uciekanie od niego. Ponieważ człowiek jest jedną naturą, stanowi całość *sui generis*, dlatego życie zwierzęce i duchowe wzajemnie na siebie oddziaływują, wzajemnie się przenikają niejako i od siebie zależą.

A teraz czem jest namiętność (emocya)? Jest to wszelki odruch, zwłaszcza silniejszy, naszego pragnienia zmysłowego, powstały pod wpływem zmysłowego poznania.[3])

Że „emocya" wogóle powstaje wskutek jakiegoś poznania, a nie poznanie rodzi się z emocyi, na to znajdziemy łatwo dowód, zastanawiając się nad niektórymi uczuciami. Weźmy na przykład gniew. Kiedy on wybucha i jak się objawia? Gdy nas spotka jakieś zło i obecność jego zauważymy, mimowoli wzburzamy się przeciw niemu, co objawia się przez fizyologiczne zmiany organiczne, a zarazem dążymy do usunięcia tego zła w sposób odpowiedni.

Weźmy namiętność strachu. Kiedy widzimy zagrażające nam zło, trudne do uniknięcia, powstaje w nas pewne zakłopotanie wobec niego, wywołujące fizyologiczne zmiany w organiźmie, a zarazem mimowolny odruch, którego celem jest obrona przed tem złem przez ucieczkę lub jego zniszczenie. Wobu wypadkach najpierw zachodzi pewne poznanie zła obe-

[1]) Emocye, passiones, nazywa ks. Gabryl w swojej Psychologii (Kraków 1906, 300 n.) żądzami. Nazwa mniej stosowna, o wiele lepiej oddaje to pojęcie słowo „namiętność". Idąc za autorem, nazywam emocyę uczuciem, choć nazwa to nieodpowiednia.

[2]) Por. Św. Tomasz, 1. 2, q. 22—48; Cathrein, Moralphilosophie (Freiburg 1911) 5—71—83; Ks. Gabryl, prz. dz. 300—315.

[3]) Św. Tomasz 1. 2 q. 35a. 1.

cnego lub zagrażającego, z niego wynikają fizyologiczne zmiany i reakcya czynna. Weźmy inny wypadek; ktoś rozgniewany „w zemście zastępczej" kopie kamień, czy tu gniew nie stwarza jakiejś „nadprzyrodzonej rzeczywistości"? Wcale nie. Także i tu pewne poznanie rodzi uczucie i złączone z niem odruchy, a nie uczucie stwarza jakieś wyobrażenia. Gniew pobudza nas do usunięcia zła, którego obecność poznaliśmy; czasem to poznanie jest jedynie zmysłowe, a wtedy wpierw, nim rozum zdołał zająć jakieś względem niego stanowisko, powstaje w nas odruchowo wzburzenie, a za niem idzie natychmiast odpowiednia reakcya przeciw najbliższej przyczynie zła spostrzeżonego. Kopniemy wtedy kamień, podobnie jak np. pies rozzłoszczony w podobnej sytuacyi rzuci się na kamień lub laskę, która go niemile dotyka. Także i tu zatem poznanie jest źródłem uczucia i reakcyi a nie odwrotnie.

Weźmy wreszcie inny wypadek. Ktoś, nie mogąc dosięgnąć wroga, tłucze wazonik lub wpada na kogoś zupełnie niewinnego. Jak to tłómaczyć? Czy tu „emocya" nie stwarza „nadprzyrodzonej" rzeczywistości?

Jeśli rzecz złączona jest z nieprzyjacielem, tłómaczenie przedstawia trudności: niszcząc rzecz, chcemy się zemścić na jej panu. Trudniejsze wyjaśnienie, gdy rzecz nie jest związana z wrogiem; czy wtedy emocya nie stwarza we mnie koniecznej wiary, że skrzywdziłem nieprzyjaciela (str. 71)? Wcale nie. Gniew i tłuczenie wazonika jest mszczeniem się na nowym a nie na pierwszym wrogu. Mianowicie podnieconemu gniewem, w którym już działalność rozumu nie funkcyonuje bez przeszkody, ale przewagę bierze poznanie i pragnienie zmysłowe, łatwo coś przeciwnego, nawet drobnostka, staje się nowym nieprzyjacielem, jej zawadzanie silnie go dotyka i w pierwszym zmysłowym odruchu względem najbliższej zmysłowo poznanej przyczyny jego zła, wchodzą w zastosowanie „reakcyjne" czynności, zapoczątkowane i przeznaczone dla wroga pierwszego. Zjawisko polega zatem na błędnym „sądzie" zmysłowym o nowym wrogu, a okazyą powstania jego jest obok

bok innych czynników także wyjątkowy stan psychiczny, spowodowany emocyą pierwszą. Jak błąd wywołał pewne czynności odruchowe, tak jego uświadomienie sobie niszczy cały wybuch. Znowu zatem nie „emocya" stwarza religijne tj. „konieczne, nie wynikające z rozumowych powodów kojarzenia wyobrażeń", ale właśnie emocye powstają z błędnego kojarzenia wyobrażeń i sądów, których powstanie — co trzeba przyznać — ułatwia podniecenie, wywołane poprzedniem uniesieniem.

Emocya gniewu przeto nie jest źródłem nadprzyrodzonych i koniecznych wyobrażeń czyli religijnych w tem znaczeniu, jak to autor tłómaczy. Może ona jednak dać okazyę człowiekowi domyślania się, że rzeczy szkodzące mu są istotami, obdarzonemi życiem, może poza niemi domyślać się działania pewnych istot złośliwych, a tego rodzaju domysły łatwiej powstają u ludzi pierwotnych niż u kulturalnych. Wszak i nasz prostaczek czasem, gdy naturalnego zbiegu okoliczności wyjaśnić sobie nie umie, może być najświęciej przekonany, że przeszkodę na drodze chyba sam dyabeł mu podsunął, aby go do złości doprowadzić.

Weźmy pod uwagę inną emocyę — strach, który czasem powstaje tam, gdzie do tego niema p r z e d m i o t o w e g o powodu, a co ma być według autora dowodem, jak emocya stwarza z niczego rzeczywistość nadprzyrodzoną. Wniosek jednak jego jest nieco zapospieszny. Prawda, gdy w ciemną noc jesteśmy na cmentarzu, w ruinach i urwiskach, samo otoczenie robi na nas wrażenie czegoś groźnego, bo tem rzeczywiście jest. Jeśli ktoś w dodatku wierzy w strachy lub przynajmniej mała iskierka wiary mu została, czem karmiono go nieraz za młodu, będzie miał głowę mniej lub więcej nabitą myślami o strachach; mimowolne zaś, choćby dalekie nawet przypuszczenie, że coś podobnego możnaby teraz spotkać, będzie obudzać także mimowolne odruchy strachu. W takim stanie łatwo przy rozbujałej fantazyi wziąć szmer myszy za kroki groźnego stracha, a cień poruszający się za zbliżającego się

ducha. To złudzenie wywoła już naprawdę strach, a podniecona wyobraźnia jeszcze jaśniej przedstawi postać ducha i popędzać będzie do tem gorliwszej ucieczki. Ostatecznie jednak nie strach wywołał stworzenie sobie „nadprzyrodzonej realności", ale poznanie, którego słuszność upozorowały okoliczności, obudziło strach z jego następstwami. Jak poznanie zła grożącego — w naszym wypadku błędne — wywołało strach, tak znów spostrzeżenie, że nic nam nie grozi naprawdę, usuwa go w zupełności, nieraz śmiertelną trwogę w śmiech obraca. Oczywiście człowiek, na prawdę w strachy nie wierzący, szmeru myszy nie będzie brał za zbliżanie się ducha, illuzyom nie ulegnie, a wskutek tego nawet na cmentarzu i w najstraszniejszych ruinach bał się nie będzie, gdyż nie ma wyobrażeń, które są strachu źródłem.

Czy zatem strach jest źródłem pewnych przekonań religijnych? W sposób przez autora podany w każdym razie nie; nie strach bowiem stwarza „konieczne psychicznie i nadprzyrodzone kojarzenia wyobrażeń", ale wyobrażenia pewne wywołują strach. Jednakże strach, zjawiska, przerażające człowieka, mogły dać o k a z y ę powstania przekonań o istnieniu istot wyższych, groźnych. Pierwotny człowiek z bujną fantazyą, wrażliwy jak dziecko, lubiący wszystko personifikować i ożywiać, może łatwo poza groźną nocą widzieć groźną osobę; poza wirem, ciągnącym go w toń, domyślać się topielca; za chorobami, konwulsyami stawia istotę, takie skutki sprawiającą, a za mieszkanie groźnym sobie istotom wyznaczy naturalnie jak najgroźniejsze i najdziksze miejsca. Gdy zaś raz przyjmie możliwość istnienia takich istot, łatwo je także gdzieś zobaczy i odpowiednio się przerazi. Złudzenie pierwsze ze swymi skutkami ułatwia powstanie następnych, bo wzmacnia wiarę w rzeczywistość takich istot i tak z czasem noc, lasy, urwiska, ruiny, napełniły się upiorami, duchami, boginkami. Oczywiście, im kultura naukowa wyższa, im lepiej poznaje się przyczyny pewnych zjawisk, tem mniej strachów i nowych illuzyj. Można zatem przyznać niektórym uczonym, że strach, jaki wywołały pewne groźne zjawiska: pioruny, orkany, komety,

mógł przyczynić się do powstania pewnych religijnych t. j. do wyższych istot odnoszących się przekonań, pobudzając ludzi do szukania przyczyn tych zjawisk. Czy jednak strach był okazyą powstania pierwszych przekonań religijnych, jak twierdzi Lukrecyusz[1]) — to znów inna rzecz, o której później. Ze strachu jednak w każdym razie nie mogły powstać wszystkie wierzenia ludów pierwotnych; nie możliwem bowiem jest wyprowadzić z niego przekonanie o istnieniu dobrego, najwyższego Boga, znanego najprymitywniejszym ludom.[2])

Geneza obrzędów religijnych.

Z uczuć powstały, według Malinowskiego, nietylko wierzenia, ale i obrzędy religijne. Znana jest — mówi — u wszystkich ludów magia czarna. Kiedy człowiek nie może dosięgnąć swego nieprzyjaciela, gdyż jest nieobecny lub za silny, stara się wywrzeć swą zemstę na nim zdala. W tym celu wykonuje pchnięcia sztyletem, udaje rzucanie oszczepem i sądzi, że przez to wywołuje dla nieprzyjaciela takie skutki, jak gdyby rzeczywiście ciosem swoim go dosięgał. Jak on doszedł do takiego przekonania? Kiedy nie mógł wywrzeć zemsty na wrogu, rzucał się na ślepo, łamał, tłukł różne przedmioty, zmuszony psychiczną koniecznością sądzić, że ma przed sobą wroga. To wyszalenie się sprowadzało uspokojenie namiętności, ukojenie i zadowolenie, a wskutek tego znowu psychiczna konieczność kazała mu sądzić, że nieprzyjaciel został ukarany. „Refleksya następcza“ nie tylko nie obalała tego wniosku, ale owszem wzbudzała w nim przekonanie, że, aby zemścić się na nieprzyjacielu, wystarczy wykonać jedną z naturalnych, spontanicznych reakcyj gniewu (str. 82—85); rytuał

[1]) De rerum natura I. 5. primus in orbe deos fecit timor.

[2]) Por. Cathrein, Einheit des sittl. Bewußtseins III 569; Le Roy, Missions catholiques (1893) XXV. 124n.

magii odruchowej zamienił się na rytuał jej świadomy, dogmatyczny.

Nie można powiedzieć, żeby powyższe wywody odznaczały się wielką logicznością. Prawda, w gniewie, choć nieprzyjaciel nieobecny, wykonujemy czasem pewne ruchy „reakcyi", wywijamy pięściami, depczemy go, gdyż wyobraźnia przedstawia nam, coby mu należało uczynić, a za nią idą u człowieka, opanowanego namiętnością, mimowolne odruchy odpowiednie. Wątpić jednak można, czy nawet u jakiego pierwotnego człowieka mogła powstać myśl, że to wystarczy do wywarcia zemsty na wrogu, a o psychicznej konieczności takiego wniosku nie może być mowy. Gdyby nawet nasunęło się komu takie przypuszczenie, refleksya i doświadczenie następne zniweczyłoby je zaraz; widok nieprzyjaciela przy najlepszem zdrowiu przekonałby go o niedorzeczności powyższego sądu. Zresztą, jeśli pierwotni sądzą koniecznie, że wystarczy do zemsty wykonać „jedną ze spontanicznych reakcyj gniewu", czemuż w s z y s c y w ten sposób nie mszczą się, ale uciekają się do pewnych ludzi, czarowników, aby oni to uskutecznili? Widocznie sądzą, że same takie czynności do wywarcia zemsty jeszcze nie wystarczają.

Jednakże coś słusznego znajduje się w uwagach autora. Gniew pobudza nas do zniszczenia zła, którego obecność nas wzburza, do szukania zadośćuczynienia na wrogu. Lecz, gdy on nieobecny lub za potężny, mimowoli powstaje pragnienie: ach, żeby to można było szkodzić mu z daleka i skrycie! Oczywiście każdy widzi, że własnemi siłami tego nie dokona, trzeba pomocy wyższej. Jeśli ukaranie wroga wydaje się komu słusznem, ucieka się do pomocy bóstw, istot wyższych dobrych, do Boga i dlatego nawet nasz góral chce dać na „czarną mszę", aby P. Bóg „pokarał" nieprzyjaciela. Jeśli zaś rozgniewany uznaje, że zemsta nie jest dozwolona, może szukać pomocy u wyższych istot złych, lub u ludzi, którzy uchodzą za mających moc szkodzenia wyższą siłą, jaką sobie nabyli, lub przy pomocy istot złych, z którymi stoją w szczególniejszych

stosunkach.[1]) Nawiasem mówiąc, autor sądzi, że czarna magia należy do objawów religijnych. Właściwie uchodzi ona wszędzie raczej za naruszanie religii, gdyż chce zmienić porządek rzeczy, szuka pewnych celów na drodze nieodpowiedniej przez pośrednictwo istot złych.[2]) Najlepszym na to dowodem jest fakt, że szkodzących czarowników wszystkie ludy ścigają i karzą nieraz nawet okrutnie,[3]) oczywiście chyba nie za religijność, która wszędzie uchodzi za coś dobrego.

Jeśli zaś czarownik chce szkodzić wrogowi, w jaki sposób będzie to wykonywał? Cóż łatwiejszego, jak wpaść na myśl, że dokaże tego, udając ruchy, wykonywane przy zwykłej zemście, istota zaś wyższa lub moc, jaką posiada, sprawi, że osiągną one skutek, któregoby w zwykłych warunkach mieć nie mogły. Oczywiście musi w siebie i w innych wmawiać, że zadania swego dopełnił, albo przynajmniej zręcznie umieć wytłómaczyć bezskuteczność swoich usiłowań, stosunkowo zaś nie wielka ilość podobnych czarów utrudnia sprawdzenie oszukiwania siebie i drugich zwłaszcza wśród ludów ciemnych.

Zbierając, co powiedziałem, mogę stwierdzić, że emocye z psychologiczną koniecznością nie prowadzą do wiary w skuteczność zemsty zastępczej, mogą jednak dać okazyę szukania sposobu wywarcia zemsty z daleka, są okazyą do refleksyi, jakby tego można było dokonać; odruchy zaś, powstające wskutek wzburzonej namiętności, mogą być dla człowieka wskazówką, co ma czynić, gdy przy pomocy wyższej chce cel upragniony osięgnąć.

Jak odruchy mimowolne przy pewnych wzburzeniach zmieniały się — oczywiście z psychologiczną koniecznością — na obrzędy religijne, na to wskazuje — według autora — zachowanie się ludzi przy egzorcyzmach i obronie przeciw złym

---

[1]) I „czarownik“ ucieka się czasem, gdy o dobrą rzecz prosi, do Boga; dobry przykład u Cathreina: Einheit des sittl. Bewußtseins II. 354. por. II. 79, 83, 344.

[2]) Por. Schmidt, Ursprung der Gottesidee 439.

[3]) Por. Cathrein, prz. dz. I. 583. II. 13n. 93. 115n. 124. 146. 161. 171. 215. 241. 263n. 349n. 380. 385n. III. 14. 51. 164. 183. 272.

duchom. Bojący się albo rzuca się na mniemane niebezpieczeństwo, albo też, naciągając kołdrę na uszy, leży cicho. W egzorcyzmach także atakujemy duchy, albo uciekamy się do Boga o pomoc, w Nim pokładając nadzieję (str. 89).

Wprawdzie trudno dopatrzyć się równości między naciąganiem kołdry na uszy a modleniem się, również k o n i e c z n o ś c i psychicznej w zamianie elementarnych rytuałów na religijne także nie widać w przytoczonym przykładzie, ale w uwagach autora jest trochę słuszności. Jeśli pierwotny sądził, że ma do czynienia z jakąś istotą wyższą a groźną, co mógł czynić? To samo mniejwięcej, co wobec zwykłego niebezpieczeństwa; albo szukał pomocy u innych, albo sam rzucał się na nie, ufając, że w ten sposób się uratuje, albo wreszcie uciekał. P r o s i ć o pomoc Boga lub wyższe istoty może każdy, dlatego modlitwa jest powszechnym zwyczajem u ludów nawet pierwotnych[1]), co więcej charakterystyczną rzeczą jest, że w wypadkach nagłej potrzeby, wielkiego niebezpieczeństwa zwracają się nawet politeiści nie do bogów, ale do Boga najwyższego, co już zauważył Tertulian u Rzymian[2]), a stwierdza etnografia u wielu ludów pierwotnych.[3]) Chcąc uniknąć niebezpieczeństwa przez jego p r z e z w y c i ę ż e n i e, trzeba mieć w tym celu odpowiednie siły, czego nie posiadają wszyscy. Dlatego taki sposób walki ze złymi mocami pozostawiony jest „czarownikom", a zwykli śmiertelnicy odgrywają tu drugorzędną rolę, pomagając krzykiem, rzucaniem oszczepów, strzał głównemu aktorowi.[4]) Do u c i e c z k i nie trzeba żadnej sztuki, dlatego ten sposób walki ze „złem" ma najwięcej przedstawicieli tak wśród kulturalnych jak i „dzikich" ludów. Uczucia zatem, powstałe tak pod wpływem religijnej jak i niereligijnej myśli, pobudzają człowieka rzeczywiście do wykonywania pewnych odruchowych czynności, które to „obrzędy" religia

---

[1]) Nie zawsze wyraźna, czasem mimiczna, przez pewne znaki.
[2]) C. Marcionem I. 10.
[3]) Por. Cathrein, prz. dz. I. 568. 595. II. 113. 397n.
[4]) Por. Cathrein, prz. dz. I. 440. 457.

przyjmuje i wiernym przepisuje. Religijność ich jednak nie polega na ich logiczności, (mają one bowiem logiczne uzasadnienie w naturze danego uczucia), ani psychicznej konieczności, ale na tem jedynie, że są skierowane do uznawanych i czczonych istot wyższych, do Boga. U pierwotnych ludów, działających przeważnie pod wrażeniem chwili, te obrzędy religijne będą często odruchowe; religie natomiast wyższe świadomie przepisują obrzędy, które w pewnych sytuacyach powinny być dla wierzącego wyrazem naturalnym jego uczuć, rozbudzonych myślą religijną. Tak np. „dziki" prawie odruchowo pada na twarz, gdy widzi, że niosą jego bóstwo i czyni to bez pouczań zazwyczaj, bez wielkich namysłów; taki rytuał jest naturalnym objawem tego, co on wewnątrz uznaje i odczuwa i do czego czuje popęd w danej chwili. Liturgika katolicka przepisuje ukłony, klękania świadomie, wychodząc z założenia, że takie czynności zewnętrzne są, a przynajmniej powinny być czemś odpowiedniem dla wierzącego i wynikającem z natury uczuć, przeżywanych w pewnych okolicznościach, a obudzonych pewnem poznaniem. Przyznanie jednak, że uczucia pobudzają do odruchowych „obrzędów", które religia przyjmuje i świadomie wprowadza, uszlachetniwszy poprzednio, nie popiera wcale zapatrywania autora, że z uczuć powstają jakieś odruchowe „wierzenia", które religia potem świadomie za swoje uznaje; między jednym a drugim wypadkiem jest ogromna różnica. Uczucie bowiem z natury swej objawia się na zewnątrz mniej lub więcej odruchowo przez odpowiednie czynności, albo przynajmniej do ich wykonywania nas skłania, nie budzi zaś w nas odruchowo poznania rzeczy, lecz właśnie z poznania pewnego samo wynika; źródłem poznania prawd jest jedynie rozum, wszystko inne zaś może poznanie ułatwiać lub utrudniać, nastręczać sposobność do niego, domagać się głębszej refleksyi nad czemś itd. i w ten sposób pośrednio do poznania się przyczyniać. Mówimy czasem wprawdzie o „odczuwaniu" pewnych prawd; jest to jednak wyrażenie nie ścisłe, używane na oznaczenie

tego poznania, do którego rozum dochodzi łatwo, prawie mimowoli, bez wysiłku z naszej strony; ma ono zatem coś wspólnego z powstawaniem uczuć właśnie w tej swojej mimowolności, w gruncie jednak rzeczy takie odczuwanie prawdy jest rozumowem ich poznawaniem.

(Dok. nast.).

Ks. Dr. St. Zegarliński.

Koniec wojny, koniec świata i złote czasy proroków.

III.

Światowładca oparł się nie tylko o talmud z wieszczbą Elijaha, a dostosował się dziś przemyślnie do czasów wojennych — znalazł za sobą jeszcze inną powagę, która nawet określiła latami dobę jego zwycięstwa nad antychrystem i następne dzieje świata do końca. Mrzonki Joachima — oto owa powaga, zapomniana po wojnach wyznaniowych przed trzystu laty, a odświeżona w stuleciu Cagliostra, kiedy świat łapczywie karmił się przepowiedniami. I zapomniany światowładca stanął znów w pamięci czytelników Joachima, gdy go wskrzesił „Wykład Apokalipsy", — książka, której wydawca podpisał się nazwiskiem „De Wuilleret", ale nie jak pod utworem własnym, tylko jako pod przekładem francuskim łacińskiej pracy, cennej rzekomo spuścizny po wiel. Holzhauzerze — nieboszczyku od lat wtedy już stu. Po wielebnym odnowicielu ducha kapłańskiego została taka dla niego cześć wielbicieli, że ci przechowywali każdą po nim szczątkę rękopisu, jak świętą pamiątkę: — ci nie wiedzieliby przez sto lat o rękopisie z owym Wykładem Apokalipsy, aż dopieroby Wuilleret wystąpił z przekładem i kilku odpisami łacińskimi. Z pod czyjegobądź pióra wypłynął ów Wykład, w żadnym razie nie

stanowi pracy samodzielnej; powtarza naukę Joachima o światowładcy przy papieżu anielskim, pożycza od Bertolda z Chiemsee cały zapas szczegółów i znamienne wyrazownictwo, przekłada haniebnie greckie wyrazy, jak gdyby umiał ledwo któryś odczytać a żadnego nie rozumiał sam, tylko z przenośnych wykładów coś zgadł, czerpie od Jansenistów obrazy ponure i „Kościoła łacińskiego" i „bezdusznego" w nim duchowieństwa, opisom tego upadku Kościoła przeciwstawia przyszłą postać Pasterza Anielskiego, naśladowaną wiernie za proroctwem Telesfora z r. 1386-go, również joachimisty, wplata pobożne myśli w treść pełną grozy i przykuwa uwagę powierzchownych umysłów, zachwyconych przeraźliwym widowiskiem. Zatem dla utworu tego znalazł popyt księgarski i na różne jego przekłady i na nowe wydania, ale też sporo ocen bardzo ujemnych w zawodowem sprawozdawstwie katolickiem. Hundhausen odmawia mu wszelkiej podstawy naukowej;[1]) — Kampers nie porusza sprawy, czyją pracę wydał Wuilleret, — czy istotnie cudzą przełożył z łaciny, czy własną ogłosił pod cudzem nazwiskiem, — w każdym razie poczytuje owe „sny jasnowidza" za płód joachimizmu, niegodny męża wybitnego i który pamięć po sobie zostawił tak miłą, jak wiel. Holzhauser.[2]) Z Kampersem zgodnie wyraża sąd The Catholic Encyclopedia. Wręcz i bez ogródek „Biographie Universelle" przestrzega przed tym utworem[3]), jako przypisanym wiel. Holzhauserowi bez najmniejszej rękojmi, bez wierzytelnej powagi zewnętrznej i wewnętrznych piętn prawdy. Zewnętrznej powagi nie nadaje temu Wykładowi wydawca o nazwisku zakończonem z francuska, ale zaczętem obcą pisownią. Wewnętrzne znamiona prawdy każdego utworu wykazują przedewszystkiem myśl przewodnią, żądają choćby owej mrzonki Joachima, rozwiniętej wszędzie jednolicie, a tu rozbijają się jaskrawo o wnioski, sprzecznie wysnuwane z jednakich przesłanek. Dość tu przytoczyć raz po raz przesuwany początek owej doby, gdy światowładca podda narody papieżowi. Otóż Wuilleret zgodnie

[1]) Wetzer u. Welte's Kirchenlexikon 1888, t 6, str. 189. [2]) Hist. Pol. Blaett. r. 1896, t 118, str. 142—145. [3]) t. 20.

z Izufem zaczyna ową dobę od upadku Turcyi, bo w niej, również jak Joachim, upatrują smoka apokaliptycznego[1]). Kiedyż Światowładca przyjdzie na bój zwycięski? Czytamy raz odpowiedź:[2]) „Jak Papież Święty, tak Samowładca dzielny przyjdzie w naszem stuleciu, zwan Pomocą Bożą". W któremże to stuleciu pisarz wieści? Sam świadczy[3]), że przeżywa czasy królobójstw i spisków powszechnie uknutych, aby zakładać rzeczypospolite: owoż dodaje, że Samowładca Dzielny obali wszelkie rzeczypospolite i zmiażdży państwo tureckie. Czyby tak określał swoje czasy wiel. Holzhauser, gdy rozpoczęte królobójstwa i spiski republikańskie ledwo mogły zapowiadać się za Cromwella? Wszak nastrój królobójczo-republikański mógł się w umysłach szerzyć ogólnie dopiero za Wuillereta i współczesnych mu Encyklopedystów. Więc jeśliby wedle Holzhausera w jego stuleciu 17-tym Światowładca miał zmiażdżyć Turka, Wuilleret widziałby tedy w stuleciu 18-ym najoczywistsze oszustwo: jakżeby je wydawał? sam chyba wymyślił niezgrabnie tę wróżbę.

Ale ta wieszczba brzmi znów odmiennie w ustępach, gdzie Wuilleret ogłasza swoje czy cudze, przecie dziwne pod piórem katolickiem groźby przeciw Kościołowi „Łacińskiemu". Mianowicie Wiara w nim zginie i od niego przejdzie gdzieindziej, jak opuściła grecką Cerkiew, i Anglię, i Palestynę i Niemcy, tak z „Łacińskiego" Kościoła ustąpi Wiara, bo w nim nie znajdzie ducha pokuty; wyznawcy jej poginą na wieki.[4]) Od urodzin antychrysta zacznie się odstępstwo od Wiary zupełne, tedy Pan zacznie wyrzucać Kościół z ust swoich[5]). Słowa te, niegodne wiel. Holzhausera, wiodą dalej mrzonki ze wskazówką lat, kiedy upadnie Kościół i Turcya: „Kościół „Łaciński" trwać będzie przez 1260 lat od początku państwa tureckiego oraz początków Wiary w Brytanii i na całym Zachodzie"[6]). Otóż w przełomie wieków z 6-go na 7-my znajdujemy Brytanię nawróconą, bo do niej św. Grzegorz wy-

[1]) na rozdz. 12, w. 4; na rozdz. 13, w. 1. [2]) na rozdz. 3, w. 1. [3]) na rozdz. 9, w. 14 i w. 16. [4]) na r. 2, w. 5 i w. 21—22. [5]) na r. 3, w. 14 i w. 16; — r. 13, w. 11. [6]) na r. 12, w. 6 i w. 14.

prawił św. Augustyna około r. 594-go, — i zarazem znajdujemy zawiązki potęgi Mahometa, bo ten, urodzony w 570-m, wystąpił z nauką w r. 610-m, zmuszony uciec do Medyny w r. 622-im, 1-ym Hedżyry. Zatem ta wieszczba poprzednią zbija, bo Światowładca ma zgromić Turka już nie w 18-m stuleciu, a dopiero między rokiem 1830 i 1882. To też zwolennik owych wieszczb, Rohrbacher w dziele z r. 1843 [1]) zapowiadał koniec Turcyi i dobę rozkwitu Kościoła, gdy powstaną Papież święty i Światowładca w r. 1882-m. Ale ten rok zawiódł; późniejsi wydawcy Rohrbachera zauważyli, że Wuilleret znowu gdzieindziej na późniejsze stulecie odkłada upadek Turcyi. [2]) Mianowicie liczy, że w środku roku 1856-go urodzi się antychryst, a żyć ma miesięcy 666, czyli 55 lat i pół, zatem umrze na Nowy Rok 1911-y a równocześnie padnie Turcya. Zkądże znowu ten rok? Aby do niego dojść, już Wuilleret liczy państwu tureckiemu nie 1260 lat, jak kiedyindziej [3]), tylko 1277·5, mianowicie liczy państwu tureckiemu tyle lat, ile dni smokowi Apokalipsa zapowiedziała przez półczwarta roku władzy prześladowczej. Otóż Wuilleret gdzieniegdzie z Joachimem i Isufem liczy w roku 360 dni z egipska, gdzieindziej 365 dni ze starorzymska, — więc wedle potrzeby dostaje na upadek Turcyi albo 1260 lat, albo 1277·5; — tę ostatnią liczbę dodał do roku śmierci Mahometa 632-go i zyskał upadek Turcyi na Nowy Rok 1911-y. Zwolennicy Wuillereta, nie bardzo pewni tego roku, z góry zapowiedzieli, że jeżeli ten rok zawiedzie, tedy widocznie ów okres lat 1277·5 zaczyna się nie od śmierci Mahometa, ale dopiero od roku, gdy jego państwo ustaliło się dziedzicznie za kalifa Jesipa, mianowicie od roku 680-go; zatem na upadek Turcyi poczekajmy tylko do r. 681 + 1260 = 1941-go; Wszak i Isuf na ten rok doliczył się pospełnianych proroctw wszelakich; a gdyby i ten rok nie dopisał, tedy potęgę muzułmańską trzeba liczyć od jej szczytu za Maurów w Hiszpanii, czyli od r. 982-go, zatem Światowładca zakończy zwycięsko wojnę obecną w r. 2242-m. Przeczekajmy jeszcze trzy wieki

[1]) Histoire de l'Eglise ks. 27 i 48. [2]) na r. 13, w. 18. [3]) na r. 12, w.

i ćwierć, a przekonamy się, że może wcześniej a może później nastąpi koniec wojny i koniec świata. Boxler obliczył dzień sądny na r. 1911-y, Guinness na 1917-y a później 1934-y, Krementz na r. 1950-ty, Clayton i Worthington na 2000-y, Lesquerin na 2433-y, zabytek odszczepieństwa zachodniego na rok 2537-y i tak dalej bez liczby, miary i podstawnej nauki.

Tu staje w pamięci wyrok soboru powszechnego o słowach, któremi Pan, zagadnięty o koniec świata, zaspokoił uczni, aby zaufali Opatrznemu Ojcu, Wszechwładcy czasów i chwili „a ktokolwiek o nich chciał coś zapewniać, każdy okazał się kłamcą". Nie dziw tedy, iż wielu z Menestrierem zżymało się na widok św. Malachiasza, wpisanego w poczet owych kłamców — iż za Suarezem odrzucają kłamstwo talmudu o 6-ciu tysiącleciach — iż ze św. Tomaszem nie widzą nic poważnego w Joachimie z tajemniczym jego Światowładcą ani w przeróbkach tej tajemnicy pod piórem Ubertynów, Bertoldów i Wuilleretów. Nie dziw, iż najdonośniej zagrzmiał głos oburzonych i mimo huku dział doleciał do biskupów z odgłosem aż w Rzymie, ledwo prorocy i prorokinie ośmielili się chlubić przewodnictwem Bogarodzicy po drogach zakazanych wyrokiem soboru na mocy Słów Pańskich.

Tak rozrojone dziś plemię pobożników prorokuje w zachwycie o tajemniczych mgłach i mroku jutrzejszym a dla wydawnictw swoich liczy złoty wiek niesłychanego popytu przy gorączkowym wpływie wojny na rozstrój umysłów. Takim prorokom wtórują media spirytystyczne, a tak licznie i jawnie uprawiają rozmowę ze stolikami, że np. Figaro w dziale wywiadowczym ogłasza owych jasnowidzów z ich zawodem równie jak każdego kupca czy rękodzielnika z jego towarem albo wyrobem, również często i swobodnie podaje ulicę i liczbę ich domu, opłatę wstępną i godzinę porady, aby dowiedzieć się o skarbach zakopanych, widokach spadku albo końcu wojny a choćby i świata, jak czego kto ciekaw.

Swobodniej w dwudziestem stuleciu oświaty zarobkują stolikomowcy, niż wolno im było w ostatnich stuleciach ciemnoty bałwochwalczej: ustawa świecka za czasów Jowiniana nie

broniła nikomu czcić bożków, ale karała każdego za wróżbiarstwo i do niego zaliczała zrozumiale dla wszystkich także rozmowę ze stolikami. Otóż o takim wypadku świadczą dziejopisowie — zarówno Amian Marcelin[1]), jak chrześcijanie[2]). Za Walensa cesarza, choć aryanina, Kościół tak się szerzył, że bałwochwalcy greccy bezradni i bezsilni postanowili uciec się do zakazanych wyroczni i wróżb, aby dowiedzieć się, co ich czeka? Czy po Walensie nie odzierży znów berła rzymskiego poganin? Po przeróżnych czarnoksięstwach nieskutecznych nakoniec przyrządzili trójkątny stolik z drzewa wawrzynowego i przecie z nim rozmówili się na swoją zgubę. Wedle umowy zawieranej w tym czasie ze starego zwyczaju, miał stolik przez czarodziejskie ruchy po abecadle wskazać głoskami imię przyszłego cesarza. A na stanowisku dworskiem świetniał wówczas wymową i wiedzą Teodor, czciciel jeszcze greckich bałwanów. Otóż gdy stolik przeskakiwał głoski i wskazał już cztery, — t, e, o, d, — uradowani zaprzestali rozmowy niebezpiecznej, bo na pewne przypuścili, że po Walensie nastąpi poganin Teodor. Niezwłocznie donieśli nowinę spółwiercom, ale któryś z nich, pochlebniś cesarski, zdradził przed nim wróżbę stolika. Walens na śmierć skazał czarowników i wielu pogan, którzy z nimi uprawiali ich gusła.

Ci jednak nowocześni wywoływacze duchów zasiadają z nimi do rozmowy stolikowej a najczęściej zdumieni słyszą, że uprawiają guślarstwo w znanej od pogańskich czasów postaci; zarazem i to twierdzą, że w stoliku odpowiadają im duchy nieboszczyków, i wbrew wszelkiej nauce zapewniają, że w stoliku rozumne ruchy po głoskach abecadła powstają ze ślepej siły magnetyzmu albo też urojonego sobowtóra; — w tem przynajmniej już nie tyle wstrętni, ile odrazy proroccy pobożnicy budzą, bo media stolikarskie, ze swojem wieszczbiarstwem odwołują się na utajone siły przyrody, a prorocy dzisiejsi ze swoimi kłamstwami o czasach ostatecznych odwo-

[1]) Ks. 29. [2]) Socrates P. G. t. 607, str. 504—505. — Sozamen tamże str. 1397—1400. — Nikifor Kalixtów P. G. t. 146, str. 728.

łują się na świętych sług Bożych, albo na ich Przebłogosławioną Królowę.

A zapaleńcy za Joachimem i jego odgłosem Wuilleretem odwołują się jeszcze na Apokalipsę, jakoby z niej wiel. Holzhauser wysnuł wróżby na koniec obecnej wojny, niby ostatniej na ziemi, bo Turkowi lata dobiegają kresu, więc Światowładca niezwłocznie wystąpi. Wszystko to ma się taić w słowach Apokalipsy o bestyi, której dano „moc czynić czterdzieści y dwa miesiące".[1]) Gdyby kto pytał się, jak tych słów rozumieć nie potrzeba, możnaby mu odpowiedzieć przykładem Joachima i spółki całej z nowoczesnymi jej przedstawicielami pod wodzą Wuillereta: nie potrzeba było pod mocą bestyi przez 42 miesiące (albo przez dni 1260 czy 1277·5) rozumieć tureckiej potęgi, którą Światowładca rozgromi tuż przed końcem świata około r. 1200-go, albo w 1882-m, albo 1911-m ale ani nie w 1941-m ani w 2242-m — bo poprzedni marzyciele najoczywiściej zwodzili i następni najoczywiściej zwodzą, — jak dobitnie rzekł Tomasz z Akwinu.

Ależ czemu nie trzeba rozumieć w owych słowach, że Apokalipsa odkrywa nam tajemnicę bliskiego już na świecie końca wojen i niesprawiedliwych stosunków? — że może nawet w roku przyszłym (bo na rok 1917-y Guinness sprostował rok 1911-y Wuillereta), Światowładca zamknie już dzieje niedoli ludzkiej i da światu tak się zakończyć rajem, jak zaczął się rajem? — Czemu tak nie trzeba rozumieć Apokalipsy? Pomylił się co do lat Joachim, — i Ubertym się pomylił, i Bertold z Chiemsee, i najnowsi prorocy z Wuilleretem i Isufem: czyż ich pomyłki dowodzą, że już nikt nie zrozumie liczby tajemniczej? nikt nie obwieści rychłego pokoju i nie zakreśli końca wszystkim wojnom na świecie, a choćby i końca światu całemu? Dla czego rozum, po tylu wysiłkach poprzedników, nie ma śladami ich iść ostrożnie, aby bez ich pomyłek wyczytać w Apokalipsie rok końca tej wojny, pewno już ostatniej, którą Światowładca rozstrzygnie zwycięsko? — Dla czego śla-

[1]) Objaw 13, 5.

dem utartym od wieków średnich nie szukać pociechy w Apokalipsie?

Bo rozum przystać nie może na wykład dopiero średniowieczny Apokalipsy, który się podpiera tysiącleciami talmudu albo pomysłami Joachima i spółki o światowładczym pogromcy Turków; rozum lgnie do tej prawdy jasnej i wzniosłej, którą w Apokalipsie czytały wieki długie przed Joachimem — i tęż prawdę czytają napowrót od paru set lat znawcy zarówno dzieł Ojców o Apokalipsie jak dziejów walki, którą Jerozolima i Rzym wiodły przeciw chrześcijanom, — wtedy św. Jan pocieszał ich i krzepił tą księgą napisaną dla nich przystępnie, choć obrazowym językiem. Głównie od czasów Joachima wyobraźnia buja coraz swobodniej, a w obrazach Apokalipsy przeoczyła treść pogodną i nie wysnuła z biegu dziejów nadziei w Rządach Opatrznych, tylko rozwiązywała tajemnice zagadek, a sama je sobie zadawała. Św. Jan zagadek nie stawiał, gdy w obrazach wypadków dawał współmęczennikom rozumieć, jaką przez niego im P. Bóg objawił myśl słodką śród goryczy utrapionego żywota. Zwrot katolickiego wykładu ku stanowisku Ojców tak zgodnie z postępem dziejoznawstwa wyłuszcza przejrzystą treść Apokalipsy, że liczy codzień nowych zwolenników nawet między innowiercami. Ci śmiało już wytykają wręcz Marcinowi Lutrowi winę, iż doprowadził do niedorzecznych kresów zamęt pojęć w Apokalipsie, wszczęty pomysłem Joachima o Turkach, antychryście i jego bliskim pogromcy, — bo cały obóz antypapistów uwziął się dziecinnie na Apokalipsę, aby z niej wydostać postrach dla współwierców przed papieżem, jako antychrystem. Na takiem tle bezprzedmiotowem snuty wykład Apokalipsy zaprzątnął katolickich obrońców papiestwa i odciągnął od toru, którym szli Ojcowie, boć ich powaga nie znaczyła nic u ewangelistów. Wytyczna myśl Apokalipsy, — nieustraszona katowniami Wiara w zwycięstwo Kościoła nad Synagogą i bałwochwalstwem — pominięta w sporach o papiestwo zupełnie, ciemniała coraz mroczniej mimo jasnych słów, któremi św. Jan nieraz powtarza, że z pociechą spieszy — a nie z tajemniczą grozą — do czy-

telników w ciężkiej dobie dziejowej: objawia im w niej Myśl Opatrznościową.

Więc też nam dziś wytężonym walką z najezdcami, i drożyzną, i zastojem myśli niepewnej jutra, nie Plato już otwiera w swoich księgach stronnice o tym Najlepszym, który kogo stworzył, najopatrzniej nim rządzi. Otwiera przed nami Jan tę księgę, z której na stosunki przeżywane w dobie walk krwawych rzucił utrapionym ich „brat i uczestnik ucisku“ [1]) światło rajskie, złotym blaskiem olśniewa na chwilę oczy odwykłe od słońca, w ciemnicę pokus rozpaczliwych wnosi pochodnię rozjarzoną, zapowiada błogosławieństwo dla każdego, kto „czyta y słucha słów proroctwa tego, y zachowa to, co w nim iest napisano, abowiem czas iest blisko“ [2]): musiał tedy wejść z dniem jasnym i księgą wyraźnie pisaną, a nie po nocy szukał czytelnika dla księgi opieczętowanej zagadkami.

Przebywamy noc burzliwą w podróży wieków ani nie wiemy, co znaczą ciągle sprzeczne nowiny, ani co nam nowy goniec zwiastuje: jedno wiemy, że wśród szumu tajemnic wyklutych z talmudu albo z mrzonek Joachima dolatuje nas głos o skarbie odkopanym, o którym coraz obszerniej wiedzą, coraz chętniej myślą, coraz jaśniej piszą pierwszorzędni dziś myśliciele. Głos ich jeszcze nie znalazł rozdźwięku wśród warstw u nas szerokich, przecie zdoła przemówić do nas, jak krzepił prześladowanych chrześcijan przez wspaniałe obrazy, którymi wygnaniec na Patmos opisał Opatrzną Myśl w tem, „co iest, y co się dziać ma na potym“. [3])

Przewodnią myśl tych obrazów streszcza starożytny Wykład Apokalipsy tak ceniony od wieków, że w oczach wielu sprawozdawców uchodzi za dzieło św. Augustyna. Choć nie jednogłośnie przypisany św. Doktorowi, przecie okazuje się utworem pióra niepośledniego i cennem świadectwem o poprzednich poglądach na Apokalipsę. Dostrzega w tych poglądach dwa prądy wytyczne: [4]) „Niektórym zdawało się, że Apokalipsa cała bez wyjątku, albo z wyjątkiem chyba nieznacz-

[1]) 1, 9. [2]) 1, 3. [3]) 1, 19. [4]) P. L. t. 35, str. 2115.

nym prorokuje o czasach dopiero ostatecznych za Antychrysta. Pilniejszym badaczom zdawało się, że Apokalipsa rozpoczyna zaraz od zwycięstwa Pana na Krzyżu objawiać przewodnią myśl Bożą w rządach nad światem tak, że na proroctwo o Antychryście zostawia ledwo przy końcu ustęp nieznaczny".

Dochowane do nas dzieła Ojców Kościoła potwierdzają świadectwo owego pisarza — przez to mianowicie, że w całej Apokalipsie, na rozdziałów jej 22, widzą dopiero w 20-m, czyli trzecim od końca, ustęp o stanie Kościoła po jego zwycięstwie nad Romą pogańską, a w ciągu 19-stu rozdziałów poprzednich rozumieją najprzód obrazy zabiegów myśli Bożej o rozwój pierwotnego Kościoła, gdy ten łamał się z przeszkodami najboleśniejszemi, bo doznawał ich z winy niedozoru domowego nad wnętrznym rozkładem; potem rozpatrują obrazy dzieł prawicy Bożej, czynnie pomocnej Kościołowi w walce zewnętrznej. Toczył ją Kościół od początku przeciw żydostwu w Jerozolimie, aż do jej upadku; czyta obrazy coraz silniejszych przestróg dla Jerozolimy przed zaciekłą wojną przeciw Chrystusowi, nie dla Kościoła zgubną, tylko dla zaślepionego narodu z jej wodzami. Głuche na przestrogi padło żydostwo, rozbite z Jerozolimą w walce z wyznawcami Mesyasza. Zostało bałwochwalstwo, aby pod przewodem Romy toczyć dalej bój w obronie ziemskich rozkoszy przed krzyżem na ziemi — zwycięskim. I dalsze obrazy objawiają myśl Bożą w dziejach Kościoła na katowni aż do upadku pogańskiej Romy.

Z wytycznym drogowskazem dla tego wykładu przychodzą wieki piśmiennictwa kościelnego i świadczą o zgodzie nieomal jednogłośnej tak przedśredniowiecznych pisarzy, jak nowożytnych, gdy rozpatrują w Apokalipsie opisany od rozdz. 17-go do końca 19-go upadek „miasta wielkiego na siedmiu górach, które miało królestwo nad królami ziemi i opajało się krwią męczenników, napiętnowane na czele imieniem tajemniczem: Babilonia wielka, matka wszeteczeństw i ohydy na ziemi".

Czyż to nie Roma pogańska, obrazowo wymieniona jako Babilon, pamiętny gnębiciel ludu wybranego?

W odpowiedzi i u nas Wuyek i na Zachodzie A Lapide-Perrone zestawili dowody[1]), na które znaleźli zgodę ogólną. Po 1-sze również św. Piotr „miasto rzymskie, na onczas pogańskie, Babilonem zowie[2]), jako nie tylko Papias uczeń apostolski, ale i Euzebi, i Hieronim, i Orozy, i Oekumeni, i Beda, i św. Tomasz, i jednym słowem wszyscy Doktorowie, którzy ten list wykładają, świadczą“[3]). Po 2-re jasne podobieństwo wyświetla nazwę przenośną, bo „jako Babilon był głową państwa asyryjskiego i miał króla Nabuchodonozora, który lud Boży prześladował, zupełnie też podobnie Roma za czasów pojerozolimskich była głową państwa światowego i miała jednego po drugim cesarzy przewrotnych, którzy jak współczesny apostołom Neron okrutnie lud chrześcijański katowali“. Po 3-cie pogańska Roma zajmowała przestrzeń rozległą na siedmiu górach i rozkazywała niezliczonym królom a z rozpusty wielkomiejskiej słynęła ohydnie. Po 4-te Roma Cezarów nie tylko u siebie w obrębie miasta toczyła krew chrześcijańską, ale po świecie daleko, jak gdyby się nią opijała. Po 5-te św. Jan już skazany na śmierć w rozpalonym oleju, następnie wygnany między dzicz rozwydrzoną widzi i opowiada obrazowo zamiary Boże, objawione mu na pociechę i dla niego i dla spółmęczenników: schłoszcze P. Bóg stolicę, rozjuszoną jak zwierz na nich, iż posągów jej nie ubóstwiają; aby zaślepioną ich tępicielkę opamiętać, wymierzy jej cios za ciosem, a jeśli zapewnić im praw nie zechce, paść musi sama, aby ustał dla nich nowy okres niewoli babilońskiej. Po tym rozbiorze rzeczowym samego imienia Babilonii, A Lapide-Perrone przywołuje powagę kilkudziesięciu pisarzy starszych od Joachima i nowożytnych, którzy albo samodzielnie poznają Romę pogańską w imieniu tajemniczej Babilonii, albo wspominają,

[1]) Na rozdz. 17 Apokal. [2]) 1 P. 5, 13. [3]) Alioli dobitnie: „Der Brief ist aus Babilon geschrieben, worunter nach dem damaligen, unter den Christen gang und geben Sprachgebrauche, die heidnische Stadt Rom zu verstehen ist“.

że inni widzą tu opis upadku Romy cesarskiej. Przemawiają za tem starsi: Ambroży[1]), Aretas[2]), Augustyn[3]), Hieronim[4]), Jędrzej cezarejski[5]), Kasiodor[6]), Oekumeni[7]), Orozy[8]), Tertulian[9]), Wiktoryn[10]); — nowsi: Alcazar S. J.[11]) i u niego przytoczeni Apringius, Ferer ius, Gagneius, Hessele, Pereri, Proad, Salmeron S. J. i około dwudziestu mniej znanych, — dalej Alioli, Bellarmin[12]), Bozius[13]), Lindanus[14]), Ribera S. J.[15]), Rohrbacher[16]), Suarez[17]), Sykst Senejski[18]), Viega[19]), Wuyek, — słowem wedle Wallera[20]) przeważna część katolickich badaczy.

Do tych kilkudziesięciu pisarzy można doliczyć zastęp kilkunastu, którzy pojmują szerzej nazwę Babilonii, — nie wyłącznie jako samo miasto stołeczne Romę, ale również jako światowładczą potęgę Romy pogańskiej z wyrokami przeciw Kościołowi od Eufratu i Libij po Atlantyk i szkockie góry. Wszak to szersze pojęcie również dopiero w rozdziałach od 17-go do 19-go widzi opisany upadek prześladowczego pogaństwa, a ledwo w 20-m ustęp o burzy zawisłej nad Kościołem na krótki czas przed końcem świata.

Po za wykładem tak licznie popartym spotykamy dziesiątkę głosów z innymi poglądami, ale na różnych stanowiskach: paru z Joachimem rozumie w Babilonii złych chrześcijan, Wuilleret złych ogółem ludzi[21]), ten i ów rozumie Carogród, ktoś odgadywał Paryż, inni starożytny Babilon. Niska liczba obrońców tego albo owego poglądu potwierdza tylko zgodę nieomal jednogłośną, że Apokalipsa dopiero w 19-m rozdziale kończy opis Opatrznej opieki nad Kościołem w walce z żydostwem i bałwochwalstwem, i dopiero w rozdziale 3-cim

[1]) P. L. 17, str. 996. [2]) P. G. t. 106, str. 716. [3]) P. L. t. 41, str. 561. 578, 584. [4]) P. L t. 22, str. 1037; — t. 23, str. 101; — t 24, str. 281 i 377. [5]) P. G. t. 106, str. 373—381. [6]) P. L. t. 70, str. 1414. [7]) P. G. t. 119, str. 575. [8]) P. L. t. 31, str. 747, 1042. [9]) P. L. t. 2, str. 367, 660. [10]) P. L. t. 5, str. 331, 338. [11]) Apoc. 13, str. 670, D. [12]) De Rom. Pont. t. 2, c. 2. [13]) De sign. Eccl. l. 24, c. 6. [14]) Panop. l. 24, c. b. [15]) Apoc. t. 14, 17. [16]) Ks. 27a. [17]) III p. t. 2, disp. 59, sect. 2. [18]) Bibl. ks. 2, pod „Moretriis". [19]) In Apoc. c. 13, 14, 17. [20]) Die Offenb. P. h. Joannes, Rixheim, 1882, Erst. Hauptst. II. 2, str. 13.

[21]) Na rozdz. 14, w. 8.

od końca zamieszcza ustęp krótki o dobie Kościoła w swobodnym rozwoju, ustęp drugi o ciężkiej znów walce ale nie długiej przed końcem świata, i następnie ustęp o Sądzie ostatecznym; w dwu rozdziałach ostatnich wszyscy zgodnie czytają oczywisty opis chwały niebieskiej i domówienie o przewodniej myśli dzieła.

Mimo zgody w tej mierze część pisarzy z przedostatnich stuleci daremnie usiłowała odczytać rozdziały Apokalipsy poprzednie aż do 19-go w kolejnym związku z następstwem wypadków aż do ostatniej klęski za wojny żydowskiej i zagłady światowładczego pogaństwa. Pozbawieni szczegółów dziejoznawstwa, później zbadanych, wątpili o dziejowym porządku wszystkich obrazów Apokalipsy i przypuszczali o nich, że już św. Jan nie ustawiał ich w jednolitym ciągu, tylko o tym samym biegu wypadków układał po raz wtóry i trzeci nowy rząd obrazów, aby jedną myśl z różnych stron uwydatnić. Tak domyśliwali się kilkokrotnych opisów doby antychrysta i znów mowę zwracaną na pierwotną dobę Kościoła. I tym domysłem zaciemniali sobie drogę najprostszą.

Dzisiejszy dorobek dziejoznawstwa dostarczył szczegółów odpowiednich obrazom kolejno odsłanianym w Apokalipsie. Po słowach, któremi Duch upomniał siedm ówczesnych kościołów, widzimy, jak pieczęci odłamywane z Księgi wyroków Boskich dają czytać jej odpowiedź dla stroskanych zarzutem: czemu od zwycięstwa na Krzyżu mijają lat dziesiątki — a co się zmieniło? Cantu, Champagny i Waller przywodzą z pomników Rzymu i Aten świadectwa o szczegółach odpowiednich 7-miu pieczęciom aż do rokoszu w Judei. Tu grzmią trąby Apokalipsy, gdy pobudka wojenna grała w Palestynie na ruchawkę nieszczęsną, na klęskę siedmioraką, na rozsypkę „bez książęcia y bez ofiary y bez ołtarza“: tedy o obrazach Apokalipsy opowiadają nam dziejową ich treść Józef i Ambroży u Migne'a a wtórują im znów co do szczegółów wytycznych nowsze wydawnictwa pomników Romy za Tytusa i Wespazyana. Padło siedlisko najzapamiętalszych bluźnierców Chrystusa z Jego sługami. Ale pogrom stolicy bogobójców, — to

jeszcze tylko ulga w boju dla osaczonych wpierw kołem, — nie koniec zapasów krwawych dla czcicieli Boga-Człowieka: ci mają zatknąć zwycięski krzyż nad stolicą, która pali kadzidło cezarom okrzykniętym bogami. Więc widzimy w Apokalipsie środkowe obrazy z myślą najdonioślejszą na widowni dziejowej po odsłonach jej nad Jerozolimą i przed obrazami Romy w upadku: oto zasadnicza walka dwu obozów świata, uosobionych jeden jako postać słonecznej Niewiasty, wzniesionej po nad szczęście znikome i zmienne, jak księżyc po którym depce, zamyślonej o szczęściu nadziemskiem i stałem, jak gwiazdy, co wieńcem okoliły jej głowę. To jeden obóz — a drugi uosobiony jako stolica plugastwa w postaci niewiasty pijanej krwią walki, gdy ją toczy przeciw Niewieście słonecznej sprzymierzona ze smokiem, którego zmógł Michał i aniele jego. Ale i ta stolica pogaństwa szaleje tylko do chwili; siedm czasz na nią się zlewą, każda obrazem klęski i zapowiedzią ciężkiego gniewu w razie zwłoki z pokutą — a pokuta nie nadchodzi: coraz nową klęską zapisywały kolejno a zgodnie z obrazem Janowym roczniki urzędów cesarskich, aż ostatnia nawała przewrotów zmiotła pogańską Romę ze siedmiu pagórków. Oto dorobek nowoczesnego dziejoznawstwa, zestawiony z Apokalipsą i do wykładu jej używany dziś coraz ogólniej, jako drogowskaz przy gościńcu, na którym odgrzebywali ślady Ojców Ribera T. J., Ludwik ab Alcanzar T. J., Salmeron T. J., Bossuet, De Sacy, Calmet, Alioli, Waller i codzień liczniejsi ich zwolennicy. Za ich przewodem dojść można w Apokalipsie do prawdy o rządach Opatrznych tak przystępnej i tak zdolnej uspokajać dziś umysły niepewne jutra we wojnie, jak ją św. Jan przeznaczył dla spółmęczenników, aby krzepić ich serca jawnymi obrazami Opatrznej nad nimi opieki. Ale w Apokalipsie, tak rozumianej, gdzie miejsce znajdzie Światowładca? (C. d. n.).

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Die reussische Welt. Historisch-politische Studien. Vergangenheit und Gegenwart. Von *prof. Dr. Stanislaus Smolka.* — Wien 1916, stron XIX + 460.

Pomimo, że napisana po niemiecku, książka prof. Stan. Smolki należy do naszego piśmiennictwa: napisał ją autor Polak, wydał Naczelny Komitet Narodowy (czy przynajmniej swą firmę pozwolił na niej umieścić), omawia zaś rzeczy jak najbliżej nas obchodzące, bo kwestyę ruską, czy ukraińską we wszystkich jej rozgałęzieniach, a zwłaszcza zagadnienie stosunków rusko-polskich. Przeznaczoną jest atoli ta książka dla Europy: widocznie pragnie autor zaznajomić europejskiego czytelnika wszechstronnie z narodowością, życiem, charakterem, aspiracyami krajów, o których, jak się trafnie wyraża, mniej wiedziano w Europie centralnej, aniżeli o Środkowej Afryce. Zawierucha wojenna wyłoniła, między innymi problemami teraźniejszości, kwestyę „ukraińską", która to kwestya jednak narażoną jest na złe rozumienie, dzięki tendencyjności wielu broszur, które ją Europie przypominają. Autor w wielu razach zdradza swe sympatye dla narodu ruskiego i życzy mu lepszej doli, sądzi atoli, że nawet w interesie tegoż narodu leży, by całą kwestyę oprzeć na mocnych, realnych i historyczno-naukowych podstawach, unikając tendencyjnej ideologii, przesad, anachronizmów, przekręcań istotnego stanu rzeczy, jakich *pro publico bono* dopuszczają się dzisiejsi pionierzy wyzwolenia Ukrainy. Młodzieńczej frazeologii politycznych broszurek ze strony ukraińskiej autor

przeciwstawia sumienne studyum, oparte na naukowych badaniach całych dziesiątków lat.

Europejski czytelnik znajdzie w książce prof. Smolki prawie encyklopedyę do kwestyi ukraińskiej. Nawiasem zaznaczyć trzeba, że autor zapowiada jeszcze nową serye studyów w tymże kierunku, w której ma omówić bardziej szczegółowo te historyczne momenty, jakie w obecnej książce przedstawił sumarycznie. Ale i to, co już dał, doskonale oryentuje czytelnika w całości zagadnienia.

Technicznie książka rozpada się na 2 części: w pierwszej (str. 1—176) autor informuje zarysowo, bez przeładowywania materyałami imion, cyfr i faktów, o rozwoju kwestyi ruskiej, czy raczej narodowej świadomości Rusinów, począwszy od zarania historyi tych krajów, aż do dzisiejszych „ukraińców"; w drugiej zaś części (str. 177—460) podaje w szeregu osobnych rozprawek i ekskursów w dziedzinę historyi jakoby dokumenta, usprawiedliwiające to stanowisko, jakie w części pierwszej zajął i poglądów, jakie tam wyłożył.

Kwestyę ruską traktuje autor na szerokiej historycznej podstawie. Chodzi mu bardzo o to, by czytelnik zrozumiał stosunek narodu, któremu w nowszej publicystyce ruskiej nadaje się miano „ukraińskiego", do narodu rosyjskiego. Dla odróżnienia jednego od drugiego, autor znajduje dość powodów tak w historycznym rozwoju obydwóch, jak w ich psychice, zwyczajach, folklorze a przedewszystkiem w języku. Język ukraiński przedewszystkiem nie może być uważanym za narzecze czy grupę narzeczy języka „rosyjskiego". Z drugiej strony historya nie pozwala na sztuczne rozciąganie pojęcia odrębności tych narodów. Autor tworzy dla nich, z dodaniem jeszcze szczepu białoruskiego, zbiorowe pojęcie, które oddaje przez odgrzebane ze skarbca średniowiecznej dyplomatyki niemieckiej nazwy: *reussen, reussich*. Stąd zrozumiałym się staje tytuł książki: *Die reussische Welt*. W tym wspólnym pniu, czy zbiorowisku tkwią poszczególne szczepy i terytorya: a więc gross-reussisch, klein-reussich, weiss-reussisch, roth-reussisch, schwarz-reussisch; pierwszym dwom z tych nazw odpowiadają nazwy nowsze: Russland-russisch i Ruthenien-ruthenisch, to ostatnie dzisiaj już forsownie przemieniane na Ukraina-ukrainisch. Wskrzeszeniem starej pisowni autor zapobiega bałamuctwom; jakim bowiem sposobem mógłby uniknąć zarzutu rusofilstwa, gdyby wszystkie składowe części świata, który omawia, nazwał: *Russland-russich*, albo

przeciwnego zarzutu, gdyby używał nazwy: *Ruthenien?* Ciekawym tylko, jak z tej językowej trudności wybrnie autor, jeżeli zechce książkę swoją wydać po polsku. Czy to będzie „ruski świat“ czy co innego? Jedność owej „reussische Welt“ autor sprowadza mniej więcej do następujących historycznych czynników i wielkiego pokrewieństwa szczepów, które na ten świat się złożyły, jedności dynastyi panującej na rozmaitych tronach i tronikach, wreszcie, może najważniejszego czynnika — jedności cerkiewnej: cały ten „świat“ przez długie czasy tworzył, mimo politycznych podziałów, jedną kościelną metropolię, zależną od Carogrodu, i żył jednem religijnem życiem. Lecz ten „świat“ w zaraniu już swej historyi począł się różniczkować, stwarzając coraz bardziej oddalające się od siebie typy. Złożyły się znowu na to czynniki już to polityczne (n. p. Białoruś poczęła najwcześniej żyć odrębnem politycznem życiem), już to wsiąkanie w świat słowiański rozmaitych w różnych dzielnicach pierwiastków obcych, już to cały późniejszy bieg historyi. Pouczającemi pod tym względem są rozprawki drugiej części książki.

Najobszerniej traktowanym jest rozwój narodowej świadomości w tej części „reussischer Welt“, która nazywa się Małą Rosyą, Rusią, Ukrainą, z dodaniem dalszych zachodnich prowincyi aż do Galicyi włącznie.

Niezmiernie pouczającą dla oddalonego od tych krajów czytelnika rzeczą jest wiedzieć, że cała ta połać „der reussischen Welt“, dzisiaj tak głośno reklamowana „Ukraina“, nigdy nie stanowiła żadnej zamkniętej w sobie ani politycznej ani kulturalnej jedności. Jedyną podstawą do uważania tych krajów za coś jednego jest tylko język wspólny. Szczegółowo opowiedziane są fazy rozwoju świadomości narodowej ruskiej w Galicyi w ubiegłem stuleciu. Przesadą jest mówić, że Rusinów w Galicyi odkrył hr. Stadion; atoli jego polityka nadała rozwojowi sprawy ruskiej ten kierunek, który stał się zarzewiem ciągłej niezgody między Rusinami a Polakami a w dalszych konsekwencyach stał się szkodliwym również dla Austryi. Rusini przedewszystkiem ogłosili swą odrębność od Polaków. Co się tyczy stosunku do Rosyan, to raczej przeważało wśród Rusinów od początku poczucie jedności z nimi, aniżeli odrębności: przeciwna deklaracya Rusinów galicyjskich z roku 1848 była nieszczerą, do czego się sami w lat kilkanaście przyznali. — Wspólności z zakordonową Ukrainą prawie nie odczuwano w Galicyi, — utożsamiono ją ryczałtem z Rosyą; zresztą na samej

Ukrainie nie było zbyt wielkiego uświadomienia narodowej odrębności. Wpływy rosyjskie na ruch narodowy ruski w Galicyi, utworzenie się partyi ukrainofilskiej, jej przemiany i wahania, od zbliżania się do Polaków do zawziętej względem nich nienawiści, spory wewnętrzne Rusinów etc. wszystko to znajduje znakomite w książce prof. Smolki oświetlenie i wyjaśnienie.

Autor nie ukrywa, owszem podnosi dorobek kulturalny Rusinów, zawierający się na przykład w naukowych pracach „Towarzystwa im. Szewczenki", podkreśla tylko intellektualistyczną jednostronność tego rozwoju, a brak innych składników prawdziwej kultury, jakimi są sztuka, literatura piękna, poezya. Za najbardziej ujemną rzecz w formowaniu się psychiki ruskiej uważa autor „hajdamaczyznę", czyli idealizacyę kozactwa z jego antykulturalnym radykalizmem i dzikością. Niestety, do tej idealizacyi przyczyniła się w wielkiej części literatura polska. „Hajdamaczyzna" na gruncie galicyjskim zaszczepioną jest sztucznie, ta bowiem część Rusi z kozaczyzną nic wspólnego nie miała. Antagonizm do Polaków, zaszczepiony przez hr. Stadiona, a pomnożony przez ideologię kozacką ostatnich czasów, utrzymuje ciągle tę nienawiść, która przeszkadza wszelkiemu porozumieniu z Polakami, absorbując w zaciętej walce wszystkie siły Rusinów, nadaje ich rozwojowi narodowemu jednostronny charakter. „Nienawiść i tylko nienawiść, narodowa, społeczna, — to bynajmniej nie jest atmosfera, w którejby mogła oddychać prawdziwa kultura" (str. 175). Dla dobra samych Rusinów, jeśli nie chcą być wchłonięci całkowicie w narodowy organizm rosyjski (autor nie wierzy w możność zbudowania Ukrainy od Karpat do Kaukazu), na co narażeni zawsze będą, w znacznie większej liczbie podlegając Rosyi, autor radzi ukraińcom galicyjskim oprzeć się przedewszystkiem na tych pozytywnych pierwiastkach, które ich łączą z Zachodem, pierwiastki te umocnić i rozwinąć i dalej na wschód przeszczepiać. Takim pierwiastkiem jest przedewszystkiem katolicyzm, czyli Unia religijna z Rzymem; należy ją wzmacniać, gdzie istnieje, do czego, zdaniem autora, przyczyniłby się powszechny celibat duchowieństwa. — Z sympatyą też wita reformy świeże ks. biskupa Chomyszyna.

Jednym z największych zarzutów, jakie Rusini czynią Polsce, jest ten, że dzięki jej stracili przodowniczą klasę narodu, szlachtę. Autor widzi analogię pod tym względem między narodem

ruskim a Czechami, którzy również zostali „obezgłowieni". Ale gdy szlachta czeska oddała swe głowy pod topór obcy, to szlachtę ruską głównie tępili dziś tak idealizowani kozacy. Nic dziwnego, że reszta tej szlachty odwróciła się od własnego narodu i spolszczyła się doszczętnie.

Streszczam tylko najważniejsze momenta z książki profesora Smolki. Jest ona tak bogatą w treść i tak objektywną, że niepodobna w ramach recenzyi wszystko zaznaczyć. Byłoby bardzo do życzenia, aby książka ta, czy to w tłomaczeniu czy w specyalnem obrobieniu wyszła i po polsku; wszak i u nas wielu jest takich, którzy o Rusi i kwestyi ruskiej niewiele więcej wiedzą, jak o środkowej Afryce, wszystkie swoje pojęcia budując na jednostronnych oderwanych wrażeniach osobistych lub niegłębokich i nie zawsze sumiennych artykułach publicystyki bieżącej.

Pozwolę sobie zanotować zauważone przez siebie niedokładności, niedomówienia, które wprawdzie wartości książki nie zmniejszają, ani na całość sądu czytelnika wpłynąć nie mogą, — mogłyby atoli być usunięte w ewentualnej przeróbce. Na str. 7. Bobrińskij, generalny gubernator Galicyi, był mylnie utożsamiony ze słynnym komiwojażerem polityki, Włodzimierzem Bobrińskim. Na str. 410. mylka ta sprostowana, ale jeszcze niejeden czytelnik Włodzimierza Bobrińskiego rozłoży na dwóch i na posła do Dumy i agitatora w Galicyi i pierwszą połowę sklei z osobą hr. Jerzego Bobrińskiego. — Na str. 8. słowa „O mei Rutheni" należy włożyć w usta Urbana VIII, zamiast Klemensa VIII. Tamże „*istinno-ruskij*" chyba niedokładnie oddano przez „*urrussisch*". — Na str. 24. Włodzimierza chrzczą greccy duchowni. Może zasługują na uwzględnienie argumenty prof. historyi cerkwi Gołubińskiego, który twierdzi, że Włodzimierz już na parę lat przed swą wyprawą na Korsuń był ochrzczony w Kijowie przez przebywających tam duchownych „wariażskich". Z czego znowu pewien autor rosyjski (N. Korobko w „*Izwiestiach Otdiela Słowiesnosti*", rocznik 906, zesz. 2.) wyprowadził słuszną konkluzyę, że Włodzimierz osobiście przyjął chrzest w obrządku łacińskim, gdyż Waregowie, o ile byli chrześcijanami, nie mieli nic wspólnego z Byzancyum. — Na str. 25. może za śmiało powiedziano, że Rusini po swem nawróceniu „uznawali zwierzchność Stolicy świętej". Lepsze zbadanie stosunku Rusi do Rzymu w X. i XI. stuleciu uprawnia raczej do twierdzenia, że kwestyą tej zwierzchności nie interesо-

wali się, biorąc religię wyłącznie z jej obrzędowej strony i uznając swą zależność od Konstantynopola. Nie mieli z początku nienawiści do Rzymu — i to, zdaje się, był cały ich pierwotny katolicyzm. — Na str. 112., a także 443.—446. byłaby pożądaną dokładniejsza statystyka Polaków we wschodniej Galicyi. Nie mając pomocy w oficyalnej statystyce, która dzieli mieszkańców kraju nie według *narodowości*, do jakiej się poczuwają i przyznają, ale według języka, i która znowu nie uznaje języka żydowskiego, — musimy sami wszędzie rektyfikować dane statystyczne, strącając z liczby Polaków tych żydów, o których polskim patryotyzmie wątpić musimy. Stąd i we Lwowie chyba liczba Polaków będzie mniejszą, niż podaje przypisek na str. 112. Z drugiej strony na tej samej zasadzie warto zrobić poprawki i co do Rusinów. Jeżeli chcemy pod tą nazwą, a tembardziej pod nazwą „Ukraińców" rozumieć tylko tych, co świadomie uważają się narodowościowo za odrębnych od Rosyan, to nie można całej ludności ruskiej zaliczać do Ukraińców. Znaczny procent (25%?) odpadnie na rzecz „Rosyan"; „Ukraińcy" niesłusznie anektują ich sobie. — Na str. 123. „russische Popen", którzy agitowali w Galicyi, byli to właściwie nie Rosyanie prawdziwi, lecz Rusini galicyjscy, w Rosyi na duchownych wyświęceni. Warto może było dodać, że liczba ich nie przenosiła pięciu, by obraz schizmatyckiej propagandy nie był zbyt przesadny. — Na str. 157. z redakcyi pierwszego zdania o kościele unickim może ktoś wywnioskować, że północne komitaty Węgier, gdzie mieszkają Rusini, wchodziły w skład terytoryum, które przyjęło unię Brzeską, a zatem w skład Polski. — Na str. 161. i 165. wydaje mi się trochę za czarnym obraz rytualistycznej wyłączności ruskiego kleru. Miałem sam sposobność stwierdzić, że w ostatnich latach niektóre praktyki pobożne, wzorowane na łacińskim obrządku, coraz bardziej się rozszerzają w Cerkwi ruskiej i cieszą się poparciem kleru, — zresztą być może, że gra tu rolę i obawa, by lud, nie znajdując tych praktyk u siebie, nie poszedł do kościołów polskich. — Na str. 164. autor, wyliczając unitów, zapomniał o unitach Rumunach, tworzących w Siedmiogrodzie trzy dyecezye katolickie, a także o unickiej dyecezyi w Chorwacyi (Krizevac) i nowo utworzonej madziarsko-greckiej dyecezyi w środkowych Węgrzech. — Na str. 188. jest mowa o Polakach zruszczonych za czasów Rzeczypospolitej. Sądzę, że nie wszyscy oni straceni dla polskiej narodowości, bo chyba od nich pochodzi znaczna

część łacinników na Podolu, Wołyniu etc., którzy mówią między sobą po rusku, czują się atoli całkowicie Polakami. — Na stronie 263. Rusinów przyjmuje do Unii Grzegorz XIII.; tymczasem był to Klemens VIII. — Na str. 282. czerncy schizmatyccy nazwani są Bazylianami. Należy tej nazwy unikać, gdyż oni sami jej nie nosili i nie noszą. — Od str. 390.—402. w dodatku o ziemi Chełmskiej sprostować należy parę niedokładności. Chełm posiadał swe unickie seminaryum i do Warszawy wysyłał tylko paru kleryków na studya wyższe. Biskupi chełmscy nie podlegali jurysdykcyi arcybiskupa warszawskiego. Autor zbyt dobrze sądzi o ortodoksyi akademii warszawskiej i niestety chwast Józefinizmu i tam się rozrósł. Kuziemskiego nie usunięto gwałtownie, gdyż on sam małodusznie podał się do dymisyi i bez pozwolenia Stolicy św. z dyecezyi wyjechał. Marceli Popiel, o ile wiem, nie należał do kapituły lwowskiej; do Chełmu przybył jeszcze przed Kuziemskim. Na str. 397. pożądanem było zaznaczyć, że rządził dyecezyą chełmską nie w charakterze kanonicznie instytuowanego biskupa (sakry biskupiej wtedy też nie posiadał), ale jako narzucony jedynie przez rząd administrator, a zatem intruz. Nie jest ścisłem powiedzenie na str. 398., że od Popiela poczęło się martyrologium podlaskich unitów, gdyż bardzo bolesne fazy prześladowanie to przybierało już za rządów intruza Wójcickiego. — Kiedy jest mowa na stronie 420. o liczbie szkół polskich i ruskich we wschodniej Galicyi, nie uwzględniono zarzutu, jaki Rusini czynią. Nie tyle chodzi o liczbę szkół początkowych, jak raczej o ich typ. Zwracają uwagę, że znacznie większy procent szkół ruskich niż polskich są to szkoły jednoczy dwuklasowe, skąd można ukuć zarzut, że przeszkadza się przygotowaniu dzieci ruskich do szkół średnich. Sądzę, że można śmiało zajrzeć w oczy temu zarzutowi, objaśniając niższość szkół z wykładowym językiem ruskim warunkami faktycznego zapotrzebowania ze strony wiejskiej ludności ruskiej. *Ks. Jan Urban.*

Nadworny rzeźbiarz króla Zygmunta Starego Giovanni Cini z Sieny i jego dzieła w Polsce. *Cercha Stanisław i Kopera Feliks.* W 8-ce, stron 120 tudzież 112 illustracyi w tekście. Nakładem I. Czerneckiego w Krakowie, w drukarni „Czasu".

Wykwintna w swej zewnętrznej typograficznej szacie książka pp. Cerchy i Kopery porusza nietylko godną wielkiego trudu

i zachodu sprawę autorstwa dekoratorów kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu, ale równocześnie stawia nowy problem dla badań nad dziejami sztuki w Polsce.

Wiemy, że kaplice stawiał architekt królewski Bartolomeo Berecci (1519—1530) a włoscy dekoratorzy przyozdobili ją wspaniałemi rzeźbami i ornamentami. Wiemy pozytywnie, że Berecci był budowniczym, nie wiemy zaś nic, by był rzeźbiarzem. Żadna pod tym względem zapiska tej kwestyi nie wyjaśniła.

Znamy nadto szereg nazwisk włoskich rzeźbiarzy, pracujących na Wawelu, projektodawców czy wykonawców. Sprawa była niejasna. Istniały domysły tylko co do ich właściwych twórców.

Autorzy naszej książki podjęli się zadania odpowiedzieć na to niepokojące wszystkich badaczy pytanie. I postawili sobie jasno sformułowaną tezę, mianowicie: Zebrać i zestawić pomniki z czasokresu dekoracyi kaplicy Zygmuntowskiej, zanalizować i porównać ich renesansowe formy, określić ściśle charakterystyczne znamiona i na tej podstawie wyłączyć całą grupę dzieł przynależnych kształtem do siebie i wywnioskować o ich niewiadomym autorze, względnie szkole.

Tak postawiony temat i wybrana droga, po której miały się posuwać badania, — są w naszej historyi sztuki prawie, że zupełnie niepraktykowane.

Rozprawa była czytana na posiedzeniu jednej z naukowych instytucyi naszych. Wywołała sprzeczne sądy. Przewodniczący, pomijając zwykły proceder, podyktowany regulaminem, odesłał proprio motu rękopis autorom. W liście przesłanym odmówił wydrukowania, pragnął mieć tylko jej streszczenie. Motywował zaś swój krok poglądem ujemnym na pracę, mianowicie sądził, że rozprawa jest za drobiazgową w opisach ornamentacyi, że to rzeczy znane, że to są same hipotezy i za dużo illustracyi. Mniejsza o nazwiska, chodzi o zasadę.

Wyrok był jasny i stanowczy. Zganił to, co było do pochwalenia a nie wytknął błędów, od których praca nie jest wolną. — Ponieważ zajmuję odmienne stanowisko i oceniam pracę na ogół dodatnio, pozwolę sobie, zanim przystąpię do omówienia treści książki, — rzucić garść uwag krytycznych co do zadań polskiej historyi sztuki.

Rozchodzi się tu bowiem o ważną zasadniczą kwestyę, o szukanie nowych punktów oparcia w naszej gałęzi nauki. O innowacyę, którą ta książka wprowadza, której zasługa niedocenioną została a w następstwie wyrządzoną została autorom krzywda.

Spojrzyjmy na nasze w Polsce obrazy, rzeźby, budowle! Przeważnie bezimienne, więcej niż gdziekolwiekindziej na świecie. W miejsce imienia artysty zwykliśmy pisać: „ignotus". Czemuż to przypisać? Chyba tylko tej okoliczności, że rozbujały do ostatecznych granic indywidualizm szlachty, dbającej o splendor rodzinny, o klejnot herbowy, nie mógł ścierpieć, by obok niego mieszczański gmerk się gnieździł lub plebejuszowskie nazwisko rzeźbiarz wyrył!

Łaciną odchyla się szlachcic od pospólstwa, mowy polskiej na pomnikach nie używa, pozostawia ją niższym stanom, które tymczasem znów, zapatrzone w źwierciadło szlacheckie, ślepo idzie w jego lady i popełnia te same błędy. Kupca, rękodzielnika szlachcic znać nie chce, gardzi ich rzemiosłem. On w szablę wierzy a wolność tylko swoją własną, o s o b i s t ą kocha. I stąd pochodzi, że pustką świecą miejsca, gdzieby złotemi głoskami jaśnieć powinno imię twórcy.

W archiwach naszych, wojnami i obcymi rządami zniszczonych, o artystach plączą się gdzieniegdzie tylko skąpe wiadomości. Chyba, że artysta pieniacz, po sądach się włóczył, robotników procesował lub wywłoka, ladaco, to go znajdziesz, ten się uwiecznił.

Rezultatem więc polskich stosunków społecznych i politycznych było, że dzieła polskiej kultury w ogromnej swej większości są b e z i m i e n n e. Pomniki sztuki utworzyły jakby zaczarowany i tajemniczy świat piękna, — na który przeszłość zarzuciła zasłonę.

Odchylić ją zadaniem jest nauki.

Słynny profesor uniwersytetu bazylejskiego, Henryk Wölfflin nawołuje w jednej ze swych książek do zawrotu z drogi dotychczasowej metody badań na polu historyi sztuki. Za przykładem Hildebranda „Das Problem der Form" żąda powściągliwości w rozwinięciu biograficznej anekdoty, porzucenia pisania historyi politycznej, wypisywania całego balastu częstokroć nie mającego ze sztuką i dziełem nic wspólnego, a dotyczącego innych zupeł-

nie dyscyplin[1]). Natomiast pragnie i żąda od historyków sztuki, by więcej mówili o wartości i istocie dzieła. Spełnienie żądania nie trudne, bo rzeczą jest bardzo łatwą i nie wymagającą specyalnego przygotowania, aby z punktu widzenia historyka mówić dużo o dziele sztuki, opowiadać mnóstwo szczegółów genealogicznych, heraldycznych, pisać okolicznościowe szerokie topograficzne rozprawy i urozmaicając wreszcie to wszystko kilku stereotypowymi wykrzyknikami, jak n. p. „o przecudnej piękności", „o malowanej lub rzeźbionej grandezzy wielkiej pani" i t. p. Tym sposobem łatwo napisać wielką książkę, która dla określenia rozwoju formy nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Zresztą książka taka może być bardzo zajmująca, wyniki jej dla dziejów cywilizacyi ważne, jednakowoż dla dziejów sztuki, — powiedzmy wyraźniej dla dziejów formy — obojętna. Na pozór ujęcie i kryteryum kształtu wydaje się bardzo proste; w rzeczywistości jednak owe najprostsze rzeczy są najtrudniejsze! Nic dziwnego, że u nas właśnie tego rodzaju prac jak najmniej. Prof. Maryan Sokołowski, jakkolwiek należał do starszej daty historyków sztuki, wielką wagę przykładał do dziejów formy i był jednym z pierwszych, którzy poddali głębszej analizie wspaniałą dekoracyę kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Umiał on swój pietyzm dla szlachetnej formy wpoić w swoich uczniów i oni też prowadzą dalej jego dzieło.

Po tych dwóch liniach wytycznych, niby zupełnie jeden cel mających na oku, postępuje nauka historyograficzna sztuki.

Jestto przecież zjawiskiem prawie codziennem, że zwolennicy pierwszego kierunku, zatem czysto historycznego, niechętnie patrzą na poszukiwaczy dróg odmiennych.

Odłam historyków sztuki, zapatrzonych przedewszystkiem na problemy historyczne, przejętych metodą historyków, ich potrzebami i zadaniami, otrzymują sukkurs i zdecydowane poparcie w historykach prawa, dziejów politycznych i kultury. Są oni dla nich naturalnymi sprzymierzeńcami i zdarza się aż nadto często, że odmiennych problemów, jakie ma nasza dyscyplina dziejów

[1]) Por. także Dr. Hans Tietze, Die Methode der Kunstgeschichte. Lipsk 1913, nakładem Seemanna, gdzie na wielu miejscach poruszana i omawiana ta sprawa.

sztuki, nie rozumieją, przeciwko nim występują i je zwalczają, nie zdając sobie wcale sprawy z tego, o co idzie.

Do tego odcienia historyków zaliczyłbym również tych mało produktywnych badaczy, którzy hołdując wygodnej, leniwej a bojaźliwej myśli, bronią się hyperkrytycyzmem. Obalają każdą hipotezę, dotyczącą genezy formy, choćby opartą na najlogiczniejszem wnioskowaniu. Zażywają ciągłego wywczasu i korzystają z wygodnej pozycyi. Tarczą bezpieczeństwa jest dla nich właśnie brak dokumentu archiwalnego, — to ich w zupełności rozgrzesza. Wobec nich samych, nie wobec nauki.

Jestem stanowczym zwolennikiem analizy form i wierzę głęboko, że gdy harmonijnie obu szlakami pójdą badania nasze nad historyą sztuki, rozjaśnią nowe widnokręgi i przyniosą nauce ojczystej wiele pożytku. Oba kierunki mają prawo bytu i warunki życia i rozwoju. Zatem, panowie historycy prawa i polityki, pozwólcie nam być ze sobą i mieć własne drogi!

Tak określiwszy mój kąt widzenia, wracam do książki o Cinim.

Żywot artysty był cichy, spokojny. o charakterze niezwykle zgodliwym, przyjacielskim. Przez czas pobytu swego w Polsce od r. 1507—1564, mimo znaczniejszego majątku i artystycznych przedsiębiorstw do spółki to z Franciszkiem della Lori, to z Bereccim, Castiglionem, Filipem da Fiesole lub Padovaną, nie wszczyna zatargów, procesów nie prowadzi. Lubiany przez kolegów, tak znakomity artysta jak della Lori adoptuje go za syna. A gdy wyjeżdża do Włoch w rodzinne strony, to na przypadek śmierci, przyjaciołom zapisuje majątek. Córkę Kaśkę wydał za mąż za królewskiego muzyka, Jana Dziano, — a gdy mu się syn narodził, to dał mu na chrzcie św. imię swego przełożonego, Seweryna Bonera. Zmarł 1564. r., a choć był, sądząc wedle pensyi, najwybitniejszym królewskim artystą, żadnego dzieła nie podpisał.

Na tę śmiałość podpisania wybitnych dzieł artysty zdobyli się dopiero pp. Cercha i Kopera, przypisawszy mu szereg dzieł, naprawiając temsamem wiekową niesprawiedliwość i zapomnienie.

Punktem wyjścia była dla autorów kaplica Zygmuntowska. Zaczęli od opisu i rozbioru szczegółowego form architektonicznych, tudzież dekoracyjnych i wykazali, że architektura ma cechy toskańskie, kopuła jakby rzymska a cała ornamentacya nosi na sobie znamiona groteski sienejskiej.

Nie pojmuję, jak można było autorom zarzucić, że opis najświetniejszego dzieła renesansu jest za obszerny. Wyczerpujący opis dekoracyi jest tem więcej uznania godny, że kaplica nigdy nie była dokładnie opisaną. Zarazem zarzut, że to są rzeczy znane, nic wytrzymuje krytyki, bo znajomość kaplicy była tylko powierzchowną, przez naukę zupełnie niedostatecznie rozpoznaną.

Jakto? Przecież tak powszechnie znane i tak świetnie rozpoznane dzieła, jak kaplica Sykstyńska, tum koloński, paryska Ste. Chapelle, — i tyle, tyle innych, lub Rafael, Dürer, Rembrandt, Stwosz są niewyczerpanem źródłem natchnień. Mogą rok rocznie wydawać o nich dzieła uczeni Niemcy, Francuzi, Rosyanie a nawet Polacy! a nam miałożby być kwestyonowane prawo pisania powtórnie o kaplicy Zygmuntowskiej, o Cinim, może i o Stwoszu, Padovanie lub Matejce, Grottgerze?

To musiało być zrobione i tego właśnie dokonali pp. Cercha i Kopera. To ich wielka zasługa. Warto nadmienić, że do opisu i zdjęć fotograficznych trzeba było budować osobne rusztowanie. Lekceważyć sumienności pracy nam nie wolno.

Już Maryan Sokołowski uważał dekoracyę plastyczną kaplicy za dzieło ucznia rzeźbiarza sienejskiego, Lorenza di Mariano, zwanego Marrina (ur. 1476, umarł 1534), jednego z najwybitniejszych ówczesnych plastyków, pracujących w marmurze.

Nad budową i rzeźbą kaplicy pracują włoscy artyści, pochodzący z Florencyi, Fiesole, Padwy, Rzymu i jeden jedyny z Sieny a był nim rzeźbiarz Giovanni Cini de Senis. Jemu zatem przypisują pp. Cercha i Kopera pomysł i wykonanie dekoracyi wnętrza. Szereg momentów wskazuje na jego autorstwo. Przez cały czas budowy i dekoracyi wnętrza, więc przez lat 10, Cini pracuje na Wawelu, dopiero gdy Padovano kończy jego dzieło, zdobiąc kaplicę posągami z czerwonego marmuru, jakby urażony, opuszcza Kraków i wyjeżdża na dwuletni pobyt do rodzinnego miasta, do Sieny. Zatęsknił i powrócił do gościnnej Polski, do rodziny i do swych dzieł.

Rozbiór form jest dokładny, bardzo zajmujący i wykazał całą charakterystykę groteskowej ornamentacyi a zarazem wskazał na źródła, skąd artysta czerpał podnietę dla swej pracy twórczej. Prócz Marriny odnaleźć w nich można bliższe lub dalsze oddźwięki dzieł mistrza toskańskiego. Desiderio da Settignano (umarł 16./I. 1464), który wielkiem bogactwem świeżych motywów wyposażył

niepomiernie ornamentykę Odrodzenia i był Ciniemu mistrzem, — ale jeszcze wydatniejszy wpływ wywarł na Cinim wielostronny Francesco di Giorgio Martini (umarł 1502), — jeden z najbardziej uniwersalnych mistrzów szkoły Sienejskiej. Autorowie nie ograniczyli się na przypisaniu części ornamentalnej Ciniemu, ale przypisują jemu także część rzeźby figuralnej, przedstawiającej w naturalnej wielkości postacie świętych, kute w czerwonym marmurze. Wśród nich uderzają wyborem tematu dwa wielkie medaiony, mianowicie: króla Salomona, do którego widocznie pozował król Zygmunt I., bo jest wiernym jego portretem, a pod medalionem, w niszy, wielka postać św. Zygmunta, patrona królewskiego. Niewątpliwie, artysta w ten sposób głosił chwałę królewską; jak Salomon świątynię jerozolimską dziełami sztuki zdobił, tak samo król był miłośnikiem sztuki kościelnej i jej fundatorem. Z drugiej strony widzimy na ścianie kaplicy obok stall medalion króla Dawida, grającego na harfie, a pod nim postać św. Jana patrona Jana Bonera, dyrektora budowy kaplicy. Ta analogia obudziła w autorach przypuszczenie, że do Dawida pozował Jan Boner.

Z analizy dalszych rzeźb figuralnych należy wspomnieć najważniejszą t. j. medalion Matki Boskiej, w niszy grobowcowej. Cokolwiekbądź będziemy o słuszności supozycyi autorów myśleli i uznawali trafność ich wywodów, musimy przecież wytknąć brak porównania rzeźb, przypuszczalnie Ciniego z rzeźbami Gian-Marii Padovany, który od roku 1529. pracował, acz bardzo krótko, nad skulpturami dla Zygmuntowskiej kaplicy. Rzeźbił on najważniejszą, leżącą figurę Zygmunta I. na sarkofagu. Usprawiedliwiać tego nie można, trzeba było konsekwentnie trzymać się i w tym wypadku własnego programu i własnej metody.

Na zakończenie naszego omówienia kaplicy Jagiellońskiej nadmienię, że godła państwowe z czasów Zygmuntowskich, zwłaszcza kształt tarczy i orła polskiego z przewiniętą na piersiach literą *S* są dziełem i pomysłem Ciniego, a stały się symbolem złotego wieku Jagiellonów.

Osią rozprawy jest kaplica Zygmuntowska, i najwcześniejsze jako dzieło Ciniego rozpoznane: baldachim nad pomnikiem Władysława Jagiełły. Około tych dwóch głównych, najbardziej charakterystycznych dzieł, ugrupowali autorowie wielką ilość pomników skulpturalnych Krakowa, Bodzentyna, Bolesławia, Brzezia,

Gniezna, Mogiły, Opatowa, Płocka, Poznania, Przemyśla, Sandomierza, Szydłowca, Tarnowa, Warszawy. Wilna i Zatora, które bądź to przypisali Ciniemu, bądź też jego szkole.

Cini bawił w Polsce, jak powiedzieliśmy, od r. 1507 do 1564, zatem lat 57, z dwukrotnemi przerwami z powodu wyjazdu do Włoch. Pracował sam lub do spółki z innymi rzeźbiarzami, nic też dziwnego, że warsztat tego artysty dał Polsce wyjątkowo wielką liczbę dzieł sztuki. Nie na wszystkie atrybucye autorów się zgadzam, ale w całości powstały te piękne pomniki conajmniej pod wpływem pracy twórczej Ciniego w Polsce.

Osobny rozdział poświęcili pp. Cercha i Kopera odlewnictwu i medaliarstwu włoskiego artysty. Są to rzeczy niesłychanie ciekawe i frapujące swą świeżością spostrzeżenia. Cały ustęp, odnoszący się do analizy spiżowych pomników Seweryna i Zofii Bonerów z r. 1538, uważany dotąd za bronz niemiecki, jest godny zanotowania, chociaż, jak sądzę, mamy tutaj z uczniem Ciniego, nie z nim samym do czynienia. Praca pp. Cerchy i Kopery przyniosła świeży posiew na rolę naszej historyi sztuki, — nowy jej kierunek może być jej szczęśliwym płodozmianem.

Wreszcie trzeba nam słowa uznania wyrazić firmie p. J. Czerneckiego, która nie szczędziła funduszów, by wartościową pracę naukową wydać w niezwykle pięknej formie.

Leonard Lepszy.

Przysięga na słońce. *Prof. Dr. Wł. Semkowicz.* Studyum porównawcze prawno-etnologiczne. Kraków 1916.

Przysięga na słońce, jako pogański zwyczaj prawny, zakorzeniona była pierwotnie pośród szerokich mas ludowych, które w życiu codziennem posługiwały się nią powszechnie. Gdy z pośród tych mas ludowych wyłoniły się z czasem warstwy społecznie wyższe, które uzyskały wyłączny wpływ na tok życia prawnego, starały się one ten stary zwyczaj prawny zastrzedz wyłącznie dla siebie i uczynić zeń jedno ze znamion wyróżniających je od warstw niższych.

Polski materyał źródłowy do przysięgi na słońce jest bardzo szczupły, składa się bowiem z siedmiu zaledwie zapisek sądowych i jednego dokumentu a wszystkie one odnoszą się do XV. wieku. Obwinieni bronią swego honoru rycerskiego, składając przysięgę nie według przyjętej w chrześcijańskim procesie sądowym formy

na krzyż lub relikwie świętych, ale w sposób zgoła sprzeczny z jego duchem, podnosząc palce ku słońcu *(duobus digitis in solem elevatis et errectis)*.

W pracy swej autor przechodzi zabytki i zwyczaje ludów aryjskich w Europie: Słowian, Germanów, Greków, Rzymian, poczem przechodzi do podobnych praktyk u Aryów azyatyckich, uwzględniając przedewszystkiem dawnych Irańczyków i Indów, odnajduje ślady przysięgi na słońce u Semitów, u Turków, wyznawców Allaha i proroka jego Mahometa a w końcu zajmuje się nią u ludów pierwotnych.

Rzecz to niezmiernie ważna. Dotychczas można było tylko przypuszczać, że i u nas istniała przysięga na słońce, jako pozostałość dawnego kultu boga-słońca, obecnie zaś praca prof. Semkowicza stwierdza dowodnie, że kult słońca istniał u nas jeszcze w XV. wieku. Że istniał w czasach przedchrześcijańskich, to rzecz pewna, jak również i to pewna, że po dziś dzień jeszcze żyją resztki jego w formie przeżytków, zachowane w zaklęciach, pieśniach, zabobonach i t. p. Istnieje również ten kult w licznych zwyczajach dziś spotykanych i publicznie obchodzonych, jak n. p. wszelkie obchody z koniem, urządzane czy to w okresie świąt Bożego Narodzenia, czy też w okresie wiosennym a w Krakowie specyalnie w oktawę Bożego Ciała, pod postacią lajkonika. Koń bowiem, jak wykazuje etnologia porównawcza, był zawsze uważany za personifikacyę słońca. Helios, Sól (Faeton), Odyn, Światowid — to bóstwa jasne, słoneczne, posługujące się końmi i mające jako atrybut konia. Freyr i ojciec jego Njörd to bóstwa północno-germańskie, których ogniskiem kultu była pierwotnie stara Upsala w Szwecyi, oraz prowincya Drontheim w Norwegii. Freyrowi poświęcone były konie, które utrzymywano przy świątyni i których używano przy wróżbach. Wyobrażano sobie to bóstwo jako jeżdżące na wozie, ciągnionym przez dzika o złotej sierści lub płynące na łodzi. Koń, dzik i łódź to ogólno-aryjskie symbole słoneczne, wyrocznia zaś także była atrybucyą bóstwa słonecznego.

Wykrycie śladów przysięgi na słońce w Wielkopolsce i to w jednym z najdalej ku zachodowi wysuniętych powiatów świadczy najwymowniej, że zwyczaj ten był niegdyś rozpowszechniony w całej Polsce a co najważniejsze, że był *instytucyą prawa rycerskiego* (iuxta ius militare). Kult słońca jako bóstwa jest dla nas zupełnie zrozumiały, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w słońcu człowiek

upatrywał źródło ożywczego światła i ciepła, — dawcę życia i urodzaju.

Praca prof. Semkowicza nie wyczerpuje w zupełności materyału, co zresztą sam autor przyznaje, tłumacząc się brakiem odpowiednich źródeł, ale i za to, co nam daje, jesteśmy autorowi niezmiernie wdzięczni. Pisał ją na uchodźtwie, między obcymi, więc też materyałów polskich, ogłaszanych w „Ludzie", „Wiśle" i „Zbiorze wiadomości antrop." nie mógł należycie wykorzystać — a znalazłoby ich się dużo. Studyum prof. Semkowicza jest dla nas bardzo ważne, gdyż po raz pierwszy w naszej literaturze etnologicznej poruszono tu tak ważny zabytek naszych pierwotnych wierzeń religijnych, dziś jeszcze spotykanych w formie niewinnych zabaw, czy zwrotów w mowie ludu.

Wykrycie szczątkowych przeżytków dawnych zwyczajów wymaga niezmiernie żmudnych poszukiwań, przejrzenia wielu dzieł i wydawnictw źródłowych. Pierwszy z pożytkiem podjął się tego prof. Semkowicz, zachęcając polskich folklorystów do dalszych, owocnych badań.

Dr. Fr. Gawełek.

Powrót. *Stanisław Przybyszewski.* Nakł. Centr. Biura wydawn. N. K. N. w Krakowie 1916.

W roku 1898 Stan. Przybyszewski w Confiteor z wielkim aplombem programowo głosił zasadę: „Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-patryotyzm, sztuka, mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, a staje się *biblia pauperum* dla ludzi, którzy nie umieją myśleć". Lecz oto książka pod tyt.: Powrót zawiera trzy obrazy: Powrót, Pojednanie, Ruchomy kamień — i każdy z obrazów jest sztuką-patryotyzmem. Widocznie autor poszedł do Kanossy pomimo swych artykułów w „Kuryerze Poznańskim". Powrót maluje motyw, wielekroć już w naszej literaturze opracowany: Janta dzięki rozpustnej kobiecie utracił ziemię ojczystą. Wybuchła wojna. Janta, rozmiłowany w szlachetnej Poli (symbol Polski?) zostaje rotmistrzem ułanów i wyzwala z pod przemocy wroga wieś swoją — Kruszę, lecz ginie sam, a równocześnie ginie i Pola.

Pojednanie maluje śmiertelnych wrogów, Nieczuję i Rogosza. Pierwszy pohańbił siostrę Rogosza, lecz śmiercią na polu walki okupuje swój występek i wyjednywa przebaczenie Rogosza.

Ruchomy kamień maluje wyzwolenie ze zbrodni bratobójstwa Okszy w czas wojny, „którą stworzył Pan, aby każden w krwi został oczyszczon z swych zbrodni i wywyższony w swych cnotach". (109).

Można się rozmaicie zapatrywać na takie pojmowanie wojny; spierać się o nie nie będę. Natomiast przykrym wprost przeżytkiem jest metoda powieściowa Przybyszewskiego: ów przez stron dziesiątki wlokący się sztuczny i zimny patos rozmyślań o przeszłości bez cienia akcyi, oraz zupełny prawie brak szczegółowych realnych spostrzeżeń rzeczy i przedmiotów, skutkiem czego wizye rozgrywają się — rzekłbyś — w obłokach. A nadto p. Przybyszewski, który nigdy w pięknej polszczyźnie nie celował, teraz, nie wiem dlaczego, brzydko kaleczy nie tylko mowę naszą, lecz i pisownię. W rażący sposób nadużywa zaimków i imiesłowów; powtarza raz po raz te same wyrazy bezpośrednio po sobie; buduje złożone zdania nieudolnie, tak jak np. na str. 15. zdanie dziewiętnastowierszowe, rozpoczęte wyrazem „napróżno"; szykuje w zdaniu wyrazy nie po polsku, czy to gdy bezokolicznik mieści na końcu, czy też gdy między przyimek a rzeczownik wtłacza inne słowa np. pani, którą ongiś z zęby zacinającym wstydem był zmuszony nazywać swoją (22), w swoich piękności najwięcej stęsknionych snach (29), z na wpół pałaszem Nieczui rozpłataną czaszką (87) i t. p.

Ale cóż dopiero mówić o takich błędach, jak wydżąć (str. 29 i 85), kierowali się coraz więcej w pobliże ich (zamiast swej) ziemi (37), powracał jemu (zam. sobie) tylko znanemi ścieżkami (49), wszystkiemi siłami starali się spędzić wizyi ich (zam. swej) ziemi (33) i t. p.

Cóż dopiero mówić o takich zwrotach, jak „stał się jednem wytężonem okiem" (str. 70 i 77) zamiast „skupił się cały w oku", jak „zakrył sobą martwe ciało ubiegłej duszy szturmujących" (71), jak „cały geyzir kęp ziemi buchnął w górę" (74, 83) i t. p.

Drobiazgowa analiza stylu i języka utworów p. Przybyszewskiego, zawartych w książce p. t.: Powrót, do smutniejszych doprowadziłaby wniosków, niż analiza estetyczna i podług mego zdania autor, który podobno przebywa w Niemczech, powinienby, zdjąwszy pychę z serca, poddawać językową część swych dzieł rewizyi przyjaciela, czującego ducha polszczyzny.

Antoni Mazanowski.

Przewodnik po literaturze religijnej dla osób pragnących pogłębić swe wykształcenie w dziedzinie wiary katolickiej. *O. Woroniecki*, Zak. Kazn. Lwów 1914 w 8-ce, stronic 160.

Zasłużonej pracy podjął się Wielebny Autor: zdał sprawę z przeszło pięciuset dzieł przydatnych do rozwoju katolickich zasad i obyczajów. Zastrzega się po prostu, „że zestawiającemu tak bądź co bądź obfity materyał bibliograficzny, nie sposób było wszystkie wymienione dzieła przeczytać" samemu. Zatem przewodnik duchowny musi sam wiedzieć, którą z polecanych tu książek komu wręczy stosownie. Znajdzie tu najobfitszy wykaz dorobku literatury religijnej w dziedzinie egzegezy, dostępnej ogółowi w rozdziale 4-tym, dogmatyki w rozdz. 2-im, ascezy i mistyki w rozdz. 3-im, Dziejów Kościoła i hagiografii w rozdz. 5-ym.

Świetny na końcu spis imion własnych należy do zalet tej książki, którą godzi się polecić wszystkim pracownikom na polu przewodnictwa dusz. *Ks. K. Czaykowski.*

Z piśmiennictw obcych.

Credo, *P. Lippert* S. J, I. Bändchen — **Gott.** Freiburg im Breisgau, Herder, 1916, str. 130.

Estetycznie wydana książeczka stanowi początek zamierzonej przez autora seryi dziełek popularno-dogmatycznych pod ogólnym tytułem „Credo". Całość ma obejmować około 8 tomików, w których znajdą miejsce traktaciki o Trójcy św., stworzeniu, odkupieniu, łasce, Kościele, rzeczach ostatecznych. Obecny tomik zawiera naukę o istnieniu i przymiotach Boga. Cała serya przeznaczona jest przedewszystkiem dla świeckiej inteligencyi, by jej przedstawić prawdy wiary świętej nie tylko w suchych katechizmowych formułach, ale tak, by przemówiły zarazem do serca, występując w swej wewnętrznej piękności i głębi. Autor cel swój osięga dzięki temu, że włada doskonale środkami trafienia do duszy czytelnika; jego język jest bogaty w obrazy i tchnie ciepłem. Godność i namaszczenie nadają mu obfite, trafnie dobrane miejscą z Pisma świętego i Ojców Kościoła. *J. U.*

Texte zum Gottesbeweis, von *Dr Heinrich Straubinger.* Freiburg im Breisgau, Herder, 1916, str. 171.

Są to wyjątki z dzieł największych myślicieli wszystkich wieków, formułujące dowody istnienia Boga, począwszy od Ksenofanesa i Heraklita, a kończąc na Kancie i nowszych apologetach. Cytaty przytoczone są w oryginale, a zatem po grecku, łacinie, francusku, niemiecku. Przy nauce teologii, jak również przy opracowaniu apologetycznych wykładów, książeczka ta może oddać cenną usługę. Jest to jakby dalszy ciąg seryi „enchiridionów", któremi firma Herdera tak bardzo się przysłużyła. *J. U.*

Die vier Evangelien, ihre Entstehungsverhältnisse, Echtheit und Glaubwürdigkeit, von *Dr B. Heigl.* Herdersche Verlagshandlung, Freiburg, 1916, str. 400.

Charakter i przeznaczenie książki określa sam autor we słowie wstępnem. Ma to być praca oryentująca czytelnika w zagadnieniach, dotyczących badań nad powstaniem, autentycznością i wiarogodnością ewangelii. Nie jest to zatem samodzielne studyum, przeznaczone dla szczupłego grona zawodowych teologów i biblistów, lecz podręcznik praktyczny dla studyujących teologię, nauczycieli religii, duszpasterzy i szerszych kół, interesujących się postępem nauk biblijnych. Z takiego założenia autor wywiązał się wprost świetnie. Daje przejrzysty obraz wszystkich ważniejszych zagadnień z zakresu traktowanego przedmiotu, prób i systemów rozwiązywania tychże zagadnień, wysiłków destrukcyjnej krytyki i rezultatów badań biblistów katolickich. Przytem autor jakby się ukrywał poza innymi: wprowadza bowiem wciąż w dłuższych cytatach zdania innych uczonych, zaznajamiając w ten sposób najlepiej czytelnika z nimi. Cały jednak ten zapożyczony materyał jest tak zręcznie ugrupowany i zestawiony, że robi wrażenie jednolitej całości. Dalej cechuje autora staranność i wstrzemięźliwość w wypowiadaniu ostatecznego zdania w kwestyach najtrudniejszych, jak np. w tak zwanej „kwestyi synoptycznej"; on raczej referuje, niż rozstrzyga. Zwięzłość również jest zaletą tej książki: zmieścić praktyczną a zupełną introdukcyę do ewangelii na 400 stronach in 8^0 — to dzisiaj, wobec rozrostu problemów związanych z powstaniem ewangelii, musi być uważane za wielką zaletę. Ścisłość ta spowodowała jeden mniej pożądany skutek, mianowicie, że autor, ilustrując przykładami poszczególne zagadnienia, zwykle nie podaje treści cytowanych ustę-

pów ewangelicznych, stąd, chcąc z pożytkiem czytać jego książkę, trzeba jednocześnie mieć pod ręką same ewangelie i wciąż do nich zaglądać, według podanych cytat. Zresztą uniknąć tego nie było można, jak chyba tylko przez znaczne rozszerzenie objętości książki. Książkę tę można gorąco polecić do praktycznego użytku, a zwła szcza jako pomocnicze źródło przy studyach teologicznych.

J. U.

Abriss des Lebens Jesu von der Taufe bis zum Tod. Von *Dr Joh. Er. Belser.* Freiburg, Herder, 1916, str. 88.

Broszura zasłużonego biblisty, profesora uniwersytętu w Tübindze, zajmuje się kwestyą trwania publicznego nauczania Chrystusa. Autor streścił w niej wypowiedziany przez siebie niejednokrotnie w innych swych pracach pogląd, że publiczne nauczanie Zbawiciela nie trwało, jak powszechniejsze przekonanie utrzymuje, trzy lata, lecz tylko rok jeden, lub ściślej mówiąc, 14 miesięcy. Wiadomo, że ewangelie synoptyczne stanowczo sprzyjają tej opinii; trudność stanowiła ewangelia św. Jana, która trzykrotnie wspomina o święcie paschy podczas nauczania Jezusa. Z tą trudnością załatwia się autor, kwestyonując autentyczność wzmianki u św. Jana VI, 4. Zamiast „paschy" chce tam czytać „scenopegię". Zajmując się główną kwestyą trwania publicznego zawodu Zbawiciela, autor daje dopasowaną do swej teoryi harmonię chronologiczną wszystkich czterech ewangelii. Praca ta ma znaczenie dla zawodowych uczonych.

J. U.

Grossstadtpädagogik. *J. Tews.* Verlag von B. G. Teubner Leipzig (Aus Natur und Geisteswelt).

W świetle badań i przemyślań stawia nam autor problem wychowawczy środowisk wielkomiejskich. Osobiście jest zwolennikiem tego środowiska, przypisując mu wielkie znaczenie dla rozwoju idei demokratyzacyi narodów i ceniąc jako czynnik kształcący ducha obywatelskiego w daleko wyższym stopniu, niż może to czynić szkoła, czy też wogóle życie małego miasteczka lub wsi. Jednakże, chcąc być objektywnym i bezstronnym, przyznaje autor dodatnie bezsprzecznie strony wychowawczych wpływów tych mniejszych ognisk ludzkich, jak to: spokój, bliższy kontakt z przyrodą, obserwowanie wytworów pracy i branie w niej bezpośredniego

udziału, n. p. w warsztatach rodzicielskich, co wyklucza specyalizacya wytwórcza i praca fabryczna w wielkich miastach.

Nakreśliwszy dzieje rozwoju miast, wywołanego koniecznością skupienia wielkich mas ludzi na małej przestrzeni, stwierdza, iż u obywateli miast daleko silniej objawia się solidarność, chęć niesienia pomocy bliźniemu, wogóle t. zw. uczucia społeczne, czerpiące soki w spólności przeżyć, w przeciwieństwie do mieszkańca wsi, przywykłego do radzenia sobie własnemi siłami i do większego zamknięcia się w kole swych myśli.

Dziecko miasta wystawione jest na wpływ tegoż niemal od pierwszych chwil życia. Gwar i ruch ulicy wciska się w zaczarowany świat jego zabaw, zmuszając do większej uwagi na bezpieczeństwo własne, pociągając wyobraźnię tysiącem wrażeń, czyhających nań z każdego okna niezliczonych sklepów, ogłoszeń, widowisk.

Żywsze tętno wielkomiejskiego ruchu umysłowego sprawia, że tłumy miejskie stają się materyałem podatnym do wszelkiego rodzaju akcyi socyalnych.

Wszystkie te czynniki wytwarzają pewną specyalną atmosferę, która, działając na duszę dziecka, staje się współwychowawczynią i to wychowawczynią mocno nerwową, kapryśną i wymagającą, ale mającą i swe duże zalety; ćwiczy bowiem w bystrości, samodzielności i energii, ułatwia wzrost kultury przez nagromadzenie środków kształcących, jak: biblioteki, muzea, pomniki, wydawnictwa popularne, teatra i t. p. Przy sposobności omawiania tych bodźców umysłowych przytacza autor interesującą statystykę, zebraną wśród słuchaczy „Kursów robotniczych" w Berlinie, na temat, jakie są ulubione sztuki teatralne, dzieła literackie i t. d.

Z danych, które zebrał autor odnośnie do stosunków mieszkalnych, odżywiania i snu, wynika, że dzieci miejskie za ciasno mieszkają, licho i niewłaściwie bywają odżywiane, oraz za krótko śpią. Mimo odmiennych warunków duchowego i fizycznego rozwoju, psyche dziecka miejskiego czy wiejskiego nie różni się zbyt wiele i jednako podatną jest w ręku pedagoga. Inne jednak muszą być środki pedagogiczne, aby właśnie owe różnice zrównoważyć i osiągnąć harmonijność w celach wychowawczych.

Zamało uwydatnia autor konsekwencye, wynikające z przytoczonych wyżej danych; bardzo staranne zebranie cyfr statystycznych, doskonałe uwagi o brakach i potrzebach szkoły nowocze-

snej, cechują to dziełko, ale razi w niem pewna suchość formy pewien pedantyzm myślenia.

Być może, że autor, mający na oku przedewszystkiem stosunki berlińskie, nie zna tych braków, tych strasznych upośledzeń naszych stosunków szkolnych i dlatego wydaje się zimnym.

U nas bowiem chciałoby się krzyczeć głosem pełnym błagania ku tym, co mogliby przyczynić się do zmian na polu szkolnictwa, o wyprowadzenie młodzieży z murów szkolnych, z książkowego uczenia się w świat realny, w świat doświadczeń, ucząc ych interesująco a namacalnie kształcących zmysły przy wzbogacaniu wiadomościami umysłu.

Nasza młodzież nie umie patrzeć, przechodzi koło mnóstwa zjawisk nie spostrzegając ich, nie zna dokładnie narodowych pamiątek, a najchętniej zaspakaja żądzę wrażeń lekturą, spędzając wolne od nauki godziny znowu nad książką—wybladła, anemiczna.

Naturalnie, są pełne poświęceń usiłowania jednostek dobrej woli, ale to za mało dla normalnego rozwoju społeczeństwa, którego przyszłością są dzieci; tu trzeba zmienić zasadę, na której opiera się system współczesnego szkolnictwa: więcej światła, więcej powietrza, więcej ruchu.

A dopóki budynki szkolne będą podobne koszarom, bez ogrodu, placu do zabaw, lub choćby obszernego podwórza, to o zmianie ani marzyć.

To też roztrząsanie zagadnień, poruszonych w dziełku Tews'a, jest bardzo a bardzo wskazane; stawianie sobie przed oczyma ważności środków wychowawczo-kształcących, dostarczanych przez centra ludzkich zbiorowisk, jakiemi są duże miasta, oraz zwracanie uwagi na jego niebezpieczeństwa, tkwiące w życiu ulicy, widowiskach, brukowej literaturze i t. p. Wychowawcy, chcący mieć oczy otwarte na potrzeby tego bujnego świata młodzieży, wśród którego działają, muszą zapoznawać się z literaturą pedagogiczną, roztrząsającą takie ciekawe problema, jak zawarte w omawianej książce. Chociaż nie we wszystkiem zgodzić się można z autorem, przecież dziełko jego „Grossstadtpädagogik" powinno znaleźć się w podręcznych biblioteczkach nauczycieli i wychowawców.

Zofia Korczyńska.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicki dziennik niemiecki a powstanie Polski.

Miała Polska od dawna wiernego przyjaciela w niemieckim, katolickim dzienniku „Kölnische Volkszeitung". W czasach, gdy o Polsce było w całym świecie głucho, gdy zagranicznych przyjaciół można było na palcach jednej ręki zliczyć, dziennik ten nie pominął milczeniem żadnej ważniejszej sprawy polskiej a zawsze, o ile świadomi jesteśmy, stawał przy naszym boku. Drugi katolicki dziennik „Germania" ulegał w sprawie polskiej wahaniom, Kölnische Volkszeitung nigdy. A nie zapominajmy, że były liczne chwile, w których stanąć po stronie polskiej znaczyło tyle, co narazić się całym Niemcom. Cały ten ciężar niechęci wziął na barki swoje ten dziennik i, choć nieraz pod nim się uginał, wytrwał wiernie przy Polsce.

Dziś podnieść to jest prostym obowiązkiem wdzięczności — jest także przytoczeniem dowodu na tę prawdę, że tylko w katolicyzmie spoczywa siła niezłomnej sprawiedliwości i zdolność wzniesienia się na stanowisko wyższe, nad brutalne zapędy zachłanności szowinistycznych.

Proklamacya państwa polskiego spowodowała ten dziennik do ogłoszenia całego szeregu artykułów o sprawie polskiej. Żadne inne pismo niemieckie nie poświęciło tyle miejsca tej sprawie i nie omawiało jej z takim szacunkiem i z takim zapałem. Czuć

w tem zapewne pobudkę osobistą, radość, że jedna z kierowniczych idei pisma zwyciężyła, ale czuć także niechybnie i przyjaźń dla nas.

„Narody — czytamy w jednem miejscu — giną tylko przez własne zwyrodnienie i odstępstwo od wysokich celów, które boży porządek świata każdemu narodowi przekazał. Dlatego narody wewnętrznie zdrowe i silne, gdy im chwilowy bieg historyi narzucił ciężkie doświadczenia, mogą spokojnie czekać lepszych czasów, w których zmienią się losy i przyjdą inne stosunki. Tak miała się rzecz ze sprawą polskiego narodu w ostatnich dwu stuleciach. Ciężkie były winy narodu w tym czasie i ciężkie przejścia. Naród jednak rdzennie pozostał zdrowym i zachował siły do nowego wystąpienia na widownię. Dlatego słusznie postąpił dzielny bohater, Tadeusz Kościuszko, gdy zaprzeczył przypisywanemu mu słowu „Finis Poloniae", które miał wyrzec po nieszczęśliwej bitwie pod Maciejowicami. Dlatego słusznie postąpili Polacy, gdy na wymyślone hasło „Finis Poloniae" odpowiedzieli marszem Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nię zginęła"... — „Z bohaterską wytrwałością przetrzymali Polacy po dziś dzień a dzisiaj zbliża się ku nim lepsza przyszłość. Zaczyna się nowy okres historyi a okres ten domaga się nowej, samodzielnej, wolnej, silnej Polski. Ekonomia dziejów świata żąda, ażeby Polska wzięła na siebie ponownie starą rolę przedmurza zachodniej kultury przeciw zalewowi na wpół barbarzyńskiej wschodniej powodzi — i dlatego ekonomia ta zachowała naród ten wielkim i silnym, ażeby był zdolnym do spełnienia tego zadania".

Rozumie dobrze dziennik nadreński, że przedmurze takie nie może być od strony niemieckiej nadwerężane. „My w Niemczech musimy to dobrze zrozumieć, że Polska o tyle silniejszym będzie wałem granicznym przeciw wschodowi, o ile my przyczynimy się do jej siły i wzrostu... Musimy przekreślić dotychczasowy nasz kurs polskiej polityki. Pragnęlibyśmy, by smutne, do przeszłości należące słowo, hakatyzm, już nigdy więcej nie było wymówione". I w innem miejscu: „Stara polityka pruska względem Polaków już się nieodwołalnie skończyła; nowa oryentacya w tej polityce jest obiecaną. Musi ona być tak pojętą, by ułatwiła przyjacielskie współdziałanie z nowem sąsiedzkiem państwem polskiem". Pracę nad usuwaniem obustronnej nienawiści i szczepieniem wzajemnego zaufania i przyjacielskiego współpracownictwa

uważa katolicki dziennik nadreński za jedno z naczelnych swoich zadań.

Szczególniej gorąco wita „Kölnische Volkszeitung" powstanie państwa polskiego ze stanowiska katolicyzmu. „Nietylko, jako Niemcy, ale także jako katolicy powstające na nowo Królestwo Polskie witamy z pełną, radosną satysfakcyą. Właśnie, jako kraj katolicki, trzymała się Polska zdala od rosyjskiego prawosławia, od wschodniego słowiaństwa, od rosyjskości i panslawizmu, trzymała się i, dzięki swemu katolicyzmowi, mogła się z wielką stanowczością i wytrwałością trzymać. Przez swój katolicyzm była Polska także w czasie panowania rosyjskiego stale złączona z Rzymem a temsamem i z Zachodem i z zachodnią kulturą. My katolicy, razem z Ojcem Świętym w Rzymie, głęboko boleliśmy, że kraj ten katolicki wszystkimi środkami brutalnej przemocy coraz bardziej wtrącany jest na tory rosyjskiego słowiaństwa a temsamem mógłby straconym być dla Zachodu i zachodniej kultury. Odbudowanie Królestwa Polskiego położy koniec naporowi rosyjskiego prawosławia i rosyjskości. Gdy rosyjskość i panslawizm zechcą przedostać się na zachód, znajdą w zmartwychpowstałej polskości silną przeszkodę".

W innem miejscu przechodzi dziennik koloński do konkretnych stosunków sytuacyi obecnej i polemizuje z poglądem, jakoby Niemcy miały spotkać się w Królestwie Polskiem z nieufnością i z wielką rezerwą duchowieństwa i ludu. „To jest fałszem, jak pokazuje się obecnie z silnego współdziałania przedstawicieli ludu i duchowieństwa. Polskie duchowieństwo od proboszcza do arcybiskupa Warszawy ani chwili nie może wątpić, za czem, przy wyborze między Wschodem a Zachodem, ma się oświadczyć. Katolickie duchowieństwo zdaje sobie jasno z tego sprawę, że Polska, Królestwo, katolicki kraj, istnieć może tylko w związku z kulturą Zachodu a nie z prawosławiem i rosyjskością Wschodu. Katolick duchowieństwo Polski — nie wątpimy o tem ani na chwilę — z całą właściwą sobie wiernością we wierze i z pełnym idealizmem poświęci się wytrwale narodowej sprawie Polski. Polski zaś lud pójdzie za wezwaniem katolickiego duchowieństwa".

Wskazuje też „Kölnische Volkszeitung" na nowe obowiązki polskiego duchowieństwa, wynikające z obecnej sytuacyi: „Polski lud postawiony jest obecnie przed olbrzymią pracą. Pracy tej sam lud nie podoła. Cały wiek wychowywany był lud polski w samem

prawie tylko zaprzeczaniu wszelkiej idei państwowej i wszelkiego państwa. Musi się teraz lud napowrót nauczyć afirmować myśl państwową i państwo, wraz z wszystkimi obowiązkami, ofiarami i pracami. Będzie to obowiązkiem katolickiego kleru, przez własny przykład, przez wychowywanie ludu, przez afirmacyę idei państwowej i przez własne pozytywne współpracownictwo, doprowadzić do tego, by lud mógł dorość do nowych zadań".

Obszerniejszy wywód o zadaniach katolicyzmu w nowej Polsce czytamy w innym numerze tegoż dziennika: „Między duchowymi czynnikami, które rozstrzygają o przynależności Polski do Zachodu i o przeciwieństwie jej do Rosyi, jest decydującym katolicyzm Polski. Tę rolę katolicyzmu, który jest religią narodu, należy oczywiście utrzymać — rozumny jednak i celów swoich świadomy rząd polski będzie umiał nadto oprzeć się o ten czynnik przy rozwoju młodego państwa. Tak jak Polska w walce z Rosyą powstała na nowo do życia, tak też w tem przeciwstawieniu do swego starego sąsiada od Wschodu będzie musiała się utrzymać. Nie przyjdzie to zawsze łatwo, bo cokolwiek się sądzi o kwalifikacyach rosyjskiej sztuki rządzenia i polityki, Rosya była zawsze mistrzem w intrygowaniach, podminowywaniach i w korupcyi. Najpewniejszym i najzdolniejszym do oporu sojusznikiem polskiego państwa w walce z temi praktykami, będzie katolicyzm Ale tylko wtedy, gdy nie będzie go się uważało za środek do celu, gdy będzie w kraju cieszył się tą czcią, jaką Konstytucya 3. Maja chciała mu zapewnić, jako religii państwa. Temu oficyalnemu stanowisku musiałaby odpowiadać i wartość praktyczna, znaczenie w życiu narodu i to we wszystkich warstwach. Że pod tym względem były braki w inteligencyi, w rzeczywistej i tak zwanej inteligencyi, twierdzą Polacy sami. Pewne niedomagania ustaną same razem z usunięciem się Rosyi, poza tem trzeba będzie wielkiego wkładu pracy". — „Tu i tam w Polsce odczuwa się dziś potrzebę, ażeby uczynić pożytecznemi dla narodu te zasady katolicyzmu, które tworzą państwo i je w pomyślnym stanie utrzymują. Brakuje jeszcze takiego solidnego stronnictwa, takiej opartej na chrześcijańskich zasadach partyi środka, któraby przeciwieństwa prawicy i lewicy wyrównywała i przez rozumne pośrednictwo umiała je sprzęgać do owocnej pracy. Ci, którzy w Polsce o takiej organizacyi myślą, nie zamierzają bynajmniej posługiwać się katolicyzmem, jako hasłem politycznem".

Oto ważniejsze nagłówki tych myśli, jakie koloński dziennik porusza z okazyi powstania państwa polskiego. Są w nich niektóre sprawy, nad któremi warto się zastanowić. Jedno w tych wywodach nas niemile tknęło, oto, zbyt wielka łatwość, z jaką przechodzi nad przyszłymi losami Polaków zaboru pruskiego.

Dodajmy jeszcze dla całości obrazu, że tak, jak od Niemców i katolików niemieckich domaga się koloński dziennik usilnej pracy nad usuwaniem antypolskich nieufności i nienawiści, — w imię sprawiedliwości i przyszłego sojuszu, — tak domaga się również wzajemności pod tym względem od strony polskiej, zwłaszcza od katolicyzmu polskiego.

Dodajmy od siebie, że razem z nowymi warunkami życia idą nowe obowiązki. W miarę rozwoju obecnej sytuacyi trzeba będzie się bardzo poważnie nad nowymi obowiązkami katolicyzmu polskiego zastanowić. Niepodległość państwowa jest wielkim darem niebios, ale nie jest sielanką. *Ks J. Pawelski T. J.*

Ruch robotniczy chrześcijańsko-narodowy w nowych Niemczech.

Wśród zamętu wojennego ukazało się nakładem stowarzyszeń chrześcijańskich w r. 1916 w Kolonii dziełko wielkiego znaczenia: Program szczegółowy a zasadniczy dla przyszłej działalności stowarzyszeń robotniczych chrześcijańsko-narodowych.

Program, stworzony zbiorową pracą najlepszych sił organizacyi, wydał wydział ruchu robotniczego.

Część programową poprzedza wstęp, którego treścią jest rozwój ruchu robotniczego w Niemczech, zwłaszcza chrześcijańskiego, i objaśnienie podstaw i zasad, na których opiera się ruch robotniczy chrześcijańsko-narodowy w przeciwieństwie do ruchu socyalistycznego.

Dowiadujemy się ze wstępu, że nazwa: „ruch robotniczy chrześć.-narodowy" powstała na pierwszym kongresie chrześcijańskich stowarzyszeń w r. 1903.

Tam też, t. j. na I. zjeździe we Frankfurcie n. M., stworzono wydział dla popierania wspólnych zadań i interesów związkowych.

Drugi zjazd odbył się w r. 1907, trzeci w r. 1913 w Berli-

nie. Ostatni zjazd przedstawiał w delegatach organizacyi imponującą cyfrę zrzeszonych członków, a mianowicie: Związek główny stowarzysz. rękodzielniczych chrześcij.: 355.000 czł.; niemiecko-nacyonalny związek handlowców: 142.000 czł.; kartel państwowych funkcyonaryuszy i robotników: 120.000 czł.; kartel narodowy pracujących po gospodach, restauracyach i hotelach: 38.000 czł.; związek bawarskich pocztowców i telegrafistów: 14.000 czł.; związek ogólny zrzeszeń robotniczych ewangelickich: 136.000 czł.; ewangelicki „Arbeiterbund“ (dziś zlany z poprzednim Z. O. Z. R. E.): 16.000 czł.; związek zach. niem. katol. organizacyi robotn.: 204.000 czł.; południowo-niemiecki związek katol. organizacyi robotn.: 114.000 czł.; związek stowarzyszeń katol. robotn. (z siedzibą w Berlinie): 128.000 czł.; wschodnio-niem. związek katol. organizacyi robotn.: 18.000 czł.; związek katol. organizacyi czeladników: 55.000 członków.

Dla tych to zrzeszeń nie istniał dotąd jasno a szeroko określony program wspólnej związkowej pracy. Wydział zbierał się, ilekroć nagromadziła się pokaźniejsza liczba kwestyi do załatwienia, kongresy zaś zwoływano wtedy, gdy tego wymagały poważne okoliczności i warunki zewnętrzne. W przyszłości ma pod tym względem nastąpić zmiana.

Olbrzymie zasoby sił i sfery interesów wspólnych mają być planowo i celowo ujęte ku wspólnemu pożytkowi całego zrzeszenia rob. chrześć. Drogi, jakiemi ma kroczyć praca reorganizacyjna i centralizacyjna, wytycza program na 17 stronach.

Czytamy tam najpierw o wspólnych „poglądach zasadniczych“ na lud, monarchię, własność prywatną, politykę przemysłową i socyalną w państwie i gminie i t. d. — O wspólnych „moralnych celach życia“ mówi program między innemi, że: „Dobrobyt publiczny nie jest bynajmniej wynikiem koniecznym naturalnego rozwoju“.

Nie można też go również osiągnąć ani go stale utrzymać na wyżynie zewnętrznymi środkami przemocy. Tu potrzebna jest dźwignia wewnętrzna w czystej moralnie woli. Tem przekonaniem przejęty Ruch robotn. chrześcij.-nacyonalny, uznaje za nieodzownie konieczną pracę moralnie-wychowawczą, którą za szczególne zadanie swoje przyjęły stowarzyszenia robotnicze, do Ruchu przynależne, oparte na gruncie wyznaniowym.

We wspólnem tem zadaniu spodziewa się Ruch rob. chrześć.

nac. otrzymać główny przypływ siły charakterów, mającej korzenie swoje w duchu chrześcijańskim"...

Drugi rozdział programu omawia inne „postulaty i zadania" wspólne. Na czoło wysuwa się tu równouprawnienie, zwłaszcza w uczestniczeniu w reformie praw państwowych, wyborczych i sądowych, w rozwoju oświaty ludowej i szkolnictwa w sferach ludowych i robotniczych; w uznaniu związków robotniczych, jako reprezentacyi zawodowych prawowitych, gospodarczych i socyalno-politycznych; w stworzeniu publiczno-prawnych reprezentacyi robotniczych na modłę izb zawodowych i z ich zadaniem; w ochronie, zabezpieczeniu, aprowizacyi, reformie mieszkań i t. d.

Rozdział trzeci obejmuje „podział pracy w ruchu związkowym chrześć.-narodowym". — Mowa tu jest o organizacyach zawodowych i wyznaniowych; o kongresach i zadaniach wydziałów.

W ostatniej części programu znajdujemy „Objaśnienia do poglądów zasadniczych". Jestto najbardziej zajmujący rozdział.

Wyrwiemy stąd choć kilka cytatów: „Życie społeczne żąda od poszczególnych stanów i grup poświęcenia się dla całości, odczucia społecznego i świadomości, że należy się do ogółu, oraz tego przeświadczenia, że osobiste interesy podporządkowywać należy pod wymagania sprawiedliwości i wspólnego dobra, żąda więc ograniczenia siebie.

Takie przymioty nie są darami natury; owszem, trzeba je wywalczyć na samolubnej naturze; są one dziełami wolnej woli, i cnotami, jako rezultat wychowania. Robotnicy chrześcijańscy akcentują to świadomie i z całym naciskiem (w przeciwieństwie do nieharmonizujących z życiem wyczekiwań socyalistyczno-materyalistycznych), że współdziałanie sił wychowawczo-moralnych w życiu społecznem, jako stała, wciąż odnawiająca się zasada, jest rzeczą wprost niezbędną, i tej prawdy strzegą. Aby takie sił zasoby zapewnić sobie, trwa Ruch robotniczy chrześć.-nacyonalny silnie przy zasadzie wspólności związków robotniczych wyznaniowych, które z tego punktu widzenia i dla tej łączności posiadają dlań najwyższą wartość. Bez pielęgnowania religijnych myśli i pobudek działania, stosunków i związków, — nie może być mowy o rozwoju harmonijnym wszystkich sił w jednostce, ani też o prawdziwie społecznem życiu.

Odrodzenie religijne w masach robotniczych (a tego żądali w ostatniej dobie nawet socyalistyczni pisarze) może, jak nas uczy doświadczenie, nastąpić w pełni i żywotnie trwać jedynie przez przynależność kościelną. Ruch robotniczy chrześć.-narodowy widzi też w ten sposób Kościół i państwo złączone we wspólnem kulturalnem działaniu i zaznacza swoje dążenie do tego, aby niemieckiemu życiu narodowemu dać pełnię swobody jego sił religijnych i kościelnych".

Oto zarys programu, rzuconego świeżo pod ocenę i krytykę społeczeństwa, za którą Wydział zrzeszeń robotniczych z góry chce być wdzięcznym. Dopiero po przejściu próby ogniowej krytyk i po zakończeniu wojny ma być niniejszy program ostatecznie zatwierdzony. O prędszem wprowadzeniu go w życie nie może być mowy już z tego względu, że z 1¼ miliona członków blizko 750 000 stoi dziś pod bronią. Ale zadania, jakie sobie wytycza program związkowy, są w istocie dalekosiężne, o szerokim rozmachu, i wielkiej wymagają pracy. Wątpić jednak nie wolno temu, któ zna dotychczasowe życie i dzieje związkowe, że ta nowa oryentacya nie zostanie tylko płodem literatury, lecz wprowadzona energicznie w życie zrzeszeń, podniesie rolę i znaczenie związków robotniczych chrześć.-nacyonalnych do niebywałej potęgi.

(Por. „Allgem. Rundschau" Nr. 37. z 16. września 1916, str. 650, artykuł Dr J. Bachem'a: Die christlich-nationale Arbeiterbewegung im neuen Deutschland).

N.

Opieka religijna nad uczniami handlowymi w Krakowie w czasie wojny.

Zorganizowaniem opieki religijnej nad uczniami handlowymi w Krakowie za inicyatywą niezapomnianej pamięci przyjaciela i opiekuna młodzieży ś. p. O. Stefana Bratkowskiego zajęła się w r. 1894 w jesieni Sodalicya maryańska kupców.

Najpierwszym krokiem na tem polu były nauki katechizmowe, miewane wieczorami w niedzielę w stowarzyszeniu kupców i młodzieży handlowej. W dwa lata potem (1896), dla lepszego zszeregowania uczniów, powołano do życia młodszą Sodalicyę maryańską kupiecką.

Naukę religii przeniesiono wkrótce do sal Wyższej Szkoły handlowej, gdzie odbywała się co drugą niedzielę przedpołudniem. Z powodu braku obszerniejszej sali znalazła się znowu przejściowo w sali stowarzyszenia. Ale lokal, przeznaczony do życia towarzyskiego, nie dawał nigdy należytego namaszczenia poważniejszej pracy duchowej. Z chwilą otwarcia gmachu Akademii handlowej grono poważnych obywateli kupców, zgrupowane w prastarej kongregacyi kupieckiej, Stowarzyszeniu kupców i młodzieży handlowej, oraz Sodalicyi maryańskiej kupców za pośrednictwem swoich delegatów powzięło myśl o donioślejszym planie, czyby nie dało się stworzyć regularnej przy tej instytucyi nauki religii, podzielonej według wieku uczniów, zwłaszcza, że kongregacya kupiecka uchwaliła zniesienie popołudniowych godzin sklepowych od 3—6-tej. Obrócono je więc na naukę religii i historyi kraju rodzinnego. Materyał religijny rozłożono wówczas za aprobatą Najprz. ks. Biskupiego Konsystorza na dwa kursa, na każdym co roku się zmieniający tak, że w czterech latach ogólnego wykształcenia handlowego ucznia obejmował całokształt nauk religijnych, a więc historyę biblijną, katechizm, etykę i wiadomości z historyi kościelnej. Stan ten nauki religijnej, uważano zawsze za próbę, rzecz przejściową do lepszych czasów dla sprawy katolickiej.

Po pewnej małej przerwie znalazła się chwila jeszcze korzystniejsza. Plany uzupełniającej szkoły handlowej zniosły we wtorki i piątki naukę popołudniową, Postarano się więc, aby w tę dni wykorzystać owe wolne godziny w dwóch już szkołach handlowych,: t. j. rządowej i miejskiej, na naukę religii, zostawiając uczniom wolne popołudnie niedzielne.

Gromadzenie atoli razem uczniów od 14 roku życia, często aż do 21 nie mogło korzystnie wpływać dla słuchaczów, przez trzy lub cztery lata słuchających jednego materyału naukowego, ani przywiązywać do samego przedmiotu. Zwłaszcza, gdy szkoły wymagały od uczniów ukończenia już najmniej 2 klas szkół średnich lub całej czteroklasowej wydziałowej.

Tak nas zaskoczyła wojna,

Pozamykano szkoły, życie w stowarzyszeniach katolickich ustało. A kiedy w połowie 1915 r. otworzono szkoły, stowarzyszenia odżywać poczęły, stosunki zgoła się zmieniły. Dlatego jednak nie można było śród rozprzężenia, jakie wojna w etyczne życie ludności wnosi, szybciej jeszcze niż kiedykolwiek dojrzewa-

jącej młodzieży pozostawić bez pierwiastku opieki religijnej. Owszem raczej wszelkiemi siłami należało ją podtrzymać.

Jak się więc dzisiaj w czasie wojny ta opieka przedstawia?

O przywróceniu bodaj we wtorki i piątki nauki religii nie można było rozumnie marzyć. Mogłaby to jedynie zrobić szkoła i to dla bardzo niewielkiej ilości swoich wychowanków, z wielkim i tak trudem ciągnąca orkę codziennej pracy. A liczba uczniów po sklepach krakowskich wcale nie malała. Zaczęto przyjmować jeszcze młodszych niż ustawa pozwala i bez należytych szkół, a cięższe na nich spadły obowiązki, gdy starszych uczniów, pomocników i szefów nawet powołano w szeregi armii lub dobrowolnie wstąpili oni w szeregi legionów. Praca bez wytchnienia pod okiem pani, w czasie wojny dopiero obznajmiającej się ze sklepem, lub przy współudziale żeńskiego personalu nie pozwala na wskrzeszenie pozaobowiązkowych kursów religii. A wobec stanu wojennego nie prędko, zdaje się, powrócą normalne stosunki.

Sodalicya maryańska uczniów handlowych, w najcięższych nawet chwilach dla Krakowa, żyła i wedle możności trwała na swem stanowisku, gromadząc swoich członków na zebrania i nabożeństwa.

Jedna z dodatkowych jej ustaw dozwala na pewne religijne opiekowanie się uczniami handlowymi w Krakowie na wypadek mianowicie, gdyby okoliczności nie pozwoliły na to innej, bardziej powołanej do tego instytucyi.

Choć dosłownie nie zaszła jeszcze ta okoliczność, to przecież przyłączenie pozostałej garstki członków Sodalicyi kupieckiej do Sodalicyi panów, a niemożność urządzenia wogóle kursów religijnych zadały pytanie: czy nie rozszerzyć chwilowo ram działalności tej Sodalicyi, nie ułatwić wpływu religijnego i przystępowania do Sakramentów ogółowi uczniów Wielkiego Krakowa?

W jesieni ubiegłego roku rozesłano okólnik do kupców zawiadamiający, że odtąd we wszystkie niedziele, dobrze już po uciszeniu pracy zawodowej, a w porze dającej możność przeważnej liczbie uczniów (o g. pół do 12-tej u OO. Dominikanów) wysłuchania Mszy św., a o kwadrans na 1-szą odbywać się będą stałe egzorty dla wszystkich uczniów handlowych w kościele Serca Jezusowego na Wesołej.

Podnieść należy z uznaniem, że panowie kupcy zrozumieli doniosłość sprawy. Uczniów swych zachęcili, a ci poczęli się

gromadzić na krótkie wspólne nabożeństwo, poprzedzające egzortę. Zajmowało to niewiele czasu, pół godziny, więc i młodzież nie czuła się przeciążoną. Liczba słuchaczy oscylowała, przeciętnie jednak do końca czerwca 70 uczniów korzystało z nauk. Trzy razy w tym czasie wspólnie przystępowali do Sakramentów t, j, z okazyi uroczystości Patrona młodzieży św. Stanisława Kostki (89), po trzechdniowych rekolekcyach w poście (131) i w lipcu na zakończenie nauk (67), Wspólnie z Sodalicyą mieli wycieczkę towarzyską w lipcu do puszczy Niepołomickiej, oraz choinkę, urządzoną w niedzielę po 3 Królach przez Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej.

Choć liczby dają pojęcie o potrzebie religijnego elementu w życiu tych chłopców, to przecież są one także świadectwem obojętności dla wychowania ich religijnego. Stanowią one bowiem trochę więcej niż połowę katolickich uczniów pracujących w handlach,

Ale też jeśli kupcy poczciwie dbali o religijne wychowanie swoich uczniów, to ze strony ich rodziców mogliśmy zauważyć zaniedbanie zupełne tej najważniejszej strony życiowej w rozwoju ducha młodzieńczego. Owszem, rodziny wprost uniemożliwiał nawet chętnym spełnianie obowiązków religijnych. Stąd chłopcy, zostający na stancyach u swoich szefów, a dobierani przeważnie z porządniejszych z prowincyi rodzin, byli zawsze sumienniejszymi w spełnianiu obowiązków religijnych, podczas gdy dochodzący do sklepów tylko sporadycznymi. Stąd poziom moralny i edukacyjny tamtych wiele wyżej stał, niż tych. Rodzice, oddając dziecko na naukę kupiectwa, z bardzo małymi wyjątkami, zrzucają wogóle ze siebie obowiązki wychowawcze, patrzą jeno na zarobek dziecka, a niestety nawet na niesumienne dostarczanie artykułów sklepowych do ogniska rodzinnego. Chłopcy ci bez nadzoru, rozbawieni tak często po ulicach miasta, kinach i teatrach za wspólny grosz, uzupełniany wielokrotnie z kasy sklepowej, nie mogąc w chwilach rozwoju znaleźć środków równowagi ducha w rodzinie ani kościele, nie stanowią dobrego materyału zawodowego. Ponieważ są niesumienni, niezadowoleni więc przewłóczą się z firmy do firmy, zmieniają nawet swój zawód i marnieją. Ale też jest to typ wyraźny wychowania półulicznego lub suterenowego. Jeśli zacność wyjątkowa i karność szefa sklepu nie przyjdą tu z pomocą, nie znajdą oni nigdy miejsca w uczciwem mieszczańskiem

obywatelstwie: Rodzice muszą zrozumieć swój obowiązek i spełnić go dla Boga i Ojczyzny.

W ciągu tej opieki religijnej ze strony Sodalicyi okazała się konieczność pewnej kontroli. Raz dla zdania sobie jasnego sprawy z pewnej trafności zarządzenia, powtóre dla tego, że wielu bardziej dbałych kupców od czasu do czasu żądało wiadomości o uczęszczaniu swych uczniów.

Jak się ta kontrola przedstawia?

Jest ona czysto koleżeńską. Kapłan, moderator Sodalicyi, ma oko nad wszystkiem, ale bezpośrednio wykonuje ją Sodalicya przez swój wydział, tj. starszych uczniów jako uznania i zaufania godniejszych, wybieranych przez grono kolegów. Oni prowadzą w każdą niedzielę katalog uczęszczających, pilnują porządku przy nabożeństwach i spowiedzi, odbierają kartki od spowiedników, liczą je i zdają sprawę na wydziale Sodalicyi. Dzieje się to z wielkiem obopólnem zadowoleniem i zaufaniem, dalekiem od rutyny przymusowej, a sumiennem. Utrzymuje to ducha koleżeńskiego, starszym jedna powagę i wprawia od młodości do spełniania sumiennego pozaobowiązkowych publicznych zobowiązań.

Tak się więc w czasie wojny przedstawia w naszem mieście opieka religijna nad uczniami handlowymi.

Nieszczęśliwe chwile, jakie społeczeństwo nasze przeżywa, stały się doskonałym probiežem wartości jego warstw i jednostek. Wojna pozostawi nam niejedną naukę. A najważniejszą z nich, że okazała wartość rzetelną sumienia i ludzi, niem się kierujących. Oni bowiem stanowią ostoję każdego narodu, którą samolubne cele podkopują, niszczą a hańbią na zewnątrz.

Ale sumienia bez zasad religijnych i wyższych a nadprzyrodzonych pobudek pojąć praktycznie — prawie że nie można. Stąd dziś większej potrzeba czujności pod względem wychowania młodzieży dla dobra przyszłości naszej ojczyzny. Obyśmy się doczekali tak pomyślnych czasów, by nauka religii znalazła się jako przedmiot obowiązkowy w planach regularnej nauki szkół handlowych, przynajmniej podobnie, jak to jest w praktycznych szkołach przemysłowych. Tymczasem wszyscy muszą sobie podać rękę.

W tym roku również od 12 listopada otwieramy znowu niedzielne egzorty dla uczniów handlowych, które odtąd co niedziela odbywać się będą regularnie o g. kwadrans na 1-szą w kościele OO. Jezuitów na Wesołej.

A mamy nadzieję, że obok życzliwości kupców i szkół handlowych, znajdziemy również upragnioną współpracę rodziców i opiekunów tych chłopców.

X. Jarosław Rejowicz.

Z korespondencyi redakcyjnej.

Szanowna Redakcyo!

W zeszycie 8—9 1916 r., „Przeglądu Powszechnego", ks. Ernest Matzel, rozważając sprawę Unii schizmy w Bułgaryi z Kościołem rzym. katol., jaka w XIX. stuleciu rozwijać się zaczęła na półwyspie Bałkańskim, mówi o ks. Józefie Sokolskim, Bułgarze, który przystąpił do Unii, wówczas kiełkującej w Bułgaryi i jako archimandryta został wyświęcony na arcybiskupa unickiego dla Bułgarów w Rzymie, przez Piusa IX., dnia 14. kwietnia 1861 r... Był to już wtedy starzec prawie ośmdziesięcioletni. Rządy jego w tworzącej się dyecezyi unickiej, Bułgarskiej, nader krótko trwały. Przybył on do Konstantynopola zapewne w pierwszych dniach maja 1861 r., a po paru miesiącach znika w sposób tajemniczy... Ks. Matzel powiada, iż wpływy przemożne rosyjskie podkopywały zawiązującą się i zaczynającą krzewić się unię w Bułgaryi, czego wynikiem było, iż arcybiskupa J. Sokolskiego usunięto przemocą, czy sam się usunął..

To przypuszczenie, iż sam się usunął, i zerwał z unią i rzucił się w objęcia schyzmy moskiewskiej, nie jest zgodne z rzeczywistością i ubliżałoby pamięci tego nieszczęsnego starca, gdyby było prawdą. Pragnąc wyświetlić zagadkowe zniknięcie arcybiskupa Sokolskiego, uprzejmie proszę Szanowną Redakcyę o umieszczenie mego wyjaśnienia, które opieram na relacyi słyszanej z ust śp. biskupa *rit. lat.*, Franciszka Malczyńskiego, naszego ziomka, który był niegdyś dodany przez Stolicę Apost. ks. arcyb. Sokolskiemu do pomocy, i po jego porwaniu przez Rosyę rządził misyą katolicką, unicką w Bułgaryi od roku 1861 do 1867[1]).

[1]) Ks. Franciszek Malczyński, kapłan, uprzednio *rit. gr.*, potem *rit. lat.*, był od roku 1870 aż do zgonu w r. 1908 biskupem *rit. lat.* dyecezyi Allèssio

Moskwa, zawsze z niezmierną zaciekłością prześladująca katolicyzm, szczególnie jeżeli on ubrany w szatę wschodniego obrządku, postanowiła w samym zarodku Unię w Bułgaryi stłumić, bez względu, iż kraj ten wówczas należał do Turcyi. Ze zwykłą sobie perfidyą zabrano się do tej sprawy. Poseł rosyjski otoczył dobrodusznego starca, arcyb. Sokolskiego wytworną uprzejmością, mówił mu dużo o braterstwie słowiańskiem, o gotowości całej Rosyi do przyjęcia Unii, co może lada chwila nastąpić... a wreszcie, w pierwszych dniach lipca 1861r. zaprosił go na obiad, który miał się odbyć na parowcu rosyjskim, świeżo przybyłym na wybrzeże Bosforu. Rzeczywiście, na pokładzie parowca podejmował poseł ucztą braterską ks. arcb. Sokolskiego, a po jej ukończeniu zaproponował zwiedzenie wspaniale urządzonych kajut statku. Gdy wprowadzono starca do jednej z sypialni, gospodarz ze swą świtą dyskretnie usunęli się, zamykając drzwi za sobą, a gość pozostał w kajucie i ku wielkiemu zdumieniu swemu poczuł chwianie się statku... Parowiec odpływał z Konstantynopola... Wszelkie wołania o pomoc zdradziecko uwięzionego starca pozostały oczywiście bez skutku. Po paru godzinach, gdy parowiec był już na pełnem morzu, odemknięto kajutę i oświadczono mu, że płynie do Rosyi, która jest macierzą i opiekunką ludów słowiańskich, gdzie go otoczą wszelkimi względami.

Po wypoczynku niedługim w Odesie, napozór na wolnej stopie, w rzeczywistości zaś pilnie strzeżony, zawieziony został do klasztoru na Pieczarach, w Kijowie. Z rzeczonego monastyru już do Bułgaryi więcej nie wrócił, acz żył jeszcze bardzo długo. W Kijowie miał możność komunikowania się z młodymi ziomkami swymi, których rząd rosyjski sprowadzał do swego państwa i kształcił, przygotowując dla siebie — jak mniemał — przyszłych stronników. Za pośrednictwem tej młodzieży bułgarkiej nieszczęsny więzień Pieczarskiego monastyru kilkakrotnie przesyłał wieści do swej ojczyzny i donosił o swych smutnych dziejach...

Wśród owej młodzieży był Stambułow, przyszły minister i wybitny działacz polityczny w Bułgaryi. Losy jego ziomka, arcybiskupa, wcześnie go nauczyły, czem jest Rosya, i ochroniły

---

(Alexinum) w Albanii. (Patrz mój artykuł o nim w Encyklop. Wiel. Ill. T. 45—46 *sub voce* „Maleczyński").

w przyszłości, gdy zajął w Bułgaryi stanowisko wybitne, od wszelkich złudzeń.

Losy dalsze ks. arcyb. Sokolskiego nieznane. Mury ponure monastyru Pieczarskiego nie zdradziły tajemnicy tych losów... Około r. 1873, kiedy unia była wytępiana w Chełmskiem i na Podlasiu, a ks. biskup chełmski, unicki, Kuziemski przeniósł się do Galicyi, Moskwa, udając troskliwość o alumnów seminaryum unickiego w Chełmie, sprowadzała na dni kilka z Kijowa do Chełma ks. arcb. Sokolskiego, dla wyświęcenia kleryków rit. gr.. Gazety ówczesne rosyjskie pisały z udaną życzliwością, iż starzec dziewięćdziesięcioletni nie wahał się odbyć tej podróży dla dobra cerkwi"... Nie dodano wszakże, że ów starzec był więźniem monasteru Pieczarskiego, pozbawionym możności samodzielnego czynu.

W tem wożeniu do Chełma ks. Sokolskiego była ukryta zwykła przewrotność rosyjska. W danej chwili, wyświęconym przez ks. arcb. Sokolskiego neopresbiterom można było powiedzieć: jesteście kapłanami prawosławnymi, wyświęcił was bowiem biskup z klasztoru prawosławnego, Pieczarskiego, w Kijowie... Tak też i mówiono...

Wiadomość o podróży ks. arcb. Sokolskiego z Kijowa do Chełma — pierwsza to i ostatnia wzmianka o nim w dziennikarstwie rosyjskiem. Zupełne milczenie okryło chwilę jego zgonu, podobnie jak wiele innych zbrodni, dokonanych przez Rosyan na polu religijnem i politycznem... Mniemam, że fakta, tu przeze mnie przytoczone, dowodnie przekonały, iż ks. arcybiskup bułgarski, unicki, Józef Sokolski niedobrowolnie opuścił Bułgaryę i swe stanowisko wysokie w Kościele katolickim rit. gr. — i że niema dowodów, by nieszczęsny starzec, ofiara przekonań religijnych, przeszedł do schizmy. Rehabilitacyę pamięci owego męczennika, wobec faktów tu przytoczonych, mniemam, iż można uważać za rzecz dokonaną.

W Krakowie, w październiku, 1916 r.

Maryan Dubiecki.

Wyjaśnienia powyższe, podane przez p. Maryana Dubieckiego; celem rehabilitacyi ks. arcybiskupa Sokolskiego, są bez wątpienia

cennym przyczynkiem do historyi Unii w Bułgaryi. Czy jednak usuwają wszystkie nastręczające się pytania co do stałości arcybiskupa Sokolskiego, i czy uprawniają nas do uczczenia go szczytnem mianem „męczennika“, to nie jest jasnem wobec jego zachowania się w sprawie święceń w Chełmie, o których czytamy w dziele ks. J. O. B. „Czasy Nerona w XIX. wieku pod rządem moskiewskim, czyli ostatnie chwili Unii w dyecezyi chełmskiej.“ Fakta, zebrane przez kapłanów unickich i naocznych świadków. Lwów 1878. (str. 94—95):

„Oprócz księży wyświęconych, których dosyć z Galicyi przybywało i dotąd przybywa, mnóstwo hołoty z bruku Lwowa, Przemyśla, Kołomyi i t. d. także się wyprawiło na misyonarzy do Chełma. Przyjmowani byli do seminaryum bez żadnych dowodów, a w potrzebie święceni na księży. Nieraz ledwie parę lat się uczyli, a bywało i tak, że po upływie kilku miesięcy nauk święceni byli przez sprowadzonego z Kijowa Bułgara: Józefa Sokolskiego. Jest jego własnoręczny list, pisany z Kijowa do ks. Gagaryna, Jezuity w Paryżu, w którym wyraźnie oświadcza, że nie zapomniał, kto go na biskupa konsekrował. Wyświęcony on był w Rzymie na katolickiego biskupa dla Bułgaryi, ale od wielu lat mieszkał w Kijowie, w schizmatyckim klasztorze, i odprawiał tam nabożeństwo. Z górą stu już takich pseudo-apostołów poświęcił Bułgar. Święcenie odbywało się nie należycie, to jest nie było wyznania wiary i nie było przysięgi kapłańskiej, i nie było nawet włożenia rąk, gdyż bliźko stuletni starzec nad 20 lub więcej naraz się święcącymi tylko wyciągał ręce, nie dotykając się ich z osobna wcale. Po wyświęceniu każdy taki kapłan dostawał w podarunku wszystkie potrzebne książki do nabożeństwa edycyi schizmatyckiej — i tych tylko wolno mu było używać na potem. Wysyłano zaraz takiego szermierza na parafię. Łatwo sobie wyobrazić zachowanie się podobnych ludzi na urzędzie kapłańskim. Ci przybłędy brudno nieraz przedstawiali swoją moralność jeszcze w czasie pobytu w seminaryum. Były wypadki, że pociągano ich za przywłaszczenie sobie cudzej własności; siedzieli czasem na odwachu w Chełmie za burdy karczemne, będąc karani przez policyę...“

Od męczennika za sprawę Unii należałoby w takich warunkach domagać się innego postępowania. Trudno zaś przypuścić, że arcyb. Sokolski w tem wszystkiem działał w dobrej wierze. Wobec

przymusu męczennik woli umrzeć niż sprzeniewierzyć się prawu Kościoła katolickiego i działać na jego szkodę. Rehabilitacyę arcyb. Sokolskiego dopiero po wyświetleniu tych faktów będzie można uważać za dokonaną.

Ks. Ernest Matzel.

Na powitanie państwa polskiego.

Głosy zagranicy.

„Rzecz nieprawdopodobna staje się często najprawdopodobniejszą — mówi przysłowie sławnego i wielkiego narodu, a sprawdza się ono zupełnie w obecnem odrodzeniu Polski. Historya świata stwierdziła w tym wypadku, że samodzielnie tworzy — i ukazała nam, jak samo z siebie powstało to, nad czem sławni dyplomaci przez długi czas daremnie się trudzili. Musimy teraz przyznać, że słuszność mieli Polacy, gdy, uniesieni mistyczną wiarą w przyszłość swej ojczyzny, nie wątpili o jej losie, który, po prostu, rozpaczliwym się już zdawał. Ten fakt znowu nam przypomina prawdziwość znanej zasady polityki konserwatywnej, że narodów i państw wytępić niepodobna, albowiem żyje w nich jakiś duch nieśmiertelny. Słusznie o nich napisano, że mają swego opiekuńczego ducha, wybranego z chórów anielskich, który ich strzeże, podobnie jak poszczególnych ludzi. — Wyrażając to filozoficznie, powiedzmy: w narodach i państwach żyje odwieczna, twórcza i nieprzebrana w swych przejawach idea ludzkości, która w tym lub owym narodzie, czy państwie znajduje swój konkretny wyraz. Do kompletu tych różnych przejawów potrzeba było także polskiej idei, którąby ze swemi charakterystycznemi cechami stanęła w rzędzie innych narodowości.

Kto tylko zna literaturę polską, ten wie, że naród ten ma do spełnienia swe własne zadanie i posłannictwo, którego

mu odebrać nie może żaden inny naród — a tem mniej o wiele niżej stojący naród moskiewski, który wszystko, co jest słowiańskie — a nie moskiewskie, pragnie wytępić, jak to swego czasu prof. Mitrofanów otwarcie przyznał. — Państwo, które od ciemiężonych przez siebie Rusinów wzięło nazwę, im wyłącznie należną, aby ich zmoskwiczyć, nie jest wcale państwem panslawistycznem. Dlatego to wskrzeszenie państwa polskiego jest przedewszystkiem wyzwoleniem Polski z moskiewskiego systemu tępienia i rusyfikacyi.

Najwspanialszym dowodem niespożytości państwa, które prawdziwie samo z siebie powstało, jest to, że historya Polski po utracie jej niepodległości i jedności państwowej zaczyna być jeszcze bardziej interesującą, wznioślejszą i wspanialszą, aniżeli nią była kiedyś za czasów, w których Polska należała do wielkich mocarstw. — Może mniej jest to znane, że duch zgasłej pozornie państwowości polskiej o wiele potężniej podziałał na losy Europy, niż rewolucya francuska... bo właśnie kwestya, z powodu rywalizacyi trzech mocarstw zaborczych, była tem, co uniemożliwiło wspólny ich krok energiczny przeciw Jakobinom — i sprawiła, że zarzewie, które mogło być łatwo w zarodku stłumione, wybuchło pożarem, cały świat ogarniającym.

Odrodzenie Polski utrudniały zewnętrzne jej stosunki, a przedewszystkiem zależność od trzech państw zaborczych, które nie dopuszczały do rozwiązania kwestyi. Jedyna sposobność do tego nadarzyła się w czasie wojny krymskiej, albowiem wtedy — według wyrażania się węgierskich emigrantów — łatwiej było trafić Rosyę w samo serce przez wyswobodzenie Polski, aniżeli drasnąć ją tylko w palec u nogi, przez uderzenie na Sebastopol... Austrya, w każdym razie, byłaby wtedy najprawdopodobniej gotową do tego, tylko rząd pruski (ale nie całe Niemcy) sprzeciwił się temu. Przyłączyła się jeszcze nieudolna polityka mocarstw zachodnich, które cieszyły się tem, że także Rosyi udało się zdobyć małą twierdzę turecką, i że zdołały ją nakłonić do zawarcia honorowego pokoju. — Tak więc nie skorzystano wtedy ze sposobności, jaka się nasuwała

do oswobodzenia Polski. Zupełnie poprawne, acz mało znane, było w tym wypadku zachowanie się Austryi: Jest bowiem faktem, że wymarsz wojsk austryackich na wschodnią granicę państwa rozstrzygnął wtedy o pogromie Rosyi i uwolnił w ten sposób Austryę wraz z całą Europą od grożącej im hegemonii rosyjskiej.

Dopiero obecna wojna światowa nastręczyła znowu podobną sposobność, jak podczas wojny krymskiej. Oba mocarstwa centralne stanęły tym razem obok siebie po stronie Polski. Prawda, że państwa zachodnie wskutek szalonego przeoczenia zbłądziły i znalazły się po stronie przeciwnej; ale też stanowczo nie mogły być przez nic innego bardziej zaskoczone, jak przez to, że oswobodzenie i wzmocnienie niepodległej Polski, o którem przed stu laty tyle w ich parlamentach rozprawiano, dokonane zostało wbrew ich woli i przeciw ich rzekomo wolnościowym zasadom.

Religia i kultura — dwa opiekuńcze anioły Polski — święcą w jej zmartwychwstaniu swój tryumf. Zaiste, nie napróżno rozwinięto w tym kraju po prostu nadludzką i przez cierpienia polityczne jeszcze bardziej wzmożoną pracę kulturalną na każdem polu sztuki, literatury i postępu. Duch i tym razem utworzył sobie ciało i zdobył sobie państwo, a idea stała się rzeczywistością. Piewcy polscy mogą znów układać hymny pochwalne ku czci Boga, jako dobrotliwego ojca, a nie przedstawiać Go jako okrutnego cara. Teraz już Królowa Korony Polskiej, tak mistycznie a trafnie wymalowana przez Matejkę, może już spokojnie zasiąść na swym tronie, oswobodzonym z rosyjskiego jarzma — wszystkie zaś narody i państwa mogą powitać w zmartwychwstałej Polsce swą wolną i prawowitą siostrzycę. *Dr Ryszard Kralik.*

W dniu ogłoszenia niepodległego państwa polskiego, — w chwili, w której jesteśmy świadkami ważnego w historyi świata zdarzenia — spieszę z wynurzeniem moich najgorętszych życzeń. Miejmy nadzieję, że to nowe ułożenie rzeczy zapewni teraz obu narodom trwałą pomyślność! Niezmiernie wiele pracy

czeka nas obecnie. Wszystko, co ją dotąd hamowało lub do rozdwojenia między nami wiodło, należy usunąć, a każde usiłowanie z ufnością ku lepszej przyszłości skierować i nad tem pracować, co może przyczynić się do obopólnego zrozumienia się, oraz pomódz nam — nie do zwalczania się na zewnątrz — ale do wzajemnego wyprzedzania się w pracy kulturalnej. Spodziewam się, że zgłębianie nauk filozoficznych i wogóle praca naukowa posłuży na przyszłość do zacieśnienia węzłów przyjaźni pomiędzy obu narodami.

Rudolf Eucken.

Biały papież czy biały car?

Z wielu stron, jak jesienną nocą nietoperze, nadbiegły wieści, że w gronie tych Polaków, co razem z armią rosyjską wywędrowali do Rosyi i tam wyczekują polskiej autonomii, wyłonił się kierunek, dążący do tego, by Kościół katolicki w Polsce zamienić na kościół narodowy. Jak tylko pod berłem Romanowów zjednoczy się Polska cała od Gdańska, Poznania i Wrocławia, aż po Litwę, Wołyń i Przemyśl, w tej samej chwili nastanie nowa epoka odrodzonej Polski. Będzie narodowy kościół, będzie polski auto-papież w Warszawie — Rzym, Watykan i ultramontański papież zostaną za rogatką granicy.

Tych panów, tak myślących. jest niewielu — ich plany i wysiłki, artykuły po pismach i konszachty z rządem rosyjskim są wiotką pajęczyną, którą pierwszy powiew życia zdmuchnie i rozwieje. Zdawałoby się zatem, że możnaby cały ten ruch puścić w niepamięć.

A jednak tak nie jest. Można oszczędzić kompromitacyi nazwiskom i pominąć je milczeniem, ale ruchu takiego ignorować nie wolno. Dlatego nie wolno, bo w tak doniosłych sprawach nawet najlżejszym wykroczeniom jak najsilniej przeciwstawić się trzeba. Tembardziej, że choć w przyszłość możemy spoglądać z ufnością, nie możemy jednak za nią ręczyć bezwzględnie.

Zasadniczem omówieniem koncepcyi kościoła narodowego zajmie się pismo nasze wkrótce. Dziś, jako wejście w tę dyskusyę, poruszamy pewne tylko objawy tej idei, usiłujące nawiązać nici z polskością.

Nazwa „Kościół narodowy" nie pokrywa się z ideą takiego Kościoła, który w liturgii i ceremoniach uwzględnia język narodowy i narodowe zwyczaje. Uwzględnia je także i Kościół katolicki, w różnych miejscach w większym lub mniejszym stopniu, zależnie od warunków lokalnych i tradycyj historycznych. Ta zaś cząstka języka łacińskiego, która wszystkim krajom katolickim jest wspólną, tak nic nie przeszkadza narodowemu charakterowi poszczególnych krajów, a takie dobra, ze wspólności płynące, ze sobą przynosi, że nie warto w tej sprawie wielu słów tracić. Powstający kościół narodowy wprowadziłby zapewne te i tym podobne zmiany językowe i zwyczajowe — ale nie w tem tkwi jego istotne znamię. Kościołem narodowym, takim, o jaki w tej kwestyi chodzi, jest ten, który rządzi się własnymi prawami, w jak największem, lub nawet zupełnem odłączeniu od środka danej jedności religijnej. W naszym wypadku wchodzi w grę ta skrajna ostateczność; w zamiarze inicyatorów tego ruchu jest całkowite odłączenie kościoła polskiego od papieża.

Dlaczego ci panowie chcą zerwać z papieżem?

Oczywiście, w imię polskości!

Tak postawiony problem może mówić dużo, ale może i nie mówić nic. Gdyby, naprzykład, ktoś zapragnął na fundamencie utopij polskiego mesyanizmu czy towianizmu budować kościół, i sądził, że to będzie polski kościół, bo Towiański czy człowiek innego nazwiska był Polakiem, ten musiałby się spotkać z zarzutem dzisiejszego budysty lub starożytnego gnostyka lub nawet któregoś z dzisiejszych istinnoruskich ludzi, że to ich kościół, bo towianizm czy mesyanizm z ich wierzeń i przekonań pełnymi rękami czerpały. Gdyby znowu wystąpił na widownię przedstawiciel tego kierunku, który chce wszystkie objawy życia unarodowić, a więc chciałby mieć i polskie logarytmy i polskie gwiazdy, a nawet i polskie bańki

mydlane, temu, na takie utopijne kaprysy, trzebaby powiedzieć, że młodzi ludzie muszą długo żyć i dużo się uczyć, zanim wezmą się do rezonowania o religii.

Najgłębszą i najpowszechniejszą pobudką, która pod tem dążeniem się kryje, jest to przekonanie, że razem z osadzeniem środka jedności religijnej w głębi kościoła polskiego, na polskiej ziemi, nastąpi wzmożenie siły narodowej, że taka siła, jak prąd religijny, skierowaną będzie wtedy na młyn narodowego rozwoju i dobrobytu. Upaństwowienie i unarodowienie kościoła ma wzmocnić naród i przyszłe państwo.

Gdyby w dniu dzisiejszym miał rozpocząć się świat i jego historya, możnaby może usprawiedliwić, że ktoś przez chwilę powątpiewa o słuszności czy niesłuszności takiego programu. Historya jednak zbyt wymownie poucza, jaki los pisany jest kościołom narodowym. Protestanckie kościoły narodowe, narodowe kościoły wschodnie, wszystkie bez wyjątku poszły tą samą drogą: prędzej czy później kościół taki podpada pod całkowite władztwo państwa; wskutek rozmaitych wpływów i zarządzeń państwa zanika coraz bardziej w tym kościele siła i idea religijna; wkońcu wskutek braku pierwiastka ożywczego i jednoczącego, jakim jest papież, przychodzi rozstrój wiary i całkowita martwota religijna. Koniec ten, że nietylko nie dodaje religia siły państwu, co było zamiarem, ale i sama zamiera; rozsypuje się wiara, podupadają obyczaje; co miało być siłą państwa, staje się jego słabością.

Każdy, znający choć powierzchownie historyę, wie, co działo i dzieje się z kościołem wschodnim. Zaczęło się to już w zaraniu tego kościoła w Bizancyum. Cesarze, stawszy się głową tego kościoła, byli najwyższymi sędziami w sprawach wiary a z urzędu tego wywiązywali się i w ten sposób, że słuszność przyznawali herezyom i herezyom tym użyczali całej siły państwowego poparcia, wystawiając temsamem resztkę wiernych chrześcijan na najcięższe nieraz prześladowania. Decydowali o dogmacie, o liturgii, o kanonach, o całym składzie hierarchii, przyczem zdarzało się bardzo często, że stolica patryarsza i stolice biskupie obsadzane były ludźmi

najgorszymi, nic wspólnego z dostojeństwem kapłaństwa niemającymi, świętokupcami, eunuchami dworskimi i dworskimi faworytami. Po upadku Bizancyum, kościół wschodni rozszczepił się na tyle kościołów. znowu kościołów narodowych, ile powstało na tem terytoryum państw, w których sprawa religii podobnym toczyła się biegiem. Papieżem lokalnym stał się car czy hosudar, a pod takiem władztwem zmieniał się każdy z tych kościołów, w mniejszym lub większym stopniu, w stek zabobonów, ciemnoty, nieuctwa i moralnej zgnilizny. Iluż szlachetniejszych Rosyan wyznawało z bolem przed światem, iż w cerkwi prawosławnej niema duszy.

To samo trzeba powiedzieć o narodowych kościołach protestanckich. Wobec naczelnej zasady protestantyzmu, że wiara zbawia, nie uczynki, z góry wykluczonem jest doszukiwanie się jakiegokolwiek wpływu tych kościołów w życiu i w czynie. Co się zaś stało z wiarą, z powodu braku tej siły, jaką jest papież, to oglądamy własnemi oczyma, gdy najistotniejszy dogmat chrześcijaństwa, Bóstwo Chrystusowe, kwestyonowanym jest dzisiaj z katedr teologii protestanckiej.

Przyczyna tego zjawiska jest jasna jak na dłoni. Każdy zakres życia i pracy musi stać i rozwijać się na własnej zasadzie — inaczej marnieje. Gospodarstwo musi być gospodarstwem, handel handlem, nauka nauką — i dopiero wtedy, gdy każdy wydział życia publicznego rozwija się w swoim zakresie, składa się dodatni wynik całości życia. Gdyby ktoś narodowe czy państwowe tendencye chciał narzucić nauce, to tylko naukę wypaczy, zrobi z niej kłamliwą niewolnicę, szowinistyczną zelotkę, tendencyjną agitatorkę. Może być, że taka tendencyjna nauka dopomagać będzie przez jakąś chwilę narzuconym jej celom, trwać to jednak może tylko przez krótką chwilę. Każdy domaga się od nauki bezwzględnej prawdy i jak największego objektywizmu a od tendencyjnego kłamstwa z niechęcią prędzej czy później się odwróci.

To samo sprawdza się na religii, oderwanej od swoich podstaw i naginającej się do innych celów, a sprawdza się tem dotkliwiej, im tkliwszym narządem duszy ludzkiej jest

religia i im trudniej, jako duchowy czynnik, ulega bezpośredniej kontroli. Albo religia będzie tylko ugruntowaną w swoich zasadach i celach religią — a wtedy jest siłą uszlachetniającą i wzmacniającą wszystkie zakresy życia — albo jest oderwaną od swojej podstawy i ma poza sobą inne cele a wtedy mniej lub więcej przestaje być religią i przestaje być siłą.

Sprawdza się to na każdej religii, ale sprawdza się szczególniej na religii chrześcijańskiej, zwłaszcza wtedy, gdy atakowane jest jej najistotniejsze znamię: związek z papieżem. Nawet ci, co nie rozumieją głębszego znaczenia papiestwa, i na papieża patrzą tylko jak na każdego zwierzchnika danej społeczności, muszą uznać, dla powyżej podanych przyczyn, bezwzględną niezbędność papiestwa dla zdrowego rozwoju religii. Bez papieża nie może zajść żadna zmiana w katolicyzmie a ten papież jest ponad wszelką władzą państwową. I samo to, że ten papież jest *ultra montes*, że lokalny władca państwowy nie ma go na swojem terytoryum i temsamem nie może go naginać do swoich celów, to samo świadczy, jak zbawienną dla zdrowia katolickiej religii jest nadnarodowość i nadpaństwowość papieża. Jeżeli kto, to Polacy porozbiorowi powinni mieć jasną świadomość tej prawdy, gdy ten katolicyzm, który był im najsilniejszą ostoją w prześladowaniach, był nią także dzięki temu, że miał głowę swoją w Rzymie. Pięknie wyglądalibyśmy, gdybyśmy w tym okresie byli już uszczęśliwieni kościołem narodowym i gdyby głowa tego kościoła rezydowała w Warszawie.

Cóż dopiero, gdy weźmie się pod uwagę papiestwo w swej istocie! Należy to już do szerszego roztoczenia sprawy, które zostawiamy innemu piórу; w tem miejscu wystarczy zaznaczyć, że bez papieża niema religii Chrystusowej. Chrystus w ręce papieża złożył w swym Kościele całą władzę, wszelkie światło wiary, wszelką łaskę nadprzyrodzoną — papież jest i głową i sercem tego ciała mistycznego, jakiem jest Kościół katolicki. Poza tą głową jest tylko odstępstwo od Chrystusa, schizma i śmierć. Taką jest wola i ustanowienie Chrystusa,

by Piotr i każdy jego następca, każdorazowy papież był opoką, na której zbudowanym jest Kościół. Jasno przedstawiło to niedawno nasze pismo: „Chrystus napełnił Piotra a w nim każdego papieża nadziemskiem światłem i nadprzyrodzonem życiem, a potem rozkazał: promieniuj władzę, światło, łaskę: wszelka władza w Kościele moim z twojej wypływać będzie; wszelkie światło nadprzyrodzonej wiary z twojej światłości tryskać nie przestanie; wszelkiej łaski w Kościele mojim nagromadzonej ty będziesz szafarzem; za twojem pośrednictwem ona na ludzkość spływać będzie. W ten sposób, jak swoje światło skupił w swym żywym pryzmacie, papieżu, tak i zdroje swych niebiańskich darów przelał w ich życiodajną krynicę, jaką jest papież. Wszystko idzie z papieża. On stwarza dalej i rozszerza Kościół, z Kościoła i przez Kościół oświeca i uświęca dusze, społeczeństwa, ludy, narody; jest on węgłem, podwaliną Kościoła — zatem i rodu ludzkiego, który w zamysłach Chrystusa winien wejść w skład Kościoła. To też jak niemasz zbawienia poza Chrystusem, tak i poza jego namiestnikiem — dla tych, którzy z zawinioną świadomością nie pozostają w łączności z papieżem".

Oto, w najgłówniejszych liniach obraz tej budowy, jaką wznieść zamierzają polscy architekci. Z dzisiejszego polskiego kościoła powstałby schizmatycki zbór, który od pierwszej chwili istnienia rozpocząłby się staczać w odmęt błędu, rozkładu i śmierci. Ultramontański papież pozostałby poza rogatką kordonu polsko-rosyjskiego, ale wraz z nim pozostałby i Chrystus.

Na koniec jeszcze jedno pytanie: Kto jest bardziej polskim, czy każdorazowy papież w Rzymie, czy ewentualny zwierzchnik kościoła narodowego w polsko-rosyjskiej Warszawie?

Sam język nie tworzy narodowości; na pojęcie narodowości składają się także tradycya, historya, kultura. To wszystko szło do Polski z Rzymu przez lat tysiąc; tysiącoletni stygmat katolicyzmu to nieodłączna część duszy narodowej.

W tem tysiącoleciu przyszła najpierw wiara, potem korona, potem oświata i kultura — wszystko, co wytworzyło duszę narodu polskiego i wytyczyło jego misyę historyczną. Tam w najcięższych chwilach była siła nasza i ostoja, światło i pomoc. Ileż razy zwracały się umysły i serca polskie ku Rzymowi, jako ku ostatniej desce ratunku, jako ku przystani zbawienia doczesnego i wiecznego! Jak polskim jest Bóg ojców naszych, jak polską jasnogórska Królowa korony polskiej, jak polskiem jest niebo, w którem przebywają Święci polscy, tak i polskim jest Rzym i polskim papież.

Gdyby w połsko-rosyjskiej Warszawie zaczął kiedyś rezydować zwierzchnik kościoła narodowego, to choćby błyszczał najpierwszem polskiem nazwiskiem, byłby, mimo to, obcym duchowi polskiemu schizmatyckim popem — w drugiem zaś pokoleniu, właściwą głową tego schizmatyckiego Kościoła byłby biały car.

Ks. J. Pawelski.

Barokowy poemat o Bożem Narodzeniu.

I.

Podziwiając niezwykłe bogactwo naszych kolend, zapominamy przytem, że żadna może z tajemnic zbawienia nie znalazła tylu piewców, co Boże Narodzenie; żaden ustęp z ewangelii nie był źródłem tylu natchnień, co opowiadania św. Łukasza i św. Mateusza o pokłonie aniołów, pasterzy i królów. Bo też prócz treści religijnej tyle w tem opowiadaniu motywów poetycznych, uderzających wyobraźnię i uczucie, że dziwilibyśmy się, gdyby tak nie było. Nawet Bizantyńcy zdobyli się w tej materyi na tak wzniosłe utwory, jak sławny hymn Romanowa (wiek VI): „Dziewica dzisiaj Najwyższego rodzi", *(He parthénos seméron tón hyperúsion tíktei)*. Cóż dopiero mówić o poetyczniejszych hymnologach zachodnich? Rzadko też który z chrześcijańskich humanistów pominął ten wdzięczny temat, który między innymi Mikołajowi Kopernikowi dostarczył świateł do czterech z jego „Siedmiu gwiazd" *(Septem sidera)*. Właściwa kolenda *(sidus 3)* zaczyna się od słów: *Quis fulta posuit te, puer, in casa? — Quis laedi tenerum frigoribus vetat? — Virgo summa, Maria, — quae flavam religat comam...* (Któż cię w podpartej złożył, dziecię, chacie? Kto wiotkie ciałko od mrozów zasłania? Oto najświętsza

Panna Marya, która jasne zawiązuje włosy...). Największą sławą cieszyły się początkowe pieśni Chrystyady włoskiego biskupa, Hieronima Vidy (1490—1566), póki ich nie zaćmiła najwspanialsza chrześcijańska epopeja humanistyczna: *De partu Virginis* Jakóba Sannazara (w Neapolu 1526). Pełen dziecięcej pobożności, głębokiej wiary w tajemnice zbawienia, tkliwego nabożeństwa do Najświętszej Panny, zagłębił się poeta w wielkie postanowienie zesłania Syna na ziemię, przedstawił poselstwo anielskie do Maryi, odwiedziny Elżbiety, podróż do Betleem, narodzenie Chrystusa w lichej grocie, niezmierną radość, która w tę pierwszą świętą noc napełniła niebo i ziemię. Żaden średniowieczny mistyk nie potrafiłby był odczuć tego wszystkiego prawdziwiej i tkliwiej. Ale nie mniej intensywnie wczuł się Sannazaro i wżył w formę i język Wergilego. Choć jednak ten i ów rys przypomina Jowisza i Merkurego, to znów Eneasza lub Dydonę; choć piekło ma charakter starożytnego podziemia, a Jordan wkłada swoje przepowiednie w usta Proteusza, to te wszystkie reminiscencye klasyczne są tylko pięknymi, miłymi poecie ornamentami do ozdoby tego, co uważał za najwznioślejsze i najczcigodniejsze. Historycy renesansu, Burchhardt i Geiger uważają go za najdoskonalszego przedstawiciela tej poezyi poreformacyjnej, która umiała doskonale pogodzić formy klasyczne z treścią chrześcijańską, poezyi barokowej.

Barok w architekturze cieszy się zupełnem uznaniem; w rzeźbie spotyka się już z pewnemi zastrzeżeniami; w poezyi uchodzi za objaw złego smaku. Najniesłuszniej. Prostota i naiwność są wprawdzie bardzo cennymi przymiotami pewnych gatunków poetyckich, ale z tego nie wynika wcale, jakoby bujność, przepych, sztuczność nie miały uprawnienia w innych. A choćbyśmy nawet patrzyli na rozmaite cechy dzieł sztuki ze stanowiska wyłącznie historycznego, to poznawszy kulturalne i psychologiczne premissy baroku w architekturze, plastyce, malarstwie i t. d., zdołamy bezstronnie ocenić i stylowość i swoistą piękność poezyi barokowej. Nie można nikomu narzucać zamiłowania do starych mebli, gdy on woli nowe;

ale nie wolno też ze stanowiska „nowości“ potępiać takiego zamiłowania.

Laury Sannazara nie dawały widocznie spać polskiemu Jezuicie, Łukaszowi Stanisławowi Słowickiemu (1649—1717), skoro ten dwie pierwsze pieśni swej *Heroica poesis* (1. wyd. w Lublinie 1704, potem dwa inne) poświęcił tematowi, traktowanemu w *De partu Virginis* i ograniczył się właściwie tylko do tych samych fikcyjnych motywów, które pierwszy wprowadził Sannazaro: To ten udział wszystkich ciał niebieskich i wszystkich żywiołów w radości z powodu Bożego Narodzenia. Własnością jego jest szerokie rozprowadzenie motywu kwilenia Dziecięcia. Mitologii nie mniej jak u Włocha. Pominęliśmy w przekładzie pieśni pierwszej ustępy astronomiczne i acheruntyczne, któreby wymagały specyalnych objaśnień. Przytoczonych kilkaset wierszy i streszczenie reszty da pewne wyobrażenie, jak wygląda barok w naszej poezyi łacińskiej XVII. w. W każdym razie więcej w nim artyzmu niż w baroku poezyi polskiej. Dla zupełności dodajemy, że pierwsza pieśń ma tytuł: „*Obscura Dei Hominis nativitas — prodigiis illustrata*“ (Ciemne Boga-Człowieka Narodzenie—cudami objaśnione), a druga: „*Infantia Dei Hominis a regibus adorata*“ (Dziecięctwo Boga-Człowieka przez królów uczczone).

II.

Na to-ż się nam narodzi Bóstwo w ludzkiem ciele,
aby morze i ziemia i to, co się ściele
dookoła, powietrze i bogów mieszkanie
i całej się natury wzruszyło wiązanie?

Bo nawet uskrzydlonych młodzieńców przestwory
górne wstrzymać nie mogą, każdy uciec skory,
a stajenka się wznosi nad niebieskie dwory.
Gdy jednak swych mieszkańców wypuściły nieba,
nie starczą dawne światła, nowych gwiazd potrzeba,

by stratę powetować; więc się nowe rodzą,
a stare się w podwójnej sile świetlnej młodzą
tak, że eter i górne sfery w łunach brodzą.
A w otchłaniach jękliwych lęk widma zdradliwe
przysiadł, nie dają wróżb już bożki gadatliwe,
zwierzęta swą zwierzęcość tracą, twardość głazy,
skały nawet topnieją na wyższe rozkazy.
Żywioły czują Boga, Stwórcę przyrodzenie,
choć to dziecię maleńkie, choć ciche kwilenie
z ustek mu się dobywa, łza twarzyczkę zrasza:
w dziecięciu Bóg się jawi a płacz Go ogłasza.

Kastalskiem źródłem łzy te, co płacze Dziecina,
przed którą wzniosły eter kark pokornie zgina,
płaczu strzegą Anioły, a gwiazdy kołyski,
przed którą tron się chwieje już upadku blizki,
której płacz straszy królów i zbrodni ich posły...
O! nad gwiazdy niebieskie, nad Heroda wzniosły,
użycz łez swych wieszczowi i napój mię niemi,
bym żagle mógł rozpuścić, odpłynąć od ziemi,
bez Feba i bez źródła, które Pegaz plami!...

Jakaż to wieść rozniosła Słowa narodzenie?
Gdzie się do szczytu wznosi niebieskie sklepienie,
stoi pałac, ścian żadna nie kryje zasłona,
a otwory — pokoi jedyna przepona.
Gdy Boreasz zawieje, pełno Boreasza,
gdy Zefir, to się Zefir w pałacu rozprasza.

Dookoła tam wiszą trąby i puzony,
więcej niż prawdę głosić. Wieść dzierży te strony,
gadatliwa, do lotu pokryta piórami.
Nie siedzi na swym tronie, zdobnym szmaragdami,
lecz stoi, podkasawszy sobie lotne nogi.
Tysiąc szeptów dokoła, ona śledzi drogi.

Tu lekki szept przyleciał z delikatnem tchnieniem,
donosząc: Bóg się rodzi! Biegnie pod sklepieniem

niebieskiem gadatliwa pogłoska o darze
Lucyny dziwnym, już ją gwiazd przejęły straże.
Słyszy to Wieść, co stojąc, chwyta uchem dźwięki,
by je wszystkim rozgłaszać; bierze więc do ręki
róg i odwieczne ziemi, niezłomne życzenie
i tajemnicę Boga trąbi w nocy cienie.

Wszyscy już wiedzą w niebie, że Wszechmocny — kwili,
więc choć płacz uszom matki i grocie się mili,
bo łza spływa cichutko z łagodnej krynicy,
łza, co króla poruszy piekielnej stolicy,
to jednak do eteru to kwilenie leci
i wśród niebian słuchania rozkosz słodką nieci.

Jak Orfeusz słodkim śpiewem na uwięzi trzymał
Trackie góry i rzeki, choć lutni nie imał
Homerowej i głosem nie grzmiał stentorowym,
lecz na schlebnej lutence grał uszom Eurowym
i łagodnym poszeptem skłaniał drzewa, rzeki:
tu tańczą Oready, tam Dryady lekki
tan wiodą i Najady i Fauny leniwe,
choć lekko uszy drażnią im tony pieściwe:
tak, gdy Bóstwo w kolebce śmiertelnej się chowa,
a szopa źle pokryta pałacem jest Słowa,
płacz dziecięcy pod niebo wielkiem echem bije,
i wstrząsa wszelkim tworem, co tam w górze żyje.

O jakąż radość budzi w skrzydlatych efebach
nowa wieść! Wnet grzechotka ozwała się w niebach,
a łza Dziecka radością przejęła niebiany.
Trzykroć niebo skoczyło, gwiazdy powtarzany
po trzykroć poklask dały i po trzykroć pienia
urodzinne o górne biły tam sklepienia...

Już sobie słońce jedno w radości nie starczy,
trzy zamiast jednej głowy blaskami obarczy
i trzema zamiast jednej twarzami jaśnieje

i po trzech różnych drogach stacza się, gdy dnieje.
Szedł tak od wschodnich granic blask ponad narody,
i Rzym oświecił jaśniej niźli inne grody.

Ale pan świata losu swego nie poznaje
i konsulom wybranym ten honor oddaje.
Nie tobie, Plavku, błyszczą, nie tobie, Lepidzie,
złote gwiazdy, lecz temu Królowi, co idzie
świat odrodzić. Błyszcz słońcem potrójnem, ty Rzymie,
nim nowy król w twe księgi wpisze swoje imię:
Na awentyńskim zamku światło ci zasiędzie,
co stałym majestatem świat rozjaśniać będzie,
tu prawda zapanuje, tu ta władza wyższa,
co potrójną tyarą trzy słońca przewyższa...

A kiedy w środku nieba trzy słońca stanęły
i znowu w jedną kulę jasną się zwinęły,
zbliża się złoty okrąg i jasną otęczą
wieńczy Hyperiona, jak złotą obręczą.
Wtedy cudna Dziewica pod słońce podchodzi,
gwiazdy jej błyszczą w włosach i w blasków powodzi
tonąc, cudne oblicze rumieńcem zapłonie.
Dziecię z niebios spoczywa na Dziewicy łonie,
by swym blaskiem i słońca i gwiazdy zagasić,
które jego dziecinne członki miały krasić.

Ile światła zapewnia, że to Bóg, choć grota
ciemna go zewsząd kryje, choć wcale nie złota
kolebka go utula! Jakże pragną gwiazdy
przerwać swoje po niebie nieodmienne jazdy,
by zobaczyć Dzieciątko! Duchów ich nie wstrzyma
już moc nieba, już na dół lecą i oczyma
poszukują stajenki, już spieszą do chaty.
Podobnie gdy zwycięzca nad śmiercią, skrzydlaty
Feniks wzlata do Faros tam, gdzie Nilu brzegi,
aby ojca pogrzebać, a tłumne szeregi

ptactwa najróżniejszego za nim gęsto lecą:
nie ma ptak miejsca swego, co mu gromy świecą
Jowisza w szponach, ani ptak dumny Junony:
tłoczą się bez porządku, każdy ożywiony
jedną myślą: gorliwość okazać ptakowi
odrodzonemu; co się lepiej cisną, owi
pierwsi będą, nie sztuki lub rodu zasługą:
taksamo skrzydłonodzy lecą świetlną smugą,
potrącając o gwiazdy, depcąc o planety,
przez strome drogi słońca, księżycowe mety,
przez gromów, grzmotów kuźnie, poprzez wiatrów knieje,
lecą w wielkiem zmieszaniu tam, gdzie cud się dzieje.

Tymczasem już widnieje i ziemia i morze
przed nowymi gościami; bardziej o tej porze
nad innych ziem piękności brzegi Palestyny
spodobały się onym, a szopa Dzieciny
bardziej niż zamki w niebo wznoszące swe głowy,
niż Pergamon i pałac Persa kryształowy.
Wreszcie wchodzą pod strzechę, spełnione życzenia.
Tutaj kołyska pełna Boskiego kwilenia,
tu grota Bóstwem święta, tu skarb nieba drogi.
Więc klękną przed Dziecięciem, pocałują progi
lichej szopy, pozdrowią Nowonarodzone,
a potem słodkie pienia w rytmy ułożone
zanucą: skacze żłóbek od tej pieśni echa,
głazy, urwiska, grotę porywa uciecha.

A jakiż widok Matka przedstawia niebianom,
jaki Dziecię? Dwór wprawdzie nieprzystojny panom,
ale gwiazdy na grubych szatach połyskują,
mają co czcić i niebo tu na ziemi czują.
Więc nie pogardź, Dziecino, i prostym pokłonem:
Grubi przychodzą ze wsi chłopi ze swym plonem,
nieczesanych pasterzy ród podły się tłoczy,
Tityrus i Korydon, Menalkas ochoczy,

Tyrsus, Damon i Mopsus młody, drugi stary.
Ty przyjmujesz łaskawie ich ubogie dary.

Nieuczna pieśń plebejska wnet po szopie dzwoni;
Ty jej uszu nadstawiasz, serce kłonisz do niej.
Wolno się tłoczyć: króla dwór i serce stoi
otworem, niech najlichszy wejść się tam nie boi;
Bóg jest królem łaskawym, chociaż bez korony.

Znalazł się przy kolebce żołnierz wysłużony,
który teraz strzegł stada. Kozi kożuch kryje
mu pierś, a siwe włosy spadają na szyję...
Ten, gdy swój pokłon oddał w królewicza szopie,
choć wymowniejszy był w łez, niźli w słów potopie,
zdobył się na tę mowę: „W delikatnem ciele
Majestat jest zamknięty, choć ciemności wiele
tłumi blask. Bóg to, Bóg to! Potęga, co władnie
światem, skryta. Swe światło ludzie widzą snadnie,
lecz światło niedostępne posiedli niebianie".

Szybkim krokiem do ziomków niesie zwiastowanie
tego, co widział. Sądzi, że nie będzie grzechem
wyjawić tajemnicę. Dyktator z pośpiechem
nie takim strąbić każe senat na posłuchy,
jak on swoich kolegów. Tłoczą się już zuchy
pasterze. Wtedy Tytyr (wszyscy ostrzą słuchy):
„Gdzie Betleem Efrata wznosi się, widziałem,
o widziałem Niemowlę. Nasyciłem całem
Dziecięciem swe uczucia. Jakże mały oku,
a jak wielki uczuciu! Jak pełen uroku,
piękny, droższy nad złoto i nad dyamenty.

Czy się śmieje, czy płacze, tak kochany, święty!
Śmiech jego słodki, a łzy budzą miłość żywą.
Zobaczywszy to Dziecię, żmijaby szkodliwą
jadowitość straciła, wilkby był jagnięciem.
O jakżem się nacieszył tem drogiem panięciem!

Dotąd język ambrozyę, wargi nektar czują,
bo po trzykroć me usta nóżki Mu całują,
więcej razy kołyskę. Rozkoszy sycenie
za całowaniem liczek budziło pragnienie.
Możeby Dziecię, może Matka nie broniła,
lecz się bałem; zmogła mię Majestatu siła.

Rzekłem sobie w cichości: Nic więcej! Jeżeli
losy Boga oglądać dały-ć w ziemskiej celi,
jeźliś Go ucałował i uczciłeś łzami,
nie trzeba więcej pragnąć — za tymi darami.
O! wiecznego zbawienia nadzieję tem sycę!
Spodziewać tego tylko mogli się rodzice,
lecz nie mogli oglądać. Nam dopiero dane,
że Bóg przyszedł ze Wschodu i święty z Farane.

Nie ma złotych Midasa piasków ni kitaju,
nie ma głośnego dworu. W cichym obyczaju
Majestat się objawia. Nic nie widzi oko
prócz Dziecka, Matki, Starca, ale tam głęboko
w duszy budzi ten widok jakieś dziwne drżenie,
strach się miesza z radością, niebieskie zjawienie
głosi Boga. Zwyczajnie nasi Kwirytowie
gromadzą przy swych dzieciach skarbów dziwnych mrowie,
lecz żadnem dostojeństwem płaczu to nie znaczy.
Jeśli Lyd nie da złota, jeśli Ind nie raczy
przynieść kości słoniowej, nie poznasz po niczem,
pańskie czy chłopskie dziecko pieniem niesłowiczem
cię darzy: obu do się podobniutkie wrzaski.
A to Dziecię tak bosko płacze, że ni łaski
królów nie chcę koncertu ani ptaszków pienia
W tym płaczu dość uciechy dla duszy zbawienia.

Przypatrz się teraz grocie, przypatrz i żłóbkowi!
Że Bóg tam się znajduje, sumienie ci powie,
nie taki jak go ludzie z złota i marmuru

tworzą. Już znieść żywioły nie mogą bóstw chóru,
pomieszczenie ich w niebie trud niemały budzi,
bo więcej dzisiaj bogów aniżeli ludzi...
Te ohydy widziałem, gdym w młodzieńczej sile
szedł za orłami Rzymian. Ileż ich to, ile
chytre Memfis wydało, ile Lacjum skrzętne,
ile greckie plemiona tworzyć bogów chętne!
Wszystkiemi-m dawno wzgardził, bo to sprawcy zbrodni,
tych wszystkich ohydności, co mit prawi, godni.

Dalej więc towarzysze, co rychło się zbierzcie
i do kołyski krokiem ochoczym pospieszcie;
więcej tam zobaczycie, niżem wyrzec skory.
Dziecina nie pogardzi prostymi honory.
Choć niemowlę, bez głosu obliczem przemawia,
łzami potwierdza: Cnota tylko ludzi zbawia;
milcząc, niebo przyrzeka, w którem boskość słynie.

Kłamliwe bóstw imiona w śmiech pójdą, świątynie
i posągi w ruinę, runą piramidy,
znikną dumne kolosy, obrządków ohydy.
Jego czcić na ołtarzach będą wśród kościoła,
jego cześć głosić będą poeci dokoła,
imię Jezus świat cały radośnie obwoła!"
Skończył, a słowom jego przyklasnęli chłopy
i wnet z biednymi dary przybyli do szopy...

III.

Radość całej natury towarzyszyła narodzinom Boga: Śnieg stopniał, zimny grudzień przemienił się w lato i mimo wściekłych podmuchów Boreasza winnice wydały pączki, ziemia pokryła się kwiatami. Pieśń radosna przelała się i na morze: Wyroiły się z głębin bóstwa wodne, Neptun wezwał Trytona do obwieszczenia świętych urodzin wodom: Na odgłos tonów jego konchy zawiodły tan Nimfy, podskoczyły

z szmerem źródła, ruszyły się wierzchołki gór... Bóstwa podziemia jękły z trwogi, wyrocznie zamilkły: „Bo gdy Bóg milczał, pierwszym prawem było milczenie".

Po tym kosmicznym epilogu pieśni pierwszej opowiada poeta w pieśni drugiej o adoracyi Magów. Więc najpierw szuka po niebie tęczowej Irydy i poleca jej wezwać do kolebki Bóstwa królów ze Wschodu. Ale Iryda jakoś ociąga się. Może się wstydzi roztaczać wymowę wśród kwilenia Dziecięcia, wśród milczenia cichego Słowa? Nie, tylko niebo innego wybrało sobie posłańca, nową gwiazdę, jaśniejszą prawie od słońca. Lęk padł na ludy, jakoby to zjawisko zapowiadało mór, wojnę i inne nieszczęścia. Nie ulegli tej trwodze tylko królowie, oswojeni ze zjawiskami na niebie. Przeciwnie, ucieszyli się, rozumiejąc jej milczące poselstwo i zaraz gotowali się do drogi. Gwiazda im przewodniczyła. Zatrzymała się dopiero nad Jerozolimą. Gaspar błogosławi już to miasto jako kolebkę Boga-Człowieka, gdy gwiazda znikła. Królowie szukają dalej Nowonarodzonego, aż go znaleźli w ubogiej szopie betleemskiej. Marya, słysząc przed szopą gwar ludzi i rżenie koni, odłożyła Dziecię od piersi do kołyski a sama wyszła na dwór i skromnie, lecz dostojnie przyjęła poselstwo. Królowie wstępują do szopy i podziwiają panujące tam ubóstwo, które przecież nie zakryło Majestatu Boga. Upadają przed nim na kolana, poczem Gaspar, Baltazar i Melchior wśród odpowiednich przemówień składają swe dary, a Dziecię wzrokiem, uśmiechem, łzą za nie dziękuje i błogosławi ofiarodawców. Słowne dziękczynienie składa im Józef „nieczesaną wymową": Imiona trzech królów powtarzać będzie potomność po wieki wieków. Poddani z ochotą słuchać ich będą, uważając za zaszczyt takie poddaństwo. Ponieważ wolą, żeby ich kochano, niż żeby ich nienawidzono, miłość im towarzyszyć będzie, a brak pochwały z ich strony będzie jedyną karą dla poddanych. Szczodrobliwość, okazana wobec Dziecięcia, będzie posiewem ogromnych skarbów. Józef to przepowiada, a Dziecię skinieniem potwierdza.

Cały dzień spędzili królowie przy Dziecięciu. Następnej nocy pojawił im się Morfeusz, ostrzegł ich o niebezpieczeństwie, grożącem Dziecięciu ze strony Heroda i radził wracać inną drogą. Królowie zastosowali się do tej rady. Dziecię odprowadziło odchodzących płaczem i łzami, a Matka z ciężkiem westchnieniem rzekła: „Lej, Dziecię, teraz łzy; wkrótce wylejesz swą krew".

Tadeusz Sinko.

Niobe-Laokoon.

Z nadmiaru męki oszalała Niobe
Znalazła wreszcie kres swego cierpienia:
Nieszczęsna matka w posąg się przemienia,
Marmuru bielą kryjąc swą żałobę.

W głazie, co boleść żywą okamienia,
Świat piękna nową pozyskał ozdobę,
I dziś wskrzeszając mitów starych dobę,
Łez w nim nie widzi, nie słyszy jęczenia.

Ale ty, Polsko! strasznym gadzin zwojem
Spętana, z dumy odarta omamień,
W przepaść pędzona długim, na śmierć, bojem

Ty, Matko nasza! nie zastygaj w kamień.
Zamiast świat dziwić posągów spokojem,
Raczej się w lwicę rozjuszoną zamień.

* * *

Walczących z bóstwem bóstwo zawsze złamie.
Troja paść miała z wiedzą Apollina;
A gdy spór o nią Laokoon wszczyna,
Wraz go dosięgło mściwe boga ramię:

Węże go duszą — zagryzły mu syna;
Jemu na lica pada śmierci znamię.
Słabo się broni, męstwo tylko kłamie,
Moc mu zabrała wmówiona weń wina.

Laokonowe cierpisz, ludu, męki,
Żeś szedł w zapasy z hydrą przeznaczenia —
Lecz nie śmierć będzie kresem twej udręki.

Nic nie wyrzuca tobie głos sumienia...
Walcz z potworami. Gdy siłę twej ręki
Poczują, strach je w padalce pozmienia.

Wiktor Gomulicki.

NAPRZÓD!

O! ci szczęśliwi, co wśród szczęku broni
Z otwartym wrogiem w bój otwarty biegną!
O! ci szczęśliwi, co z sztandarem w dłoni
Za swoją wiarę, za swój kraj polegną!

Bo, czy im z jękiem oddać przyjdzie ducha,
Z piersią, pod końskiem zmiażdżoną kopytem,
Czy ich w konaniu noc zastaje głucha
Na krwawem polu, trupami okrytem —

Ich śmierć, choć straszna, miewa czar swój boski.
Padają w pełni zapału i siły,
A wszelkie życia zgryzoty i troski
Na wiatr rzucają u brzegu mogiły.

Konając, wiedzą, iż pełnią powinność
Pamięci ojców i przyszłości dzieci —
Że krew, za słabą przelana niewinność,
Z krwią męczenników do niebios uleci! —

Ostatnią myślą na wieczności progu
Czuli radośnie, że w tej jednej chwili
Dług całkowity ojczyźnie i Bogu
Za dary życia cierpieniem spłacili.

Nam — drogi walki i chwały zamknięte, —
Nam stać kazano wytrwale na straży
Odwiecznych ognisk i świętych ołtarzy,
I w bólu kończyć, co w bólu poczęte.

Więc dziś z nas każdy cierpi i pracuje,
A któż wie? — może na śmierci posłaniu
Straszna niepewność myśli nam zatruje:
Czyśmy sprostali żywota zadaniu?

Czy pług nasz, orząc świętą ojców rolę,
Z prawego toru nie zboczył zachwiany,
Czy się nie wdarły osty i kąkole
W ziarno, rzucane na ojczyste łany?

Bóg z nas każdemu dał osobne brzemię,
Dał zasób prawdy, by ją w krąg rozsiewać,
I każde ziarnko zaryć kazał w ziemię
I rosić potem i łzami oblewać.

My już posiewu nie widzimy w kłosach,
Bo życie krótkie a płód wolno wschodzi,
Lecz źdźbło najmniejsze, zliczone w niebiosach,
Szczęście lub żałość przyszłych wieków rodzi.

Przed nami stromo i ślizko — a w tyle
Na szlak przebyty patrzymy nieśmiało:
Mieliśmy zwalczyć, wznieść i stworzyć tyle! —
A śladów dzieła zostaje tak mało!..

Dlatego nieraz ciężko nam na duszy,
Nieraz wśród pracy dłoń ustanie drżąca,

Z zamglonych oczu spłynie łza gorąca,
A zapał serca zwątpienie zagłuszy.

Lecz nam nie wolno stać próżno wśród drogi,
By bieg jej dumą czy zgryzotą mierzyć. —
Nam trza brnąć naprzód przez ciernie i głogi —
I siać i orać i cierpieć i wierzyć.

Naprzód! — choć, patrząc w nasz ból, trud i znoje,
Poległym krwawej zazdrościm pościeli —
Wszak lżej jest nieraz porwać miecz i zbroję,
Iść w bój i zginąć, jak oni zginęli!

T. Wodzicka.

T. Potocka.

Problem miłości i małżeństwa w najnowszej naszej powieści.

Powieść w takim okresie rozległego czytelnictwa, jak dzisiejszy, dostępna bywa szerokiemu ogółowi. Jest przeto wdzięczną formą wypowiadania się dla wszystkich, którzy mają coś ogółowi do powiedzenia; jest doskonałym środkiem do szerzenia światłych i obywatelskich idei; mogłaby stać się wytwornym i doniosłym w skutkach czynnikiem wychowawczym.

Powieść, jako utwór sztuki, w okresie obniżenia się u ogółu pociągu do poezyi, malarstwa i rzeźby, mogłaby zastąpić te działy sztuki w ich roli i kusić się o utrzymanie estetycznych uczuć na wysokim poziomie kultury. Ale do tego potrzeba, aby powieść rozpostarła swe widnokręgi na liczne rozgałęzienia zbiorowego życia; aby się zapłodniła potężnymi porywami narodu, prącego do lepszej przyszłości; aby się stała kapłanką ideałów, opartych o najlepszą tradycyę przeszłości.

A do tego potrzeba nadto, aby w pomysłach była głęboką i oryginalną; w materyale rzeczowym bogatą; w kompozycyi staranną i umiejętną; w wykonaniu wytworną, nie tylko poprawną.

Tymczasem oto prawie dwadzieścia dzieł powieściowych przeglądniętych uczy nas, że prawie żadna z autorek nie zdaje sobie sprawy z doniosłości oręża, jaki wybrał jej talent. Miłość młodych ludzi — i nic więcej! Nawet nie miłość, jako instynkt utrwalenia gatunku — tylko wciąż jakieś chorobliwe pożądanie czyto dreszczów rozkoszy, czy też cierpienia, uważanego za smutne zaiste i lilipuciej wiary bohaterstwo. Jeżeli te powieści czyta ogół, to znak, że staliśmy się pigmejczykami moralnymi i estetycznymi; jeżeli się nie rozchodzą, to znak, że społeczeństwo idzie swoją drogą, a sztuka idzie swoją. W obu razach niema się z czego cieszyć.

Ale — może ktoś powiedzieć — u nas talenty kobiece dopiero sobie torują drogę do literackiej areny. We Francyi podobno w tej chwili dwa tysiące kobiet pisze powieści. My w 19. wieku mieliśmy Żmichowską, Konopnicką, Orzeszkową; dopiero wiek dwudziesty wysunął ich legion na czoło. Może to zatem nie prąd winien, tylko specyalne, koteryjne niewyrobienie w sprawach społecznych, filozoficznych i estetycznych tej grupy pisarzy. Boć przecież mężczyźni — powieściopisarze...

Nie mam odwagi bezwzględnie przeczyć. Przyznaję nawet, że takiej jakiejś cynicznej odwagi w kreśleniu scen szałów miłosnych, jaką okazują powieściopisarki: Zapolska, Jehanne-Walewska lub Rygier-Matkowska, nie mógłbym dostarczyć wielu przykładów u powieściopisarzy z ostatniej chwili. Pstrzył niemi karty niektórych swych powieści Tetmajer, no, ale Tetmajera, jako powieściopisarza, nie można traktować na równi z Tetmajerem, jako poetą; lubował się w nich Niedźwiecki, ale urok jego spełzł gruntownie; raczył niemi Mieczysław Srokowski, nie skrupulizował Makuszyński, ale pierwszy czynił to zbyt ordynarnie, drugi zaprawiał ironią, sarkazmem i przycieniał ledwie wyczuwalnym smutkiem. Dla innych kwestye stosunku płci nie zawsze bywały celem wyłącznym. A gdy się i to działo, to jednak umieli pogłębić zagadnienie i dać mu światło zasadnicze, oryginalne. Niektóre

zjawiska w tej dziedzinie poprą mię w tym sądzie. Na czoło wysuwają mi się tu od wielu lat uznani powieściopisarze:

Wacław Berent, Wacław Sieroszewski, Tadeusz Jaroszyński, Tadeusz Konczyński, Henryk Zbierzchowski, Maciej Wierzbiński, Artur Gruszecki, Teodor Jeske-Choiński[1]). Berent po Fachowcu, pojętym w duchu Lalki i Rodziny Połanieckich, ze sfery fabrycznej i robotniczej, przejął się teoryą sztuki Przybyszewskiego i zupełnie przeistoczył. Jego Próchno (1903 r.) przyjęła krytyka modernistyczna z uniesieniem. „Szatańskie źwierciadło spółczesności — pisał swym patetycznym stylem główny koryfeusz krytyki Miriam — krwawe świadectwo męczeństwa sztuki i artysty w szponach materyalnej przemocy i moralnej zarazy, ziejącej ze zwyrodniałych społeczeństw. Prostota i prawość natury ludzkiej, w tłumie pogwałcona, co pierś artysty przeszła, jak boski ogień ze znieważonych kościołów w katakumbowe głębie — i w tej piersi wydaje śmiertelną walkę dżumie występku i znikczemnienia". Zarzuca tylko beznadziejne zakończenie. „Nad piekłem Próchna zjawił się świt, lecz twórca zaskoczony niespodzianą jasnością, nie objął nieslychanych jego

---

[1]) Wacław Berent: *Ozimina*. Powieść Warszawa 1911.

Wacław Sieroszewski: *Małżeństwo. Być albo nie być. Tułącze*. Warszawa 1909.

Tadeusz Jaroszyński: *Doktor Tomasz*. Warszawa 1907.

Tadeusz Konczyński: *Zawrotne drogi*. Powieść współczesna. Warszawa 1912.

Tadeusz Konczyński: *Bunt*. Powieść współczesna. Warszawa 1914.

Henryk Zbierzchowski: *Malarze*. Powieść. Warszawa 907.

Henryk Zbierzchowski: *Aniołv płaczą*. Warszawa 1913.

Maciej Wierzbiński: *Oaza miłości*. Powieść z życia Komunistów. Warszawa 1913.

Maciej Wierzbiński: *Małżeństwo na próbę*. Warszawa 1913.

Artur Gruszecki: *U źródła wiedzy*. Warszawa 1914.

Teodor Jeske Choiński: *W pętach wolnej miłości*. Powieść współczesna Warszawa 1913.

Artur Głuszecki: *Pod czerwonym wirchem*. Powieść współczesna. Warszawa 1911.

Mieczysław Srokowski: *Epigoni*. Warszawa 1914.

znaczeń — i policzył go do fosforyzacyi cmentarnych". „Jest to powieść wyzwolona, oczyszczona z konwenansu i płaskiego gawędziarstwa, z poniżenia, w które ją zepchnął handel „romansów i powieści", wzniesiona na wyże sztuki". Zaczarowany tą górnolotną pochwałą Berent w Oziminie odnowił Próchno. Nie zauważył, że ponad Młodą Polską przewiało lat ośm, że Przybyszewskiego usunął z widowni Wyspiański, że wiele, wiele się zmieniło. Berent stwardniał i zastygł w swem pojęciu sztuki i powieści. „Powieść — pisano niegdyś — jest poezyą, a jako dzieło sztuki nie służy do rozrywki; rzeczą jej jest wzbudzać śmiech lub łzy, udowadniać lub zbijać jakieś teorye czy doktryny; lecz — jak mówi Paul Adam *accroître la vigeur de l'esprit* — potęgować ducha, a to się dzieje, gdy pisarz nie zadowoli się powierzchownem odtworzeniem jakiegoś oderwanego od całości fenomenu, lecz da odczuć całą sieć niewidzialnych nici, pasem, ogniw, dzięki którym tenże spółpulsuje z wielką jednią bytu"[1]). To klucz do zrozumienia Oziminy. Zło roześmiane, Zło niepotulne, Zło, mszczące się za krzywdy, Zła hazard i wyzwanie, fascynujące dusze młode — to rdzeń Oziminy.

Ramami r. 1905 w Warszawie; noc na balu; wrażenia Bolka Zaremby podczas tej nocy; koncert, kolacya, tańce, gry w karty, znowu koncert; Bolek przeżywa bogato strojną skalę uczuć boleści, zazdrości, szału miłosnego, rozpaczy, nienawiści — i wtajemnicza czytelnika w swoje przeżycia. Myślą, mówią i odczuwają, rzecz prosta, inne także balowe i niebalowe, z ulicy zjawione, postaci. Miewa on tej nocy halucynacye, miewają inni. Ale wszystko to od początku do końca są jakoweś „zalążki myśli i uczuć", nie układające się w żadną jasną i logiczną całość. O tem, żeby to zajmowało, przekonywało, wzruszało, porywało — mowy niema, choćby dla tego, że prostoty brak. Niema żadnej akcyi, niema żadnej żywej postaci z krwi, ciała i kości. Przesuwają się przed czytelnikiem wizye senne o kształtach i zarysach jaknajmniej

[1]) Chimera. 1901. T. III. str. 312.

konkretnych. Jak w malignie, jak w śnie somnambulicznym, występują: Lena, Nina, Ola, baron, Komierowski, dziadek, Bolek... każda postać rzuca swoje „zalążki myśli" — każda usiłuje być inną, ale w istocie są to jasełkowe figurki, któremi porusza ukryty autor i za nie mówi. Zawsze jednakowo mówi, ale jak! Nie powie: zrozumiał, tylko: schwycił pod powiekę zrozumienie rzeczy. Nie powie: Bolek przypomniał sobie wstyd obnażenia przed komisyą asenterunkową, tylko: Nagle jakaś rzewność bezmierna wzruszeniem bydlęcego egoizmu załkać mu chciała w piersiach nad twardem jarzmem konieczności i biczem nieubłagania, jakie ślepą grozą zawisło nagle nad życiem jego. I oto znów nagim widzieć się musi w tym hypnotycznym prawie głuporze na progu zwierzęcości"... (114)

Domyśleć się tylko można, że Berent poddaje w tej powieści gniewnej, srogiej i bezwzględnej a jednostronnej — analizie mniemania ludzi o stosunku jednostki do przyszłości narodu: opinie starego i młodego pokolenia, opinie Moskali i tych Polaków, którzy na polach Europy się bili, i tych, którzy na wschód idą bić się z Japonią, i nareszcie kobiet. Druzgocąca i zgorzkniała chłosta! Niema w tej chłostanej gromadce ludzi sprawiedliwego. Wszyscy winni. Zła, gorzka i beznadziejna książka. Kobiety są tu okrutnie osmagane. Nie brak nawet jaskrawo przerysowanych scenek lubieżności i zniewolenia dziewczyny w zaciszny buduarze w tę noc balową.

Berent nietylko kręto myśli, nietylko zamętnie symbolizuje i koturnowo buduje stylistyczne zwroty, ale nie dba o szlachetność i czystość języka. Takie wyrażenia, jak: konstatacya, profuzya tapicerskiego geniuszu, rozchwiany w nonszalancyi, podążał truchcikiem indolencyi, z owstrętnionemi usty, podawał było, kusy pierst, rozmarzyste tony, rozpływająca się w ubłożeniach, — powtarzają się co chwila.

Jest w twórczości Sieroszewskiego powieść, śmiało i zasadniczo ujmująca zagadnienie płci i stosunku kobiety i mężczyzny. To Małżeństwo. W głębi Syberyi, nad jakąś wielką rzeką, pośród politycznych, polskich wygnańców, żyją w małżeńskiem stadle bez ślubów: on, jak tur, mocny, energiczny,

pracowity i pożądliwy; ona wątła, duchowo subtelniejsza, do pewnej granicy łasa na pieszczoty, poza tą granicą przymuszana, czuje lęk, odrazę, poniewieranie swej ludzkiej godności w uleganiu — i rozstaje się ze swym przygodnym i nieślubnym mężem, choć już jest matką jego dziecięcia. Właśnie koleje wewnętrznych cierpień dwojga ludzi w takim związku stały się przedmiotem powieści. To fizyologia i patologia małżeństwa, jakby Orzeszkowa powiedziała. Sieroszewski stosunek płci naturalistycznie maluje i dla moralnych ślubowań oraz płynących stąd zobowiązań ma tylko uśmiech lekceważenia.

Doktor Tomasz Jaroszyńskiego — to zbiornik mętów etycznych przybyszewszczyzny: w nim one fermentują, ale z tego fermentu nie krystalizuje się ani jedna jasna i czysta zasada. Cóż stąd, że jest naszpikowany przyrodniczą wiedzą, i że pisze dzieło o Saprofitach, skoro sam ze sobą poradzić sobie nie umie i albo łamie się w srogich trybach chuci albo służy za igraszkę silniejszym — i ginie w nurtach Wisły. Na tle losów poronionej moralnie jednostki rozprawia się Jaroszyński z setką zagadnień, tak dobrze nam znanych: kobieta — wróg mężczyzny; sumienie — podła tama, przez ludzkość wyzwoleniu położona; walka z sumieniem — to trud Syzyfa; człowiek za czyny nie odpowiada, bo przeznaczenie rząd świata sprawuje; wielkość lęgnie się tylko w osamotnieniu jednostki. Wszystkie te mądre prawdy, zebrane na rozdrożach Trouville, Paryża i Warszawy wśród doświadczeń z własną wiarołomną i cudzemi takiemiż żonami, spisane stylem na zimnopatetycznym, przetkanym takimi kwiatkami, jak: eksteryoryzacya woli, konweniowało, — ożywione niby naukowymi epizodami, jak np. o ichneumonach i ichneumonidach, antropocentrycznie pożytecznych, nastrojone na ton niby sarkastyczny przy pomocy często powtarzającego się he, he, — wszystkie te prawdy pozwalają powieść zaliczyć do przeżytków prądu przybyszewszczyzny.

Podobnie Malarze Zbierzchowskiego. Grupa zdecydowanych młokosów, którym nie śni się o poważnej pracy. Wielkie to — rozumie się — talenty. Michaś,

wypędzony z piątej klasy za heroiczne spoliczkowanie profesora, pije na umór, romansuje z modelką Mańką, po krwotoku i chorobie w domu rodziców z zazdrości strzela do gruchającej pary i sam się rani z rewolweru. Jan pije, jak gąbka, szydzi z całego świata. Wacek, nikczemny cynik, żebrze na ulicy, okrada kolegów i z tą samą Mańką ginie na horyzoncie Warszawy. Zbigniew prawi o swych malarskich pomysłach, ma się żenić z Elą, ale mu koledzy żenić się nie pozwalają, zrywa, a dla kurażu spija „dużo, dużo" wódki. Słowem szajka próżniaków, oddanych rozpuście i knajpie. Dzieje się to w Krakowie i dla tego zapewne ma tak ordynarne ramy, bardzo niedbale przez autora wystrugane. Czemuż, jeżeli nie niedbałości przypisać zwroty: przyprowadź Olęckiego do nas, d w o j e samotników; rozkoszy, j a k i e mu dostarczy wieś; kostyum, j a k i używała; prowadził wykłady?

Tesame motywy, podobni ludzie — tylko kultura i ramy wykwintniejsze w powieści tegoż autora: A n i o ł y p ł a c z ą. Ludwika Obrodzka uciekła z domu męża do Paryża, aby się uczyć spiewu. Jest piękna, a niema talentu. Rezultat: zostać kokotą lub zginąć. Wybiera pierwsze, do tego wyboru usposobiona przez hulaszcze, chwilami wyuzdane życie paryskiej kolonii artystycznej, złożonej z muzyka, malarza, rzeźbiarza, bogatego panicza — obieży świata, socyalisty i kilku kobiet. Znakomicie wychowawczo oddziałał przykład Anetki, niegdyś uczciwej i ubogiej, obecnie utrzymanki, ale bogatej. Zupełnie jak w M a g d a l e n c e Villy'ego. Cyganerya to sympatyczna, z jakimś lekkim odcieniem słowiańskiej melancholii; ludzie bezdomni, lecz i bez troski o jutro. Ale i bez skrupułów, Ludka np. oddaje się Jotejce „sama nie kochając i nie odczuwając nic, prócz litości — jakiejś ogromnej, wszystko rozumiejącej litości". Otóż to „detronizacya aniołów na całej linii... Na dno niech idzie to, co do dna należy". (161)

Nie jestto — ściśle biorąc — w myśl etyki najnowszej belletrystyki. Etyka ta powiada, że nie dobór par i nie życie w miłości bezślubnej — grzech, lecz życie par, ślubami związanych, bez miłości. Tu Ludka nie pała miłością ani ku Jo-

tejce, ku któremu się oddała, ani ku Colinowi, któremu chciała się oddać ani ku Strońskiemu, któremu się odda. I takie właśnie „zatracenie" wydawało się Zbierzchowskiemu problematem interesującym. Powieść o staczaniu się Ludki w „zatracenie" ożywiają iskrzące się barwami obrazy rozszalałego potoku paryskiego życia na bulwarach, w kawiarniach, w salach koncertowych i balów. Malował je już przed Zbierzchowskim w świetniejszy może sposób w swej „Lalce" Prus. Niemniej Zbierzchowski potrafił prawie wyczuwalnie odtworzyć wir, wciągający człowieka, jak lej potworny, w swój odmęt bez nadziei ratunku.

Tąsamą kwestyą: kobieta a wolna miłość, zajął się Tadeusz Konczyński w powieściach: *Bunt* i *Zawrotne drogi*. W obu p. Konczyński do absurdu doprowadza zapędy feministyczne wywalającej się kobiety. W *Buncie* młoda dziewczyna nienawidzi mężczyzn. Mimo tego staje się kochanką Augusta, a następnie Rudyarda Cecila, którego zabija, za co skazana na dziesięć lat ciężkich robót — poślubia Augusta. W *Zawrotnych drogach* żona zamożnego ziemianina i matka dwojga dzieci po kilku latach współżycia traci ku mężowi miłość fizyczną. W mniemaniu, że dalszy związek staje się grzechem przeciw naturze i że każda istota ma prawo rozwijać się w miarę swych uzdolnień, łudzi się, że posiada talent rzeźbiarski, opuszcza męża i dzieci i dąży do Warszawy, aby się odrodzić, jako „nowy człowiek, nowa kobieta". Umysł jej „uwolni się z pod przewagi umysłu męskiego, wedrze się uczuciowo w głąb tajemnic bytu" (59). Warszawski mistrz nakłania ją do pozowania: grupa ma wyobrażać nagą kobietę, broniącą się mężczyźnie w chwili szału. W Wandzie Wogóckiej budzi się kobieta samica. Z mistrzem Wankowskim, kochankiem swoim, błąka się po Paryżu i Wenecyi, a przekonawszy się, że Wankowski już się nią nasycił i że talentu rzeźbiarskiego sama nie posiada, wraca z rozpaczy pod okna domu rodzicielskiego i ginie.

W obu dziełach podstawą stosunku kobiety i mężczyzny — chuć. Po wygaśnięciu popędu — w duszy tworzy się

pustka, a życie zamienia się w mękę nie do zniesienia. Cel współżycia — rodzina — nie istnieje. Mąż — twórca, wychowawca i obrońca nowego pokolenia — nie istnieje. Matka i wychowawczyni — nie istnieje.

Czy obowiązek rodzinny, wychowawczy, społeczny i narodowy starczy na zapełnienie życia jednostki i czy da jej taką sumę osobistych zadowoleń, żeby majaki ułud, zrodzone z chorobliwej wyobraźni i przeczulenia, pierzchły przed światłem celów chrześcijańskich i patryotycznych: tego zagadnienia powieściopisarz nie dotyka. Że w głowie żadnej z tych powieściowych postaci dla kontrastu nie świta owo odmienne pojmowanie celów małżeństwa i rodziny, to trzeba uznać za dobrowolne ze strony autora zacieśnienie powieści w ramy wątpliwej i paradoksalnej tezy.

Konczyński w powieściach swych nie dba o postępowy rozwój wydarzeń, o rysunek tła, o działanie, o zewnętrzny układ sceny, o obrazy natury; natomiast spisuje wewnętrzne — myślowe i uczuciowe — przeżycia osób: czatowanie na rzekome głębie psychologiczne sprawia, że znękany czytelnik brnie pospołu z duszą osoby powieściowej przez bolesne manowce, cofa się i wstrzymuje co moment pod wpływem zastrzeżeń i rozwagi — tylko po to, aby znowu pogrążyć się w odmęty, aby po mozolnem z nich wydobyciu się znowu gryźć swe wędzidła i utonąć w bagnie. Ten liryzm powieści ani głęboki ani szczery. Dyalogi osób ze sobą, mające niby ilustrować ścieranie się sił wewnętrznych przed czynem, są robione i sztuczne. Dyalogi zaś różnych osób wzorowane na tetmajerowskim t. z. flircie. Żadna postać nie mówi tego, co myśli, tylko osłania myśl swą maską, kryjącą treść, którą trzeba odgadnąć, wyczuć, dociec z gestu, spojrzenia czy jakiegoś magnetycznego pociągu. Męcząca gra w domyślnikową ciuciubabkę — a dnem jej pospolita obłuda.

Trudno jednakże byłoby wymyśleć większe dziwactwo o stosunku płci nad to, jakie w dwóch powieściach: *Małżeństwo na próbę* i *Oaza miłości* udało się wymyśleć Maciejowi Wierzbińskiemu. Iście kalendarzowe koncepty. W pierwszej ja-

kiś warszawski komedyopisarz — mniejsza o nazwisko — zakochał się w Basi. Miała ona sto rubli miesięcznej renty, o ileby za mąż nie wyszła. Aby rentę ocalić, literat uwodzi ją i zabiera pod swój dach, jako nieślubną żonę. Basia atoli zrzeka się dobrowolnie legatu dla panien — i literat pod przymusem obiecuje ją zaślubić. W drugiej sytuacya wprost przeciwna. W Anglii w Essex kilka osób, wśród nich dwie polskie kobiety, matka z córką, utworzyły gminę komunistyczną. Przyjechał londyński reporter dziennikarski w celu poznania tego dziwoląga i zakochał się w młodej Polce. Chce ją zaślubić, ona atoli zgadza się na współżycie z nim, ale bez ślubów.

Jakże płytkie i jak nieszczere są i u literata w pierwszej powieści i u Natalii w drugiej motywa związku dzikiego! „Na dnie wyzwolonej, na wskroś nowoczesnej duszy — szumnie głosi autor — co przeszła pono przez wspaniałą galeryę inkarnacyi, spoczywa złote, senne marzenie o wolności. A w tym nieodgadnionym ideale wolności mieścił się cały, niby w perle: człowiek i kochanek, artysta i polak". Jakież to byłoby ładne, gdyby nie owe sto rubli renty miesięcznej. Obie powieści p. Wierzbińskiego mają znamiona dzieł młodzieńczych. W pomyśle i wykonaniu. Bo trudno o większe zaniedbanie w stylu, o bardziej niezgrabny dyalog, o trywialniejsze porównania i zwroty.

Oto np. próbka. Literat mówi do Izi:

— „Cnota to całkiem marne przedsiębiorstwo, w którem kobieta nie wychodzi nawet na swe koszty...

Izia rżała, jak źrebiec.

— Feministki — odrzekła — najnowszej marki powinny pana okrólować" i t. d.

Już z przeglądu powieści Konczyńskiego i Wierzbińskiego wynika, że nie są oni bezwzględnymi wielbicielami nowych prądów i zastosowania ich w rodzinie. Ale pierwszy urządza pościg za duszą, jest — jakby się Herbaczewski wyraził — policyantem duszy, wyłapującym ciekawe stany — przeżycia, drugi bezkrytycznie i dość bezładnie wszystko pod jeden strychulec pobłażliwej tolerancyi podciąga. Gdy się ich powieści

czyta, nie wie się, co złe, co dobre. Ponad światem rzeczy i ludzi nie unosi się duch prawdy i piękna wiekuistego, którego nieomylne źródło w etyce chrześcijańskiej. Nie żeby chcieli być z rozmysłu gorszycielami; jeno duch ich twórczy nie wzniósł się dość wysoko ponad moralne zboczenia życia i nie poszepnął im, że obojętność czy lekceważenie prawd wiekuistych dziełom zapewni — niepamięć.

Na wyższym nieco poziomie etycznym stoją powieści o kobiecie Gruszeckiego i Jeske-Choińskiego. Gruszecki — jak można było dawno przewidywać — okazał się najpłodniejszym z dzisiejszych powieściopisarzy. Prawie niema jakotako ważnej kwestyi narodowej czy społecznej, którejby nie poświęcił przynajmniej jednej powieści. Jestto niestrudzony fotograf życia bieżącego. Chwyta zjawiska aparatem migawkowym, a fotografie czasem mu się nieźle udają, czasem są chybione. Na każdem jego dziele znać piętno gorączkowego pośpiechu, z jakim pracuje; o ile ono ciąży tylko na wykonaniu szczegółów, bywa lepiej, o ile zaś dotyczy pomysłu, planu dzieła, myśli głównej i kompozycyi, dzieło miewa cechy płodu uwiędłego. Taką to właśnie wydaje mi się duża współczesna powieść *Pod Czerwonym wirchem*. Chora na nerwicę młoda mężatka, udająca subtelną, flirtuje na wszystkie strony w jakimś dużym zakładzie zdrowotnym w Zakopanem. Oto wszystko. Ale jakże mało! I czy warto na parę tomów rozwadniać nieesensyonalną treść gawęd, zwłaszcza że dyalog to najsłabsza strona twórczości Gruszeckiego. Czy warto poświęcać tyle uwagi zabawom, wycieczkom, podwieczorkom i tańcom płonnej garstki łaknących przyjemności próżniaków, którym chyba własna pretensya przypina skrzydełka urojonej wyższości? Nawet *Sezonowa miłość* Zapolskiej przewyższa tę powieść Gruszeckiego świeżem tchnieniem górskiej atmosfery. Nierównie ważniejszym jest utwór *U źródeł wiedzy*. Wysnuł ją Gruszecki z nieporozumień między rodzicami i dziećmi. Warszawskie panny — żydówki i chrześcijanki postępowe — chcą uczyć się w krakowskim uniwersytecie i wbrew woli zacofanych rodziców uciekają z domu. W Krakowie uczęszczają na wykłady, nie rozumiejąc ich, padają ofiarą beze-

cnych kolegów, włóczą się po kawiarniach i restauracyach nocnych, spędzają wieczory i noce w mieszkaniach mężczyzn, giną prawie z głodu i nędzy. Środowiskiem rozbratu między rodzicami a dziećmi Warszawa. I to obrane zręcznie. Społeczeństwo zakordonowe oddawna cierpi na tę chorobę. Przyczyny jej tkwią tam głęboko w psychologicznym układzie całego społeczeństwa, dziwnie zmateryalizowanego. Helena, Olesia i im podobne istoty mogą tylko tam się narodzić, gdzie wszystkie zabiegi starszych zwrócone ku interesom materyalnym. Wówczas młodzi, zawsze skłonni do porywów idealnych, uwalniają się od wpływu, który w zdrowej rodzinie opiera się na powadze duchowej pracy i zasługi, i uznając starszych za „mamutów", dążą własną drogą, niejednokrotnie omylną. Takie właśnie usamowolnienie stanowi główną część powieści Gruszeckiego. Kraków studencki sadzą malowany. Źródło wiedzy podobniejsze do cienkiego niewonnego strumyczka, jaki spływa z gnojówek. Samo założenie poważne i donośne. Ujął je autor swoim zwyczajem we formę sprawozdawczą z rozmów codziennych, wydarzeń drobnych, myśli i wewnętrznych przeżyć małego wymiaru. Głębokich uczuć i potężnych wzruszeń brak. Choćby od święta, choćby parę razy w toku akcyi — niema. To też powieść w swej kompozycyi podobna do kilku strumyczków, leniwie sączących się na bruku miejskim. Wart potężnego strumienia wysechł — i dręczy jałowość i mielizna potoczków. Pozostał jeno ślad ważnego zagadnienia życia. Że to satyra — czytelnik nie wątpi wprawdzie; radby atoli mocniej czuć ciosy, jakimi talent w zło godzi. Prawda nie znosi żadnych połowicznych kompromisów.

Szczerzej i głębiej, prościej i jaśniej postawł sprawę wyzwoleńczą kobięty z małżeńskiego jaszma Jeske-Choiński w powieści: *W pętach wolnej miłości*. Temat tensam, jaki w kilkunastu powieściach poruszało wielu spółczesnych pisarzy; najbliższy *Obrączce* Jeleńskiej. Zofia Marchowska, doktor filozofii, wraca po ukończeniu nauk do stryja, dzielnego i uczonego ziemianina. Kobieta wyzwolona, zwolenniczka wolnej miłości bez kościelnej sankcyi. Lekceważy

więc zabiegi i miłość towarzysza dzieciństwa, stryja nazywa mamutem, związuje się miłością z warszawskim uwodzicielem, szulerem i nicponiem. Związek bez ślubów, zawarty na czas nieograniczony, trwa cztery miesiące. Zaremba w Monaco, wygrawszy kilkadziesiąt tysięcy, zrywa go ohydnie, choć wie, że jest ojcem nieślubnego dziecięcia. Zjawia się stryj, w pojedynku zabija uwodziciela i otacza opieką nieszczęśliwą kobietę. Powieść logicznie i bez ogródek wskazuje skutki ślubów podobnych i tem łatwiej przekonywa, że kronika wypadków dziennych roi się od podobnych przykładów w życiu z tem zastrzeżeniem, że tu dramat rozgrywa się w sferze ludzi bogatych, stąd katastrofa ma charakter łagodniejszy, w życiu zaś jedyne wyjście z hańbiącego położenia — śmierć ofiary. Powieść oprócz tendencyi szlachetnej i ostrzegawczej ma wyraźnymi i silnymi rysami nakreśloną postać Stanisława Marchowskiego, szczerą polską naturę, ziemianina tęgiej głowy i mocnej ręki, z rodu tych ziemian, jacy wyzierają z kart dzieł Sienkiewicza lub Weyssenhoffa. Gdyby nie zawiele rozumowań i wywodów, owej publicystycznej zaprawy w powieści zbędnej, gdyby więcej natomiast impulsywnej siły i bezpośredniości uczucia, nie wahałbym się umieścić tego dzieła w rzędzie wybitnych utworów nowej doby; bez tego jest ono pożytecznem i powinno być przez ogół czytanem, jako *memento* dla wielbicieli i wielbicielek nowej etyki seksualnej.

Taki to niewesoły bilans wypływa z przeglądu najnowszej powieści kobiety o kobiecie i mężczyzny o kobiecie; z przeglądu powieści, których głównym motywem miłość „podług nowych kluczy“ pojęta. Niepodobna urzeczywistnić wysokiego ideału w życiu, trzeba tedy dać kobiecie w miłości taką samą swobodę, jakiej używa mężczyzna. Miłość powinna być wolna od religijno-moralnych uświęceń; kobiecie powinno być wolno należeć równocześnie do kilku mężczyzn. Że miłość bez ołtarza zniża się do poziomu taniej przyprawy fizyologicznej, na którą łakomią się panicze bez skrupułów — mniejsza o to. Że kobieta zniża się przez to do rzędu niewolnicy wielu mężczyzn i niewolnicy własnych rządz — mniejsza i o to.

Że rola jej w społeczeństwie i rodzinie maleje do zera w tem rozpętaniu instynktów — to się rozumie.

Rzecz znamienna, że w tym właśnie dziale powieści miłosnej podążamy skwapliwie za wzorami obcymi: rosyjskim i francuskim. W sposobie traktowania scen erotycznych — obcesowym, grubiańskim i zbyt naturalistycznym zbliżamy się do takich autorów, jak Gorkij, Andrejew, Arcybaszew, Hippius, Sołłohub, Kamieński; zwlekli oni wszelką osłonę z obrazów nasycenia instynktu zwierzęcego: i myśmy to uczynili. Natomiast finezyę dyalektyczną, drwiny z moralnych skrupułów, lekkomyślne szyderstwo i urąganie zwiędłemi usty z nakazów chrześcijańskiej obyczajności zawdzięczamy kulturze i powieści francuskiej. Może to się komuś wydać paradoksem, że oto pamiętni zgorszenia i zepsucia, jakie ku nam z Francyi mętną falą płynęło we wiekach 17., 18. i początku 19., pamiętni ogromnych wysiłków, z jakimi nasi romantycy w poezyi, nasi powieściopisarze w powieści rugowali przez dziesiątki lat 19. wieku z obyczaju i języka francuszczyznę, pomimo tego lgniemy do tej zepsutej i trupio zwyrodniałej kultury; niemniej przeto jest faktem, że Paryż jest ową Mekką, do której podąża po truciznę z utęsknieniem każdy dzisiejszy młody literat; niemniej prawdą jest, że przeniesienie akcyi powieściowej z Polski do Paryża uważa się za znamię wyższej kultury i dobrego smaku.

Podobać się mężczyźnie, oczarować go wyrafinowaniem stroju, wdzięków i rozmowy — to cel życia nowej kobiety. Dawniej czarowała skromność i cnota, teraz przeciwnie. Główna rzecz: być pewną siebie i śmiałą. Na wszystko patrzeć wesoło, nigdy nie angażować serca, otrząsnąć się ze skromności i drażliwości, wzbudzać i potęgować w sobie pragnienie użycia i rozkoszy — to środki, wiodące do celu [1]).

[1]) Świeżo wyszła powieść Jolanty Mares p. t. *Lilly*. Pensyonarka przynosi po powrocie do domu serce czyste, ideały niezepsutej młodocianej duszy. W domu ojciec pracuje na pieniądze, matka i starsza siostra Suza wychowują podlotka w duchu tych zasad. Koniec wychowania stanowi chwila, gdy Lilly podpatruje matkę swą w objęciach kochanka. Sama staje się łupem doświadczonego uwodziciela Goldmanna.

Podobny typ młodej kobiety spotykam co chwila w naszej powieści. Ale pochopne do naśladowania zwyrodnień nasze autorki i niektórzy autorowie nie kwapią się do wzorowania się na typach odmiennych, choć najnowsza francuska literatura powieściowa i tych nie zaniedbała, o czem świadczy np. *Ciasna Brama* Gide'a lub *L'Annonce faite à Marie,* dramat Pawła Claudel'a [1]).

Czy powieściopisarz musi grzebać się w erotycznem błocie? Czy nie mógłby malować tego, co dobre w życiu? Czy nie mógłby powiększyć sumy piękna i dobra? Czy niewinność nie mogłaby być za żadne skarby świata nieprzedajną? Czy szwaczka nie mogłaby raczej z głodu zginąć, niż się sprzedać za pysznie umeblowaną willę? Czy żona, mimo tysiącznych pokus nie mogłaby pozostać *univira?* A jeżeli już zagranica — zwłaszcza Francya — ma nas wychowywać, to dlaczego mamy być ślepi na te dodatnie objawy, jakie się w tamtejszej literaturze ostatniej doby trafiają?

Czy nareszcie nie byłoby rzeczą godziwą odwrócić się od tych wzorów, jak to uczyniliśmy w połowie w. XIX. i w plemiennej naszej duszy poszukać znamion, tradycyą nam przekazanych — a wówczas znikłyby z kart powieści perwerzyjne kokoty, nagie tancerki, energetyczne seanse, lubieżny flirt i tym podobne wampiry obyczajowe.

Cała nadzieja w tem, że świeży powiew narodowego odrodzenia w duchu miłości ojczyzny zmiecie owe rozkładowe miazmaty z powierzchni życia, jak wicher zmiata mocnym podmuchem pył przydrożny. *Antoni Mazanowski.*

---

[1]) W pierwszej powieści Hieronim i Alissa, pochłonięci gwałtowną miłością — muszą poskromić chutne porywy i rozejść się. W dramacie zaś Violena, zarażona przez narzeczonego trądem, w męce potęguje ducha.

Kacper Decurtins.

(Dokończenie).

W roku 1885 powstała w Fryburgu za przyczyną kardynała Mermillod, międzynarodowa unia katolickich polityków socyalnych, składająca się z wybitnych katolików Europy, którzy od czasu do czasu zjeżdżali się do Fryburga na narady nad stanowiskiem katolików na polu socyalnem i wyświetleniem głównych podstaw dzisiejszego życia zarobkowego i społecznego. Decurtins zawsze żywy brał udział w tych naradach, które w historyi katolickiego ruchu socyalnego doniosłego nabrały znaczenia. One bowiem „dostarczyły materyału i surowych formuł naukowych, jak się jeden z uczestników tych posiedzeń wyraża, które Leon XIII. przetopił w potężnym tyglu swego geniuszu na dzieło niespożyte i czystą stal doktrynalną swojej encykliki, mającej dla przyszłości takie znaczenie, jak chrzest Klodwiga w dziejach przeszłości“ [1]).

W kilka lat później w roku 1890 zawiązał się w Zurychu związek szwajcarskich polityków socyalnych, który postawił sobie za zadanie wprowadzanie w życie wskazań *Rerum novarum* (od r. 1891) i teoretyczne wyświetlenie aktualnych

[1]) M. de Montenach: A. Romont. Fribourg 1403. str. 5.

spraw praktycznej polityki socyalnej. I tu znowu Decurtins nader czynną i owocną rozwinął działalność.

Za sprawą związku tego i towarzystwa Piusa urządzono w celu zainteresowania szerszych kół sprawą socyalną w roku 1896 w Lucern i w roku 1898 w Zurychu kursy socyalne, w których Decurtins jako organizator i prelegent czynny brał udział.

Wykłady jego w Lucern obejmowały dzieje szwajcarskiego ruchu robotniczego od roku 1830—1896 i wskazywały drogi i sposoby, jak pracować należy nad realizacyą międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego robotników.

W Zurychu w trzech nader zajmujących wykładach przenikliwej poddał krytyce materyalistyczną historyozofię Marksa, która poniekąd dziś jeszcze uchodzi za kamień węgielny socyalistycznej teoryi społecznej. I tu warto zatrzymać się chwilkę, bo odczyt ten żywo utkwił mi w pamięci.

Marks buduje, wywodzi mowca, na Heglu i Feuerbachu, którzy byli poprzednikami jego historyozofii. Ongi jego teorya wartości stanowiła niewzruszoną podstawę naukowego socyalizmu. Gdy atoli Marks w dalszych tomach swego dzieła „Kapitał“ nie uzasadnił swojej tezy, a kontynuator jego, Fr. Engels niszczącej poddał krytyce teoryę wartości, naukowy socyalizm oparł swoją budowę myślową na jego materyalistycznej teoryi historycznej.

Dzieje ludzkości — oto główna myśl tej historyozofii — podlegają w swoim rozwoju jedynie i wyłącznie nieodmiennym i mechanicznym prawom ekonomicznym. I w tem jednostronnem tłómaczeniu i wyłącznem podkreślaniu ekonomicznych czynników i wpływów w historyi tkwi pierwszy błąd zasadniczy tej teoryi.

Niewątpliwie interesy ekonomiczne zawsze miały duży wpływ na życie ludów i pochód i rozwój wypadków historycznych, ale i to nie ulega wątpliwości, że obok przyczyn materyalnych w toku i wirze wypadków historycznych zawsze dużą odgrywały rolę również czynniki psychologiczne i moralne.

Przyroda i historya to dwa światy odrębne, które wręcz odmiennemi rządzą się prawami. Na dnie mechanicznego procesu natury pracuje *causa efficiens*, determinującym natomiast pierwiastkiem historyi wogóle i w poszczególnych wypadkach jest *causa finalis*.

Rozum i wolna moc woli człowieka pracują w historyi i o tę wolę rozbija się i łamie prawo wszelkiej, na ślepo działającej przyczyny. Jak tłómaczy materyalizm historyczny męczeństwo za wiarę, jak ofiarę wogóle życia w obronie dóbr idealnych i najwyższych, jak wyjaśnia potężny wpływ wielkich ludzi, wyprzedzających wiek swój o całe stulecia (Piotr Wielki), panujących nad światem współczesnym potęgą i energią woli (Napoleon). A chrześcijaństwo już całkiem pozostanie zagadką nierozwiązalną dla materyalizmu historycznego.

Chociaż atoli teorya ta zgoła nie tłómaczy nam pochodu historyi i bezustannie niemal kruszy się o najdonioślejsze w dziejach wypadki, to z drugiej strony przyznać należy, że element gospodarczy w rozwoju dziejów ludzkości dotąd zamało nauka historyczna uwzględniała.

Strona ekonomiczna to tylko jedna strona jej pochodu. Dzieje ludzkości, to nie przypadkowy tylko łańcuch wypadków, wyrastający z ślepych sił mechanicznych, ale rezultat sił i czynników, pracujących z celem i całą swobodą wolnej woli.

Historya ludzkości to realizacya planu Bożego przez wolnych ludzi, to spełnienie słowa: „przyjdź królestwo twoje".

Po skończonym wykładzie wywiązała się żywa i ciekawa dyskusya, w której jeden z wybitnych wodzów socyalistycznych, redaktor Rob. Seidel, w przeciwieństwie do swoich przyjaciół, ku zdumieniu całego zebrania, okazał się zdeklarowanym przeciwnikiem materyalizmu historycznego.

— Czy można być marksistą, nie przyjmując i nie budując na teoryi wartości ani na historyozofii Marksa, pytam się zdziwiony jednego z katolickich wodzów szwajcarskich.

— Tak, redaktor Seidel buduje na genialnej krytyce kapitalizmu Marksa i to mu wystarcza.

Ale bo też wówczas już się dobrze kruszyć począł dogmatyzm socyalizmu. W kilka dni później na kongresie stuttgarckim już wyraźnie wyodrębniły się w socyalizmie dwa obozy: marksistów i rewizyonistów.

Po śmierci barona Vogelsanga głównie za staraniem Decurtinsa przeniesiono z Wiednia do Szwajcaryi główny organ naukowy chrześcijańskiego ruchu socyalnego „*Monatsschrift für christliche Sozialreform*".

I odtąd Decurtins przez szereg lat był jego współredaktorem, stojąc wraz z swymi przyjaciółmi wiernie na straży poglądów i ideałów społecznych chrześcijańsko-socyalnej szkoły wiedeńskiej. Z dzienników stale zasilał Decurtins swojem ciętem piórem *Baseler Volksblatt*, który był poniekąd jego trybuną socyalną i polityczną. Publicystyczne jego prace odznaczały się zawsze dokładną znajomością rzeczy i jasnością myśli i zasad katolickich.

Obok pracy społecznej i publicystycznej dużo czasu poświęcał Decurtins wytrwałym i mozolnym badaniom nad zabytkami *reto-romańskiej* poezyi ludowej. Zabytki literatury tej, przez niego zebrane, wynoszą dziesięć sporych tomów. „Była to wytrwała i rzetelna praca, pisze o monumentalnem dziele tem jeden z wybitnych lingwistów szwajcarskich, praca, oddzielająca ziarna od plewy, za którą lud *reto-romański* i przyjaciele retyckiej poezyi ludowej dużą wdzięczność mu okazać winni". I co go popchnęło do tej żmudnej pracy uczonego zbieracza?

Miłość do gasnącego rzymskiego szczepu ludowego, z którego sam się wywodził i którego piśmienne zabytki chciał ratować od zatraty.

Zresztą romantyczna dusza jego lgnie do poezyi, która bezpośrednio płynąc z serca ludu i przez długie stulecia będąc pokarmem estetycznej duszy jego, odźwierciadlała w swoim rozwoju dawną chwałę i kulturę i zmienne losy jego rodzinnej przeszłości dziejowej. Tam, gdzie jednolita kultura,

mówi Decurtins, rozlewa się szeroko na lud cały, zakwita pieśń ludowa, w której odźwierciadlają się różne epoki ze swoją fizyognomią ekonomiczną i socyalną i odrębnym światem duchowym.

Analiza i oświetlenie socyologiczne tej poezyi przez Decurtinsa jest nieraz nader interesujące. Oto zabytek *reto-romańskiej* poezyi z czasów późnego średniowiecza, przedstawiający rozmowę matki z córką:

Matka mówi do córki: „Tyś zawsze była uczciwą córką. Majątek dostanie ci się w udziale i na pieniądzach zbywać ci nie będzie". Miej tedy serce dla chłopca, który cię kocha.

A córka odpowiada: „Na cóż mi te konie i sługi, skoro tęskność toczy mi serce".

Otóż proste te słowa matki i córki, wnioskuje Decurtins, odźwierciadlają nam duży okres kultury *reto-romańskiej*. Duży okres dziejów przedziela w pieśni tej słowa matki od odpowiedzi córki. I dziwnym trafem słowa matki, dla której majątek i pieniądz są widomym znakiem dobrobytu, pochodzą z epoki późniejszej, podczas gdy w odpowiedzi córki jeszcze konie i liczna służba są miarą bogactwa i położenia społecznego. Gospodarstwo tedy pieniężne nowszej epoki, schodzi się tu z gospodarstwem naturalnem średniowiecza, kiedy dziesięciny poddanych szły na utrzymanie wielkiej drużyny służebnej i na podniesienie pozycyi społecznej [1]).

W średnich wiekach, mówi Decurtins, robotnicy nader żywy brali udział w pracy kulturalnej wieku. Budowali tumy gotyckie. Pieśń i nowelka średniowiecznej literatury były na ustach ludu całego, a nie tylko jakiejś klasy poszczególnej.

Najwspanialsze utwory Lopez'a i Kalderona na scenie madryckiej zależały właśnie od tych widzów, którzy dziś stanowią galeryę. Szewc stary dawał hasło do oklasków lub niezadowolenia. Klasyczny dogmat hiszpański był nawskróś teatrem ludowym.

---

[1]) Decurtins: Rätoromanische Chrestomathie, t. II str. 345—346.

Średniowiecze rzuca blaski poezyi, dobywającej się ze serca ludu, na każdy stan i podnosi i ozłaca jego poczucie praw i obowiązków. Stara pieśń górnicza rzuca promień piękna na pracę kopalnianą:

„Der König, der könnte keine Krone
nicht tragen,
Wenn's keine Bergleut' wär'n — —
Man könnte nicht zieren,
Keine Ritterschaft führen,
Wenn's keine Bergleut' wären
Glück auf! es kommt alles vom
Bergmann her".

Stara francuska pieśń ludowa wynosi zgrubiałą od pracy rękę roboczą i podnosi poczucie godności robotnika:

„Il n'est ni roi, ni prince,
Ni duc, ni seigneur,
Qui n'vive de la peine
Du pauvre laboureur".

„I żebracy mają swoje piosnki; bo i oni czują, że stanowią stan odrębny. W Bretanii uważano żebraków za gości, zesłanych z nieba, których wszędzie radośnie przyjmowano.

Dopiero, gdy dzisiejszy robotnik bezdusznem stał się narzędziem, pieśń zamarła na ustach jego. Pieśni ludowe wymagają pieśniarzy, którzy mają własny grunt pod nogami i dach nad głową. Tylko lud zdobywa się na swojską poezyę, a nie bezkształtne społeczeństwo. W pieśni ludowej odźwierciedla się pogląd, opowiadający nam o imponderabiliach w życiu ludowem, które zasługują na baczną uwagę socyologa".

III.

W roku 1903 wycofał się Decurtins z życia politycznego i objął w uniwersytecie fryburskim katedrę historyi kultury.

W ognistej duszy jego odżyły znowu z całą siłą ideały młodości i romantyzmu.

Były to czasy potężnego wzmożenia się kultury materyalnej a w dziedzinie religii, pod wpływem tej kultury i filozofii wieku, zaćmienie jasnych zasad w dziedzinie myśli i życia tam, gdzie nauka styka się z religią. Grunt odpowiedni dla chwastów i odurzających kwiatów modernizmu.

Wzbierające te na tle dzisiejszej kultury i filozofii wieku, mętne fale umysłowości religijnej charakteryzuje Decurtins w ten sposób:

Pod koniec rządów Leona XIII. „spotykamy się zrazu sporadycznie, później coraz częściej z żądaniem, żeby zerwać z filozofią średniowieczną i porzucić przestarzałe poglądy, by módz się przystosować do myślowego gmachu dzisiejszych poglądów naukowych. Niebawem rzucono hasło, że reforma socyalna, odpowiadająca dzisiejszym pojęciom i potrzebom, wogóle opierać się winna na filozofii wieku.

Rzecz to interesująca śledzić, jak chrześcijańscy reformiści społeczni porzucają swój teren pracy, ażeby wpierw w łonie Kościoła katolickiego przeprowadzić reformę. Teologiczny intelektualizm zainteresował i zajął wszystkich".

Przeciwko tym prądom nowym, podmywającym zapoczątkowaną pracę socyalną według zasad i wskazań *Rerum novarum* i utrudniającym kiełkujące odrodzenie socyalne chrześcijaństwa, wystąpił Decurtins z całą siłą swego talentu, z całym rozmachem i rzutkością swego ognistego temperamentu.

Osservatore Romano (z dnia 6. czerwca 1916 r.) okres ten najburzliwszych może prac i walk jego tak charakteryzuje:

„W ostatnich latach pontyfikatu Leona XIII. dokonał się w duszy jego przełom. W Fryburgu z kolegami swymi francuskiej narodowości zamąciła się ta doskonała harmonia idei, ongi tak kwitnąca.

Gdy wyrobił się modernizm, Kacper Decurtins podniósł swój głos przeciwko temu nowemu splotowi herezyi, potępionych w encyklice Pascendi. Decurtins brał też udział w t. z.

„*Semaines sociales*“ we Francyi, które bezsprzecznie trzymały się zdala od wszelkiej idei, choć trochę modernistycznej.

Aż do ostatniego tchnienia pozostał wiernym ideom socyalnym Leona XIII. Encyklika *Rerum novarum* była dla niego zawsze przewodniczką, *Charta magna*. Ale on też zawsze dbał o to, — co zasługuje na pochwałę — żeby ruchy, które mają się do siebie jak antypody, odrębnemi szły drogami, a nie mieszały się.

Wobec tych, którzy z demokracyą chrześcijańską chcieli łączyć z gruntu fałszywe ide filozoficzne, zajął Kacper Decurtins jasne stanowisko“. I tu doszliśmy do najważniejszego punktu, mianowicie jaki jest stosunek katolickiego ruchu socyalnego do dzisiejszej filozofii i intelektualnych prądów modernistycznych w Kościele. „Rozwiązanie bowiem problemu socyalnego zależy od tego, jakiej kto filozofii się trzyma“.

Sprawę tę omówił i stanowisko to rozwinął Decurtins jasno i przekonywująco w piśmie p. t.: „*Brief an einen jungen Freund*“, ogłoszonem w języku niemieckim i francuskim, które dla ruchu chrześcijańsko-społecznego zasadnicze i doniosłe ma znaczenie.

Oto w streszczeniu najważniejsze momenty listu tego:

Każdy ruch wielki, żłobiący sobie łożysko historyczne, czerpie siły żywotne z idei, którym zawdzięcza swój początek. Początek zaś ideowy ruchu chrześcijańsko-społecznego jaki był? Mam prawo i obowiązek zabrać głos w tej sprawie, bom długie lata strawił w uczciwej walce i pracy nad ruchem tym, bo należę do szeregu, dziś już bardzo przerzedzonego, tych, co z pierwszymi wodzami młodego ruchu chrześcijańsko-społecznego w przyjacielskiem byli porozumieniu.

„Dziś dają się słyszeć raz po raz już to przyciszone i z zastrzeżeniem, już to głośno i absolutnie wypowiadane głosy, że chrześcijańska reforma społeczna jest tylko częścią owego ruchu intelektualnego, które nosi miano „*Reformkatholizismus*, że los ruchu katolicko socyalnego związany jest ściśle z nowym katolicyzmem i z nim stoi i upada“. Tak wielu mniema wśród przyjaciół i wrogów.

Niebezpieczna to iluzya, tkwiąca korzeniem w błędnym poglądzie historycznym. Zdaniem Decurtinsa tak zwany *Reformkatholizismus* (głośny przed encykliką Pascendi) nie jest tak kierunkiem filozoficzno-teologicznym, jak raczej duchowym objawem naszego życia kulturalnego. Nie idzie tu bowiem tyle o ten lub ów artykuł wiary chrześcijańskiej, ile raczej o błędny kierunek intelektualny, dający się porównać z gnostycyzmem, racyonalizmem XVIII. w. lub reformą w łonie protestantyzmu.

O stosunku t. zw. *Reformkatholizismus* do chrześcijańskiej reformy społecznej najlepiej poucza nas historya. Na jakim gruncie wyrósł, jakie czynniki wytworzyły chrześcijański ruch społeczny?

Otóż najwybitniejsi przodownicy myśli i ruchu chrześcijańsko-społecznego kształcili się w szkole średniowiecza.

W burzliwych czasach ruchu rewolucyjnego w roku 1848, gdy zadufany w swoją potęgę liberalizm ekonomiczny i polityczny uważał Kościół katolicki za martwą i zdeptaną instytucyę średniowiecza, rozwijał w tumie moguncki biskup von Ketteler wspaniałe swoje nauki o własności, które żywo zainteresowały wszystkie obozy i stały się hasłem i myślą programową chrześcijańskiej reformy społecznej.

Bystry ten polityk socyalny, rozczytując się w św. Tomaszu, zrozumiał, że główne niedomagania społeczne wyrosły z błędnych poglądów na zasadnicze podstawy dzisiejszego ustroju ekonomicznego, i że dla tego należy przedewszystkiem prostować te poglądy. I stąd te wspaniałe nauki jego o własności w przeciwstawieniu do klasycznej ekonomii społecznej.

W ten sposób myśl katolicka, skrystalizowana w filozofii scholastycznej i kanonach Kościoła, przyćmiona i przygłuszona w czasach reformacyi, oświecenia i rewolucyi, znowu zmartwychwstała w socyologii.

„Bez św. Tomasza z Akwinu Ketteler nigdy nie byłby został wielkim restauratorem katolickiej socyologii". Jego książka słynna p. t.: „*Das Christentum und die Arbeiterfrage*"

jest właściwie tylko wspaniałym komentarzem do trzech pierwszych jego nauk o własności. Jego poglądy na pracę, płacę, na prawa i obowiązki władzy państwowej, na stosunek tej władzy do jednostki, na stosunek Kościoła do społeczeństwa i państwa — to poglądy św. Tomasza, zastosowane do naszych czasów.

„Jakie znaczenie Ketteler sam przywiązywał do politycznych i socyalnych nauk św. Tomasza, wnosić można stąd, że on rozprawę jego *de principe* przetłómaczył i we formie listu do szlachty niemieckiej ogłosił drukiem.

W rozumieniu Kettelera katolicka reforma społeczna to część integralna renesansu chrześcijańskiego poglądu w nauce i życiu, tego samego renesansu, którego śmiałym i wybitnym przedstawicielem on stał się również w innych dziedzinach życia katolickiego. W oczach współczesnych uchodził moguncki biskup, Ketteler — można to śmiało powiedzieć — za najwybitniejszego przedstawiciela ultramontanizmu".

Biskup von Ketteler był twórcą katolickiego ruchu społecznego, baron Vogelsang zaś dał nam zarys socyologii katolickiej.

„Wielki ten mąż genialny, o rzadkiej sile charakteru, okrył się dla sprawy katolickiej nieśmiertelną zasługą przez swój system społeczny, który oparł na zasadach chrześcijańskich".

Ideałem jego był, wyrosły z zasad chrześcijańskich, porządek ekonomiczno-społeczny średniowiecza, polegający na harmonii wszystkich sił gospodarczych i kwitnący pokojem socyalnym. Harmonia zaś społeczna i pokój socyalny to cel ostateczny każdej ustawy ekonomicznej.

Ażeby dojść do tego celu, trzeba jednak wpierw pokonać i wyplenić ze szczętem doktrynę liberalizmu, który jest nieprzejednanym wrogiem tego porządku i pokoju. „Warunkiem i podstawą konieczną chrześcijańskiego rozwiązania problemu społecznego, mówi Vogelsang, jest zupełne zerwanie z liberalizmem i stanowczy powrót do katolickiego poglądu".

Katolickie też zasady i „daleko idące socyalne reformy,

wypływające z tych zasad, są cechą znamienną" całego chrześcijańskiego ruchu socyalnego.

Na zasadach tych opierali się wszyscy mężowie, którzy stali na czele ruchu chrześcijańsko-społecznego.

Unia fryburska, złożona z najwybitniejszych przedstawicieli chrześcijańskiej reformy społecznej w różnych krajach kulturalnych, zawsze szukała rozwiązania trudnych problemów społecznych u św. Tomasza i późniejszych wielkich scholastyków.

Wystarczy przeglądnąć dawniejsze zeszyty miesięcznika *Monatsschrift für christliche Socialreform* albo *Association catholique*, aby się przekonać o głębokim wpływie doktryny scholastycznej na młody ten ruch socyalny.

Za Leona XIII., który przeprowadził reformę studyów teologicznych na podstawie filozofii scholastycznej, stosunek reformy socyalnej do mistrzów średniowiecza siłą rzeczy się zacieśnił i umocnił.

Oczywiście dzisiejsza filozofia scholastyczna nie śmie być czystem wznowieniem tylko filozofii św. Tomasza i jego szkoły.

„Nie, my wierzymy w rozwój filozofii tomistycznej przez nieodparte zdobycze dzisiejszych badań historycznych i przyrodniczych...

Co Mercier zrobił dla scholastyki w dziedzinie psychologii, to samo uczynią inni badacze w innych dziedzinach filozofii, i tak możemy się spodziewać, że scholastyczna filozofia w 20. wieku nowem pokryje się kwieciem".

„Rozwiązanie problemu socyalnego zależy od tego, jakiej kto filozofii się trzyma. Lamennais, który odznaczał się wielkimi darami umysłu i serca, mógł zostać ojcem chrześcijańskiej reformy socyalnej. Atoli z powodu błędów filozoficznych stał się przedstawicielem apokaliptycznej anarchii. Straszny to przykład, który zawsze rozważać winniśmy. Dla tego też Pius X. zawsze z takim naciskiem powołuje się na tradycyę katolicką w nauce i życiu i przestrzega przed niezdrowym sceptycyzmem.

Rozumiem, drogi przyjacielu, że katolicka młodzież akademicka interesuje się wielkim problemem socyalnym i cieszę się, że wstępuje w szeregi tych, którzy bezinteresownie walczą o lepsze ustawy socyalne. Niech atoli młodzież ta od socyalistów się uczy, jaką doniosłość w walce tej ma jednolity pogląd życiowy.

Młodzież katolicka tylko wówczas w walce socyalnej zwycięsko zdoła rozwinąć swoje szyki bojowe, jeżeli akcya cała opierać się będzie na niewzruszonej i jednolitej podstawie. Sprawa socyalna nie jest tylko kwestyą chleba, ale raczej problemem kulturalnym w najszerszem słowa znaczeniu.

Walczymy w obronie rdzennie chrześcijańskiego ideału kulturalnego, ideału, nakreślonego wyraziście i ciepło przez księcia scholastyki. Ruch chrześcijańsko-socyalny nie przypadkiem wyrósł z wskrzeszonego studyum św. Tomasza z Akwinu. Nie mamy bowiem i nie znamy żadnej innej filozofii, któraby przez etykę swoją w tak jaskrawem stanęła przeciwieństwie do liberalnej ekonomii społecznej jak filozofia św. Tomasza.

W przeciwieństwie do owej, z czasów oświecenia wyrosłej filozofii społecznej, która zamiast moralności egoizm uznaje za regulator moralny życia i rozwoju ekonomicznego, wskazuje filozofia scholastyczna na odwieczne prawo moralne, któremu tak społeczne życie ekonomiczne jak życie każdej jednostki podlega. I na tej potędze moralnej, rządzącej życiem ekonomicznem, zasadza się fundamentalna różnica obu systemów.

Cel chrześcijańskiej reformy socyalnej da się w kilku słowach zamknąć: idzie tu o uznanie zasad chrześcijańskich, odnoszących się do prawa i godności pracy i do sprawiedliwej płacy — idzie o wprowadzenie w życie sprawiedliwości społecznej.

Było to nieszczęście fatalne, że w czasie, kiedy maszyna się pojawiła, sceptyczna i wszystko ironizująca filozofia wyrugowała pogląd chrześcijański z życia społecznego. Inaczej

maszyna stałaby się nie tylko potężnym czynnikiem kulturalnym, ale i błogosławieństwem dla wszystkich.

Dopiero, gdy prawdziwa, społeczna etyka chrześcijańska zajmie miejsce etyki, wyrosłej z fałszywej filozofii i faktycznych stosunków dzisiejszego industryalizmu, nastanie pokój społeczny".

W dwa miesiące po ogłoszeniu listu tego, w roku 1907, ukazała się encyklika Piusa X. *Pascendi* przeciwko modernizmowi. Decurtins odrazu zaciągnął się w szeregi krzyżowców przeciwko modernizmowi. W ognistej duszy jego zbudził się dawny zapał młodzieńczy, prący do czynu i walki, rozniecony i podtrzymywany studyami nad historyą kultury naszego wieku i religijnem życiem kontemplacyjnem. On już w liście powyższym pisał: „Doszliśmy do tego, że nawet w kołach katolickich mówi się otwarcie o przesileniu religijnem. Wobec tego obowiązek nasz jasny: według sił przyczynić się do zwycięstwa prawdy. Wobec powinności tej muszą zamilknąć względy osobiste". A teraz najwyższy dokument papieski utwierdza i uświęca go w tem postanowieniu.

W dodatku pociągał go silnie i omamił ideał „integralizmu", wysunięty jako hasło i program działania w obronie czystości wiary we wszystkich dziedzinach pracy i życia społecznego.

Bo też naprawdę w słowie tem tkwi wielka myśl i siła twórcza, zdolna popchnąć serce gorące i umysł wrażliwy na mamiący czar ideałów do wytrwałej i znojnej pracy i wielkich poświęceń.

O takim katolicyzmie, promiennym jasnością Bożą w pracy i życiu ludzi i ludów, marzyli już romantycy w krwawej zawierusze czasów Napoleońskich. Protestant Novalis w słynnej rozprawie pod tytułem „*Die Christenheit oder Europa*" pisze: „Chrześcijaństwo winno znowu stać się żywotnem i owocodajnem i przyoblec się bez względu na granice państw w widzialny Kościół, któryby przyjął na łono swoje wszystkie dusze, spragnione rzeczy wiecznych i stał się pośrednikiem pomiędzy starym a nowym światem i rozlał potok błogosławieństw na ludy.

Z świętego łona szanownego synodu europejskiego dźwignie się chrześcijaństwo i sprawa odrodzenia religijnego odbywać się będzie według wszystko ogarniającego planu Bożego. I nikt już wówczas nie podniesie protestu przeciwko przymusowi, idącemu ze strony Kościoła czy władzy świeckiej, bo istotą Kościoła będzie prawdziwa wolność i wszystkie konieczne reformy odbywać się będą pod jego kierunkiem jako pokojowe i rzeczywiste procesy państwowe".

A ruch chrześcijańsko-socyalny, czyż nie wznowił ideału tego, odmłodzonego i zastosowanego do naszych czasów, prawda, nie w polityce, ale w życiu i świecie gospodarczym i kulturalnym? Czyż dziś ta czysta i promienna nauka katolicka nie zdoła już przeniknąć i uregulować według normy Bożej olbrzymiej dziedziny życia i twórczej pracy ludzkiej: w literaturze i sztuce, w życiu społecznem i gospodarczem, publicznem i międzynarodowem, *omnia instaurare in Christo?*

Co za olbrzymie pole pracy — wołają integraliści — roztacza się przed chrześcijaństwem! „Dzisiejszy duch czasu i jego zwolennicy wypierają się Chrystusa we wszystkich dziedzinach. W dziedzinie religii... W dziedzinie nauki przez to, że zwalcza się na wszelki sposób objawienie, przez Chrystusa ludzkości uczynione, i wprowadza w życie zamiast prawdy Bożej martwy i zimny deizm, albo fantastyczny panteim, albo nizki ateizm i materyalizm.

Wypierają się Chrystusa w dziedzinie sztuki dla tego, że przez sztukę poddają w śmiech chrześcijaństwo i rozluźniają obyczaje chrześcijańskie i oddają tę córę niebios w służbę antychrześcijańskiego fanatyzmu i najobrzydliwszych namiętności.

Wypierają się Chrystusa w dziedzinie państwowej przez to, że chrześcijaństwo i Kościół przedstawia się jako wrogów państwa, że nie rzadko popycha się władzę państwową do prześladowania chrześcijaństwa i Kościoła, ażeby na ruinach chrześcijańskiego ustroju państwowego w tej lub innej formie zbudować państwo bez Boga, bez Chrystusa i bez chrześcijaństwa.

Wypierają się Chrystusa w szkole i wychowaniu przez to, że usiłują wyrugować chrześcijaństwo ze szkół, a w miejsce jego wprowadzić czczą i mglistą religię humanistyczną i państwową.

Wypierają Chrystusa z dziedziny prasy przez to, że zwalczają, podają w śmiech i pogardę wszystko to, co jest chrześcijańskie i na gruncie chrześcijańskim wyrosło, i usiłują zatruć umysły demonicznym jadem antychrześcijańskiego poglądu.

Wypierają się Chrystusa w życiu publicznem przez to, że usiłują usunąć z życia ducha wszystkie oznaki i objawy życia chrześcijańskiego i przeobrazić je na życie achrześcijańskie lub antychrześcijańskie.

Zwolennicy modernistycznego ducha czasu wypierają się Chrystusa w życiu prywatnem, bo lekceważą wiarę i obyczaj chrześcijański, bo hołdują nierzadko wręcz pogańskiemu bezprawiu i nie uznają żadnego wyższego prawa prócz zaspokojenia swoich namiętności.

Tak miliony chrześcijan bezustannie wypiera się w myśli, w życiu i postępowaniu „Pana, który ich odkupił" i tworzą w pośrodku chrześcijańskiego świata nowoczesne pogaństwo, które przez swe odstępstwo od chrześcijaństwa dużo przewrotniejsze jest i na większe zasługuje potępienie, niż antyczne pogaństwo" [1]).

A więc trzeba sprawić szeregi, aby podjąć walkę z dzisiejszem pogaństwem i poddać rewizyi wszystkie dzieła i kierunki i programy katolickie według hasła i programu: *omnia instaurare in Christo.*

Cel wielki i hasło Boże. Tylko, że do wielkich celów, do reformy instytucyi społecznych i podbicia w moc Chrystusową serc i umysłów nie idzie się drogą rozmachu na przebój i mglistego zapału i podejrzliwości lękliwej czy polityczno-taktycznej. A tę drogę w trudnej pracy nad szerzeniem królestwa Bożego obrali sobie integraliści.

[1]) Hundhausen, Das zweite Pontifikalschreiben des H Petrus, str. 258. w Turm und Block. Petrus-Verlag, Trier 1912. str 170.

Jak jaskrawo odbijają te tajne ścieżki ciasnej częstokroć i małostkowej mądrości świeckiej od prostych zawsze i jawnych dróg Bożych, pełnych roztropności i miłości, wielkich zapaśników sprawy Bożej w dziejach chrześcijaństwa! *Integra fides*, mówi wybitny publicysta kościelny, *non eget Mauris jaculis neque arcu — nec venenatis gravida sagittis. Fusce, pharetra.* Już szlachetny i wyniosły stoik *integer vitae, scelerisque purus* gardził takimi środkami i nie chadzał krętemi drogami.

Świadomy tej tajnej i małostkowej roboty integralistów ks. Meyenberg, tak charakteryzuje pracę prof. Decurtinsa w tym kierunku:

„Potężny i konieczny prąd przeciwko modernizmowi, dzięki pracy niektórych, wezbrał falą podejrzliwości i podejrzliwych zarzutów osobistych i narodowych i intryg politycznych i dworskich...

Wyrobiła się cała organizacya i pesymistyczna taktyka, rzucająca podejrzenie na najróżniejszych pracowników i prace w winnicy Pańskiej. I Decurtins dał się wciągnąć w tę robotę.

W łączności z pewną miedzynarodową kliką prasy i dworskimi prądami i wybitnemi osobistościami on dawał impuls do tej pracy podziemnej w całym tym nader poważnym ruchu. Wielu wskutek tego ucierpiało bardzo i to bardzo ciężko. Dość wspomnieć z szeregu wypadków o owej kampanii publicznej i w części dalekie zakreślającej koła i cichej przeciwko wielce zasłużonemu prałatowi Dr. Gisler'owi, który jest jednym z najwybitniejszych apologetów i to właśnie co do modernizmu. Decurtins później sam żałował tego bardzo.

Szereg błędów, popełnionych na polu socyalnem, zwłaszcza w organizacyi zawodowej i w dziedzinie literacko-kulturalnej, sprawił, że namnożyło się aż nadto wiele powodów do poważnej krytyki i obaw co do możliwego i rzeczywistego zetknięcia się z modernizmem. I tu Decurtins dużą ma zasługę, co też Pius X. co do dziedziny literackiej publicznie zaznaczył.

Najwyższe uznania dwu pontyfikatów wieńczyły jego działalność. Jakąż owocną pracę właśnie w tych czasach mógł

był rozwinąć. Ale szczyty jego wielkiego ducha zasunęły się chmurami.

Znowu rozpoczęła się owa praca, rzucająca na wszystko podejrzenie i wnosząca zamieszanie wszędzie, praca, która na polu religijno-filozoficzno-kulturalnem wręcz zatarła jasno wykreślone linie Piusa X., a na polu socyalnem pokrzyżowała drogi, wyznaczone encykliką Piusa X. w sprawie organizacyi zawodowych dla Niemiec, a tem samem przy odpowiedniem zastosowaniu w łączności z episkopatem i dla podobnych stosunków w Szwajcayi. Decurtins w tej mętnej i podejrzliwej pracy brał raz po raz udział z całym czarem swojej osobowości.

Z drugiej strony jednak on wciąż wyzwalał, popierał i zapalał i sprawiał szeregi młodzieży, aby chętnie zaznaczała swoje stanowisko katolickie i w dziedzinie polityki zwalczała liberalizm, który zaciera wszystkie różnice i podkopuje autorytet religijny i Kościół.

Był to złoty posiew, który on zawsze jeszcze raz po raz rozrzucał. I ta działalność byłaby go może po wyklarowaniu położenia przez Benedykta XV. znowu popchnęła na drogę wielkiej pracy owocnej. I w ostatnim okresie swego życia on szedł już tą drogą i szukał nowego kontaktu dla rozleglejszej pracy wspólnej.

Jest to rzeczą prawdy historycznej przedstawić wiernie wielkiego człowieka i porównać bez ogródki jego idealne i jasne strony i ludzkie cienie. I naprawdę cienie te nie psują jasnego obrazu Decurtinsa. Zresztą i o tem nie trzeba zapominać, że niektórzy z pośród katolików współczesnych cienie te uważali za pełne światło i dziś jeszcze uważają".

* * *

Wreszcie przyszła krwawa burza wojenna i nowy papież. Swary wewnętrzne przycichły. Niebawem Benedykt XV. zabronił używać hasła integralizmu. Decurtins wycofał się z życia publicznego. Nastał „nowy kurs", mawiał do przyjaciół,

moje zadanie skończone. I bez żalu rozstał się z profesurą i w swej wiosce rodzinnej Turns oddał się znowu w skupieniu ulubionym swym studyom nad reto-romańskim językiem, niecąc równocześnie ognie i rzucając płomienie w serca młodzieży, która uważała go zawsze za swego hetmana.

Wokoło szaleje światowa burza krwawa, która rozpętała się na tle szalonego rozpędu nieukróconego w zyskach kapitalizmu i ekspanzyi nacyonalnej, a w duszy snują się smętne obrazy zgliszcz i klęsk wojennych i jasne nadzieje wykwitającego z ruin nowego porządku.

Przed dziesięciu laty Decurtins w miesięczniku swoim wskazał na słowa myśliciela japońskiego, który Europie taki stawia horoskop polityczny:

Cywilizacya europejska, która oparła się na przyziemnym egoizmie, która chciwy wciąż nowego żeru egoizm uważa za nieodmienne prawo natury, musi ostatecznie dojść do bankructwa i pogrzebać się w ruinach. „Europejskie państwa wyrosły na tle walk i rozterek najstraszniejszych i przez walki stały się tem, czem są dzisiaj. Taki już ich los, że bezustanne walki są warunkiem i podstawą ich rozwoju.

W obecnej chwili jej siły czynne i twórcze są po części w równowadze, i znajdują się w stosunkach nawzajem względnie uregulowanych. Ale niech tylko przypadkiem ta chwilowa równowaga się zachwieje, wytworzy się znowu zamieszanie i przewrót i szereg ponownych walk i klęsk, dopóki nowy chwilowy porządek nie ustali się. I ci, którzy są dziś w ubóstwie i bez znaczenia, może jutro dojdą do bogactw ipotęgi i *vice versa*. Wieczny przewrót jest jej przeznaczeniem.

Pokój i równość zakwitnie dopiero na ruinach państw europejskich i wyrośnie z popiołów ludów europejskich“ [1]).

Dziś od dwu lat już z okładem szaleje ta walka i wzmaga się ten przewrót, wyszły z nieukróconego egoizmu ekonomicznego i mocarstwowego. Ale czyż pokój i równość w Euro-

[1]) Lafcadio Hearn, Irumo. Blicke in das unbekannte Japan. Frankfurt a. M. 1907. Lit. Anstallt Rutten u. Loening.

pie nie inaczej zakwitnie, jak tylko na ruinach europejskiego świata, jak sobie roi filozof poganizmu i rasy żółtej? Przenigdy, odpowiedziałby Decurtins. Bogate i cudowne drzewo cywilizacyi europejskiej wyrosło nie tylko wśród walk, ale przedewszystkiem pod wpływem twórczych sił chrześcijaństwa. Wystarczy tylko ukrócić rozpęd lichwiarskiego kapitalizmu i przebudować państwa nacyonalistyczne, wystarczy chrześcijaństwo wprowadzić w życie gospodarcze i międzynarodowe, a Europa zakwitnie równością i pokojem, szczęściem i dobrobytem ludzi i ludów.

Śmierć przedwczesna niespodziewanie przerwała te wczasy i prace. Ale duch jego żyje wśród nas i wita i chyli się ku nam według wyrażenia ks. Meyenberga, jak ten samotny świerk skalny na wyżynach jego gór rodzimych — wrośnięty głęboko w skałę i z jej tajemniczych głębin ciągnący soki żywotne, owiany tchnieniem szczytów i targany wichrami.

A z dzieł jego, podkreśla z naciskiem w wspomnieniu pośmiertnem organ watykański, żyć będą: „socyalna jego działalność, zaszczepiona na gruncie narodowym i międzynarodowym; idee jego socyalne, zgodne z poglądem filozoficznym uczonych scholastyków i Ojców Kościoła; i ta intenzywna praca, żeby na gruncie chrześcijaństwa dla mas stworzyć drogę wzniesienia się socyalnego.

Ks. Leonard Lipke.

Powstanie przekonań i obrzędów religijnych według Malinowskiego.

(Dokończenie).

Powstawanie religijnych wierzeń i obrzędów w szczególności.

Autor, wykazawszy, jak z uczuć mają powstawać wogóle wierzenia i obrzędy religijne, stara się wyjaśnić genezę niektórych z nich, w czem ma się okazać słuszność zasad ogólnych. Przypatrzmy się, jak według jego teoryi powstały wierzenia o zmarłych i obrzędy pogrzebowe.

Po zmarłym — mówi — powstaje strach przed nim, żal za nim. Jaką rolę odgrywa żal? Rozpacz[1]) powstaje wskutek uprzytomnienia sobie straty poniesionej, to oddziaływa na nasz stan fizyologiczny, a zmiany, w nim zaszłe, objawiają się przez mdlenia, spazmy, płacz i t. d., z tego zaś „niemożliwego“ subjektywnie stanu utrwala się przeświadczenie, że bez zmarłej osoby życie niemożliwe. Przez wyładowanie się rozpaczy nastaje stan normalny, czujemy się przynajmniej na krótko lepiej, swobodniej, przestajemy rozpaczać wskutek wysiłku organizmu, który nie pozwala na stałe uprzytomnienie sobie nieszczęścia. Z uspokojenia tego powstaje „z psychiczną

[1]) Żal nie jest tem samem, co rozpacz.

koniecznością“ elementarny akt wiary, narzucony nam a nie oparty na rozumnych przesłankach, że zmarły żyje i gdzieś, kiedyś zobaczymy go jeszcze; powstaje w nas przeświadczenie, że akty rozpaczy, płacz, spazmy robiły dobrze nam i zmarłemu, że są one świętym obowiązkiem względem niego, a zaniedbanie ich mogłoby pociągnąć zgubne skutki dla niego i dla pozostałych żyjących. Refleksya następcza u n a s burzy tego rodzaju spontaniczne akty wierzenia, m y bowiem wiemy, że uspokojenie jest skutkiem wyczerpania się organizmu, natomiast u p i e r w o t n e g o c z ł o w i e k a utrwala ono narzucone mu „nadprzyrodzone realności“ i elementarne akty wiary zmienia na wiarę dogmatyczną, a „zrytualizowane akty rozpaczy“ na ceremoniał pogrzebowy i żałobny (str. 90—95).

Znowu słuszne myśli pomieszane z nieuzasadnionemi. Z uspokojenia po rozpaczy możnaby wpaść na myśl, że płacz, spazmy dobrze robią ż a ł u j ą c e m u, ale, żeby stąd ktoś z m u s z o n y był psychiczną koniecznością wnioskować, że z m a r ł y żyje, że płacz dobrze j e m u robi i jest obowiązkiem względem n i e g o, zaniechanie zaś może być niebezpieczne dla obu stron, tego wcale nie widać.

Jakkolwiek jednak żal po śmierci drogich osób z psychiczną koniecznością nie rodzi przekonań religijnych, może przecież w inny sposób przyczynić się do powstania przekonania o życiu za grobem. Kiedy człowiek zajęty jest sprawami codziennego życia, żyje machinalnie, nie zastanawia się głębiej nad tem, co z nim i z jemu drogimi stanie się po śmierci, a nawet, gdy o tem myśli, dość obojętnie przyjmuje myśl, że ze śmiercią skończy się wszystko. Lecz, kiedy stanie nad grobem osoby drogiej, przeciw prawdziwości tej myśli wzburza się jego natura. Śmierć drogich nasuwa każdemu mimowoli myśl o swojej śmierci. Przypuszczenie, że grób będzie jego końcem zupełnym, zniszczeniem jego zamiarów, unicestwieniem pragnienia szczęścia, którego każdy koniecznie wszędzie szuka, wydaje się mu czemś niemożliwem. W świetle tej myśli życie zdaje się mu niedorzecznością, nierozwiązalną zagadką. Myśl zaś o trwaniu za grobem odejmuje

śmierci jej grozę, rzuca zupełnie inne światło na to wszystko, co wtedy człowiekowi dolega, nic dziwnego, że łatwiej trafia mu do przekonania to wszystko, co na korzyść nieśmiertelności przynieść można. Oczywiście kulturalny człowiek przechodzi przez te rozważania więcej świadomie, naukowo, prosty zaś w mniej doskonały sposób, mniej świadomie, ale w gruncie rzeczy on taksamo rozumuje jak wyżej stojący. Naturalnie należy nie zapominać o tem, że człowiek nie żyje odosobniony; wysiłki jego łączą się z badaniami innych, może wyjątkowo uzdolnionych, myśli jednych przechodzą na własność drugich, wzajemnie się utrwalają i uzupełniają, a tak, czego jednostka, sobie zostawiona, możeby nie odkryła, żyjąca w społeczeństwie, przy cichej pomocy innych łatwiej znajdzie.

Po zmarłym, zwłaszcza u ludzi pierwotnych, musi się płakać, sprowadza się nawet płaczki, daje się mu na drogę podarunki, zabija niewolników, żony, składa się ofiary bogom, zanosi się modły [1]), odstrasza istoty, mogące mu szkodzić itd. a pozostali uważają sobie za obowiązek dokonać tego wszystkiego, w przeciwnym razie i ich i zmarłego los mógłby być nieszczęśliwy. Dlaczego? Psychiczna konieczność co do obowiązkowości płaczu, lub niebezpieczeństwa jego zaniechania nie wiele wyjaśni lub raczej nic; decydujące znaczenie ma proste rozumowanie. Płaczemy po rzeczach nam drogich; drogą powinna nam być osoba ojca, matki, żony; kto zatem po nich nie płacze, dowodzi, że ich nie cenił sobie, że nie jest dobrym synem, mężem; rodzina powinna zatem płakać. Odmówienie płaczu po kimś może być dowodem, że zmarły nie był dobrym człowiekiem, nie umiał stać się drogim dla rodziny; sąd pozostałych może wpłynąć na sąd o zmarłym ze strony istot wyższych, może mu zaszkodzić, a przez to pobudzić go do mściwości względem pozostałej rodziny. Wskutek tego płaczą pierwotni nad zmarłymi, nawet posuwają się do przesady, zamawiając „piszczki i płaczki". Aby okazać się dobrym synem, sadzono się na przepych pogrzebowy, na

[1]) Por. Cathrein, prz. dz. III. 263, 263, 267.

grobowce i balsamowania, które miały zmarłemu zapewnić szczęśliwe życie na „tamtym brzegu". Zmarły żyje — ale czem, w jakich warunkach? Czy nie potrzebuje rzeczy, jakich tu używał? Kto mu będzie przyrządzał jedzenie, sadził rośliny do utrzymania potrzebne? Trzeba mu pomocników i zasobów, dlatego kładziono mu w grób to, czem się posługiwał na świecie, zabijano niewolników, żony, bydło, aby ich cienie szły za zmarłym na drugi świat[1]).

Uczucie przekonania o życiu za grobem „z psychiczną koniecznością" nie zrodziło, ale można przyznać, że powstanie go ułatwiło, zmuszając do głębszej refleksyi nad życiem i śmiercią — i stwarzając usposobienie subjektywne, ułatwiające przyjęcie i uznanie racyj, za wiarą w życie za grobem przemawiających, a utrudniające siłę działania dowodów przeciwnych.

Wierzenia i rytuały religijne mają swe źródło w „emocyach". Lecz pewne c z y n n o ś c i — mówi autor — złączone są z uczuciami przynajmniej w niektórych wypadkach, więc i one dają początek wielu wierzeniom i rytuałom religijnym. Taką czynnością jest np. polowanie dla człowieka pierwotnego. Ponieważ idzie on na wyprawy łowieckie prawie już zmuszony głodem i od jego wyniku zależy wyżywienie rodziny, nic dziwnego, że polowanie działa silnie na stronę uczuciową myśliwca. Czeka on podniecony na zwierzynę, bez innego zajęcia, wyobrażenia chwytającej się zwierzyny cisną mu się do głowy, obraz chwytanego zwierza opanowuje go zupełnie, dlatego mimowoli naśladuje chwytanie go lub ruchy zwierzęcia chwytanego (str. 97 n. c.). „Człowiek myśli, więc i postępuje w sposób przymusowy, czyli, używając naszej terminologii, wykonywa elementarne akty wiary i rytuału" (str. 98 por. 99 n). Wspomniane czynności działają kojąco na spełniającego je, wskutek czego „człowiek pierwotny wie-

[1]) Por Cathrein. Einheit des sittl. Bewusstseins II. 300; odgrywa tu rolę „animizm", sądzenie mianowicie, że i zwierzęta, rzeczy nawet są czemś z natury nam podobnem i takie same mającem życie.

rzył, że reakcya spontaniczna, która mu sprawia ulgę, posiada objektywną wartość* (str. 102), że jest pożyteczna, owszem konieczna celem osiągnięcia zamierzonego skutku (str. 102 n.) i prowadzi do niego nawet bez pomocy wyższych istot (str. 117).

Jak z emocyjnych ruchów powstawały obrzędy religijne, można widzieć z obrzędów, wykonywanych przez kobiety Hindu-Kusz. Gdy mężczyźni idą na wyprawę łupieską, one niespokojne o ich los, niepewne wyniku przedsięwzięcia, wykonują bezładne, amorficzne czynności, tańczą, śpiewają w przekonaniu, że przez to sprowadzą pomyślny wynik wyprawy. Skąd takie obrzędy i przekonanie? Kobiety, siedząc w takich okolicznościach jak „na szpilkach", szukały (nieświadomie) uspokojenia w ruchach bezcelowych, bezładnych, co zresztą każdy z nas przy podobnej sposobności czyni; wskutek tego znikał stan napięcia, następowało uspokojenie o los mężów i wyprawy, a stąd powstawało przekonanie, że przez takie czynności zapewnia się pomyślny wynik dla przedsięwzięcia.

Znowu słuszne myśli pomieszane z nieuzasadnionemi. Z okazyi polowań, wypraw wojennych pierwotni wykonują cały szereg obrzędów religijnych: składają ofiary, modlą się o pomyślny wynik przedsięwzięcia, urządzają tańce, posługują się czarownikami[1]) itp. Skąd przekonanie o ich potrzebie i skuteczności, dlaczego taką przybierają u tych ludów formę? Autor co najwyżej podaje wyjaśnienie jedynie tańców mężczyzn i kobiet, oraz ich charakterystycznej różnicy. Lecz i tu już myli się, sądząc, że według przekonania pierwotnych, s a m e te obrzędy bez pomocy istot wyższych mają zapewniać pomyślny wynik przedsięwzięcia; tańce takie są w części uroczystością świecką, w części zaś mimiczną prośbą do bóstw lub do Boga zanoszoną, celem ubłagania ich pomocy. „Czarownicy" zaś zdążają do tego samego celu już to właściwą

[1]) Por. np. Cathrein prz. dz II 122, 170 173, 192, 363, 416 n. 426, 458, 495, 539, 560, 568; III. 173, 357, 539, 560, 568. Wszędzie obrzędy złączone z modlitwami; nie s otkałem nigdzie wzmianki o tem, żeby sam ryt wystarczał, owszem coś przeciwnego jest zupełnie pewne.

im mocą, już to przez przyzywanie pomocy wyższej a unicestwianie działalności istot nieżyczliwych, względem których pozostają w jakimś wyjątkowym stosunku.[1])

Z wywodów autora nie widać wcale, aby z uczuć z psychiczną koniecznością, bez rozumnych powodów wynikało przeświadczenie, że w takich warunkach potrzebne są ofiary, modlitwy do istot wyższych dobrych, w celu skrępowania działalności złych. Natomiast nasze wyjaśnienie podaje wystarczające wytłómaczenie tych zjawisk. Zajęcia ważne, od których zależy los rodzin lub szczepu, mimowoli wstrząsają wszystkimi do głębi. Poznając swoją niedostateczność, oglądają się za pomocą wyższą, pragnęliby osłabić wrogów i uczynić ich sobie mniej niebezpiecznymi lub wpłynąć na zwierzynę, by im szła według pragnienia. W jakiż sposób zapewnić sobie to wszystko? W taki sam, jak w stosunkach z ludźmi: ofiarami[2]), prośbą, uciekaniem się do pomocy czarowników. Jeśli się przedsięwzięcie uda, cóż dziwnego, że pragną swą wdzięczność okazać istotom wyższym przez ofiary z części łupu[3])?

Jakichże obrzędów używać będą celem zapewnienia sobie „błogosławieństwa niebios“? Tu zgadzamy się, jak zwykle, z autorem co do istoty rzeczy. Będą swe prośby przedstawiać w sposób, odpowiadający nastrojowi chwili, przez obrazowe przedstawienia, mające wyrażać to, o co im chodzi, przez lub wśród czynności, do których ich skłaniają mimowoli uczucia, powstające pod wrażeniem niedalekiej przyszłości. Oczywiście czynności te nie dlatego wykonują, że ten sposób proszenia o pomoc uznali przez głębsze refleksye za najodpowiedniejszy w danych warunkach; ludy te, idące zwykle mimowoli za popędemi swymi, objawiają mimowoli swoje uczucia przez odpowiednie im czynności, a w ich objawy

[1]) Por. Cathrein, prz. dz. II. 79, 83, 354, 371, 496, III. 286.

[2]) Por. Cathrein, Einheit des sittl. Bewusstseins II. 417 modlitwa przed polowaniem, II. 419 o deszcz przez pośrednictwo czasownika.

[3]) Por. Schmidt, Ursprung der Gottesidee str. 162, 164, 165, dowody na to, że proszą o błogosławieństwo w modlitwach.

wplatają prośby, nie myśląc nawet nad tem, czy inaczej możnaby postąpić. Kobiety będą błagać bóstwa wśród ruchów, do których skłania je ich stan niepokoju i niecierpliwości; inny sposób nie odpowiadałby ich nastrojowi psychicznemu; mężczyźni, wśród okrzyków, będą przedstawiać bóstwom to, czego pragną, zwycięstwo mianowicie lub pomyślne łowy. Religia wyższa, jeśli chce znaleźć uznanie u wiernych, musi również wprowadzać świadomie obrzędy, które w danych warunkach będą odpowiadać ich uczuciom i przekonaniom wewnętrznym, bo przecież ich celem jest dać naturalny wyraz zewnętrzny temu, co się w człowieku dzieje wewnątrz.

To samo, co o wspomnianych czynnościach, można powiedzieć o innych, budzących silniejsze uczucia. Z ich okazyi skłania się człowiek do głębszych refleksyj nad naturą danego zjawiska; niemożność wytłómaczenia go znanemi przyczynami każe domyślać się działania wyższych istot — Boga; niedostateczność ludzka każe szukać pomocy wyższej, stąd modlitwy, ofiary zanoszone w obrzędach, będących zewnętrznym wyrazem uczuć, jakie ożywiają człowieka wewnątrz. Dlatego życie płciowe, jego początek, czas dojrzałości, zawieranie małżeństw, narodziny dziecka, prace polne, jedzenie otoczone są religijnemi wierzeniami, bóstwami, przekonaniami o potrzebie ich pomocy, odpowiednimi obrzędami, mającymi na celu jej zyskanie.

Religijne przekonania grupują się koło silnych uczuć, związane są z czynnościami, wzbudzającemi silne emocye. Lecz w takim razie — pyta autor — dlaczego źródłem religijnych wierzeń i obrzędów stały się tylko niektóre z tych czynności, czemu awiatyka np., budząca uczucia bardzo żywe, nie jest nimi otoczona (str. 116)?[1])

Odpowiada na to, że w ludzkości wogóle każde uczucie, każda czynność z niem złączona, stała się źródłem

[1]) Autor myli się; i awiatyka jest „tematem religijnym"; niejeden żegna się, modli itd. Ważność przedsiewzięcia każe mu pomyśleć w takiej chwili o Bogu i prosić o pomoc.

religii, ale u danego ludu, w danym czasie i stosunkach jest to udziałem tylko niektórych z nich. Mianowicie tylko takie czynności, około których stale grupują się przeżycia uczuciowe, w danych warunkach będą odgrywały w powstaniu religii najważniejszą rolę u ludów, żyjących w tych warunkach" (str. 118). Dlatego ludy myśliwskie będą miały religię o tematach wziętych głównie ze swego sposobu życia; pasterskie ludy będą mieć religię pasterską, a wojownicze plemię ma także wojowniczych bogów (str. 118), bo tylko jednego rodzaju czynności stale wykonują, odpowiednie przeżywają emocye i zastósowane do swego życia mają wierzenia.

Żeby jakaś czynność mogła stać się źródłem religii, wymagany jest odpowiedni poziom kulturalny. Koniecznem jest, aby w psychice danego osobnika i ludu przeważały emocye nad intellektualizmem, aby kultura nie podawała jeszcze środków stwierdzenia, że nadprzyrodzonym kojarzeniom wyobrażeń nie odpowiada rzeczywistość, a wskutek tego refleksya nie mogła niszczyć elementarnych aktów wierzenia. Tak np. „dziki" sądzi, że przez „czynności magiczne" może sobie zyskać powodzenie w przedsiębiorstwach ekonomicznych; gdzie zaś poznano, że zależą one od przyczyn naturalnych i te siły opanowano, tam tych sił używa się a przestaje się wierzyć w skuteczność obrzędów religijnych (str. 120 n.).

Ponieważ jednak w czynnościach ludzkich, w zjawiskach przyrody zawsze pozostanie coś niezbadanego, dlatego też religijne wierzenia w zupełności nie dadzą się nigdy usunąć (str. 121 n.). Kultura zatem, postęp odgrywają tu wielką rolę; „formy religii będą się krzewiły najbujniej w tych dziedzinach, gdzie człowiek stale i regularnie zmuszony jest do silnych przeżyć uczuciowych, a z drugiej strony materyalna i moralna kultura nie dostarcza człowiekowi racyonalnego rozwiązania problemów, zawartych w tych przeżyciach" (str. 123).

Bezwątpienia w powyższych uwagach autora jest wiele słuszności a znajdują one w całości najzupełniejsze uzasadnie-

nie w naszem wyjaśnieniu. Lud rybacki ma swoją religię, związaną z jego głównem zajęciem. Dlaczego? Bo działania wyższych istot domyśla się przy s w o i c h czynnościach, przy zjawiskach sobie znanych; potrzeba pomocy wyższej będzie go zwracać do bóstw lub Boga pojmowanego po rybacku, będzie mu przypisywał zamiłowanie i znajomość tego, co u rybaka jest w cenie. Również obrzędy religijne będą związane z życiem rybackiem, gdyż są zewnętrznym wyrazem uczuć rybaka.

Słusznie zauważa także autor, że z postępem kultury ścieśnia się zakres religijnych wierzeń. Powód jest jasny. Na niższym stopniu umysłowego wykształcenia nie umiano sobie wytłómaczyć naturalnemi przyczynami wielu zjawisk, dlatego przypisywano je bezpośredniej działalności istot wyższych (choroby, poczęcie, urodzaj itd.), o nią prosi niejeden pierwotny w modlitwach i ofiarach. Kto się przekonał, że działają tu siły naturalne, rzecz prosta, zatraca dotyczące wierzenia religijne, albo przynajmniej zmienia je, inaczej pojmuje działanie Boga i prosi o pomoc, inaczej niż dawniej pojętą, a nawet ze swej strony inaczej, celem osiągnięcia pewnych wyników, się stara. Ponieważ — co sam autor przyznaje — w zjawiskach świata zawsze zostanie coś niezbadanego, a jak teolodzy mówią, w przyczynach skończonych nie znajdują one wystarczającego wyjaśnienia, dlatego zasadniczo zawsze istnieć będzie religia, polegająca na uznawaniu najwyższego Bytu, wystarczającej wszystkiego przyczyny, zawsze będą twierdzenia pewne o ludzkim do Niego stosunku, a zarazem pewne czynności, obrzędy, których celem będzie na zewnątrz okazać to, co względem Niego człowiek czuje wewnątrz. Zresztą i awiatyka, budząca uczucia, j e s t ź r ó d ł e m r e l i g i i i dziś. Niejednemu nasuwa poważną refleksyę nad życiem, niejeden i dziś przeżegna się i poleci Bogu przed wzlotem — o ile Jego istnienie uznaje.

Wreszcie autor porusza jeszcze jedną kwestyę: czy wszystkie przekonania religijne dadzą się sprowadzić do uczuć. Odpowiada na nie przecząco; emocye dają tylko nie-

jako początek wierzeniom i rytom, one stwarzają „płaszczyznę myślenia religijnego“ ; dalszą rolę obejmuje refleksya, ona przerabia, dorabia, przekształca religię i zastosowuje do życia. Dlatego też w każdej religii są pewne dogmata, których do emocyi jakiejś sprowadzić nie można, np. nieomylność soboru lub papieża, ale i co do tych wierzeń uczucie może odgrywać znaczną rolę (str. 127 n.).

I w naszej teoryi tosamo mniej więcej należy powiedzieć; uczucia mogły odgrywać wybitną rolę przy powstaniu pewnych przekonań religijnych, zmuszając niejako człowieka do głębszych refleksyj nad niektóremi zagadnieniami, przy innych rola ich była mniejsza, wreszcie inne są dziełem suchej spekulacyi rozumu.

Wpływ społeczeństwa na powstanie religii.

Jednostka wytwarza sobie religię, ale wpływa na to a zwłaszcza na rozwój religii także społeczeństwo, w którem człowiek żyje. Kultura danego społeczeństwa określa zakres wierzeń i ich rodzaj (str. 229 n.). Od społeczeństwa jednostka przyjmuje już gotowe wierzenia i obrzędy, które jednak nie narzucają jej nic obcego. Wierzy ona wprawdzie, bo tak ją uczono i wychowywano, ale ostateczną racyą wiary jest narzucanie się jej tematów religijnych z psychologiczną koniecznością (str. 241 n.). Ponieważ pewna religia związana jest z głównemi zajęciami danej grupy, łatwiej tam powstają przekonania religijne, zwyczaje, instytucye, tradycye, ułatwiające przechowanie tych wierzeń, a zarazem grupa wywiera pewien nowy przymus, którego celem utrzymanie w czystości religii (str. 238, 243, 252). Powstanie tradycyi wymaga pewnej spoistości w społeczeństwie, tem większa zaś spójnia im większe społeczeństwo ; dlatego im grupa większa, tem doskonalszy będzie rozwój religii (str. 244). Społeczeństwo przez życie publiczne, zebrania, uroczystości podnosi nastrój uczuciowy u zebranych, a w ten sposób przyczynia się do po-

wstania aktów wierzenia religijnego, wynikających z uczuć (str. 245). Ludy pierwotne nie znają pisma, by utrwalić tradycyę i przekazać swój dorobek późniejszym pokoleniom; wierzenia te związane są u nich z obrzędami, przedstawieniami, wtajemniczaniami religijnemi, a tego rodzaju urządzenia wymagają pewnej organizacyi, możliwe są jedynie w społeczeństwie wyższem, zróżniczkowanem na pewne warstwy hierarchiczne (str. 247). Społeczny zaś podział na pewne grupy: rybaków, rolników, na rodziny itd. przyczynia się do wytworzenia zróżniczkowanych wierzeń i kultów (str. 249 n.).

Na te wywody autora można się prawie w zupełności pisać. Religię zasadniczo stwarza jednostka, a nie społeczeństwa, jak chce szkoła socyologiczna we Francyi [1]); przez religię jednostek staje się religijnem społeczeństwo, które znów ze swej strony wpływa na rozwój, utrwalenie, przekazanie religijnych wierzeń i obrzędów [2]). Należałoby jednak podnieść, że i wybitne jednostki mogą mieć ogromny wpływ na zmiany, udoskonalenia religii już istniejącej. Wpływ zatem jest obustronny. Do pewnego stopnia słusznem jest także, że wyższy rozwój religijny zależny jest od wielkości i organizacyi grupy jakiejś.

Oprócz powodów podanych przez autora, dlaczego tak jest, możnaby jeszcze wskazać na zależność kultury od organizacyi i wielkości pewnych ludów. W małych zbiorowiskach trudniej o wybitnych ludzi, bo ci nie często się zdarzają, zatem rzadziej znajdą się w mniejszej grupie niż wielkiej. Dorobek umysłowy łatwiej wchodzi w życie w większej grupie u wielu, stąd łatwość dalszego postępu; różniczkują się zawody, a przez to ułatwia się ich udoskonalenie [3]). Nie można jednak zbytnio akcentować konieczności organizacyi społecznej jako bezwzględnego warunku wyższego stanu religijnych przekonań. Weddowi, Buszmeni, którzy według autora

[1]) E. Durkheim, Levy-Brühl, Bayet, por. S. Deploige, Le conflit de la morale et de la sociologie, Louvain 1911.

[2]) Por. Schmidt, Ursprung der Gottesidee 13.

[3]) Por. Schmidt, 13.

mało są społecznie rozwinięci[1]), a wskutek tego religię mają mieć nierozwiniętą i bez znacznego wpływu na życie (str. 245), mają w gruncie rzeczy religię i moralność dość wysoką, może nawet znacznie doskonalszą niż wiele innych szczepów, lepiej zorganizowanych i kulturalnie wyżej stojących[2]). To samo należy powiedzieć o mieszkańcach Australii południowej[3]), o karłowatych ludach Afryki[4]) i innych. Jakkolwiek bowiem kultura, organizacya społeczna może mieć wpływ dodatni na rozwój religii, z drugiej strony, ułatwiając spekulacyę, daje okazyę powstawaniu nowych zabobonnych wierzeń, błędów. Wystarczy zresztą wskazać na przykład Greków, Rzymian, Egipcyan; im kultura wyższa, tem liczniejszy Olimp, tem większe obdarcie bogów z ich majestatu, tem bardziej zaciemnione i wątpliwe przekonania moralne.

Próba pozytywnego rozwiązania kwestyi.

Omawiając twierdzenia autora, staraliśmy się przy tej sposobności poruszyć pewne czynniki, które przy powstaniu wierzeń i obrzędów religijnych mogły odgrywać rolę. Na wierzenia ludów, żyjących w społeczeństwach — jak widzieliśmy — najbardziej wpływa tradycya żywa, legendy, w których rozum człowieka znajduje odpowiedzi na pytania, w nim się budzące. Lecz czy pouczenie było źródłem wierzeń religijnych pierwszych ludzi? Nie zdaje się, aby odpowiedź potakująca nie była uzasadniona danymi etnografii; prawie wszystkie ludy mają wiarę w pouczenie przez wyższą istotę o kwestyach religijnych, lub nawet wprost przez tego, który utworzył świat i do życia powołał pierwszego czło-

---

[1]) Haeckel, Lebenswunder, r 17, sądzi, że różnica między W. a cywilizowanym człowiekiem jest większa niż między W. a małpą lub psem. Hartskorn, Globus XXVIII. str. 256, że mają oni nie mieć wcale religii.

[2]) Por. Cathrein, I. 442 ne III 412, ne.

[3]) Schmidt, prz. dz. 235 ne., Cathrein III. 273 n, 277 ne.

[4]) Cathrein II. 42 ne.

wieka[1]); więc bylibyśmy chyba uprawnieni przyjąć, że wtem podaniu musi być coś opartego na rzeczywistym fakcie, który teologowie katoliccy nazywają objawieniem pierwotnem. Tembardziej wniosek taki możnaby uznać za uzasadniony, że treść tego podania jest zbliżona do opowiadań Pisma św. o stworzeniu i upadku pierwszych rodziców, o zagniewaniu i usunięciu się Boga od ludzi, o potopie, o niegodności ludzi wskutek ich złości, by pozostawali w przyjacielskim i bliższym stosunku do najwyższej Istoty itd. Nadto pojęcia tych podań o Bogu, moralności są stosunkowo dosyć wysokie, w każdym razie doskonalsze niż obecne przekonania wielu z ludów pierwotnych. Ponieważ jednak na wspomnienie objawienia teologii niektórym ludziom włosy na głowie powstają, ograniczmy się do wskazania, jakie czynniki naturalne przy powstaniu religijnych przekonań mogły odegrać wybitną rolę. Działają tu wszystkie władze człowieka[2]): rozum, szukając przyczyny zjawisk go otaczających; wola, znajdując zaspokojenie swoich pragnień w poglądach religijnych; uczucie, wstrząsając niejako człowiekiem i nakłaniając go do zastanowienia się nad naturą pewnych zjawisk, obudzając człowieka z mechanicznego codziennego życia, stwarzając usposobienie podatniejsze do uznania prawdziwości pewnych twierdzeń. Religia obejmuje całe życie ludzkie, więc i cały człowiek musiał współdziałać przy jej powstaniu; ostatecznie jednak jej fundamentem, twórcą jest rozum, szukający poza zjawiskami ich przyczyn, które oczywiście odpowiednio do swego stanu psychicznego i ogólnych zapatrywań na swój sposób pojmował. Obrzędy zaś religijne są mimowolnymi odruchami zewnętrznymi, powstającymi pod wpływem różnych uczuć, wywołanych poznaniem pewnych prawd. Religia bardziej rozwinięta stwarza je świadomie, starając się, aby odpowiadały również uczuciom, odczuwanym lub przynajmniej

---

[1]) Por. Cathrein, prz. dz. I. 185, 278, 323 n., 382, 408 n. II. 119, 217, 376, 402, 427, 456. 463, 525, 585. III. 45 n. 108, 134.

[2]) Por. X. Radziszewski. prz. dz. 202.

uzasadnionym w pewnych położeniach, i były ich zewnętrznym, naturalnym objawem.

Lecz co istniało wpierw: wiara w różne wyższe istoty, z której następnie powstała wiara w jednego Boga, czy też najpierw istniał monoteizm, a z niego wyrodziło się wielobóstwo i owe przeróżne zabobony, spotykane u najrozmaitszych ludów?

Pierwsze zapatrywanie znalazło wybitnych obrońców poza szkołą katolicką. Comte[1]), J. Lubbock[2]), Tylor[3]), Darwin[4]), Spencer[5]) i niezliczona rzesza ewolucyonistów materyalistycznych uważa je za jedynie naukowe zapatrywanie. Do nich, zdaje się, zaliczyć należy i naszego autora (por. str. 124 ne.). Nie brak jednak — pominąwszy katolickich uczonych takich, jak Le Roy[6]), Schmidt[7]), A. Bros[8]), J. Capart[9]), Cathrein[10]), Radziszewski[11]) — i poza naszą szkołą badaczy, broniących pierwszeństwa monoteizmu, lub przynajmniej stawiających twierdzenia, z których taki wniosek można wyprowadzić, a należy do nich: A. Lang[12]), R. Hoffmann[13]), P. Ehrenreich[14]), L. v. Schroeder[15]). Któremu z tych zapatrywań przyznać słuszność?

Nie da się zaprzeczyć, że u ogółu ludów pierwotnych istnieje, obok polyteizmu i najdziwaczniejszych wierzeń, także

---

[1]) Philosophie positive.

[2]) The Origin of Civilisation and the primitive condition of man, 1870.

[3]) Primitive Culture 1872.

[4]) Die Abstammung des Menschen, 2 ang. St. Carus, 1875.

[5]) The Principles of Sociology 1876—82.

[6]) La religion des Primitifs 2, 1911.

[7]) Ursprung der Gottesidee.

[8]) La religion des Primitifs (w J. Bricout, Ou en est l'histoire des religions) I. 1911.

[9]) La religion égyptienne, tamże.

[10]) Die Einheit des sittl. Bewusstseins.

[11]) Geneza religii w świetle nauki i filozofii 1911.

[12]) The Making of Religion 1909.

[13]) La notion de l'Être Suprême chez les peuples non civilisés. 1907.

[14]) Die allgemeine Mythologie u. ihre allgem. Grundlagen 1910.

[15]) Wesen u. Ursprung der Religion, ihre Wurzeln u. ihre Entstehung 1906.

mniej lub więcej jasne przekonanie o istnieniu najwyższej Istoty, pana i rządzcy całym światem [1]). Ale czem jest to przekonanie? Czy pozostałością po dawnej jaśniejszej religii, zaciemnionej nowemi wierzeniami, czy też przebłyskiem nowej „oryentacyi", która jeszcze nie zapewniła sobie wyłącznego panowania?

Etnografia wskazuje raczej na to, że uznawanie jednego Boga, najwyższego Pana, jest śladem religii pierwotnej, którą zaćmiły późniejsze przekonania zabobonne. Wszędzie bowiem, chociaż wszyscy Boga takiego uznają, jego cześć jest prawie zupełnie zaniedbana; gdyby zaś kult ten był nowy, miałby niewielu wyznawców, ale gorliwość prozelitów dopomagałaby mu do jasnego wybicia się na wierzch i usunięcia kultów innych [2]).

Argument powyższy wykazuje, że przyjęcie pierwszeństwa monoteizmu przed polyteizmem jest uzasadnione w danych etnografii.

Ale czy niema konkretnych przykładów, wskazujących na to samo? Owszem, obecnie znamy ludy, stojące na niższym szczeblu kultury niż inne, a mające od tych ostatnich wyższe pojęcia religijne, chociaż według teoryi naszych przeciwników powinno być odwrotnie. Wskazuje to na fakt, że z rozwojem kultury szło zaciemnienie dawnej, czystszej i wyraźniej monoteistycznej religii oraz powstawanie bardziej zabobonnych wierzeń [3]). Tak np. ludy Australii południowowschodniej są najstarszą częścią tamtejszych tubylców, wyżej kulturalnie od nich stoją inni mieszkańcy tego kraju [4]). Mimo to religijne pojęcia ich, monoteizm jest wyraźniejszy, owszem nawet doskonały do pewnego stopnia, gdy natomiast u tamtejszych ludów bardziej rozwiniętych jest przyćmiony, a nawet, dla niektórych badaczy przynajmniej, wątpliwy. Najpier-

[1]) Można to widzieć prawie na każdej karcie u Cathreina.

[2]) Por. Schmidt, Ursprung der Religion 102 n.

[3]) Por. Schmidt, prz. dr. 103.

[4]) Por. Fr. Graebner, Kulturkreise u. Kulturschichten in Ozeanien, Zeitschft f. Ethnologie. 1905, 28—53 por. 764—66; Schmidt, prz. dr. 195 n.

wotniejszym ludem Afryki są tak zwani pygmejczycy, karzełki [1]); tysiące lat nie zmieniło ich kultury, nie znają rolnictwa ani sztuk żadnych, żyją tem, co przyroda im da. Ich religijne przekonania jednak, zasady moralne stoją wysoko, wyżej w każdym razie niż religijne przekonania innych murzynów [2]), wyższych pod względem kultury i organizacyi.

Co więcej, nie brak nawet danych na to, że z postępem kultury u tego samego ludu szło zaciemnienie i zepsucie religii pierwotnej czystszej. Znany to fakt w historyi Egiptu, Grecyi, Rzymu, stwierdza go etnografia u niektórych przynajmniej ludów pierwotnych, których przekonania religijne, znane z dawnych opisów lepiej się przedstawiają niż obecne [3]).

Zdaje się wprawdzie niektórym uczonym, że dojście do poznania najwyższej Istoty jest rzeczą za trudną a zatem niemożliwą dla rozumu pierwotnego. Ale „*contra factum non valet argumentum*"; wiara ta jest, więc niemożliwem dojście do niej być nie może. Oczywiście nikt nie twierdzi, że musieli oni widzieć w Bogu „*ens a se*", mieć zrozumienie Jego natury takie, jakie daje głęboka filozofia, uznawali Jego duchowość wyraźnie itd. Twierdzili oni jedynie i wierzyli, że najwyższa Istota jest przyczyną tego wszystkiego, co ich otacza [4]) Poznanie i uznanie takiej Istoty jest nie tylko nie zatrudnem dla ludów pierwotnych, ale nawet — na co nie zwraca się uwagi — łatwiejszem niż dojście do uznania najrozmaitszych osobowych przyczyn innych. Rozum człowieka z natury swej ma skłonność do szukania przyczyn wszystkiego. Ponieważ zaś ogrom stworzeń, dzień i noc, zmiany pór roku, porządek wszędzie, to wszystko związane ze sobą przed-

---

[1]) Por. Cathrein, Einheit des sittl. Bewusstseins II. 421—433; Le Roy, Les Pygmées, Négrilles d'Afrique et Négritos de l'Asie; La religion des Primitifs.

[2]) Cathrein prz. dz. III. 425.

[3]) Por. Cathrein prz. dz. III. 404 ne. o Hotentotach; Schmidt, prz. dz. 155.

[4]) Por. Chr. Pesch, Gott u. Götter, 1890, 111; Schmidt, prz. dz. 97.

stawiało się jako pewna jedność, mimowoli, półświadomie pytał człowiek pierwotny, kto jest sprawcą tego wszystkiego, kto kieruje i rządzi temi zjawiskami? Wiedząc, że sam jest sprawcą wielu zjawisk, mimowoli domyślał się poza światem jakiejś potężnej istoty, sprawczyni wszystkiego. Lecz, gdy dokładniej przypatrzył się różności objawów ziemskiego życia, — do czego trzeba już lepszego zapoznania się ze światem przyrody a zatem i wyższej kultury, — mógł pytać o przyczyny bardziej konkretne, a widząc różność objawów, mógł łatwo przyjąć także różność istot je wywołujących. Przyczyniła się do tego także refleksya nad naturą najwyższej Istoty, którą prawie samorzutnie uznał poza światem. Jaką ona jest? Jak żyje? Czy je i śpi, ma żonę, dzieci, sługi?[1]) Czy ta istota jest także sprawczynią zła na świecie? A wogóle, czy ona uważa za stosowne zajmować się sprawami ludzkiemi? Zapewne nie, gdyż za wielkim jest panem, ludzie[2]) zaś nędznemi i niegodnemi jego opieki istotami[3]). Może troskę o świat oddał istotom niższym od siebie podobnie, jak kacyk mniej ważne zajęcia powierza niższym przełożonym? Czy trzeba tego Pana o coś prosić? Gdzieżby zwyczajny człowiek mógł do niego się odzywać, więc chyba jedynie mogą to czynić wybitniejsi ludzie[4]) Zresztą prośby zbyteczne, jest bowiem ta istota dobrą, więc i nieproszona da wszystko[5]). Natomiast niższe od niego istoty dobre, zajmujące się światem, trzeba sobie zyskać, złe natomiast ułagodzić[6]) — i oto kult Boga poszedł w zapomnienie a nastał kult bogów i półbogów, dobrych i złych duchów.

Podobnie można powiedzieć o zaciemnieniu się i innych wierzeń religijnych. Łatwo było np. wpaść na myśl, że czło-

[1]) Cathrein, prz. dz. III 73.

[2]) Cathrein, prz. dz I. 23 , 334, 479, 649 II. 148 n., 237 n., 462.

[3]) Cathrein, I. 379, II. 408.

[4]) Cathrein, prz dz. II. 237 n., 371, 435, 462; por, Schmidt, prz. dz. I. 236 i 238 n.

[5]) Cathrein, prz. dz II. 186, 201, 471 n., 487. 495.

[6]) Cathrein, prz. dz. I. 479, 565, II. 47, 122, 148, 239, 462, 471 n. III. 2 n., 97, 134.

wiek po śmierci żyje w swojej szlachetniejszej części, otrzymawszy nagrodę lub karę za sprawowanie się na ziemi. Gdy jednak zaczęto zastanawiać się bliżej nad jego stanem pośmiertnym, nad sposobem jego istnienia, nad rodzajem sądu łatwo mogły powstać najniedorzeczniejsze przekonania, utrwalane i przekazywane potem religijną tradycyą.

Lecz i w moralności to samo zachodzi. Poznanie, że dobrze należy czynić a złego unikać, nie jest trudne; ocenienie na ogół pewnych czynności jako dobrych, innych jako złych również nie wymaga wielkiej filozofii. Człowiek poznaje, że Istotę najwyższą lub bogów należy czcić. Lecz czem? Tem, co się ma najdroższego. Stąd ofiarowywanie bóstwom własnych dzieci[1]), wstydliwości[2]). Rodziców należy szanować; mimowoli szacunek ten zachęca do opiekowania się nimi w starości; wzdryga się przed ich zabiciem. Lecz oto refleksya pyta: czy życie starcze jest dla nich dobrodziejstwem? Czy nie lepiej byliby uczczeni, gdyby się im skróciło cierpienia, zwłaszcza, że w przyszłem życiu posiada się te same siły, co w chwili zgonu[3]). I oto czczą rodziców niektórzy pierwotni, skracając im z religijnych i moralnych pobudek dni ziemskiej pielgrzymki. Refleksya, ocena konkretnych warunków, w wielu wypadkach także namiętność, spacza zdrowy sąd, który samorzutnie powstaje w pierwszej chwili; błąd przyłącza się do poznanej prawdy.

Lecz, jeśli kultura i głębsza refleksya przyczynia się do zaciemnienia i pogorszenia religii, jakże z tym faktem pogodzić poprzednie twierdzenie, że działa ona oczyszczająco na nią? Niema tu żadnej sprzeczności: w miarę postępu i refleksyi rosnącej psuje się religia ludu, staje się bardziej zabobonną, dopóki lud naprawdę w kulturze nie postąpi tak wysoko, że pozna niedorzeczność swoich pewnych wierzeń. Wtedy albo oczyszcza swe dawne wierzenia, albo w praktyce

---

[1]) Cathrein, prz. dz. I. 49, 50.
[2]) Cathrein, prz. dz. I. 44 n.
[3]) Por. Cathrein, prz. dz. I. 15 n. 266, II. 437, 434 n. III. 150.

obojętnieje dla nich, albo, czem zazwyczaj kończy się poznanie „nienaukowości“ dotychczasowych religijnych poglądów, porzuca je a przyjmuje inne, którym kultura jego nie jest przeciwna. Oczyszczająco zaś działa kultura zwłaszcza na religię prawdziwych uczonych, głębszych filozofów, którzy uznając niedorzeczność wielu swoich wierzeń, niezgodnych z wynikami wiedzy przyrodniczej i zdrowej filozofii, mogą otrząsnąć się z błędów a dojść do poznania nawet szczytnych prawd religijnych.

Etnografia, natura ludzkiego poznania wskazują, że wierzenia religijne zaczynały się od monoteizmu; refleksya dalsza doprowadza do błędów. Tego samego zdaje się domagać rozum ze stanowiska deistycznego. Bóg powinien był człowiekowi dać łatwość poznania zasadniczych prawd, których przedmiotem jest stosunek stworzenia do Stwórcy, nie mógł go skazać na błądzenie przez wiele tysięcy lat, by przez błędy dochodził powoli do prawdy w kwestyach tak ważnych dla jego życia. Badania etnograficzne i zdrowa filozofia zdają się zatem potwierdzać to, co już św. Paweł pisał do Rzymian, wykazując odpowiedzialność pogan za swe wierzenia błędne i zboczenia w życiu moralnem. Wieczną moc bowiem Boga poznać mogli ludzie ze stworzeń. Ale ludzie, „poznawszy Boga, nie jako Boga chwalili, ani mu dziękowali, ale pogłupieli w rozumowaniach swoich i zaćmione jest bezrozumne ich serce... i odmienili chwałę nieskazitelnego Boga w obraz podobny do człowieka śmiertelnego, ptaków, zwierząt czworonogich i płazów. A jako się im nie podobało mieć w znajomości Boga, Bóg podał ich umysł bezrozumny, aby czynili to, co nie przystoi... którzy sprawiedliwość Boską poznawszy, nie wyrozumieli, iż, co takowe rzeczy czynią, godni są śmierci“ [1]).

[1]) Rzym. I. 21, 28, 32, por. Mądr. XIII. 1—9.

Ks. Dr. St. Zegarliński.

Koniec wojny, koniec świata i złote czasy proroków.

IV.

Społeczeństwo nasze widocznie jeszcze nie ulega wpływowi nowoczesnych badaczy Apokalipsy, zwróconych ku Ojcom Kościoła z pogodnym ich wykładem. Tam wyczytywane słowa pociechy nie zdążyły jeszcze potrącić w umysłach o pojęcie miłosiernego Ojca w niebiesiech. Groza piętnuje u nas w utworach pióra i pendzla postacie apokaliptyczne, snuje poczwary wielogłowe, zieje ogniem z ich ślepi, drogę ich opowiada łomotem piorunów. A nad przeraźliwym widnokręgiem na skłębionych chmurach ogrom miecza w prawicy sędziego... tam grozi nam tylko Wszechmoc nieprzebłagana, jak gdyby obojętna na głos za nami z Golgoty, więc przytłacza wzrok i gniecie piersi, aż duszno oddychać nawet na widok obrazów zwycięskich, bo i te nie opiewają podbojów ducha w zapasach z bydlęciem człowieczem, ani za łaskę w tem Bożą i za narzędzie Jego zamiarów nie sławią Go, iż opatrznie wyprawił bohatera na chwilę przełomu, tylko przez pustą gadaninę o szczęśliwej przygodzie, niby o ślepym przypadku, uczą smutnie oczekiwać bez modlitwy i czynu pomyślnej znów zmiany stosunków, orężnych rozpraw bez naszego udziału, samorodnego w dziejach przewrotu.

Oto martwe tło wykładu, po którym tuła się światowładca od Adsona i Joachima do swojej przeróbki u Wuillereta: oto z ich wyobraźni wysnuwane odsłony ponurych widowisk apokaliptycznych, jakimi pewno św. Jan nie krzepił społeczeństwa w katuszach. Godziło się ożywiać wiarę chrześcijan w zamiary nad nimi Opatrzne, bo męczenników doświadczała nie tylko z zewnątrz śmierć w pochodni Nerona albo pod lwią paszczęką, ale i małoduszni domownicy gnębili ich wewnętrzną pokusą. Jedni, nie otrząśnięci z pojęć zebedeuszowej żony, drudzy ufni w Sybillę, wyczekiwali, kiedy Zbawca rodu ludzkiego usunie przed nimi krzyże i rozpocznie wiek złoty... a póki się nie zmieniało nic, zwłoka gorzko mruczała na zawód, w śmiech obracała obietnice królestwa Bożego. Więc przestrzega przed tą pokusą św. Piotr[1]): „Przydą pod zdradą naśmiewcy, mówiąc: „gdzież iest obietnica abo przyszcie Jego? Abowiem odtąd, iako oycowie zasnęli, wszytko tak trwa od początku stworzenia“... Nie odwłaczać Pan obietnice Swoiey, ale cierpliwie Sobie poczyna dla was, nie chcąc, aby którzy zginęli. A dzień Pański przydzie iako złodziey“. Więc i św. Jan do serc poranionych pokusami szedł z objawioną pociechą, a lekarz ran różnorodnych, każdą opatrywał i na każdą pokusę stosował osobny obraz rządów Opatrznych, gdy z nich ludzki rozum nie zdawał sprawy na krokach, nieraz jak śmierć sama bolesnych. Przed skazańców na mękę zewnątrz, na trwogę wnętrzną, podchodził po bratersku z jasnymi obrazami Wszechmocy nad nimi Opatrznej, a nie po stoicku przedstawiał im przeraźliwe widowisko, aby przed niem rozpaczliwie uciekali choćby na katownię, — boć i stoicy przed męczarnią truchleli, więc lżejszem samobójstwem kończyli.

Do najboleśniejszych przepraw w pierwocinach chrześcijaństwa należał widok rozkładu u góry, o którym Piotr Kantor szczerze wyznaje po wsze czasy[2]): „Nic tak nie bu-

[1]) 2 P. 3, 3–110.

[2]) P. L. t. 205, str. 39, 151.

rzy Kościoła, jak widok świeckich lepszych, niż duchowni". A duchowni już za Apostołów widzieli między sobą nie jednego siewcę burzy w Kościele i rozdwojonych nawet biskupów, gdy np. efeski nienawidził uczynków Nikolaitów[1]) a pergamski trzymał ich u siebie w owczarni[2]). Wobec rozstroju u głów, członki truchlały: godziło się ożywiać ich wiarę we Wszechmoc Opatrzną, koić serca widokiem Oka czujnego, gdy między pszenicą wschodzi kąkol, nieunikniony przy woli wolnej do złego a nie przymuszanej do dobrego.

Do serc zbolałych nad opłakanym zastojem stosunków spieszy Jan z objawioną pociechą o ojcowskich rządach we wszystkiem, „co się ma dziać w rychle... abowiem czas iest blisko"[3]). W pośrodku świeczników złotych jaśnieje postać Zwycięzcy nad śmiercią, w ręce Jego gwiazdy, światło oblicza Jego słoneczne, głos Jego jak bieg wód poważnych, spokojnych, przejrzystych, tak popłynie do siedmiu kościołów w Azyi, aby ich biskupom roztrząsnąć sumienie: każdego z nich zna jak Ojciec, i widzi jego przymioty, i zaletę jego ceni wobec jego owieczek, aby im objawić, jak do rządów nad nimi dobrał narzędzia przydatne, — choć nie bez zarzutu: więc i każdemu jawnie przed Kościołem wytknie usterki, aby pokutował, albo odkryje niebezpieczeństwo na jego drodze, aby go przed jej końcem nikt nie uprzedził po wieniec zwycięzcy. O niebezpieczeństwach ze strony bałwochwalstwa nie czytamy wzmianki wyraźnej, ale przestrogę dla dwu biskupów przed obłudą i pychą faryzejską[4]), a dla pięciu innych przestrogę przed zasadzkami Bóżnicy tych, „którzy się powiadają bydź żydami a nie są, ale są bożnicą szatańską[5]), gdzie szatan mieszka, aby wrzucał zgorszenie przed syny izraelskie[6]), gdzie Jezabella mieni się prorokinią, aby zwodzić

[1]) Objaw. 2, 6.
[2]) Tamże 3, 15..
[3]) Obj. 1, 1—3.
[4]) Tamże 3, 1—2; — 15—18.
[5]) Tamże 2, 9; — 3, 9.
[6]) Tamże 2, 14—15.

sługi Boże [1]), gdzie się mienią bydź Apostoły a są kłamcami [2])".

W tych rozdziałach z przestrogami dla biskupów Małej Azyi czytamy dalszy ciąg zamachów Bożnicy na Kościół, o których początku czytamy w Dziejach apostolskich. Któżby odgadł, że między biskupami, ostrzeganymi przed prześladowczą Bożnicą, światowładca się zjawi oczom Joachima i spółki — ? Przecie Wuilleret wysnuł z imienia Filadelfii, — jednego z owych siedmiu biskupów w Azyi, — wskazówkę o braterstwie narodów za owego Mocarza silnego. Zatem do niego stosuje przestrogę o pokorze daną biskupowi z Filadelfii [3]). „Wiem uczynki twoie... masz małą moc i zachowałeś słowo Moie... Oto dam z bożnice szatańskiej niektóre, co się powiadaią bydź żydami, a nie są, ale kłamaią: oto uczynię im, iżby przyszli y pokłonili się przed nogami twemi: y poznaią, iżem JA ciebie umiłował... JA też ciebie zachowam od godziny pokuszenia, która przyiść ma na wszytek świat... Oto idę rychło. Trzymay, co masz, aby żaden nie wziął korony twoiey". Rzeczowa myśl tej przestrogi dotyczy oczywiście biskupa upomnianego, żeby w dobrem trwał świadom niemocy własnej, a przed pokornym P. Bóg pochyli nawet faryzeuszów z Bożnicy, bo go miłuje i wybawi z ręku prześladowców: niechże wytrzyma chwilę już krótką a w drodze po wieniec niech baczy, aby nie upadł. Ale Wuilleret wyczytał to [4]), że Światowładca podepce wszystkie narody oporne Kościołowi i państwa republikańskie, zmiażdży Turków, zaprowadzi pokój w świecie pod rządem swoim i następców swoich, bo moc Boża zwiąże czarta na długie lata; Światowładca poprze świętego Papieża, aby zwołał sobor powszechny, najuroczystszy na ziemi, który wyplewi wszelkie nauki ludzkie przeciwne prawdzie objawionej w Kościele. Po tych tu wywodach czytamy znowu, że Światowładca zaprowadzi pokój w świe-

[1]) Tamże 2, 20.
[2]) Tamże 2, 2.
[3]) Tamże, 3, 8—11.
[4]) Na rozdz. 3, w. 7—8.

cie ledwo na 14 lat! a następnie w lat 3, miesięcy 7, dni 26, godzin 12 Sąd ostateczny.

Tymczasem cały tok pisma Janowego do biskupów wszystkich siedmiu jednym brzmi głosem ojcowskiej dla nich przestrogi a opatrznej pociechy dla chrześcijan, — wzywa ich do uwagi siedm razy słowami: „kto ma ucho, niech słucha, co Duch mówi kościołom“: [1]) więc słuchają poważnie, jak czujny Pan nasz i Głowa ciała kościelnego pilnuje wszystkich członków i uroczyście każdemu roztrząsa sumienie ani nie przeoczy dostojnika, aby lud podwładny ufał w opiece Sternika łodzi: niech o Nim wie, jak mądrze korzysta z burzy wypadków, aby z nich przyczynić dobrego miłośnikom Bożym; Pasterz Dobry z przecudną myślą przeróżnemi drogami pędzi lud Swój i owce Swojego pastwiska.

Tak Jan opatrzył ranę najboleśniejszą i spieszy z lekarstwem na ranę drugą. Boleśnie chrześcijanom z obrzezku ściskały się serca nawet takie, jak Pawłowe, gdy stwierdziły niezbicie zdradę obłudnych braci. Nadeszła chwila zapowiedziana na przeddzień sądu nad Jerozolimą [2]): „Y wyda brat brata na śmierć, a ociec syna, y powstaną synowie przeciw rodzicom y będą ie zabiiać... będziecie wydani od rodziców, y braciey, y krewnych, y przyiaciół“. Szli na męki ci potomkowie Abrahama, którzy Mesjasza uznali, — szli radośnie, iż Bóg zaszczycił ich ludzką pogardą i męką za Imię Jego Syna, ale nad katownię członków boleśniej czuli widok swoich oskarżycieli szyderczych, rodaków własnych i najbliższych krewnych, szczwaczy najzagorzalszych rządu pogańskiego przeciw wyznawcom Chrystusa, nawróconym bądź z bałwochwalstwa, bądź ze starego Zakonu. Świeżo Harnack wielu szczegółami zasadniczo poparł świadectwo Ojców, za któremi Wuyek ogólnikowo powtarza, że „żydowie, nieprzyiaciele Chrześciiańskiej Wiary, nie tylko sami prześladowali Chrześciiany, ale też Pogany bałwochwalce poduszczali, aby wszędy

---

[1]) Obj. 2, 7; — 11; — 17; — 29; — 3, 6; — 13; — 22.
[2]) Mt. 13, 12; — Łk. 21, 16.

Chrześcianom szkodzili". Owa ziemia ojczysta ze stolicą ukochaną Jerozolimą, za Jana już dla wyznawców Chrystusa postrach po ludzku obrzydły, tak zalęgła podżegaczami do ich zagłady, że dla ich serc ulgę mogła tylko przynieść widokiem swojej zagłady. Jedyny to w dziejach wypadek, o którym poprzednie proroctwa nie znajdowały wiary: najprzywiązańsi do ojczyzny i obrońcy jej haseł najwierniejsi — w tym stopniu doznają od niej niewysłowionych zawodów, tak przewrotną macochę znajdują w zwyrodniałej dla nich matce, tak wypierają się ojczyzny nieszczęśliwi przez nią jej synowie, że z chwilą jej upadku wyczekują nad sobą słońca jasnego.

A ta dzieciobójczyni Jerozolima pędziła spadzistą drogą na dno swojej topieli, wciąż głucha na przestrogi przed sądnym dniem dla niej, nie zdolna czytać myśli nad sobą Bożej w księdze wypadków.

Ale Jan nas zapozna z treścią tej księgi, gdy słyszy głos: Wstąp przed Stolicę Najwyższego a pokażęć, co się ma dziać potym. Natychmiast zachwycony widzi się śród niebian, słyszy pieśń rozbrzmiałą od wieków przed Trójświętym a po wieki wezbraną z wdzięcznego podziwu dla Jego rządów, widzi przed Nim zastęp króli, co padli na twarzy i koronami z głów poustrajali Jego podnóżek, upojeni szczęściem na widok Jego Wszechmocy i Dobroci w każdem Jego dziele Ale nie widzą tego chrześcijanie na ziemi, zaskoczeni niespodzianym dla nich tokiem dziejów, gdy P. Bóg nie wkracza w ich bieg, aby oporną Bożnicę zburzyć, jak karał Sodomę siarczystym dżdżem, Egipt plagami, Sennacheryba stratą 185000 wojska przez noc, — jak obalał mury jerychońskie na głos trąb. Tak cudownych zwycięstw nie widzą chrześcijanie w królestwie Bożem a rzadko widzą rodzinę, w którejby domownik nie służył Bożnicy za donosiciela wyznawców Mesjasza: żałobne nowiny napływają, jak gdyby na dowód dla naśmiewców, że P. Bóg nic nie zmienia, zostawił wszystko na igraszkę przypadku. Oczekiwali po Mesjaszu królestwa cnoty pod berłem żelaznem, gromowładczo zaprowadzonego pokoju między narodami, orężnego rozgromu władz prześladowczych.

Nie czytają w księdze wypadków, jaką w nim myśl Bóg pisze: zewnątrz spoglądają na przygody, jak na okładki księgi zapieczętowanej. I Jan płacze z nimi w żalu za niedościgłą pociechą, iż zapieczętowana przed nimi księga zamiarów Bożych nie ożywia ich wiarą w zwycięstwo najrzeczywistsze. Odnosi je nadprzyrodzona moc ducha z doniosłym wpływem na świat i jego władców, a nie ziemska potęga, dziś sadzana na pierwszem miejscu, a na szary koniec jutro spychana.

I Jan słyszy słowa pociechy od Anioła: Baranek w księdze dziejów zapisuje stronnice i błogosławieństwem i dopustem klęsk opatrznościowych, — objawi ci Swoją myśl zaraz.

I Baranek otworzył jedną z 7-miu pieczęci, a oto koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk, i wyszedł zwyciężając. Tu męczennik dopisuje, św. Wiktoryn:[1]) „Bo gdy Pan wstąpił na niebiosa i otworzył je nam wszystkim, tedy zesłał Ducha Św., aby Jego słowami kaznodzieje jak strzałami wymierzonemi w serca ludzkie zwyciężali w nich niedowiarstwo". Po tym wykładzie zaraz św. Męczennik dopisuje: „a następne trzy konie oczywiście wyrażają to, co Pan zapowiedział: wojny, głody i mory" przed upadkiem Jerozolimy. Więc z tym Męczennikiem inni czytelnicy Janowi w górę podnoszą serce; mimo stosunków straszliwych widzą chwalebnego Zwycięzcę obłudy w drodze do królestwa prawdy; ale jeszcze nie widzą Jerozolimy pod berłem Mesjasza. A Jan ich koi: równie też z wami na ziemi widzę, jak Piotrowa łódź płynie natężonym wysiłkiem wioślarzy a jej Sternik omija rafy zdrad i obłud. Ale również z aniołami na niebie widzę, jak tysiące tysięcy głosem wielkim chwalą, błogosławią i ubóstwiają Baranka za każdą pieczęć odłamaną z księgi dziejów, bo tę księgę Bóg odwiecznie napisał z myślą przecudną, nie jak ludzie spisują wykazy przygód, spotykanych bezmyślnie w drodze wieczystej niedoli. Wygnańcom z raju ową księgę dziejów przygotował Baranek, w której każdą stronnicę napisał świadomie a nie przypadkowo.

---

[1]) P. L. t. 5, str. 328.

Otworzył wtórą pieczęć, a oto koń rydzy, a jeździec, który na nim siedział, odjął pokój z ziemi. Od schyłku rządów Tyberyusza drżą ustawicznie narody od Rzymu po Numidję, Frygię i Syryę, przejęte odrazą do krwiożerczego zwłaszcza Kaliguli, gdy w lot chwyciły słowa jego, że ściąłby odrazu głowę wszystkim, gdyby cały ród ludzki miał tylko jedną [1]). W lot i Jerozolima odważa się na drogę, na której stoczy się w przepaść: już nie udaje najwierniejszej cesarzowi jak za Piłata, gdy wymogła na nim krzyżowe bogobójstwo; już obliczyła, ilu narodom zbrzydło światowładztwo Romy, ilu ruszy w śmiertelny bój Numidów, Traków, Fryzów [2]); zaraz podnosi oręż chmara niewolników, burzą Włochy, niszczą Sycylię [3]); powstaje bunt [4]); więc za Cyllicyą i Syryą już i Judea płonie w rokoszu samobójczym, złudzona spółczesnym rokoszem Germanów i Gallów [5]), Partowie zagarniają Armenię, Brytowie zrzucają jarzmo [6]), w Aleksandryi pogrom i rzeź Żydów [7]).

Z różnym wynikiem różne narody toczyły walkę przeciw światowładztwu okrutnika: z najgorszym wynikiem Jerozolima zakończyła rokosz za Karakalli; zdziesiątkowana widzi dokoła kraj w zgliszczach, żebracze pochody wdów i sierot w rozpaczy, a nie przestaje marzyć, że nie tylko strąci jarzmo Romy, ale i wydrze jej berło nad stolicami królów a chrześcijanom duchową władzę nad narodami. I chrześcijanom naśmiewcy zarzucają: jakąż trzeźwymi oczyma zmianę widzicie?

Jan widzi niebo pełne woni błogosławieństw dla Baranka, który otworzył trzecią pieczęć [8]), — oto „koń wrony,

[1]) Sueton. 30, cf. 31.

[2]) Tacyt. Ann. IV, 23–25, 46–51, 72—74; — Plin. H. N V, 50.

[3]) Oros. P. L. t. 31, str. 1070.

[4]) Tacyt Hist. 3, 47—48; Strabo 111.

[5]) Tacyt. Hist. 4, 12—44, 57–62, 65, 70; — 5, 22—24; — Ann. 12 40, 54—58.

[6]) Tacyt. Hist., 3, 35; — Ann. 15, 1—31; — Agr. 6—8, 16—17; — Suet. Claud. 17.

[7]) Oros. P. L. t. 31, str. 1070–1071.

[8]) Rozdz. 6-y, w. 5-y.

a który na nim (siedział jeździec) miał szalę: miarka pszenicy za grosz". Dziesięćkrotnie podskoczyła cena zboża za Klaudiusza w latach głodu powszechnego 41-m, 45-m, 49-m, 51-m [1]). Grosz ówczesny znaczył tyle, że przed głodem płaciło się 30 groszy za morg pola: więc w owym głodzie odstępował morg pola, kto się zaopatrzył w 30 miarek pszenicy. Jerozolima o głodzie owym słyszała zawczasu od Agabusa: zgromadzić się przy wyznawcach Messjasza nie myśli, przestróg rozumieć nie chce.

A chrześcijanie ciągle za żoną Zebedeuszową albo Sybillą wyglądają pokoju w Królestwie Bożem i wesela przynajmniej przy ogniskach domowych, w tem je zaleją potokami łez ronionych w każdej rodzinie nad zwłokami członków najdroższych. Baranek otworzył pieczęć 4-ą [2]): „A oto koń blady, a który siedział na nim, imię iemu śmierć". Mór zapełnia domy trupami, zasypuje nimi ulice [3]), przy jednej świątyni libityńskiej w Rzymie księgi zapisują 30000 pogrzebów [4]), w całem mieście po kilkadziesiąt tysięcy dziennie padało z jesienią 65-go roku [5]). Drży Roma, drżą urzędy niezdolne dostarczyć odważnego niewolnika, aby osękami wywlekać zwłoki za miasto, — drży cezar na dworze opuszczonym, bezbronny przed zarażonem powietrzem; nie drżą przecie chrześcijanie, gdy Pan miłosierdziem natchnął senatorskie wnuki i pieszczone panięta: rękoma zbierają nieboszczyków, do których się bał z osęką zbliżyć poganin, grzebią je w grobach rodzinnych... a cóż to za wiara, która kochać uczy? Bałwochwalcy teraz pojmują łaskę Jezusa Nazareńskiego, cisną się po nią do chrztu.

Wzrost Kościoła rozsierdza miłośników świata. Neron na ich czele: czegoż taki wódz każe po sobie oczekiwać, jak

[1]) Suet. Claud. 18. — Euseb. P. G. t. 20, str. 153 przywodzi świadectwo z Dz. Ap. 11, 28: „Agabus oznaymował przez Ducha, iż miał bydź głód wielki po wszystkim świecie, którg był za Klaudjusza". — Bela P. L t. 90, str. 547.

[2]) Obj. 6. 7.

[3]) Tacyt. Annal. 16, 13.

[4]) Suet. Nero, 39.

[5]) Oros: P. L. t. 31, str. 1078.

nie stanowczej wyprawy przeciw chrześcijanom, aż do ich zagłady ze szczętem — ?

Ale ci się modlą... ci wiedzą, że serce królewskie w ręce Boskiej... Bóg albo — dla ulgi w ich jękach — ocknie w Neronie duszę, albo zostawi w nim zwierzę drapieżne — dla zwycięstwa ich tem chwalebniejszego.

Baranek otworzył pieczęć 5-tą [1]): Dusze wołały: Dokądże Panie? powiedziano im, aby jeszcze się wypełniła liczba ich braci. Więc „niezmierne mnóstwo chrześcijan, przekonanych (pisze Tacyt) [2]), że Rzym podpalili i nienawidzą rodu ludzkiego, ginęło śród pośmiewiska, okrywani skórą zwierzęcą i głodnym psom rzucani na żer, albo żywcem paleni w miejsce wieczornych pochodni", aż — nękani zarzutem: co się zmieniło? gdzie obietnica? — gdy krzepią się odpowiedzią Piotra, nagle o nim słyszą, że umknął przed katuszą... Wnet i o nim się dowiedzą, że poległ za Chrystusa, i o sobie usłyszą wyrok motłochu, który wrzeszczy, żeby nimi karmić lwy... uciekają na modlitwę w podziemia, pracy nie szukają za progiem domu... alić w domu nowa groza: trzeszczą ściany, pękają sklepienia, drży ziemia, z hukiem jej rozpadłe budynki zasypują pyłem widnokrąg...

Baranek otworzył pieczęć 6-tą [3]): Trzęsienie ziemi, słońce czarne, księżyc jako krew, gwiazdy postrącane, wszelka góra i wyspy z miejsca poruszane, królowie i mocarze i bogaci pokryli się w jamach: któż się ostać będzie mógł? Zagładę Pompei i Herkulanum poprzedziły lata trzęsienia ziemi. Zapadła się Laodicea, Hieropolis, Kolossa [4]), mniejszych miast ponad 300 w gruzach, a na rumowisku obłąkani z nagłego przestrachu mieszkańcy snują się przed śmiercią głodową. Burze niepamiętne rozniosły w Kampanii domy, sady, plony [5]); przed

---

[1]) Obj. 6, 9.

[2]) Tac. Ann. l. 15, c. 44.

[3]) Obj. 6, 12.

[4]) Tac. Ann. l. 14, c. 27; — Seneca Q. N. 6, 1; — Euseb. P. G. t. 19, str. 543.

[5]) Tac. Ann. l. 16, c. 13; — Oros. P. L. t. 31, str. 1078.

samym upadkiem Jerozolimy klęska niszczy Smyrnę, Milet, Chios, Samos. Wichry rozniosły kurz na setki mil i tak nim przesycały powietrze, że słońce jak przez mgłę przezierało z błękitu bez chmur: tak to przerażało tłumy, że rozstawały się z temi śladami promieni słonecznych, jakby przed nocą ostatnią i wieczną, rozwartą, aby pochłonąć świat [1]). I gdy już Tytus stał pod Jerozolimą, straszliwa burza szalała nad miastem, ziemia drżała z okropnym hukiem, zdawało się, że świat się zapada [2]).

I dokonała się liczba wybranych z każdego pokolenia w Izraelu, i rosły niezliczone tłumy wyznawców z wszelkiego narodu [3]), a Jerozolima, co chwila wzywana do broni surmą bojową pseudomesyaszy, przyspieszała sobie dzień pomsty.

Baranek otworzył 7-mą pieczęć, — stało się milczenie... a 7 aniołów, którzy mieli 7 trąb, nagotowali się, aby trąbili [4]).

Odtąd już, prócz wskazówek rzymskiego dziejopisarstwa, widzimy dokładne szczegóły wojny żydowskiej u Józefa i św. Ambrożego [5]), zatem oceniamy wywody Salmerona, Alkanzora oraz następnych do Alliolego i najnowszych, którzy wykładają, że tu jeszcze św. Jan nie przepowiada wypadków przyszłych, tylko objawia przewodnią myśl klęsk Opatrznościowych przed upadkiem Jerozolimy.

Anioł 1-wszy zatrąbił [6]): grad i ogień, trzecia część ziemi zgorzała, i trzecia część drzew zgorzała i wszelka trawa.

Nad ziemią skwar wysusza kraje wpierw żyzne, zmienia Małą Azję i Palestynę w piaszczyste odtąd pustynie, a zostawia do dziś jałowe nieużytki w Grecyi, Afryce, Włoszech i Hiszpanii. W czasie upałów wciąż pożary [7]), kapitol spłonął.

---

[1]) Plinius i Dio Cass. in Tito.
[2]) Józef, Wojna ks. 4, r. 4, l. 6.
[3]) Obj. r. 7.
[4]) Obj 8, 1—7.
[5]) P. L. t. 15, str. 2135—2326.
[6]) Obj. 8, 7.
[7]) Józef ks. 3, r. 3, l. 2; — Euseb. P. G. t. 19, str. 545.

Anioł 2-ry zatrąbił [1]): góra wrzucona w morze, krwią trzecia część morza, pozdychała trzecia część stworzenia w morzu, trzecia część okrętów zginęła.

Morze Galilejskie [2]), również jak Śródziemne [3]), pełne ryb poprzednio, skąpo ich dostarczają od czasu burz morskich, które wstrzymały wszelką żeglugę [4]).

Anioł 3-ci zatrąbił [5]): gwiazda gorejąca jako pochodnia upadła na trzecią część rzek i na źródła.

Powysychały nawet cysterny [6]), zabrakło lasów, łąk, zieleni i zboża.

Anioł 4-ty zatrąbił [7]): trzecia część dnia nie świeciła, zarażona jest trzecia część słońca.

Po suchych latach dżdżyste bez słońca. Zima z r. 69-go na 70-ty mroczyła świat ustawiczną śnieżycą i tak nią zasypała drogi na dowóz zboża do miast, że Wespazjan za wszelką cenę wyprawił z Aleksandryi okręty z pszenicą do Rzymu, gdzie zapasów starczyło już ledwo na 10 dni [8]).

Orzeł mówi [9]): biada! biada! biada od innych głosów 3-ch aniołów!

Jezus, syn Ananiaszów, nie przestaje dniami i nocami krążyć po Jerozolimie z krzykiem: biada! [10]).

Zatrąbił 5-ty anioł [11]): i wyszły z dymu studni szarańcze na ziemię i dano im... moc szkodzić ludziom przez 5 miesięcy.

Przez 5 miesięcy Palestyna jęczała pod nową klęską. Legiony rzymskie odstąpiły z pod Jerozolimy dn. 9/10 66 i zostawiły kraj na łup komubądź aż do powrotu pod wodzą Wespazjana, który pod twierdzą Jotapat stanął dn. 13/4 67.

---

[1]) Obj. 8, 8.
[2]) Józef ks. 3, r. 10, l. 5.
[3]) Waller 208.
[4]) Sueton. Claud. 18.
[5]) Obj. 8, 9.
[6]) Hieron. P. L. t. 25, str. 1029—1034.
[7]) Obj. 8, 12.
[8]) Tacyt Hist. 4, 52.
[9]) Obj. 8, 13.
[10]) Józef ks. 6, (spis 31) r. 5, l. 5; — P. L. l. 31, str. 2296.
[11]) Obj. 9, 1—11.

W ciągu tego czasu powstawały gromady bezdomnych, rosły w zgraje bezkarnych opryszków, ściągnęły się w kilkadziesiąt tysięcy pod dowództwem Manahema i Jana na wycieczki zbójeckie nad górnym Jordanem, a jeszcze liczniejszej tłuszczy dowodził nad Hebronem Symon Bar Gioras: prócz zastępow pancernych zebrał 40000 włóczęgów, z nimi wydarł wszelkie zapasy mieszkańcom Idumei, którą tak spustoszył, że po każdej wyprawie zostawiał zgliszcza bez zielonego listka na gałęzi w popalonych sadach i lasach; stał się istną szarańczą, tak po sobie niszczył wszystko, wedle świadectwa dziejów [1]).

I takaż szarańcza leciała z za Wołgi nad Dniepr i Dunaj na państwo rzymskie. Wschodnie jego dzielnice drżały, uwiadomione o ruchach plemion koczowniczych, które rozpoczęły za Wespazjana dobę napadów. Z lewego brzegu Dunaju zapuszczają się łupieskimi zagonami Sarmaci [2]), wnet Dakowie pustoszą Mezję [3]), Azję Małą po Czarne morze niszczą powstańcy z Pontu [4]), Afrykę Garamanci [5]), Druidzi podnoszą Sallów [6]).

Biada jedna przeszła, idą jeszcze dwie biady. Anioł 6-ty zatrąbił [7]): rozwiązani 4-ej aniołowie, aby pobili trzecią część ludzi, liczba konnego wojska 20 kroć 1000 dziesiątków tysięcy, a od tych pobita jest trzecia część ludzi, a nie pobici nie pokutowali.

Straszliwy rok 69-ty schodził na przewrotach i krwawych zajazdach ludów, jakby popadłych w szał rzezi powszechnej Jerozolimę oblega 60000 Rzymian prócz wojska niewolników [8]), w mieście uliczna walka między trzema obozami: wiernych Izraelitów Eleazara w przybytku Świętych, rozbójników Symona wpuszczonych na Sion dn. 13/4 69-go, i galilej-

[1]) Józef ks 4, (spis 32), r. 9, l. 7; — P. L. t. 15, str. 2223—2236.
[2]) Tacyt Hist. 1. 19.
[3]) Tamże 3, 46.
[4]) Tamże 3, 47; Józef 7 (12) 4, 3.
[5]) Tacyt Hist 4, 50.
[6]) Tamże 4, 51—70.
[7]) Obj. 9, 13.
[8]) Józef 3 (5), 4, 2.

skich bezwyznaniowców pod wodzą Jana; ci bezczeszczą świątynię przelewem krwi, morzą kapłanów a na ich miejsce stroją parobków w szaty obrzędowe i zasadzają nad księgami dla pośmiewiska [1]). Inni rozbójnicy gnieżdżą się pod Massadą albo obozują na pobrzeżach morza Martwego, białego dnia się nie boją, aby najeżdżać bezbronnych, wyrzynać starców i dzieci, łupić składy zapasów, burzyć domostwa do szczętu [2]). Równie krwawa widownia na Zachodzie: Rzym zawalony stosami trupów po bitwie w śródmieściu strasznej między wojskami Witelego i Wespazjana, Włochy całe w ogniu, Kremona z ziemią zrównana, po obu brzegach Renu legiony w rozpaczliwym boju przed naporem Mantyka z Sallami, Tentonów z Welledą.

Mimo walk na tylu polach, Tytus umiał nie pozbawić się ani jednego legionu pod Jerozolimą, owszem ściągnąć ich więcej, zgromadzić wojska króli sprzymierzonych i nieprzejrzaną chmarę konnicy arabskiej, nakoniec taką w Rzymie budził nadzieję zwycięstwa, że ciągle witał w obozie nowe zastępy ochotników.

A anioł przysiągł, że czasu już nie będzie, ale we dni głosu anioła 7-mego dokona się tajemnica Boża [3]).

I chrześcijanie rozumieli, że zwłoki już nie będzie z karą dla Jerozolimy: tedy wedle rozkazu Pana uciekli do Pelli [4]).

Tu wedle Wuillereta światowładca, przepowiedziany w postaci anioła, da święte słowo, że czasów złych już nie będzie, tylko pokój i braterstwo narodów.

Miasto święte deptać będą 42 miesiące [5]).

Ziemię świętą tratowali Rzymianie przez półczwarta roku wojny od końca leż zimowych r. 67-go [6]) do dn. 1/9 70, gdy [7]) innowiercy galilejscy gonili po mieście i w samej świątyni.

---

[1]) Józef 4, (22), 6, 3: — P. L. t 15, str. 2208—9, 2226, 2234.
[2]) Józ. 4, (24), 7, 2.
[3]) Obj. 10, 5—7.
[4]) Euseb. P. G. t 20, str. 221.
[5]) Obj. 11 2.
[6]) Józ. 3, (,) 4, 2.
[7]) Józ. 4, (11—12) 3, 6—7; P. L. t. 31, str. 2241—2, 2284.

I dam dwiema świadkom Moim i prorokować będą 1260 dni [1]).

Beda nadmienia [2]), że „Kościół błyśnie potęgą łaski, zjednoczony z Żydów i pogan, opromieniony światłem dwu zakonów".

A gdy dokończą świadectwa, bestja z przepaści pobije je, a ciała ich leżeć będą na ulicach miasta wielkiego, które duchownie nazywają Sodomą i Egiptem, gdzie i Pan ich ukrzyżowan [3]).

Św. Wiktoryn [4]) „Sodomą i Egiptem nazywa Jerozolimę, stolicę narodu zawziętego przeciw chrześcijanom".

Beda [5]): „Nie dziw, że gród bezbożny, który nie bał się krzyżować Pana, zabijał także sługi Jego na urągowisko, jak o tem często świadczą dzieje kościelne". Potem Beda sprawozdawczo nadmienia, że już za jego czasów „niektórzy tu upatrują proroków Enocha i Eljasza niezwłocznie przed Antychrystem".

A po trzech dniach i pół duch żywota wszedł w nie. I stanęli na nogach [6]).

Alioli: „Świadkami tymi są oczywiście wybrani, chrześcijanie, bo czczą w Ukrzyżowanym Pana, i sama nazwa świadka na to naprowadza, bo święty Jan nieraz nazywa chrześcijaństwo świadectwem [7]). Pytać się dalej trzeba, czy pod tymi dwoma świadkami rozumieją się dwie osoby, czy dwa źródła świadectw. Otóż wobec dziejów wojny żydowskiej nie można wykazać dwu osób, bo dzieje nie nadmieniają o szczególnych dwu chrześcijanach ze świadectwem ich o blizkim sądzie nad Jerozolimą, a przeciwnie ogółem mogą uchodzić za świadków, bo oczekiwali upadku Jerozolimy wedle przepowiedni Pańskiej i o niej głośno mówili. I Wykład ów Apokalipsy, przy-

[1]) Obj. 11, 3.
[2]) P. L. t. 93, str. 162.
[3]) Obj. 11, 7—8.
[4]) P. L. t. 5, str. 335.
[5]) P. L. t. 93, str. 163—4.
[6]) Obj. 11, 11.
[7]) Obj. 11, 9; — 6, 9.

pisywany św. Augustynowi [1]) i Alcanzar widzą tu dwojakie źródło świadectwa: jedno w Starym Zakonie u ochrzczonych żydów, drugie w Nowym Zakonie u nawróconych pogan".

Ale Wuilleret umiał po swojemu czytać ową liczbę 42-u miesięcy czyli dni 1260 ciu, gdy Jerozolimę zewnątrz ściskał wódz a wewnątrz upajała krew chrześcijan: znalazł tu miejsce już trzecie w Apokalipsie, na którem tuła się światowładca, aż rozstrzygnie wojnę obecną zwycięstwem nad Turkami za lat 7 albo 325.

Biada wtóra przeszła, a oto biada trzecia przyjdzie rychło.

I zatrąbił anioł 7-my, i stały się głosy wielkie na niebie mówiące: Królestwo tego świata stało się Pana naszego i Chrystusa Jego, i będzie królował na wieki wieków [2]).

Brzmi pieśń w niebie po sądzie nad Jerozolimą. Kara jej wymierzona opiewa Boga sprawiedliwego, który też Romę osądzi i ukaże za chrześcijan. Ci jeszcze lwom w Rom e służą za pastwę, jeszcze w całem cesarstwie i poza jego kresami nie dojrzą okiem nic przed sobą, jak tylko walkę i mękę na ziemi... ale z nieba słyszą już głos, jako cytarzystów grających na cytrach [3]), już anioł spieszy z ewanielją dla wszystkich narodów, i na Romę wyrok już zapadł: szedł drugi anioł, mówiąc: upadła, upadła Babilonia ona wielka... [4]) a na obłoku siedział podobny Synowi Człowieczemu, mający na głowie koronę złotą a w ręce sierp, a anioł wyszedł z kościoła, wołając: zapuść sierp, żnij [5]).

Po żniwie Pan zgromadzi w spichrzu Kościoła nowy plon ludów bez liczby: niechże im dobrymi uczynkami przyświeca wiara chrześcijan wytrwała wbrew Neronom, Galienom czy Domicjanom! Tak ze sądów Bożych i kar nad Jerozolimą Jan przechodzi na obrazy sądów nad Romą, aby na tle dzie-

[1]) P. L. t. 35, str. 2432.
[2]) Obj. 11, 14—15.
[3]) Obj. 14, 1—3.
[4]) Obj. 14, 7—8.
[5]) Obj. 14, 14—15.

jów objawić Kościołowi drogę jego następną, nieraz krzyżową, zawsze Opatrzną.

Aż tu w słowach Jana Wuilleret wyczyta, że się już Światowładca tuła w podobieństwach ukryty. Bo kogoż przedstawi anioł, który powtarzał: „upadła, upadła Babilonia“ — ? Wszakci to Światowładca idzie po pierwsze obalić Turcyę, po wtóre wygubić wszystkich dyzunitów [1]). I zaraz w drugiem podobieństwie któż to, jak nie Swiatowładca ów na obłoku, podobny Synowi Człowieczemu, w koronie na głowie, ze sierpem w dłoni — ? Toć słyszy głos anioła: „zapuść sierp, żnij!“ Wszak to Światowładca naśladuje wzory cnót, jako władca pokorny, łagodny, szczery, prawy, mężny, mądry, miłośnik chwały Bożej; i czyimże głosem wezwany na żniwo zapuści sierp? To papież ów święty jak anioł wyjdzie z Kościoła, wezwie na żniwo, na zwycięstwo, na pogrom Turcyi, na podbój całej ziemi [2]).

I tu Wuilleret obliczył już koniec świata. Antychryst rodzi się dn. 1/7 1856, Światowładca rusza na Turków dn. 1/1 1897, Antychryst występuje dn. 1/7 1907, ginie dn. 1/1 1911, koniec świata o godzinie 12-ej dnia 28/2 1911 [3]). Zatem Wuilleret nic więcej nie wyczyta już w Apokalipsie; przerywa jej wykład w środku, po swoim sądzie ostatecznym nie ma co widzieć w rozdziałach dalszych o Romie, jeszcze smaganej klęskami aż do zaniku bałwochwalstwa, o swobodzie Kościoła w następnych stuleciach, o powrotnej dobie ucisku ciężkiego, ale na krótko, o najoczywiściej dopiero tu opisanym Sądzie Ostatecznym i zaraz o chwale niebieskiej. Słowem Wuilleret nie znalazł czasu i miejsca na dzieje wieków przez całą część drugą Apokalipsy, więc ją w środku zakończył pod pozorem, jakoby wiel. Holzhauser nie czuł się do dalszej pracy na siłach. W obłoku znikł tedy Światowładca — Wuillereta, ale u innych proroków wybiera się na wojnę obecną.

Ks. K. Czaykowski.

---

[1]) In Apoc. c. 14, v. 8, n II.
[2]) In Apoc. c. 11, v. 14—15.
[3]) In Apoc. c. 11, v. 19 § III; — c. 10, v. 18, n. II.

MATKA.

Z cyklu: „OPOWIEŚCI CHRYSTUSOWE".

Tak cicho wiatr w gałęziach drzew szumi... a na zachodzie słońce gaśnie, drży w przestrzeni purpurą i złotem, żałobnym fijoletem, bladym różem, jaskrawą czerwienią... Zajdzie za chwilę... już błękit mierzchnie, konają barwy, już mrok się snuje od drzewa do drzewa i szatą niepokoju i lęku osnuwa ziemię.

Zgasł... przedziwnie odcinają się kontury gór i smukłych cyprysów zjawy, od złocistej zorzy zachodu.

Czy wstanie jutro? Czy deszcz i mgły zasnują ziemię mrokiem? Czy noc wieczna nie zapadnie na ludzkie oczy... Któż wie? Któż odgadnie?... Kto myśli o tem?

Ot słońce zgasło za górami, dzienna praca skończona, na spoczynek czas, wracają z łąk stada, szczekają psy, beczą owce, majestatycznie porykują krowy, śmiech dźwięczy i śpiewy, a przestrzeniami snuje się coś dziwnie tajemniczego, blizkiego zarówno śmierci jak życiu... snuje się sen. A człowiek ciężkie przeciera powieki, przeciąga trudem dnia przepojone ciało i, nie wiedząc o tem, staje na przełęczy dwóch światów i czerpie siłę życia, spokój, energię i czyn z tajemniczego państwa śmierci. A im sen głębszy, im silniejszym

jest rozdział duszy z ciałem, tem spoczynek więcej przysparza sił.

O jakże wszystko celowo stworzyłeś, Panie! Jaka Ci się od nas chwała należy i cześć! Wschód słońca co dnia odnawia Twoje przymierze z ziemią — i co dnia sen wiedzie nas w Królestwo ducha, byśmy nie wątpili.

— Maryo!...

Oderwała promienne oczy od mierzchnącego nieba, ale była w nich jeszcze cisza i spokój z za świata... Spojrzała, jak ze snu pięknego zbudzona, na kobiecą postać, okrytą barwną płachtą, i uśmiechnęła się dobrotliwie:

— To ty, Saro!.. Pan z tobą!..

— I z tobą. Pozwól, iż przysiądę nieco na twoim progu, szłam szybko a dech mi wtedy zapiera — mówiła urywanie Sara, siadając ciężko na kamiennym schodzie obok matki Jezusa. Jej pospolita, obrzękła twarz o sennych oczach i nieporadnym uśmiechu, odbijała dziwnie od bladej, szlachetnie pięknej głowy Maryi. Droższa zawijka otulała głowę żony Judasza, ale Marya w swojej płóciennej miała wdzięk lilii, majestat królowej, trwożliwą nieśmiałość dziewczęcia. Sara chwilę zwijała i rozwijała rąbek barwnej chusty, szukając dla myśli swojej formy słów... żal jej było Maryi, najchętniej byłaby zaczęła gawędę o gospodarstwie tylko, ale przed oczyma stała jej jeszcze chmurna twarz męża, jego czarne, nakazujące, ponure oczy, więc zaczęła niepewnie:

— Przyszłam od Judy...

Marya milczała; smukłe jej ręce splotły się znowu jak do modlitwy a Sara, odsapnąwszy, ciągnęła dalej:

— Juda pragnie się jutro udać do syna twego, do Kapernaum i chce... żebyś mu towarzyszyła...

Jasny uśmiech przesunął się po twarzy Maryi... a więc nareszcie! Wysłuchał Pan jej próśb gorących... zobaczy syna... Ileż razy iść do niego pragnęła, ale rodzina pilnowała jej domu od chwili, gdy z przed rozwścieczonych, zazdrością ślepych tłumów Jezus zniknął, ona, matka znalazła się pod dozorem. Nazaret zmienił się dla niej w więzienie, każdy jej

krok śledziły czujne oczy, zdawało się rodzinie, iż odbierając jej wolność, zmuszą Jezusa do powrotu a wtedy... Szaleni! zawsze się im zdaje, iż z człowiekiem mają do czynienia, którego przemoc ubezwładnić może.

A oto teraz Juda chce, by mu towarzyszyła do Kapernaum, jakiż nowy plan wysnuła ta ciemna dusza.

Pytała więc z akcentem mimowolnego lęku:

— Dlaczego Juda chce, bym mu towarzyszyła?.. — Sara pochyliła głowę:

— No widzisz... dużoby o tem mówić... — oglądnęła się, jakgdyby w obawie, czy kto nie podsłuchuje — i kończyła szeptem: — Z Jeruzalem kapłan przybył... był u nas wczoraj i rozmawiał z Judą jako z głową rodziny... o... twoim synu, Maryo. Bardzo mi cię żal... naprawdę, bardzo mi cię żal.

— Dlaczego?

— Jezus naraził się kapłanom... widzą w nim burzyciela... Pomyśl w sabbat uzdrawiał... sabbat naruszył.

— Czyż ten, który stanowi prawa, nie może ulepszyć ich... Saro?

— Nie rozumiem cię.

— Bo nie chcesz zrozumieć... nienawiść i zazdrość zaślepiła was wszystkich i do zguby wiedzie.

— Nigdy twemu synowi nie życzyłam źle... obojętnym mi był i obojętnym pozostanie, dość mam troski o chleb codzienny, nie będę się jeszcze kłopotać o jakieś życie przyszłe... Ale, rodzina... o! rodzina a w szczególności Juda dziwnie nienawidzi twego syna..

— Bo mrok nie znosi światła... o spójrz i teraz, słońce gaśnie... mrok go pochłonął... ale gaśnie po to tylko, by w ludziach rozbudzić tęsknotę, by jutro rozbłysnąć z podwójną mocą.

— Ach! Boże.. zwykła rzecz, słońce zachodzi i wschodzi... dzieje się to przecież co dnia i nikogo nie dziwi. Otóż posłuchaj lepiej, kapłan mówił Judzie, że jeżeli nie wpłynie na Jezusa, by przerwał swą nauczycielską działalność, gniew świątyni spadnie i na nas... groził nam wykluczeniem z gminy...

klątwą... Oj! nieszczęśliwi my... nieszczęśliwi!.. Otóż Juda postanowił udać się z braćmi do syna twego...

— I?..

— Ogłosić go za szalonego... Jeżeli zaś pójść z nimi nie zechce dobrowolnie, uprowadzą go przemocą... Widzisz, inaczej być nie może... rodzina nie może narażać się na gniew świętego Synedrium...

Wilgotne oczy Maryi utonęły w złocistej, coraz mierzchnącej zorzy zachodu, gdy mówiła wolno a z mocą:

— Nie mają oni nad synem moim żadnego prawa rady, Saro... Juda dla mnie jest głową rodziny, ale nie dla syna mojego.

— Ależ Maryo!

— Rodziną dla mego syna jest równie dobrze świat cały jak i pokolenie Józefa... Boża nad nim opieka, prawo i moc.. Boża nad nim dłoń i nie wam ludziom sądzić jego czyny i radzić o jego losie... bo stać się może tylko to, co z jego wolą się zgadza.

— No... no... — kiwała ironicznie głową Sara... no! no!.. nie jest ten twój syn taki bezpieczny, jak ci się zdaje... Widzisz, Jan Zacharyaszów,.. zdawało się, iż niema człowieka bardziej umiłowanego i czczonego od ludu... a oto Herod ściąć go kazał na Machserusie i nikt nie ujął się za nim.

Na długich, ciemnych rzęsach Maryi rozbłysnęły łzy... szczęśliwa Elżbieta, nie przeszła tu przez ból matki, nie mogącej ulgi przynieść cierpieniom dziecięcia... W pamięci Maryi przesunęła się sylwetka Jana tak, jak go widziała raz pierwszy u Elżbiety, pamiętała jego płomienne oczy wpatrzone w dzieciątko, które ona do piersi tuliła... A potem gdy, idąc śladami syna swego, widziała Jana nad brzegiem Jordanu... taki był rosły, silny... widzi jego surowe, młodzieńcze usta, w głąb serca wglądające oczy, słyszy spiżowego głosu jasny dźwięk... minął... Poprzednikiem był... i minął...

Smutek ją ogarnął, lęk i nad wszystko silniejsza tęsknota za pobliżem syna... być przy nim, przy nim... Czyż każda chwila, którą spędza zdala od niego, nie zabiera jej z życia treści?

A Sara mówiła dalej:

— I mówił kapłan z Jeruzalem,.. że po Janie kolej na syna twego przyjdzie... Czy wiesz... w czasie ostatnich świąt synem Bożym się mienił.

— Bo nim jest!..

— Ach! Maryo... — Sara umilknęła zakłopotana, lekceważący uśmiech wybiegł na jej wązkie usta i zgasł zaraz w fałszywie-życzliwym. — Po odejściu kapłana, Juda zwołał rodzinę na naradę, a potem kazał mi iść do ciebie, bo kobieta zawsze łatwiej zrozumie drugą kobietę. Juda chce, ażebyś z nimi poszła do Kapernaum... przy Jezusie jest zawsze tłum ludu, są uczniowie... bronionoby go może... przytem do nich nie wyszedłby... do ciebie wyjdzie... pojmą go wtedy... za szalonego ogłoszą... od śmierci haniebnej zbawią... Przecież ty matką jesteś i pragniesz ratować dziecko twoje... a to, co Juda obmyślił, ratunkiem jest dla niego i dla nas... Pomyśl, gdyby nas przez niego wyłączono ze zboru... gdyby nas wyklęto... o! Maryo... — Głos urwał się w szlochu.

Marya milczała...

O tak, matką jest... każdy nerw w niej drży niepokojem, boleścią, miłowaniem, tęsknotą...

Matką jest... życieby dała za dziecko swoje.

Matką jest, a jednak niema prawa, by stanąć pomiędzy synem a posłannictwem jego, bo wszakże tam, w dziecięcej komnatce w świątyni Nazaretu, nie dla siebie, ale dla ludzkości całej błagała miłosierdzia Pańskiego... a chyląc głowę przed Bożym wysłańcem, przyjęła równocześnie zapowiedź nadludzkiego szczęścia i bólu... Wiedziała, iż jej syn po to zstąpił, by drogę światła błądzącej ukazać ludzkości, by za jej przewiny ofiarę złożyć ze siebie samego... wiedziała, i jej radość miała zawsze podkład bólu, a jej ból graniczył z rozkoszą i zdawało się jej chwilami, iż rozerwie potęgą sprzecznych uczuć to jej biedne, ludzkie serce... ociekające męką nadmierną...

I teraz radość w niej jest i ból.

Oto do syna swego pójdzie... a coraz wyraźniej występuje z mroku widmo męki... coraz groźniej podnosi się nienawiść, ciemnota, zazdrość, a ona patrzeć musi i cierpieć w milczeniu... a jej nawet jękiem zaprotestować nie wolno...

Otom ja... służebnica Pańska... i nie znam innej woli nad Twoją...

Ale być przy nim, iść szlakiem jego ducha, słuchać jego słów, dzielić jego smutki, radości, jego dzieło i trud a później jego ból... do tego Bóg jej dał prawo... to jej wolno...

A obok niej dźwięczał natrętny, łzami przepojony szept Sary:

— Maryo... on cię tak miłuje... gdy przyjdziesz, wyjdzie do ciebie na pewno... wszak pójdziesz z Judą?... Pomyśl, my tak biedni jesteśmy...

O i jak biedni! Marya pochyliła głowę... czyż tym szalonym tłómaczyć warto? Czyżby uwierzyli jej zapewnieniom, gdy nie uwierzyli jego słowom i mocy... a zresztą po co? Zamiary ich, wszelkie wysiłki, intrygi, czemże są wobec jego woli? Tkanką pajęczą, którą podmuch wiatru rozrywa... falą, która się o skalne rozbija pobrzeże... więc rzekła spokojnie:

— Powiedz Judzie, Saro, że pójdę z nimi jutro... Matką jestem i miejsce moje u boku syna mego...

— Wiedziałam, iż będziesz rozsądną, Maryo... nie martw się jednak... rodzina nie zamyśla nic złego... jedynie odsunąć chcą Jezusa od życia publicznego, przerwać jego nauczycielską działalność... szkodliwą dla niego i dla nas. Osądzi się go między nami w Nazarecie... będzie pod dozorem Judy ciesielką pracował na chleb, spokój zawita do was i radość, jak za życia Józefa... nic mu więcej od nas nie grozi.

— Nie potrzebujesz mnie o tem zapewniać, Saro, wiem, że Jezusowi od was nic grozić nie może...

— Bądź więc gotową... wczesnym rankiem Juda w drogę wyruszyć pragnie... Pokój z tobą!...

— I z tobą!...

Marya patrzyła chwilę za otyłą postacią Sary, zdążającą ku domowi, a potem łzawe jej oczy ogarnęły długiem

spojrzeniem ogródek... kwitnęły w nim ostatnie jesienne róże. Ach, ileż razy chodziła po nim z malutkiem Jezusem... ile wieczorów przesiedzieli we troje na progu tej chaty... Zdawało się jej, że z mroku wychyla się jasna, smukła postać, a miękki głos woła na nią:

— Matko!..

Syn... jej Syn!

Tyle lat tu przeżyli... jasnych, szczęśliwych, spokojnych lat... a gdy jutro z chaty odejdzie, to i nie powróci do niej nigdy więcej. Ona i jej syn nie będą już mieli Pana, ni domu, rodziny ni ojczystej ziemi...

Bo i po co? Czyż świat cały nie jest im domem, wszyscy ludzie rodziną?

Uklękła w mroku izdebki i, wznosząc czarne bólem i szczęściem łzawe źrenice ku tajemnicy gwiaździstego nieba, modliła się bez słów.

Na zachodzie drżał jeszcze ostatni złoty błysk i zdało się jej, że to nie wiatru powiew, tylko ciepła, kochająca, światem władająca dłoń łzy osusza z jej lic, a wśród liści szept drży: Nie płacz, Maryo... po nocy dzień przychodzi, po śmierci życie... i nie zdoła światła zagasić potęga mroku, ni śmierć życia zwyciężyć.

— — — — — — — — — — — — — —

Jechali brzegiem Tyberiadzkiego jeziora... cisza była w przestrzeni, drobne fale rozpryskiwały się o skały białe, lśniły w świetle księżyca roztopionego srebra zalewą, zmywały piasek nadbrzeżny... Szumiał jesienny wiatr... otrząsał, roznosił opadłe liście, łkał wśród cyprysów i fig.

Juda wiódł osiołka, na którym podróż odbywała Marya, a jego ciemna twarz kupiła się w strasznym, mściwym uśmiechu, bo oto w dali dostrzegł płaskie dachy Kapernaum... Tam w Nazarecie, po mowie Jezusa w świątyni, rozszalała się w nim potęga nienawiści... a gdy wzniesione do uderzenia

pięści zawisnęły mu w przestrzeni, bo Chrystus zniknął,... wtedy wstało w nim dzikie pragnienie, szaleńcza tęsknota, by dostać go w swoją moc... by się przekonać, iż człowiekiem jest. Cobyto była za rozkosz zrównać go z resztą rodziny, patrzeć jako dawniej na jego smukłą, nad warsztatem pochyloną postać, i wiedzieć... iż temi oto rękami zdławiło się światło świata.

Obłędna, potępieńca rozkosz...

Iść za nim na wyżyny nie może... za silnie ziemię ukochał, za bardzo się z nią zrósł,... więc chciałby go zrównać z sobą... wszystko w nim drży pożądaniem i kupi się do skoku, jak zwierz.

O, nie będzie dla niego srogim, ni okrutnym... da mu codzienny chleb za pracę... i będzie o nim mówił z uśmiechem współczucia i pobłażania: szalony krewny mój... nieszkodliwy, biedny nauczyciel.

— Oto Kapernaum...

— Kapernaum!..

Czarne, mściwe źrenice Judy spotkały pogodne spojrzenie Maryi.

Dlaczego ta kobieta uśmiecha się tak ufnie i szczęśliwie ?. I dla czego w nim budzi się dziwny, szaleńczy lęk... jak gdyby za chwilę marzenie jego raz jeszcze rozbić się miało o wolę Jezusa, jako te fale morskie i skały białe.

Nie... nie... ujmie go tym razem... tak mądrze obmyślił wszystko, bracia postronki mają w pogotowiu, a Faryzeusze oddzielą ich od ludu... Na wędzie, którą rzucić chce miłość do matki, założył przynętę... Jezus tak kocha matkę... wyjdzie do niej... wyjdzie na pewne... a wtedy...

Szalona duma wezbrała w piersi człowieka, radość, zazdrość, nienawiść i zwycięskie uczucie tryumfu.

Tymczasem wkroczyli do Kapernaum... otoczyła ich sieć uliczek wązkich, mrok w nich był głębszy... czaił się w nich lęk.

Juda spojrzał znowu ku Maryi, smukłe jej dłonie, splecione modlitewnie, spoczywały na szarej sierści zwierzęcia,

a w szeroko rozwartych oczach zachwyt był i cicha, niezmieniona radość, bo oto dojrzała już pochodni jaskrawy blask i tłumy ludu, kupiące się na placu.. syn jej kazał jeszcze...

Skończyła się jej niedola, pękły ostatnie węzły, łączące ją z rodziną i z ziemią — i oto wchodzi w Królestwo syna.. nieczyja tu wola nie rządzi, jeno Jego moc.

— Tu się zatrzymamy.

Bez słowa zsiadła z osiołka... pochyliła się naprzód, słuchała... gdzieś daleko dźwięczał głos jej syna, więc rzekła do Judy głosem od wzruszenia drżącym.

— Podejdę bliżej... słyszeć go pragnę...

Drwiący uśmiech zadrżał na ustach Judy, bystrem spojrzeniem powiódł dokoła... kapłan z Jeruzalemu dotrzymał słowa, w tej części placu skupili się Faryzeusze i uczeni w Piśmie... mrok nocy i tłok ułatwią pojmanie Jezusa, gdy do matki wyjdzie. A ona... owszem, niech podejdzie bliżej... spostrzegą ją i doniosą mu, że czeka.

— Podejdź bliżej, Maryo...

Szepnął, a równocześnie jego śniada, silna ręka pochwyciła jej szatę. Skinęła mu głową i szła... rozstępowano się przed nią... dobiegał ku niej teraz wyraźnie — spokojny, silny głos Jezusa.

„A człowiek, zapaliwszy świecę, nie nakrywa jej naczyniem, ani jej kładzie pod łoże, ale ją stawia na świeczniku, aby ci, którzy wchodzą, widzieli światło... I nie masz nic tajemniczego, coby nie miało być objawione... i nie masz nic skrytego, czegoby się nie dowiedziano i coby na jaw nie wyszło".

Po bladej twarzy Maryi spłynęły dwie jasne łzy, a w duszy jej drżały słowa:

Ty, który wszystko wiesz... wszystko widzisz... i wszystko możesz... Panie mój... Panie!

Obok niej snuł się cichy szept Faryzeuszy, dźwięczały ciche rozkazy Judy, w mroku kupiły się oczekujące, mściwe twarze... a oto doszła już tak blizko domu, iż przez rozwarte drzwirze widziała siedzącego na słomianej macie syna, oli-

wnych lamp błysk drżał na jego pogodnej twarzy, a po za nim rysowały się sylwetki uczniów, szczere, otwarte, spokojne, głowy pełne energii i siły.

I ogarnęła ją radość, iż Jego siew pada na tę rolę zdrową, z której ziarno wybujać musi.

A nagle słowa Chrystusa przerwał głos, snujący się gdzieś z mroku chaty.

— Nauczycielu!... matka twoja i bracia twoi stoją przed domem i chcą cię widzieć... Czy wyjdziesz do nich?..

Echo tego głosu bezmiernym bólem drgnęło w duszy Maryi... szeroko rozwarte, przeczuciowego lęku pełne jej oczy szukały człowieka, do którego należał ten głos... Dojrzała twarz bladą, znużoną... wyróżniającą się dziwnie z tłumu uczniów... nie widziała jej dotąd w otoczeniu syna... Przez mgnienie — lęku pełne jej źrenice spotkały oczy Judasza z Kariotu... — uczeń spuścił powieki, a Marya odczuła w duszy przejmujący chłód śmierci.

A tymczasem spokojny głos jej syna pytał:

— „Któż jest moją matką i braćmi mymi? — A wskazując ręką w krąg, rzekł z mocą. — Spójrzcie, oto matka moja i bracia moi, bo ten, kto spełnia wolę Bożą, jest mi matką, bratem i siostrą!..“

Marya posłyszała za sobą zgłuszony wściekłością okrzyk Judy i nienawistny pomruk Faryzeuszy... równocześnie pięść Judy, która płaszcz jej trzymała, rozwarła dziwna moc... nikt ją już nie zatrzymywał, rozwarła się przed nią fala ludu — a ona, z uśmiechem chyląc głowę, przestąpiła próg i w milczeniu usiadła u stóp syna.

Przez mgnienie — jego błękitne, pogodne oczy spoczęły na niej miłości pełnem spojrzeniem, gdy rzekł jej cicho a miękko:

— Matko...

M. Czeska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Rozwój gospodarczy nowoczesnej wsi polskiej. *Dr. Leon Władysław Biegeleisen.* Kraków 1916 Tom pierwszy, str. XV + 504. Tablice statystyczne str. 12. Wydawnictwo Instytutu ekonom. N. K. N. Zeszyt VIII, IX, X.

Polskiej literaturze ekonomicznej przybywa nowy dorobek Jest nim obszerne studyum, przeprowadzone nad ustrojem gospodarczym wsi galicyjskiej. W pierwszym tomie pracy, jaki ukazał się w sierpniu b. r., rozwija autor jedno z aktualnych zagadnień polityki agrarnej naszego kraju, jakiem jest kwestya robocza w rolnictwie. Badanie opiera się na aktach Towarzystwa Kółek rolniczych, które dla premiowania gospodarstw włościańskich rozesłało do swych członków kwestyonaryusz i zyskało tym sposobem materyał opisowy, zawierający pewną liczbę budżetów gospodarstw włościańskich za r. 1910. W przeprowadzonej analizie gospodarstw pod względem ich gospodarczego ustroju w liczbie 91, jako typowych organizmów gospodarczych, położonych w 19 powiatach galicyjskich różnych części kraju, spotykamy się z całym szeregiem podniesionych przez autora ważnych momentów z ich życia gospodarczego i przyczynowych zjawisk gospodarczo-społecznych, tkwiących specyalnie w stosunkach wsi galicyjskiej. Podnieśmy z nich tylko niektóre, o ile możności najważniejsze.

Pomijamy część wstępną jako metodologiczną pracy, wprowadzającą do zapoznania się z nauką o budżetach gospodarstw rolnych i pojęciami ich poszczególnych pozycyi. Pojęcia te ustala

autor przy pomocy licznie przytoczonych pisarzy i ekonomistów niemieckich i angielskich jak: Brentano, Dettweiler, Goltz, Hoch, Huszke, Kalden, Kerp, Klawki, Laur, Mührer, Ostermayer, Roscher, Sering, Sombart, Stumpfe, Waltz, Brodrick, Caird, Keut, Marshall, Mill i t. d., nie pomijając też pisarzy polskich, (str. 1—68). Poddawszy następnie krytycznej ocenie materyał Towarzystwa Kółek rolniczych, przystępuje do szczegółowej analizy gospodarstw włościańskich, materyałem objętych (str. 68—80).

Na pierw bada autor źródła ich rentowności. Wszystkie badane gospodarstwa dzieli według obszaru ziemi na 4 kategorye: parcelowe (1—5 m.), drobne (5—10 m.), średnie (10—20 m.) i większe (ponad 20 m.). Dochody stanowią trzy główne źródła: ziemiopłody, gałąź hodowlana i zarobkowanie. Najwyższy dochód ze ziemiopłodów osiągają gospodarstwa średnie, najniższy zaś parcelowe. Przeciwnie znowu gospodarcze organizmy drobne stanowią silną przewagę nad gospodarstwami średniemi i większemi w gałęzi hodowlanej. Zarobkowanie stanowi główne źródło dochodu w gospodarstwach parcelowych jako niemających dostatecznego warsztatu pracy na roli i zapewnionego bytu w dochodach gospodarczych. Dochody gospodarstw spiętrzają się w miarę wzrostu obszaru ziemi, ale doszedłszy do pewnej granicy, potem spadają. Ocena wartości ekonomicznej wypada najkorzystniej na rachunek gospodarstw drobnych. Gospodarstwa parcelowe muszą zużywać siły robocze na zarobkach ubocznych, gospodarstwa zaś większe wydatkują wiele na potrzeby osobiste, zwłaszcza na kształcenie dzieci (str. 81—140).

Typowymi organizmami gospodarczymi są gospodarstwa parcelowe, które nie produkując dostatecznej ilości środków żywności, skazują właścicieli i członków ich rodzin na dorobki uboczne w kraju i na emigracyi za granicą. Stanowiąc zaś niemal połowę wszystkich gospodarstw włościańskich, wyciskają szczególniejsze piętno na stosunkach krajowych i sprawiają, że dla wielkiej masy ludności rolnej z powodu braku zarobku w kraju staje się emigracya koniecznością gospodarczą.

Niedorozwój robocizny rozpoczynają odczuwać gospodarstwa, począwszy od 15 morgów, wzmaga się ze wzrostem ich obszaru, wreszcie występuje w całej pełni w gospodarstwach większych, które pod względem robocizny przedstawiają smutny obraz. Drobne gospodarstwa są dostatecznie nasycone robocizną rodzinną, ona

też stanowi podstawę ich powodzenia gospodarczego. Gospodarstwa większe cierpią ogólnie na niedorozwój robocizny rodzinnej i najemnej, mając nieraz czterokrotnie mniej robocizny w porównaniu z gospodarstwami drobnemi, zwłaszcza czeladnej, tak, że co najmniej połowa gospodarstw większych, a większa część średnich gospodarstw nie trzyma wcale czeladzi. Niedorozwój ten istnieje tak co do ilości jak jakości (str. 141—238).

Rozwój ekonomiczny gospodarstw rolnych stoi tedy w ścisłym związku z robocizną. Polityka ekonomiczna i nauka zarządu rolniczego, licząc się z tym faktem, szuka przeciw brakowi sił roboczych zaradczych środków. Jako takie mają służyć: maszyna rolnicza, instytucye społeczno-ekonomiczne, wewnętrzna kolonizacya i systemy płac za pracę. Systemy płac akordowych i premiowych natrafiają na znaczne trudności w rolnictwie. Akord ma zastosowanie tylko w pracach najprostszych. Najlepiej, według zdania autora, nadawałoby się połownictwo.

Na terenie gospodarstw włościańskich regułą jest system czasowy płacy za pracę. Zarobek robotnika rolnego jest ograniczony do pewnych pór roku, mając w pewnym okresie czasu tendencyę stałości. Robotnik rolny musi tedy uważać swoje położenie w kraju za niekorzystne, szuka więc lepszych warunków pracy i emigruje. W zachodnich krajach Europy odciąga robotnika rolnego przemysł, u nas emigracya. Galicya przedstawia się dlatego jako typowy kraj specyalnych stosunków. Powszechnie znaną jest z przeludnienia i nadmiaru sił roboczych, równolegle znowu większa własność rolna odczuwa dotkliwy brak robotnika, a szczególniej stałej czeladzi, wskutek masowej emigracyi. Galicya jest krajem wielkiej ilości parcelowej własności rolnej, dla której podstawą bytu są zarobki uboczne, nie chwilowe, lecz możliwie stałe. W kraju jest tych dorobków za mało, więc zagranica, emigracya zamorska i kontynentalna uzupełniają środki utrzymania. Emigracya staje się przyczyną coraz silniejszego braku robotnika, w miarę jak coraz większe masy ludności wiejskiej emigrują z kraju. Brak sił czeladnych stoi na przeszkodzie rozwinięciu gałęzi hodowlanej i to jest najdotkliwszy cios dla gospodarstw średnich i większych włościańskich. W tej mierze niema nadziei zmiany na lepsze (strona 276—445).

Znacznej zmiany na lepsze w stosunkach roboczych nie spodziewa się autor w najbliższej lub dalszej przyszłości. Represyo

rządowe, zmiany w systemie płacy, maszyny rolnicze, akcyę społeczną, nawet uprzemysłowienie kraju uważa za środki tylko połowiczne. Normalny przypływ sił roboczych dla rolnictwa zapewnić może, według zdania autora, tylko zapobieżenie dalszemu drobnieniu własności włościańskiej zapomocą racyonalnej polityki ekonomicznej i taki ustrój gospodarstw rolnych, by mogły zapotrzebowanie sił roboczych utrzymać w mało wahającej się w ciągu roku linii.

Jaki wpływ wywrze wojna na ukształtowanie się kwestyi roboczej, zastanawia się autor pobieżnie w końcowym ustępie.

Dla uzyskania naukowej podstawy dla swej analizy i uzasadnienia jej wyników posługuje się autor oprócz licznych cyfr statystycznych obcą literaturą, zwłaszcza niemiecką, przytaczając ją obficie całymi nieraz ustępami. Aktualność poruszonych kwestyj w tym pierwszym tomie pracy, oryginalność materyału, poddanego naukowemu badaniu teoretycznemu i widoczny znaczny nakład naukowo literackiej pracy zyska niezawodnie autorowi uznanie a krytyka zaliczy książkę, której tom drugi ma niebawem się uwiaz ić, jako korzystną zdobycz naukową dla polityki agrarne naszego kraju. *Ks. Dr. A. Mytkowicz.*

Wiadomości o Dominikanach prowincyi litewskiej, zebrał *Wołyniak*, poprzedził przedmową O. Woroniecki O. P. Część I. Kraków, nakładem OO. Dominikanów, 1917, stron VIII + 322.

Siódmą wiekową rocznicę założenia swego zakonu (r. 1216), a szóstą wprowadzenia tegoż na Litwę (r. 1317) uczcili OO. Dominikanie krakowscy wydaniem skrzętnej pracy pod powyższym tytułem znanego historyka zakonów i klasztorów w Polsce. Jak inne prace autora, tak i ostatnia o OO. Dominikanach, nie jest s zechstronną i wykończoną historyą, którąby obejmowała wszystkie strony życia zakonnego, na tle ogólnej historyi zakonu i kraju i w wewnętrznym, pragmatycznym związku faktów. Po wstępnych wiadomościach o uformowaniu się prowincyi litewskiej i daniu ogólniejszej statystyki zakonu, prowincyałów i innych dostojników zakonnych, przechodzi autor w porządku alfabetycznym 84 siedziby, bądź stałe bądź przejściowe, które albo formalnie składały się na litewską prowincyę OO. Dominikanów, albo były placówkami ich ekspansyi i pracy. Trzeba bowiem zauważyć, że zwłaszcza w 19.

stuleciu, kiedy prowincya, jako taka skazaną została przez rząd rosyjski na zagładę, OO. Dominikanie, malejąc liczbą, rozpraszali się po różnych punktach obszarów rosyjskich, obsługując parafie i zakładając nowe. Szkoda, że dla większej przejrzystości nie zestawiono właśnie osobno właściwych konwentów, a osobno takich przejściowych placówek pracy. Może takie spisy warto dać przynajmniej w 2-giej części, która, zdaje się, będzie poświęconą szkolnictwu OO. Dominikanów. Z powodu niedostępności źródeł, — archiwa konwentów prowincyi litewskiej znajdują się przeważnie w rękach rosyjskich, — trudno podane Wiadomości uważać za zupełne; w każdym razie to, co autor tak skrzętnie zgromadził, zebrał i zestawił, będzie służyło za podstawę i ramy do dalszych poszukiwań i uzupełniań. Właściwy zaś historyk zakonu sprowadzi ten bogaty materyał do syntezy i rozwinie ją na szerszem tle dziejów ojczystych i kościelnych. Czekamy na 2-gą część „Wiadomości".

Ks. J. Urban.

Zamieć. *Żeromski Stefan.* Powieść. Kraków 1916.

Żeromski jest mistrzem techniki powieściowej. Niezawsze umie budować harmonijną architektonicznie całość, ale psychologiczna strona dzieł jego niejednokrotnie ujawnia głębie. Tak jest i w Zamieci. Własna indywidualność autora roztapia się całkowicie w duszy Ryszarda Nienaskiego, Kseni Granowskiej; autor myśli swych osób działających myślami, czuje swych osób działających uczuciem. Sam Żeromski doszczętnie znikł ze sceny. Myśl, uczucie i wyobraźnia, instynkt, wola i podświadomość Nienaskiego czy Granowskiej są ośrodkiem skupienia wszystkich impulsów uwagi czytelnika. O nie tu chodzi, o te ruchy dusz tworzonych przez Żeromskiego: dusza tu niezawodnie przedmiot główny.

Aleć to pojęcie oderwane, a musi w swem ożywieniu artystycznem stać się plastyczną. Wszak dusza zazwyczaj operuje jako myśl, jako uczucie, jako wola w świecie zjawisk materyalnych, od nich zależna i na nie wpływająca. Artysta musi się liczyć z tym faktem i malować duszę i świat materyalnych zjawisk w celowym, harmonijnym, konsekwentnym zespole. Artysta podczas aktu twórczego musi mieć wzrok podwójny: widzieć duszę i równocześnie widzieć szczegóły zewnętrznego świata.

Na przykład Przybyszewski, czy to skutkiem braku w swej

artystycznej organizacyi, czy też może z zasady lekceważy sobie świat zewnętrzny. Stąd jego dusza taka anhellicznie chuda i rozwiewna. Żeromski zaś nie tylko przedziwnie wczuwa się w dusze swych osób, lecz widzi najdrobniejsze zjawiska materyalnej sceny ich działania. Obserwuje on i zaznacza je za pomocą opisów — jak czyniły dawne metody powieściopisarskie — lecz tylko w toku akcyi duszy, o ile wchodzą w grę tej akcyi i stanowią jak gdyby jej organiczną cząstkę. Z tego wynika, że świat zewnętrzny w powieści Przybyszewskiego prawie nie istnieje; w powieści Żeromskiego odgrywa rolę tła akcyi duszy; w powieści dawnej np. Korzeniowskiego zaopatrzony jest w byt odrębny, w którym reżyserem — sam autor.

Jeden przykład.

Nienaski w Paryżu z sercem goryczą zalanem i dręczącem myślami wraca z poczty. „Szedł przed siebie blady na twarzy, ze zmarzniętymi palcami nóg, wysiłkiem woli, trudem fizycznym, siłę wzroku wydobywając z oczu. Była godzina jedenasta rano. Tuman deszczowy, przesiąknięty ciężkimi opary tej nizkiej, starej części miasta, zasłaniał ulice. W grubej mgle dał się postrzedz posąg króla na koniu — bolesny od tej chwili na zawsze kształt. Widmo ohydne werżnęło się i wryło w duszę". Zmarznięte palce nóg... deszczowy tuman... posąg króla... to obserwacye świata zewnętrznego; ale ponad niemi unosi się dusza rozbolała Nienaskiego. Toż samo można rzec o wrażeniu giełdy na Nienaskiego. Ból, wzgarda, płacz wewnętrzny ponad zgiełkiem pieniężnego piekła.

Żeromski dał swej powieści tytuł Zamieć. Chciał może przez to oznaczyć ów wir straszliwy, który miota ludzką duszą, raz porywaną w potok przeznaczeń, ważnych dla ludzkiego zbiorowiska, drugi raz w topiel niedoli strącaną przez miłość i jej kaprysy.

Zamieć potrząsa Nienaskim, jak wicher liściem osiki, gdy nieszczęsny szuka swej Ksani w Paryżu, a równocześnie robi majątek na giełdzie, przeznaczony na łagodzenie niedoli w kraju.

Zamieć smaga go ostrymi kolcami mrozu i szarugi, gdy szaleje z zazdrości, odnalazłszy Ksenię...

Zamieć do rdzenia rwie duszę jego, gdy, już milioner i działacz, tworzy potężne życie w zagłębiu krakowskiem, a spotyka na drodze swej bandycką zgrają, chcącą go ubezwładnić. Dzięki za-

mieci ducha on, który tyle przeżył i przebolał, idzie na śmierć do jaskini opryszków — niezbrojny.

Po śmierci Nienaskiego zamieć pastwi się nad Ksenią, jak gdyby ona stała się teraz spadkobierczynią duchowej spuścizny po mężu.

A z dwu prądów, których wzajemne srogie zapasy tworzą zamieć, silniejszy społeczny, niż osobisty. Tym razem silniejszy społeczny, co trzeba z naciskiem podnieść. Tyle mądrych, tyle czynami brzemiennych myśli uwija się w rozmowach Czamcy, Ogrodyńca, Nienaskiego, że możnaby z nich ukuć programy prac dla pokolenia.

Podziwiam nie tylko płodność pomysłów Żeromskiego, lecz i przedziwną plastykę, z jaką rzeźbi nawet podrzędne postacie np. Halfswordowej lub papy Ogrodyńskiego; zachwycam się finezyą rozmów Ryszarda o Kseni: są to poematy jasnowidzącego odgadywania dusz, które usiłując wszystko nawzajem zataić, z drżenia serc i z przeczucia miłości na wskróś się widzą i rozumieją; lecz wprost zdumiewa orkan dramatycznych przeżyć Nienaskiego, kiedy szarpany zazdrością tarza się w szpetnych domysłach i „na własnej piersi krwawi pięści", rozdzierając rany serdeczne.

Istny Orestes, gnany przez wiedźmy.

A nareszcie nowość u Żeromskiego: życie jednostki dla społeczeństwa! Zagłębie śląskie, karwińskie, krakowskie, otchłań węgla uratować dla kraju, wydrzeć Niemcom! To jedno hasło, w powieści z taką siłą zaznaczone, autorowi chlubę a powieści nieśmiertelność rokuje. Obok Ech leśnych, Walgierza i Wiernej rzeki — Zamieć powiększy liczbę naszych arcydzieł powieściowych. *Antoni Mazanowski.*

Z piśmiennictw obcych.

Physik in Küche und Haus. Prof. *Heinrich Speitkamp.* Teubner, Leipzig 1915.

Nie chodzi tu wcale, jakby z tytułu ktoś błędnie mógł sądzić, o jakieś sztuczne stosowanie teoretycznej nauki do prakty-

cznego gospodarstwa domowego, lub przekształcania ogniska domowego na laboratoryum fizyczne młodej emancypantki. Chodzi tu tylko o to, czemu każdy przyklasnąć musi, by te urządzenia czyli przyrządy, które obecnie weszły już powszechnie w użycie w mieszkaniu i kuchni, a z którymi obchodzić się doskonale umieją nietylko wykształcone panie, lecz i zręczniejsze nasze Kasie i Marysie, objaśnić i by przedstawić jasno, popularnie, zasady fizyczne, na których się opierają. Że fizyka dokonała w latach ostatnich skutecznej inwazyi na nasze *lary* i *penaty*, i że każdy kącik obecnego gospodarstwa domowego podlega wszechwładzy tej pani, która tak dobrze umie zająć się najdrobniejszym szczegółem naszych codziennych potrzeb, jak i kierować olbrzymiemi i niezmiernie skomplikowanemi machinami wojennemi, o tem może nie każdy myśli, ale każdy po krótkiej refleksyi łatwo przyzna. Doszliśmy tak daleko, że prof. Speitkamp mógł zaryzykować i skutecznie obronić twierdzenie, że „dzisiejszy nowożytny dom delikatniejsze i bardziej skomplikowane posiada przyrządy, niż laboratoryum uniwersyteckie przed laty czterdziestu".

Na poparcie tego twierdzenia przypomnijmy sobie tylko te najnowsze urządzenia, bez których już dzisiaj dom zamożniejszy obejść się nie może: Więc oczywiście na pierwszem miejscu oświetlenie elektryczne, wraz z należącemi doń metalowemi lampkami żarowemi i niezmiernie czułym przyrządem do mierzenia prądu elektrycznego. Dalej przewody gazowe z kuchniami i przyrządami do mierzenia gazu, przewody wodociągowe z przyrządem do mierzenia wody, i wodą spłukiwanemi klozetami, dzwonek elektryczny, telefon, maszyna do szycia, to prawdziwe dziwo i wykwit najsubtelniejszej mechaniki, dalej przyrząd pneumatyczny do usuwania kurzu i pyłu, przyrząd do elektryzowania chorych, gramofon, pianola, przyrząd Wecka do gotowania konserw, młynek do kawy, maszynka do gotowania kawy, maszynka do jej palenia, piece tak zwane Dauerbrandy, maszyna do prania bielizny — oto krótki, wzięty na wyrywki przegląd urządzeń, które dziś już każdemu zdają się proste, a brak ich raczejby dziwił — a jednak czyż wielu można spotkać takich mieszkańców, którzyby działanie tych przyrządów i zasady, na jakich je zbudowano, rozumieli i z nich sobie zdawali sprawę? Ale pomijając te urządzenia nowsze, czyż i dawniej już znane, a obecnie jeszcze przez wszystkich stosowane, jak piec, okno, szyba, żelazko do prasowania,

naczynie do gotowania, lampa, świeca, maszynka do gotowania, szkło, metal, sukno, mur, dywan, suknia, szczotka, i inne tysiączne przedmioty i urządzenia czyż nie przedstawiają całej sumy nieraz bardzo skomplikowanych zjawisk fizycznych? A gdyby tak przyszło czasem na myśl wśród codziennych, monotonnie powtarzających się zajęć gospodarskich zastanowić się nad tem i owem, zrozumieć działanie i tej maszyny do szycia, nad którą się godzinami nieraz bezmyślnie siedzi, wypukując żwawo nogami do tysiąca subtelnych ściegów na minutę, lub urządzenia telefonu, lub dzwonka elektrycznego, którym się dzień w dzień posługuje, jak urządzony zbiornik wody w klozecie, który tak często się psuje, ileż przedmiotów do ciekawego badania, wcale zresztą łatwego, a zarazem ileż zaoszczędzonoby sobie nieraz kosztów czyto przez uniknięcie zepsucia, czy też łatwe naprawienie bez uciekania się do pomocy drogiego mechanika. A takie pytanie, również interesujące: dlaczego ta sama ilość węgla, spalona w jednym piecu, daje znacznie mniejszą ilość ciepła, niż w piecu inaczej urządzonym, dlaczego okno podwójne, złożone z bardzo cienkich tafelek szklanych, również skutecznie chroni od zimna, jak grube mury, dlaczego przebywanie w pokoju choć ciepłym, lecz długo nieogrzewanym przedtem, jest niezdrowe, z jakiego materyału są naczynia kuchenne najlepsze i najszybciej gotują, dlaczego gruba szklanka łatwiej pęka, gdy do niej nalejemy gorącej wody, niż cienka, dlaczego szklankę gorącej herbaty można wziąć bezpiecznie, chwytając jednym palcem za brzeg szklanki z góry, a drugim za brzeg dolny, podczas gdy w środku dotknąć szklanki niemożna, co „cieplejsze" — płótno czy materya jedwabna, dlaczego świeca gaśnie, gdy na nią dmuchamy a przeciąg, choć silny, podsyca owszem ogień w piecu, czy to „to samo" gra i mówi w telefonie, co w gramofonie, co to w kawie się dzieje, że, gdy ją ogrzewamy czyli palimy, ciemnieje i wydaje ze siebie silny zapach, dlaczego nie gotujemy kawy niepalonej, jaka różnica między ciastem pieczonem a gotowanem..? Gdyby tak mądre dziecko zaczęło zadawać mamie te i tysiączne inne pytania, to wkrótce łatwoby w odpowiedzi otrzymało — klapsa, którem oburzona mama starałaby się pokryć swą niewiadomość.

Żeby takiej przykrej ewentualności zapobiedz, a zapełnić głowę bardzo pożytecznemi a niezmiernie ciekawemi myślami i wyjaśnieniami, z których i bardzo uczony tatko i każdy człowiek

myślący skorzystać może, polecamy usilnie lekturę przytoczonego wyżej dziełka. W sposób prawdziwie mistrzowski, łącząc i ścisłość niemiecką i angielską przystępność, napisane to dziełko, jedną ma chyba tylko wadę, mianowicie niezmiernie lakoniczną treściwość, którą jednak, trzeba zaraz dodać, umiał autor doskonale pogodzić z wielką przystępnością i jasnością wykładu.

Ks. Feliks Hortyński.

Le Roman Merveilleux. *Pierre de Coulevain.* 1. vol.

Gdyby mnie kto zapytał, co byłoby mniej szkodliwem w rękach młodej kobiety — czy pornograficzny utwór Zoli czy też przedśmiertne dzieło panny Fabre, znanej pod pseudonimem *Pierre de Coulevain*, — odpowiedź wypadłaby na korzyść Zoli. Z nim przynajmniej wie się, z kim się ma do czynienia i każdy uczciwy a czysty umysł sam z siebie odwróci się wnet od śmieci i brudu. Inaczej z „Cudownym Romansem", *Le Roman Merveilleux*, jak zgasła przed paru laty autorka zatytułowała swą książkę. Tworzy ona jakoby dalszy ciąg innej: „*Au coeur de la Vie.* — „W sercu życia"; wychodzi jednak o jeden stopień wyżej — niestety! — Nie jestto powieść, ale raczej dorywcze, przykładami z życia ludzkiego ozdobione wyznanie wiary, wyznanie pojęć o świecie, o życiu, o stosunkach ludzi do Boga. Dawno już przebąkiwano, że „Pierre de Coulevain" zwraca się ku neo-buddyzmowi, kto uważnie czytał jej pisma, pełne zresztą zdrowego wdzięku, — mógł w nich miejscami spostrzedz pewien błysk rażący, nutę niezupełnie czystą tam, gdzie dotykała religii, co jednak szczęściem rzadko jej się zdarzało. W obecnym utworze p. Fabre przyznaje, że wychowana przez matkę pobożną odczuwała od dzieciństwa bunt przeciw dogmatom, zaczem pytaniami swémi i wątpliwościami wzbudzała rozpacz matki. Później w życiu oddaliła się stopniowo od praktyk religijnych, zachowując przytem — zwykłą w takich wypadkach zawiść — do Kościoła. Tą jednak nie częstowała swoich przeciwników. W długiej seryi jej utworów, którym bądź co bądź nie można zaprzeczyć wartości, można napotkać błędne pojęcia, ale nigdy żółci. Tę odczuwała wewnętrznie dopóki — jak sama mówi — patrzała jeszcze na rzeczy w sposób subjektywny. Pod koniec dopiero otworzył jej się objektywny punkt widzenia, którym ogarnęła Pana Boga, dogmaty i Kościół z ceremoniami, cudami i t. p. i dzieje ludzkości i ustrój całego świata. Owocem zaś tego przeglądu był *Le Roman Merveilleux*, ster deizmu, darwini-

zmu, determinizmu, metampsychozy — słowem całego chaosu pojęć i wierzeń. „Pierre de Coulevain" n. p. wierzy w Opatrzność — aż do zbytku, przypisuje bowiem jej działaniu nietylko nasze losy na ziemi, ale nasze złe i dobre czyny, „potrzebne dla nieznanych nam celów". Na zapytanie, czy modlitwą można coś u Boga uprosić, odpowiada kategorycznie: Nie! — pomawiając o tchórzostwo i małoduszność tych, co śmią wierzyć w skuteczność modlitwy. Modlitwę pojmuje tylko taką, o jakiej mniemamy, że kiedyś będzie przywilejem świętych w niebie a o której autorka mniema, że ludzkość do niej dojdzie zapomocą... chemii i fizyki! — Nie znają jej nawet mistycy, bo tych pomawia wszystkich nie o fanatyzm, ale o silnie rozwiniętą choć nieświadomą i mniej lub więcej świątobliwą histeryę, na co przytacza źle zrozumiane fakta z życia św. Teresy i św. Franciszka z Assyżu. Modlitwy takiej również nie rozumieją księża, z których żaden nie wie nic o prawach natury, nie rozumieją ludzie świeccy pochłonięci życiem doczesnem. Modlitwa powinna być ustawicznem Hosanna, nie zawierającem żadnej prośby, żadnej nadziei, pomocy i ratunku, żadnego echa boleści. Do końca świata nawet niebo rozbrzmiewa prośbami aniołów i świętych: wierzyć w to jednak jest w oczach P. de Coulevain upokarzającą słabością. Chrystyanizmowi czyni mimo to zaszczyt uważania go za najpiękniejsze z marzeń ludzkich. O Chrystucie Panu mówi z czułym szacunkiem, wybierając przytem z „poematu chrześcijańskiego" t. j. z Ewangelii to, co jej się wierzyć podoba. Żalu nie czuje do nikogo z bliźnich, „boć przecie żaden z nich nie jest odpowiedzialnym za swoje uczynki ani za swoje uczucia"...

Trudno wyszczególnić każdy fałsz, każdy błąd, każdą niedorzeczność, zwiniętą w nierozwiązalny kłąb z seryą pięknych myśli i zdrowych pojęć a tworzącą tak pozornie ujmującą całość, iż niejeden młody umysł łatwo dać uwieść się może. Jest n. p. piękny ustęp o miłości małżeńskiej, który wartoby pokazać naszym literackim głosicielkom wolnych związków. Autorka widzi w małżeństwie jedyną rękojmię stałej i szlachetnej miłości, podaje przytem, że satyra, która dotąd ośmieszała zdradzonych mężów, zwróci się niebawem przeciw uwodzicielom i pyta, „kto jest istotnie śmiesznym, czy jegomość, kryjący się za firanką lub pod kanapą, — czy pan domu, mający prawo kopnąć go za drzwi i zrzucić ze schodów?"

Dobrym bardzo jest też przykład, zawarty w historyi młodzieńca dogorywującego zwolna na suchoty, pomimo rozpaczliwych starań zbolałej matki. Autorka spotkała się z nimi gdzieś w miejscu kuracyj-

nem i słuchała smutnych zwierzeń umierającego. Ten opowiadał, że był szczęśliwym i czystym, aż raz otwierając nieznaną książkę, wyczytał w niej zdanie jedno, jedyne — i to starczyło, aby niem zmieszać umysł, zatruć duszę i po blizkich stopniach grzechu sprowadzić do obecnego stanu. Ostrzeżenie to dla piszących mogłoby — równie jak i zdania o małżeństwie dobre przynieść owoce — ale cóż? — jeżeli człowiek nie ma wolnej, woli to szczęście małżeńskie nie od jego wierności zależy a tamci dwaj — ten, co pisał owo zgubne zdanie i ten, dla którego stało się ziarnem śmierci — byli obaj niewinni, skoro działali tylko jako narzędzia sił wyższych". Podobnie spotkanie dwojga ludzi, z którego wywiązał się najpospolitszy w swej grzeszności romans, sprzeciwiający się wprost poprzednim przykładom, określone jest jako cudowne, od wieków przysposobione przez opatrzność zdarzenie w celu utworzenia udoskonalonego typu nowej ludzkiej istoty... Wobec tak absolutnego zaprzeczenia odpowiedzialności ludzkiej a wrodzonego pociągu do tego, co dobre i piękne, autorka nie spostrzega, jak często wpada w niebezpieczności a nawet w absurd i wciąga weń za sobą nieopatrzne umysły, olśnione wdziękiem stylu i piękności zdań.

Ten urok właśnie stanowi niebezpieczną stronę owego utworu. Zarzuca się, że codzień nawet u nas, wychodzą książki o wiele gorsze, bo wręcz bezbożne lub bezwstydne; ale raz jeszcze — na tych poznać się łatwiej. Tu zaś trafia się niejeden piękny ustęp i chciałoby się komuś go przeczytać, ale daremnie — bo wnet wzrok utknie na jakiejś niedorzeczności i usta muszą zamilknąć. I mogłoby się łatwo powtórzyć to, co autorka opowiada o owym młodzieńcu t. j. że jedno misternie przewrotne zdanie mogłoby stać się zarodem zguby dla wchłaniającej go duszy... Aż żal chwyta na myśl, że ta książka jest moralnym testamentem dobrej z instynktu kobiety i że z tym ładunkiem zagmatwanych pojęć przed Stwórcą swoim stanęła. Jakżeby mogła była zachwycać swym uroczym talentem, gdyby zamiast zabłąkać się w chmurach, zechciała była do końca opisywać to, co widziała na ziemi! Na to wszakże trzeba było pokory. P. de Coulevain zaś twierdzi o sobie, że się wyzbyła wszelkiej ludzkiej próżności, co przez się jest samochwalstwem i grubem złudzeniem. Nie tylko bowiem, że każdy człowiek w miarę, jak się głębiej bada, odkrywa w sobie całe pokłady miłości własnej, których się nie wyzbędzie do śmierci, ale w jej wypadku jasnem jest, że nie co innego jak brak pokory pchnęły ją do odrzucenia prawd, których ją uczono i do stworzenia z zamętu różnorodnych fał-

szów religijnego kodeksu. Tem bowiem pomimo szaty literackich wdzięków jest jej *Roman merveilleux*. Taką książkę niedość jest schować w jaki kąt biblioteczny, skąd zawsze choćby po latach wyleźć, może, Należałoby raczej ją spalić, jeźli się nie chce odpowiedzieć przed Bogiem za krzywdę, jaka z niej może choćby dla jednej duszy wyniknąć. *Teresa Wodzicka.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowy kodeks prawa kanonicznego.

W oczach naszych powstaje wielkie dzieło, które będzie punktem zwrotnym w dziejach Kościoła. Jest niem nowe prawo kościelne. Jak każde wielkie dzieło tworzone ono było przez cały szereg lat, pracą całego szeregu ludzi, powiedzmy dokładniej, pracą całego Kościoła katolickiego. Pius X. zainicyował tę pracę 19. marca 1904 roku; praca ta wśród wytężonego trudu trwała lat trzynaście i dopiero w tych dniach dobiegła kresu. Na czele tego dzieła stała komisya, złożona z 16 kardynałów pod prezydencyą papieża, względnie kardynała-dziekana; obok niej stała podkomisya, złożona z 42, później z 46 konsultorów, kanonistów i teologów. Z pracą komisyj współpracował cały Kościół w ten sposób, że najpierw w r. 1904, na żądanie Piusa X., wszyscy biskupi oświadczyli dezyderata swoje co do reformy kodeksu; następnie zaś wyrażali sąd swój o każdej części kodeksu, którą otrzymywali w pierwszem opracowaniu. Celem dokładnej oceny przybierali sobie biskupi do pomocy zawodowych znawców prawa kościelnego.

Najlepiej wprowadzi nas w ducha tego kodeksu allokucya Benedykta XV, jaką miał na tajnym konsystorzu, dnia 4. grudnia bieżącego roku. „Zamierzamy dziś mówić o kodeksie prawa kanonicznego, który, gdy szczęśliwie już jest ukończony, wkrótce ogło-

simy. Pamiętamy dobrze, jak w dniu naszej koronacyi, w imieniu świętego kolegium, wyrażał nam w tym kierunku życzenie kardynał Agliardi. Nikomu nie jest bardziej jasnem, jak Wam, iż w biegu stuleci powstała taka moc praw i rozporządzeń kościelnych, że nawet najbardziej zawodowym prawnikom trudno w najwyższym stopniu było posiąść dokładną ich znajomość. Nadto, wiele kanonicznych rozporządzeń, z powodu zmienionych stosunków czasu, nie odpowiadało już potrzebom i domagały się rozumnej i odpowiedniej reformy. Także i z tego względu zalecała się redakcya takiego kodeksu, aby kościelna dyscyplina mogła się upewnić, jakie prawa i przepisy kościelne istnieją. Było to nietylko życzeniem episkopatu i kleru, ale i wszystkich zawodowo się zajmujących prawem kanonicznem, ażeby taki podręczny kodeks posiadać. Stolica święta długo już nosiła się z tym planem, ale wielkie trudności stały mu na przeszkodzie. Bóg chciał, ażeby zasługa i chwała dokonania tego dzieła przypisaną była naszemu dostojnemu poprzednikowi, Piusowi X. Wiecie o tem dobrze, z jaką stanowczością zabrał się zaraz Pius X. do tego dzieła i z jaką wytrwałością dzieło to popierał. A chociaż nie było mu danem doprowadzić je do końca, on jeden, mimo to, jest twórcą tej księgi praw, która jego imię tak uczyni sławnem, jak imię takiego Innocentego III., Honoryusza III. lub Grzegorza IX., tych w historyi kanonicznego prawa najsławniejszych papieży".

Wyraziwszy podziękowanie wszystkim, co w tem dziele brali udział, zwrócił się papież ze szczególniejszą wdzięcznością do kardynała Gasparri, który przez cały ciąg pracy był głównym jej duchem ożywczym i niezmordowanym kierownikiem. „Z najwyższą radością składamy hołd wdzięczności i uznania ukochanemu naszemu synowi Piotrowi Gasparri. On od początku najcięższą część trudu dźwigał, przyczem oddał w służbę nietylko rzadkie dary umysłu i znajomość prawa, ale także i niezmienną gorliwość i żelazną energię, która nie umniejszyła się nawet wtedy, gdy został sekretarzem stanu".

Wyraża papież w końcu nadzieję, że kodeks taki przyczyni się do wzmożenia dyscypliny kościelnej. „Jest faktem, który i w każdej ludzkiej społeczności i w międzynarodowych stosunkach udziela się sprawdza: kwitnie zachowanie praw, to kwitnie wraz z pokojem i dobrobyt. Gdzie zaś powaga praw jest pomijaną lub nawet pogardzaną, tam następuje ruina prywatnego i publi-

cznego porządku. Najjaśniejszym dowodem na to są dzisiejsze wypadki".

Nowy kodeks składa się z pięciu ksiąg. Pierwsza księga podaje normy ogólne; druga księga mówi o prawach kleru, zakonników i laików; trzecia podaje prawne postanowienia co do sakramentów, miejsc świętych i czasów, co do służby Bożej, posłów, kościelnego urzędu nauczycielskiego i kościelnego majątku; w czwartej księdze mieści się proces cywilny, w piątej proces karny.

Wraz z pojawieniem się nowego kodeksu tracą moc wszystkie zródła prawne dotychczasowego prawa kościelnego; ogólne prawo kościelne będzie mieć za jedyne źródło, obok prawa bożego, tylko nowy kodeks. O ile zostaną w mocy dawniejsze prawa partykularne *(praeter legem)* i przywileje i inne tego rodzaju bliższe szczegóły, o tem dokładniej pisać już będzie zawodowe pióro, gdy nowy kodeks będzie w rękach. Nie potrzeba dodawać, że nowy kodeks nie odnosi się do Kościołów wschodnich.

Można przewidywać, że przyjdzie obecnie złoty okres literatury kościelno-prawniczej. Tak było po dekrecie Gracyana, tak po wydaniu dekretaliów papieskich, zwłaszcza Grzegorza IX. Zrazu będą to zapewne tylko komentarze do kodeksu; o dalszej ewolucyi trudno dziś mówić.

Nota czwórprzymierza do Ojca świętego. W tymsamym miesiącu grudniu, w którym Ojciec święty oznajmił światu rychłe pojawienie się nowego kodeksu prawnego, zaszedł drugi doniosły w Watykanie wypadek. Oto 12. grudnia jedna strona walczącej Europy, wystosowawszy do drugiej strony propozycyę pokojową, ze sfer neutralnych jednego tylko Papieża zawiadomiła o tem osobną notą, prosząc go zarazem, aby „swoją wysoką powagą tej inicyatywie i temu dziełu pokojowemu użyczył potężnego poparcia". Prócz katolickiej Austryi zwracają się do Papieża także i protestanckie Niemcy i prawosławna Bułgarya i mahometańska Turcya.

O ile Papież zastosuje się do życzeń noty, o ile ewentualna ta interwencya odniesie skutek, o ile, wogóle, Papież brać będzie udział w kongresie pokojowym, są to sprawy, o których dziś nic

pewnego powiedzieć nie można. Stwierdzić tylko trzeba, że hołd ten, złożony Stolicy Apostolskiej, jest przedewszystkiem uznaniem osobistej zasługi obecnego Papieża, który tylokrotnie i z takiem narażaniem się państwom ententy przeciw dalszej wojnie występował i tyle dla złagodzenia okropności wojny uczynił. I trzeba dodać, że hołd ten, jak w dotychczasowej historyi papiestwa jest jednym z większych tryumfów, tak i dla przyszłej roli papiestwa może mieć doniosłe znaczenie. W szczególności, staje tu przed myślą ta rola, jaką papieże odgrywali zawsze, jako zastępcy tego, który pokój przyniósł światu. Od Leona Wielkiego, który męskiem swojem wystąpieniem skłonił Attylę do cofnięcia się od bram Rzymu, przez szereg cały tych papieży, co potęgą swego wpływu trzymali w karbach burzliwe żywioły tworzących się państw średniowiecznych, przez tych, co tak znaczny udział mieli w przeprowadzeniu pokoju Bożego, tak zwanej *treuga Dei*, idzie wielki orszak papieży-rozjemców, papieży-książąt pokoju, którzy byli błogosławieństwem świata i uciszeniem ziemi. Wybijają się między nimi Grzegorz VII., Innocenty III., Bonifacy VIII. Innocenty III. tak pisze do króla Francyi: „W chwili, gdy Chrystus ma dopełnić dzieła zbawienia, daje, jako spadek, pokój swoim uczniom: chce on, by go zachowali i przekazali swoim następcom. Co powiedział, umierając, potwierdził po swojem zmartwychwstaniu. Pokój niech będzie z wami — to były pierwsze Jego słowa do Apostołów. Pokój jest wyrazem miłosierdzia i miłości bliźniego. Czyż może zaś być większa sprzeczność z miłością bliźniego, jak rzezie ludzkie? W nienawiści zrodzone, są one źródłem wszystkich przestępstw, rozrywają związki powodzenia i miłości. Przyprowadzać ludzi do miłosierdzia i pokoju jest pierwszem zadaniem niegodnego zastępcy Jezusa na ziemi". Ten sam papież powołuje się na to, że jest urodzonym pośrednikiem w sporach książąt. Byli też takimi pośrednikami i rozjemcami i Aleksander III. i Honoryusz III., Jan XXII., Grzegorz XI. i Aleksander VI. Gdy zagrozili Europie Turcy, przyczyniają się papieże wielokrotnie do usunięcia sporów między chrześcijańskimi panującymi w tym celu, aby całą Europę ruszyć przeciw nowemu wrogowi. Od czasów reformacyi ta rola pokojowa papieży maleje, choć jeszcze rozjemcą jest i Klemens VIII. i Grzegorz XV. i Klemens IX. i inni.

Po sukcesie Leona XIII. w sprawie Karolin, obecny krok państw centralnych stawia w pełnym blasku tę rolę papiestwa.

Jeżeli dodamy, że, pod wpływem krwawych skutków tej wojny, zaczynają coraz bardziej panować w świecie te idee o pokoju, które papieże zawsze głosili, a więc ograniczenie zbrojeń, poskramianie szowinizmu narodowego, poszanowanie prawa narodów, to dojrzymy, że nad światem zaczyna wstawać nowa zorza.

Polski adres do Papieża

Jak odczuwa Polak to serce wiernego przyjaciela, jakim była zawsze Stolica Apostolska, świadczy głos Zjazdu włościańskiego w Warszawie do Papieża. Niech sam tekst mówi za siebie:

„Zgromadzeni w dniu 26. listopada 1916 roku w stołecznem mieście Warszawie na pierwszym wolnym Zjeździe Ludowym ze wszystkich okolic Niepodległego już Królestwa Polskiego, włościanie i przedstawiciele innych stanów, Tobie, Ojcze święty, składamy hołd czci i wdzięczności za to, że Stolica Apostolska, w ciągu przeszło stuletniej okrutnej niewoli moskiewskiej, stale i niezmiennie nasz naród w Swej opiece miała, a w czasie wszystkich powstań ojców naszych przeciw okrutnemu jarzmu nietylko przed Bogiem orędowała za nami, lecz i u mocarzy ziemskich kołatała o sprawiedliwość i wolność dla uciemiężonego narodu.

Przeświadczeni, że tryumf oręża mocarstw centralnych, wskrzeszający Polskę dla niepodległego bytu państwowego, jest jednocześnie tryumfem Kościoła rzymsko-katolickiego, tępionego przez schizmę wschodnią, zapewniamy Ciebie, Ojcze Święty, że naród nasz, przetrwawszy najcięższe katusze niewoli, siłą swej wiary rzymsko-katolickiej, będzie Twego Chrystusowego Kościoła ostoją na najdłuższe czasy zmagania się zła z dobrem na ziemi, będzie jak przez dawne wieki, przedmurzem świętego Kościoła i Europy przeciw zaborczości wschodniej schizmy.

Więc dziś, gdy losy wojny jeszcze się ważą, błogosław, Ojcze święty, Polsce, wychodzącej z grobu na wolność, błogosław orężowi polskiemu i wymódl u Pana Zastępów dzielnego Króla, któryby to wskrzeszone państwo nasze z ruiny umiejętnie odbudował i sprawiedliwe a rozumne rządy w nim sprawował na chwałę Boską, na pożytek Kościoła i dusz naszych, a na ziemskie szczęście wszystkich synów Ojczyzny naszej.

Jako czułe dzieci garniemy się do Ciebie, Ojcze święty, ożyw-

wieni wiarą, że jako Najlepszy Ojciec, wysłuchasz i wspomożesz nas w dniu naszej radości tak, jak wspomagałeś nas w dniach naszego smutku, żałoby i bólu".

Jakiekolwiek okoliczności towarzyszyły adresowi, wyraża on w każdym razie to, co czuje każdy prawdziwy Polak.

Ks. J. Pawelski.

Z podróży biskupów francuskich do Irlandyi.

Jaki nastrój panuje obecnie w nawskroś zawsze katolickiej Irlandyi i jakie tam przeważają oryentacye? W odpowiedzi na to stwierdzić najpierw trzeba, że o Irlandyi wiemy obecnie bardzo mało, bo rządowi angielskiemu udało się w sposób zdumiewający otoczyć całą tę wyspę męczenników nieprzebytą umysłową kwarantanną. Pojawiają się o Irlandyi wzmianki tu i owdzie, podchwytywane i podawane przez prasę centralną — ale właśnie może dlatego nie zwracające na siebie uwagi, bo mimowoli nie budzące całkowitego zaufania, jako przypuszczalnie stronnicze. Dlatego sądzę, że dla przyjaciół Irlandyi — a któż z Polaków, zwłaszcza katolików, nie byłby przyjacielem tego dziwnie pięknego i szlachetnego narodu, Polsce tak zawsze sprzyjającego? — będzie rzeczą interesującą wedrzeć się nieco w tajniki obecnych stosunków irlandzkich, wedrzeć się w ślad za najmniej chyba podejrzanym przewodnikiem, bo za prasą katolicką francuską, która w wojnie obecnej patryotyzmem, a nawet szowinizmem nie ustępuje nikomu.

Streszczenie tych poglądów bardzo trafne, dające równocześnie miarę, jak wielką wagę Francuzi obecnie z powodu wojny przypisują kwestyi irlandzkiej, daje bezimienny autor w znanem czasopiśmie katolickiem „Le Correspondant". Narzeka on tam przedewszystkiem, że cenzura francuska bardziej krępuje prasę francuską w omawianiu kwestyi irlandzkiej [1]), niż to czyni cen-

[1] W tym samym piśmie czytamy po ogłoszeniu niepodległości z d. 5 list. że i o kwestyi polskiej rząd francuski nie pozwalał gazetom przez całe dwa lata nic pisać.

zura angielska względem gazet angielskich. Obecnie widocznie jednak sprawa stała się piekącą nawet i dla francuskich masonów, skoro pozwalają pisać o niej tak silnie. I nic dziwnego — jak bowiem dowiadujemy się ze wspomnianego artykułu, rekrutacya żołnierza w Irlandyi ustać musiała zupełnie, wobec nastroju tamtejszej ludności. Taki wierny sprzymierzeniec Asquitha i obecnego rządu liberalnego w Londynie, jakim jest Redmond, przywódca irlandzkich posłów w Londynie, by utrzymać swój wpływ w kraju i przewodnictwo klubowe, przechodzi do silnej opozycyi i w Waterford wygłasza niezmiernie gwałtowną polityczną mowę. „M. Redmond oświadczył — czytamy w „Correspondant" — że od początku wojny rząd dawał dowody, odnośnie do Irlandyi, „kolosalnej głupoty, niedołęstwa i braku życzliwości", i że jakiekolwiek usiłowania, by rozpocząć konskrypcyą, wznieciłyby powstanie w Irlandyi aż do najdalszej wioski". Wygłosił też takie zdanie, pod adresem swych dawnych przyjaciół rządowych: *Theier whole history has taught them how dangerous it is to trust English Statesmen.* (Cała ich historya nauczyła ich (Irlandczyków), jak niebezpieczną jest rzeczą zaufać angielskim mężom stanu). Do tych ostrych słów Redmonda dodaje „Correspondant" słuszną uwagę: „Trzydzieści lat mija, jak M. Redmond idzie razem z liberalnymi radykałami (w Anglii). Gdy ten człowiek mówi do nich tak, jak w Waterford, fakt ten jest godny uwagi. By pozostać naczelnikiem, musiał stawić czoło: I to właśnie, więcej niż cokolwiek inne, wyjawia jasno powagę sytuacyi".

A ta powaga sytuacyi jest przedewszystkiem dla samych Francuzów niepokojącą. O straszliwem zniszczeniu Francyi przeciekają mimo starannej cenzury cyfry i fakty, które położenie kraju malują w jak najczarniejszych barwach. Na froncie walczą siedmnastoletni chłopcy, w kraju zastój w przemyśle, bardzo złe plony w rolnictwie, a tu nowa kampania zimowa, o której kilka miesięcy temu słyszeć już nie chciano, nieunikniona, a poza nią trzeba gotować świeże armie, by zadać mocarstwom centralnym ową wymarzoną ostateczną klęskę — bo jeszcze ciągle śnią o tem we Francyi. Wobec tego rzeczą jest nieodzowną, by Anglia wzmocniła swe siły, a tu tymczasem rekrutacya w Irlandyi niemożliwa. Dotychczas, jak donosi „Correspondant", ilość żołnierza irlandzkiego, walczącego na froncie, wynosiła 157.000, a był to

żołnierz bardzo dzielny. Tymczasem położenie polityczne w Irlandyi odcina temu wojsku, gwałtownie w strasznych zapasach ścieranemu, źródło rezerw i „jeżeli nie będzie można zaludniać na nowo etapów irlandzkich, będzie to końcem brygady irlandzkiej".

Nic też dziwnego, że kwestya irlandzka staje się piekącą dla Francuzów. To też zwracają się z gorzkimi wyrzutami do Anglii. — „W chwili, gdy z takim hałasem podnosi się znaczenie narodów, które chcą zacząć żyć, dlaczegóż udawać, że się zapomina o narodzie, który od wieków nie chce umrzeć? Wstrzymuję się umyślnie od wszelkiego charakteryzowania rzeczy nazwami; lecz niema nikogo, bez względu czy jest katolikiem lub nie, ktoby nie wiedział, ile Irlandyi trzeba było wytrzymałości, siły woli, wiary w samą siebie, by pozostać Irlandyą". I gdy się uwzględni tę nutę niesłychanego uwielbienia i uległości aż do służalstwa, z jaką od początku wojny nawykła o Anglii mówić prasa francuska, i do jakiego ją dotresowała cenzura, to ton przytoczony wyżej wykazuje, że postępowanie Anglików w kwestyi irlandzkiej doprowadza Francuzów prawie do rozpaczy — przyczem oczywiście chodzi im jedynie o następstwa wojskowe. „Wyznaję, że ogarniało mnie zawsze najwyższe zdumienie na widok, jak Anglia, której zmysł praktyczny ustawicznie się wychwala, nie zdołała dotąd zrozumieć, że współpracownictwo pomnożyłoby dziesięciokrotnie ową wartość państwową, którą zmniejsza poddaństwo"! I dodaje uwagę charakterystyczną: „Nie chcę, narazie, spoglądać aż do wnętrza rzeczy, by tam nie znaleźć kwestyi religijnej, ponieważ chcę sprawę rozpatrywać wyłącznie z punktu widzenia politycznego". A więc przyznaję, że na dnie całej sprawy, to jest tego zaślepienia Anglii wobec Irlandyi, leży sprawa religijna, purytański fanatyzm.

Tem bardziej niespodziewanym wydać się wobec tego musi zwrot, jaki cała sprawa przybrała w ostatnich miesiącach. Oto do Irlandyi udała się w odwiedziny, — rzekomo jako rewizyta delegacyi Redmonda, jaka w r. 1915 nawiedziła Paryż, a którą przyjął u siebie także arcybiskup paryski, kardynał Amette — misya episkopatu francuskiego, która, mimo zaprzeczeń, miała z pewnością charakter bardzo polityczny, jak to z przemówień jej członków jasno wynika. W skład tej misyi wchodził biskup orleański Mgr. Touchet, najlepszy obecny mowca francuski, dalej biskup z Digne Mgr. Lenfant, dalej M. Fynn, kapłan francuski,

chociaż irlandczyk z ojca i matki a obecnie kapelan wojskowy armii pod Verdun, wreszcie znany autor teologiczny Mgr. Pierre Batiffol, który całą tę ekspedycyę obszernie w Correspondant z 10. listopada b. r. opisuje.

Opis podróży, która trwała od 7-go do 14-go października, zaczyna się bardzo ciekawą notatką, rzucającą nieco światła na szczelnie dla nas zamknięty sposób bytowania w obecnej Francyi i Anglii. „Zanotowałem w swym zeszycie — pisze Mgr. Batiffol — że począwszy od Amiens nie widać już nic, prócz uniformów angielskich. Poza Abbeville wszędzie obozy, baraki, namioty, oddziały angielskie, odbywające ćwiczenia, ambulanse. Wzdłuż drogi ogłoszenia wielkiemi, czerwonemi literami: „Maszyniści, chorzy w szpitalach będą wam wdzięczni, jeżeli będziecie gwizdać cicho". W Boulogne statek napełniony jest urlopowanymi angielskimi żołnierzami, powracającymi do Anglii. Wszyscy pasażerowie zaopatrzeni są w pasy ratunkowe, na nieprzewidziany wypadek. La Manche roi się od patrolujących torpedowców. W Folkestone, gdzie wylądowujemy po zapadnięciu nocy, dano rozkaz, by spuścić wszystkie story wagonów, z obawy przed możliwymi Zeppelinami. W Londynie, ciemność prawie zupełna na ulicach, i zdaje się, że mają się tam na ostrożności o wiele troskliwiej, niż u nas w Paryżu. W Farm Street, gdzie celebrujemy nasze msze w piątek rano, pierwszy piątek miesiąca, wierni wykwintnej kaplicy zapisują się na godziny adoracyi *for lasting peace and security* (o trwały pokój i bezpieczeństwo)".

W drodze delegaci naradzają się nad trudną i delikatną swą misyą. „Mgr. Touchet oświadcza nam, że z początku wahał się wyruszyć w podróż, lecz ustąpił przed naleganiami najlepszego sługi, którego sprawa francuska ma w Zjednoczonem Królestwie. Niemcy przedstawiają rzekomo, że kler francuski nieprzychylnym jest obecnej wojnie, która, według Niemców, jest wynikiem spisku Anglii i Francyi przeciwko Niemcom". Niedosyć więc rozprószyć te uprzedzenia, trzeba nadto starać się zawiązać na nowo ostygłe obecnie stosunki między klerem francuskim i irlandzkim. „Bez wątpienia — mówi kard. Touchet — w Irlandyi kochają obecnie Anglią mniej, niż kiedykolwiek, lecz nie będziemy nic mieli do powiedzenia o Anglii, przychodzimy po to, by zadzierżgnąć na nowo tradycyjne węzły przyjaźni pomiędzy klerem fran-

cuskim a klerem irlandzkim. Oto wszystko, jest to dosyć i jest to wiele".

Jak z tej niezmiernie delikatnej misyi politycznej, bo za taką trzeba uważać tę podróż, wywiązali się prałaci francuscy? Oczywiście dokładnie wszystkiego opisać nie mogą, ale trzeba przyznać, że do dzieła zabierali się dosyć odważnie i niepoprzestawali na zawiązywaniu serdecznych stosunków z irlandzkim klerem, lecz nawiązując do tradycyjnego stosunku przyjaźni, starali się wprost usposobić Irlandczyków przyjaźnie względem obecnej wojny.

Pierwsze przyjęcie uroczyste francuskich gości odbywało się w Maynooth, w murach wielkiego seminaryum teologicznego wspólnego dla 28 dyecezyi irlandzkich, gdzie kształci się 500 do 600 młodych kleryków, z których młodsi odbywają studya, odpowiadające naszym naukom gimnazyalnym, zaś starsi uczą się teologii i przygotowują się do stopni teologicznych. Zakład ten, o 15 mil odległy od Dublina, założony w r. 1795 przez parlament irlandzki, obecnie otrzymuje się z dotacyi i ze składek po dyecezyach, na ten cel zbieranych i przedstawia się wewnętrznie i zewnętrznie wspaniale. Ci z wychowanków, którzy po skończeniu studyów mają zamiar dalej się kształcić, udają się na studya filozofii tomistycznej do Lowanium, zaś na inne nauki, jak historyę, nauki klasyczne, filologię wschodnią, do rozmaitych uniwersytetów niemieckich. Od Anglii natomiast stronią najstaranniej. „Z rozmysłem odtrąca się tu wszystko, co jest angielskie: wysoka kultura, której elita katolickiego kleru angielskiego idzie szukać do Cambridge, do Oksfordu... tutaj jest widocznie z umysłu zapoznana... Niemcy stworzyły tu sobie samowładztwo naukowe, które imponuje, które zamienia się na monopol i które utrzymuje się przez systematyczne oczernianie wszystkiego, co nie jest niemieckie". Szowinistyczna ta i niesprawiedliwa uwaga, w ustach katolickiego kapłana wydaje się nieco dziwną, ale czytając pisma katolickie z ostatnich czasów, trzeba się do tego tonu przyzwyczaić. Daje on zarazem przedsmak tej nienawiści, jaką zatruwa się całe społeczeństwo francuskie.

Wobec takiego nastroju irlandzkich kleryków nic dziwnego, że „pierwszem pytaniem, które nam postawiono w Maynooth — mówi ks. Batiffol — jest to: czy rzeczywiście wierzycie w wasz ostateczny pomyślny wynik?... Dziwią się, gdy widzą w nas tak

spokojną ufność w ostateczny sukces sprzymierzonych". Następują inne jeszcze pytania, równie niemiłe dla katolika francuskiego. — „Pragną zrozumieć, dlaczego mieliśmy tak przewrotne rządy, i jak się to zgadza z nadzieją, którą posiadamy, że staniemy się dobrym krajem, chcą, byśmy wyjaśnili psychologią unii świętej [1]), pytają nas kiedy Francya zawiąże stosunki ze Stolicą świętą, bo przez to rozerwanie cierpią Irlandczycy ze względu na Kościół, cierpią ze względu na nas... zadają nam także pytania co do obecności kapłanów i kleryków na froncie".

Tylko na to ostatnie pytanie podaje odpowiedź Mgr. Batiffol, ale przyznać trzeba, że w ustach prałatów katolickich jest dosyć niespodziewane. Wyjęcie z pod powszechnego obowiązku służby wojskowej zgubiłoby mianowicie kler w opinii publicznej, a nadto kapłani i klerycy w rowach i w koszarach wiele znajdują sposobności do zbliżenia się do ludu i oddziaływania nań w kierunku religijnym. Otóż zauważyć trzeba co do pierwszej części argumentu, że mimo to pozostaje z pewnością wiele jeszcze kwestyi, które kler francuski gubi w opinii kraju — tego kraju dzisiaj na wskroś bądź oziębłego i haniebnie słabego, bądź zażarcie nieprzyjaznego nietylko Kościołowi, ale wszelkiej religii objawionej, nadprzyrodzonej — z drugiej zaś strony widok, chociażby w myśli tylko i wyobraźni, kapłana lub biskupa, którego spotykało się w świętych szatach przy ołtarzu, spełniającego najwznioślejsze ceremonie, nawołującego z urzędu swego do łagodności i miłości — widok tego kapłana w szarym, krwią zbryzganym kubraku, rozpruwającego bagnetem wnętrzności nieprzyjacielskich żołnierzy, jest czemś, co wstrząsnąć przykro musi duszą każdego człowieka, mającego jakieś wogóle idealne poglądy. Kościół wojny słusznej, prowadzonej w obronie szlachetnych i wielkich idei, nie potępia i wielu rycerzy postawił na ołtarzach, ale uważa na rzecz niezgodną z świętymi obowiązkami i godnością kapłana, posłannika pokoju, by tenże, rzuciwszy ołtarze i świątynię, szedł w obozy i życie żołnierskie, by ten, którego obowiązkiem jest nieprzyjacioły zyskiwać i nawracać, mordował je i tępił. Kto jest za służbą kapłanów w szeregach, ten gorszy jest bez porównania od owych krzyżaków, którzy ogniem i mieczem szli szerzyć ewangelię, bo

[1]) Jestto francuskie Burgfrieden, usunięcie dobrowolne na bok wszystkich spraw partyjnych, a zespolenie się zupełne stronnictw, nieraz sobie zupełnie wrogich, celem wytężenia sił na zewnątrz.

tam walczyli nie kapłani lecz bracia zakonni. Że zresztą przez poddanie się tej ustawie kler francuski bynajmniej nie pozyskał opinii tych sfer, których tak się obawiał, wykazuje następujący epizod, który rzuca zarazem bardzo ciekawe światło na usposobienie kleru francuskiego. Oto w jednej gazecie socyalistycznej jakiś korespondent zarzuca, że mimo wszelkich ustaw kapitaliści i księża zawsze usuwać się będą umieli od czynnej służby wojskowej i że nikt nie widział milionera lub księdza z karabinem w ręku na niebezpiecznym posterunku. Na to odpowiada pewien Francuz, że jego brat był księdzem i został wzięty do wojska, tam mógł pełnić służbę sanitaryusza, ale sam tego nie chciał, lecz poszedł dobrowolnie do służby czynnej i zginął z bagnetem w ręku, w ataku czynnym na nieprzyjaciela. Jak sobie wytłómaczyć psychologię kapłana katolickiego, który mógł usunąć się od tak niezgodnej z duchem i wolą Kościoła służby czynnej wojskowej i oddać się natomiast pięknemu powołaniu czuwania nad chorymi i ratowania przy tej sposobności ich dusz — a obrał walkę czynną, to trudno powiedzieć, również jak trudno zdać sobie sprawę z pomieszania, mówiąc najłagodniej, panującego wśród katolików francuskich, którzy takiego kapłana stawiają na piedestale i sprawę całą przed forum świata wytaczają. Narzuciby się tu mogło przypuszczenie, że temu niesłychanemu spustoszeniu moralnemu, jakie w duszach we Francyi pod względem zwłaszcza religijnym panuje, jest w pewnej części winne i duchowieństwo francuskie.

Co do drugiego argumentu, że mianowicie kapłani w służbie wojskowej znajdą drogę do zbliżenia się do ludu, to pominąwszy sposób osobliwszy tego zbliżenia się, sposób dotychczasowym apostołom od początku istnienia Kościoła nieznany, i przez nich niepraktykowany, zapytać się należy, czy wszyscy ci kapłani i klerycy, których z górą 20.000 znajduje się w obozach armii francuskiej, są tak silni moralnie, że wśród życia obozowego, wśród otoczenia najrozmaitszych ludzi, zwłaszcza w takiej Francyi, zachowają zawsze ducha kapłańskiego i będą ustawicznie wzniecali tylko szacunek w swem otoczeniu? Wszak powiedziano, że nikt nie jest wielki wobec swego kamerdynera. A jeżeli nie, to takie obcowanie za pan brat jako podwładni szeregowcy ze świeckimi młodymi ludźmi, zniszczy chyba do reszty ten nimb, jakim kapłan i duchowny koniecznie otoczonym być musi, by słowo jego

i nauka znalazła posłuch i powagę. Wszak i w instytucyi tak na wskróś demokratycznej, jak armia dzisiejsza, mimo zrównania wszystkich stanów, pilnie baczą na to, by oficerowie nie poufalili się z żołnierzami, gdyż przez to karność i posłuch ucierpieć muszą. Delikatną tę stronę kwestyi, w której wcale nie chodzi o jakieś wynoszenie się stanów jednych nad drugie, lecz o proste prawa psychologiczne, uznał i protestancki cesarz Wilhelm, gdy na prośbę katolików niemieckich rozporządził, by kapłanów francuskich, którzy jako prości żołnierze dostali się do niewoli niemieckiej, traktować jako oficerów. I wogóle zauważyć trzeba, że niezgodność roli kapłana z rolą żołnierza, uderzającego na nieprzyjaciela z bronią w ręku, uznają i schizmatycka Rosya, i protestancka Anglia i Niemcy, a nieuznaje tylko masońska Francya i masońskie Włochy.

Ale źle się wyraziłem, mówiąc, że nie uznają: owszem, z pewnością uznają, i cieszą się w duchu na myśl poniżenia i szkód, jakie z tego dla Kościoła wyniknąć muszą i korzystają z tej nieocenionej sposobności, by znienawidzony kler poniżyć i zdeprawować. Zdumiewać jednak musi, że biskupi katoliccy, choć częściowo, i jak się Mgr. Tanne wyraża, „*servatis servandis*“ w obronie tak okropnego stanu rzeczy występują i to wobec duchownej młodzieży, przyczem M. Fynn opowiada rozmaite zdarzenia ze swego doświadczenia, a Mgr. Batiffol ma nawet ze sobą kilka listów od kapłanów żołnierzy z frontu; z listu, który Mgr. Batiffol przytacza, młody kleryk lub kapłan może tylko zaczerpnąć życzenie, by i ich udziałem stało się takie życie; a przecież cóżby się stało z Kościołem, co z tą pracą najbardziej cywilizacyjną, jaką jest praca kapłana, gdyby świat cały zdziczał tak, jak świat francuski i włoski! Dotychczas już podobno blizko 8,000 kapłanów i kleryków francuskich poległo na polu walki — któż obejmie pieczę po wojnie nad tym spoganiałym krajem, a jeszcze bardziej, kto podejmie pracę ciężką nad tem, by z dusz tego nieszczęśliwego, bo pychą i demoniczną prawdziwie agitacyą angielską oślepłego narodu wyrwać ten straszny jad nienawiści narodowej, jaką od dziesiątek lat go zatruwano i przepojono! A bez tego o odrodzeniu się narodu mowy być nie może i ta nienawiść sprawi, że naród francuski nie wytrzyma parcia swego wschodniego sąsiada, zdrowego i pełnego sił żywotnych, duchowych i fizycznych, i zmarnieje. Czem jest narodowa nienawiść,

to wiedział taki umysł olbrzymi, jak Sienkiewicz, i w chwili najcięższej naszego życia porozbiorowego niezapomnianym listem otwartym ostrzegał naród nasz, byśmy sobie dobrowolnie nie dali wyrządzić największej, jaka istnieje, szkody i krzywdy, to jest zatrucie duszy narodu nienawiścią. W życiu narodów, podobnie, jak w życiu jednostek, trzeba umieć często zapominać i przebaczać, jak tego świeżo przykład świetny dał ów naród najsympatyczniejszy z narodów bałkańskich, Bułgarzy. Przed trzema laty prowadzili oni walkę na śmierć i życie ze swym wrogiem dziedzicznym, Turkami, a dziś walczą razem ręka w rękę wspólnie z Turcyą. I my Polacy również, gdy, zeszedłszy się ze wszystkich dzielnic Polski do Krakowa, obchodziliśmy z tryumfem i radością uroczystości grunwaldzkie, nie przypuszczaliśmy, że w lat kilka zaledwie z rąk naszych przeciwników otrzymamy tyle upragnioną wolność polityczną — umiejmy więc wiele zapomnieć i bądźmy gotowi życzliwie i szczerze współpracować z tymi, którzy nam pomagają we wspólnej walce odeprzeć najstraszniejszego wroga naszego narodu, jakim jest Rosya, wroga, który nietylko fizycznie nas pragnie wytępić, ale który przedtem zakaził nam ducha i deprawuje moralnie — a właśnie tem niebezpieczniejszy dla naszej odrębności narodowej, im etnograficznie i fonetycznie bardziej do nas zbliżony. Wracając jednak do Francyi, jesteśmy tu znowu świadkami Nemesis historycznej. W tym właśnie kraju przed wiekiem przeszło rzucono hasło wybujałego i radykalnego nacyonalizmu i to właśnie hasło dzisiaj mści się na Francyi, bo ono rzuciło obecnie ten kraj w wir walki, która najprawdopodobniej na zawsze zrujnuje ten tak niegdyś wielki naród i strąci go w szereg całkiem drugorzędnych czynników światowej polityki. Że nie jest to czcze tylko przypuszczenie, wynika choćby z tego, że jeszcze przed walką o Verdun wojskowy krytyk Correspondant, oceniając straty wojenne państw, biorących udział w wojnie wielkiej, o Francyi — jak się tłómaczy — z powodu cenzury szczegółów nie podaje, ale tylko stwierdza, że 150 lat, a więc sześć pokoleń będzie potrzeba, ażeby kraj uzupełnił swe luki. Tak było wtedy — jakże musi więc być dzisiaj i jak będzie przy końcu wojny!

Oczywiście Irlandczycy, naród na wskróś katolicki, prawdziwie życzliwie i serdecznie przyjęli prałatów francuskich, że jednak wcale nie pozwolili zwrócić się z dotychczasowych torów ani też nie zidentyfikowali biskupów francuskich z obecną Fran-

cyą, świadczy o tem następujące wydarzenie. Kardynał Logue, prymas Irlandyi i arcybiskup z Armagh, witając francuskich gości, użył znanego frazesu, nazywając Francyę najstarszą córką Kościoła. Zwrot ten nie na wszystkich zrobił korzystne wrażenie — co wskazuje, jak sprzymierzeńcy Anglii są zapisani w sercach Irlandczyków — i już w parę dni później, prałaci francuscy, jadąc do Armagh, w osobnym salonowym wagonie, dostarczonym przez rząd angielski, i przeglądając najnowsze czasopisma, zauważyli w dzienniku Irish Independent korespondencyę jakiegoś kapłana, który protestuje przeciwko tytułowaniu obecnej Francyi najstarszą córką Kościoła: „to wyrażenie dzisiaj tak samo bezzasadnie stosuje się do Francyi, jak wyrażenie „obrońca wiary" do króla angielskiego". — W następnym jednak numerze tego samego pisma była replika jakiegoś również nie podpisanego imiennie kapłana, który sposobem scholastycznym zbija argument poprzednika tem, że tytuł „obrońca wiary" odnosi się do indywiduum, podczas gdy „Najstarsza córka" jest imieniem zbiorowem: więc... I znowu słyszymy fakt, tak często powtarzany, że Francya zawsze zasługuje się około Kościoła, bo ona przedewszystkiem utrzymuje misye zagraniczne, dając na to ludzi i rok rocznie znaczną sumę pieniężną, i z budżetu Propagandy, wynoszącego 6,820,273 fr. rocznie, pokrywają ofiary Francuzów przeszło 4 miliony. Jestto z pewnością prawdą, ale przy jej ocenieniu trzeba wziąć w rachubę, że najpierw Francya jest najbogatszym krajem w Europie, a dalej misye zagraniczne przedstawiają dla Francyi pierwszorzędny interes polityczny, bo z ich pomocą język i cywilizacya francuska rozsiewa się po całym świecie. Nietylko więc religijny, lecz i polityczny cel mają w tem Francuzi, by misye zagraniczne wspierać, a tem samem suma pieniężna przez nich dla Propagandy na misye przeznaczana, nie może być uważaną jako wykładnik ofiarności Francyi wyłącznie dla sprawy religijnej.

Trudno oczywiście oczekiwać, by z tej wizyty duchownych francuskich wyniknęła zmiana w usposobieniach politycznych Irlandczyków, a czy wogóle jaki sukces cała ta wyprawa miała, o tem Mgr. Batiffol nie wspomina, a wspomniałby z pewnością, gdyby taki sukces istniał, cały bowiem artykuł nosi cechę rzeczy, skierowanej i przeznaczonej dla Francuzów, zwłaszcza dla tej opinii, której katolicy francuscy niestety tak bardzo się lę-

kają, a chodzi o to widocznie, by przekonać radykałów o patryotyźmie katolików i księży francuskich. Do tego też celu zmierza i opis wizyty, jaką prałaci złożyli zakonnicom francuskim Sacré-Coeur, a przebywającym na wygnaniu w Armagh. Niespodziewana obecność biskupów francuskich, przybywających z ojczyzny, wywarła oczywiście na biednych zakonnicach ogromne wrażenie. „Póki życia, nie zapomnę wzruszenia, — pisze Mgr. Batiffol — lecz wzruszenia radosnego tych wygnanek: Biskupi francuscy! Mgr. Touchet, Mgr. Lenfant!“ I zaraz pytano: „A, czy przynajmniej idziemy do zwycięstwa?“ Bo wszystkie przykrości wygnania nikną wobec trwogi, którą się ma o kraj ukochany... Pytania się cisną i krzyżują: „Więc jesteście pewni zwycięstwa? O! Co za szczęście! Gdybyście wiedzieli, ile się modlimy za znajdującymi się tam żołnierzami?“

U nas w Polsce, mimo stanowiska, jakie Francya urzędowa zajmuje w sprawie naszej wobec Rosyi, w którem zdaje nas zupełnie na łaskę i niełaskę tego najstraszniejszego naszego wroga, sympatya do narodu francuskiego jeszcze nie wygasła, to też z prawdziwą boleścią i współczuciem patrzymy na konanie i wyniszczanie tego nieszczęśliwego narodu, którego demoniczna potęga sprzymierzeńców tak zahypnotyzowała w nienawiści religijnej i narodowej, i tak zaślepiła, że cały naród zupełnie już nie umie osądzić ani swego położenia i sił, ani też potęgi i najoczywistszych zwycięstw przeciwników. Jak straszne będzie przebudzenie!

Ks. F. Hortyński.

Ze świata wynalazków.

ZNISZCZENIA WOJNY. — WALKA O ŻYWNOŚĆ. — HANDEL PODMORSKIEMI ŁODZIAMI. — KUCHNIE MASOWE. — ODŻYWIANIE MASOWE W HAMBURGU. — TROSKA O NIEMOWLĘTA. — USTAWA ROZPŁODOWA WE FRANCYI. — TANIE ŹRÓDŁO TŁUSZCZU.

Dla śledzącego bacznie, lecz spokojnie i bezstronnie, przebieg toczącej się przed nami walki, jest już rzeczą widoczną, że główna jej przyczyna i motor Anglia, pod wpływem autosuggestyi wpadła w frenezyę, w szał niszczenia, który grozi zagładą całej cywilizowanej Europie, Że tak jest rzeczywiście, że zdrowy rozum, ów tyle sławiony *common sense* angielski ustąpił zupełnie miejsca demonicznej jakiejś dążności, która sama lecąc w przepaść, pcha

i ciągnie do niej ze sobą wszystko, o tem przekonywuje odrazu suche zestawienie tego, co Anglia przez wojnę bądź rzeczywiście, bądź pozornie osiągnąć zamierzała, z tem, na co obecnie patrzymy.

I tak istotnym powodem i celem wojny ze strony angielskiej był przemysł. Obawiano się coraz natarczywiej zjawiającej się wszędzie konkurencyi niemieckiej i nieufając widocznie walce pokojowej, polegającej na wysiłkach techniki i handlu, postanowiono napastnika nie przemódz, lecz wprost zdeptać i zniszczyć. Narazie jednak osiągnięto przez wojnę już tyle, że przemysł angielski skrępowano, odbierając mu z jednej strony surowiec i najlepszych robotników, a nadto wiele rynków zbytu, z drugiej zaś zamieniając tysiące rozmaitych fabryk na warsztaty wytwórcze broni i materyałów wojennych. Na zewnątrz, jako hasła popularno-ludowe ogłoszono przedewszystkiem uwolnienie Europy od militaryzmu, którego siedliskiem są Niemcy; w rzeczywistości zakuto pod broń całą ludność zdrową i najbardziej wytwórczą Europy a w samej Anglii, owej wymarzonej krainie osobistej wolności, po nieudałych próbach komedyi z werbunkiem „ochotniczym" zaprowadzono, mimo wszelkich obietnic rządu, wojskową służbę powszechną, a dziś, jak opowiadają opisy np. profesorów akademii francuskich, którzy przed kilku miesiącami na zaproszenie rządu angielskiego zwiedzali Anglię, by naocznie się przekonać, ile Anglia dla wojny czyni, kraj cały zamienił się na obóz wojenny i fabrykę wojenną; zamknięto uniwersytety, uczonych badaczy naukowych wprzągnięto w warsztaty przemysłu wojennego, a przy tokarniach stanęły licznie nawet kobiety, które przy pomocy maszyn swemi słabemi rękami toczą granaty nawet najcięższego kalibru. Dalszą muzyką syrenią Anglii to hasło wolności małych narodów. Jako odzew na nie widzimy okropny pochód zdeptanych i sponiewieranych: Czarnogóra, Serbia, Rumunia, Belgia, Grecya, — to wszystko dzieło Anglii, która te narody pchnęła w przepaść dla swej własnej korzyści. A gdyby jeszcze u nas kto się pod tym względem łudził, to otworzą mu się chyba oczy, gdy słyszy głosy i wynurzenia serdeczne prasy ententy w sprawie polskiej, głosy, które pokazują, że tam o Polsce naprawdę zupełnie nie myślano, że tam o sprawie polskiej, jej znaczeniu i wewnętrznej wartości nie mają żadnego zgoła pojęcia. Autonomia w obrębie Rosyi, oto maximum tego, czego z ich rąk Polska mogła oczekiwać. Analogicznym do poprzednich wska-

zań postulatem bezpośrednim Anglii, to zniszczenie zupełne Niemiec, jeżeli narazie nie całkowite wytępienie, to przynajmniej wstrzyknięcie w żyły narodu niemieckiego zabójczej kurary, owej strasznej trucizny, która nie pozbawia organizmu życia, ani nawet nie znieczula, lecz porażа mięśnie czy nerwy ruchowe, i żywcem oddaje go na żer wrogów. I czyni się to w imię cywilizacyi — w imię cywilizacyi pragnie się sparaliżować życie duchowe narodu ośmdziesięciomilionowego, który przez cały ciąg historyi średniowiecznej i nowożytnej, mimo błędów niejednokrotnych i nieraz zbrodni, stał zawsze na przedzie narodów cywilizacyjnych i wydał największych tytanów w walce ludzkości z przyrodą, największych przewodników w pochodzie do dobra i piękna.

I widząc, że takiego dzieła zniszczenia bronią dokonać nie można, zatrąbiono hasło: niech naród niemiecki i wszyscy z nim trzymający, zczeźnie głodem, niech głodem giną nietylko jego wojownicy, lecz ich matki, żony i dzieci, dopokąd zgnębieni i poniżeni nie padną do nóg tych, którzy im niosą wolność i wyzwolenie — wyzwolenie przedewszystkiem od przemysłu, fabryk, handlu zamorskiego i władzy jednolitej państwowej.

Widok tej niebywałej olbrzymiej twierdzy, bronionej przez ośmdziesiąt milionów bohaterów, w której od góry do dołu, od wschodniego do zachodniego krańca jedno ustawicznie rozbrzmiewa hasło: durchhalten! — jest jedyny w całej historyi ludzkości. Jedyny nietylko swym niebywałym ogromem, lecz i tą świeżością coraz to nowych pomysłów, którymi geniusz Germanów w połączeniu z ich stalową karnością i wytrzymałością zadziwia świat cały. O wielu takich pomysłach donosiliśmy już czytelnikom naszym na tem miejscu, widzieliśmy wysiłki nauki w walce z brakami zwłaszcza surowców, przypatrywaliśmy się postępom floty powietrznej niemieckiej, która odrazu wzięła górę nad wszystkimi przeciwnikami i zajęła w swe panowanie oceany powietrza. Lecz pomysł najnowszy, prawdziwie olśniewający, to handel podmorskiemi łodziami. Świeżo jeszcze mamy w pamięci owe dnie lipca, które zdumiałemu światu ogłosiły, że wysiłkom techniki i żeglarstwa niemieckiego udało się zadrwić z blokady angielskiej i wysłać aż na drugi brzeg oceanu, do Ameryki, naładowany drogocennymi towarami statek podwodny, sławny Deutschland. I kiedy czytelnik z chciwością chwyta za małą książeczkę, w której bohaterski kapitan König opisuje swą pierwszą podróż do Ameryki

na statku podwodnym Deutschland, dozna może w pierwszej chwili niejakiego rozczarowania, bo spodziewał się więcej dziwów usłyszeć i więcej awanturniczych doznać wrażeń. Lecz rozczarowanie to tylko chwilowe. Książki tej nie pisze literat-fantasta, nie jest jej autorem Verne lub Wells, lecz jest ona pełnem szczerości streszczeniem przebyć, skreślonych prostą, raiwną lecz twardą ręką wilka morskiego. To też po chwili refleksyi nad tem, co czytaliśmy, uprzytomni się nam jasno, że ten okręt jest arcydziełem techniki, wzbudzającym podziw w oglądających go fachowych marynarzach amerykańskich, że ta załoga, ustawicznie narażona na śmierć w głębinach lub z rąk angielskich, wśród najcięższych warunków spełnia bohatersko i z karnością bezprzykładną swą służbę. Weźmy np. opis przeprawy łodzi podmorskiej przez gorącą sferę goldstromu, gdzie temperatura wody morskiej wynosiła, według pomiarów, 28 stopni Celzyusza, a do tego morze było tak wzburzone, że tylko z największą trudnością i wysiłkiem można było się utrzymać na wieży obserwacyjnej, stąd nie można było łodzi przewietrzać.

„To jest prawdziwe Inferno — pisze König o tem, co działo się na wieży obserwacyjnej — ale jest to niczem w porównaniu z piekłem, tam wewnątrz łodzi, zwłaszcza przy maszynach.

„Dziko wzburzone morze zmusza oczywiście do pozamykania wszystkich otworów, i nawet wyzier wieżowy można było trzymać otworem tylko chwilami. Pracują wprawdzie bez wytchnienia dwie wielkie maszyny wentylacyjne, ale powietrze świeże, które ssą z ochronionych przed bałwanami komór, pochłaniają natychmiast dwa chciwe motory naftowe Diesela. Oba te żarłoczne potwory wypłacają się niewdzięcznością, oddając w zamian duszny żar, przepełniony straszną parą smaru, którą wentylatory przepędzają wkółko przez wnętrze statku. Taka wentylacya nie może dać odświeżenia.

„Powietrze w łodzi jest przytem nasycone wilgocią do fantastycznie wysokiego stopnia. Wydaje się, że już nie można całkiem w niem oddychać i oczekuje się z rezygnacyą lub złośliwą wesołością chwili, w której człowiek przemieni się w rybę. W zamkniętym szczelnie wnętrzu okrętu zbiera się wszędzie pot skroplony, który w gorącu znowu się ulatnia, przepajając wszystko wilgocią i pleśnią. Wszystkie szuflady i drzwi szaf pęcznieją i paczą zacinają się; a zaduch powiększają jeszcze mokre suknie,

które przynoszą ze sobą strażnicy schodzący z wieży, zarażając całą łódź...

„Temperatura podniosła się w ciągu tych dni aż do 53 (pięćdziesięciu trzech!) stopni Celzyusza".

I w takim piekle żyli i pracowali ludzie...

„Odziani tylko w spodnie i koszule — czytamy dalej — stoją na swych posterunkach, około czoła przewiązana chusta, która chroni oczy od strumieniem cieknącego potu.

Paul König: Die Fahrt der Deutschland. Berlin 1916. Krew żarzy się i kotłuje w skroniach, gorączka płynie wszystkiemi arteryami, tylko z najwyższym wysiłkiem woli udaje się zalane potem ciało zmusić do pracy mechanicznej i utrzymać się przez czas czterogodzinnej służby.

„Ale jak długo trzeba jeszcze będzie w takim stanie przetrzymać?

„W ciągu owych dni nie prowadziłem już zapisków codziennych a znajduję tylko uwagę: „Wyżej już nie może postąpić temperatura, jeżeli jeszcze ludzie mają wytrzymać przy maszynach.

„Ale wytrzymali, stali na stanowisku, jak bohaterzy, pełnili swą służbę wyczerpani, rozpaleni i potem okryci, dopokąd burza nas nie minęła, dopokąd nie wypogodziło się na zewnątrz powietrze i słońce nie przedarło się przez chmury; a uspokojone morze nie pozwoliło odsunąć otworów.

„Wtedy wydostali się ze swego piekła; bladzi, ociekli olejem i pokryci brudem wyszli na jasne światło dzienne i cieszyli się słońcem, jakdyby świeciło im ono poraz pierwszy".

Przytoczyłem dosłownie tych słów kilka kapitana Königa, bo z nich jest widocznem, ile bohaterskich przeżyć i wysiłków kryje się pod tem jego prostem i krótkiem opowiadaniem, a z drugiej, jak wielkiego, zdumiewającego czynu dokonali Niemcy, nawiązując szczęśliwie pomyślne stosunki handlowe zapomocą łodzi podwodnych z Ameryką, od której je stalowym wałem dreadnougtów, nieprzeparcie, jak się zdawało, oddzieliła Brytania. A nie należy sądzić, że cała ta ekspedycya Deutschlandu ma raczej charakter demonstracyjny i znaczenie tylko moralne. Owszem, według obliczenia pism ententy, przynosi ona znakomite korzyści materyalne. Deutschland może zabrać towaru netto 750 ton, czyli 750 tysięcy kilo. Pamiętać należy, że wskutek blokady angielskiej cena nie-

których towarów, sprowadzanych z Ameryki, poszła w Niemczech ogromnie w górę, i naprzykład kilo kauczuku kosztuje w Hamburgu o pięćdziesiąt kilka marek więcej, niż w Nowym Yorku. Z tego przez proste pomnożenie otrzymamy, że jedna tylko przeprawa Deutschlandu przez ocean w jedną stronę przyniesi czystego dochodu z górą 35 milionów marek — rezultat, który tem bardziej trzeba nazwać świetnym, że koszt całej łodzi wynosi tylko 10 milionów marek.

Jeszcze na parę lat przed wojną fachowi referenci pism angielskich z uczuciem trwogi zastanawiali się nad świetnym stanem marynarki niemieckiej, nad duchem bezwzględnego oddania się i karności, jaki w niej panuje. Dziś, po dwu latach zaciętej wojny każdy laik nawet widzi, że pochwały te i obawy angielskie wcale nie były przesadzone, czego najwyższe stwierdzenie stanowi to, czego dokazał kapitan König ze swą z 17 członków złożoną załogą. Niemniej jednak świetne świadectwo stawia Deutschland technice niemieckiej. Zauważyć trzeba, że plan zbudowania handlowych łodzi podwodnych powstał już w czasie rozszalałej wojny, w drugiej połowie 1915 roku, gdy wszystkie warsztaty okrętowe i ich inżynierzy zajęci byli gorączkową pracą dostarczania materyałów wojennych walczącej armii. Mimo jednak przeciążenia tą pracą, myśl zbudowania statków handlowych podwodnych, by przez nie wniwecz obrócić blokadę angielską, przyjęto we wszystkich sferach z zapałem i zabrano się do pracy tak gorliwie, że już po sześciu miesiącach pierwszy taki statek, „Deutschland", pływał na falach. A okręt ten to prawdziwe arcydzieło techniki, niezmiernie skomplikowane, tak, że długiego czasu trzeba było, zanim kapitan König i jego załoga zaznajomiła się z przymiotami i właściwościami tej stalowej ryby.

„Czytelnicy moi — pisze kapitan König — którzy widzieli raz w czasopismach ilustrowanych zdjęcia wnętrza lub wieży łodzi podwodnej, zrozumieją to; a gdy wobec tego dzikiego pomięszania kółek, wentylów, śrub, kurków, rur i rureczek, wobec tego zawrotnego nagromadzenia dźwigni i przyrządów, z których przecież każdy musi mieć swój nadzwyczaj ważny cel i nieodzowne znaczenie, odniosą wrażenie, jakgdyby ich kto w głowę uderzył, to niechaj się pocieszą: mnie z początku nie inaczej się wydarzyło.

„By nad takim przyrządem albo raczej zbiorowiskiem nie-

przejrzanem przyrządów i urządzeń zapanować, by zżyć się z niem i weń wmyśleć, na to potrzeba było pracy wytężającej i prób nieustannych.

„Skoro statek był już gotowy, nadszedł teraz czas — pisze König — dziwny i osobliwy. Dzień za dniem trzeba było żeglować po zatokach, i spuszczać się w głębię, ćwiczyliśmy przy każdej pogodzie i przy każdej sposobności. Każdy człowiek doborowej załogi świadom był zadania, które mieliśmy przed sobą.

„Chodziło o to, by uzyskać zdolność kierowania najdelikatniejszym i najbardziej skomplikowanym statkiem, ostatnim wytworem wyrafinowanych i śmiałych rachunków; chodziło o to, by poznać i opanować najdowcipniejsze cudowne dzieło najnowszej okrętowej sztuki budowniczej. Musieliśmy dojść do tego, by ciężkiej masie blizko dwóch tysięcy ton narzucić naszą wolę, by była posłuszną najmniejszemu naciskowi steru, by kręciła się i manewrowała jak łódź torpedowa, by w wodzie wstępowała ku górze i tonęła jak balon do kierowania w powietrzu.

„Łódź podwodna jest kapryśną jak kobieta, a drażliwą, jak koń wyścigowy; jest dzielną, jak parowiec, i pewną, jak statek holowniczy; może mieć przymioty dobre i — nie dobre; może dać się tak łatwo kierować, jak yacht wyścigowy, i być uparta jak szkapa fiakierska, a posłuszną jest tylko temu, kto zna jej najdrobniejsze techniczne szczególiki.

„Tak więc krążyliśmy tygodniami po powierzchni i pod powierzchnią wody, studyowaliśmy naszą łódź, staraliśmy się dokładnie zaznajomić z jej wszystkiemi możliwościami i wniknąć w swoistą naturę tego okrętowego amfibium.

„A gdy powracaliśmy następnie z ciszy zatok do ogłuszającej wrzawy młotów do nitowania, i do bezustannego jęku morskich warsztatów, wtedy siedzieliśmy całemi godzinami razem z konstruktorami okrętów i wymienialiśmy nasze doświadczenia.

„Nie mogę dosyć ocenić, jak wiele zawdzięczam tej wspólnej pracy razem z inżynierami warsztatowymi. Niezmordowanie spieszyli oni nam z pomocą, by przedziwny wytwór ich pracy duchowej wypróbować aż do ostatecznych szczegółów, i jeszcze w dniu naszego wyjazdu przybył do miejsca, w którem staliśmy na kotwicy, genialny konstruktor łodzi nadinżynier Erbach, by przedsięwziąć wraz z nami ostatnią próbę zanurzenia".

I gdy sobie uprzytomnimy, że te próby i usiłowania, wspólne

nauki i praktyki odbywały się [illegible]ówczas, kiedy na granicach i poza granicami Niemiec wrzała zażarta walka o to *be or not to be*, gdy zważymy, że brali w nich udział ci sami inżynierzy, którzy cały czas swój i wysiłek poświęcają na udział intelektualny, lecz mimo to bezpośredni w straszliwych zapasach wojennych, to z podziwem skłonić się musimy przed geniuszem tego narodu, i przyznać, że blask jego jaśnieje ponad całą zawieruchą Europy i nawet ponad wszystkimi narodami historyi. I cieszyć się należy, że pod takiem kierownictwem nasza odrodzona Polska stawiać ma swoje pierwsze kroki. (Dok. nast.)

Ks. F. Hortyński.

Od redakcyi, w sprawie prenumeraty.

Myśleliśmy rok temu, że wobec drożyzny wojennej, pewne zmniejszenie rozmiarów pisma pozwoli nam pozostać przy dawnych warunkach prenumeraty. Obliczenie to zawiodło. Drożyzna tak się podniosła, cena papieru i pracy drukarskiej tak poszła w górę, że bilans roczny zamknęliśmy ze znacznym deficytem.

Wobec tego zmuszeni jesteśmy podnieść prenumeratę na rok 1917 o 10 koron.

Redakcya.

Problem nowej Austryi.

Dziś tak łatwo i tak chętnie mówi się o nowej Europie i o nowych wartościach, które z obecnego potopu mają się wyłonić. Między innemi, mówi się i pisze się wiele o nowej Austryi.

Już sam fakt, że Austrya, która bez wojny miała się rozlecieć w strzępy różnych narodów, wykazała w czasie wojny taką spoistość, postawił problemy Austryi w innem oświetleniu. Cóż dopiero, gdy wszyscy zabiegliwi spadkobiercy Austryi musieli, jak dotychczas, nietylko odejść z kwitkiem ale i z guzem.

Powodzenie sprzyja pomysłowości. Nic więc dziwnego, że w prasie austryackiej roi się dziś od projektów odnowienia państwa. Najczęściej są to wylewy uczuć i różnorodne liryki, nie dochodzące do poziomu ścisłej myśli, bezpożyteczne zatem ale i nieszkodliwe. Ale są także i zawiązki rzeczywistych projektów

Na pierwszy plan wybija się projekt nowej Austryi, jako członu Europy środkowej. Z Niemiec, Austryi, Turcyi, Bułgaryi, Polski, ewentualnie i z innych dziś neutralnych państw, miałby powstać wielki syndykat państwowy, w celach samoobrony militarnej i gospodarczej, naprzeciwko drugiemu syndykatowi europejskiemu. Literatura w tej kwestyi jest już dziś olbrzymia, ważniejsze jednak od literatury są układy, jakie od dłuższego czasu toczą się w tej sprawie między Węgrami i Austryą i Austryą a Niemcami. Oczywiście, że z układów takich, pomyślnie doprowadzonych do końca, wyszłaby

nowa Austrya. Jaka? [redacted] to już bezpieczniej czekać końca układów.

Prąd ten nie wyczerpuje pomysłowości austryackiej publicystyki. Innym takim objawem była głośna uchwała Związku Niemców austryackich, żądająca, by nowa Austrya była bardziej niemiecką, jak dotąd. Nie brak rozpraw i broszur na ten temat; pod ręką mamy dwie, pisane przez anonimowych autorów. Jeden z nich przyznaje się otwarcie, że

Austrya musi być Austryą niemiecką. Zbytecznem by było przytaczać racye autora, które z dawnych występów wszechniemieckich aż nadto są w pamięci — jak również w pamięci są i repliki strony przeciwnej. Nie będzie jednak od rzeczy przytoczyć jeden bardzo wymowny przyczynek do tej kwestyi. Głośny literat wiedeński Bahr ogłosił w czasopiśmie *Tat* rozprawę, polemizującą z tym austryacko-niemieckim poglądem, gdzie między innymi, przytacza ciekawy epizod ze swego życia. Było to jeszcze za życia Bismarka, w siedmdziesiątą rocznicę jego urodzin; wszechniemiecka młodzież Austryi wysłała wówczas Bahra, jako swego delegata do Bismarka. Niechżeż dzisiejszy Bahr sam swoje ówczesne wrażenia opowie:

„Po kilku dniach byłem dopuszczony do pałacu i książę podziękował mi, choć nie osobiście, to jednak przez swego radcę von Rotenburg, który wszakże grubo mnie rozczarował. Usłyszałem od niego, że Bismark cieszy się, żeśmy tak po niemiecku usposobieni, sądzi jednak, że najlepiej to udowodnimy, gdy wytężymy całą energię, by Austrya była silną. Niemcy liczą na nas, potrzebują nas, ale w Austryi. Silna Austrya jest dla Niemiec nieodzowną. Przyszedłem mocno w retorykę uzbrojony, teraz jednak stropiony siedziałem cicho. Radca musiał współczuć ze mną, gdy wkońcu udało mi się wysylabizować,

że żąda się od nas wielkiej ofiary. Spojrzał na mnie z uśmiechem i rzekł: „Czybyście jednak nie musieli zdobyć się na cięższą ofiarę, gdyby miano was przyjąć do państwa niemieckiego?“ Nie zrozumiałem w pierwszej chwili do czego zmierza. Zaczął mnie zapewniać, że jesteśmy w Niemczech bardzo mile widziani, zaczął się unosić nad naszemi uzdolnieniami. Jesteśmy Niemcami o wspaniałych właściwościach, które jednak, chcąc się do dzisiejszych Niemiec dostósować, musielibyśmy zmodyfikować poważnie. Czy już kiedy o tem myślałem — czy wogóle dałoby się to zrobić — a choćby się dało, czy nie byłoby szkoda tych właściwości — cóżby stąd niemieckości przyszło, gdyby odcień taki ze świata zniknął — w jakiż sposób powetowałoby się tę stratę niemieckości, gdyby zniknął austryacki typ, który tylko mógł się rozwinąć przez współżycie z innymi narodami i tylko przez współżycie z nimi może nadal istnieć? Poleciwszy zastanowić się nad tem wraz z przyjaciółmi, pożegnał radca zalterowanego młodzieńca“. Wtedy Bahr zrozumiał, że Austrya nie może być niemiecką. „W tem bolesnem rozdarciu przypomniało mi się nagle miasto, w którem wyrosłem, praniemiecki Salcburg, miasto całkowicie włoskie, w którym gotyk tak z barokiem się zrósł, tak w jedno stopił, że jest równocześnie i jednem i drugiem — prawdziwy symbol Austryi. W tej godzinie, pod wpływem najbardziej niemieckiego uczucia, zrodził się we mnie Austryak“.

Bahr jest pomostem do innej kategoryi publicystów i myślicieli, inaczej pojmujących nową Austryę. Jest ich cały legion. Książę Ferdynand Lobkowitz, Hornisch, Kralik, Burger i inni. Przedewszystkiem Foerster. Echa tego kierunku odbijają się także w nowem czasopiśmie: *Das neue Oesterreich.*

Obóz ten słusznie ocenia potworne skutki skrajnego nacyonalizmu w obecnej wojnie. Jeden z literatów tego obozu tak określa ostatnie czasy: „*Vom Humanismus über Nationalismus zum Bestialismus*“. Z tego sądu wyciąga ten obóz konsekwentne wnioski, a więc, przedewszystkiem uznaje słuszne prawa wszystkich narodów. W tym poglądzie staje się nowa Austrya państwem sprawiedliwości i równości praw narodowych.

Najsilniej i najgłębiej ujmuje ten pogląd Foerster[1]). Wogóle powiedzieć trzeba, że rola Foerstera, jako szermierza, zwalczającego wybujałości nacyonalizmu, wysuwa się na pierwszy plan dzisiejszej widowni umysłowej. Foerster rzucił na szalę całą siłę swej wybitnej inteligencyi i niestrudzony zapał apostoła. Zależność polityki od etyki, respekt dla praw przyrodzonych narodów, to hasła, za które walczy bez względu na sympatye, autorytet i jakiekolwiek względy ludzkie. W tej chwili rozpętała się naokół niego w Niemczech a szczególniej w Monachium, gdzie jest profesorem uniwersytetu, walka o Bismarka, którego racyę stanu potępił — mniej więcej tosamo było przed rokiem we Wiedniu, gdzie wówczas z katedry uniwersyteckiej piętnował wszechniemców austryackich.

Posłannictwo dziejowe Austryi pojmuje Foerster bardzo idealnie. Nazywa to posłannictwo tajemnicą Austryi, misyą, która ma być drogowskazem dla całej Europy, renesansem w stosunkach narodowościowych świata całego. Podczas, gdy wszystkie jednonarodowe państwa, wskutek samego braku wewnętrznych przeciwieństw, popaść mogą łatwo w jednostronność nacyonalizmu, Austrya, która utrzymać musi w harmonii dążności rozwojowe tylu narodów, jest od tego niebezpieczeństwa daleką. Tej misyi nie mogła jeszcze rozwinąć należycie, bo zaczęła ją dopiero od roku 1866, z którego to czasu wyniosła w dodatku jednostronne tradycye niemieckie. Ale już same nieustanne tarcia narodowe wtrącają Austryę na tę, ciernistą, ale jedynie prostą drogę. Im prędzej Austrya to przeznaczenie swoje zrozumie, tem lepiej dla jej pomyślnego rozwoju i dla rozwoju słusznej idei narodowej w świecie. Z punktu widzenia dzisiejszego nacyonalnego państwa, rola taka Austryi wydać się musi słabością, ale jeżeli patrzy się na tę rolę, jako na opatrznościowy warsztat, na którym wysnuwa się myśl boża o prawie przyrodzonem narodów, to ta słabość jest początkiem siły ogólno-ludzkiego znaczenia. Wywód taki wyda-

[1]) Das österreichische Problem vom ethischen und staatspädagogischen Standpunkte. Wien 1916.

się niejednemu realnemu politykowi głupstwem, ale, jak pisze w tej kwestyi szwajcarski profesor Huber, „nie było nic wielkiego na świecie, coby kiedyś nie było, jako głupstwo, do krzyża przybitem".

Naczelną tezę swoją ujmuje Foerster w następujący sposób: „Problem austryacki jest terenem, na którym dwa wielkie zagadnienia mają być w typowy sposób rozwiązane: najpełniejsze możliwie zapewnienie narodowościowych samodzielności, a zarazem ćwiczenie się w narodowem samozaparciu, celowe podporządkowanie narodowości pod wyższe organizacyjne pryncypium. Przeprowadzenie tego ostatniego zadania zapewni narodowościom także w ich wewnętrznych sprawach nowe uzdolnienia organizacyjne".

Idee powyższej tezy nie wymagają obszerniejszego wyjaśnienia. I słuszność samodzielności narodowej i chronienie nacyonalizmu przed zwyrodnieniem egoistycznem, które odbić się musi krzywdą na prawach drugiego narodu — są pojęciami jasnemi. Przestrzeganie zaś takie należytych granic nacyonalizmu, jak wszelka karność i wszelki porządek, podziałać musi dobroczynnie na ład w innych narodowych sprawach.

Główną uwagę zwraca Foerster na państwowo-pedagogiczną stronę kwestyi, jak, odnośnie do tego celu, uporządkować pojęcia o polityce, jak kształcić w duszach jednostek komórkę państwowości, jakich, wogóle, metod psychologicznych imać się, ażeby to zadanie wypełnić. Jako najwalniejszy środek przedstawia umiejętne traktowanie dwóch naczelnych instynktów, właściwych i zwierzętom i ludziom, instynktu defenzywy, samoobrony, i instynktu symbiozy, to jest popędu do włączenia się w organizm uzupełniający lub wyżej rozwinięty. Koło instynktu defenzywnego trzeba krążyć ostrożnie i nie prowokować go, natomiast działać należy na drugi instynkt, dążący do łączności, do przyjaźni, do związku, instynkt społeczny.

Nie wzdraga się także Foerster przed praktycznem zastosowaniem tych zasad do wypadków konkretnych. Przekonywanie Słowian austryackich zostawia Słowianinowi, sam,

Niemiec, zwraca się do Niemców. Wskazuje na błędy Niemców w Austryi, które Słowian drażnić musiały, jak napaść i gwalt z jednej strony wywoływała reakcyę z drugiej, jak „utopią nad utopiami jest myśleć, że w Austryi uda się jakiejkolwiek narodowości swoje prawa na tej drodze zabezpieczyć".

Taki jest bieg myśli Foerstera.

Problem, oczywiście, w praktycznem przeprowadzeniu trudny, w szczegółach wymagający niejednego rozjaśnienia, ale zasadniczo słuszny.

Na zakończenie, ciekawy zwrot Foerstera w stronę Polaków. Przedstawiwszy powyższe zasady, jako ważne dla wszystkich narodów Austryi, tak pisze: „W odmiennem położeniu są Polacy. Wierność państwowa u nich nie kończy się z danymi stosunkami, ale żyje i unosi się w marzeniu o politycznem odrodzeniu Polski, które ma się kiedyś dokonać na podstawie politycznych zdarzeń lub porozumień. Ale i Polak, ze względu na samego siebie, ze względu na swoje własne moralne i polityczne wykształcenie, powinienby sobie powiedzieć, że nie będzie się czuł jakgdyby prowizorycznym Austryakiem, ale, że w państwie austryackiem musi działać w duchu korzystnym dla państwa, to znaczy, by przy każdej politycznej sprawie nietylko egocentrycznie miał własny narodowy interes na oku, ale zarazem, by współpracował nad urzeczywistnianiem się austryackiej kultury prawnej, a temsamem i nowej kultury światowej. Takie samozaparcie odbije się błogosławieństwem na jego własnem narodowem życiu i, wbrew wybuchowemu indywidualizmowi rasy, wzmocni wszystkie społeczno-etyczne i państwowe siły kulturalne".

Warto baczyć, jak potoczy się dalej bieg i rozwój tej idei. Dziś stwierdzamy jej istnienie.

Ks. J. Pawelski.

O jedność Kościoła polskiego.

Niedawno czytaliśmy na tem miejscu, skierowane do Polaków wszystkich dzielnic[1]) wezwanie, możnaby powiedzieć zaklęcie, do wzajemnej wyrozumiałości względem różnic w poglądach na najżywotniejsze kwestye narodu, wyrozumiałości płynącej z poznania i zrozumienia tych warunków i czynników, jakie z fatalną koniecznością zapatrywania i dążności nasze zróżniczkować musiały. Nawiązując do owego apelu ks. J. Pawelskiego, chcę rzucić parę konkretnych myśli, dotyczących tak ważnego w życiu narodu naszego czynnika, jakim jest nasza jedność religijno-kościelna.

Odrazu określam jasno, o co mi chodzi. Chodzi mi o żywe poczucie we wszystkich dzielnicach naszej Ojczyzny jedności Kościoła polskiego.

Czy taka jedność istnieje?

Oczywiście, z chwilą rozszarpania na sztuki ciała naszego zbiorowego bytu, musiała być nadwerężoną i jedność tego, co słusznie duszą tego ciała nazwaćby można, — Kościoła polskiego. Tworzący zamkniętą w sobie kościelno-prawną jednostkę, Kościół polski z prymasem arcybiskupem gnieźnieńskim na czele, rozpaść się musiał na kilka, niezależnych jedna od drugiej, prowincyi kościelnych; zamiast jednego centrum, otrzymaliśmy aż cztery metropolie: (Gniezno, Lwów, Warszawa i Petersburg), do

[1]) *P. P.* Czerwiec 1916, art. O jedność narodową.

których jeszcze dodać trzeba żadnej metropolii niepodległe, lecz wprost od Stolicy Świętej zależne biskupstwo krakowskie. Kordony graniczne zniosły możliwość takiej manifestacyi naszej kościelnej jedności, jaką był naprzykład niegdyś Synod piotrkowski. Każda z nowych prowincyi kościelnych poczęła żyć odrębnem, zastosowanem do nowych warunków politycznych, życiem bez jakiegokolwiek kontaktu i porozumienia się z innemi prowincyami.

Gorzej, że nietylko zewnętrznie zerwała się jedność polskiego episkopatu, ale prawie zatarło się wewnętrzne poczucie tej jedności, zaginęła jej tradycya, i to nie wśród świeckiego jedynie społeczeństwa lub niższego kleru, ale również u przedstawicieli episkopatu. Wpłynęły na to oczywiście w pierwszym rzędzie trudności polityczne i komunikacyjne. między wcielonemi do różnych organizmów politycznych dzielnicami dawnej Polski. Ale nie one same. Fatalnie oddziałać musiał w tym względzie przedewszystkiem duch, jaki na schyłku 18. i u świtu 19. stulecia na dłuższy czas zapanował wśród wyższych warstw duchownych. Były to czasy febronianizmu i józefinizmu, które to systemy, opanowawszy szkoły kologiczne, przeniknąwszy do prawa kanonicznego, a nawet dogmatyki, osłabiły wśród kleru poczucie jedności z centrum chrześcijaństwa, Stolicą Świętą i postawiły tenże kler w większą zależność od państwa. Religię, życie kościelne, organizacyę kościelną usiłowano wtłoczyć w machinę państwową, jako jedną z jej składowych części, czy funkcyi. Nic też dziwnego, że kiedy na polskich stolicach biskupich, dzięki przemożnemu wpływowi czynników politycznych przy ich obsadzaniu, zasiedli prałaci, wychowani w duchu Febroniusza, — Józefa II, nie mogło być mowy o żywem poczuciu jedności Kościoła polskiego w różnych zaborach. Odtąd w pojęciach kościelno-prawnych istnieli mówiący po polsku katolicy, nie było zaś katolików polskich, ani katolicyzmu polskiego, jak nie było polskiego państwa. Typowym przedstawicielem, jakby wcieleniem tego rodzaju pojęć był metropolita Mohylewski Siestrzeńcewicz; ale nie on jeden tylko reprezentował ten kierunek i nie w samym tylko rosyjskim zaborze, taki

typ księciów Kościoła kwitnął. Jak dalece, naprzykład, biskupi Galicyi pierwszej połowy 19. stulecia czuć się musieli członkami austryackiego i tylko austryackiego episkopatu, łatwo zrozumiemy, jeśli przypomnimy sobie, że katedry biskupie w tej dzielnicy dawnej Polski dostawały się nawet prałatom, pochodzącym z innych krajów koronnych habsburskiej monarchii. Niemożliwość komunikowania się z dzielnicami innych zaborów i owo upaństwowienie Kościoła w duchu józefińskim wyrobiły tradycyę, która przetrwała w praktyce panowanie febronianizmu w szkołach katolickich. Na długo wśród polskiego kleru utrwalił się typ księdza, który, jeżeli nie w większej, to może w równej mierze, czuł się urzędnikiem rosyjskiej, czy austryackiej machiny biurokratycznej, jak przedstawicielem Kościoła polskiego. Stąd też, jeżeli ten Kościół dawał znaki jakiegoś zbiorowego życia, to raczej jako cząstka tego lub innego większego organizmu kościelnego, aniżeli jako samodzielny Kościół polski. O ogólno-polskim synodzie, czy zjeździe biskupów, oczywiście nie było można marzyć.

A jednak, jakkolwiek przyćmiona i przygłuszona w świadomości wielu, jedność Kościoła polskiego istniała nie tylko w elementarnym fakcie posługiwania się polskim językiem w służbie Bożej i głoszeniu słowa Bożego we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, lecz co ważniejsza, w rozumieniu najwyższej powagi kościelnej, Stolicy Świętej. Podobnie jak w charakterze głowy Państwa kościelnego, papieże rzymscy nie ratyfikowali pozytywnie podziału Rzeczypospolitej, tak również jako najwyżsi pasterze Kościoła nie przestawali uznawać Kościoła polskiego, we wszystkich trzech zaborach, za pewną zamkniętą w sobie całość, za jeden z wielkich członów organizmu Kościoła Powszechnego, jakkolwiek w wielu wypadkach musieli się oczywiście liczyć z dokonanym faktem rozbioru Polski i nowymi kościelno-politycznymi warunkami, w jakich Kościół polski się znalazł. Wymownym dowodem takiego traktowania Kościoła polskiego w Rzymie, żeby nie sięgać głębiej, były pontyfikaty Grzegorza XVI., Piusa IX. i Leona XIII. Założenie kolegium polskiego w stolicy chrześcijaństwa, przeznaczonego

dla wychowania młodzieży duchownej polskiej ze wszystkich trzech zaborów, a zwłaszcza encyklika *Caritatis providentiaeque nostrae* z dnia 19. marca 1894, zaadresowana *ad episcopos polonos*, oto jaskrawe wyrazy tego poczucia, jakie żywiono zawsze w Rzymie, że istnieje Kościół polski, jako pewna żywa całość, pomimo że Polskę jako państwo wykreślono z mapy Europy.

Poczucie tej właśnie jedności Kościoła polskiego należy ożywić i rozwinąć wśród naszego społeczeństwa wszystkich dzielnic, a zwłaszcza wśród naszego kleru. Jakikolwiek będzie wynik obecnych zmagań wojennych dla naszej Ojczyzny, żywe poczucie jedności na terenie religijno-kościelnym w każdym razie przyniesie niewątpliwy pożytek nawet naszej jedności narodowej. W razie najpomyślniejszego dla nas obrotu rzeczy, żywa działalność Kościoła, jako jednolitego organizmu, wzajemna komunikacya i oddziaływanie na siebie różnych dzielnic, przyczynią się niezawodnie do zatarcia tych różnic, jakie wytworzyła historya porozbiorowa; w razie zaś pozostania nadal kordonów lub powstania nowych, tem bardziej będzie potrzebnem to poczucie jedności socyalnej, jako strażniczki jedności narodu. Wszak już w odległej epoce naszej historyi, w epoce księstw udzielnych, Kościół wiązał rozdarte członki narodu w jeden, pomimo wszystko żywy organizm: grób św. Stanisława na Wawelu spełniał tę rolę, jaka na czas pewien odjętą była tronowi Bolesława Chrobrego.

Że nawoływanie do żywego poczucia jedności naszego Kościoła we wszystkich dzielnicach dawnej Polski nie jest zbytecznem, nie potrzeba chyba długo przekonywać. Mówiłem o warunkach i czynnikach, które sprowadziły rozerwanie zewnętrzne i zanik wewnętrznego poczucia jedności. Ten stan rzeczy trwał do ostatnich czasów, albo lepiej mówiąc, trwa do dzisiaj. Poczucie jedności jest niemożliwem bez jakiej takiej znajomości całości. Tymczasem wiemy dobrze, jak dalece my, katolicy różnych dzielnic polskich, nie znaliśmy się nawzajem, nie wiedzieli o sobie! Kiedy galicyjski ksiądz pocznie mówić o naszych kościelnych stosunkach i potrzebach, to myśl jego nie wybiega poza granice czterech dyecezyi podkarpackich; niewielu

coś wie o stosunkach kościelnych poza kordonem: jakie tam są dyecezye, jacy niemi rządzą biskupi, w jakim stanie znajduje się życie religijne i t. d., wszystko to znajduje się poza horyzontem przeciętnego galicyanina. Odpowiada to ogólnej znajomości geografii dawnych ziem polskich: wszak dla wielu od Michałowic zaczynała się Rosya z masami kacapów w wyobraźni, podczas gdy drudzy Kamieniec lub Połock umieszczali w „Królestwie".

Nie lepszą znajomość stosunków kościelnych w innych dzielnicach zdradzali królewiacy, chociaż między tymi, dzięki wyjazdom za granicę, więcej się znajdowało takich, co się oryentowali w całości. Ostatnie lata zaznaczyły niejaką poprawę wzajemnych stosunków i wzajemnej znajomości. Do zbliżenia się i wzajemnego poznania kapłanów z różnych dzielnic przyczyniła się w pewnej mierze nawet tak czysto ekonomiczno-filantropijna instytucya, jaką jest „Dom Zdrowia" w Zakopanem, założony przez działacza z Poznania na gruncie galicyjskim, otwarty dla księży ze wszystkich trzech zaborów. Kiedy utrudnienia policyjne zwolniały nieco w Kongresówce, nawiązano żywsze z nią stosunki z innych zaborów: na kursie społecznym w Warszawie występowali mowcy z Poznania, zapanowały żywsze stosunki literackie i wydawnicze. Kiedy w r. 1910 Przegląd Powszechny rozpisał ankietę „o zadaniach katolicyzmu w Polsce", to miał na oku potrzeby nie tej czy owej dzielnicy tylko, ale obejmował całość narodu i Kościoła polskiego; do ankiety też zaprosił wybitnych katolików ze wszystkich zaborów. Czytanie materyału, zebranego w grubym tomie odpowiedzi na ankietę, jest i dzisiaj jeszcze niezmiernie pouczające, doskonale oryentuje w stosunkach i potrzebach religijno-kościelnych poszczególnych dzielnic. Najwspanialszy wyraz jedności Kościoła polskiego dali księża biskupi przed rokiem w swej odezwie do biskupów katolickich całego świata: po raz pierwszy od podziału Polski znalazły się obok siebie na jednym dokumencie podpisy pasterzy Gniezna i Lwowa, Warszawy i Krakowa. Episkopat polski zamanifestował przed resztą katolickiego świata, że istnieje jedna, zniszczona wprawdzie przez wojnę

i wyciągająca ręce po jałmużnę i modlitwę, ale nie zniweczona Polska i jeden, organicznie w osobach swych pasterzy zjednoczy, Kościół polski.

Na tym fundamencie należy budować dalej. Zanim Opatrzność pozwoli ostatecznie zjednoczyć wszystkie części naszego Kościoła pod wodzą jednego prymasa narodu, musimy się dobrze nawzajem poznać. To wzajemne zbliżenie się i poznanie winno się zaczynać od ławy seminaryjskiej. Przyczyniłby się do tego mogły wykłady historyi kościelnej, tylko należałoby rozszerzyć w niej dział Kościoła polskiego, nie wyłączając i doby porozbiorowej i uzupełniając je rodzajem geografii i statystyki kościelnej na ziemiach polskich we wszystkich dzielnicach w ostatniej dobie. Oczywiście trzebaby do tego uzupełnić podręczniki, które przerabiane po większej części z obcych języków, historyi Kościoła polskiego prawie wcale nie podają. Podobnież ośmieliłbym się zaproponować redaktorom dyecezyalnych schematyzmów i katalogów, by dołączali do nich, dla informacyi duchowieństwa, krótki statystyczny pogląd na ustrój Kościoła polskiego we wszystkich dzielnicach, choćby to się ograniczało do suchego spisu dyecezyi, rządzących niemi biskupów, liczby kościołów, kapłanów i wiernych i wymienienia najważniejszych instytucyi kościelnych. Nie potrzebuję dodawać, że dałoby się niejedno w tym kierunku uczynić i dla kół świeckich, tak inteligencyi jak i ludu naszego.

Jeszcze jedno. W świątyni Jasnogórskiej, z jej cudownym obrazem Królowej Korony polskiej, mamy niejako duchowe centrum, ku któremu zwraca się w modlitwie każde serce katolicko-polskie. Czyby nie uczynić z Częstochowy prawdziwego centrum, w któremby się zbiegały promienie całej peryferyi? Jeżeliby po szczęśliwem, da Bóg, ukończeniu wojny miało dojść do jakiegoś ogólnego katolicko-polskiego wiecu, to chyba żaden punkt naszej ziemi nie nadaje się lepiej do tego, jak Częstochowa, z jej narodowem palladyum. Czy nie możnaby o tem zacząć już teraz myśleć? Może już blizka dwusetna rocznica koronacyi cudownego obrazu zdoła zgromadzić na wzgórzu częstochowskiem rozprószonych synów jednej matki — Kościoła polskiego.

Ks. Jan Urban.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

O JEDNOŚĆ KOŚCIOŁA POLSKIEGO. Przez *Ks. J. Urbana T. J.* 1*

CZEM JEST PAPIEŻ DLA ŚWIATA. Przez *Ks. J. St. Adamskiego T. J.* 1, 167

NOWY POGLĄD W KWESTYI RZYMSKIEJ. Przez *Ks. Ernesta Matzla T. J.* 21

SVETOZAR HURBAN VAJANSKY. Przez *Dr. Tad. St. Grabowskiego* 35

KACPER DECURTINS. Przez *Ks. Leonarda Lipkego T. J.* 57, 167, 308

MODERNIZM W KSIĄŻCE POLSKIEJ. Przez *Ks. Dr. M. Sieniatyckiego* 73

Z cyklu „Opowieści Chrystusowe". W ŚWIATŁO. Przez *M. Czeskę*. 83

PIĄTY LISTOPADA. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 139

FRANCISZEK JÓZEF. Przez *Dra Stanisława Smolkę* 147

U TPUMNY SIENKIEWICZA. Przez *Ks. Tadeusza Karylowskiego T. J.* 152

GALICYA PRZED OBECNĄ WOJNĄ I W ROKU PIERWSZEGO ROZBIORU. Przez *B. P. E.* 155

POWSTANIE PRZEKONAŃ I OBRZĘDÓW RELIGIJNYCH WEDŁUG MALINOWSKIEGO. Przez *Ks. Dr. St. Zegarlińskiego* 196, 327

Strona

Koniec wojny, koniec świata i złote czasy proroków. Przez *Ks. K. Czaykowskiego T. J.* 212, 346

Na powitanie państwa polskiego. (Głosy zagranicy). Przez *Dra Ryszarda Kralika* i przez *Rudolfa Euckena* 265

Biały papież czy biały car? Przez *Ks. J. Pawlskiego T. J.* 269

Barokowy poemat o bożem narodzeniu. Przez *Tadeusza Sinkę* 276

Niobe-Laokoon. Przez *Wiktora Gomulickiego* . . 288

Naprzód. (Echa wojny). Przez *T. Wodzicką*, przez *T. Potocką*. 290

Problem miłości i małżeństwa w najnowszej naszej powieści. Przez *Antoniego Mazanowskiego* 293

Matka. Przez *M. Czeską* 363

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Podręcznik praktyczny Teologii pasterskiej. Ks. Dr. Karol Dębiński. (*X*). 101

Podręczna Encyklopedya Kościelna. (*J. S.*). 108

Ochrona zabytków. Józef Muczkowski. (*Jerzy Kieszkowski*) 109

Konferencye — wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn — w kościele Św. Józefa (pokarmelickim) — o religii. Ks. Dr. Marceli Nowakowski. (*St. G.*). 113

Wskazówki pedagogiczne dla wychowanków i nauczycieli w katolickich zakładach naukowo-wychowawczych. Barelle Huber. (*St. G.*) 114

Die reussische Welt. Prof. Dr. Stanisław Smolka. (*Ks. Jan Urban*) 126

Nadworny rzeźbiarz króla Zygmunta Starego Giovanni Cini z Sieny i jego dzieła w Polsce. Cercha Stanisław i Kopera Feliks. (*Leonard Lepszy*) 232

Przysięga na słońce. Prof. Dr. Wł. Semkowicz. (*Dr. Fr. Gawełek*) 239

Powrót. Stanisław Przybyszewski. (*Antoni Mazanowski*) 241

Strona

Przewodnik po literaturze religijnej dla osób pragnących pogłębić swe wykształcenie w dziedzinie wiary katolickiej. O. Woroniecki. (*Ks. K. Czaykowski*) 243

Rozwój gospodarczy nowoczesnej wsi polskiej. Dr. Leon Władysław Biegeleisen. (*Ks. Dr. A. Mytkowicz*) 373

Wiadomości o Dominikanach prowincyi litewskiej. Wołyniak. (*Ks. J. Urban*) 376

Zamieć. Żeromski Stefan. (*Antoni Mazanowski*) 377

Z piśmiennictw obcych.

Unser Conrad. Ludwig von Pastor. (*Dr. K. Krotoski*) 115

Gesammelte Kleinere Schriften von Moritz Meschler S. J. (*X. Brt.*) 121

Lehrbuch des katholischen Kirchenrechts. Dr. J. B. Sägmüller. (*L.*) 123

Institutiones iuris publici ecclesiastici pro clericorum commodidate in compendium redactae. Sac. Prof. Felix M. Capello. (*L.*) 123

Credo. P. Lippert. (*J. U.*) 243

Texte zum Gottesbeweis, von Dr. Heinrich Straubinger. (*J. U.*) . . 244

Die vier Evangelien, ihre Entstehungsverhältnisse, Echtheit und Glaubwürdigkeit, von B. Heigl. (*J. U.*) 244

Abriss des Lebens Jesu von der Taufe bis zum Tod. Von Dr. Joh Er. Belser. (*J. U.*) 245

Grossstadtpädagogik J. Tews. (*Zofia Korczyńska*) 245

Physik in Küche und Haus. Prof. Heinrich Speitkamp. (*Ks. Feliks Hortyński T. J.*) 379

Le Roman Merveilleux. Pierre de Coulevain. (*Teresa Wodzicka*) . . 382

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy kościoła: Echo przemówienia papieża do dzieci. (*Ks. Ernest Matzel T. J.*) 125

Kwestya rzymska w oświetleniu protestanckiem. (*E. M.*) . . . 131

Strona

Z działalności Tow. „Czerwonego Krzyża“ w Krakowie. . . . 133

Z korespondencyi redakcyjnej 137

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Katolicki dziennik niemiecki a powstanie Polski. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 248

Ruch robotniczy chrześcijańsko-narodowy w nowych Niemczech. (*N.*) 252

Opieka religijna nad uczniami handlowymi w Krakowie w czasie wojny. (*X. Jarosław Rejowicz T. J.*) 255

Z korespondencyi redakcyjnej 260

GRUDZIEŃ.

Sprawy kościoła: Nowy kodeks prawa kanonicznego. — Nota czwórprzymierza do Ojca świętego. — Polski adres do papieża. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 386

Z podróży biskupów francuskich do Irlandyi. (*Ks. F. Hortyński T. J.*) 391

Ze świata wynalazków. (*Ks. F. Hortyński T. J.*) 410

Od redakcyi w sprawie prenumeraty 417